

ANDERS
ROSLUND
BÖRGE
HELLSTRÖM

A person wearing a grey hoodie is seen from behind, pressed against a wall. Their hands are pressed against the wall, and there are several red bloodstains on the left hand. The scene is dimly lit, with a strong light source from the top, creating a dramatic and somber atmosphere.

DWAJ
ŻOŁNIERZE

DZIENNIKARZ ŚLED CZY I BYŁY PRZESTĘPCA —
GENIALNY DUET SZWEDZKICH AUTORÓW I ICH
NAJLEPSZY THRILLER PSYCHOLOGICZNY!

ANDERS
ROSLUND
BÖRGE
HELLSTRÖM

DWAJ
ŻOŁNIERZE

Ze szwedzkiego przełożył
Wojciech Łygaś

Wydanie elektroniczne



ANDERS ROSLUND i BÖRGE HELLSTRÖM

Para szwedzkich autorów, która zasłynęła serią powieści kryminalnych odznaczających się wyjątkowym realizmem opisywanych zdarzeń. Roslund to znany dziennikarz i reporter specjalizujący się w tematyce społecznej i kryminalnej, szef redakcji informacyjnej telewizji publicznej. Hellström jest jednym z założycieli organizacji na rzecz zapobiegania przestępczości, moderatorem debat o szwedzkim systemie penitencjarnym. Wspólnie napisali sześć powieści przełożonych na kilkanaście języków i sprzedanych w ogromnych nakładach. Ich debiutem był wydany w 2004 thriller **Bestia**, uznany za Najlepszą Skandynawską Powieść Kryminalną Roku. W kolejnych latach wydali **Dziewczynę, która chciała się zemścić**, **Odkupienie**, **Dziewczynę w tunelu**, **Trzy sekundy** (zdobywca tytułu Najlepszej Szwedzkiej Powieści Kryminalnej 2009 Roku). **Bestia** została niedawno sfilmowana przez szwedzką telewizję, a 20th Century Fox przygotowuje film na podstawie **Trzech sekund**.

Tych autorów

DZIEWCZYNA, KTÓRA CHCIAŁA SIĘ ZEMŚCIĆ
ODKUPIENIE
TRZY SEKUNDY
DZIEWCZYNA W TUNELU
BESTIA
DWAJ ŻOŁNIERZE

Tytuł oryginału:
TVÅ SOLDATER

Copyright © Anders Roslund & Börge Hellström 2012
All rights reserved
Published by agreement with Salomonsson Agency

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2014

Polish translation copyright © Wojciech Łygaś 2014

Redakcja: Marta Bogacka

Zdjęcie na okładce: ivan101/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: © Mariusz Banachowicz

ISBN 978-83-7985-097-6

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com



Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

Spis treści

[Znacznie wcześniej](#)
[Teraz. Część pierwsza](#)
[Zostało dwadzieścia pięć dni](#)
[Zostały dwadzieścia dwa dni](#)
[Pozostało czternaście dni](#)
[Zostało trzynaście dni](#)
[Zostało jedenaście dni](#)
[Zostało osiem dni](#)
[Zostało sześć dni](#)
[Zostały cztery dni](#)
[Zostały trzy dni](#)
[Zostały dwa dni](#)
[To już jutro](#)
[Dzisiaj](#)
[Teraz. Część druga](#)
[Teraz. Część trzecia](#)
[Teraz. Część czwarta](#)
[Teraz. Część piąta](#)
[Teraz. Część szósta](#)
[Dzień później](#)
[Kolejny dzień później](#)
[Jeszcze jeden dzień później](#)
[Dużo później](#)
[Od autorów](#)
[Przypisy](#)

Człowiek pragnie być kochany. Z braku miłości — chociaż podziwiany, z braku podziwu pragnie wzbudzać strach, a jeśli nie osiągnie nawet tego, to pragnie wzbudzać chociaż wstręt i pogardę, chce poruszać ludzkie uczucia. Dusza wzdraga się przed próżnią, chce kontaktu za wszelką cenę^[1].

(Hjalmar Söderberg, *Doktor Glas*, 1905)

*Twój brat jest jak twoje własne ciało,
Dla ciebie żyje i umiera,
Jest przy tobie rano i wieczorem,
w doli i niedoli. Ale jeśli twój serdeczny brat nie słucha rozkazów, jeśli szuka Seksu, Kasy, Marychy, Szacunku, wiecie, o czym mówię, to wtedy zostaje tylko jedno: KULA W OBA KOLANA. Nie żartuję. Jesteśmy braćmi. Jesteśmy władzą. Jesteśmy wojownikami i Rodziną. Aż do śmierci.*

(Dowód nr 2012-0221-BG2219 p.41
znaleziony w torbie marki Adidas 120207)

**Znacznie
wcześniej**

Leży tu już tak długo.
Ciągłe słyszy ludzkie głosy.
A może kroki.

Słyszy ich, gdy idą długim korytarzem. Jedni poruszają się szybko, inni jakby się wloką; czasem jej się wydaje, że zatrzymują się tuż przy metalowych drzwiach, jak gdyby nasłuchiwali. Chce do nich wtedy zawołać, poprosić, żeby weszli do środka i potrzymani ją za rękę. Nigdy tego nie robią. Idą dalej, a ich kroki giną w monotonnym dźwięku maszyn i głośnym brzęczeniu lamp — stuk, bzz, stuk, bzz. Zamyka oczy, ale nie ma odwagi zatkać uszu — stuk, bzz, stuk, bzz — jest sama, ale wcale tego nie chce.

...

Ma dziwną twarz.

Może mieć szesnaście, siedemnaście, a nawet osiemnaście lat.

Wygląda staro. Może to z powodu bólu albo strachu, a może jej ciało w zupełnie inny sposób pochłania czas i pozwala mu, żeby robił swoje.

Wygląda na to, że leży wygodnie. Nosze na wózku są dość szerokie, ona ma drobne ciało. Pokój jest znacznie większy od innych. Stoi w nim łóżko, szafka na ubrania, stół i krzesło, jest też prysznic. I chociaż oprócz niej w pokoju przebywa jeszcze osiem osób, właściwie jest tu prawie pusto. W nogach stoi kobieta w zielonym fartuchu, która przesuwa dłońią po szorstkim materiale tam i z powrotem, jakby chciała ją ogrzać. Potem zbliża dłoń do jej ud, czubkami palców dotyka podbrzusza. W drugiej dłoni mocno zaciska igłę, trzydziestocentymetrową plastikową rurkę kieruje w stronę miękkiej błony, przezroczystego pęcherza pełnego wody. Pęcherz ugina się i wraca do poprzedniego stanu, więc znowu kłuje go igłą i jeszcze raz, aż pęcherz poddaje się i pęka.

...

Słyszy kroki. Ktoś się zatrzymał i zaraz odszedł.

Trochę dalej ktoś otwiera drzwi. Ktoś inny krzyczy, a może płacze, trudno rozróżnić.

Otwiera oczy. To, co teraz widzi, jest białe, prawie błyszczące; gołe lampy i maszyna z cyferkami, zielonymi liniami i cienkimi kablami; dopiero po dłuższej chwili jej oczy zaczynają się przyzwyczajać.

Już tak nie boli. A może to ona jest wytrzymała? Jak podczas miesiączki. Właśnie tak. Tylko ten ból jest silniejszy, dłużej trwa i częściej powraca.

Dwie kobiety w pokoju mają na sobie zielone fartuchy. Pozostała szóstka — trzy kobiety i trzech mężczyźni — jest ubrana w białe fartuchy, spod których wystają czarne spodnie i czarne buty.

Kobiety w zielonych fartuchach stoją blisko, reszta dalej, prawie pod ścianą.

Nikogo z nich nie zna, chyba nie... chociaż chwilę, poznaje tamtą kobietę, która tu pracuje. Poznała też tamtego faceta, który wyważył drzwi w jej mieszkaniu, krzyczał na nią, powalił na podłogę, przycisnął i skuł kajdankami.

...

Teraz już łatwiej patrzeć. Odwraca się w stronę okna. Na dworze jest ciemno i zimno, wszędzie leży głęboki śnieg. Kilka dni temu robiła tam orła: położyła się na ziemi, rozkładała nogi i ramiona, aż musieli ją przywołać do porządku; podeszli, złapali ją za ręce i wnieśli do środka. Teraz w tamtym miejscu, na samym środku dziedzińca, stoi karetka pogotowia. Dziewczyna próbuje wstać i podejść do okna, żeby pomachać strażnikowi stojącemu przy przednich drzwiach samochodu. Kiedy mężczyzna oddycha, z jego ust wydobywają się kłęby gęstej pary.

— Nie wstawaj.

Kobieta w zielonym fartuchu patrzy na nią i wzdycha. Chude ciało dziewczyny na łóżku wydaje się takie drobne, jakby nie pasowało do tego miejsca.

— Połóż się.

Ale nie tutaj.

Pokój, korytarz, metalowe drzwi, kraty.

— Słyszysz? Połóż się.

...

Ramiona w zielonym fartuchu dotykają jej rąk, piersi, nóg, ciągną za twarde brązowy pas na plecach, kierują elektroniczne ramię dokładnie w ten punkt na brzuchu, gdzie serce bije najmocniej, sto siedemdziesiąt cztery uderzenia na minutę. Coraz mocniej i mocniej.

Ma już duże rozwarcie, prawie dziewięć centymetrów, do końca zostało naprawdę niewiele.

...

Przypomina jej to fale ognia.

Jakby ją coś uderzało, popychało, naciskało. Wszystko to dzieje się wewnątrz jej ciała, ale nie ona o tym decyduje.

...

Znowu patrzy w stronę zakratowanego okna. Okrągłe czarne pręty są tuż przy szklanej szybie. Na zewnątrz — przed ogrodzeniem i drutem kolczastym — leży biały śnieg, na który pada światło reflektorów. Jest zupełnie inne, jeśli porównać je ze światłem ulicznych latarni. Karetka nadal stoi przy śnieżnej zaspie, strażnik macha rękoma, żeby się rozgrzać. Wystarczy lekko unieść głowę i się przesunąć na łóżku, by zobaczyć też inny samochód. Niewielki, szary, ciemny.

— Wody?

— Odeszły.

— Główna?

— Przy kręgosłupie.

Obie kobiety w zielonych fartuchach wciąż jej dotykają, rozmawiają z nią. Reszta stoi w milczeniu pod ścianą.

Leży tu ze względów bezpieczeństwa.

Tak jej powiedzieli.

Istnieje ryzyko porwania.

...

Fala. Ogień. Ucisk. Uderzenie. Wysięk.

Głośno krzyczy.

Pierś, którą uciska kanał rodny, woda wyciśnięta z płuc i powietrze, które je napełnia — pierwszy oddech.

To nie ona. Teraz już wie. To nie ona krzyczy.

...

Przez krótką chwilę czuje na brzuchu coś mokrego i ciepłego. To dziecko. Jej dziecko. Patrzy na nie, kiedy dwie, a potem cztery ręce podnoszą je, niosą przez pokój, przez drzwi i dalej korytarzem, aż dziecko znika.

...

Kobieta i mężczyzna — to oni trzymali jej dziecko, to oni z nim wyszli i wrócili bez niego. Teraz zdejmują białe fartuchy, pod spodem widać dżinsy i marynarki. Kobieta sięga po teczkę, wypełnia dokument, potem następny i kolejny. W drugim końcu pokoju stoją pozostałe osoby, które prawie zablokowały wyjście. Do tej pory w ogóle się nie odzywały. Dwie spośród nich, kobiety, mają pod białymi fartuchami niebieskie mundury strażników więziennych i plastikowe identyfikatory na lewej piersi. Obok nich stoją mężczyźni. Są ubrani w zwykłe garnitury zamiast mundurów, ale ona i tak wie, że to policjanci. Jeden z nich jest dobrze zbudowany, po czterdziestce. To inspektor policji kryminalnej. Drugi to aspirant, starszy od niej tylko o kilka lat.

Nie zna ich, a jednak oni widzieli ją nagą, patrzyli, jak się wypróżnia.

...

Dziecko leżało na jej brzuchu, czuła jego oddech, miało lekko wilgotne usta.

Powinni okryć kocem to różowe ciało, miękkie i gładkie, którego nikt jeszcze nie brał na ręce.

...

Znowu spogląda przez zakratowane okno. Położna i salowa otwierają drzwi białej karetki pogotowia, w rękach trzymają przenośny inkubator,

niczym torbę. Tuż za karetką stoi szary samochód osobowy; para w dżinsach i marynarkach otwiera przednie drzwi i wsiada do środka. Samochody jadą asfaltową alejką biegnącą wzdłuż wysokiego ogrodzenia i drutu kolczastego. Brama powoli się otwiera i samochody rozjeżdżają się w dwóch kierunkach. Jeden rusza w stronę szpitala w Örebro, drugi kieruje się do Botkyrki, jej rodzinnego miasta.

Zastanawia się, czy jezdnia jest śliska, czy ciężko prowadzić samochód nocą, gdy droga taka długa.

...

Od dawna nie wypowiedziała ani jednego słowa.

Nie protestowała, gdy zabierali dziecko leżące na jej brzuchu; nie odezwała się, gdy oba samochody opuszczały teren więzienia dla kobiet o zastrzonym rygorze.

Teraz wokół niej panuje całkowita cisza. Chyba tego nie wytrzyma.

Odwraca się w stronę jedyne go człowieka, który pozostał z nią w pokoju. To policjant, ten po czterdziestce, który powalił ją na ziemię i zabrał z domu.

— Widział pan?

Policjant drgnął, zamyślony. A może po prostu zapomniał, jak brzmi jej głos?

— Co?

Pokazuje na swój brzuch, który nadal lepi się od wilgoci. Chyba powinna go wytrzeć, tę przezroczystą wilgoć i tę zabarwioną od krwi.

— To był chłopiec czy dziewczynka?

Teraz
Część pierwsza
(dwadzieścia osiem dni)

Na dworze było już jasno.

Czerwono-żółty koc z drobnym białym obramowaniem nie zasłaniał całego brudnego okna.

Teraz to dostrzegł.

Prowadzili zazwyczaj nocny tryb życia; spali za dnia i budzili się, gdy zapadał wieczór, który później zamieniał się w noc; jednak w sierpniu, między innymi z powodu tego pieprzonego koca, który był mniejszy, niż powinien, dzień zaczynał się dla nich mniej więcej o tej porze. Im bardziej zaciskał powieki, tym większa robiła się przezroczyta plama przed oczami; rosła i powoli wdzierała się w jego mózg i pierś.

Uderzył pięścią w ścianę i usiadł. Materac, na którym spał, znajdował się do niedawna w pewnej willi w Hägersten. Kosztował dziesięć tysięcy koron. Był gruby, czworokątny, z błyszczącym spodem.

Obok spała Wanda, całkiem naga.

Miała taką miękką skórę. Leżała cicho odwrócona do niego plecami. Przesunął delikatnie dłonią po jej biodrach, pośladkach, udach. Poruszyła się niespokojnie, przewróciła na bok. Chyba coś jej się śniło, tak się wydawało: miała napiętą twarz i pocierała jedną stopą o drugą. Często tak robiła.

On też był nagi. Czasem zapominał, jakie to dziwne. Że ktoś z nim jest, ktoś, kto widzi jego nagie ciało i się nie śmieje. Czasem się zastanawiał, czy tylko sobie to wyobraża. Kiedyś był przekonany, że widzi to w oczach innych. Teraz już nie jest taki pewien. Zaczęło się od Leona. Mieli wtedy po jedenaście lat i któregoś dnia znaleźli się razem w pokoju, a gdy się rozbierali, w oczach Leona nie dostrzegł ani wstrętu, ani szyderstwa, ani nawet zdziwienia. Do tej pory tylko Leon tak na niego patrzył, nikt inny. On sam nie oglądał się nawet w lustrze. Te, które wisiały w domu matki, stłukł. U babci w przedpokoju wisiało inne lustro: długie, szerokie. Za każdym razem, gdy koło niego przechodził, odwracał wzrok. Dokładnie wiedział, kiedy lustro na niego patrzy i kiedy powinien odwrócić wzrok.

Przyglądał się Wandzie.

Przed nią nie miał kobiety. Ona nic nie mówiła, nie bała się, nie unikała go ani nie wypytywała.

Położył dłoń na jej biodrze. Obudziła się i spojrzała na niego spod przymkniętych powiek. Popatrzyła na szczelinę między kocem a framugą

okna, która wpuszczała smugę światła. Dotykała czubkami palców jego pleców, grubej skóry o nierównych brzegach, jakby ktoś położył elementy układanki jeden na drugim zamiast obok siebie. Po wszystkim długo na niej leżał i odpoczywał. Wcześniej miała okres, oboje intensywnie pachnieli.

Nie był zmęczony, chociaż powinien. Był wczesny ranek, a oni budzili się zazwyczaj późnym popołudniem. Przespali zaledwie trzy godziny. Czasem tak bywało.

Wytarł się do sucha w prześcieradło i sięgnął po maść w białej tubie, która zawsze leżała koło łóżka. Natarł nią stopy, nogi, tułów, plecy, brzuch, szyję. Wszystko z wyjątkiem twarzy. Tej nie naciera nigdy.

— Gabriel, podaj mi ją.

Spojrzał na nią.

— Co?

— Podaj mi tubkę. Nasmaruję cię. Sam nie zrobisz tego jak należy. Nie dosięgniesz do ramion i pleców.

Wyciągnęła rękę po śliską, zatłuszczoną tubkę, ale on uderzył ją mocno otwartą dłonią w palce. Na dwóch pojawił się czerwony ślad. Spojrzał na nią, a ona spuściła wzrok. Odwrócił się i zaczął sobie smarować pierś i uda.

Przeszli z sypialni do dużego pokoju. Na narożniku, w fotelu i trochę dalej na podłodze spali w ubraniach pozostali: Jon, Duży Ali, Javad, Bruno. Śmierdziało od nich alkoholem.

Gabriel zaczął ich trącać, potrząsać nimi.

— Co jest, kurwa...

Uderzył Javada w twarz.

Nie powinna była sięgać po tubę z maścią.

— Obudź się, bracie.

— Dlaczego?

Gabriel podszedł bliżej.

Nie powinna była mu proponować, że nasmaruje mu plecy.

— Bo ja już wstałem.

Niedopałki papierosów, puszki, strzykawki, butelki leżały na szklanym blacie stołu zaplamionym żółtawym sosem, wśród wyplutych łupinek orzechów i resztek pizzy. Obudzili się, ale nie wstawali, zmęczeni po zaledwie dwóch godzinach snu. Gabriel pochylił się nad ekranem nowego telewizora. Z czterech głośników przez całą noc dobiegał monotony dźwięk odbijający się od ścian pokoju. Kiedy wyłączył telewizor, wszyscy drgnęli, a stos filmów na środku pokoju nagle się zachwiał i przewrócił.

W przedpokoju zawsze było pusto.

Żadnych mebli, dywanów, lamp.

Był tam tylko jeden jedyny mebel. Stał oparty o ścianę i lśnił dwoma rzędami białych pereł, którymi wysadzane były jego krawędzie. To narożnik na obuwie. Bardzo mu się podobał i dlatego często poprawiał jego ustawienie. Ważne, żeby on i jego dziewczyna widzieli go za każdym razem, gdy wchodzi do mieszkania albo z niego wychodzą. Narożnik był częścią łupu z włamu do willi w Södertälje. Wszystko z wyjątkiem narożnika sprzedali paserowi w Nacka.

A ona ciągle była naga.

Pocałował ją w piersi, podał jej dzinsy i krótką koszulkę z błyszczącym nadrukiem. Jego własne ubranie nadal leżało na balkonie: czarne spodnie z białą lamówką, szara bluza z kapturem i czerwona bejsbolówka.

Poczuł głód. Rzadko mu się to zdarzało o tej porze dnia.

Zajrzał na najwyższą półkę w lodówce i znalazł tam resztkę coca-coli.

Z półki w spiżarni wziął torebkę żelków. Oddzielił czerwone od zielonych.

Na dworze wiało, lżej będzie się oddychać.

Kiedy szli obok siebie, po raz kolejny stwierdził, że jest ładna. A on? Sam wiedział najlepiej, że nie był przystojny. Kiedy minęli pierwszy parking, skierowała się w stronę srebrnego bmw wartego przynajmniej osiemset pięćdziesiąt tysięcy w gotówce. Chwycił ją za rękę. Nie ten i nie dzisiaj. Wrócił pamięcią do swojej przeszłości i porównał ją z teraźniejszością i tym, co będzie kiedyś. Znał tu każdy betonowy dom, każdą asfaltową alejkę, słyszał to, czego nikt inny nie potrafił usłyszeć, rozróżniał wszystkie zapachy, na przykład zapach spalonej sortowni śmieci i zapach pustego kiosku, w którym jako chłopak kupował słodycze, gazetki pornograficzne, haszysz. Rozpoznawał nawet słodki zapach, którego od dawna już nie ma. Zapach kramu z owocami na rynku. Te gnojki powinny zapłacić mu więcej.

Całe Råby było puste.

Na asfaltowych podwórkach panowała cisza, nawet koce w oknach wisiały nieruchomo. Odwrócił się do Wandy, popatrzył na jej twarz, zajrzał jej w oczy i zaczął się zastanawiać, co ona tu widzi. Wanda pochodziła z innego świata, oddalonego stąd o wiele kilometrów. Widziała Råby takie, jakie jest teraz, i nic poza tym. Nie znała go takim, jakie było kiedyś, gdy działało się tu więcej.

Metro. Jest jak żywa niebieska żyła biegnąca przez coś, czego już nie ma.

Ten obraz i ten zapach lubił chyba najbardziej.

Zeszli po schodach, mijając drobnego, niskiego chłopaka. Wyglądał na dziesięć lat, ale był o dwa lata starszy. Na szyi miał gruby złoty łańcuch, włosy zaczesane do tyłu.

— Gabriel.

Chociaż chłopak zwrócił się do niego po imieniu, Gabriel nawet nie spojrział w jego stronę.

— Gabriel!

Gabriel zatrzymał się, odwrócił i wbiegł schodami na górę.

Chłopak uśmiechnął się z dumą i wyciągnął do niego rękę.

— Siema, bracie.

Drugą dłonią przesunął po zaczesanych włosach, bardziej się wyprostował.

Mocne uderzenie.

Policzek.

Od razu pojawił się na nim odcisk po jednym z pierścieni.

— Chyba wiesz...

Gabriel spojrział na niego, ale chłopak nie tracił fasonu. Stał przed nim dumnie wyprężony. Głos miał natarczywy, nawet wtedy, gdy ponownie wyciągnął w stronę Gabriela chudą rękę. Nie chciał ustąpić.

— ...że jestem Eddie? Miłość, bracie.

Tym razem Gabriel już go nie uderzył.

Zbiegł po schodach i przeszedł obok kasjerki, która nie odezwała się ani słowem, nawet wtedy, gdy odwrócił się do Wandy i dał jej znać, żeby poszła za nim. Za bilet nie zapłaciła i nikt nie kazał jej płacić.

Oparli się o okno, szyba chłodziła im czoła. Mijali stacje, które niczym się od siebie nie różniły.

Takie same bloki, tacy sami ludzie w drodze do domu albo do pracy.

Hallunda, Alby, Fittja, Masmö, Vårby, Vårberg, Skärholmen. Dwanaście i pół minuty.

Wysiedli z metra i przeszli przez dom towarowy, który po każdym remoncie coraz bardziej przypominał galerię handlową i coraz mniej było w nim życia. Za szklanymi ścianami przy ruchomych schodach rozciągał się parking, który mógł pomieścić do trzech tysięcy samochodów. Skierowali się na sam koniec, gdzie były nowe szyldy i nowe kolory. Jednak zapach pozostał ten sam — pachniało wilgocią i spalinami.

Gabriel sięgnął po torbę z nadrukiem „Adidas” i wybrał samochód, starszy model Mercedesa. Najłatwiejszy cel.

Włączył stoper w zegarku i ustawił go na 00:00, a następnie położył się plecami na asfalcie. Zgiął nogi i wsunął tułów pod samochód, trzymając obie ręce wysoko nad twarzą. 00:05. Wcisnął się w ciasną przestrzeń pod podwoziem i odszukał czerwony cienki kabel połączony z klaksonem. Do przecinania czerwonego plastiku zawsze używał wąskich nożyczek, takich, jakimi posługują się fryzjerzy. Wysunął się spod wozu i wyprostował. Wyjął świeżo naostrzony śrubokręt i włożył go do zamka w baku paliwowym. 00:11. Potem objął kluczem francuskim uchwyt śrubokrętu, przekręcił go i niemal słyszał, jak spada ciśnienie powietrza i wszystkie drzwi w samochodzie otwierają się jednocześnie.

Spojrzał w stronę wyjścia, uniósł rękę i szybko ją opuścił. Wanda zauważyła jego ruch. Można było jej ufać.

Nadal byli tu sami.

Usiadł w skórzanym fotelu za kierownicą i wyjął z torby szczelinomierz. 00:15. Potrzymał go w żarze zapalniczki, wsunął w stacyjkę i przekręcił. Znowu go podgrzał i znowu przekręcił. Zrobił tak kilka razy. 00:24. Stopił ostre plastikowe końcówki, które mogłyby zaczipować otwór stacyjki.

Wanda uniosła rękę.

Jakieś głosy.

Kroki. 00:28.

Wsunął do stacyjki czubek długopisu i zaczął nim poruszać, żeby sprawdzić, czy nic go już nie blokuje. Wyjął jeden z wielu kluczyków samochodowych leżących na dnie torby — nie miało znaczenia który, bo każdym z nich i tak potrafił od razu uruchomić każdy starszy model Mercedesa — i spojrzał na stoper. 00:32.

W czasie roboty niewiele rozmawiał z Wandą. Nigdy tego nie robił.

Przecież nie miał jej nic do powiedzenia.

Wyjechał z dużego podziemnego parkingu dla klientów centrum handlowego i jadąc powoli środkowym pasem, minął południowe przedmieścia Sztokholmu. W oddali pojawił się zarys centrum miasta. Przyspieszył i zjechał na lewy pas. Zmierzali na północ, mieli do pokonania ponad czterdzieści kilometrów. Zazwyczaj zatrzymywali się przed czworokątną witryną na stacji benzynowej Shella przy zjeździe na Täby. Wanda chodziła tam do brudnej toalety na zapleczu i przygotowywała się do wizyty, podczas gdy on odwiedzał sklep, brał z regału dwie cole i patrzył na kasjerkę. Gdy wychodził ze sklepu, kasjerka odwracała wzrok. Nigdy się nie odzywała, pewnie często

widywała takich jak on facetów o aroganckim spojrzeniu. Nie opłacało się ryzykować z powodu puszki wartej osiemnaście koron.

Usiadł za kierownicą, włączył muzykę na pełny regulator i postawił colę na desce rozdzielczej. Dwadzieścia minut później z toalety wróciła Wanda. W takich sytuacjach zawsze obserwował, czy porusza się normalnie, czy ma brudne ubranie na plecach od leżenia na twardej podłodze i czy z zewnątrz coś widać.

Zjechali z głównej drogi przy zjeździe na Aspsås. W oddali ujrzeli wieżę kościelną, miasteczko i więzienie. Parking przy zakładzie karnym był prawie pusty. Zawsze parkował jak najdalej od głównego wejścia, w pobliżu wysokiego muru.

Miał osiemnaście lat. Wanda siedemnaście.

Nie odwiedzali zbyt wielu miejsc, rzadko jeździli gdzieś dalej, ale wizyta w tym miejscu była dla nich czymś oczywistym.

Wanda poprawiła dzinsy i sweter i za osłoną chroniącą przed słońcem zaczęła szukać lusterka. Niestety, nie znalazła go tam. Przekręciła więc boczne lusterko samochodu i uśmiechnęła się. Po chwili wysiadła z wozu i ruszyła przed siebie, a Gabriel pojechał w stronę kościoła stojącego dwa kilometry dalej. Poczeka na nią przy ścieżce biegnącej wzdłuż kilku rzędów nagrobków na przykościelnym cmentarzu.

Kiedy Wanda doszła do bramy, odwróciła się w stronę kamery i mikrofonu.

— *Słucham?*

W głośniku rozległy się trzaski typowe dla wszystkich głośników przy więziennych bramach.

— Ja z wizytą.

— *Do kogo?*

— Do Leona Jensena.

Strażnik w niebieskim mundurze zaczął przeglądać listę gości, które zgłosiły odwiedziny.

— *Jak się pani nazywa?*

— Wanda.

— *Jak?*

— Wanda Svensson.

Zrobiło jej się zimno. Wiatr ustał, słońce oświetlało betonowe ściany. Marzła i pociła się zarazem.

Po chwili rozległo się kliknięcie i drzwi się otwały.

Wolnym krokiem podeszła do okienka w dyżurce. Strażnik popatrzył na nią.

— Dowód poproszę.

Chyba robiło się chłodniej. Wanda coraz bardziej marzła, drżała na całym ciele.

— Pani już tu wcześniej była?

— Tak.

— No to wie pani, dokąd iść. Proszę się tam rozebrać.

Duszny pokój z jednym zakratowanym oknem. Widać przez nie mur.

Do jednej z wielu skrytek włożyła pęk kluczy, cztery monety dziesięciokoronowe i oba telefony komórkowe. Zamknęła ją na klucz i ruszyła wolnym krokiem w stronę bramki kontrolnej. Kluczyk od skrytki trzymała w ręce.

Zewsząd dobiegał monotony dźwięk, który pochłaniał całą jej uwagę.

Muszą cię sprawdzić.

Podeszło do niej dwóch umundurowanych strażników, żeby sprawdzić, dlaczego na bramce, na wysokości jej talii, pali się czerwona lampka.

— Kieszenie.

Zrobiło jej się zimno, gorąco i znowu zimno.

Udała, że przeszukuje kieszenie, ale kluczyk od skrytki nadal trzymała w ręce. Po raz drugi przeszła przez bramkę i znowu rozległ się przesywający dźwięk.

Leon wydał polecenie.

Muszą cię przeszukać.

— Znowu na wysokości talii.

Jeden ze strażników ustawił dwa stołki w odległości pół metra od siebie, drugi przyniósł wydłużony plastikowy czujnik. Kazali jej wejść na oba stołki i stać nieruchomo z rozstawionymi nogami. Strażnik przystawił jej czujnik do ciała i przesunął nim wzdłuż bioder, po wewnętrznej i zewnętrznej stronie ud.

— Pasek.

Wanda zdjęła pasek i włożyła go do plastikowej skrzynki.

— Och, przepraszam.

Uniosła rękę i pokazała im kluczyk, tak jakby o nim zapomniała. Spojrzała na obu strażników i uśmiechnęła się do nich. Obaj patrzyli na nią, czekając, aż włoży kluczyk do skrzynki.

— Proszę jeszcze raz przejść przez bramkę.

Mocno zakłuło ją w sercu.

Była pewna, że obaj strażnicy widzą, jak drży.

Przeszła przez bramkę.

Nic. Cisza.

Tym razem, ale tylko dzisiaj, muszą cię skontrolować. Nic więcej.

Stała spokojnie, a jeden ze strażników dał psu jej pasek do powąchania. Potem odebrała go i wsunęła w szlufki spodni. Odważnie wytrzymała ich wzrok i ruszyła w stronę pokoju spotkań. Pomieszczenie znajdowało się w samym środku zakładu karnego i było trochę jaśniejsze od innych.

Strażnicy zamknęli za nią drzwi od zewnątrz.

Już kiedyś siedziała na tym krześle. Rozejrzała się po pokoju.

Był niezbyt przyjemny.

Tak właśnie dzieliła wszystkie mieszkania i domy: na przyjemne i nieprzyjemne. Ten pokój był nieprzyjemny. Łóżko, w którym nikt nigdy nie spał, z plastikową ceratą wsuniętą pod prześcieradło; umywalka z poźółkłej porcelany i kran, z którego leciała tylko zimna woda. Zakratowane okno z widokiem na trawnik, który łączył siedmiometrowy mur więzienny z niemalowanymi zabudowaniami administracji.

Już nie jest jej zimno jak przed chwilą. I prawie wcale się nie poci.

Umyła ręce i wytarła je w papier z rolki przy łóżku. Spojrzała w lustro i jak zwykle uśmiechnęła się do siebie. Jej młodszy brat nazywał to „robieniem min do lustra”. Poruszyła ustami, brwiami, poprawiła włosy.

Metalowe drzwi w więzieniu mają potężne zamki, które wydają szczególny dźwięk. Po chwili ktoś zaczął je otwierać. Najpierw rozległ się cichy trzask, potem głośny.

— Macie godzinę.

Leon wszedł do pokoju.

— Najpierw przyjdziemy po ciebie, potem po nią. Okay?

Strażnicy, którzy przyprowadzili Leona, skinęli jej głową i czekali, aż odpowie im w taki sam sposób. Potem będą mogli wyjść i zamknąć ich na klucz.

Leon wskazał na łóżko. Usiadła na nim, a gdy znowu skinął jej głową, położyła się. Poduszka była twarda, przy każdym poruszeniu prześcieradła słychać było szelest ceraty.

Leon spojrzał na Wandę.

Wiedziała, jak powinna leżeć, gdy będzie rozpinał pasek i zamek błyskawiczny jej spodni i gdy potem zacznie je z niej ściągać.

Leon dotknął jej skóry, przesunął dłoń po kolanach i udach. Zdjął jej majtki, a gdy rozłożyła uda, przyłożył palec wskazujący i kciuk do jej warg sromowych.

...

— Rozluźnij się.

...

W końcu udało mu się dosięgnąć tego, czego szukał.
Plastikowa torebka.
Chwycił ją i wyciągnął.
Zważył w dłoni.
Dwieście gramów.

Leon, z plastikową torebką w ręce, uśmiechnął się do Wandy. Uśmiech był słaby, ale być może wystarczył, żeby i ona odważyła się do niego uśmiechnąć.

— Wrócisz tutaj dokładnie za czternaście dni.

Ciekawe, czy jest zadowolony, czy dobrze się sprawiła. Nie była wcale taka pewna. W końcu się uśmiechnęła.

— Jak będziesz tu jechać, włożysz sobie torebkę. Ale zanim wejdiesz, masz ją wyrzucić. Masz tylko pachnieć i nic przy sobie nie mieć.

Stali blisko siebie. Leon nie był od niej dużo wyższy.

Nie powinna była się do niego uśmiechać. Znowu odezwał się podniesionym głosem.

— Kapujesz, suko?

Jego ruchy były gorączkowe.

— Masz brzydki uśmiech, suko. Pamiętaj, masz pachnieć, ale masz być czysta. Kapujesz?

Poczuła jego oddech. Skinęła głową.

— Kapuję.

Leon spojrzał na nią, jakby chciał powiedzieć: Kapujesz? Gównie kapujesz.

Przez cały tydzień rozpowiadał wszystkim, że spodziewa się wizyty. Chwalił się, kto go odwiedzi i kiedy znowu przyjdzie.

Dwieście gramów.

Każdy klawisz na oddziale w bloku D1 za dwa dni będzie wiedział, że trafił tam nowy towar. Wszyscy się domyślą, że stało się to właśnie w ten sposób.

Patrzył na nią tak długo, aż odwróciła wzrok. Położył dłoń na brzuchu. Poczul ucisk, zwłaszcza po bokach.

Z paczki, która zawsze leżała obok rolek papieru toaletowego przy łóżku, wyjął osiem prezerwatyw i każdą z nich napełnił porcją narkotyku o wadze dwudziestu pięciu gramów. Potem wszystkie połknął i popił wodą z kranu. Niedługo je zwymiotuje — tyle że do innej umywalki, w innym pomieszczeniu.

— Reza.

Österåker, sto gramów.

— Uros.

Zakład karny w Storbodzie. Sto gramów.

— Pojedziesz tam teraz.

Aspsås, Österåker, Storboda.

Po jednej wizycie w trzech zakładach karnych co drugi tydzień.

— Tak, pojedę.

— Obaj dostali grzywnę, każdy po pięć tysięcy.

— Pięć tysięcy?

— Tak. Najpierw im dasz to, co mają dostać. A potem im powiesz, że mają grzywnę. Kapujesz, suko?

— Kapuję.

Leon podszedł do metalowej płyty na ścianie między framugą drzwi a lusterkiem. Przesunął palcem po czerwonym guziku, ale go nie nacisnął.

— A Gabriel?

— Co?

— Jego raport.

Leon nadal stał blisko, czuła jego ciepły oddech.

— Dzieciak wszystko sprzedał. Dziewięćdziesiąt tysięcy. Więcej będzie z Södertälje, a może i z Märsty.

Wanda mówiła cichym głosem, jakby nauczyła się słów na pamięć. Najważniejsze, żeby zapamiętała wszystko jak należy.

— Dwanaście domków jednorodzinnych w Salem i Tullinge. Sto czterdzieści tysięcy. Dwa haracze w Vasastan. Pięćdziesiąt tysięcy. Dwie duże beczki benzyny na stacji Shella w Alby. Dziewięć tysięcy. Jutro chyba sklep z komputerami.

Leon skinął głową. Wanda nie potrafiła ocenić, czy jest z niej zadowolony. Miała nadzieję, że tak.

— Jeszcze jedna sprawa. To ważne.

— Co?

— Gabriel kazał przekazać, że jeden z waszych telefonów jest na podsłuchu.

Leon nadal trzymał dłoń blisko czerwonego przycisku. Po jej słowach opuścił rękę.

— Który telefon?

— Mówił, że... Gabriel mówił, że...

— Pytam: który telefon, suko?

— Powiedział, że... ten, którego używasz wspólnie z Mihajlovicem.

Przypomniała sobie. Przymknęła powieki. Te jego oczy. Nie podobają jej się.

— Jesteś pewna, suko, że Gabriel tak powiedział?

— Tak.

Nie chciała stać tak blisko niego. Jego twarz była napięta. Zamiast ją uderzyć, znowu odwrócił się w stronę metalowej płyty na ścianie. Pochylił się nad mikrofonem i przycisnął czerwony guzik.

— Skończyliśmy.

W głośniku rozległy się trzaski.

— *Główna dyżurka.*

— Tu Jensen. Skończyliśmy.

— *Za pięć minut.*

Z trudem nad sobą panował. Coraz gwałtowniej oddychał, mówił coraz głośniej.

— Mieszkasz tam?

— Gdzie?

— Tam.

Za każdym razem, gdy jest już po wszystkim, kiedy tak stoją i czekają, pojawiają się te same pytania.

— Tak.

— W jego pokoju?

— Tak.

— Przez cały czas?

— Tak.

Znowu stał blisko niej. Zaczęła się bać.

— Ja wprowadziłem się tutaj, ty przeprowadziłaś się tam.

Kiedy Leon wyszedł, została jeszcze chwilę w pokoju. Towarzyszyło mu dwóch strażników, jeden szedł za nim, drugi przed nim. Prowadzili go w stronę podziemnego korytarza. Zatrzymali się przy pierwszym pokoju po prawej stronie, gdzie Leon musiał rozebrać się do naga. Jeden strażnik przesunął mu dłoń w gumowej rękawiczce pod pachami i przecesał włosy, a potem, kiedy Leon się pochylił, zbadał jego odbył. Zabiję was wszystkich, myślał Leon. Na końcu dostał nowy komplet ubrań i ruszyli dalej prostym, szerokim korytarzem biegnącym kilka metrów pod więziennym spacerniakiem. Mijali zamykane na klucz bramy z kamerami u góry. Kiedy się do nich zbliżali, kamery zaczynały ich obserwować. Korytarzem doszli do bloku D i weszli schodami na piętro, na oddział w lewej części budynku.

...

Przez cały dzień nic nie jadł. Kiedy wieczorem klawisze szykowali się do zamknięcia cel, zwymiotował do umywalki w łaźni z prysznicami. Rozdysponował pierwsze działki, a potem, już w swojej celi, złamał dwie kapsułki nad kubkiem z kawą, wymieszał mętny płyn małym palcem i wypił, zanim proszek całkiem się rozpuścił. Dolał więcej wody, żeby proszek nie zetknął się z językiem, i znów wypił. Resztę rozdzieli jutro rano, tym razem za darmo. Przez kilka kolejnych dób każdy więzień na oddziale będzie przyjmował zbyt dużą dawkę, i zbyt długo.

Tym razem będą cię tylko wypytywać i sprawdzać. Nic więcej.

Wyjrzał przez okno.

Masz tu wrócić. Dokładnie za czternaście dni.

Na dworze zaczęło się już rozwidniać.

Jak będziesz tu jechać, włożysz sobie torebkę. Ale zanim wejdiesz, masz ją wyrzucić. Chodzi o to, żebyś pachniała prochami. Niech sobie stoją ze swoimi psami, lekarzami i nakazem od prokuratora. Będą cię sprawdzać i przeszukiwać. Ale ty masz być czysta.

Za oknem wstawał świt. Zaczynał się nowy dzień.

Kiedy strażnicy pozamykali drzwi w celach, włączył lampę. Nie miała abażuru, więc świeciła mocnym, jasnym blaskiem. Usiadł przy zwykłym drewnianym stole, który w każdej celi stał przy ścianie pod oknem. Rozłożył na nim cienkie flamastry i kartkę A4 — z prawdziwej papeterii, którą więźniowie mogli kupować w więziennym kiosku. Kartki miały niebieskie linie. Po chwili namysłu zaczął pisać:

Miłość, drogi bracie!

Po napisaniu tych trzech słów rzucił flamastrami o ścianę, wstał z krzesła i krzyknął w stronę zakratowanego okna i metalowych drzwi: „Wszystkich was pozabijam!”.

Bardzo za tobą, kurwa, tęsknię.

Znowu krzyknął: „Wszystkich was pozabijam!”, ale tym razem skierował te słowa do ścian, podłogi i sufitu, łóżka i szafy, stołu i krzesła.

Ale mam nadzieje, bracie, że u ciebie wszystko w poźondku. Aspsås jest luz. Braciszek Alex pozdrawia, przesyła ci miłość

i szacun.

Po północy połąkł kolejne cztery gramy. Potem trudno mu już było pisać, bo czuł się tak, jakby jego głowa nie mogła kontrolować myśli. Krążyły bardzo szybko, a kiedy na chwilę się zatrzymywały, nie umiał ich uchwycić. Przeczytał jedenaście zapisanych stron.

jest już noc, lato i licze do 4 w myślach i na głos. Nie możemy, bracie, poszaleć razem, ale już niedługo...

Doszedł do wniosku, że to, co wydawało mu się tak mądre, gdy pisał o ciemnościach i świetle, i o różnicy między murem siedmiometrowym a murem przezroczystym, to właściwie kupa bzdur, więc...

Wiesz, bracie, że w sprawie rodziny podejmuję słuszne decyzje. RW to już przeszłość, GS są uzbrojeni po zęby, to już oddział.

...gdy pierwsze oszołomienie po działce minęło, napisał nowy list. Policzył na palcach — dwadzieścia siedem dni; tak ma się to dalej toczyć, niech kontynuują.

Jedenaście stron.

Odłożył flamaster i wstał od stołu. Spojrzał na lampkę nocną i zgasił ją. Nigdy tego nie robił, dopóki na dworze nie zrobiło się jasno.

Za kratami, w tamtym świetle, wstaje słońce. To będzie ładny dzień.

Pierwszy poziom w bloku D.

D1, lewe skrzydło.

Cela numer 2.

Widać stąd prawie cały więzienny dziedziniec — popękany asfalt i niewielkie czworokątne trawniki porośnięte brązową trawą, a trochę dalej, w odległości około sześćdziesięciu metrów, szary ciężki mur. Wiedział, że musi go nienawidzić, że to ważne. Jednak nigdy tego nie czuł. Ani przed laty, gdy mur bardziej przypominał płot; ani później, gdy na jego miejscu powstało prawdziwe ogrodzenie z drutu kolczastego; ani nawet wtedy, gdy pierwszy betonowy mur, jaki tu zbudowano — miał trzy metry wysokości — zastąpiono murem siedmiometrowym. Próbował go znienawidzić, pluł na niego, ale on nadal tu stał, chroniąc, strzegąc, otaczając ich z każdej strony.

Wszedł na chybotliwy stół i spojrzął ponad krawędź muru, gdzie słońce dotykało swą tarczą wieży kościelnej i drewnianych schodów. Przesuwało się powoli, jakby z wahaniem. Zauważył też na błękitnym niebie coś białego. Może chmury? Gabriel, *miłość, drogi bracie*, stał wczoraj po drugiej stronie muru, na wygrabionej piaszczystej ścieżce przed cmentarną bramą. Zawsze tam czekał, siedząc za kierownicą auta, kiedy ta suka, która próbowała coś przemycić, uśmiechała się do klawiszy. To jego pierwszy brat. Jedyny, któremu ufa. Jedyny, którego potrzebuje. Poznali się w trzeciej klasie. Tamtego dnia Gabriel siedział w którejś z przednich ławek. Na całym ciele miał pełno śladów po nakłuciach od igieł i wielkie dziury przy żyłach. Miał dziewięć lat i już był narkomanem. Poparzył się w jakimś domu, który całkowicie spłonął. Leon nigdy się nie dowiedział, jak do tego doszło. A może Gabriel po prostu nigdy mu o tym nie opowiadał? Lekarze zajmowali się jego skórą przez prawie osiem miesięcy, a on krzyczał z bólu. Kiedy wyszedł ze szpitala, nadal wypisywali mu recepty i robili zastrzyki z morfiny. A kiedy ból stał się trochę znośniejszy, obaj postanowili sprzedać część zapasów, których Gabriel już nie potrzebował. Jesienią, gdy zaczynali następną klasę, pokrywali już we dwóch jedną trzecią zapotrzebowania w całym Råby. Do morfiny dodali potem amfetaminę, bo na niej mogli więcej zarobić.

Leon odszedł od stołu i położył się na łóżku. Gapił się w żółty sufit, ale przy szafie zauważył biały kolor. Za to przy drzwiach i nad umywalką sufit był szary. Odchrząknął, zebrał ślinę na języku i powolnymi ruchami zaczął nawilżać miejsca, które go szczypały, duże bąble pokrywające język i te mniejsze, które porobiły mu się w głębi przełyku. Próbował wlać w siebie roztwór amfetaminy w taki sposób, żeby sobie jak najmniej zaszkodzić, ale niezbyt mu się to udało. Teraz czuł silne pieczenie w ustach. Będzie je czuł przez całą następną dobę, a może nawet dwie.

Szczęk klucza w zamku. Drzwi się otworzyły. To znak, że już siódma.

— Dzień dobry.

Strażniczka pochyliła się ku niemu, szukając jego wzroku.

Nie odpowiedział na jej powitanie.

— Dzień dobry.

Strażniczka nie odejdzie, dopóki jej nie odpowie, więc uniósł rękę i dał znak, że słyszał i że żyje, bo właśnie o to jej chodziło. Nie miał zamiaru zwracać jej głowy swoimi bąblami.

Wstał z łóżka, list nadal leżał na stole.

Bracie, UZBROJONY po zęby, ZAMKNIĘTY oddział!!
200% miłości, szacunku, dómy, braterstwa, obowiązku,
poczucia wspólnoty, honoru.

Przejrzał jedenaście stron listu, ze stosu ubrań pod stołem wziął czyste majtki, a z półki w niewielkiej szafie na ubrania ręcznik. Wyszedł ze swojej celi o powierzchni siedmiu metrów kwadratowych i ruszył naprzód korytarzem, w którym budziło się życie. Minął osiem cel po obu stronach, kącik telewizyjny, stół bilardowy, kuchnię i zatrzymał się tuż przed „akwariem”. Tak nazywali oszkloną dyżurkę, gdzie siedzieli kławisze. Spojrzał na sukę, która przed chwilą zaglądała do jego celi, żeby wymusić na nim poranne „dzień dobry”. Nie odwróciła wzroku. Zaczął na jej oczach wykonywać takie ruchy jak w czasie stosunku płciowego. Powinna odwrócić głowę albo spuścić wzrok, ale nie zrobiła tego, tylko nadal na niego patrzyła. Skręcił więc w stronę szarych drzwi z zamgloną szybą i wszedł do łaźni. Ze środkowego prysznicza płynęła gorąca woda. Kąpiel dobrze robi jego skórze. Woda parzyła go w szyję, ramiona, klatkę piersiową, czuł się coraz bardziej rześko. W pewnej chwili do środka wszedł Alex. Leon skinął mu głową. Alex był wysoki, miał bladą cerę, dziewiętnaście lat i cieszył się jego zaufaniem. Żaden z nich się nie odezwał, bo obaj mieli owrzodziałe języki i gardła. Leon spojrzał na jego członek — gdy Alex brał prochy, nie pisał listów, tylko się onanizował. Miał zaczerwienione z niewyspania oczy i poczerwieniały, smętnie zwiotczały napletek. Nadal obejmował członek drżącą dłonią i się zaspokajał. Po raz pierwszy starli się w internacie szkolnym w Örkelljunga. Zostały mu trzy ślady na prawej piersi od uderzenia ostrym kastetem. Nadal są widoczne. Ten skurwiel był zbyt natarczywy. Kilka lat później, gdy siedzieli w poprawczaku w Bärby, doszła kolejna blizna: ciągnęła się od lewego ramienia aż do biodra i miała jaśniejsze brzegi. Alex znowu spróbował, ale on złapał go za lewe ramię i przeciągnął go po ziemi przez cały dziedziniec.

Gorąca woda. Przymknął oczy.

Drzwi zaskrzypiały i wszedł jeden ze starszych więźniów. Na pewno miał ponad trzydzieści, może nawet czterdzieści lat. Niektórzy twierdzili, że przekroczył już pięćdziesiątkę. Kiedy chemia dodaje komuś lat, trudno określić wiek. Był strasznie chudy i kiedy szedł, chwiał się na nogach. Twarz miał ściągniętą, tak jakby oczy ciążyły, a brwi się wznosiły. Brakowało mu wielu zębów. Należał do tych więźniów, którzy za napad

z nożem, z odsłoniętą twarzą, dostają po dziesięć miesięcy. To tacy jak on napadają wypożyczalnie wideo albo sklepy 7-Eleven, bo akurat są po drodze. Włókł się w stronę prysznic na końcu łaźni. Na rękach miał głębokie blizny, takie same jak u Gabriela, tyle że on miał blizny także na szyi i na wierzchu dłoni. Łatwo było się domyślić, że żyły miał porwane od igieł, że niektóre miejsca już zwapniały i zamieniły się w chrząstki i za każdym razem, żeby się przebić, trzeba było naciskać coraz mocniej. Leon patrzył, jak więzień wlecze się resztką sił. Spody jego stóp na pewno nie wyglądają lepiej od rąk i dlatego idąc, opierał się tylko na ich przedniej części. Nic dziwnego, że był tak powolny.

Leon skinął głową Alexowi i obaj równocześnie wyszli spod pryszniców. Ten stary skurwiel właśnie się odwrócił, jego nagie ciało było prawie przezroczyste, wargi lekko rozchylone. Leon uderzył go mocno otwartą dłonią w policzek. Mężczyzna upadł i leżał nieruchomo na podłodze. Wargi jeszcze bardziej mu się rozchyliły.

— I czego się tak uśmiechasz, chuju?

— Nie... uśmiecham się.

— Właśnie że tak.

Kolejne uderzenie otwartą dłonią w policzek, równie mocne, jak poprzednie.

— Przestań się, kurwa, uśmiechać.

Takich jak on było pełno. Za każdym razem, gdy kończą wypowiadać zdanie, uśmiechają się z wysiłkiem, w wyuczony sposób. Może wynika to z niepewności, może ze strachu. Większość z nich sama tego nie wie. Stoją tylko i uśmiechają się, żeby nikogo nie obrazić.

Leon nienawidził takiego uśmiechu.

— Skończyłeś już?

Jeszcze szerszy uśmiech. Jego chore ciało poruszyło się niespokojnie, spływała po nim woda. Drgania na twarzy między okiem, policzkiem i czołem były coraz częstsze i coraz bardziej gwałtowne. Leon złapał za jego rzadkie włosy, bo jak ktoś chce chwycić mokrą ręką mokrego człowieka, to powinien go chwycić właśnie za włosy.

— Pytałem, Ćpunie, czy już skończyłeś?

Znowu uśmiech.

Drgania na policzku.

Ciało, które próbuje się gdzieś ukryć.

— Niedługo skończę. A moja działka?

Leon złapał go mocniej za włosy.

— Niedługo? Co to znaczy niedługo?

— Mam już wszystko, co trzeba, kurwa. Oprócz farby. Chcę moje dziesięć gramów.

Leon złapał go jedną ręką za wychudzone ramię, a kciuk i palec wskazujący zacisnął mu wokół obojczyka. Ćpun rozdarł się na całe gardło, jak wszystkie ćpuny w takiej sytuacji.

— Niedługo?

— Dzisiaj. No mówię, kurwa, że dzisiaj. Po lunchu. Jeden klawisz...

Leon jeszcze mocniej zacisnął palce na jego obojczyku.

— Gównu mnie obchodzi kto. Dla mnie sprawa jest jasna, kapujesz? Jak jutro do ciebie przyjdę, masz być gotowy.

Leon odsunął go od siebie z taką siłą, że Ćpun uderzył w ścianę wyłożoną kafelkami i zaczął krwawić. Dopiero wtedy ten pieprzony uśmiech znikł mu z twarzy.

**Zostało
dwadzieścia pięć dni**

Jest już po południu.

Na pewno.

Promienie słońca przestały już się przebijać przez szczelinę między kocem a futryną okna. Wyliczył, że może być wpół do trzeciej, trzecia, a nawet wpół do czwartej. Obudził się, kiedy pies zaczął go lizać swoim śmierdzącym językiem po szyi i policzku. Nie lubił go. Ten biało-czarny kundel był o wiele cięższy, niż się wydawało. Zdarzało się, że Gabriel próbował go podnieść z podłogi, i za każdym razem zbyt późno sobie przypominał, że półmetrowe zwierzę może ważyć tyle co kamień, którego nie można dźwignąć z ziemi.

Odepchnął go od siebie i poczuł ból w ramieniu. Rana zamieniła się nocą w szeroką spuchniętą krechę przecinającą jego starą bliznę — pamiątkę po stłuczonej szybie. Wybili ją dwoma kamieniami i poprawili żelaznym prętem, a jednak we framudze zostało trochę odłamków, których nie zauważył w słabym świetle. Kiedy wchodził do środka, skaleczył się o nie. Chciał się dostać do półek z towarem, ale utknął w oknie i dopiero za trzecim razem udało mu się przecisnąć. Kiedy wrócili do domu, poszli z Jonem do kuchni. Jon podgrzał zapalniczką krótką igłę, a gdy zaczęła się żarzyć, zamoczył ją w fińskiej wódce. Wódką polał też ranę na ramieniu. Potem nawinął na igłę cienką nylonową nić i jedenaście razy przeciągnął ją przez skórę, która i tak była już prawie martwa. Dotknął ostrożnie rany, która na szczęście przestała krwawić, i poruszył ramieniem. Po kilku wolnych ruchach ostry ból trochę ustąpił. Wprawdzie rana nadal go bolała, ale ból był tępy, przytłumiony.

Wanda ciągle spała.

Ziewnął, usiadł na brzegu łóżka, spojrzął na jej nagie plecy, pośladki i mu stanął.

A pro po, bracie, co się tyczy Twojej suki: wygląda na to, że ma w sobie mnóstwo miejsca, jakkolwiek to rozumieć, hahaha.

Przymknął oczy i poczekał, aż członek mu zwiotczeje, spojrzął na zegarek, była prawie trzecia, zostało tylko pół godziny. Sięgnął po białą tubkę i nasmarował całe ciało aż po szyję. Na czerwonym, grubym,

miękkim dywanie leżała ciemnobrązowa bluza z kapturem. Na lewym rękawie były ślady po zaschniętej krwi, plama sięgała aż do pleców. Włożył bluzę przez głowę i zdrapał z niej paznokciem to, co dało się zdrapać. Nie mógł znaleźć majtek i jednej skarpetki, więc włożył tylko spodnie od dresu i tenisówki.

Jej uszy. Pochylił się nad nią i przesunął delikatnie czubkami palców po jej miękkiej skórze. W uszach miała kolczyki — dwa krzyżyki z małym brylantem pośrodku. To łup z Kungsgatan. Kiedy wysypał na podłogę zawartość torby, pozwolił jej wybrać dwie rzeczy. Reszta trafi później do Chińczyków na placu Odenplan. W sumie sto dziewięćdziesiąt cztery tysiące koron za zbitą szybę i pięć gablot. Wanda wybrała kolczyki i pierścionek z czerwoną perłą. Był zbyt duży, ale kiedy nosiła go przy kostce środkowego palca, nie zsuwał się.

Spojrzał na jej nagie ciało. Wanda poruszyła się niespokojnie, gdy otwierał drzwi. Mruknęła coś, czego nie zrozumiał, i przewróciła się na drugi bok.

Duży Ali spał na kanapie w salonie. Na czole miał ranę. To on w czasie napadu dłonią owiniętą w kurtkę rozbił szybę i wsunął się w otwór, żeby dosięgnąć zamka drzwi wejściowych do sklepu. Rana wygląda teraz jak prosta, ciemna kreska ciągnąca się od brwi do linii włosów. Gabriel potrząsnął go mocno za ramiona, przesunął nogi Jona na drugą stronę kanapy i uderzył Javada pięścią w klatkę piersiową. Javad usiadł w fotelu z otwartymi ustami.

Czerwone, a raczej pomarańczowe drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz. To przecież Råby, nikt bez ich pozwolenia nie ośmielił się wejść do tego mieszkania.

Popołudniowe powietrze było nagrzane, ale pozbawione zapachów. Zjechali windą do podziemia i stanęli przed metalowymi drzwiami. Gabriel wsunął do zamka klucz i po chwili weszli do podziemnego parkingu, który ciągnął się pod siedmiopiętrowymi budynkami stojącymi przy Råby Allé 1 aż po Råby Allé 214. Minęli zaparkowane wozy i przeszli na następny poziom, gdzie na samym końcu stały dwa samochody: jeden srebrny, drugi zupełnie czarny. Gabriel zajął się swoją robotą, a tamci czekali i się przyglądali. Pracował powoli. Mercedes model CLK 500, kabriolet, osiem cylindrów, żadnych zadrapań, żadnych uszkodzeń. Obok audi R8, napęd na cztery koła, sześciobiegowa skrzynia. Otworzył przednie drzwi, trzysta sześć koni mechanicznych, zapuścił silnik, przez chwilę wsłuchiwał się w jego pracę, czterysta dwadzieścia koni, obejrzał bagażnik, opony, reflektory, felgi. Dwa miejsca dalej stała przyczepa

z wypożyczalni OKQ8. Gabriel rozejrzał się, otworzył dwie kłódki i podniósł chroniący je plastikowy zamek. W środku było dwanaście niewielkich białych kartonów. Na bocznych ściankach miały symbol laptopa. Oprócz tego stały tam dwa większe pudła na ośmiocalowe monitory i cztery żółte podłużne pudełka, w których mogły być głośniki.

Wyliczył, że przyniesie mu to razem sto dwadzieścia tysięcy, a jedną czwartą tego, co dostaną ze sprzedaży, musi oddać człowiekowi w Tumbie.

Dotknął ramienia. Jedenaście szwów, rana na czole Dużego Alego i trzydzieści tysięcy. Gra niewarta była świeczki.

Poszli w kierunku drzwi, które cicho się przed nimi rozstały. Tutaj kończył się podziemny betonowy bunkier. Przeszli przez plac i zeszli do stacji metra. Kasjerka jak zwykle udała, że nie widzi, jak cztery osoby bez biletu przeskakują przez barierki. Weszli na peron i wsiedli do pociągu odjeżdżającego o 15.25 do Norsborgu. Dojechali do następnej, końcowej stacji.

Wysiedli z wagonu, zapalili papierosy i czekali. Dziesięć długich minut.

Tymczasem na peronie pojawił się niewysoki mężczyzna ubrany w kolejarski mundur. Przeszedł wzdłuż ośmiu wagonów, żeby wsiąść do kabiny maszynisty na drugim końcu składu. Teraz pojedzie w przeciwną stronę, czerwoną linią, przez południowe przedmieścia Sztokholmu. Będzie się zatrzymywał na stacjach w centrum miasta, aż dotrze do jego północnych granic. Gabriel stał na peronie przy jednym ze środkowych wagonów i bawił się papierosem, przerzucając go między palcami. Maszynista minął go bez słowa. Tymczasem Jon, Duży Ali i Javad wchodzili do wagonów i sprawdzali, gdzie kto siedzi, po czym mówili pasażerom, ile mają czasu, żeby przesiąść się na inne miejsce.

Potem poszukali go wzrokiem. Unieśli kciuki i każdy z nich wszedł do innego wagonu.

On stał w miejscu i czekał.

Chwilę potem na schodach rozległy się pospieszne kroki i ukazał się na nich mężczyzna w dżinsach i marynarce. Miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Kiedy usiadł z tyłu pustego wagonu, było go dobrze widać.

Gabriel wszedł do środka.

Ze stacji Norsborg do stacji Råby metro jedzie jedną minutę.

To dużo czasu, wcześniej robili to już tyle razy.

Miłość, szacunek, dóma, braterstwo, obowiązek, wspólnota, honor, nie zapominaj o tym, bracie.

Drzwi znowu się zamknęły i pociąg potoczył się torami. Gabriel siedział po jednej stronie rzędu siedzeń z tyłu wagonu, mężczyzna w marynarce po drugiej. Siedzieli naprzeciwko siebie i patrzyli na kogoś, kto też spoglądał w ich stronę. Gabriel zdjął bluzę, opuścił szybę, przerzucił przez nią bluzę i znowu zamknął okno.

Na czele nowego GS stanie Dowództwo. Dowództwo będzie się składać z 2 osób.

Mężczyzna siedzący naprzeciwko Gabriela wyjął z obu wewnętrznych kieszeni marynarki dwie reklamówki z emblematem sieci sklepów ICA i umieścił je na wolnym siedzeniu. Gabriel położył dłoń na cienkim plastiku i objął palcami ciężkie, kanciaste, metalowe przedmioty ukryte w środku. Podniósł obie reklamówki i każdą zważył w rękach. Wszystko w porządku. W środku jest to, co powinno. Jeden pistolet lahti i jeden glock. Uniósł rękę, a wtedy Duży Ali w drugim wagonie i Jon w następnym otworzyli czworokątnymi kluczami drzwi do jego wagonu. Każdy zabrał po jednej reklamówce i tą samą drogą wrócił do swojego wagonu.

Tylko dwóch, bracie! Macie stworzyć dobrze UZBROJONY, zamknięty oddział!!

Jedna minuta. To dużo czasu. Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji w Råby, cała trójka wyszła z wagonów i ruszyła w stronę wyjścia i opustoszałego centrum zalanego dziwnym blaskiem długich jarzeniówek. Minęli dwa zamknięte sklepy i zatrzymali się, żeby poczekać, aż chłopiec ze złotym łańcuchem na szyi i zaczesanymi do tyłu włosami wstanie z ławki. Szukał wzroku Gabriela — *to ja jestem Eddie*. Gabriel od razu na niego spojrział i to wystarczyło. Chłopiec się wyprostował. Na twarzy nadal miał wyraźny ślad po pierścieniu. Odebrał reklamówkę z nadrukiem ICA i zaniósł ją do sklepu spożywczego. Podszedł do skrytek przy wejściu, w których na czas robienia zakupów można przechować podręczne rzeczy. Obserwowali, jak wrzuca

pięciokoronówkę, wkłada reklamówkę do skrytki i zamyka ją na klucz. Gabriel wiedział, że chłopak się nadaje — miał dwanaście lat, więc za nielegalne posiadanie broni nic mu nie groziło, bo był niepełnoletni.

— Nie jest już ważny prezydent, wiceprezydent czy członek gangu motocyklowego. Teraz ważny jest dowódca, żołnierz, szeregowy.

Kiedy wyszli z prawie pustego centrum handlowego, na dworze nadal świeciło słońce. Lato tego roku było trochę cieplejsze niż poprzednie. Tym, którzy nie byli stąd, Råby rzadko wydawało się ładne. W takie dni, gdy silny blask słońca zdzierał ostatnią warstwę koloru z fasad wysokich domów i asfaltowych podwórek, nawet im, czterem nastolatkom, Råby wydawało się szare, pozbawione zapachów. Żaden z nich wiele nie mówił, bo nie było o czym. Drzwi prowadzące do podziemnego parkingu otworzyły się równie cicho jak pół godziny wcześniej. Weszli do chłodnego, mrocznego pomieszczenia, wielkiego parkingu ciągnącego się pod całą główną ulicą Råby. Weszli po schodach do klatki schodowej numer 34, wjechali windą na czwarte piętro i zatrzymali się przed drzwiami mieszkania przy zsypie.

Kobieta wyglądała na trzydzieści pięć lat. Miała ciemne włosy, ale z wiekiem, gdy pojawiły się siwe pasemka, zaczęła je farbować na jeszcze ciemniejszy kolor. Miała dość ładną, choć bladą twarz, usta, które nie potrafiły się już uśmiechać, i oczy starsze od niej samej.

— Masz to przechować.

Kobieta spojrzała na reklamówkę z nadrukiem ICA, która jeszcze niedawno leżała na pustym siedzeniu w składzie metra.

Nie odezwała się.

Chwyciła mocno za drzwi, ale nie mogła ich już zamknąć, bo ten, którego nazywają Dużym Alim, wysoki i silny mężczyzna, wstawił stopę w szparę.

— Pięćset papierów dziennie. Masz to przechować przez dwadzieścia pięć dni, aż on wróci i sam odbierze.

— Spierdalaj!

Władzę sprawują dowódcy. To oni decydują o zadaniach. Żołnierzom i szeregowym nigdy nie wolno odmówić wykonania ich rozkazów.

Kobieta szarpnęła go jedną ręką za ramię, a drugą pociągnęła za drzwi.

Ali się nie ruszył.

Spojrzała na tych, którzy stali pół kroku za nim. Takie same ubrania, takie same spojrzenia.

Popatrzyła Gabrielowi prosto w oczy. Odwrócił wzrok.

Nie wolno odmówić wykonania rozkazu.

— Gabriel?

Na chwilę spuścił wzrok, ale jej te kilka sekund wystarczyło. Odezwała się do niego podniesionym głosem.

— Gabriel? Ty? A on, dopilnuj...

Nie wolno odmawiać! Kto to zrobi, ma być ukarany.

Po kilku sekundach Gabriel uniósł wzrok, wytrzymał jej spojrzenie. Już więcej nie będzie go unikał.

— Masz go przechować, dziwko, bo my tak chcemy.

Kobieta zrobiła krok do przodu, ale Gabriel nie cofnął się przed nią. Wymierzyła mu policzek otwartą dłonią.

— Nie będziesz mi groził.

Stali teraz blisko siebie i patrzyli sobie w oczy. Próbowali się wzajemnie wyczuć, ale nic z tego nie wyszło.

Ponownie wymierzyła mu policzek.

Gabriel nie rozumiał, dlaczego pistolet ma być przechowywany akurat u niej. Leon na pewno miał jakiś powód. Dlatego nie ruszył się z miejsca, nie odwrócił wzroku, nie odpowiedział.

— Nie będziesz mi groził, ty...

— Po prostu to przechowaj.

Chwycił ją za rękę i pociągnął, niezbyt silnie, ale to wystarczyło. Kobieta się cofnęła, a wtedy Duży Ali wszedł do przedpokoju i położył reklamówkę na półce nad wieszakiem.

Ustawił się tak jak zwykle: przy oknie koło biurka i krzesła. Patrzył na fotografię córki, która się od niego wyprowadziła. Od tej pory już jej nie widział. Gdyby się wyprostował, zobaczyłby piętro domu i fragment sypialni, spędził tam większą część swego życia. Lennart Oscarsson musiał przeżyć kolejny dzień w dwóch różnych światach, które dzielił od siebie dwuminutowy spacer. Nigdy nie tęsknił za zmianą. Aspsås to niewielka miejscina licząca dwa tysiące sześciuset czterdziestu siedmiu mieszkańców. Stoją tu długie rzędy domków szeregowych: białych i trochę od nich wyższych — czerwonych. Zakład karny w Aspsås składa się z dwunastu betonowych trzypiętrowych bloków. Od świata zewnętrznego oddzielają go trzy ogrodzenia i jeden mur. Siedzi w nim dwustu dziewięćdziesięciu jeden osadzonych. Czasem Lennartowi wydawało się, że rozmawiał tu ze wszystkimi: tymi za murem i tymi w zakładzie. Każdego ranka, gdy się budził, powtarzał sobie, że należy do tych ludzi, którzy wolą być kimś wielkim w małym świecie niż kimś małym w wielkim świecie.

Pochylił się, żeby lepiej widzieć tych, którzy siedzieli na dole i grzali się w słońcu. Grupy skazanych na dni, miesiące albo lata pobytu za kratami. Tacy jak oni nigdy nie mierzą upływającego czasu, bo nie mogą sobie na to pozwolić. Więźniowie, którzy liczą każdy oddech, zbyt długo nie pociągną.

Tego ranka trzech opuściło jego zakład. Około piątej, specjalnym transportem, osadzony Gorgis numer 0342 i osadzony Lang numer 2415 z bloku F. Jeden został przeniesiony do zakładu w Kumli, drugi do Tidaholmu. Około siódmej osadzony Jacobs numer 0221 z bloku C wyszedł na wolność. Pojechał do hotelu Bommen w Göteborgu. To miejsce dla samotnych mężczyzn z problemami, którzy nie mają własnego domu.

Każdy z nich ma swoje życie. Każdy z nich będzie je kontynuował gdzie indziej.

Na ich miejsce trafią trzej nowi więźniowie. Pierwszy przybędzie z zakładu karnego w Härnösand. Sześć i pół roku za gwałt, blok A3, oddział w prawym skrzydle. Drugi z zakładu w Huddinge, cztery i pół roku za napad, blok F2, oddział w lewym skrzydle. Trzeci z Kumli, za zły wpływ

na współwięźnia, dożywocie za zabójstwo, przydzielony do bloku H na oddział o zaostrzonym rygorze.

Trzy różne życia. Każde z nich będzie się nadal toczyć tutaj. Żaden z nich nie będzie mierzyć mijającego czasu.

Za to on mierzy.

Cztery i pół roku plus sześć i pół roku plus dożywocie, które prawdopodobnie zostanie zamienione na dwadzieścia pięć lat. To razem trzydzieści sześć lat.

To przeciętnie połowa ludzkiego życia. Stracona na zawsze.

Znów wyjrzał na więzienny dziedziniec. Obserwował osadzonych, którzy siedzieli na zwykłych drewnianych ławkach otoczeni betonowym murem. Są zupełnie inni od tych, którzy tu siedzieli, gdy rozpoczął pracę. Są młodszy, bardziej wściekły, zepsuci, bardziej gwałtowni. W dawnych czasach kryminalista kończył karierę, gdy był już tak zmęczony, że nie starczało mu sił na takie życie. Dzisiejsi przestępcy kształtują swoją karierę według świadomych wyborów: uda się, będę kimś, będę przestępcą, a jak wszystko pójdzie super, to trafię nawet do więzienia. Codziennie przemierzał drogę między domem a więziennym murem i nie zauważył zmian, jakie zaszły. Zresztą nawet nie wiedział, jak mógłby je rozpoznać. W zakładzie karnym byli ludzie, którzy tęsknili za życiem na zewnątrz. Teraz pojawiła się nowa grupa, ale nie znał jej, bo nie wiedział, gdzie jest.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Odwrócił się w stronę drugiego okna, tego szerszego, z widokiem na dużą bramę, która właśnie się rozsunęła, i dach białej więźniarki, która wjechała i zaparkowała w pobliżu wejścia przy głównej dyżurce.

Znowu pukanie, dłuższe, mocniejsze.

W końcu otworzył drzwi.

— Masz czas?

— Wejść.

Do gabinetu wszedł starszy, wysoki, szczupły mężczyzna. Miał miłą, pełną twarz, której zmarszczki dodawały życia. Martin Jacobson. To jeden z jego nielicznych przyjaciół. Tutaj i poza więzieniem. Mało brakowało, a straciłby Martina, gdy jako naczelnik więzienia podjął błędną decyzję podczas awantury z zakładnikami, która wybuchła niecały rok temu. Martin przeżył, ale poprosił o przeniesienie do Bunkra. Personel był tam bezpieczniejszy, przy każdej wizycie asystowało dwóch strażników, między osadzonymi a osobami z zewnątrz nie dochodziło do bezpośredniego kontaktu. Więźniowie mogli tam utrzymywać kontakty

tylko z innymi więźniami, i to na zasadzie losowania, a nie według własnego wyboru.

— Mamy problem.

— Jaki?

— Z nim.

Oscarsson wyjrzał przez okno i ujrzał na dole młodego mężczyznę, który wychodził przez boczne drzwi więźniarki. Miał dopiero kilkanaście lat.

Kajdanki na rękach połączone ze specjalnym pasem w talii.

Towarzyszyło mu czterech strażników, szli przed nim, za nim i po obu bokach.

— Przywieźli go z zakładu w Mariefred. Ma do odsiadki sześć lat i cztery miesiące. Przenieśli go po tym, jak groził personelowi. Jest podejrzany o ciężkie pobicie dwóch współwięźniów.

Jeszcze jeden.

Sześć lat i cztery miesiące.

Kilka minut temu suma dzisiejszych wyroków nie przekraczała trzydziestu sześciu lat. Teraz to już czterdzieści dwa lata i cztery miesiące. Jeszcze więcej czasu, żeby dać sobie spokój z liczeniem upływających lat.

— Nazywa się Marko Bendik. Skierowali go do mnie, ale ja nie mogę go przyjąć.

— Dlaczego?

— Został skazany w tej samej sprawie co jeden z osadzonych w moim bloku. Ciężkie pobicie i próba zabójstwa w centrum Sztokholmu. Na dodatek prokurator szykuje kolejne oskarżenie o inne przestępstwa, które obaj popełnili wspólnie.

Biała więźniarka miała czerwone paski. Bendik wyrwał się na moment strażnikom i rękami zakutymi w kajdanki uderzył w bok pojazdu. Rozległ się trzask, jakby pękła blacha. Na ścianie pojawiła się rysa.

— Dwaj współnicy nie mogą przebywać w tym samym bloku. Na pewno nie w Bunkrze.

Oscarsson skinął głową i usiadł przy biurku. Poprawił klawiaturę i spojrzał na ekran monitora.

— Damy go do bloku D.

Założył okulary, bo z trudem rozczytywał litery i cyfry na monitorze. W zakurzonej ekranie odbijała się jego twarz.

— D jeden, lewe skrzydło. Cela dwunasta. Od wczoraj jest pusta.

Zszedł ostrożnie kręconymi schodami łączącymi dział administracyjny z pokojem przyjęć. Wspierał się na ramieniu Martina do momentu, aż się rozstali. Martin poszedł podziemnym tunelem do Bunkra, a Oscarsson otworzył drzwi i wszedł do jasnego, dość ciasnego pomieszczenia. To tu przychodzą najpierw wszyscy nowi więźniowie. Na środku pokoju, w otoczeniu czterech strażników, stał potężnie zbudowany chłopak o bladej twarzy. Jeszcze niedawno był dzieckiem. Oscarsson wyciągnął rękę, żeby się z nim przywitać, ale chłopak odwrócił wzrok. Rozglądał się po pokoju i nie chciał odpowiedzieć na powitanie.

— Nazywam się Lennart Oscarsson.

Brak odpowiedzi.

— Jestem naczelnikiem tego więzienia.

— To fajnie.

Potem chłopak został przeszukany i dostał nowe ubranie.

Do niedawna dziecko, teraz mężczyzna z kilkuletnim wyrokiem.

Oscarsson zwrócił się do strażnika, który stał najbliżej niego. Mówił ściszym głosem.

— Zaprowadźcie go do bloku D.

— Ale tu jest napisane, że...

— Wiem. To ja tak napisałem.

Ostatnio niezbyt często korzystał z tunelu. To czworokątne betonowe cielsko ciągnie się pod całym spacerniakiem. Z tunelu w różnych kierunkach rozchodzą się korytarze, które dalej dzielą się na odnogi zakończone zamykanymi na klucz drzwiami. Wszędzie wiszą kamery, które stale rejestrują obraz. Jeszcze raz zerknął na nowego więźnia, który z całego swojego dorosłego życia na wolności przeżył tylko jeden rok, a teraz spędzi za kratami sześć lat i cztery miesiące. Wygląda jak wszyscy inni osadzeni, nienawidzi w taki sam sposób jak każdy z nich. Niedługo zjawi się na oddziale i siądzie na łóżku w swojej celi, a potem zacznie się miotać w czterech ścianach, bo trudno mu będzie przystosować się do nowych warunków. Tacy jak on przychodzą zawsze z innego wymiaru czasu. Nocą popełniają przestępstwa i dają sobie w żyłę, w dzień śpią i zbierają siły. Teraz będzie inaczej. Metalowe drzwi, w które całymi dniami będzie się wpatrywać, są zamykane każdego wieczoru o ósmej i otwierane co rano o siódmej. Będzie się regularnie budzić, wstawać z łóżka, sikać, brać prysznic i chodzić do warsztatu, żeby tam produkować czerwone drewniane pudełka, albo do sali szkolnej, żeby się uczyć.

— Klawisz na oddziale!

Oscarsson nawet nie zdążył otworzyć drzwi.

Chłopak miał tylko kilka minut na przekazanie innym osadzonym, że dostał kilkuletnią odsiadkę. Wiedział, jak się zachować, chciał, żeby go tu szanowano. To dlatego głośno krzyknął: chciał zwrócić na siebie uwagę zaspanego oddziału, bo kiedyś ktoś go nauczył, że tak trzeba. Od tej pory na wszystkich oddziałach więzienia w Aspsås będzie łącznie przebywać trzydziestu młodych osadzonych. Nigdy nie ma ich więcej, bo wtedy rodzą się między nimi bliskie więzi, poczucie wspólnoty, i jako grupa stają się silniejsi. Naczelnik więzienia już kilka razy przeoczył moment, kiedy grupa stała się zagrożeniem i przestała potrzebować wsparcia z zewnątrz, bo była już na tyle liczna i silna, że wystarczyły jej własne siły.

Oscarsson zatrzymał się w drzwiach. To on jest tym „klawiszem na oddziale”. Przyglądał się, jak do Bendika podszedł jeden z młodych osadzonych. Podał mu rękę i się przywitał.

— Ej.

Potem następny, a po nich kolejni.

— Ej.

Zawsze tak jest. Młodzi zawsze się znają. Nieważne, czy pochodzą z Fittja czy z Råby, z Södertälje czy z Gävle. Oni zawsze się znają. Za każdym razem, gdy młody więzień pojawia się na oddziale, ustawiają się w szeregu i witają z nim.

Oscarsson chciał już wracać, kiedy zobaczył, że do Bendika podchodzi osadzony, którego nazwiska nie mógł sobie przypomnieć. Był dość wysoki, miał krótko ostrzyżone włosy. Odsiadywał długą karę za poważne przestępstwa. Jego dłoń zawisła w powietrzu.

Dziki, rozbiegane spojrzenie.

Suche usta. Kiedy coś mówi, cmoka.

— Marko.

Oscarsson był już pewien. Ten, który wita nowego, jest pod wpływem narkotyków.

— Leon.

Uścisk ręki, uśmiech. Objęli się.

— Witaj, przyjacielu.

...

Leon obserwował starszego mężczyznę stojącego w drzwiach. Wiedział, że to naczelnik więzienia. Długo przyglądał się jemu i temu nowemu, od razu zauważył, że obaj są na prochach. Leon cmokał, tak jak wszyscy, którzy biorą amfę, bo amfa kradnie ślinę. Podał rękę Markowi, potem się objęli. Znali się od czasu, gdy skończył dwanaście lat. Marko był od niego o rok starszy. Örkelljunga, Sirius, Bärby. Marko pochodził z Rotebro, zawsze był pod ręką i chciał do nich należeć. Może kiedyś zostanie jednym z nich?

Ruszyli korytarzem, minęli kącik telewizyjny, przeszli wzdłuż cel oznaczonych niskimi numerami i skierowali się do tej, która od wczoraj stała pusta. Facet, który tam siedział, powiesił się między szafą a umywalką. To celi numer dwanaście. Marko przyniósł ubranie, ręczniki i pościel, a gdy usiadł na łóżku, Leon zostawił go i wyszedł.

— Celi numer dwa — powiedział.

Marko skinął głową.

Jest już starszy niż wtedy, ma dziewiętnaście lat. Przypomniawszy sobie dawne czasy.

Vemyra.

Miał wtedy czternaście lat. Szkoła w zakładzie wychowawczym dla młodzieży.

Pewnej nocy leżeli na ławkach w szkolnej sali. Wąchali gęsty klej, a gdy byli już pod jego wpływem, rozbili zbrojoną szybę, którą wcześniej widzieli tylko w zakładzie psychiatrycznym dla dzieci i młodzieży. Rzucili garnkiem z gotującą się wodą w punkt, gdzie na szybie krzyżowały się dwie kreski zrobione monetą. Wtargnęli na korytarz, w którym znajdowały się pokoje nauczycieli. Tamtej nocy dyżur miała żona dyrektora szkoły. Rozbili jej głowę, złamali prawy kciuk i zabrali klucze.

Po dwóch dniach wrócili.

— Celi numer dwa. Jak coś się będzie działo.

Leon poszedł korytarzem na drugą stronę, gdzie były cele z nieparzystymi numerami. Zapukał do celi numer dziewięć.

— Miłość, bracie.

— Miłość.

Alex już na niego czekał. To jeden z tych, którzy są mu oddani. Przez długi czas tworzył nierozłączną parę z Gabrielem. Wszędzie tylko Leon i Gabriel, Gabriel i Leon. Po pewnym czasie zbliżył się do Alexa. Potem był Bruno, Jon, Reza, Uros i Duży Ali. Jest ich już ośmiu i będzie niewiele więcej. Jądro musi być twarde, tęsknić mogą sobie ci, co żyją za murami i robią wszystko, żeby ich tu zapaczkowali.

Spojrzał na Alexa i puścił jego wyciągniętą rękę. Przeszli razem pod celę numer dziesięć.

Zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami.

W żadnym więzieniu nie wolno wchodzić do czyjejś celi bez pukania.

Bo to nie są drzwi. Bo to nie jest cela.

Bo większość z tych, którzy tu siedzą, spędza więcej czasu za murami niż na wolności.

Ale on nie zapukał.

To nie dom, tylko nora Ćpuna.

— Ćpunie!

Chudy więzień siedział na krześle odwrócony plecami do drzwi i wyglądał przez okno. Nie słyszał, jak Leon wchodzi. Na dźwięk jego głosu wzdrygnął się i odwrócił w jego stronę.

Uśmiech.

Sztywne, lekko rozchylone wargi.

— Jestem, Ćpunie.

Leon uderzył go zaciśniętą pięścią w ramię.

— Nigdy się do mnie nie uśmiechaj, Ćpunie.

Sam nie wiedział dlaczego, ale uśmiech tego skurwiela działał mu na nerwy i przykuwał jego uwagę. Był naprawdę brzydki, obnażał żółte, brudne zęby. Ćpun pewnie myślał, że przeszkadza innym swoją obecnością. Taki uśmiech to forma przeprosin, odruch warunkowy, gdy ktoś na niego patrzy.

Leon znowu uderzył go pięścią, tym razem w drugie ramię. Poczuł, jak kostki pięści obijają się o chude ciało Ćpuna.

— Kapujesz?

— Gdzie moja działka?

— Potem. Pytam, czy kapujesz?

Ćpun wstał z krzesła.

— Chcę moją działkę.

— Jak skończysz, Ćpunie.

— Mam na imię Sonny. Możesz mnie bić, ile tylko chcesz i gdzie chcesz.

Desperacja to dziwna siła.

— Najpierw chcę moje dziesięć gramów.

Wskazał na stolik. Leżały na nim różne przedmioty poukładane w rzędzie.

Maszynka do golenia, długopis, łyżka, igła, rolka taśmy klejącej, wycior do czyszczenia fajek, ostrzałka do igieł, nici do szycia, blaszka.

— Mam już wszystko. Nawet farbę. Ale niczego nie zrobię, dopóki nie dostanę mojej działki.

Leon spojrział na jego podziurawione stopy. Trudno mu było ustać na kamiennej posadzce. Na twarzy Ćpuna ciągle pojawiał się nerwowy tik. Językiem czyścił swoje żółte zęby.

Za to jego usta nie były już rozchylone, nie uśmiechały się.

Leon otworzył drzwi i skinął na Alexa, który stał na zewnątrz i obserwował korytarz.

— Dziesięć gramów.

Wszedł z powrotem do celi, zamknął za sobą drzwi i spojrział na nędznego chudzielca, który mógł mieć trzydzieści albo i czterdzieści lat.

— Ale nie weźmiesz, póki nie skończysz.

Czekali w milczeniu. Nic ich nie łączyło, nie znali się, nie spotkali się wcześniej ani nie spotkają później w innym miejscu, kiedy ich dni tutaj dobiegną końca. Byli podobnego wzrostu, patrzyli ludziom prosto w oczy, jeden już przeżył przestępcze życie i teraz usiłował tylko przetrwać, drugi dopiero piął się w górę, biła od niego siła i nienawiść i nawet nie miał pojęcia, że ten starszy jeszcze niedawno był taki sam jak on.

Alex przyniósł do celi pięć kapsułek, które podsunął Ćpunowi pod nos.

— Masz, ale nie wolno ci ich tknąć, dopóki nie skończysz.

Znowu ten uśmiech, rozchylone wargi. Ćpun wziął rolkę taśmy, stanął na stole i przykleił pięć kapsułek do ściany w miejscu, gdzie karnisz był najszerszy. Teraz, kiedy należą już do niego i kiedy je ukrył, będzie mógł znowu usiąść przy stole, tak jak poprzednio, zwrócony plecami do drzwi.

Umawiamy się, bracie. Tylko na prawym udzie. TYLKO TAM!

Najpierw maszynka do golenia. Zawsze marki Braun. Są w nich ostrza, które poruszają się poziomo, w obie strony.

Trzymając w jednej dłoni maszynkę, drugą sięgnął po metalową blaszkę leżącą na stole. Tydzień temu w warsztacie lekko ją naostrzył, gdy podczas przedpołudniowej przerwy na kawę klawisze nie patrzyli w jego stronę. Taką blachą można zranić kogoś w szyję albo przeciąć okrągły pierścień zabezpieczający w maszynce do golenia.

Odłożył maszynkę na bok i wziął do ręki długopis. Przeciął go ostrożnie na pół i wyjął ze środka plastikowy pojemnik z atramentem. Potem nożyczkami do paznokci przeciął na pół metalową kulkę znajdującą się na samym czubku wkładu. Wziął łyżkę, którą przed chwilą

jadł kwaśne mleko, przycisnął ją do stołu i tak mocno zagiął, że odpadł trzonek z nierdzewnego metalu. Chudymi palcami chwycił go i przycisnął po raz drugi do blatu. Zmienił się w metalowy haczyk zagięty pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

Tym, co mają nowy tatuaż, ufam na 200%.

Igła. To cienki metalowy drut, który wyrwał obcęgi z metalowej szczotki używanej w warsztacie.

Wycior do fajki. Kupił go w więziennym kiosku.

Nici do szycia. Wyciągnął je z własnych spodni.

Iglę i wycior owinął nicią. Czubek igły wystawał teraz o milimetr dalej niż czubek wycioru. Oba elementy wsunął ostrożnie w pustą tuleję długopisu, a gdy wycior się zablokował i nie chciał iść dalej, przecisnął igłę przez fabryczny otwór, przez który wydostaje się tusz z plastikowego zbiorniczka. Teraz wystawała z niego ostra igła, która będzie wbijać się w skórę.

Tylko na prawym udzie. To rozkaz! Inaczej będzie kara.

Następnie przykleił taśmą zakrzywiony trzonek łyżki do maszynki do golenia, sprawdził, czy igła swobodnie się porusza, umieścił na uchwycie łyżki obsadkę, a na końcu przymocował tylną część wycioru w pierścieniu zabezpieczającym, który jeszcze przed chwilą przytrzymywał maszynkę. Wszystko owinął taśmą.

— Już.

W ścianie każdej celi był kontakt, żeby osadzeni mogli używać maszynki do golenia. Ćpun się uśmiechnął. Tym razem jego uśmiech był niemal szczery.

Dźwięk był dość głośny i przypominał szum. Kiedy uniósł urządzenie i trzymał je w górze, dźwięk wypełnił całe pomieszczenie. Ostra igła, która jeszcze niedawno była jedną z wielu igieł w drucianej szczotce, stanowiła teraz istotny element maszynki do tatuazu. Z dużą prędkością obracała się w jedną i drugą stronę. Leon rozpiął spodnie i położył się na boku na śmierzącym łóżku Ćpuna. Miał na sobie białe majtki z nieokreślonego materiału. Na lewym udzie widać było rozległy, świeży strup pokrywający gojącą się ranę. Leon zaczął przy nim grzebać

paznokciem i w końcu go zerwał. Strup odpadł i ukazała się otwarta rana, z której trysnęła krew.

— Dobrze to wygląda.

Zakażenie. Krwawienie.

Ćpun pochylił się i skinął głową.

— Wygląda cholernie dobrze. Poczekamy jeszcze kilka tygodni. Codziennie musisz w tej ranie grzebać.

Leon spojrział na krwawiącą ranę.

Stara nazwa, której już nie ma i dlatego musi być zastąpiona inną nazwą.

Wcześniej, za pomocą igły, wkłuł w skórę wokół każdej litery wytatuowanej przed laty zepsutą maślaną. Odczekał, aż doszło do zakażenia, a gdy pojawił się pierwszy strup, zdrapał go. Potem zrobił się następny strup, który też zdrapał. Robił tak za każdym razem i za każdym razem z tego miejsca zniknęło trochę starej farby. Z każdą kroplą krwi zanikała odrobina przeszłości.

— Siedziałem kiedyś w Skåltjärnshyttan w Filipstad. Nauczył mnie tego słynny Bollnäsfinpen. Zbudowałem takich maszynek ponad setkę, zrobiłem osiemset czterdzieści cztery tatuaże. Ja...

— Zamknij gębę.

— Ja...

Leon wstał i uderzył Ćpuna pięścią w policzek. Maszynka do golenia upadła na podłogę, taśma, którą była oklejona rękojeść łyżki, trochę się poluzowała.

— Zamknij gębę. I napraw to. Potem na udzie napiszesz mi to, co masz napisać, od kolana aż do brzegu majtek.

Tylko tam!

Ćpun, który mógł mieć czterdzieści lat, nie odpowiedział. Spojrzął tylko na okienną ramę i pięć kapsułek przyklejonych do ściany. Splunął jak zwykle trzy razy w dłoń i włożył wtyczkę od maszynki do kontaktu. Działała bez zarzutu, tak jak wcześniej. Zaostrzona igła poruszała się energicznie. Ćpun uśmiechnął się, gdy moczył ją w misce z farbą Rotring. Ukradł ją w pewnym sklepie papierniczym. Tym razem na oddział przemycił ją w odbytnicy więzień z wysokim wyrokiem, który był na przepustce. W nagrodę za dostarczenie farby, której wystarczy na

zrobienie trzech, a może nawet czterech tatuaży, dostał jeden gram narkotyku.

Ana stała na czerwono-białym szmacianym dywanie w ciasnym przedpokoju i spoglądała na reklamówkę, której nie wolno było jej otworzyć. Inaczej będzie zamieszana w całą sprawę. To jej decyzja. To ona patrzy na reklamówkę, a nie reklamówka na nią.

Powinna ją wyrzucić. Wyjść na klatkę schodową, podejść do zsypu i wrzucić ją w jego mroczny szyb.

Niestety, dobrze wiedziała, że tego nie zrobi. *Masz ją zatrzymać.* Jeśli zniknie, dla niej to będzie koniec. *Masz ją przechować tak długo, aż on po nią przyjdzie i zabierze.*

Miała na to dwadzieścia pięć dni. Tyle samo, co oni.

Na początek.

Zamknęła oczy i przeniosła się myślami do innego czasu. Ujrzała innych nastolatków stojących przed drzwiami z innymi reklamówkami.

Te same słowa. Te same groźby.

Aż po nią przyjdzie i zabierze.

Nie przyszedł. Nie odebrał. Ani tamtego dnia, ani żadnego innego.

Wyglądało to tak, jakby sprawa toczyła się swoim trybem.

Jakby nie mieli dokąd pójść, jakby nie mieli czego zostawić.

Znowu spojrzała na plastikową reklamówkę okrywającą ostre brzegi metalowego przedmiotu, który leżał na jej półce na czapki. Następna osoba, która tu przyjdzie i będzie przynajmniej jej wzrostu, zobaczy to samo, co ona widzi teraz... a wtedy... Z trudem przełknęła ślinę, z jeszcze większym trudem nabrała powietrza.

Nigdy więcej.

Już odsiedziała swoje, żeby ratować innych.

Była absolutnie pewna, że nadal stoi, ale ponieważ kolana coraz bardziej się pod nią uginały, a podłoga zbliżała się w szybkim tempie, doszła do wniosku, że po prostu osuwa się na ziemię. Może nawet trochę płakała? Komuś, kto nie umie iść przed siebie, kto nie potrafi się cofnąć albo siedzieć cicho, nie pozostaje nic innego, jak tylko się rozplakać. Dlatego ona też się rozplakała i znowu spojrzała na tę pieprzoną reklamówkę, która leżała na widoku.

Podniosła się z podłogi.

Sięgnęła po reklamówkę i chwyciła ją między kciuk a palec wskazujący. Uniosła ją i zaczęła iść. Myślami wróciła do więzienia dla

kobiet w Hinsebergu. Widziała siebie, jak siedzi w celi, na coś czeka i nie rozumie, dlaczego grube metalowe drzwi są zamknięte na klucz. Położyła się na łóżku i przespała w celi cztery lata.

Kiedy doszła do drzwi, upuściła reklamówkę i wróciła po taśmę klejącą. Znowu podniosła reklamówkę, wyszła na klatkę schodową i zeszła na półpiętro. Otworzyła właz do zsypu, włożyła reklamówkę do otworu i poczuła, jak drętwieje jej ręka. Nagle się rozplakała, bo przypomniła sobie inne reklamówki, które przynosił do domu, gdy był młodszy i później, gdy był starszy. W tamtych latach nienawidziła ich tak samo jak teraz, ponieważ od tamtej pory nic się nie zmieniło. *Masz ją przechować, dziwko, bo my tak chcemy.* Wyciągnęła rękę i poczuła, że cała się trzęsie. Położyła reklamówkę na twardej podłodze, wyjęła taśmę klejącą i oderwała cztery kawałki równej długości. Przykleiła je do dłoni, podniosła reklamówkę, wsunęła ją do otworu, ułożyła w odpowiedniej pozycji, przycisnęła ją mocno do betonowej ściany wewnątrz zsypu i przykleiła czterema kawałkami taśmy. Teraz będzie się mocno trzymać.

W końcu zamknęła zsyp i wróciła do mieszkania.

Już nie płakała. Siedziała tylko z zamkniętymi oczami na szmacianym dywaniku. Nie miała pojęcia, jak długo to trwało: od niedawna? A może od kilku godzin, dni albo lat?

Potem usłyszała syreny. Zna ten dźwięk.

Zna i nie znosi go.

Najpierw słyhać go dość słabo. Oceniała, że to jakieś dwa kilometry stąd. Potem dźwięk się nasilił, aż w końcu usłyszała natarczywy, głośny, przeszywający ton, który odbijał się echem między budynkami. Syreny strażackie.

Ostatnio zaczęła je liczyć.

Dzisiaj słyszała je pięć razy. Do tego momentu.

Wczoraj przyjeżdżali sześć razy.

Poprzedniego dnia dziewięć. Wcześniej pięć, a jeszcze wcześniej czternaście razy.

Szybko zerknęła na półkę w przedpokoju. Była pusta, a mimo to ta pieprzona reklamówka jakby wciąż tam leżała i się na nią gapiała.

Poszła do kuchni. Dźwięk syren odbijał się od szyby, wdzierał do środka i wypełniał całą przestrzeń. Za oknem były domy i podwórza, które kochała i chroniła, jak kobieta, która zawsze kocha i chroni bijącego ją mężczyznę, do czasu, gdy nie ma już innego wyboru i albo zostanie pobita, albo sama uderzy. W takim momencie jak teraz milkną rozmowy, ustaje handel na rynku, sklepy znowu są zamykane. Tutejsze życie demontowane jest stopniowo przez tych, którzy grożą innym i ciągle im coś zabierają. Tymczasem ci, którzy żyją poza tym światem, tylko się przyglądają. Nie mają nawet pojęcia, co czują ludzie, którzy tak bardzo chcą stąd odejść, że zaczynają palić swoje domy.

Znowu słyhać głośne krzyki i mnóstwo innych dźwięków. Tak, to tam. Zastanawiała się, czy to ten sam samochód i ci sami strażacy co ostatnio. Zazwyczaj tak jest.

...

Thom siedział z przodu samochodu w fotelu po prawej stronie. *Szef zawsze siedzi po prawej.* Spojrzał w zewnętrzne lusterko, zerknął na

szofera i się odwrócił. Dowódca jednostki strażaków w masce przeciwgazowej, strażak numer jeden, strażak numer dwa. Są gotowi. Ogłosili alarm w ciągu osiemdziesięciu dwóch sekund, nigdy nie przekroczyli półtorej minuty. Są z siebie dumni, w każdej chwili mogą się wykazać takim wynikiem. Dojazd zajął im nie więcej niż minutę, półtora kilometra ze stacji Eriksberg na Råby Allé. To jeden z czterech adresów, gdy przy wyjeździe na akcję muszą powiadamiać policję albo jechać tam w policyjnej eskorcie. Tego dnia pojechali we wszystkie cztery miejsca: Råbygången, Råby Backe, Albyvägen i Råby Allé.

Thom westchnął.

Na każdy prawdziwy alarm przypada szesnaście takich jak ten. Samochody, rowery, motocykle, zsypy, ogrodzenia, kosze na śmieci. Szesnaście. A potem nagle dzieje się coś naprawdę poważnego.

Niedawno się położył, żeby chwilę odpocząć. To był naprawdę długi ranek. Pięć razy wyjeżdżali na akcję. Z powodu gorąca i dymu słabły mu chwilami nogi. Czasem odnosił dziwne wrażenie, że szukają cieni. Leżał w remizie i nie mógł zasnąć. Dwadzieścia dwa lata wcześniej brał udział w jej otwarciu. Stała się dla niego bezpiecznym miejscem. Osiem tygodni szkolenia do zawodu strażaka, siedem tygodni szkolenia w zakresie udzielania pierwszej pomocy. Kilka lat w systemie pracy: jeden dzień w karetce pogotowia, dwa dni jako kierowca i dwa dni jako strażak. Potem zaproponowano mu naukę w Państwowej Szkole Pożarnictwa, stała praca i łóżko, z którego właśnie wstał, korytarz, którym niedawno biegł, i szafkę, z której wyjął płaszcz, kask i kamizelkę ochronną.

Czarny dym.

Opuścił szybę w samochodzie.

Czuć blachą, olejem, benzyną.

Pierwsze podpalenie zdarzyło się wczesnym rankiem — motocykl na Råby Allé 17; drugie jakąś godzinę później — kontener na śmieci i dwa stopy opon na Råby Allé 128; teraz Råby Allé 46 — czuł smród płonącego samochodu.

Otworzył drzwi i odniósł wrażenie, że płomienie wznoszą się coraz wyżej, że dym robi się coraz czarniejszy. Mignęły mu jakieś twarze, usłyszał głosy.

Nic nie rozumiał.

Palą swoje własne domy.

Sprawdził paski przy kamizelce ochronnej, której tak długo nie chciał nosić, i już miał wysiąść z samochodu, gdy nagle usłyszał głośny trzask. Ciężki kamień chodnikowy trafił w zbrojoną boczną szybę. Zamontowano

ją kilka lat wcześniej, gdy nienawiść tutejszych mieszkańców zamieniła się w chęć niszczenia.

Spojrzał na szybę, ale była nienaruszona. Pochylił się i obok przedniego koła ujrzał kamień. Mało brakowało, a trafiłby go w głowę.

— Przerywamy akcję.

Kierowca — młody, nieśmiały chłopak, który od rana już pięć razy pokonywał odcinek między remizą w strefie przemysłowej Eriksberg a południowym przedmieściem Sztokholmu, Råby — nadal siedział nieruchomo z dłońmi na kierownicy, jakby nie słyszał i nie zrozumiał polecenia dowódcy.

Thom podniósł głos.

— Przerywamy akcję. Natychmiast.

Wielki wóz zaczął się cofać. Potem się zatrzymał.

Thom spojrzał na kierowcę. Jego twarz pokrywały czerwone plamy.

Do przodu, do tyłu.

Wóz otaczało trzydzieści, a może nawet czterdzieści osób w dresowych spodniach i bluzach z kapturami. Trudno było rozróżnić twarze brudne od dymu z płonącej benzyny.

Stali bez ruchu i patrzyli na wóz strażacki.

Kiedy kolejny kamień trafił w przednią szybę, strażacy nie zdążyli zareagować. Ostry, twardy kamień rozbił niezbrojoną szybę, która roztrzaskała się na drobne kawałeczki, a te pokryły podłogę, siedzenia, deskę rozdzielczą; najwięcej spadło mu na kolana. Siekiera musiała być całkiem nowa, miała najwyżej trzydzieści centymetrów długości. Wbiła się w metalową listwę tuż nad głową kierowcy, tworząc duże wgłębienie.

— Jedź!

Groźby. Nienawiść.

Ale to?

Przez wszystkie te lata nikomu nie groził, nie odpowiadał nienawiścią na nienawiść. Postanowił udawać, że ich nie dostrzega — przecież chodzi tylko o kilkaset osób, które przeszkadzają dwunastu tysiącom tutejszych mieszkańców.

— No, jedź!

Wychylił się przez rozbitą szybę i ktoś napluł mu na szyję. To jeden z tych, którzy stali najbliżej.

Chwilę później znowu go ktoś opluł. Poczul, że ma mokry nos, policzek, brodę.

Zwykły chłopiec.

Miał dwanaście, najwyżej trzynaście lat, błyszczące włosy, gruby łańcuch na szyi. To jeszcze dzieciak, udający dorosłego, którym nie jest i nigdy nie zdąży się stać. Gdy wskazał palcem na siekierę, jego dziecięce usta się uśmiechały. Odwrócił się w stronę pozostałych trzydziestu albo czterdziestu chłopaków i znowu napluł na Thoma. Thom nie wiedział, jak to się stało, ale gdzieś w głębi coś w nim pękło. Nie patrzył już na kierowcę, tylko powiedział podniesionym głosem:

— Jedź.

— Jechać?

— Odsuną się. Niech się pali.

...

Policzek i czoło przycisnęła do szyby.

Może sobie wmawia, może płomienie są zbyt daleko, ale odniosła wrażenie, że zrobiło się trochę cieplej, jakby żar bijący od płonącego samochodu towarzyszył czarnemu dymowi i smrodowi, które dotarły do wieżowców pełnych ludzi.

Rozpoznała go.

Widywała go już przedtem, wiele razy. W przeciwieństwie do innych nigdy nie krzyczał. Nie zwracał na nich uwagi, robił swoje, gasił pożary. Nie wypowiadał przy tym ani słowa. Nigdy.

Tym razem się przestraszył.

Wykonywał gwałtowne ruchy, miał niespokojny wzrok. Obserwował ich.

Najpierw poleciał kamień, potem siekiera.

I potem ta ślina. Ślina boli bardziej, rani ciało dotkliwiej niż metal.

Samochód nadal płonął, ale wielki czerwony wóz strażacki zaczął wycofywać się z parkingu. Wianuszek chłopaków w dresach i bluzach z kapturem rozpierzchnął się. Nagle rozległ się głośny huk. Od razu go rozpoznała. Ekspłodował zbiornik paliwa w płonącym samochodzie. Dźwięk był równie przeszywający jak syrena strażacka, którą niedawno słyszała.

Siedziała na wąskim drewnianym parapecie i wyglądała na dwór. Blacha pojazdu poczerniała, ogień przybierał na sile. Przycisnęła czoło i twarz do szyby i była pewna, że szkło jest jeszcze cieplejsze niż przed chwilą.

Świat wewnątrz innego świata.

Szeregi identycznych betonowych wieżowców, wyrastających jak ściana wzdłuż drogi E4 i spoglądających na tych, którzy mijają to miejsce z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

Nie mają dokąd pójść, bo nie mają czego zostawić.

Nie mają dokąd pójść, bo nie mają czego zostawić.

Takie same betonowe domy wewnątrz muru oddzielającego ich od tamtej strony.

Świat w innym świecie.

Oscarsson podszedł do okna i przeciągnął się. Za murem więzienia leży pierwsze Aspsås — niewielka miejscina z jednakowymi dachami szeregowych domków jednorodzinnych i pustymi placami zabaw; tu jest drugie Aspsås, jeszcze mniejsze od tamtego, z czworokątnym dziedzińcem i długim boiskiem piłkarskim. Kiedyś szukał bezpiecznych, spokojnych nocy i chyba już nigdy nie zrozumie, dlaczego zdecydował się spędzić część życia w więzieniu o zaostrzonym rygorze. To jeden z trzech szwedzkich zakładów karnych dla najgroźniejszych przestępców, z najwyższymi wyrokami, wobec których trzeba stosować zaostrzone środki bezpieczeństwa.

Znowu się przeciągnął, stłumił ziewnięcie i ruszył w stronę drzwi. Rozległo się delikatne pukanie. W drzwiach ukazał się Martin Jacobson, a z nim młoda kobieta, którą Oscarsson poznał na rozmowie rekrutacyjnej. Słabo ją pamiętał i nigdy później jej nie spotkał.

— To Julia Bozsik. Pracuje w bloku D, D jeden, na oddziale w lewym skrzydle.

Oscarsson wskazał jej nową kanapę. Całkiem świadomie przyjmował kobiety do pracy w tym tradycyjnie męskim środowisku. Był zadowolony, a nawet dumny z tej młodej siedzącej przed nim osoby, która należała do jego personelu i tylko nieznacznie przewyższała wiekiem najmłodszych osadzonych.

— Słucham?

Julia spojrzała na naczelnika, którego spotkała tylko raz i z którym już potem nie rozmawiała. Wydawał się przyjemniejszy niż jego gabinet, który był zbyt duży i zbyt oficjalny. Patrzyła na niego i nie czuła się obserwowana ani oceniana.

— To się stało dwie noce temu.

Kanapa w gabinecie naczelnika więzienia.

Julia rozejrzała się i poczuła, że traci pewność siebie. Czasem trudno zrozumieć, w jakim kierunku się zmierza i dlaczego.

Boże... więzienie?

Trzy lata w liceum o profilu technicznym. Kilka letnich dni bez pracy i wizyta w pośredniaku.

Nigdy przedtem nie widziała więzienia.

Nigdy przedtem nie znała żadnego przestępcy ani z żadnym nie rozmawiała.

Trzy dni później — już po przeszkoleniu — pokwitowała odbiór munduru i przepracowała tu swój pierwszy dzień. Miała odpowiadać za osadzonych.

— Dwie noce temu... rozpętało się piekło. Dziewięciu więźniów w dziewięciu celach nie chciało zasnąć, tylko zaczęło... hałasować, inaczej nie da się tego określić; chodzili bez przerwy po celach, byli niespokojni i gwałtowni, sprząтали, słali łóżka, podnosili różne przedmioty, znowu sprząтали, znowu coś podnosili.

Po trzydniowym przeszkoleniu włożyła mundur i zaczęła odpowiadać za osadzonych, ale bardzo się bała. Bała się głównie tych młodych, ich agresji i nienawiści, którą czuło się w całym więzieniu. Starsi rzadko bywali uprzejmi, oceniali ją i komentowali jej wygląd, ale nigdy nie czuła przy nich tego niesmaku, obrzydzenia. Młodszy mogli wybuchnąć w każdej chwili i nienawidzili w inny sposób. Z całych sił.

— Całą noc tak się zachowywali. Bez przerwy, jakby nie chciało im się spać. Kiedy rano otworzyliśmy cele, skarżyli się na ból głowy i różne inne dolegliwości, byle tylko dostać zwolnienie lekarskie i odespać. Ci, którzy go nie dostali i musieli pracować, zachowywali się jak pokręceni. Jeden porozwalał wózkami widłowym palety z ładunkiem i wjechał nim prosto w ścianę warsztatu; inny ukrył się w toalecie koło pralni, zgasił światło i siedział tak trzy godziny. Dwoma miotłami zablokował zamek i klamkę.

Niesmak, strach... od pierwszego dnia pracy poruszała się zamkniętymi na klucz korytarzami i bała się, że w każdej chwili dostanie pięścią w twarz albo ktoś wbije jej w plecy zaostrzony pręt; bała się tych, którzy mieli w nosie konsekwencje swoich czynów — tych, którzy nienawidzą, wybuchają, biją. Szybko uświadomili sobie, że nowa strażniczka przemyka się chyłkiem pod betonowymi ścianami i stara się zachowywać poprawnie. Bo tak to właśnie wyglądało. Patrzyła wprost przed siebie, żeby nikt nie zobaczył, jak bardzo się boi, nigdy nie patrzyła im w oczy, nie śmiała się zbyt głośno ani zbyt długo, a przede wszystkim z nimi nie rozmawiała. Sama wiedziała najlepiej, że strach istniał tylko wtedy, gdy nie można było go należycie ukryć.

Boże... więzienie?

— Dziękuję...

Jacobson, który siedział na drugim końcu kanapy, skinął jej głową.

— Nie śpią, są nieobliczalni. Nie trzeba nam więcej wyjaśniać, prawda, Lennarcie?

Oscarsson wzruszył lekko ramionami, westchnął. Przypomniawszy sobie cmokanie więźniów i ich błyszczące oczy.

Zauważył i słusznie się domyślił.

— Racja. Nie musi nam pani więcej wyjaśniać.

Spojrzał na Jacobsona, którego uważał za przyjaciela. Pracowali razem od wielu lat i już niejedno tu widzieli.

— Popytałem trochę, o co chodziło.

Jacobson pochylił się nieświadomie naprzód, dłonie położył na stoliku przy kanapie.

— Jestem pewien, że narkotyk, który zażyli, był dostarczony w czasie widzenia trzy dni temu. Osadzony numer dziewięćdziesiąt dwadzieścia dwa, Jensen. Blok D jeden, cela druga.

Przerzucił w swoim czerwonym skoroszycie kilka kartek.

— Odwiedziła go młoda kobieta, siedemnastoletnia, zameldowana w Råby, w gminie Botkyrka. Nazywa się... chwileczkę... Wanda Svensson.

Oscarsson odpowiadał za więzienie, w którym było dwustu dziewięćdziesięciu jeden osadzonych. Wszyscy dostali wysokie wyroki. Do każdego z nich przynajmniej raz podszedł i każdemu przynajmniej raz podał rękę na powitanie. Potem szczegółowo zapoznawał się z ich teczkami.

— Jensen? Przywieźli go cztery, najwyżej pięć miesięcy temu?

— Z Råby. Ojciec pochodzi z Botkyrki, matka z Zagrzebia.

— Ciężkie pobicie, napad, wymuszenia?

— Cztery i pół roku.

— Należy do gangu?

— Tak, to potwierdzone.

Podniósł się, ruszył w stronę okna, ale nagle się zatrzymał. Nie teraz. Przy oknie lubił stać, kiedy był sam.

— A ona?

— Jak pozostali. Niekarana. Robi za skrytkę.

Obaj znowu spojrzeli po sobie. Z tym zjawiskiem spotkali się już wiele razy: młode, niekarane dziewczyny przestępców, którymi łatwo manipulować. Najpierw rozkładają nogi przed tymi, którzy udają prawdziwych mężczyzn, a potem jeszcze szerzej rozkładają nogi przed tymi, którzy udają prawdziwych przestępców.

— Poproszę o dodatkowego psa z Hall.

Jej głos zabrzmiał spokojnie i rzeczowo, jakby miała więcej niż dwadzieścia jeden lat. Taki głos łatwo polubić.

— Przeszukanie cel z psem wieczorem po zamknięciu. Blok D jeden, lewe skrzydło i blok D dwa, prawe skrzydło. Cella po celi, wspólne pomieszczenia, dyżurki strażników.

Naczelnik nadal stał na środku pokoju. Chciał podejść do okna, ale tam nie dotarł. Zanosilo się na deszcz.

Pies.

Ministerstwo przydzieliło zakładom karnym dodatkowe psy. Każdy zakład dostał od dwóch do dwudziestu pięciu nowych zwierząt. Ale nawet jeśli zwiększą ich liczbę do stu dwudziestu pięciu, niczego to nie zmieni. Ktoś, kto czeka na narkotyki i potrzebuje więcej amfetaminy, heroiny albo subutexu, zawsze znajdzie sposób, żeby załatwić sobie nową dostawę.

— A jutro zbiorowa kontrola moczu.

Oscarsson wiedział coś, o czym wiedział też Jacobson i wszyscy ci, którzy ubrani w niebieskie mundury pełnili służbę w szwedzkich więzieniach: jeśli badanie moczu któregoś z osadzonych da wynik pozytywny, kłopoty będą mieć także inni osadzeni, bo władze zainteresują się oddziałem, na którym siedzi. Taki więzień zostanie surowo ukarany przez współwięźniów, którzy chcą ćpać w spokoju. Obaj wiedzieli też, że ten, którego władze zechcą poddać testowi, za każdym razem odmówi, bo będzie wolał za karę przesiedzieć kilka dni w celi niż mieć rękę złamaną przez innych osadzonych.

Dziewczyna czegoś chce. W coś wierzy.

— Pies i pobranie moczu.

Nie chciał jej zniechęcać. Zrobi to za niego czas.

— Oczywiście. Załatwimy to.

Oscarsson zatrzymał się w pół drogi do okna. Teraz, gdy Jacobson i dziewczyna wyszli z pokoju, popatrzył przez okno i ujrzał niebo zasnutę szarymi, ciężkimi chmurami. Na dworze robiło się coraz ciemniej.

Jensen.

Blok D. D1, lewe skrzydło.

Przypomniał sobie twarz, którą widział dwa dni wcześniej. Dziki, rozbiegany wzrok, suche wargi, cmokanie.

Jak wszyscy inni. *Przywieźli go cztery, najwyżej pięć miesięcy temu?* Jak każdy młody chłopak w ciężkim zakładzie. *Ciężkie pobicie, napad, wymuszenia?* Ojca brak. Groźny przestępca, w konflikcie z prawem od

dwunastego roku życia. *Należy do gangu?* Jak wszyscy inni, którzy nie wiedzą niczego o społeczeństwie, do którego nie należą.

Jak wszyscy inni, którzy nie wiedzą niczego o społeczeństwie, do którego nie należą.

Czytał wszystkie akta, porównywał ich kartoteki i za każdym razem zatrzymywał się dłużej na prostym sprawdzianie wiedzy, który muszą przejść osadzeni, gdy trafiają do jego więzienia.

Żaden z nich nigdy nie potrafił odpowiedzieć na żadne pytanie.

Żaden.

Nie mają pojęcia o państwie szwedzkim, Europie i świecie. Nie mają żadnej wiedzy o tym, co się dzieje poza ich społecznością, która nigdy nie stanie się dość duża.

Nie rozumiał tego. Mają po osiemnaście lat. Nie czeka ich żadna przyszłość.

Przestępcza siatka młodocianych rozwinęła się na przedmieściach Sztokholmu. Jej centrala mieści się w Råby.

Oscarsson patrzył przez szybę i obserwował krople deszczu padające na dziedziniec. Osadzeni siedzą tam na ławkach przy ogrodzeniu albo na środku spacerniaka — siedzą tam zawsze. Teraz jest ich czterech, pięciu, sześciu, siedmiu. Pochodzą z różnych miast i gangów, ale każdy trzyma w palcach papierosa. Mają po tyle samo lat, siedzą w tych samych pozycjach.

Braterstwo, rodzina, zespoleni lojalnością, przyjaźnią. Dopuszczają się przestępstw razem albo z innymi przestępcami.

Oscarsson podszedł do biurka. Na blacie leżał stos białych kartek A4. Były pozszywane po dwie sztuki. Sięgnął po te na samym wierzchu.

Gang składa się z ośmiu, czasem dziewięciu pełnoprawnych członków. Wszyscy od młodych lat byli skazywani za ciężkie przestępstwa. Czterech albo pięciu siedzi w więzieniu z wysokimi wyrokami.

Oscarsson wziął do ręki obie kartki. Był to jeden z raportów, jakie otrzymywał regularnie ze służby wywiadu więziennego, która powstała, kiedy ustalono, że coraz więcej ciężkich przestępstw za murami popełniają członkowie gangów. Na przykład ten raport dotyczący jednego z takich gangów. Jednego z wielu.

Gang przeżywa fazę intensywnego rozwoju. Nowe zasady, nowi członkowie, nowa nazwa. Trafił na listę najgroźniejszych gangów, których rozbicie staje się dla policji sprawą priorytetową.

Oscarsson powinien przynajmniej westchnąć, ale nawet nie próbował. Wiedział, że to dopiero początek.

Znów odwrócił wzrok i popatrzył na czerwone dachy Aspsås. To tak blisko, a zarazem tak bardzo daleko.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer zapisany na dole białej kartki.

— Słucham?

Rozpoznał ostrożny głos Pereiry, który zupełnie nie pasował do jego twarzy.

— Mówi Oscarsson.

— Tak?

Nadal miał w ręce raport dostarczony przez służbę wywiadu więziennego.

— Szukałeś okazji — powiedział.

— Tak.

— No to właśnie ją znalazłeś.

Pokój, który nie przypomina innych pokoiów.

Małe, czworokątne fotografie mężczyzn.

José Pereira kiwał się na krześle. Czarne buty postawił na podłodze, często tak robił. Podszedł bliżej, przez chwilę wpatrywał się w policzki, nosy, oczy. Studiował w ten sposób każdą twarz.

Na tylnej, mniejszej ścianie — najbliżej korytarza — wisiały w równych rzędach zdjęcia przyklejone zielonymi i żółtymi szpilkami. Miały rozmiar fotografii paszportowej. Pod każdym z nich wisiała kartka, a na niej miejsce aktualnego pobytu, data urodzenia i adres zamieszkania osoby ze zdjęcia.

Lista docelowa „Alcatraz”.

Na dużej ścianie w głębi pokoju, za czterema identycznymi biurkami zastawionymi komputerami, segregatorami i skoroszytami, wisiały takie same zdjęcia tych samych mężczyzn. Były przybite do ściany szpilkami, tak jak tamte, i pogrupowane: Hells Angels MC (dwadzieścia dwie twarze); Bandidos (osiemnaście twarzy); X-Team (dwanaście twarzy), Red & White Crew (czternaście twarzy), Outlaws MC (dziewięć twarzy). Na drugiej dużej ścianie wisiały pozostałe fotografie: Bractwo Wolfpack (jedenaście twarzy), BFL Uppsala (siedem twarzy), OG (dziesięć twarzy), WYG (sześć twarzy), Råby Warriors (osiem twarzy), ASIR (trzydzieści siedem twarzy), Chosen One's (dwanaście twarzy).

Pereira popijał kawę z nowego ekspresu, który od poprzedniego dnia stał w budynku komendy policji w Södertörn. Nie czuł żadnej różnicy — znowu ten sam cierpki smak. Pił tak samo jak inni, po jednym łyku, czekając, aż kofeina rozejdzie się po całym organizmie. Spoglądał na ściany i zdjęcia. To jego codzienna praca. Przysłali go do tej komendy przed dziewiętnastu laty. Był wtedy przekonany, że ciężkie przestępstwa dokonywane przez gangi motocyklowe o śmiesznych angielskich nazwach to codzienność z filmów oglądanych z wielkim pudełkiem popcornu w Los Angeles. Wkrótce zmienił zdanie. Na przykład ci, którzy patrzą na niego ze ściany — to oni są teraz najniebezpieczniejsi, najbardziej brutalni. Z kolei ci na drugiej ścianie są prawie tak samo niebezpieczni i dlatego jeszcze bardziej brutalni. Szybko pną się w górę w hierarchii gangów, muszą się wykazać, żeby mogli zająć miejsce, które im się na razie nie należy. Natomiast ci, których zdjęcia leżą na biurku,

należą do siedemnastu innych organizacji. One też mają na razie zaledwie śmiesznie brzmiące nazwy, ale już wkrótce zaczną działać równie brutalnie. I to tylko tu, na południowych przedmieściach. Rozwijają się coraz szybciej i stają się coraz silniejsze. Naprawdę trudno to zrozumieć. Pereira rozejrzał się po pokoju, ale więcej wolnych ścian już nie miał.

— Teraz?

— Tak.

Skinął głową dwóm ubranym po cywilnemu policjantom, którzy siedzieli na krzesłach i pili gorzką, cierpką kawę. To wywiadowcy z wydziału narkotyków. Obaj wstali i wyszli z pokoju. W połowie lat dziewięćdziesiątych w komendzie policji w północnej części gminy Botkyrka pracowało dwudziestu dwóch policjantów. Trzy lata później zostało ich tylko czterech. Pozostałych przeniesiono do innych komend i posterunków po tym, jak miejscowe gangi zaczęły podpalać skrzynki pocztowe, okna i kominy w tamtejszej komendzie; jak podczas każdej interwencji policji groźby stawały się coraz wyraźniejsze; jak w ich prywatnych samochodach ktoś poprzebijał opony tyle razy, że przestali je wymieniać, aż w końcu ktoś podpalał siedzenia i silniki.

— Po lewej stronie za drzwiami. Cztery minuty spacerem. Råby Allé sześćdziesiąt siedem.

Domy, asfaltowe alejki, zapach spalenizny. Część tego terenu należała do niego, podobnie jak do wielu innych. Znał i rozpoznawał głosy i twarze, wiedział, na którym podwórzu latem utrzymuje się żar i gdzie zimą na otwartej przestrzeni wieje najzimniejszy wiatr.

Wiele lat temu dopiero zaczęli dobierać im się do skóry.

Rozpracowywali siatkę handlarzy narkotyków, wyciągali z samochodów pistolety, obrzyny i broń automatyczną, konfiskowali młodocianym noże, siekiery, nunczako, pałki.

Wśród blokowisk na południowych przedmieściach Sztokholmu działało więcej zorganizowanych grup przestępczych niż kiedykolwiek na terenie całego kraju. W końcu stały się przedmiotem zainteresowania władz. Najpierw utworzono Komisję do spraw Fittja, potem organizowano specjalne akcje przeciwko gangom, powstała też Sekcja do spraw Zwalczania Gangów. Początkowo nadzorowano tylko Råby, potem gminę Botkyrka, w końcu nadzór rozszerzono na cały okręg Södertörn.

Po trzech latach zostało ich czterech, a po pewnym czasie już tylko jeden. To on dysponował najlepszymi informacjami i to on stworzył od

podstaw nową jednostkę policji. Jej zadaniem było rozbitcie siatki przestępczej na południowych przedmieściach Sztokholmu.

José Pereira szedł o pół kroku przed wywiadowcami. Minęli doszczętnie spalony śmietnik, dwa nowe stosy opon, samochód porzucony przed południem przez strażaków i motocykl, który spłonął całkiem niedawno.

Jednak on w ogóle tego nie zauważał, podobnie jak inni nie zauważają tego, co istnieje od dawna.

— Tam. Środkowa klatka, trzecie piętro.

Domy niczym się nie różnią od innych. Siedem pięter, zewnętrzne galerie, te same kolory, głównie szary i bury, pomarańczowe drzwi, które już z daleka przykuwają wzrok.

— Trzy okna bez firanek, koce wiszą w dwóch po lewej stronie, kuchnia i sypialnia.

Zapamiętywał ich imiona i nazwiska, gdy uczyli się chodzić, a potem jeździć na rowerze. Przeglądał czerwone segregatory w wydziale opieki społecznej, wymieniał informacje z kierownikami szkół terapeutycznych i poprawczaków i wiedział wszystko o tym, jak Leon Jensen i Gabriel Milton już w wieku dziewięciu lat wykazywali się wysoką aktywnością przestępczą. Niestety, ani policja, ani sądy nie mogły im niczego zrobić do czasu, aż skończą piętnaście lat i staną się tak zdeprawowani, że sędziowie nie będą mieli innego wyjścia, jak tylko wysłać ich za kraty.

Drzwi śmierdziały kurzem i przypalonym jedzeniem. Schody były strome. Drzwi prowadzące na zewnętrzną galerię błyszcząły tak jak poprzednio.

— Drugie drzwi na prawo. Skrzynka na listy z nazwiskiem Santos.

Przez wszystkie te lata obserwował, jak dorastają i stają się sobie coraz bliżsi. Kiedy skończyli dwanaście lat, któryś z nich po raz pierwszy wspomniał o Råby Warriors. Wysłuchał go i zdążył tylko pomyśleć: „Co za bzdety, jacy Wojownicy z Råby”? Jednak wkrótce zauważył, że zaczęli się do nich przyłączać inni: Alexander Eriksson, Bruno Viani, Reza Noori i Ali Abdulahi, Jon Lindh i Uros Koren. Zaczął zbierać informacje na temat dwunastoletnich chłopców, a skończyło się na dorosłych przestępcach, narkotykach, napadach, pobiciach, zastraszaniu świadków. Obserwował, jak zaczęli dopuszczać się przestępstw grupowych. Był absolutnie pewien, że to właśnie wtedy podjęli decyzję o swoim dalszym życiu.

Podszedł bliżej drzwi, przyjrzał się napisanemu odręcznie nazwisku Santos i skinął głową obu wywiadowcom. Stali obok niego na szeroko rozstawionych nogach z dłońmi na kaburach z pistoletami.

Nacisnął dzwonek.

Brak odpowiedzi.

Spojrzał na pomarańczowe drzwi, z których zaczęła odchodzić farba. Od dwóch miesięcy to mieszkanie jest miejscem spotkań czterech młodych gangsterów, których ostatnio nie udało się skazać i wysłać do więzienia. To oni sprawują tu władzę i nadzorują handel narkotykami w Råby. W rzeczywistości rządzą całym Råby. Wiedział, że mają tu coraz większą władzę, że idzie im tu coraz lepiej i wkrótce będą chodzić w aureoli zwycięzców. W ciągu ostatnich tygodni otrzymał z kilku wiarygodnych źródeł zgodne doniesienia, które pokrywały się z raportami więziennej służby wywiadowczej. Po sześciu latach zmienili nazwę gangu, jego strukturę i zasady działania. Teraz nazywają się Ghetto Soldiers. Boże, co za głupia nazwa, pomyślał. Taka nazwa oznacza jeszcze więcej nienawiści, przemocy, śmierci.

Znów wcisnął dzwonek w czarnej plastikowej oprawce. Nie działa? A może nie zdołał się przebić przez głośny dźwięk telewizora?

Wiedział, że grupa coś szykuje. Nie wiedział tylko, co, jak i gdzie.

Szukał pretekstu. Rozmowa z Oscarssonem. Odwrócił się do obu wywiadowców i uderzył pięścią w drzwi. Pretekst. Właśnie go znalazł.

...

Gabriel był cały spocony. Wanda przesuwiała delikatnymi palcami po jego chropowatej skórze. Nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

Gabriel, bracie, nigdy nie zapominaj, kim jesteś.

Usłyszeli dwa dzwonki i ktoś zapukał do drzwi. Zobaczył ich w szparze między kocem a framugą okna. Było ich trzech. Zachowywali się jak wychowawcy w poprawczaku. Będą tak stać i czekać, dopóki ktoś im nie otworzy. Właśnie tak robią. To, co ma, jest ukryte w przyczepie w garażu wynajętym na cudze nazwisko. Reszta jest w innych miejscach: w skrytkach w sklepach ICA i Konsum, w przebieralniach na basenie, dwie w szkole, całe mnóstwo w szybach wind, trochę na spodzie lady sklepowej z mrożonkami. Jednak najwięcej towaru przechowują u tych, którzy chcą go przechowywać, i u tych, którzy muszą się zgodzić, bo nie mają innego wyjścia.

To my stanowimy siłę, bracie.

Jej palce dotykały go najdelikatniej na dole, w miejscu, gdzie plecy łączą się z pośladkami. Skóra jest tam najmniej zniszczona.

Spojrzał na nią.

Zdjęła kolczyki i położyła je na podłodze. Nie spodobało mu się to, więc je podniósł. Masz je założyć, powiedział, więc posłuchała. Po tamtym włamie ich nie sprzedał, pozwolił, aby je wybrała i nosiła.

Mamy bojowników, którzy zrobią dokładnie to, co im każemy.

Kiedy po raz drugi zaczęli dobijać się do drzwi i zawołali: „Otwierać!”, zareagował. Starał się przekrzyknąć telewizor grający w dużym pokoju: „Niech ktoś, kurwa, wreszcie otworzy!”. Chciał być pewien, że ktoś go usłyszy i ruszy tyłek.

...

— To ten skurwiel z policji.

Duży Ali był o jakieś dziesięć centymetrów wyższy od trzech pozostałych. Głową sięgał prawie górnej framugi drzwi. Patrzył na policjantów rozszerzonymi źrenicami, prawdopodobnie był pod wpływem narkotyków. Wykonywał gwałtowne ruchy rękami, mówił agresywnym głosem. Amfetamina.

— Chciałbym rozmawiać z Gabrielem.

Pereira stanął blisko tego, którego przesłuchiwał przynajmniej raz na miesiąc od dnia, gdy tamten skończył piętnaście lat. To już trzy lata, trzydzieści sześć przesłuchań. Spędził z nim na rozmowach długie godziny, ale ciągle go nie znał.

— A ze skurwielem z policji dwa inne skurwiele.

Duży Ali cmoknął i wskazał palcem dwóch policjantów stojących pół kroku za pierwszym.

— Chcę rozmawiać z Gabrielem, nie z tobą.

Pereira był pewien, że oglądają jakiś film pełen scen przemocy. Muzyka i krzyki dobiegające z telewizora stały się jeszcze głośniejsze.

— Dopadnę was jeszcze, skurwiele.

Duży Ali miał rozszerzone źrenice i nie potrafił stać spokojnie. Zdążył wykonać jeszcze w powietrzu kilka gwałtownych ruchów pięścią, aż w końcu któryś z pozostałych, niższy od niego, choć bardziej umięśniony, chwycił go za ramię. „Do środka, gnoju”, powiedział, odpychając go w bok i zajmując jego miejsce. Był rozebrany do naga, stał na bosaka i miał erekcję.

— Pereira.

— Gabriel.

Pereira już wiele razy widział jego okaleczone ciało. Ślady po ukłuciach igłą, ogromne dziury w żyłach. Mimo to nigdy nie przywykł do tego widoku. Blizny po oparzeniach pokrywały osiemdziesiąt pięć procent ciała Gabriela, trudno było udawać, że się ich nie widzi.

— Kobieta — powiedział Gabriel.

Wysunął podbrzusze i dwa razy mocno nim poruszył w przód i w tył, jakby stojąc w otwartych drzwiach, chciał coś wskazać swoim sztywnym członkiem.

— Mam tu kobietę, właśnie ją przeleciałem. Przez was musiałem z niej zejść. Czego tu, kurwa, chcecie?

Pereira zauważył, że skóra na nogach Gabriela zmieniła się.

Na jednym udzie zobaczył podłużną, czworokątną ranę pełną ropy. Na drugim pojawił się nowy tatuaż, który zaczynał się prawie przy pachwinie. Czarne grube kreski odróżniały się jaskrawo na tle skóry. Pereira nie potrafił odczytać napisu, stał pod niewłaściwym kątem.

— Ci dwaj to policjanci z wydziału narkotyków. Mamy zgodę prokuratora na przeszukanie twojego mieszkania.

Gabriel spojrział na dokument.

— To... to nie jest moje mieszkanie.

— Mamy zgodę prokuratora na przeszukanie mieszkania, w którym regularnie przebywasz.

— Zapomnijcie o tym.

— Będę wdzięczny, jeśli się odsuniesz.

Gabriel wziął do ręki dokument i uderzył w niego dłonią. Papier lekko zaszeleścił.

— Przecież wiesz, psie, że niczego tu nie znajdziecie.

Pereira zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział, że to mieszkanie jest jedynym miejscem, gdzie bandyci niczego nie przechowują. Jednak nie dlatego tu przyszedł i nie dlatego stał teraz przed młodym przestępcą, który nadal miał wzwód.

Coś szykują.

Ma obowiązek dowiedzieć się, co jest grane.

— Kiedyś was dostanę, skurwiele! — z głębi mieszkania dobiegł głos Dużego Alego. Całkiem możliwe, że znowu bił pięściami w powietrze.

— Za głośno krzyczy. Groźby są karalne. Niezbyt rozsądne.

Członek Gabriela powoli opadł. Teraz nie był już skierowany w stronę policjantów.

— To nie mój problem. Chcecie tylko wejść czy coś więcej?

— Moi koledzy...

— Robią ci loda?

— Moi koledzy mają kilka pytań w sprawie twojej wizyty w Aspsås.

Chłopak się uśmiechnął. Tak to przynajmniej wyglądało.

— Chyba coś wam się pomyliło — powiedział.

— Twoja dziewczyna.

— Co z nią?

— Była tam.

— A co ja mam z tym, kurwa, wspólnego?

— Ona...

— Widziałeś mnie w Aspsås czy mnie tam nie widziałeś?

— Była tam twoja dziewczyna. Godzinę później na oddziale w bloku D jeden pojawiły się prochy. Uważamy, że te dwa fakty są ze sobą powiązane, że to ty je dostarczyłeś i to ty zaopatrzyłeś więźniów.

Gabriel się uśmiechnął. Teraz widać to było wyraźnie, gdy patrzył na obu policjantów stojących za Pereirą.

— No to jak, robią ci loda?

I znowu uśmiech, tym razem szerszy.

— A może to ty im obciążasz?

...

Czterech w więzieniu, czterech na wolności.

Połowa za kratami, połowa tutaj. Tak jak w każdym innym gangu.

Ich gang stosuje się do tego samego wzoru, wykazuje te same cechy, rozwija się w taki sam sposób. Najpierw do policyjnych raportów i śledztw trafiają chłopcy. Dwa lata później, gdy wyrobią sobie reputację i zaczną popełniać przestępstwa grupowe, ich nazwiska trafią do zielonej albo niebieskiej teczki na biurku jakiegoś policjanta z Sekcji do Walki z Przestępczością Zorganizowaną. Będą prześwietlani i sprawdzani. Dwa lata później ich zdjęcia zawisną na ścianie, gdzie już wiszą zdjęcia innych

członków gangów, tych groźnych, które stosują brutalniejszą przemoc. Stopniowo będą przesuwać się coraz wyżej, aż trafią na dużą ścianę między fotografiami innych przestępców. Zdaniem policji należą do najgroźniejszych, bo to oni wszystkim rządzą, są najbrutalniejsi. To czołówka całej zorganizowanej przestępczości.

Pereira odebrał od Gabriela pamiątkę dokument ze zgodą prokuratora na przeszukanie mieszkania.

— Chcemy wejść — powiedział.

Gabriel znowu się uśmiechnął. Wykonał kilka ruchów frykcyjnych swoim na wpół opadłym penisem, odwrócił się i zamknął drzwi.

...

Coś szykują.

Jego zadanie polega na tym, żeby się dowiedzieć co.

...

Pereira wziął do ręki zgodę prokuratora, pchnął drzwi i wszedł do pustego przedpokoju. Usłyszał Dużego Alego. Był pewien, że jego głos dobiega z kuchni. Ali podszedł do czarno-białego psa, spuścił go ze smyczy i coś krzyknął. Pies ruszył bezszelestnie przez duży pokój, minął telewizor, kanapę, pobiegł w stronę przedpokoju i drzwi wejściowych i rzucił się na policjanta, który wszedł do mieszkania jako pierwszy. Pereira nigdy wcześniej nie strzelał do psa. Pierwsza kula dosięgła skaczące zwierzę w prawą tylną łapę. Mimo to pies dopadł policjanta z rozwartym pyskiem i próbował chwycić go za nieosłonięte gardło. Policjant starał się bronić lewą ręką. Pies wbił mu ostre zęby w czarną marynarkę i skórę przedramienia, przegryzając mięśnie i ścięgna. Zwierzę nawet nie zareagowało na kulę. Adrenalina stłumiła ból. Policjant upadł na podłogę, a pies nadal go szarpał. Pereira znowu wystrzelił, po chwili to samo zrobił drugi wywiadowca, który szedł za nim. Obaj wycelowali w punkt za uchem. To najpewniejszy sposób na zabicie psa. Niestety, potężne zwierzę było ciągle w ruchu, więc istniało ryzyko, że trafią kolegę, który leżał na ziemi i krzyczał z bólu. Dlatego strzelali tak, żeby trafić tylko psa. Oddali aż dziesięć strzałów. Pies stopniowo słabł, aż w końcu zwolnił uchwyt i upadł na podłogę. Pereira podszedł do niego i oddał dwa dodatkowe strzały w zastygłe ciało.

— Nie ruszać się!

Drugi policjant minął go, wszedł do mieszkania i wycelował broń w Dużego Alego, który nadal wykrzykiwał swoje „pierdolone skurwiele” i wymachiwał rękami w powietrzu.

Pereira skierował lufę pistoletu w stronę Gabriela, który stał blisko niego.

— Na podłogę!

Gabriel położył się posłusznie na podłodze, ale nadal przyglądał mu się z uśmiechem. Policjanci wystrzelili dwanaście pocisków w odległości zaledwie jednego metra od niego. Ten zaatakowany przez psa miał pogryzione ramię i krzyczał z bólu. Gabriel jakby go nie zauważał. Nie bał się. Nie był wzburzony. Kiedy tak leżał na brzuchu z prawą nogą dla wygody odsuniętą w bok, Pereira ujrzał na jego ciele tatuaż, którego nie mógł wcześniej odczytać. Rysunek zaczynał się na biodrze i sięgał aż do kolana. Pereira nigdy wcześniej nie widział takiego tatuażu. Składał się z czternastu liter, które w świetle lampy błyszcząły na tle poparzonej skóry:

GHETTO SOLDIERS

Żołnierze Getta.

Teraz już wiedział, co się szykuje.

**Zostały dwadzieścia
dwa dni**

Leon nadal czuł się zmęczony.

Osiem gramów w pierwszej dobie, osiem gramów w drugiej. W trzeciej zapomniał policzyć. Minęły już dwa dni, ale prochy nadal w nim były. Pojawiły się drgania wokół oczu i cmokanie. Broda poruszała się jakby niezależnie od niego i robił dziwne miny. Najgorszy był chyba ten pot na czole, skroniach i we włosach. Pochylił się w stronę lustra nad umywalką i doszedł do wniosku, że wygląda jak jakiś pieprzony ćpun.

Wiedział, że taki stan utrzyma się przez pewien czas. Gorzej było z tymi głosami. Słyszał je za drzwiami celi i musiał się do nich jakoś odnieść. Zawsze tam były, jeśli brał dwie noce z rzędu. Były takie rzeczywiste. Wygadywały na jego temat same okropne rzeczy, jakby istniały naprawdę. Udawał, że ich nie słyszy, chociaż opowiadały o sprawach, o których on sam nigdy by nikomu nie powiedział.

Spojrzał na lampkę nocną. Musiała być zapalona.

Trochę popisał, posprzątał celę, potem się masturbował, pościelił łóżko, znowu coś popisał, znowu się masturbował, sprzątał, ścielił łóżko. W każdej celi na bloku D1 w lewym skrzydle działo się to samo. Cały oddział był na prochach, nie mogli zasnąć, nie chcieli pracować, pozamykali się w celach.

Działki rozdał za darmo. Ich podejrzliwe spojrzenia i pytania znikły po zażyciu pierwszego grama. Brali tak długo, aż proszek się skończył. Właśnie tak zachowują się narkomani w więzieniach. Zgodnie z planem klawisze mieli się domyślić, że prochy przyniosła tamta dziwka. Następnym razem ją zrewidują na podstawie decyzji prokuratora. I niczego u niej nie znajdą.

Człowiek dostaje to, na co zasługuje.

Przysunął bliżej lampkę nocną. Jej blask odbijał się teraz od betonowej ściany i w celi od razu zrobiło się jaśniej. Jego babcia często tak robiła — wypędzała ciemność światłem, które chroniło. Czasem mu się zdawało, że jego mama też tak robiła. Przestała go odwiedzać, gdy trafił do Bärby. A może to on ją poprosił, żeby już nie przychodziła? Chyba właśnie tak było.

Blask bijący od lampy ginął w świetle wpadającym przez okno.

Leżąc na łóżku, odwrócił się w stronę kraty. Niebo, na nim kilka chmur. Tylko tyle stąd widać.

Jeszcze dwadzieścia dwa dni.

Wiedział, jak to działa: *pierwsza ściana*, co odróżnia jedną ścianę od innej.

Aż na nią trafią, aż znajdą się najwyżej, aż już nie będzie żadnej następnej ściany.

— Zabiję was wszystkich!

Krzyczał tak, aż przerwało mu zgrzytanie klucza w zamku.

To ta nowa pizda.

— Co tu się dzieje?

— Zamknij za sobą drzwi.

Strażniczka stała w miejscu. Była niewiele starsza od niego. Stała tak, udając, że nie czuje obrzydzenia.

— BM.

Zadziałało.

— Tak myślisz?

Badanie moczu. Dzisiaj. Następnym razem będą psy, decyzja prokuratora i okaże się, że dziwka jest czysta.

Zadziałało.

— Badanie moczu. Natychmiast. Idziemy do gabinetu zabiegowego.

Rozebrał się, a gdy nagi wychodził na korytarz, odwrócił się w jej stronę.

— Jak chcesz sobie popatrzeć, masz teraz okazję.

Strażniczka szła za nim w odległości pół kroku. Na jego udzie zauważyła zainfekowaną, krwawiącą ranę. Na drugim pojawił się tatuaż, całkiem nowy. Składał się z liter, ale nie potrafiła odczytać napisu.

Przyszli do małego pokoju, nie większego od celi. Znajdował się naprzeciwko kącika telewizyjnego, obok akwarium. Na podłodze, przed sedesem, było zamontowane duże lustro. Po obu stronach sedesu wisiały dwa inne lustra. Dwaj strażnicy obserwowali jego członek i ani przez chwilę nie odrywali od niego wzroku. To ma być jego mocz, na dodatek świeży.

Julia Bozsik nałożyła gumowe rękawiczki i podała mu biały kubek. Leon wykonał w jej stronę kilka ruchów biodrami. Strażniczka spojrzała na niego.

Bała się.

Bardzo się bała.

Ale za nic w świecie nie wolno jej tego okazać.

— A jeśli nie będę mógł się wysikać? Jeśli uważam, że tacy jak ty nie powinni żyć?

— Jeśli odmówisz poddania się badaniu moczu, zgłoszę to naczelnikowi i dostaniesz dziesięć dodatkowych dni do odsiadki. Następnym razem kolejne dziesięć.

Boi się. Naprawdę się boi.

Leon jeszcze raz wykonał w jej stronę kilka ruchów biodrami i uśmiechnął się. Przysunął kubek do członka i popuścił kilka pierwszych kropel. Robił już takie testy w Eknäs i Bärby, wiele razy poddawał im się w Mariefred, ale zawsze na wydzielonym oddziale szpitalnym. Pielęgniarki w białych fartuchach rozdawały im plastikowe kubki i potem je od nich odbierały. Tutaj taki pokój jest na oddziale w bloku. Okropnie cuchnie.

— Chcesz zobaczyć więcej?

Leon trzymał kubek napełniony moczem aż po brzegi. Wyciągnął rękę w jej stronę, ale gdy chciała go od niego odebrać, przekręcił go dnem do góry i wylał zawartość tuż przed jej stopami. Pilnował się, żeby nie wylać moczu na jej nogi, bo mogliby go oskarżyć o napaść na funkcjonariusza służby więziennej.

— Chciałaś, żebym nasikał. Groziłaś, że inaczej dostanę dodatkową karę. Zrobiłem więc tak, jak kazałaś, i nasikałem.

Kiedy wyszedł z pokoju, przed drzwiami zdążyła się ustawić kolejka. Stali w niej Ćpun, Alex, Virtanen, Västerås, Marko i Hrabia. Zatrzymał się na chwilę przed Ćpunem, który zawsze potrzebuje nowej działki i ciągle uśmiecha się jak idiota.

— Pamiętasz naszą umowę, Ćpunie?

Ćpun obiecał mu, że weźmie od strażniczki kubek, nasika do niego na jej oczach, a potem wyleje mocz przed jej nogami tak, żeby jej nie ochlapać.

Testowi nie podda się cały oddział. Jeśli klawisze mieli jeszcze jakieś wątpliwości, to teraz już wiedzą, że na bloku jest pełno prochów.

Leon minął go, ale nadal nie rozumiał, dlaczego Ćpun tak głupio się uśmiecha. Miał ochotę go walnąć, nienawidził tych jego rozchylonych warg. Wygląda tak, jakby... ale nie tutaj, nie na oczach klawiszy. Odwrócił się i ruszył nagi z powrotem do swojej celi.

...

Nawet nie zauważał krat. Mur stał się przezroczysty. Tam, na zewnątrz, jest słońce, niebo, inne życie.

Dwadzieścia dwa dni.

— Zabiję ich wszystkich!

On i Alex siedzą w Aspsås — to zakład o zastrzonym rygorze pierwszego stopnia.

Reza siedzi w Österåker, Uros w Storbodzie — oba zakłady o zastrzonym rygorze drugiego stopnia.

Są pod kluczem, pod stałym nadzorem, spędzą tam wiele lat, żeby ci, którzy nie mają mówić, mówili.

Prawda, bracie? Żołnierz jest z nami albo przeciwko nam.

Tym razem zapukała. To znowu ta cipa, strażniczka. Zdążył się już ubrać.

— Prosiłeś o widzenie.

— Tak.

— Pokój numer dwa.

Szli korytarzem przez oddział, potem długim podziemnym przejściem pod spacerniakiem. Weszli schodami do centralnej dyżurki i do pokoju widzeń po prawej stronie. Tydzień temu rozebrał w nim tamtą sukę i wyjął z niej dwieście gramów amfy.

W pokoju stoi wąskie łóżko z materacem w plastikowym pokrowcu. Papier toaletowy, prezerwatywy, ciekący kran nad umywalką, stolik na środku pokoju i widok z zakratowanego okna.

W pokoju czekał adwokat.

Siedział na krześle, pod pachą trzymał teczkę. Tłusty, łysy mężczyzna, Leon nawet nie pamiętał jego nazwiska, chyba zaczynało się na „P”. Właściwie już wykorzystał wszystkie widzenia za ten okres, ale mieli dobrych adwokatów. Są jak gliny albo księża — zjawiają się, gdy ktoś ich wzywa. Można stosować tę sztuczkę dowolną liczbę razy.

Leon usiadł na drugim krześle i czekał. Adwokat otworzył teczkę i położył na stole plik papierów.

— Przyniosłem to, o co mnie prosiłeś.

WYROK SĄDU REJONOWEGO W SÖDERTÖRN

Sprawa nr 211-1.

Pozwany: Jensen, Leon.

Rodzaj popełnionego przestępstwa: napad.

Przepis prawa: art. 8, §6 kodeksu karnego.

WYROK

1. Kara więzienia: cztery lata i sześć miesięcy.

2. Bez prawa do ubiegania się o zwolnienie warunkowe.

— Słyszałem to i owo.

Leon przysunął plik papierów bliżej siebie.

— Ktoś mi powiedział, żebym czytał. Usłyszałem: „jak chcesz trafić na inną ścianę, to czytaj”.

Sztokholm. Dworzec centralny. Kantor wymiany walut Forex. Późny wieczór. Było już dość ciemno.

Trzymał w ręce broń. Alex był uzbrojony w kałasznikowa, Reza też. Uros czekał przed dworcem w samochodzie z włączonym sinikiem.

— Słyszałem to i owo. Że pewne osoby opowiadają rzeczy, o których te osoby nie powinny opowiadać.

Niski, mocno zbudowany adwokat zmienił pozycję. Taboret był niewygodny. W pokoju widzeń zawsze takie stoją. Im bardziej zaostrożony rygor, tym bardziej niewygodne krzesła, jakby kara osadzonego obejmowała też jego gości.

— Czego ty właściwie chcesz?

Dowódcy mają władzę nad adwokatami.

Adwokat czuł obrzydzenie.

Wiedział, czego chce siedzący przed nim młody mężczyzna; wiedział, dlaczego domagał się widzenia ze swoim pełnomocnikiem. Wiedział, do czego to doprowadzi.

Znowu poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. W więzieniu zawsze tak było. Niektórzy odczuwają wtedy ucisk w klatce piersiowej, inni ból czoła, a jego zawsze boli brzuch.

— Interesują mnie protokoły przesłuchań.

Adwokat położył dłoń na drugim stosie papierów. Miał wilgotne palce i mocno przyciskał je do dokumentów.

— Chcę przeczytać treść przesłuchań.

Adwokaci mają robić to, co im każemy.

Adwokat przyciskał papiery prawym palcem wskazującym. Dłonią unieruchomioną na stalowej szynie owiniętej białym bandażem chwycił jeden z dokumentów. W chwili, gdy zauważył, że Jensen go obserwuje, cofnął rękę, jakby ktoś mu ją złamał po raz drugi.

Jeśli nie, zostaną ukarani.

— Chcesz poczytać?

Adwokat widział takie rzeczy już wiele razy. Członkowie gangów zaczynają się domagać akt śledztwa i innych dokumentów, na podstawie których dostali wyroki. Chcą się dowiedzieć, kto mówił za dużo i kogo należy za to ukarać.

— Mam ci jeszcze raz powtórzyć? Czegoś nie zrozumiałeś?

Potem za każdym razem dzieje się to samo. Przywódca gangu oczyszcza organizację z tych, którym przestał ufać. W ten sposób ją wzmacnia, chroni.

— Chcę przeczytać zeznania, które składali Daniel Wall i Javad Kittu.

To jeden z tych klientów, którzy w innych okolicznościach niczego nie czytają: ani książek, ani gazet. Jednak po wysłuchaniu wyroku sądu żądają dostarczenia im protokołów przesłuchań policyjnych, treści podsłuchów, wyników testów i badań technicznych. Następnie studiują każde słowo, tłumaczą sobie każdy przecinek.

— Wszystkie?

— Takie mam prawo.

Leon obserwował zabandażowany palec, którym adwokat przewracał kolejne kartki. Po tym, jak na Dworcu Centralnym zaliczyli biuro Forexu, darli się w samochodzie jak opętani. Stali się panami świata. Kiedy przejeżdżali mostem obok parlamentu, opuścił szybę i zaczął krzyczeć jeszcze głośniej. Reza zdjął koszulkę i wystawił na zewnątrz swój nagi tors. Uros wyprzedzał inne samochody od prawej i od lewej, a Alex siedział z tyłu i bez przerwy śpiewał. Wyjechali z miasta i ruszyli autostradą do Råby. Trąbili jak wariaci, śmiali się jak wariaci. Potem wszystkie banknoty dolarowe ukryli w szafie w mieszkaniu Danny'ego, resztę pod łóżkiem Javada. Szwedzkimi pieniędzmi podzielili się w kawiarni w centrum miasta. Każdy kupił sobie nowy samochód i zaparkował w podziemnym garażu. Kupili sobie też nowe telewizory z białymi głośnikami, a potem przez kilka kolejnych wieczorów siedzieli przy stoliku przy oknie, z którego rozciągał się widok na plac Stureplan.

— Tak. Masz prawo je przeczytać.

Adwokat odwrócił się w stronę zakratowanych okien i widocznego za nimi muru. Siedział plecami do więźnia i dokumentów, które nie były mu już do niczego potrzebne.

— A ja mam prawo nie wiedzieć, do czego ci jest potrzebna ta wiedza.

Czasem, gdy nie boli go brzuch tak jak teraz, uśmiecha się na myśl o ich udawanej moralności, udawanym honorze, udawanym szacunku. Na myśl o wszystkich wielkich słowach wypowiedzianych przez małych chłopców.

— W tej stercie papierów są protokoły przesłuchań Daniela Walla.

Nr dziennika 0211-K166723-11

Prowadzący przesłuchanie, Jan Zander (PP): Chcę usłyszeć odpowiedź na moje pytanie.

Daniel Wall (DW): Pytał pan o... Dworzec Centralny?

PP: Tak.

DW: A więc... mamy... typa, którego być może znam.

PP: Znasz kogo?

DW: Ale niezbyt dobrze.

PP: Niezbyt dobrze?

DW: Słabo, kurwa.

PP: A tamtego dnia? Spotkałeś Leona Jensena?

Jednak w przypadku chłopaka, który siedzi po drugiej stronie stołu, chodzi o coś więcej niż czyszczenie szeregów, karanie zdrajców, chronienie pozostałych członków gangu, wzmacnianie całej grupy.

Nr dziennika 0211-K-166729-11

Prowadzący przesłuchanie, Leif Lundh (PP): Dobrze.

Javad Kittu (JK): Co, kurwa, dobrze?

PP: Że sobie przypomniałeś, że był w ubraniu.

JK: Pieprzysz, glino.

PP: Jakie to było ubranie?

JK: Zwykłe.

PP: Co to znaczy zwykłe ubranie?

JK: Bluza z kapturem. Dresy.

PP: Jakiego koloru?

JK: Chyba ciemne. Reza miał jaśniejsze.

PP: A Jensen? Jakie miał ubranie?

Adwokat długo siedział zwrócony do niego plecami, a gdy Leon czytał, wstał z krzesła i podszedł do okna. Przyglądał się betonowym murom.

Jesteśmy rodziną.

Od czasu do czasu się odwracał, zerkał w stronę stołu na chłopaka, który przewracał kartki i czytał.

Jesteśmy braćmi aż do śmierci.

Pełen złości szukał odpowiedzi, których nie znajdzie, gapiąc się w podłogę ani uśmiechając się w milczeniu, ani krzycząc „klawisz!”. Szukał tego, za co zawsze jest kara.

Człowiek zawsze dostaje to, na co zasłużył.

Kiedy Leon w ciszy i napięciu skończył czytać akta, przesunął stos papierów w stronę adwokata, który spakował je do swojej skórzanej teczki. A gdy młoda strażniczka otworzyła drzwi, żeby zaprowadzić więźnia z powrotem do jego celi, adwokat spojrział jej prosto w oczy. Nie trwało to długo, ale ta krótka chwila mu wystarczyła. W jej oczach ujrzał strach, który starała się maskować pewnymi ruchami i zdecydowanym spojrzeniem. Mimo to strach był aż nadto widoczny i dlatego zrobiło mu się jej żal. On już za kilka minut znajdzie się za murami.

— Jeszcze jedno — powiedział.

Leon pamiętał o tym, żeby przy pożegnaniu uścisnąć mu mocno rękę. Nawet przytrzymał jego dłoń dłużej. Dopiero potem zaczął się zbierać do wyjścia.

— Poproszono mnie, żebym ci przekazał, że twój pies nie żyje.

Leon zatrzymał się, czekając na dalsze wyjaśnienia.

— Amerykański staffordshire terier zaatakował policjanta w cywilu w mieszkaniu na trzecim piętrze przy Råby Allé sześćdziesiąt siedem. Został zastrzelony na miejscu. Trafiło go dwanaście kul.

Leon go wysłuchał, ale nie skomentował jego słów.

— Słyszałeś, co powiedziałem?

— Słyszałem, co powiedziałaś.

Adwokat nie wiedział, co jeszcze dodać, a wcześniej nie miał pewności, jak przekazać swojemu klientowi wiadomość, która z pewnością sprawi mu przykrość.

— I co?

— Jak to „i co”?

— Pies, wiesz... bardzo mi...

Adwokat doszedł do wniosku, że Leon chyba go nie zrozumiał. Dlatego odezwał się lekko podniesionym głosem.

— Mam też dobre wieści. Jeden z twoich przyjaciół, który został zatrzymany przez policję za groźby i napaść, został zwolniony z powodu braku dowodów. Prokurator nie zdołał udowodnić, że celowo poszczuł psa.

Adwokat wyszedł z pokoju i ruszył przed siebie szybkim krokiem. Zatrzymał się jednak przed schodami prowadzącymi do podziemnego tunelu, w którym wszystkie drzwi są zamykane na klucz. Doszedł do wniosku, że Leon nie zrozumiał jego słów. Dlatego prawie biegł i prawie krzyczał, aż w końcu jego klient się odwrócił. *Człowiek dostaje to, na co zasłużył.* Stał przez chwilę wpatrzony w drzwi, przez które nic nie było widać, w zasięgu kamery pod sufitem, która zrobiła zbliżenie na jego twarz i lekko przy tym zaskrzypiała. Był prawie pewien, że właśnie te słowa wypowiedział jego klient.

José Pereira zbliżał się powoli do miasteczka, nad którym górował biały kościół z dumnie wznoszącą się wieżą i rzędy szeregowców. W żadnym z nich na pewno nie mógłby mieszkać. Mimo to zazdrościł tutejszym mieszkańcom, którzy tworzyli wspólnotę i utrzymywali ze sobą bliskie kontakty. Był żonaty z kobietą, którą kochał od piętnastu lat, wychowywali bliźniaczki, które urodziły się w odstępnie czterech minut. Nadal nie potrafił wyrazić w odpowiednich słowach tego, co do nich czuł, bo miłość nie była nawet początkiem. Czasem miewał wyrzuty sumienia, bo to przez niego mieszkali w ciasnym mieszkaniu w centrum dzielnicy Södermalm. Bardzo lubił kawiarenki, restauracje i tłumy ludzi. Lubiał ich spotykać, przyglądać im się przez chwilę, wiedząc, że prawdopodobnie już nigdy więcej ich nie zobaczy. W Södermalm jest wszystko to, czego nie ma w Aspsås.

Pies trafiony dwunastoma pociskami.

Nieme zaślinione zwierzę, które nadal miało ochotę chwycić policjanta za ramię i rozszarpać je na strzępy.

Szukał odpowiedzi i znalazł ją. Widział skórę na udzie, kiedyś poparzoną w osiemdziesięciu pięciu procentach. Teraz była tam zainfekowana rana na miejscu tatuażu, który musiał zniknąć, z nazwą, którą od tak dawna znał. Na drugim udzie pojawiła się inna nazwa, jakby na znak, że coś za sobą zostawili, że dokądś zmierzają, że chcą zająć więcej przestrzeni.

Wezwał karetkę i dołączył do policjantów z wydziału narkotyków, którzy uruchomili niebieskie pulsujące światło i z dużą prędkością odjechali spod wieżowca. W środku, obok noszy, siedział sanitariusz. Dłoń położył na wilgotnym czole pacjenta. Chciał go w ten sposób uspokoić, bo mężczyzna był w szoku i wstrząsały nim drgawki.

Pereira nigdy wcześniej nie widział, żeby mimo tylu śmiertelnych strzałów życie nie zostało przerwane. Nigdy też nie widział tak poszarpanego ramienia.

Samotnie wrócił piechotą do komendy na obrzeżach Råby, gdzie swoją siedzibę miało centrum operacyjne zajmujące się zwalczaniem przestępczości w południowym Sztokholmie. Przez chwilę stał pod ścianą, po czym z najwyższego rzędu zdjął osiem fotografii mężczyzn, którzy do tej pory nazywali się Råby Warriors, podszedł do drugiej ściany

i powiesił je w najniższym rzędzie. Na końcu przymocował do ściany nowy podpis: *Ghetto Soldiers*.

Już mają swoją pozycję.

Kiedyś ich nazwiska były w segregatorach opieki socjalnej. Później trafiły do teczek na policyjnych biurkach. Niektóre znalazły się na pierwszej, inne na drugiej ścianie.

Udało im się.

Zjechał z autostrady, minął kościół i skierował się w stronę bramy w murze. Powoli podjechał bliżej, obserwowany przez cztery kamery, i nie wyłączając silnika, zatrzymał się przed bramą. Kiedy się otworzyła, zbliżył się do centralnej dyżurki, gdzie parkują tylko ci, którzy przyjeżdżają tu tak często, że każdy ich już dobrze zna. Przez chwilę siedział w samochodzie, żeby wysłuchać do końca utworu w radio. Lubił ten kawałek, choć nie pamiętał tytułu. W takich chwilach często się zastanawiał, jak długo można wytrzymać w takiej pracy. I czy to ma jakieś znaczenie. Dziewiętnaście lat w samym centrum zorganizowanej przestępczości. A przecież przestępstw ciągle przybywa, nie inaczej. Zdarzają się częściej, nie rzadziej, są brutalniejsze. Wiedział, że za jakiś czas kolejne pięć tysięcy szwedzkich młodocianych trafi do przestępczych struktur. Równie wielu już siedzi w więzieniach.

Za szklaną szybą zauważył jednego ze starszych strażników. Skinął mu przyjaźnie głową, a on machnął ręką, jeszcze zanim Pereira zdążył wyjąć legitymację służbową. Wszedł po schodach na drugie piętro, gdzie mieścił się pokój Oscarssona. Przed nową kanapą stał wózek z naczyniami. Naczelnik parzył sobie właśnie herbatę. Z filiżanki unosiła się para.

— Zielonej?

— Czarnej.

Dwie filiżanki z czarną i zieloną herbatą.

— Co u Marthy?

— Wszystko w porządku. Kazała cię pozdrowić.

— A dziewczynki?

— Rosną.

Pereira uśmiechnął się, a Oscarsson odwzajemnił uśmiech, jakby chciał, ale nie miał odwagi, jakby się bał, że uśmiech przeważy nad tym, co boli. Pereira wiedział, że naczelnik więzienia też miał kiedyś rodzinę, ale zostawił ją i teraz mieszka samotnie w domu, który widzi zza swojego biurka. Wystarczy, że się tylko lekko wychyli. Zawsze, gdy pyta go o dziewczynki — a robi to za każdym razem — brzmi to tak, jakby nie

chciał usłyszeć odpowiedzi, jakby nie chciał wiedzieć, że inni ludzie nadal mieszkają ze swoimi dziećmi i życie układa im się dobrze. Zawsze czuje się dość niezręcznie, odpowiadając na pytania Oscarssona, bo wydaje mu się, że kiedy mówi prawdę, Oscarsson zaczyna tęsknić jeszcze bardziej.

— Miałeś rację.

Pereira odstawił filiżankę z czarną herbatą.

— Przesunąłem ich wyżej na drabinie. Coś szykują. Muszę się dowiedzieć co.

Z twarzy Oscarssona znikł nieśmiały uśmiech. Pereira był mu za to wdzięczny. Dobrze zrobił, przechodząc od razu do rzeczy, zamiast dyskutować o dwóch dziewczynkach, które kochał ponad wszystko.

— Chciałbym cię spytać, czy już widziałeś coś takiego na terenie zakładu.

Podał naczelnikowi rysunek w plastikowej koszulce.

— To ostatni widoczny znak, gdy grupa zaczyna rosnąć.

Położył na biurku kartkę z kopią zupełnie nowego tatuażu, który zauważył na prawym udzie Gabriela Milтона.

— Ghetto Soldiers?

— Jeszcze do niedawna Råby Warriors. Najpierw działają pod miejscową nazwą, potem potrzebują czegoś więcej... czegoś filozoficznego. Tumba Lords zmienili nazwę na Fucked For Life. Bredäng Legion na Red Generation. Hallunda Boys na...

— Na organizację więzienną.

— Widziałeś już coś takiego?

— Nie, nigdy. Ale sama nazwa... Pojawia się tu już od kilku lat. To jedna z tych nazw, które funkcjonują tylko w zakładach karnych. To rodzaj organizacji, chroniącej tych, którzy siedzą w więzieniach. Nie słyszałem, żeby działali za murami...

— Leon Jensen i Alexander Eriksson to pełnoprawni członkowie gangu. Daniel Wall to jeden z *hangarounds*. Dowiedziałem się, że ma do nich dołączyć kolejny członek grupy. Dziewiąty. Według moich źródeł ma przejść próbę przed przyjęciem do organizacji...

— Kto to jest?

— Na razie nie wiem. Nie wiem, na czym ta próba ma polegać. I kto go jej poddaje.

Oscarsson sięgnął po kartkę, przysunął ją bliżej i przez chwilę studiował rysunek, który przedstawiał ludzkie udo, i krój czcionki. W końcu wstał z krzesła. Za biurkiem stał regał, na jednej z półek leżała plastikowa torebka. Otworzył ją i wyjął z niej golarkę.

— Skonfiskowaliśmy ją wczoraj w bloku D jeden, w lewym skrzydle. Przebywają tam Jensen i Eriksson.

Pereira dokładnie obejrzał golarkę firmy Braun, uchwyt zrobiony ze zgiętej łyżki, długopis pozbawiony wkładu i wycior do fajki.

— Gdzie to znalazłeś? U kogo?

Już kiedyś coś takiego widział. Jednak narzędzie, które trzymał w dłoni, było wykonane staranniej.

— W celi więźnia, który siedzi od wielu lat. Była ukryta w jego łóżku. Kiedyś, dawno temu, był bardzo agresywny, za to w naszej szkole wykazywał się niezwykłą wiedzą techniczną. Dzisiaj wygląda jak wrak. Nazywa się Sonny Steen. Wołają na niego Ćpun.

Pereira spojrzał na Oscarssona.

— Sonny Steen?

— Tak.

Pereira nie skomentował słów naczelnika. Jednak Oscarsson zauważył w jego wzroku jakby irytację albo zmieszanie. Pereira wstał z krzesła i zaczął krążyć po pokoju. Minę miał nadal poirytowaną. Wziął golarkę do ręki i zaczął ostrożnie dotykać poszczególnych elementów.

— Golarka. Długopis. Igła z drucianej szczotki. Łyżka, trochę taśmy klejącej. Każda część jest dozwolona w każdym więzieniu. Osobno, ale nie razem.

Obracał golarkę w ręce i rozglądał się za gniazdkiem w ścianie. Włożył ją i włączył. Igła brzęczała, poruszając się w regularnym tempie.

— Chcę tam wejść.

— Wejść?

— Na blok D jeden. Do celi Jensena. Sam.

— Wiesz, że to zabronione.

— A ty wiesz, że robiłem to już wcześniej.

Oscarsson wziął od niego golarkę, wyłączył ją i włożył z powrotem do plastikowej torebki. Potem pokręcił głową.

— Zdecydowanie ci to odradzam.

— Muszę.

— Chodzi o twoje bezpieczeństwo, na oddziale... nie mogę ci go zapewnić.

— Muszę znaleźć odpowiedź na pytania, które mnie dręczą... muszę tam wejść sam. Wiesz o tym. Nie mogę stracić twarzy.

Oscarsson rozłożył ręce, wskazując na miejsce przy biurku, gdzie przed chwilą siedział.

— Załatwię ci pokój przesłuchań. Jeśli żaden pokój widzeń nie będzie wolny, możesz wykorzystać mój gabinet. Oto mój fotel. Siadaj.

Jednak Pereira nie usiadł. Stał w miejscu i wcale nie zamierzał przyjąć zaproszenia Oscarssona.

— Muszę go sprowokować. Zakwestionować jego autorytet. I zrobię to właśnie tak: wejdę sam do jego celi i pokażę mu, że się go nie boję. Rzucę mu wyzwanie.

Przez chwilę obaj w milczeniu mierzyli się wzrokiem. Jeden zmierzał do konfrontacji, drugi chciał mu to odradzić.

— Przepraszam, jeśli przeszkadzam.

Ani Pereira, ani naczelnik nie słyszeli jej pukania.

— Prosił pan o raport.

W progu stanęła strażniczka w mundurze. Oscarsson dał jej znak, żeby weszła do pokoju.

— Tak?

— Blok D jeden, lewe skrzydło. Grupowe badanie moczu.

— No i?

— Nie udało się zrobić analizy, bo zawartość pojemników wylali na podłogę.

— Dobrze.

Na podłogę! A potem tylko stali i czekali na jej reakcję.

— Dobrze?

— Tak, bo teraz już wiemy. Każdy z nich miałby pozytywny wynik. Dopilnuję, żebyśmy przed kolejnymi odwiedzinami załatwili decyzję prokuratora. Okay?

Strażniczka skinęła głową i wyszła z pokoju. Zanim zamknęła za sobą drzwi, Oscarsson jeszcze raz ją zawołał.

— Bozsik!

Kobieta wsunęła głowę przez szparę w drzwiach.

— Słucham?

— Zaprowadź naszego gościa na oddział.

Pereira odwrócił się do Oscarssona i podziękował mu lekkim skinieniem głowy. Potem spojrział na strażniczkę.

— José Pereira. Sekcja do Walki z Przestępczością Zorganizowaną.

Kobieta przez chwilę mierzyła wzrokiem obcego mężczyznę w cywilnym ubraniu.

— Jest pan policjantem?

— Tak.

— Z całym szacunkiem, ale myślę, że wizyta na tamtym oddziale to kiepski pomysł. Albo w ogóle wizyta w tym więzieniu...

Pereira skierował się do drzwi.

— Potrzebuję informacji. Zależy mi, żeby wiedzieli, że przyszedłem tu w poszukiwaniu informacji. A co do pani obaw... sam zadbam o swoje bezpieczeństwo.

Schodami zeszli do tunelu. Kiedy mijali pierwszą kamerę przy pierwszych drzwiach zamkniętych na klucz, Pereira zerknął na towarzyszącą mu strażniczkę. Ta młoda dziewczyna odradzała znacznie starszemu od niej policjantowi wizytę w miejscu, gdzie każdego dnia sama spędza po osiem godzin.

— Boi się pani.

Pereira poznał to po jej oczach i po sposobie, w jaki się do niego zwracała. Udawała zbyt pewną siebie.

Bozsik nie odpowiedziała. W milczeniu zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami.

— Pani się ich boi.

Rozległ się charakterystyczny dźwięk i drzwi się otworzyły. W milczeniu weszli do betonowego tunelu i skierowali się w stronę kolejnych drzwi, nad którymi wisiała kolejna kamera.

Pereira się nie odzywał, strażniczka unikała jego wzroku.

W końcu odpowiedziała.

— Tak.

Znowu rozległo się charakterystyczne kliknięcie. Mimo to oboje stali w miejscu.

— Boję się.

I znowu kliknięcie. Zbliżenie kamery. Oboje jakby tego nie zauważali.

— Boję się za każdym razem, gdy na mnie patrzą.

W końcu ruszyli korytarzem w stronę ostatnich drzwi. Skręcili w prawo i weszli schodami na oddział w bloku D1. Bozsik zatrzymała się w pół drogi.

— Boję się tych, którym nie zależy, co będzie z nimi w przyszłości. Rozumie pan?

Pereira spojrzał jej w oczy. Wyczytał w nich, że dziewczyna długo tu nie popracuje.

— Tak, rozumiem.

Kolejne schody prowadzące w górę. Oddział D1, lewe skrzydło.

— Stąd pójdę już sam.

Bozsik patrzyła na niego zbyt długo, jakby chciała mu powiedzieć coś więcej na temat, o którym nie potrafiła opowiedzieć w miejscu, gdzie powinna wykazać się siłą i odwagą.

— W takim razie proszę tu poczekać.

Bozsik mogła być starsza od jego córek o dziewięć, dziesięć lat. Nawet nie wiedział, jak ma na imię. Mimo to zaufała mu i przyznała się do czegoś, co ukrywa przed innymi. Czekał na jej powrót. Bozsik poszła do dyżurki i chwilę później wróciła. W ręce trzymała długą szarą blaszkę z czerwonym guzikiem z boku.

Urządzenie alarmowe.

— To na wszelki wypadek.

Pereira uśmiechnął się do niej, wziął blaszkę i włożył do kieszeni.

Przed nim ciągnął się długi korytarz. Był tam kącik telewizyjny, kuchnia, stół bilardowy. Szesnaście cel, osiem po każdej stronie korytarza.

Nagle zapadła całkowita cisza, jakby wszystko zamarło.

Dwaj więźniowie, którzy grali w bilard, przerwali grę. Śledzili go uważnym wzrokiem i demonstracyjnie podrzucali bile, jakby chcieli przyciągnąć jego uwagę. Czterej inni, którzy grali w karty przy okrągłym stole, ściszyli telewizor i w milczeniu mu się przyglądali. Kolejni dwaj stali w kuchni — jeden przy lodówce, drugi przy kuchence. Na jego widok odwrócili się i dwa albo trzy razy krzyknęli: „Pies na oddziale!”.

Pereira nie zatrzymywał się, tylko trochę zwolnił. Rozglądał się dokoła i rozpoznał przynajmniej trzech. Najpierw tego, który siedział przy stoliku po lewej stronie i grał w karty. Jego zdjęcie przeniósł niedawno z jednej ściany na drugą. Nazywał się Alexander Eriksson i był pełnoprawnym członkiem gangu. Obok niego siedział drugi, z kartami w rękach. To Marko Bendik, jeden z *hangarounds*. Gotów zrobić wszystko, żeby tylko wstąpić do gangu na stałe. Trzeci przy lodówce. To on skonstruował maszynkę do tatuowania, która leży teraz na biurku Oscarssona. Nazywa się Sonny Steen. Pereira był pewien, że to właśnie on, choć upłynęło już tyle czasu, a narkotyki zmieniły jego wygląd na zawsze.

— Szukam Leona.

Pereira rozglądał się po korytarzu, ale nikt mu nie odpowiedział. Przyglądali mu się w milczeniu. Zacisnął dłoń na urządzeniu alarmowym i poczuł strach.

— Szukam Leona Jensena.

Każdy, kto okazuje strach, doświadcza o wiele większej agresji.

Ten przy stole bilardowym zaczął podrzucać bilę częściej i szybciej. Drugi, tuż obok niego, chwycił swoją kulę i wykonał ręką gwałtowny ruch. Rozległ się nieprzyjemny dźwięk, ale nic więcej się nie stało.

— Pereira!

Jego nazwisko wypowiedział ktoś w otwartej celi w głębi korytarza.

Gdzieś na początku, po lewej stronie.

Cela numer dwa albo cztery.

— Nie powinno cię tu być. Chyba zabłądziłeś.

To on. Jensen. Pereira podszedł bliżej. Wiedział, że jest obserwowany. Inni siedzieli w celach i przysłuchiwali się scenie rozgrywającej się na korytarzu.

— Jestem absolutnie pewien, że nie zabłądziłem.

Pereira nie zdążył zobaczyć nadlatującej kuli. Za to ją usłyszał.

Minęła jego czoło o kilka centymetrów i uderzyła w ścianę.

— Jestem absolutnie pewien, że trafiłem we właściwe miejsce, bo to właśnie z tobą chcę porozmawiać.

— Nie gadam z glinami.

Pereira był zwykłym policjantem. Miał na sobie cywilne ubranie i zjawił się w miejscu, do którego inni policjanci przychodzą w grupie i ze sprzętem ochronnym. Wszyscy przyglądali mu się uważnie, czekając, aż okaże strach.

— Przyszedłem cię poprosić, żebyś podciągnął prawą nogawkę. Potem sobie pójdę.

Na korytarzu zapanowała niezwykła cisza. Więźniowie obserwowali ich czujnym wzrokiem. Karciarze prawie równocześnie wstali od stolika, ale Jensen dał im znak, żeby zostali na miejscu.

— Jak chcesz, możesz nawet obejrzeć mój tyłek.

Drzwi dyżurki były zamknięte. Prosił strażników, żeby puścili go samego, więc posłuchali. Usunęli się z zasięgu wzroku, poszli na kawę.

Pereira jeszcze mocniej zacisnął dłoń na urządzeniu alarmowym. Kciukiem dotknął czerwonego guzika.

— Prawa nogawka. Sam zdecyduj. Albo zrobisz to tu i teraz, albo później, w pokoju widzeń, w towarzystwie twoich ulubionych strażników. Ja będę się tylko przyglądał.

Szukał wzroku Jensena. Chciał sprawdzić, czy jego słowa do niego dotarły.

Jensen wiedział, że policjant, którego znał od wielu lat, nie zrezygnuje. Wiedział też, że osadzeni z innych cel spodziewają się jego gwałtownej reakcji i że nie może stracić twarzy.

— Prawa?

Wszędzie, gdzie coś robi, pojawia się ten gliniarz. Przeszkadza mu, staje na jego drodze, pisze te swoje raporty i wzywa go na przesłuchania. Rozmawia z jego matką.

W dniu, w którym skończył piętnaście lat, ten sam gliniarz przyszedł do ich domu. Drzwi otworzyła mu matka. Zrobił wtedy to, czego nie wolno mu było zrobić wcześniej: pobrał od niego odciski palców, sfotografował go i pobrał krew, żeby ustalić DNA, a w rubryce „znaki szczególne” wpisał „tatuaż”. Teraz już go tam nie ma.

Ta świnia ciągle go prześladowuje. Szuka guza.

— Możesz zobaczyć moją lewą nogę.

Jensen roześmiał się głośno i spojrział na pozostałych więźniów, którzy też wybuchli śmiechem. Potem powoli i ostrożnie podciągnął lewą nogawkę do połowy uda. Ukazała się duża, zainfekowana rana i pokrywający ją cienki strup.

Nie stracił twarzy, choć odpowiedział na pytanie gliny.

Pereira znowu spojrział mu w oczy, skinął głową i opuścił oddział.

Kierowca wjechał na środkowy pas. Starał się zachować dozwoloną prędkość, chociaż w tę ciepłą sierpniową noc ruch na autostradzie był niewielki. Jechał z południowej części Sztokholmu. Jasnoszarą mazdę ukradł godzinę wcześniej z parkingu w centrum Södertälje.

Minął Rönninge i kościół w Salem, a gdy zbliżał się do zjazdu na Råby, zmienił pas. Wjechał w dzielnicę przy Råby Allé i skręcił w stronę podziemnego parkingu, jednego z wielu parkingów pod blokowiskiem z tysiącami mieszkań. Jego pasażer był niskiego wzrostu, miał ponad trzydzieści lat i dużą nadwagę. Z trudem wygramolił się z ciasnego fotela. Udało mu się dopiero za drugim razem: chwycił dźwignię biegów i opierając się o nią, wysiadł z wozu. Wcisnął kod, a gdy brama garażu powoli się uniosła, skinął kierowcy głową. Kiedy samochód wjeżdżał do środka, poszedł za nim i został w garażu.

Noc, cisza, prawie żadnych dźwięków.

Słyszeć tylko jakieś stukanie. To obłuzowana stalowa listwa, w którą uderza podmuch powietrza z wentylatora.

Kierowca zamknął drzwi samochodu, ale nie zablokował zamków. Obaj ruszyli w stronę wyjścia. Kiedy szli przez dzielnicę pełną uśpionych domów, jeden z nich wyjął komórkę, wybrał numer, szepnął do słuchawki słowa „PSW sześćset pięćdziesiąt sześć” i rozłączył się.

...

Gabriel schował telefon. PSW 656. Teraz cały świat należał do niego. Znowu doświadczył tego samego uczucia — pewnego rodzaju euforii, jakby coś go nagle chwyciło za serce, jakby w tej samej chwili poczuł złość, łzy i całą nienawiść. Prawie się roześmiał, choć nigdy się nie śmieje, bo od bardzo dawna nie umie się śmiać. Ale tak to właśnie zapamiętał, jakby wewnątrz wszystko się podniosło, jakby poczuł ulgę.

Siedział na ławce na rynku w Råby. Po odebraniu telefonu podniósł się i ruszył w kierunku wejścia do podziemnego parkingu. Ogarnęła go prawdziwa euforia, czuł przepełniającą go moc, otaczający go świat. Z kieszeni z przodu bluzy wyjął rewolwer. Miał go od dawna i bardzo go lubił. Poszedł sprawdzić, czy samochód zaparkował w miejscu, gdzie miał

zaparkować, otworzył bębenek w rewolwerze, wyjął z niego sześć nabołów i przez chwilę trzymał je w dłoni. W końcu jeden włożył z powrotem do bębena. Mocno złapał kolbę, drugą dłonią pokręcił bębniem. Uniósł rewolwer, przyłożył lufę do skroni i pociągnął za cyngiel. Rozległ się trzask, choć równie dobrze mógł się rozleć potężny huk. Znowu się roześmiał. Otworzył bębenek i włożył do niego resztę nabołów.

Jego kumple zjawili się jednocześnie.

Jon z Råby Allé 6, Bruno z Råby Allé 36, Duży Ali i Javad z Råby Allé 77. Przez blaszane drzwi weszli do podziemnego parkingu i zbliżyli się do szarej mazdy o numerze rejestracyjnym PSW 656.

Czekali na Gabriela. Ten wyjął telefon i wybrał numer, który znał tylko on.

Dzwonił do człowieka, który właśnie teraz leżał w łóżku w blasku lampy.

...

Wyłączył dzwonek telefonu, leżał i czekał.

Nagle aparat zaczął świecić i pulsować.

Ukrywał go w kuchni, w drzwiach lodówki, w których wyciął otwór. Zabrał go stamtąd po spotkaniu z adwokatem w pokoju widzeń.

— To ty, bracie?

Głos Gabriela. Od razu poczuł, jak ogarnia go fala ciepła.

— Kochany bracie.

Nigdy w życiu nie zaufał żadnemu gnojkiowi. Wiedział, że Gabriel też nigdy nikomu nie ufa. Obaj nie ufają nikomu, a zarazem ufają sobie.

— Już tam jest.

— Numery?

— PSW sześćset pięćdziesiąt sześć.

— Lewe przednie koło. Oparcia przednich foteli.

Leon poprawił lampkę nocną. Ustawił ją tak, że w celi zrobiło się ciemniej niż zwykle.

— No i wyrok.

— Tak?

— Czytałem go.

— I co?

— Wszystko wyśpiewali, bracie.

Jego adwokat powiedział mu, że proces przeciwko członkom gangu jest możliwy tylko wtedy, jeśli któryś z nich zdecyduje się sypnąć swoich kumpli i współpracować z policją.

— Kto?

— Javad.

PP: Jakiego koloru?

JK: Chyba ciemne. Reza miał jaśniejsze.

— Zajmiesz się nim. W Masmu, w mieszkaniu jego matki.

— Kto jeszcze?

— Danny.

PP: A więc spotkałeś wtedy Leona Jensena?

Adwokat wiedział, że jeśli ktoś zacznie sypać, spotka go kara. Stanie się ofiarą przemocy, bo przywódca gangu musi karać kapusiów i oczyszczać szeregi, żeby sytuacja się nie powtórzyła.

— Ja zajmę się Dannym. W jego celi. To piętro wyżej.

Leon nie chciał się jeszcze rozłączać, bo czuł się tak, jakby był blisko Gabriela. Chciał tam zostać tak długo, jak tylko się da.

— Kocham cię.

— Kocham cię, bracie.

...

Tak bardzo brakuje mu Leona. Chciałby razem z nim zabrać towar z tamtego samochodu.

Otworzył bagażnik i wsunął rewolwer do kieszeni bluzy. W środku znalazł łyżkę do opon. Podał ją Brunonowi, który zabierał się właśnie do odkręcania lewego przedniego koła.

Duży Ali i Jon poszli na tylne siedzenia, przecięli nożem zagłówek i wyjęli z niego cztery plastikowe paczuszki. Skończyli prawie w tym samym momencie, gdy Bruno odkręcił nakrętki na śrubach i zdjął koło z osi.

Weszli do budynku przy Råby Allé 85. Wjechali windą na piąte piętro.

Gabriel otworzył drzwi mieszkania kluczem zawieszonym na ciężkim pęku i poszedł do dużego pustego pokoju. Bruno rzucił koło na podłogę. Potoczyło się pod ścianę, odbiło od niej, przez chwilę obracało, aż w końcu upadło na parkiet. Bruno posłużył się tym samym nożem, którym przed chwilą Jon ciął zagłówek. Wbił go w oponę, a gdy usłyszał syk powietrza, rzucił nóż na podłogę. W kilka sekund z opony uszło prawie całe powietrze. Wziął rozpęd i z impetem na nią skoczył. Powtórzył tę czynność. Za trzecim razem opona nieco odeszła od błyszczącej obręczy, za piątym razem trochę bardziej. Odwrócił ją i znów zaczął skakać, aż puściła. Teraz do pracy przystąpili Duży Ali i Jon. Obaj wzięli do ręki łomy z cienkim końcem. Wsunęli je pod gumowy brzeg opony i centymetr po centymetrze zaczęli ją podważać, aż pod spodem zrobił się luz, a wtedy Bruno wyjął ze środka cztery cienkie paczuszki przyklejone taśmą do felgi.

...

Na parkiecie rozłożyli duży kawałek cynfolii. Kładli na niej białe i żółte kapsułki, aż urósł okazały stos.

Najpierw cztery pękate paczuszki wyjęte z zagłówka — sześćset żółtych kapsulek z amfetaminą z Tajlandii. Są dla stu dwudziestu klientów, którzy kupują co tydzień.

Potem cztery płaskie paczuszki ukryte w przednim kole — dwieście białych kapsulek z rosyjską heroiną dla siedemdziesięciu klientów.

W sumie osiemset kapsulek, które od razu przepakowali i włożyli do czterech reklamówek.

...

Kiedy w pustym mieszkaniu rozlega się dzwonek, dźwięk odbija się echem od ścian.

Jeśli na dodatek jest noc i nie ma żadnych innych dźwięków, dzwonek brzmi niczym syrena.

Są tacy gorliwi. Ich drobne dłonie tak długo naciskały przycisk dzwonka, aż w końcu w mieszkaniu rozległy się szybkie kroki i drzwi otworzył Gabriel. Cała czwórka od razu się wyprostowała, ale wzrostu im od tego nie przybyło.

Najmłodszy miał jedenaście lat, najstarszy trzynaście.

Gabriel dał każdemu z nich po jednej reklamówce, każda zawierała po dwieście kapsułek. Od razu rozpoznał najwyższego, tego po prawej, który powiedział mu: „To ja jestem Eddie”. Miał złoty łańcuch na szyi i zaczesane do tyłu włosy, a na policzku ślad po jego pierścieniu.

**Pozostało
czternaście dni**

Tej nocy Leon nie spał. Nigdy nie śpi, gdy w pomieszczeniu jest ciemno.

Włączył lampkę, która przestała działać, gdy trafił do więzienia.

Nigdy nie zaśnie, bez względu na to, gdzie jest.

Nie mógł zasnąć, gdy mieszkał w internacie szkolnym w Örkelljunga, w rodzinie zastępczej w Västervik, w prywatnej szkole terapeutycznej w Liljanskolan, w rodzinie zastępczej w Arvidsjaur, a potem w Jönköping, w poprawczaku w Eknäs, w poprawczaku w Vemyrze albo w zakładzie karnym w Mariefred, albo w więzieniu w Aspsås. Tak samo było w ciągu tych kilku miesięcy, które spędził razem z matką w Dziecięcej Wiosce w Skå. Przyjechali tam z Hinsebergu i próbowali się nauczyć, jak być rodziną. Nawet wtedy.

Dziwna noc.

Odebrał telefon od Gabriela i słuchał, jak zdejmują oponę i rozcinają nożem zagłówek.

Zapukał w ścianę celi numer cztery, ale bez odzewu. Ten gnojek chyba śpi.

Znowu zapukał, potem jeszcze raz, a gdy usłyszał odzew, przycisnął usta do obdrapanej ściany i krzyknął: „Marko Bendik będzie jutro chory”. Potem wsłuchiwał się, jak wiadomość przekazywano w taki sam sposób z celi numer cztery do celi numer sześć, potem do celi numer osiem i dziesięć, aż w końcu dotarła do Marka.

Ktoś zapukał do drzwi celi.

— Dzień dobry.

Znowu ta cipa.

— Dzień dobry. Czas wstawać.

Nie odpowiedział.

— Jeśli nie wstaniesz, napiszę raport. Już raz cię ostrzegałam.

Nie ruszył się z łóżka. Przewrócił się na drugi bok i czekał, aż strażniczka wyjdzie z celi.

Wczoraj dostał wiadomość. Przekazał ją sprzątaczy, którego najpierw pobili, a potem zaczęli opłacać. Powiedział, że gliniarz Pereira przewiesił ich zdjęcia na pierwszą ścianę. Teraz szykuje coś nowego. Dzięki temu trafi jeszcze wyżej.

Dzisiaj znowu odwiedzi go ta suka. Tym razem będzie tylko śmierdzieć, żadnego towaru nie przyniesie. Klawisze pokażą jej nakaz, przyprowadzą psa i dokładnie ją obszukają. Dlatego nie wolno im będzie zrobić tego podczas następnej wizyty.

Małolat sprzeda kolejną partię towaru i rozliczy się z pieniędzy. Powinno wystarczyć na zakup broni i mieszkania.

Marko musi przejść próbę, zanim przyjmą go do gangu. Po niej stanie się pełnoprawnym członkiem grupy. W tym czasie Gabriel robi na zewnątrz to, co do niego należy.

To będzie dobry, długi dzień.

Prawie się uśmiechnął.

Może ją przeleci, może każe komuś zapłacić karę?

Następnym razem sprzętacz im przekaże, że gliniarz przesunął ich jeszcze wyżej.

Nadal nie podnosił się z łóżka. Leżał i słyszał, jak inni idą pod prysznic, jedzą śniadanie. Jedni szli do warsztatu, inni na zajęcia szkolne. Został tylko jeden klawisz, który ukrył się z kawą w akwarium. W końcu wyszedł ze swojej celi i poszedł do dwunastki.

— Wyglądasz na chorego.

— Chyba się rozchorowałem w nocy.

Marko stał w celi, bo nie mógł się już po prostu doczekać. Za pierwszym razem, gdy jeszcze mieszkał w internacie szkolnym w Örkelljunga, codziennie się dopominał, żeby go ze sobą zabrali. W końcu Leon się zgodził. Miał im pomóc ukraść cztery mercedesy, którymi zamierzali potem uciec. Za drugim razem — było to w zamkniętym zakładzie opieki Sirius — znowu im się naprzykrzał, żeby go wzięli, więc też się zgodzili. Miał awansować na poziom „prospekta”. Za trzecim razem siedzieli w Klockbacka. Kiedy zaczął marudzić, zrobili z niego posłańca. Miał zmuszać swoich kumpli do zażywania narkotyków i ściągając długi, łamiąc im mały albo serdeczny palec. Te dwa palce są najmniej ważne, więc złamane nie zwracały dużej uwagi. Czasem, gdy była taka konieczność, kazał Markowi wzniecać rozróbę. Marko niszczył wtedy wyposażenie w swoim pokoju. Po sześciu latach Leon uznał, że Marko nie nadaje się do gangu. Jednak przywódcy szukają czasem ludzi o szczególnych cechach. On też potrzebował teraz kogoś, kto będzie gotów zrobić wszystko, czego zażąda.

— Chciałeś przejść próbę, żebyśmy cię przyjęli do naszej grupy.

Jest ich ośmiu.

— Tak?

Powinno ich być dziewięciu.

— Danny, *hangaround*.

Marko czekał w pogotowiu. Leon wskazał ręką na sufit. Danny siedział na oddziale piętro wyżej.

— Blok D dwa, lewe skrzydło, cela dwunasta.

...

Wanda poczuła na piersiach jego dłoń. Były drażliwe, zwłaszcza wokół brodawek, więc się odsunęła. Gabriel przysunął się bliżej, dotykał jej skóry. Poczwała dreszcz albo coś, co go tylko przypominało, jakby coś ją uciskało albo szczypało, jakiś dziwny niepokój w ciele.

Kiedy dotknął jej podbrzusza, dając do zrozumienia, że jej chce, nadal leżała z zamkniętymi oczami i udawała, że śpi.

Czasem tylko siedział i po prostu na nią patrzył. Kiedy nie widział, spoglądała na niego spod zmrużonych powiek. W takich momentach patrzył na nią inaczej, miał łagodną twarz, jakby ją lubił. Kiedy się budziła, wyraz jego twarzy się zmieniał, a gdy zauważył, że na niego zerka, zachowywał się tak, jakby uległ nagłej niedyspozycji: ściągnięte usta, napięta twarz i nieruchome oczy, które płoszyły to, co widziały.

— Nie dzisiaj.

Czuła, że jej pragnie, ale odsunęła jego rękę.

— Co jest, kurwa...

— Ani dzisiaj, ani jutro. Sam wiesz dlaczego. Później tak.

Długo na nią patrzył, ale nie zmuszał jej. Nie chciał, żeby robiła coś wbrew swojej woli, nie chciał jej namawiać. Szanował ją, chociaż nigdy wcześniej nie szanował żadnej kobiety. Czasem docierało do niego — ale tylko czasem, i to na krótką chwilę — że czuje do niej coś, co przypomina jego uczucie wobec Leona. Był tego świadom i wstydził się tego.

Wanda przewróciła się na bok i wstała z łóżka. Kiedy wychodziła z pokoju, przez szczelinę między kocem a framugą padły na jej twarz promienie słońca. Przeszła przez przedpokój i duży pokój, wszędzie było pusto. Jon, Bruno, Javad i Duży Ali dokądś poszli. Uśmiechnęła się. To fajnie, bo kiedy ich nie ma, Gabriel jest całkiem miły. Nie gapią się na nią i nie mówią do niej: „Chodź tu, dziwko”. Znowu się uśmiechnęła i poszła pod prysznic.

...

Leon stał na pustym korytarzu. Na całym oddziale panowała zupełna cisza.

Przed chwilą wyszedł z celi Marka.

Próba. Marko powinien się ucieszyć, powiedzieć: „Miłość, bracie”, objąć go z radością. Przecież od dawna czekał na taką okazję. Tymczasem Marko nie zareagował tak, jak on kiedyś, nie roześmiał się głośno, nie

okazał radości. Tacy jak on tego nie robią, nie okazują radości w ostentacyjny sposób, bo wtedy ktoś mógłby im tę radość odebrać.

Podszedł do drewnianych drzwi z niewielką szybą pośrodku i otworzył je. To budka telefoniczna z zatwierdzonymi numerami telefonów, pod które wolno im dzwonić. Uchylił drzwi i poszedł do kuchni. Świetnie. Z tego miejsca będzie widział w szybie odbicie dyżurki i tych, którzy siedzą w środku. Jest tam strażniczka, która każe mu mówić „dzień dobry”, i strażnik, siedzący bardziej w głębi. Obserwował, jak oboje chodzą po dyżurce i krążą między biurkiem a ekspresem do kawy.

Kolejne drzwi, za którymi jest schowek na narzędzia do sprzątania.

Jeszcze raz spojrzął na odbicie w szybie. Na szczęście oboje siedzieli spokojnie, popijając kawę. Bez problemu otworzył drzwi schowka, przesunął wózek i odkurzacz i podniósł wiadro. Zmieściło się w zlewozmywaku, więc napełnił je prawie po brzegi ciepłą wodą. Otworzył spiżarnię i wyjął z pojemnika na chleb trzy bochenki. To ten gatunek pieczywa, który pachnie słodem i wchodzi między zęby. Każdy z bochenków pokroił na pięć części i włożył je do wiadra z wodą. Zdjął z górnej półki dwadzieścia czerwonych, soczystych jabłek. Każde z nich podzielił na cztery części i też wrzucił do wody. Dodał jeszcze dwie torebki suchych bułeczek z cynamonem i pół torebki cukru w kostkach. Zerknął na odbicie w szybie budki telefonicznej i znowu zajął się wiadrem. Postawił je za wózkiem na śmieci, odkurzaczem i dwoma mopami. Na koniec nakrył je czarną torbą na śmieci.

Za czternaście dni, gdy będzie tego potrzebował, wszystko będzie gotowe.

...

Leon leżał w celi i czekał na przerwę obiadową. Wtedy wrócą ci, co są na lekcjach albo pracują w warsztacie przy wiertarkach. Schodzili się po kolei z różnych stron i zbierali przy drewnianych stołach. To najlepsze miejsce na spacerunku, z dala od wścibskich spojrzeń strażników siedzących w dyżurce, z dala od zakurzonego boiska piłkarskiego. Siedzieli z twarzami wystawionymi na słońce i grali w karty. Gdyby zamknął oczy i nie patrzył na siedmiometrowy mur, mógłby sobie wyobrazić, że znajdują się poza nim.

— Hej, ty.

Leon zwrócił się w stronę sąsiedniego stołu, przy którym siedział Ćpun i dwaj inni więźniowie, z Danii albo ze Skanii. Oni też mieli zniszczone twarze. Siedzieli i grali w karty. Ściskali je tak mocno, aż drżały im chude, poranione dłonie. Przecież grali o to, na czym każdym z nich zależało najbardziej: o pół grama działki w puli w każdym rozdaniu.

— Ty tam!

Ćpun spojrział na niego i odwrócił się w jego stronę. Był strasznie wychudzony jak na swoje trzydzieści pięć lat, twarz miał pomarszczoną.

— Chodź no tutaj.

Leon machnął na niego ręką. Ćpun rzucił karty na stół i prawie do niego przybiegł. Kiedy był blisko, uśmiechnął się. Wargi miał sztywne, lekko rozchylone.

— Popatrz na niego.

Leon objął Marka ramieniem.

— Już niedługo jemu też zrobisz tatuaż. Podobny.

Ćpun spojrział na prawe udo Leona, na którym kilka dni wcześniej zrobił tatuaż. Potem spojrział na Marka i znowu na Leona. Zachowywał się tak, jakby zrozumiał. Przestraszył się.

— Kto?

Wiedział, co się wkrótce stanie. Jeśli ktoś chce wytatuować sobie ten sam symbol i zostać pełnoprawnym członkiem gangu, jest tylko jedna droga.

— Gównu cię to obchodzi.

Próba. Zabójstwo.

Nie chciał jeszcze umierać.

— Ale ja...

— Nie ty.

Przez prawie dwadzieścia lat spędzonych w więzieniu robił tatuaże nowym członkom gangu. Zachowywali się zawsze w dziwny sposób: była od nich szczególna radość, jak u kota, który właśnie upolował mysz, przyniósł ją do dużego pokoju, położył na podłodze i lekko ugryzł, oczekując na pochwałę i nagrodę za to, co zrobił, dumny, że pozbawił inną istotę życia.

— Nie ja?

— Nie ty, Ćpunie.

Ćpun uśmiechnął się łagodniej.

— Mam na imię Sonny. Chcę...

— Powiedziałem: podobny.

Ćpun nadal się uśmiechał. Stał na niepewnych nogach i wpatrywał się w nich uważnie. Nie obchodziło ich jego imię, nie miało dla nich żadnego znaczenia. Oni też go nie obchodzili i nawet nie pamiętała, jak się nazywali. Zawsze znajdował się jakiś gnojek, który mu mówił, co ma zrobić, i lał go w mordę, jeśli tego nie zrobił. Nawet jeśli go nie znał.

— W takim razie zapłacicie mi więcej. Piętnaście gramów.

— Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz, ty...

— Przeszukali mi celę i zabrali maszynkę. Ale dam sobie radę. Potrzebuję tylko igieł. Będzie to trwało dłużej i dlatego chcę więcej. Piętnaście gramów.

— Dzisiaj nie będzie dostawy.

— To ma być zaliczka.

Leon pochylił się w jego stronę.

— Słuchaj no... nie wiem, czy kapujesz, jak to u nas działa.

Leon jeszcze bardziej zbliżył twarz do twarzy Ćpuna. Poczował jego śmierdzący oddech.

— Jeśli nie będziemy mieć z ciebie żadnego pożytku... to ciebie też zabijemy.

...

Oscarsson stanął między stołem, na którym było szesnaście monitorów, a przenośnym grzejnikiem, który ogrzewał centralną dyżurkę. Wyjrzał przez okno. Na spacerniku znowu są więźniowie. Gdyby przeszedł do drugiego okna, zobaczyłby mur, niebo i kościół.

To jego świat. Tylko raz w niego zwątpił. Wtedy gdy na monitorze ujrzał, jak Martin leży skulony na podłodze z pistoletem przystawionym do skroni.

Może właśnie dlatego tak często tu przychodził? Opuszczał na chwilę swój gabinet, żeby spojrzeć na ekrany, które naprzemiennie pokazywały obraz z sześćdziesięciu czterech kamer. Skupił wzrok na obrazie z jednej z nich. Więzień, chudy jak patyk, wstał od stołu z kartami i szybkim krokiem podszedł do sąsiedniego stołu, przy którym siedziało trzech młodocianych. Chwiał się na nogach, jakby go bolały. Sonny Steen. To w jego materacu strażnicy znaleźli maszynkę do tatuażu.

Pieprzona golarka!

Od razu rozpoznał więźnia, z którym rozmawiał Steen. Leon Jensen, członek gangu z długim wyrokiem. To o niego pytał Pereira i to jego

chciał odwiedzić w celi. Wprawdzie obraz był niewyraźny, pozbawiony ostrości, koloru i dźwięku, ale i tak było widać, że chociaż Steen jest starszy od Jensena, bardzo się go boi. Chwiejąc się na nogach, przyjął taką postawę, jakby chciał stamtąd jak najprędzej uciec.

— Dzień?

Do dyżurki wszedł bez pukania Martin Jacobson. Usiadł na jedynym krzeselku i mechanicznym wzrokiem obserwował obrazy na monitorach: spaceriak, mur, podziemny tunel.

— Jasne. Dzień.

— Plus czy minus?

Obaj uśmiechnęli się do siebie. Dziwna gra: liczenie czasu.

— Plus.

— Gramy o lunch?

— Jasne.

Jacobson przejrzał papiery.

— Dwóch wyszło dzisiaj przed ósmą. Jeden, który ma jeszcze siedem i pół roku, został przeniesiony z izolatki do szpitala w Karsudolen, na zamknięty oddział psychiatryczny. Niecałą godzinę później innego osadzonego z bloku C, któremu do końca zostały dwa lata i siedem miesięcy, zabrała policja i odwiozła do aresztu w Kronobergu. Jest podejrzany o ciężkie pobicie współwięźnia w bibliotece więziennej.

Prawie osiem lat tęsknoty do życia za murami.

— Dokładnie za... dwie minuty przyjmiemy dwóch nowych. Pierwszego przeniesiono z aresztu w Göteborgu. Dostał osiem i pół roku za handel narkotykami i trafi na blok G dwa, do prawego skrzydła. Drugi przyjechał z aresztu w Huddinge. Czternaście lat za zabójstwo; blok B trzy, lewe skrzydło.

W sumie dwadzieścia dwa i pół roku odsiadki.

— Minus osiem. Dwadzieścia dwa i pół plus. Jesteś mi winien lunch.

Jacobson skinął głową i się uśmiechnął. Dalej przeglądał dokumentację.

— Po południu możemy się spodziewać dwunastu odwiedzin. Dla pięciu osadzonych to będą pierwsze odwiedziny. Czterech adwokatów i trzy osoby, które na podstawie decyzji prokuratora zostaną przeszukane z użyciem psa: Lundgren z bloku B, Jensen z bloku D i Syrjämäki z bloku K.

Oscarsson znowu spojrzął na ekrany monitorów. Obserwował trzech młodocianych. Nadal znęcali się nad Ćpunem, który w końcu wrócił do swojego stołu. Przypomniał sobie rozmowę z nową strażniczką, która

opowiadała mu o dziwnym zamieszaniu. Prawdopodobnie grupa więźniów zażyła amfetaminę. Przypomniawszy sobie, jak Jensen — pewnie pod wpływem narkotyków — cmokał. Rzadko się zdarzało, żeby osadzeni tak ostentacyjnie demonstrowali, że brali prochy. W ciągu dnia Jensena odwiedziła młoda kobieta. Nazywa się Wanda Svensson. Są pewni, że to ona dostarczyła prochy dla całego oddziału w czasie poprzednich odwiedzin. Tym razem spotka się z ich strony z innym przyjęciem.

— Będzie pies. W razie najmniejszych podejrzeń macie ją szczegółowo skontrolować. Uprzedziłem już lekarkę i policjantkę i mam zgodę prokuratora.

Ćpun wrócił w końcu na swoje miejsce. Jensen odwrócił się do niego plecami. Znowu grali w karty. Siedzieli z twarzami wystawionymi na słońce i wyglądali tak, jakby czekali na pełnię lata.

...

Leon prawie zupełnie się rozluźnił. Mocne słońce piekło go w skórę. Było naprawdę przyjemnie, jak wtedy, gdy światło lampki nocnej kierował na twarz.

— Rano rozmawiałeś z klawiszem.

Odwrócił się do Alexa, ale oczy nadal miał przymknięte.

— Leżałem i słyszałem. Wiem, że rozmawiałeś z tą młodą cipą.

— Leon, co ty, kurwa...

— Kara. Dwa tysiące.

— Bracie, ja tylko odpowiadałem...

Alex umilkł, chrząknął i dopiero po dłuższej chwili dokończył zdanie.

— Miłość, bracie.

— Miłość.

Słońce i nieruchome powietrze. Słysząc było, jak otwiera się główna brama, ktoś uruchamia silnik, samochód przejeżdża kilka metrów i znowu się zatrzymuje. Leon wstał od stołu i samotnie przeszedł przez spaceriak, kierując się do miejsca, skąd przez wąską szparę widać główną dyżurkę. Dobrze słyszał. Przyjechał szary mikrobus marki Volkswagen. Wysiadło z niego trzech umundurowanych gliniarzy. Jeden dał znak i z samochodu wyskoczył jeszcze czarny labrador.

Ktoś ich powiadomił, że dziwka znowu się zjawi. Przygotowali się do jej odwiedzin dokładnie tak, jak on tego chciał.

Szybkim krokiem ruszył przez dziedziniec w stronę oddziału. Klawisz mu otworzył, bo powiedział, że musi szybko do klopa. Kiedy był pewien, że jest zupełnie sam, opuścił deskę klozetową, stanął na niej, sięgnął do lampy pod sufitem i wyjął ze środka telefon komórkowy, którego używał razem z Frankiem. Wiedział, że rozmów prowadzonych z tego aparatu policja nie podsłuchuje.

Wybrał numer. O tej porze powinni być w Täby.

...

Dotykał jej piersi i łona, ale ona odwróciła się od niego. *Ani dzisiaj, ani jutro. Sam wiesz dlaczego. Później tak.* Teraz siedzą obok siebie w samochodzie. Gabriel sięgnął po jej torebkę i przyklejony do niej pakunek. Nie odzywali się do siebie, już jej wyjaśnił wszystko, co trzeba. Wanda wysiadła z samochodu, minęła dystrybutory z paliwem i wiadro z wodą i skierowała się na tył budynku, do toalety.

Co czternaście dni ten sam rytuał.

Idą przez Råby do metra, jadą dwanaście minut do centrum Skärholmen i schodzą na najniższy poziom podziemnego parkingu. Dzisiaj wybrali zielonego mercedesa. Jadą drogą E5 i wjeżdżają na środkowy pas trasy na Essinge. Miną miasto i dojadą do stacji benzynowej Shella przy zjeździe na Täby.

Zanim Wanda weszła do środka, odwróciła się i dopiero wtedy zamknęła za sobą drzwi toalety. Była niespokojna, wolałaby, żeby tu z nią był, ale wiedziała, że musi zrobić to sama. Gabriel został w samochodzie i będzie tam siedział, aż ona stąd wyjdzie.

Ma tylko zrobić to co zwykle.

Wilgotnym papierem toaletowym dwa razy wytarła podłogę wokół sedesu. Może teraz będzie trochę czystsza. Rozpięła džinsy i razem z majtkami opuściła je do kolan. Położyła się na plecach ze stopami opartymi na desce sedesowej.

A jednak nie.

Wstała i położyła na dłoni zafoliowany pakiecik. Otworzyła plastikową torebkę i ostrożnie posypała pakiecik proszkiem. Uważała przy tym, aby nawet jedno ziarnko nie spadło jej na palce. Torebka zawierała dziesięć gramów metamfetaminy. Pochyliła się i powąchała pakiecik. Silny zapach acetonu wystarczy.

Znowu położyła się na plecach z džinsami spuszczoneymi do kolan.

Z kieszeni kurtki wyjęła oliwkę dla niemowląt, wylała kilka kropel na dłoń i dokładnie posmarowała pakiecik. Potem przyłożyła mokre od olejku palce do pochwy i posmarowała ją od zewnątrz i w środku. Na końcu ostrożnie wsunęła pakiet do środka, aż poczuła ból. Wtedy przestała.

Będzie tak leżeć przez dziesięć minut. Znowu wyobraziła sobie twarz Gabriela. Kiedy udaje, że śpi, jego twarz robi się całkiem miłą. Tylko na twarzy nie ma blizn po oparzeniu. Kiedy jechali samochodem, zerkał na nią z ukosa, gdy sądził, że tego nie widzi. Wtedy jego twarz miała przyjemniejszy wyraz, była bardziej rozluźniona.

Dziesięć minut. Tyle czasu potrzeba, żeby mocny zapach acetonu utrwalił się w jej pochwie.

W końcu wsunęła tam dwa palce i ujęła pakiecik. Złapała go mocniej, bo był śliski. Pociągnęła, ale palce ześlizgnęły się z niego, więc pociągnęła jeszcze raz. Dopiero teraz udało się go wyjąć.

Kiedy wstała z podłogi i się wyprostowała, od razu poczuła się lepiej. Kamienna podłoga za każdym razem była taka twarda. Poza tym w całym pomieszczeniu unosił się smród moczu.

Kazali jej zrobić to samo co zawsze, choć trochę inaczej.

Wrzuciła pakiecik do toalety. Przez chwilę się zawahała, ale w końcu spuściła wodę.

Zwilżyła papierowy ręcznik i nabrała trochę płynnego mydła z pojemnika na ścianie. Wytarła umywalkę, sedes i znowu umyła ręce. Zerknęła w lustro i wyszła.

...

Gabriel siedział za kierownicą z komórką w ręce. Czekał na powrót Wandy i na telefon od ukochanego brata.

Wanda była w toalecie już od dziesięciu minut. Poszedł więc po colę, a gdy nie wracała, przyniósł jeszcze jedną. Dwa tygodnie temu też z nią tu był. Kiedy wrócił, ona już stała przy samochodzie i spoglądała na swoje stopy.

Wanda i Leon.

Że też o nich myśli. Że też w ogóle chce mu się o nich myśleć.

W jego życiu nie ma miejsca jednocześnie dla nich obojga. To, o czym myśli, nie dotyczy ich w taki sam sposób. To tak, jakby mógł o nich myśleć tylko z osobna.

W końcu Wanda wróciła. Obserwował ją, gdy szła z toalety do samochodu. Wyglądała całkiem normalnie.

— Włożyłaś, jak trzeba, a potem spuściłaś?

— Tak.

— Spuściłaś wszystko?

Wanda i Leon. Dziwka i jego ukochany brat. Oboje potrafią na niego patrzeć i nie odwracać wzroku.

— Odpowiadaj, dziwko!

— Tak.

— Co „tak”?

— Tak, wszystko.

Chciał położyć dłoń na jej policzku, bo zauważył, że zrobiło jej się przykro. Nie powinien był na nią krzyczeć i nazywać jej dziwką. Ona tego nie lubi.

W końcu zadzwonił telefon. Wyświetlił się numer, na który czekał. Bezpieczny.

— Gdzie jesteście?

— Na stacji benzynowej Shella przy zjeździe na Täby.

— A dziwka?

Dziwka.

— Pytam, czy dziwka pachnie...

Ma na imię Wanda.

— Tak, pachnie.

— Możesz jechać dalej. Psy od razu coś wyczują i gliny ją przeszukają.

Wrócił na autostradę, wjechał na środkowy pas. Zostało im jeszcze dwadzieścia kilometrów na północ.

— Bracie?

— Tak?

Leon powinien już się rozłączyć, ale Gabriel słyszał jego oddech. Czuł, że Leon jest z czegoś niezadowolony.

— Kiedy ona się wyprowadzi?

Gabriel spojrzał na jej twarz odbitą w szybie. Mocniej przycisnął telefon do ucha.

Wanda. Leon.

— Kiedy wrócisz.

— Miłość, bracie.

— Miłość.

...

Szary bus marki Volkswagen nadal tam stał. Wchodziło do niego dwoje mundurowych — policjantka i policjant. Trzeci policjant czekał przed główną dyżurką. Trzymał na smyczy czarnego psa w obroży. Policjant rozmawiał ze strażniczką z oddziału, tą samą, co udaje, że się nie boi.

Leon czekał na nich przy oknie na półpiętrze między poziomem D2 a D3. To najlepsze miejsce do obserwacji, zarówno bramy wjazdowej, jak i zjazdu z autostrady, od strony kościoła.

Zielony mercedes.

Jadą powoli. Zauważył, że zatrzymali się kawałek przed parkingiem przy łące oddzielającej więzienny mur od cmentarza.

Dziwka wysiadła z wozu i skierowała się w stronę muru. Szła normalnie. Jest czysta.

...

Było jej na przemian ciepło i zimno. Oblewała się potem.

Policja nigdy wcześniej jej nie zatrzymała ani nie aresztowała. Jej nazwisko w ogóle nie figuruje w policyjnej kartotece. Więzienie zobaczyła po raz pierwszy w życiu dopiero wtedy, gdy Gabriel poprosił ją, żeby co dwa tygodnie odwiedzała Leona, Urosa i Rezę.

Psy od razu coś wyczują, a strażnicy ją przeszukają.

Dzwonek przy bramie, dowód osobisty w głównej dyżurce, w pokoju po lewej stronie klucze, pieniądze i komórka trafiły do skrzynki. Czuła, jak się na przemian poci i drży z nerwów. Denerwowała się coraz bardziej. Nie wiedziała dlaczego, ale gdy weszła do przebieralni, nagle zatrzymała się przy dwóch koszach na śmieci. Stała przy nich i patrzyła, zamiast wejść do sali pełnej metalowych krat i strażników. Był tam ten pieprzony pies. Wyjęła z oczu oba szkła kontaktowe i upuściła je na ziemię. Cała trzęsła się ze strachu.

— Pani Wanda?

Ledwo wyszła z przebieralni, nawet nie zdążyła zamknąć drzwi, a już ktoś ją zawołał po imieniu.

— Pani Wanda Svensson?

Odwróciła się. Stała przed nią umundurowana policjantka. Obok niej siedział duży czarny pies. Widziała ich niewyraźnie. W pewnej odległości

za nią stali dwaj inni policjanci.

— Mam na imię Lena. A to moi koledzy. Musimy panią przeszukać.
Wskazała palcem obu policjantów.

Ich postacie nadal są takie niewyraźne. Ale to w niczym nie pomoże.
Wanda trzęsa się tak jak poprzednio. Miała dreszcze.

— Nie wolno wam mnie przeszukiwać. Nie wolno wam mnie dotykać.
Pies zbliżył się do niej.

— A jemu nie wolno mnie obwąchiwać.

Pies był coraz bliżej.

— Znamy prawo.

— Zabierzcie go ode mnie!

Policjantka o imieniu Lena podesunęła jej krzesło.

— Zabiorę go, jeśli pani usiądzie.

Pamiętasz, jak było poprzednim razem? Boję się. Gabrielu. Pamiętasz czy nie? Bo ja pamiętam. To dobrze, bo będziesz się zachowywać tak, żeby cię sprawdzili, tak jak poprzednim razem.

— Nie.

— To też jest zapisane w konstytucji? Że nie wolno nam kazać pani usiąść?

W końcu Wanda usiadła.

— Dobrze. Teraz może pani znowu wstać.

Wanda wstała. Widziała jakby przez mgłę, jak policjant wskazuje na krzesło. Podbiegł do niego pies i zaczął je obwąchiwać.

— Pies coś czuje. Prosimy z nami.

Kolejne drzwi, pokój jak w szpitalu. Na samym środku łóżko, na podłodze i na ścianach różne urządzenia z kablami.

— Proszę oddać mocz.

Policjantka podała jej plastikowy kubek.

— Do tego.

Wanda usiadła na dużym nocniku. Kiedy zaczęła sikać, podesunęła sobie kubek, jak kiedyś w szkole, w pokoju higienistki. Napełniła go moczem do połowy i podała policjantce. Nadal widziała ją jak przez mgłę.

— Proszę się rozebrać.

Przedtem marzła. Od środka. Teraz też było jej zimno, ale od zewnątrz.

— Ręce proszę założyć za głowę.

Policjantka dotykała jej pach i głowy dłońmi w gumowych rękawiczkach.

— Proszę rozstawić nogi, stopy jeszcze dalej.

Obejrzała pachwiny tuż przy jej łonie, bez dotykania.

— Proszę otworzyć usta, podnieść język.

Ważne, żeby cię obejrzeli.

Palec osłonięty gumą pod językiem i za zębami, potem przełyk.

Udała, że zaraz zwymiotuje, więc policjantka od razu wyjęła palec. Roześmiała się szyderczo, bo tak kazał jej Gabriel.

— Przestraszyła się pani?

— Proszę się położyć i unieść nogi.

Policjantka podniosła dwie metalowe szyny przykręcone do łóżka.

Będą cię oglądać!

— Chce pani zobaczyć więcej? Albo się ze mną zabawić?

Jakaś mglista ręka otworzyła mgliste drzwi. W progu stanął mglisty lekarz ubrany w mglisty biały fartuch.

— Ja nie. *A co będzie potem, Gabrielu? Ale ktoś, kto ma do tego prawo. Pozwól im, niech cię sprawdzają.* Mamy zgodę prokuratora na oględziny pani ciała. *Boję się, Gabrielu, słyszysz? Niech pani wybiera. Nie masz się czego bać, przecież tym razem jesteś czysta.* Albo pani rozłoży nogi i pozwoli lekarzowi przeprowadzić badanie... *Tak mi zimno, jakbym wciąż marzła.* ...albo pani odmówi, a wtedy wezwę kolegów, którzy czekają za drzwiami. Przytrzymamy panią siłą, żeby lekarz mógł panią obejrzeć.

...

Przymknęła oczy. To, co przed chwilą było niewyraźne i zamglone, zaczęło nabierać ostrych konturów. Otworzyła oczy dopiero wtedy, gdy się ubrała i w towarzystwie dwóch policjantów przeszła do sali odwiedzin.

Leon już tam na nią czekał.

...

Przestała marznąć.

Nie czuła już w odbytnicy rurki z minikamerą na końcu ani gumowej w łonie.

Zrobiła to, co miała zrobić. Teraz kuliła się na krześle przed Leonem i jak zwykle się bała. Na szczęście nie musiała się znowu rozbierać, a on nie będzie jej dotykał, bo tym razem niczego mu nie przyniosła. Siedzieli

więc tylko i patrzyli na siebie, bo nigdy przedtem nie rozmawiali o niczym poważnym.

...

Leon był na nią zły.

Sam nie wiedział dlaczego.

Musi z nią zostać przez pięćdziesiąt minut, żeby klawisze nie zaczęły czegoś podejrzewać. Zrobiła dokładnie to, co jej kazali. Mimo to był wściekły, jakby ją chciał uderzyć.

— Gabriel kazał mi coś przekazać.

Spuściła wzrok, czym jeszcze bardziej pogorszyła swoją sytuację.

— Tak?

— Sprawozdanie finansowe.

Widują się tylko tutaj. Od trzech miesięcy raz na dwa tygodnie. Za każdym razem przynosi dwieście gramów metamfetaminy. To wszystko. Pieprzona kurwa. Było w niej coś takiego, że miał ochotę pochylić się w jej stronę i bić ją bez końca. Sam nie wiedział dlaczego.

...

Leon był na nią zły. Nie wiedziała dlaczego. Przecież zrobiła dokładnie to, co jej kazali.

— Dzieciaki sprzedały cały towar za sto osiemdziesiąt pięć tysięcy...

Przerwała, żeby dobrze dobrać słowa, których się nauczyła. Gabriel kazał jej przekazać wszystko bez najmniejszego błędu.

— ...rozliczą się znowu dzisiaj. Najpóźniej jutro.

Spuściła wzrok.

— Za złoto w Solnie i w Centrum Handlowym w Huddinge: dwieście sześćdziesiąt cztery tysiące. Dług ściągnięty w Sundbybergu: dwadzieścia tysięcy. Kiosk w Slussen: cztery tysiące.

Te jego oczy. Takie same ma Gabriel, gdy na nią krzyczy. Ale oczy Leona są gorsze.

— Coś więcej?

Kiedy wpatruje się w nią tak intensywnie, Wanda gubi wątek, zapomina, szuka słów, próbuje sobie przypomnieć...

— Coś więcej?

Przełknęła ślinę i znowu spuściła wzrok. Spojrzała na swoje buty, potem na jego buty.

— Gabriel... powiedział... mam przekazać, że telefon... tak jak przedtem... jest na podsłuchu.

...

Leon uniósł rękę.

Ale nie uderzył jej, wziął ją tylko za twarz i ścisnął policzki. Zmusił ją, żeby wstała i spojrzała mu w oczy.

— Mieszkasz tam, gdzie przedtem?

— Tak.

— Przez cały czas?

— Tak.

— Ciągle w pokoju Gabriela?

— Tak.

W pokoju Gabriela. W moim pokoju.

Leon jeszcze bardziej się pochylił, szepnął, że jest sprytna, że po dzisiejszym przesłuchaniu, gdy niczego nie znaleźli, nie mają prawa kontrolować jej znowu, zwłaszcza następnym razem, bo to ten następny raz, za czternaście dni, będzie ważny. Ma do niego znowu przyjechać dokładnie za czternaście dni. Teraz musi zostać jeszcze przez pół godziny, więc jak chce, może się położyć na łóżku i poczekać. Gabriel nie miałby nic przeciwko temu, on sam dobrze wie, co to za uczucie, kiedy ktoś siedzi za kratami, i co to znaczy, że brat jest zawsze bratem.

...

Pokój Gabriela. Mój pokój.

Nieprzyjemne uczucie przepełniało mu pierś i żołądek, sięgało aż do członka.

Sam nie był pewien, czy to dlatego kazał jej się rozebrać i rozsunać nogi. Może chciał wziąć sobie troszkę czegoś, co Gabrielowi zastępowało jego?

Przecież ona nie wiedziała, że istnieje tylko jeden rodzaj miłości.

...

Leon ją objął.

Chciał, żeby ona też go objęła.

Już nie miał takiej złej miny. Gdy ją obejmował, starał się być delikatny.

Na udzie miał tatuaż, taki sam jak Gabriel.

Za to jego plecy wyglądały inaczej. Wanda przesuwała dłonią po jego skórze. Była gładka, nie taka chropowata jak skóra Gabriela, którą tak bardzo lubiła.

Leżała na plastikowej podkładce, która kleiła jej się do ciała, i spoglądała na zakratowane okna, za którymi wznosił się szary mur więzienia.

Eddie siedział na łóżku. Nie miał nic konkretnego do roboty. Właściwie czekał. Bo co innego mógł robić? Nie nudził się jednak, tak jak to czasem bywa, gdy się na coś czeka. Był podekscytowany. Już wkrótce sam coś sprzeda. Za każdym razem miał wrażenie, że jest coraz bliżej. Gabriel nie wypowiedział jeszcze jego imienia, ale w ciągu ostatnich kilku tygodni parę razy znacząco na niego spojrział.

Czekał w swoim pokoju. Nieczęsto tu bywał. Pokój był mały, za to ten na zewnątrz większy. Podobało mu się duże lustro nad łóżkiem z szeroką pozłocaną ramą, podobnie jak tej samej wielkości plakat filmowy. Gabriel uważał, że to najlepszy film, jaki widział. Nazywał się *Mechaniczna pomarańcza*. Nakręcono go dość dawno temu. Wprawdzie Eddie nigdy go nie oglądał, ale kiedyś obejrzy. Jest też jego własny autograf obok plakatu, który złożył na białej tapecie. Mama była zła, gdy podpisał się sprayem, który zwędził w sklepie koło hali widowiskowej Globen. Nie skapowała, że to jego podpis, jego imię, że to on nazywa się Eddie. Nie podobał mu się komputer i mały telewizor. Mama oszczędzała, żeby mu je kupić w prezencie na Boże Narodzenie, ale to używany sprzęt. Wymieni go, gdy mu zapłacą za to, co trzyma w szafce w ICA w Råby, w szafce w Coop Extra na Skärholmen i w szafce w szkole. Dostanie po trzysta koron za każdy pistolet tygodniowo. Jeszcze mniej podobała mu się poszewka, na której siedział. Były na niej obrazki słynnych postaci: Kaczora Donalda, Hyzia, Dyzia i Zyzia. Do tego ta głupia poszwa z Miss Piggy. Następnym razem, jak będą podpalać jakiś samochód albo motocykl, zabierze te śmieci ze sobą i też je spali.

Zamknął drzwi do przedpokoju, położył się na podłodze i wczołgał pod łóżko, gdzie leżała czerwona torba z nadrukiem firmy Puma. Gdyby otworzył zamek błyskawiczny, który trochę się zacinał, ujrzałby dwadzieścia małych paczuszek owiniętych w plastik. W każdej było po dziesięć kapsulek, każda z nich zawiera pół grama heroiny. W zeszłym tygodniu kapsułki były białe i żółte, w tym tygodniu są brązowe i czerwone, ale wszystkie zawierają to samo.

W torbie jest też taka sama kurtka, jaką nosił Gabriel, a pod nią szaszetka na pasku, do której włożył siedem plastikowych paczuszek. Z półki pod lustrem zdjął żel. Wcierał go w swoje krótkie włosy, aż się ułożyły i nabrały blasku. Na szyję założył złoty łańcuch.

Przez chwilę przeglądał się w lustrze. Zawsze to robił.

Ma sto pięćdziesiąt jeden centymetrów wzrostu. Jest szczupły. Nie ma zarostu ani pryszczy.

Wiedział, że za kilka lat będzie wyglądał inaczej, i nie mógł się tego doczekać. Cieszył się już na samą myśl o tym i było to bardzo przyjemne uczucie. Wszystko, co go dotyczyło, dotyczyło też Gabriela i Brunona, Jona i Dużego Alego, którzy parkowali swoje samochody przy klatce schodowej numer 67. Dotyczyło to też Leona i Alexa, Urosa i Rezy, którzy siedzieli w prawdziwym więzieniu. Poza tym był jedną z pierwszych osób, które wiedziały, że gang zmienił nazwę, a w dodatku raz na tydzień pod jego opiekę trafiała torba Pумы. Przepelnia go wielka radość, to naprawdę przyjemne uczucie.

Rozpiął pod szyją bluzę z kapturem, odsłaniając fragment złotego łańcucha. Wyszedł z pokoju i chociaż mama zostawiła mu na stole jedzenie, nawet go nie tknął. Chciał jak najszybciej wyjść z domu.

Wczesnym popołudniem w centrum panował spokój. Na ulicach nie było zbyt wielu ludzi. Najpierw poszedł do Konsumu i skierował się do działu z pieczywem, za działem ze słodyczami. Był tam sam. Słyszał parę osób w dziale z owocami i w dziale z nabiałem. Nikogo więcej nie było. Wybrał regał po lewej stronie, na samym końcu, gdzie leżało jasne pieczywo. Rozejrzał się i upewnił, że ciągle jest sam. Z saszetki wyjął jedną paczuszkę. Błyszczący plastik kleił mu się trochę do ręki. Klęknął i przymocował paczuszkę od spodu do półki z chlebem.

Potem przeszedł do lad chłodniczych i wybrał półkę z mlekiem w zielonym kartonie. Klęknął i taśmą klejącą przymocował od spodu kolejną paczuszkę. Kiedy szedł w stronę półek z mrożonkami, nagle ujrzał kobietę. Mogła być w wieku jego mamy. Towarzyszyła jej młodsza kobieta z dziecięcym wózkiem. Udawał, że czyta tekst na opakowaniu, i wkrótce potem znowu został sam. Wybrał półkę, na której leżały niebieskie kartony z mrożoną rybą, i przymocował plastikową paczuszkę w szparze między ladą chłodniczą a podłogą. Poszedł do kasy, żeby zapłacić za batonik Daim, torebkę żelków, niezbyt smaczną czekoladę i kilka gum do żucia. Kasjerka w milczeniu wzięła od niego pięćdziesiąt koron. Kiedy spojrzała na jego złoty łańcuch, wypiął lekko pierś. Zostały mu jeszcze cztery paczuszki. Pójdzie z nimi do następnego sklepu ICA.

...

Od pół godziny stał na schodach prowadzących na peron metra i przez cały ten czas miał tylko trzech klientów. Może to taki dzień i dlatego wszystko idzie tak wolno? A może powodem są ci dwaj gliniarze, którzy chodzą po peronie? Na ich widok dwaj klienci dopiero po dłuższej chwili odważyli się do niego podejść. Nikt go tutaj nie widzi. No, może kontrolerka przy bramkach, ale akurat ona przez cały czas dzwoni z komórki i poirytowanym gestem macha na wszystkich, którzy chcą kupić u niej bilet albo przechodząc przez barierkę, pokazują jej miesięczny.

Eddie się uśmiechnął. To tutaj stał, gdy Gabriel uderzył go w twarz. Po uderzeniu został mu ślad, bo Gabriel miał na palcu sygnet.

Kolejny klient.

Nigdy u niego nie kupował, ale takich jak on rozpoznaje od razu. Chudy, spocony i zestresowany. Idzie w jego kierunku od wejścia po drugiej stronie tunelu. Popatrzyli na siebie. Wiele ich różni. On skończył niedawno dwanaście lat, klient ma trzydzieści siedem. Przywitali się mocnym uściskiem rąk. Jego drobna dłoń znikła w potężnej dłoni mężczyzny.

— Osiem.

— Pięć albo dziesięć.

— Chcę kupić osiem.

Mężczyzna podniósł lekko głos, chciał zdobyć nad nim przewagę. Eddie pochylił się ku niemu, a mężczyzna automatycznie wykonał ten sam ruch w jego stronę. Eddie uniósł rękę i otwartą dłonią uderzył go w policzek.

— Powiedziałem: pięć albo dziesięć. Jestem Eddie.

Mężczyzna drgnął i cofnął się o krok. Dotknął dłonią czerwonej plamy na policzku. Poczuł pieczenie.

Zagryzł dolną wargę.

— Niech będzie pięć.

— Osiemset za gram. Razem cztery tysiące.

Mężczyzna wyjął z kieszeni spodni plik pomiętych banknotów. Było tam trochę dwudziestek, pięćdziesiątek, setki i dwie pięćsetki, do tego garść monet. Eddie odliczył ustaloną kwotę, włożył pieniądze do kieszeni i oddał resztę klientowi.

— ICA. Półka z mlekiem. Na samym dole, pod zielonymi kartonami.

Ledwo skończył, mężczyzna odwrócił się i odszedł szybkim krokiem. Właśnie kupił rosyjską heroinę.

...

Potem poszło mu szybciej. Ostatni trzech klienci zjawili się w ciągu piętnastu minut.

Poszedł na Råby Allé 67, wszedł do windy i poczuł, że drży. Nie ze strachu, tylko dlatego, że nie mógł się doczekać. Sprawdził w lustrze, czy łańcuch wisi na swoim miejscu i czy włosy układają się jak należy, i poczuł, jak ogarnia go błogość. Nie jest już samotny, wokół niego nie jest tak pusto. Roześmiał się cicho do siebie.

Na trzecim piętrze zauważył na podłodze ślady krwi. Wcześniej ich tam nie było. Wiedział, że to krew psa, który dostał dwanaście kul. Zapukał do drzwi z tabliczką „Santos” i poprawił łańcuch, który odbijał się w jasnej kłamce. Łańcuch dostał za udział w skoku. Tamtego dnia wszedł do centrum handlowego w Tumba, żeby sprawdzić, gdzie stoją obaj ochroniarze. Potem wrócił do samochodu i nawet nie spojrzał na trzech zamaskowanych bandytów, którzy w tej samej chwili wpadli do środka z pistoletami w rękach, potłukli gabloty i wrzucili towar do plecaków. Z całego łupu wybrał sobie złoty łańcuch, który leżał w środkowej gablocie i błyszczał. Kiedy wracali do Råby, a on siedział na tylnym siedzeniu wciśnięty między dwóch innych, czuł ciepło łańcucha, który wisiał na jego szyi.

Znowu zapukał do drzwi i zadzwonił. Otworzył mu Gabriel. Był nagi do pasa. Eddie zobaczył, że całą skórę ma pokrytą bliznami.

Przedpokój Gabriela.

Stał w nim już dziewięć razy, miał do rozliczenia łącznie 227 000 koron. Jego udział wyniósł 11 350 koron. Dokładnie to sobie wyliczył.

Przedpokój w mieszkaniu Gabriela.

W jednej ręce mocno ścisnął banknoty, drugą dłonią przesunął po lśniących włosach. Czuł, jakby stopy same go niosły, kręciło mu się w głowie. Chciał wejść do dużego pokoju, ale zatrzymał go twardy głos.

— Zostań tam!

Gabriel chciał się go jak najszybciej pozbyć. Wziął od niego zwitek banknotów.

— Przepraszam... siedem opakowań, trzydzieści pięć gramów, dwadzieścia osiem tysięcy.

Gabriel odebrał od niego pieniądze, ale nawet ich nie przeliczył.

— Trzydzieści pięć gramów, zostało sześćdziesiąt pięć.

— W piątek.

Gabriel prawie się uśmiechnął, a przynajmniej takie wrażenie odniósł Eddie. Gabriel usiadł na dywanie i pokazał mu, żeby zrobił to samo. W jednej ręce trzymał podniszczony skórzany woreczek z tytoniem, drugą zerwał kapsel z okrągłej butelki, która wisiała mu na szyi, i dodał kilka kropel do tytoniu.

Eddie uważnie się przyglądał, jak Gabriel miesza tytoń koniuszkami palców, a następnie wkłada niewielką porcję do bibułki, zawija ją, zapala, zaciąga się dymem i podaje jemu.

Pali tytoń z woreczka Gabriela i siedzi w przedpokoju jego mieszkania.

Eddie wziął od niego skręta i zaciągnął się, potem jeszcze raz, ale się zakrztusił, jakby język zatkał mu przełyk i uniemożliwił wypowiedzenie choćby jednego słowa.

— Miłość, bracie — powiedział z trudem.

W tej samej chwili dostał cios w prawy policzek.

— Nie jesteś moim bratem.

Gabriel wyciągnął rękę w stronę dużego pokoju.

— Jon jest moim bratem i Bruno też jest moim bratem. Zostali członkami grupy, bo ja i Leon o tym zadecydowaliśmy. Jeśli dalej będziesz mi posłuszny, jeśli na przykład wyjdiesz stąd i przyniesiesz mi reklamówkę z szafki w Vivo, a potem, jak już będzie po wszystkim, znowu ją tam zanieziesz i jak za dwa dni pomożesz mi w czymś, co chcę wnieść na posterunek policji, to może któregoś dnia też zostaniesz moim bratem.

Późne popołudnie, zaraz będzie wieczór.

Dziwka jest gotowa, małolaty też.

Dzień był długi, ale jeszcze się nie skończył.

Marko nie przeszedł jeszcze próby, a Gabriel, który zdążył wrócić do Råby, nadal czekał. Umówili się, że czystkę przeprowadzą jednocześnie, i tu, i za murami.

Leon leżał na łóżku i słuchał. W każdym więzieniu dźwięki są do siebie podobne. Każde miejsce za drutem kolczastym albo za murem ma swoją własną akustykę, niepowtarzalną skalę dźwiękową. Pustka, gdy ktoś z zewnątrz otwiera drzwi i słucha, porzucenie, gdy ktoś dopiero wchodzi i siada, poczucie bezpieczeństwa, gdy ktoś zasypia i budzi się wśród tych samych dźwięków.

Tamtą dziwkę rozebrał i przeleciał, ale nie poczuł niczego szczególnego. Kiedy było już po wszystkim, nie rozluźnił się jak zawsze. Nie bał się też, że Gabriel będzie miał coś przeciwko. I nawet nie wiedział dlaczego. Najpierw chciał ją uderzyć, ale tylko ją przeleciał. To chyba lepsze niż bicie.

Zapalił lampkę. Zgasił. Znowu zapalił.

Wysłuchiwał się w kroki za drzwiami. Kroki różnią się od siebie. Jedne są miękkie, gdy więźniowie chodzą w kapciach. Inne głośnie — to buty klawiszy. Są cięższe, czarne, na grubej podeszwie. Cekał na kroki z celi położonej za jego celą; czekał, aż otworzą się drzwi i ci, którzy są w środku, wyjdą na korytarz i miną jego celę. Te kroki są jeszcze cichsze i jeszcze bardziej przytłumione. Marko jako jedyny na oddziale chodzi w szarym obuwiu sportowym, jak wychowawcy więzienni. Buty są cienkie, brzydkie i darmowe. Dopiero gdy te kroki ucichną, dzień dobiegnie końca.

Włączał i wyłączał lampkę.

Przed dwoma tygodniami powiedział adwokatowi, że będzie na niego czekał w pokoju widzeń, a ten dupek nie przyszedł. Adwokat poinformował go, że „jego wyrok się uprawomocnił”. Za karę zniszczyli mu samochód, ale znowu nie przyszedł, bo „moje zobowiązania wobec ciebie przestały obowiązywać”. Bruno włożył mu pod poduszkę papużkę jego dzieciaka, ale adwokat znowu nie przyszedł, dając do zrozumienia, że nie chce z nim rozmawiać. Dopiero tydzień później, gdy Jon złamał mu

prawy palec wskazujący, facet wreszcie zrozumiał, umówił się na spotkanie i przyniósł papiery.

Prowadzący przesłuchanie, Jan Zander (PP): Chcę usłyszeć odpowiedź na moje pytanie.

Daniel Wall (DW): Ma pan na myśli Dworzec Centralny?

Na korytarzu rozległy się kroki. To z celi dwunastej, u Marka.

Powinien już być przy kuchni. Zaraz podejdzie do drzwi, wyjdzie na klatkę schodową, znajdzie się na drugim piętrze bloku D2, w lewym skrzydle.

Prowadzący przesłuchanie, Leif Lundh (PP): Jakiego koloru?

Javad Kittu (JK): Chyba ciemne. Reza miał jaśniejsze.

Adwokat stał odwrócony plecami, a on zapoznawał się z treścią wyroku, protokołami przesłuchań, wynikami badań laboratoryjnych. Wszystkim tym, co sprawiło, że razem z Alexem, Rezą i Urosem dostali po cztery i pół roku.

Zapalił lampkę, zgasił ją, znowu zapalił.

Danny, jeden z *hangarounds* wszystko wyśpiewał. Tak jak Javad. Obaj dobrze wiedzą, że ten, kto zdradził raz, drugi raz tego nie robi.

...

Gabriel siedział na ławce na rynku w Råby. Na sąsiedniej ławce siedział Bruno. Promienie słońca oświetlały im twarze. Wreszcie zjawił się młody. Miał dwanaście lat, błyszczące włosy i gruby złoty łańcuch na szyi. Przez chwilę opowiadał im o wypalonym skreśle i o obietnicy, jaką złożył mu Gabriel. Potem pobiegł po reklamówkę. Zostawił ją w szafce w Vivo, między wejściem a wózkami na zakupy. Oddał ją Gabrielowi, a potem ruszyli w stronę metra. Przeskoczyli przez bramki i zeszli na peron, z którego odjeżdżają składy do takich stacji, jak Hallunda, Alby, Fittja i Masmø. Wiedzieli, że Javad przyjedzie o 17.14, bo tak się z nim umówili. Powiedzieli mu, że dostanie od nich paczkę, którą ma przechować. Bruno zajął miejsce przy wyjściu ze stacji Masmø. Stał za kioskiem i widział każdego, kto wchodzi i wychodzi. Gabriel szedł przez

dzielnicę, która przypominała mu Råby: taki sam asfalt, takie same domy. Dotarł do wejścia przy Masmø Allé 23 i wszedł na drugie piętro. Usiadł na stopniu i czekał. To tu mieszka matka Javada i tutaj Javad wybiera się z wizytą.

*

Kiedy Marko mijał celę Leona, trochę zwolnił. Chciał, żeby Leon go usłyszał i żeby był z niego dumny. W końcu został poddany próbie. Cekał na ten dzień z utęsknieniem, bo chciał przestać być nikim, chciał stać się jednym z nich. Wszedł z bloku D1, przeszedł przez klatkę schodową i znalazł się w bloku D2. Pięć minut bez klawiszy. Minął akwarium, zerkając w stronę szyby. W środku było pusto, ani jednego klawisza. Minął kącik do grania w karty. Przy stoliku siedziało kilku karciarzy. Byli zajęci grą i wszystko inne mieli w nosie; minął sraz i łazienkę, minął cele numer dwa, cztery, sześć i osiem, wszedł do celi numer dziesięć. Dali mu tam nogę od krzesła, którą w czasie lunchu ktoś odkręcił od jednego z krzesel w kuchni. W końcu zatrzymał się przed celą dwanaście i zapukał do drzwi.

...

Javad szedł szybkim krokiem. Był już spóźniony i nie chciał, żeby Gabriel na niego czekał. Jeśli odległość od stacji metra do mieszkania matki pokona biegiem, to może zdąży. Gabriel zadzwonił do niego i umówił się na spotkanie właśnie tutaj. Z początku go to trochę zdziwiło, bo nigdy się tu nie spotykali, ale Gabriel wspomniał coś o paczce, którą będzie musiał u siebie przechować. Przyspieszył i zdyszany wpadł na klatkę schodową. Pusto. Dopiero gdy się odwrócił, zobaczył Brunona, który za nim szedł, a potem Gabriela, który schodził po schodach. Pewnie tu siedział i czekał na niego.

*

Danny usłyszał, że ktoś puka do drzwi jego celi.
Marko Bendik?
Chce go odwiedzić?

Słyszał, że Marko siedzi w bloku D1, w lewym skrzydle, piętro niżej. Rzadko się zdarzało, aby osadzony z innego oddziału tak po prostu tu przychodził, ryzykując. Marko ma pewnie jakąś ważną sprawę. Uśmiechnął się, połechtany i dumny. Otworzył drzwi i wpuścił go do środka. Wiedział, kim jest Marko, za co siedzi i dlaczego przeniesiono go tutaj z zakładu w Mariefred. Rzadko się zdarzało, żeby tacy jak Marko odwiedzali takich jak on.

...

Javad odwrócił się do Brunona, a potem spojrzał na Gabriela. Przed spotkaniem czuł się niepewnie, ale gdy w ręce Gabriela zobaczył reklamówkę, odzyskał pewność siebie. Ma ją po prostu przechować. Gabriel otworzył torbę i wyjął z niej czarny pistolet z pełnym magazynkiem.

— To glock. Magazynek mieści siedemnaście kul.

Javad wyciągnął rękę, ale Gabriel nie dał mu broni. Włożył magazynek do kolby i odciągnął kurek. Pistolet był naładowany. Javad nie wiedział, po co mu go pokazują. Znow wyciągnął rękę, żeby wziąć do Gabriela broń.

— Masz fajkę?

Gabriel spojrzał na niego. Właściwie nie palił, zwłaszcza cameli, ale poprosił o jednego. Dostał dwa i zapalniczkę.

Zanim tu przyszedł, zażył trochę rohypnolu. Zawsze gdy chciał się rozluźnić, brał kilka gramów. Potem wszystko stawało się łatwiejsze.

Gabriel rzucił papierosy na ziemię i zadał Javadowi pierwsze ciosy w nos i policzek. Javad chciał uciec, ale Bruno i Gabriel zaczęli okładać go pięściami ze wszystkich stron. Kiedy upadł na ziemię, zaczęli go kopać. Gabriel uniósł pistolet, żeby Javad go zobaczył, i wycelował w jego głowę. Potem w klatkę piersiową, w brzuch, podbrzusze, udo.

*

Marko spojrzał na Danny'ego, który miał bardzo zadowoloną minę. Zaprosił Marka do środka i odwrócił się, żeby usiąść i porozmawiać z nim. Wtedy Marko uderzył go z całej siły nogą od stołu w kark. Danny upadł na łóżko. Ważne było, żeby go nie skaleczyć, bo na karku miały

zostać inne ślady — po sznurze. Z przodu nie powinno być widać żadnych śladów.

Miał absolutną pewność, że Danny był nieprzytomny już w chwili, gdy upadał na łóżko.

...

Gabriel czuł ogromną satysfakcję, gdy wpatrując się w oczy Javada, celował do niego z pistoletu. Wiedział, że nie powinien tego robić i rohypnol powinien mu w tym przeszkodzić. Nigdy nie należy patrzeć prosto w oczy komuś, kto ma zostać ukarany.

Właściwie go lubił. Javad zrobił bardzo dużo dla „rodziny”.

Ale na przesłuchaniu powinien był powiedzieć: „Na to pytanie nie odpowiem”.

Gabriel stał teraz nad nim, w rozkroku. Ujście lufy znajdowało się najwyżej metr nad Javadem, gdy pierwsza kula trafiła go w lewe kolano, a druga w prawe. Za każdym razem słyszał trzask kruszonych kości.

*

W każdej celi między wezłowiec łóżka a przykręconym do ściany stolikiem jest wolna przestrzeń. Właśnie w tym miejscu Marko umieścił jedną z książek Danny’ego. Obwiązał ją kablem, który wcześniej odczepił od telewizora stojącego w kącie telewizyjnym. Jeden koniec kabla — który zwisał w tej wolnej przestrzeni — zwinął w pętlę i zacisnął ją Danny’emu na szyi.

Chwilę potem Danny przestał oddychać.

...

Dwa głośnie strzały odbiły się echem w ciasnej klatce schodowej. Lokatorzy dwóch mieszkań na piętrze uchylili ostrożnie drzwi, ale gdy ujrzeli, co się dzieje na korytarzu, od razu je zamknęli. Gabriel i Bruno wyjęli telefon z kieszeni Javada i wyszli z budynku. Dopiero gdy zeszli do metra i wchodzili do wagonu, usłyszeli pierwsze syreny radiowozów.

*

Marko zamknął za sobą drzwi celi i przeszedł przez blok D2. Kiedy mijał innych więźniów, nadal stali albo siedzieli zwrócenieni do niego plecami. Klawiszy wciąż nie było, więc zszedł schodami na niższy poziom i znalazł się na własnym oddziale. Kiedy mijał celę numer dwa, zwolnił kroku i zapukał lekko do drzwi. Leon powinien wiedzieć, że on, Marko, jest od teraz jednym z nich.

...

Eddie stał w umówionym miejscu. Gabriel i Bruno wyszli z wagonu metra na stacji Råby. Eddie stał po prawej stronie od wyjścia.

— Wyczyść ją.

Gabriel podał Eddiemu reklamówkę. Ten gorliwie wyciągnął po nią rękę.

— Potem się nią zajmij.

Eddie ruszył przed siebie z bijącym sercem i z reklamówką w rękę. Zatrzymał się dopiero przed swoją szafką w szkole.

Na korytarzu było prawie pusto, lekcje już się skończyły. Zostali tylko ci, którzy chcieli pograć w piłkę, pogadać z innymi, pograć w karty albo szli do auli, żeby pograć na gitarach.

Eddie otworzył szafkę, wyjął z niej drugą reklamówkę, leżącą pod książkami, i wszedł do toalety. Dwa razy sprawdził, czy drzwi są zamknięte.

Najpierw zajął się białą reklamówką, którą przed chwilą dał mu Gabriel. W środku znalazł pistolet marki Glock z magazynkiem na siedemnaście nabojów. Wcisnął przycisk pod kolbą, żeby wyjąć magazynek, i usunął kulę z lufy. Pocisk upadł pod umywalkę, więc się schylił i podniósł go. W drugiej reklamówce, która zawsze leży w szafce, znalazł dwa ręczniki i buteleczkę ze środkiem do odtłuszczenia. Usunął z magazynka wszystkie naboje, jeden po drugim. Było ich piętnaście, co oznaczało, że dwa zostały zużyte. Spryskał je płynem i to samo zrobił z pistoletem. Potem wszystko wytarł do sucha ręcznikiem i po kolei wsunął kule do magazynka.

Na korytarzu rozległy się głosy. Ktoś nacisnął klamkę w drzwiach. Eddie stał cicho i czekał, aż kroki ucichną. Wiedział, że za drzwiami stoją ci z siódmej. Gdyby chciał, mógłby ich teraz zastrzelić.

Po chwili zapadła cisza, kroki się oddaliły.

Owinął pistolet ręcznikiem i włożył go do reklamówki. Otworzył drzwi, podszedł do swojej szafki, rozejrzał się i otworzył ją. Włożył reklamówkę pod książki do geografii i matematyki i zamknął szafkę na klucz.

Leon zapalił lampkę, zgasił i znowu zapalił.

Wysłuchiwał się w przytłumiony odgłos kroków jedyne go więźnia na oddziale, który chodził w takich samych sportowych butach jak więzienni wychowawcy.

Marko już to zrobił.

Za dwie godziny strażnicy zakładu karnego w Aspsås znajdują martwego człowieka. Stwierdzą, że powiesił się w swojej celi i że jego zwłoki leżą między łóżkiem a ścianą, a wokół szyi ma zaciśniętą pętlę. Kolejne samobójstwo, jedno z tych przykrych zdarzeń w szwedzkich więzieniach, których nie udaje się wyjaśnić, bo nikt niczego nie widział ani nie słyszał.

Gabriel też wykonał swoją robotę.

Jakiś czas temu karetka pogotowia zabrała z klatki schodowej na drugim piętrze wieżowca w Masmo młodego człowieka i zawiozła go na ostry dyżur do szpitala w Huddinge. Świadkowie opowiadali potem, że poszkodowany miał dwie potężne rany na obu kolanach, prawdopodobnie od postrzału.

Leon zapalił lampkę i znowu ją zgasił.

Dziwka pozbyła się prochów i tylko nimi śmierdziała. Na próżno załatwiali zgodę prokuratora i niepotrzebnie ściągali lekarza. Drugi raz nie będą mieli prawa tego zrobić.

Małolaty sprzedały towar i rozliczyły się co do grosza.

A oni? Oni oczyścili swoje szeregi.

Wyjrzał przez zakratowane okno. Robił to przeważnie wieczorem, gdy słońce jeszcze stało na niebie. Spojrzał na mur i wieżę kościelną, na niebo i białe chmury. Przez chwilę obserwował, jak płyną wysoko. Przesuwały się na południe, w stronę Sztokholmu i Råby.

Tak, to był naprawdę dobry dzień.

Zostało trzynaście dni

Pereira nadal nie mógł przywyknąć do gorzkiego, cierpkiego smaku kawy z automatu na posterunku w Råby. Zamknął oczy i wypił ją jednym haustem. Siedział w pokoju stanowiącym centrum dowodzenia Sekcji do Walki z Przeszłością Zorganizowaną i przez następne kilka godzin musiał zachować jasny umysł. Poprzedniego dnia zabrakło mu czasu, żeby zrozumieć, co się stało.

Podszedł do ściany, na której wisiały fotografie przestępców ułożone według stopnia zagrożenia. Na stole leżały teczki z dokumentacją działań poszczególnych gangów i stworzonych przez nie sieci. Wszystkie te grupy dopiero zaczynały przestępczą karierę i stały na drodze innym gangom. Pereira zepchnął wszystkie teczki na podłogę, a na stole położył zdjęcia przestrelonego kolana.

Rentgenologia: młody mężczyzna, siedemnaście lat.

Oficer dyżurny zadzwonił o 17.37 z wojewódzkiego centrum dowodzenia policji, aby powiadomić o przypuszczalnych porachunkach gangsterskich w Masmø.

Postrzelony w lewe i prawe kolano. Krążenie krwi stabilne.

Pereira wyszedł z budynku. Wsiadł do samochodu i zadzwonił do domu. Odebrała Martha. Powiedziała, że za nim tęskni, na co on stwierdził, że nie zdąży odebrać bliźniaczek. Obie grają dziś w piłkę, zaraz zaczną. Boisko jest przy drodze do Nynäshamn, czekają tylko na gwizdek sędziego. Rozegrają dwie połowy po trzydzieści minut.

O 17.52 Pereira dotarł do budynku przy Masmø Allé 23. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak zamykają się tylne drzwi żółtej karetki, która odjechała z dużą prędkością. Pierwsze, pobieżne badania ratownicy przeprowadzili na miejscu. Pereira odwiedził mieszkańców siedmiopiętrowego bloku, aby przesłuchać tych, którzy w chwili oddania strzałów przebywali w swoich mieszkaniach. Każdy z nich zeznał, że to był zwykły wieczór,

niczego nie słyszeli ani nie zauważyli nikogo obcego. Pereira wiedział, o co chodzi naprawdę: lokatorzy tak się boją, że niczego nie powiedzą.

Potem pojechał samochodem do szpitala w Huddinge i jeszcze raz zadzwonił do Marthy, która była z dziewczynkami na boisku w Tallkrogen. Tuż przed przerwą jedna z nich wyrównała wynik na dwa do dwóch. Rozłączył się, ale i tak nadal miał w uszach głośne pokrzykiwania trenera. Dość szybko udało mu się zaparkować przed głównym wejściem do szpitala. Z ciężkim sercem udał się na oddział chirurgiczny.

Znowu pochylił się nad biurkiem, przechylił lampę i wyjął lupę. Opis lekarski zdjęcia rentgenowskiego. Kiedyś już widział czarno-białe zdjęcia przestrzelonych kolan. Wielokrotne złamanie obu rzepek, distala femur, proximala fibia i proximala fibula. Mimo to nadal nie rozumiał, co widzi. A może nie chciał zrozumieć? Wielokrotne złamanie i silna opuchlizna tkanki miękkiej. Wiedział jednak, co oznacza ten drugi zapis i jaka nauka z niego płynie. Przesłanie brzmiało następująco: nigdy nie rozmawiaj z glinami.

Podczas operacji kolan siedział na korytarzu i czekał. Chodziło o przywrócenie funkcji ciała. Chłopak miał dopiero siedemnaście lat, leżał teraz w pojedynczym pokoju i już nigdy nie będzie normalnie chodził. Obok niego siedziała kobieta. To matka Javada Kittusa. Podniosła się z krzesła i obserwowała śpiącego syna. Kiedyś miał dwóch starszych braci, obaj byli wielokrotnie notowanymi przestępcami i obaj zginęli od kul. Każdy dostał po dwie. Zrozpaczona kobieta płakała i wiele razy ciągnęła go za rękaw marynarki, błagając, aby przysiągł, że jej ostatni syn nie zginie, nim ukończy dziewiętnaście lat.

Półtorej godziny później chłopak wybudził się z narkozy. Patrzył na Pereirę i na każde jego pytanie odpowiadał w ten sam sposób: „Wie pan tak samo jak ja, że jeśli zrobię jak poprzednio, jeśli nawet tylko pomyślę, żeby odpowiedzieć na wasze pytania, to następnym razem nie będą mi już strzelać w kolana”. Pereira wyszedł z sali, ale zawrócił. Znowu usiadł na krześle i zaczął zadawać te same pytania w inny sposób. Musiał jednak przerwać, gdy matka chłopaka zaczęła na niego krzyczeć i nawet przeszła do rękoczynów. „Nie wolno panu zadawać mojemu synowi takich pytań”. Potem pochyliła się nad bladą twarzą Javada i powiedziała: „Nie odpowiadaj, już nigdy nie odpowiadaj na żadne pytanie”.

Pereira odsunął od siebie zdjęcia przestrzelonych kolan i fotografie z miejsca zdarzenia z plamami krwi na posadzce. Sięgnął po segregator stojący na niskim regale i rozłożył go na biurku. Przerzucał kartki, aż

w końcu zatrzymał się na zakładce *Ghetto Soldiers* i *Powiązani*. Z fotografii spoglądało na niego czternaście twarzy określanych mianem *hangarounds*, siedemnaście twarzy należących do tak zwanych *prospects* i szesnaście należących do grupy *Niekarani i niepełnoletni*. W sumie czterdziestu trzech młodocianych. Każdy z nich marzył tylko o tym, żeby należeć do grupy, współpracować z nią w jakikolwiek sposób, aby któregoś dnia stać się pełnoprawnym członkiem. Kiedy tworzył to swoiste archiwum, użył zbyt ciasnych plastikowych koszulek i niektórych zdjęć nie udało się wsunąć do samego końca. Wyjął komplet trzech fotografii — lewy profil, prawy profil, en face — przez chwilę trzymał go nad koszem na śmieci, aż w końcu wypuścił zdjęcia z palców. Właśnie przestały być aktualne. Na wierzchu znalazła się fotografia twarzy Javada.

— Leon Jensen.

Nie zdążył odstawić segregatora na miejsce, gdy zadzwonił telefon. Zgłosił się Lennart Oscarsson. Była jeszcze dość wczesna godzina, ale mimo to dzwonił ze swojego gabinetu w więzieniu w Aspsås.

— Słucham?

— Dzwonię w sprawie grupy przestępczej, która kiedyś nazywała się Råby Warriors.

— Tak?

— Kiedy tu byłeś ostatnim razem, poprosiłeś mnie, żebym się z tobą skontaktował, gdybym zaczął podejrzewać, że coś się szykuje.

— Mów dalej.

— Wczoraj między siedemnastą a osiemnastą coś się wydarzyło.

Pereira kopnął kosz na śmieci i jedna z fotografii leżących na dnie odwróciła się właściwą stroną do góry.

— Doszło do... hm... nazwijmy to na razie incydem. Chodzi o jednego więźnia. Według opinii Więziennej Służby Wywiadowczej jest powiązany z gangiem, który chcecie rozgryźć. Został umieszczony w tym samym budynku co Jensen, na górnym piętrze, blok D dwa, lewe skrzydło. Z jego akt wynika, że dostał niski wyrok za udział w tym samym napadzie, w którym uczestniczyli także Jensen i Eriksson.

Pereira jeszcze się nie domyślał, do czego zmierza Oscarsson. Wiedział za to, że sprawa będzie miała reperkusje, których żaden z nich na pewno sobie nie życzy.

— Chwileczkę.

Pochylił się i sięgnął po zdjęcia mężczyzny z przestrzelonymi kolanami. Przez chwilę je oglądał, a potem znowu odłożył.

Wczoraj między siedemnastą a osiemnastą.

W tym samym czasie.

— Mów dalej.

Oscarsson chrząknął, wydawało się, że pochylił głowę, żeby coś przeczytać.

— Incydent dotyczy więźnia, który nazywał się Daniel Wall. Znaleźliśmy go martwego w jego celi.

Pereira ciężko oddychał.

— Poczekaj chwilę.

Rozłożył ten sam segregator, znalazł zakładkę *Ghetto Soldiers i Powiązani*. W czwartym rzędzie znajdowały się trzy zdjęcia. *Hangaround Danny*.

— Nie żyje?

— Tak.

— Zabójstwo?

— W moim więzieniu nikt nikogo nie zabija. Badamy sprawę na podstawie tych samych przesłanek co zawsze, to znaczy zakładamy, że to samobójstwo.

Pereira nadal trzymał słuchawkę przy uchu, chociaż rozmowa dobiegła końca. Nie miał siły, żeby ją odłożyć.

Javad Kittu zeznawał w śledztwie, w którym prawomocnym wyrokiem skazano czterech pełnoprawnych członków gangu. Daniel Wall składał wyjaśnienia w śledztwie, w którym prawomocnym wyrokiem skazano czterech pełnoprawnych członków gangu.

Kittu został postrzelony w oba kolana po siedemnastej. Walla znaleziono martwego w jego celi wczoraj po siedemnastej.

Zabójstwo i dwa przestrelone kolana. Sprawców nie znaleziono, bo nikt niczego nie widział ani nie słyszał.

Ludzie boją się zeznawać.

Wyjął kolejne trzy zdjęcia i położył obok zdjęć przedstawiających inną twarz. Z wściekłością kopnął kosz, który się przewrócił i przeleciał przez cały pokój. Musi znowu zadzwonić do Marthy, żeby wrócić do innej rzeczywistości, do dwóch córek w zbyt długich skarpetach piłkarskich. Do przerwy było dwa do dwóch. Kiedy kolejny raz spojrzął na zegarek, okazało się, że jest już za późno na telefon. Dlatego nie dowiedział się, czy w drodze do domu jego córki gadały jak najęte — jak zawsze, gdy wygrały mecz — czy też siedziały wciśnięte w siedzenia — jak zwykle, gdy go przegrały.

Spojrzął na telefon. Lepiej poczeka, niech odpoczną po meczu.

Podszedł do pierwszej ściany i spojrzął na osiem zdjęć wiszących na samym dole. Powiesił je tam zaledwie dwa dni temu. Z wiarygodnych źródeł wynikało, że był też dziewiąty członek gangu. Słyszał o próbie. Grubym mazakiem narysował na papierze koło i szpilkami przypiął do niego milczące twarze.

Stali się bardziej aktywni i bardziej brutalni. Stworzyli sieć złożoną z *hangarounds*, *prospects* i niekaranych. Zmienili nazwę grupy.

Zaczęli zabijać, żeby oczyścić własne szeregi.

Twarde jądro stało się jeszcze twardsze.

Zdjął zdjęcia i przewiesił je wyżej.

**Zostało
jedenaście dni**

Sześćdziesiąt osiem sekund.

Kiedy zaczął się alarm, Thom podbiegł do swojej szafki. Chwycił kurtkę, hełm, zarzucił plecak na plecy (dwadzieścia pięć kilogramów!), a do tego jeszcze tę ciężką kamizelkę ochronną wypożyczoną od wojska, bo gdy behapowiec usłyszał, że rzucono w niego siekierą, za bardzo wziął sobie to do serca.

Nie cierpiał takich sytuacji i nadal ich nie rozumiał. Prawie dwanaście tysięcy ludzi, którzy kochają swoje domy, mają swoją dumę, żyją, myślą i cieszą się światem. Dwustu pozostałych traktuje ich jak zakładników.

Kamizelka miała go przed nimi ochronić. Zerwał ją z siebie, rzucił na podłogę i podeptał. Nie dzisiaj.

Spojrzał na wielki zegar wiszący w szatni. Siedemdziesiąt siedem sekund. Powinien zdążyć.

To już trzeci pożar w Råby tego wieczoru. Tym razem palą się kontener na śmieci, motocykl i drążki do wspinania. Za każdym razem w stronę strażaków lecą kamienie, rośnie nienawiść. Pożary, które wybuchły w Råby, przeniosły się wkrótce do Hallundy, Alby, Vårbergu, a potem do Rosengårdu, dzielnicy imigrantów w Malmö. Kilka lat wcześniej pożary wybuchały w Oxa i Hermodsdal, w dzielnicy Backa w Göteborgu, w Tynnered i w Biskopsgården. Liczba pożarów, które wybuchały w kolejnych miejscowościach, stale rosła.

Pobiegł w stronę wozu i usiadł na przednim fotelu po prawej stronie. Spojrzał na młodego kierowcę i na dowódcę grupy wyposażonej w maski przeciwdymne. Już dość długo razem pracują. Przeniósł wzrok na obu swoich zastępców. Obaj są w straży od niedawna, ale można na nich polegać. Kierowca włączył syrenę i ruszyli pod znany im od dawna adres. To akcja „drugiego stopnia bezpieczeństwa”, co oznacza, że powinni tam jechać w eskorcie policji. Niestety, radiowozy są w terenie, patrole mają mnóstwo innych zadań.

— Råby Allé dwadzieścia dwa. Około dwudziestu pięciu gapiów.

Dym wyczuli z daleka. Kiedy podjechali pod wieżowiec, okazało się, że pożar wybuchł na klatce schodowej.

— Czarny dym bucha z drzwi wyjściowych. Zgłoszę się później.

Wyłączył radio, otworzył drzwi i pobiegł w stronę bijącego ze środka żaru.

...

Ana stała tam, gdzie zawsze, to znaczy w oknie kuchni swojego mieszkania na czwartym piętrze. To z tego miejsca rozciąga się widok na większą część Råby Allé. Trzymała filiżankę z niedopitą kawą, być może za chwilę sięgnie po kolejnego papierosa. Widziała ich, jak kilkanaście minut temu wślizgnęli się do klatki schodowej i do piwnicy. Było ich siedmiu, wszyscy ubrani w kominiarki i dresowe spodnie. Mieli po dziesięć, może dwanaście lat. Stała i czekała na pierwszy dym i na dźwięk. Najpierw będą dość słabe, a potem staną się wyraźniejsze.

...

Grupa w maskach przystąpiła do akcji. Pierwszy i drugi strażak przynieśli wąski wąż i stalową rurę. „Puszczać wodę!” Rozciągnęli go na dwadzieścia pięć metrów i włączyli pompę. „Potrzebujemy więcej węża!” Kiedy się okazało, że wąż nie sięga, rozwinęli także gruby wąż. Potem, wyposażeni w narzędzia do wyłamywania zamków, zbiegli do zamkniętej na klucz piwnicy.

Thom poprawił słuchawki na uszach i podszedł bliżej, żeby mieć lepszy widok. To tu jest źródło pożaru. Żelazne drzwi — dziesięć sekund. Drzwi bezpieczeństwa — półtorej minuty. Są w środku. Opony. Materace. Ubrania. Podkreślił dźwięk w słuchawkach. Nadal głównie dym. Wewnątrz dziewięćset stopni, jest ich tu dwóch, ciężko oddychają, betonowa piwnica bez przewiewu, strumień wody, która szybko zamienia się w parę. Wolno im tu zostać sześć minut, nie dłużej.

Sytuacja pod kontrolą.

Cała piwnica zalana wodą. Thom podszedł bliżej i czubkiem buta trącił to, co zostało po oponie od roweru. Nie będzie musiał przysyłać nikogo do dogaszania ognia. Poczul, jak ogarnia go dziwna ulga. Nikt mu nie groził, nikt nie rzucał kamieniami ani butelkami. Rozejrzał się dokoła. Na razie udało im się zlokalizować płomień.

— Thom?

Zapakowali pompę i zwinęli oba węże. Właśnie wsiadał do wozu, gdy przyszło kolejne wezwanie.

— Pożar na Råby Allé. Podziemny parking.

...

Ana przycisnęła czoło do szyby. Jest chyba cieplejsza niż zwykle. Z każdym dniem są coraz bliżej, każdego dnia dzieje się coś więcej. Pięć czy siedem lat temu pożary wybuchały trochę dalej, za każdym razem płonęły kosze na śmieci, ławki w parku, od czasu do czasu jakieś ogrodzenie. W ciągu ostatnich kilku lat płonęły samochody, szkoła, przedszkole, a teraz ich dom.

Przeciągnęła się i stanęła na palcach. Obserwowała, co dzieje się za oknem, także pożar podziemnego parkingu. W niebo unosił się czarny dym, do mieszkania wdzierał się zapach ropy.

Potrzebowała świeżego powietrza.

Wyszła na klatkę schodową, zeszła na niższe piętro i otworzyła pokrywę zsypu, żeby pozbyć się tej cholernej reklamówki. Powinna ją spuścić na sam dół. Nagle zebrało jej się na płacz. Poczowała ucisk w piersi i dławienie w gardle. Zamknęła pokrywę z takim trzaskiem, aż echo rozniosło się po całej klatce. Pchnęła drzwi wyjściowe i wyszła na dwór. Był piękny letni wieczór, wiał słaby, ciepły wiatr. Gdyby poszła w stronę dymu, powróciłaby do innych czasów, gdy ci, którzy teraz chodzą w dresach i wzniesają pożary, mieli po dziesięć albo dwanaście lat. Za każdym razem wybiegała z bloku i krzyczała na nich, chwytając za ramiona i próbowała zrozumieć. Nigdy ich nie zrozumiała, a oni nawet nie słyszeli jej krzyków.

...

Czarna chmura dymu. Pali się ropa. Najgorsze są pożary, które wybuchają wewnątrz jakiegoś pomieszczenia albo budynku. Dwa tygodnie temu palił się ten sam podziemny parking, musieli wtedy ewakuować mieszkańców z dziewięćdziesięciu jeden mieszkań, bo trujący gaz wdzierał się przez szyb windy aż na trzecie piętro. Thom wyskoczył z wozu, który przejechał jeszcze dwieście metrów, i otworzył główny wjazd na parking.

Od razu ogarnęły ich kłęby dymu.

Przystąpili do rutynowych czynności: rozwijali węże, rozkładali stalowe rury, ustawiali pompy, podłączali je do instalacji, szykowali miotacze piany.

Stanął w miejscu, w którym jako dowódca powinien być, a jego grupa wyposażona w maski ruszyła w stronę źródła pożaru. Była nim szara mazda zaparkowana przy betonowej ścianie.

Tamtych czterech dostrzegł w ostatniej chwili, ale było już za późno. W rękach trzymali długie przedmioty. Rzucili się na gumowe węże, kilka razy w nie uderzyli.

— Wyłączyć wodę!

Kierowca, który obsługiwał pompę, usłyszał polecenie i kilka sekund później woda i piana, które trysnęły w górę z przeciętego węża, przestały lecieć. Podeszła do nich grupa chłopców i stanęła nad przeciętym węzem. Thom naliczył ich około trzydziestu. Poczował to samo co dwa tygodnie wcześniej, gdy został uderzony kostką brukową i opluty. Jednak tym razem uczucie było o wiele silniejsze. Uświadomił sobie, że tamtym właśnie o to chodzi. Pozwolili im ugasić pożar i nie zaatakowali ich wcześniej, żeby wprowadzić ich w błąd. Był to sprytny podstęp, bo tak naprawdę chcieli ich zwabić i dopiero tu zaatakować. Kiedyś sobie obiecał, że nie da się sprowokować, ale w tej sytuacji przestał się kontrolować i eksplodował. Rzucił się przed siebie i wpadł między dziesiątki uzbrojonych w noże rąk, które pastwiły się nad gumowym węzem. Zauważył wśród nich chłopaka ze złotym łańcuchem i zaczesanymi do tyłu włosami. Chwycił go za chude ramię i tak mocno go ścisnął, że nóż upadł na ziemię.

Ciężko oddychał. Po chwili go puścił.

Przecież to tylko dziecko. O mało go nie uderzył.

— Zabiję cię.

Chłopiec, który już kiedyś go opluł, nabrał śliny i znowu na niego splunął. Potem uśmiechnął się i machnął mu ręką przed oczami. Wycelował w niego wskazujący palec i spojrzał mu w oczy.

— To ja jestem Eddie.

Po chwili znowu wycelował w niego palec, jakby naciskał spust.

— Następnym razem cię zabiję.

Thom przez moment przyglądał się kłębowi czarnego dymu, potem rozejrzał się dokoła, odwrócił i ruszył w stronę wyjścia.

...

Nie podeszła bliżej, chociaż zamierzała. Chciała porozmawiać ze strażakiem, poradzić się, jak przeprowadzić swój plan, żeby nikogo nie zabić ani nie zranić, ale w końcu postanowiła poczekać. Może uda jej się z nim porozmawiać następnym razem. Dlatego tylko się przyglądała.

Stała dość blisko, żeby zrozumieć jego strach i frustrację, a zarazem wystarczająco daleko, żeby uczucia jej się nie udzieliły.

Ruszyła przed siebie w ciemnościach. To jej Råby, spędziła tu całe życie, jeśli nie liczyć czterech i pół roku w zakładzie karnym dla kobiet w Hinsebergu. Råby to miejsce, które kocha, a zarazem go nienawidzi. To dla niego spędziła tyle lat na kursach dokształcających dla dorosłych, a potem w Wyższej Szkole Nauk Społecznych. Råby dodawało jej sił, gdy zaczynała pracę w opiece społecznej, choć nikt inny nie chciał jej posady. Tęskniła do Råby, miała je w sobie i chciała je zachować w pamięci.

Kiedy minęła Råby Allé i znalazła się wśród niższej zabudowy na Råby Backe, przestała czuć zapach dymu i spalonej ropy.

Nie udało jej się ich przekonać, żeby zerwali z takim trybem życia. Nawet wtedy, gdy zapraszała ich do własnego mieszkania. Siedzieli przy kuchennym stole, mieli po dziewięć lat i już handlowali amfetaminą. Każdy odpierał jej argumenty, ale nadal potrafiła z nimi rozmawiać. Niestety, chłopcy wzajemnie się wspierali i chronili, zjednoczyli się, tworząc mur, który stanął jej na przeszkodzie.

Nie udało jej się ani z tymi dwoma, którzy siadywali z nią w kuchni i rozmawiali, ani z tym, którego trzymała za rękę.

Potem z tych dwóch zrobiło się trzech, czterech, pięciu, sześciu, siedmiu, ośmiu, a ona przestała się z nimi spotykać w kuchni swojego domu. Rozmowy odbywały się od tej pory w opiece społecznej, gdzie im groziła i krzyczała na nich. Inni pracownicy opieki obserwowali, jak chłopcy udają mężczyzn. Byli już wtedy wielokrotnie karani. Część jej pracy skupiała się na grupie ośmiu chłopców, którzy sami siebie nazywali Råby Warriors. Nic to wszystko nie dało.

Miłość.

Razem ze swoimi współpracownikami proponowała im rozwiązania dostosowane do ich możliwości: dalsze kształcenie, dodatkowe zajęcia, odpowiednie warunki finansowe. Okazało się, że byli bez szans. Dzieciaki miały swoich zleceniodawców, którzy przychodzili do ich mieszkań, mówili im o miłości i nazywali ich braćmi. Zapraszali ich do organizacji, która zapewniała proste rozwiązania i gwarantowała duże pieniądze.

Inną miłość.

Kiedy doszła do Råby Backen i Våstra Ringen, przestała w ogóle odczuwać zapach dymu. Na rynku usiadła na ławce.

Dawniej rynek tętnił życiem.

Wybrała ławkę na samym środku. Siedział na niej chłopiec, który przed chwilą celował palcem w strażaka. Już dawno go nie widziała. To

syn Deniz. Coraz bardziej przypomina jej własnego syna. Wiedziała, że dla niego jest już za późno.

Nie zauważył jej, chyba na kogoś czekał. W końcu ktoś do niego podszedł, przywitał się i wyjął z kieszeni spodni zwitek papieru. Potem odszedł. Był ze dwa razy starszy od chłopca z łańcuchem na szyi, ale zauważyła, że w pewien sposób mu się podporządkował. Jakby się bał dwunastolatka.

Przyglądała mu się w mroku i też chciała do niego podejść.

Chciała go wziąć za rękę i odejść z nim stamtąd, i tak długo go trzymać, aż w końcu zrozumie.

Na dworze zrobiło się prawie całkiem ciemno, jak w typową letnią noc. Wszędzie panowała cisza. Nie lubił, kiedy było ciemno i cicho, bo przypominało mu to pustkę. Czuł się wtedy tak, jakby nie istniał. Siedział na ławce na rynku w Råby i nic na to nie mógł poradzić. Za to w domu nad łóżkiem przez całą noc pali się lampka. Miał nadzieję, że Leon i Gabriel nigdy się o tym nie dowiedzą.

W końcu zjawił się ten dupek. Eddie skinął mu głową. Chudzielec wyciągnął do niego rękę i przywitał się z nim. Potem wyjął z kieszeni zwitek pogniecionych banknotów i podał mu je. Dopiero wtedy Eddie wskazał mu miejsce w sklepie ICA, w którym tuż przed zamknięciem przykleił taśmą plastikową paczuszkę. Będzie ją mógł zabrać jutro rano, gdy otworzą sklep.

Posiedzi jeszcze na ławce, zostało mu trochę czasu.

Starał się myśleć o czymś, co nie miało nic wspólnego z ciemnością. Roześmiał się na wspomnienie wozu strażackiego. Wycelował w tamtego strażaka palec, „strzelił” do niego i powiedział, że go zabije. Podniósł palec i znowu „strzelił” w wyimaginowaną głowę. Przypomniał mu się ręcznik w szkolnej szafce i przedmiot, który w niego owinął. Kiedyś też będzie taki miał. Dla siebie.

Zerknął na komórkę, żeby sprawdzić, która godzina. Już czas. Podniósł się z ławki i po kilku krokach ją zobaczył. Stała w pobliżu i obserwowała go. Włosy jej trochę posiwiały, była chyba w wieku jego matki. Nigdy nie okazała mu szacunku i zachowywała się wobec niego niegrzecznie. To ta baba z opieki społecznej. Świdrowała go wzrokiem, jakby już wszystko o nim wiedziała. Wie, kim jest. A on wie, że ona wie. Gdyby nie jego matka, do niej też by wycelował z palca i strzelił.

Dojście do Råby Allé 44 zabrało mu dwie minuty. Zszedł do piwnicy i okazało się, że jest pierwszy. Usiadł na schodach koło windy.

Żadnych okien. W piwnicach nie ma okien.

Wokół jest zupełnie ciemno, słychać tylko trzaskanie drzwi i odgłos jadącej windy. Ruszyła i od razu się zatrzymała. Ciemno. Cicho. W szkolnej szafce ma ręcznik. Gdyby go teraz miał ze sobą, nie odczuwałby wokół siebie takiej pustki.

Nie wolno mu zapalić światła. Pozostali zaraz przyjdą. Nie lubią, gdy pali się światło.

Wiedział, dlaczego tu siedzi. Przez ostatni miesiąc sprzedał więcej towaru niż zwykle. Siedzi tu z powodu pistoletu, w którym brakuje dwóch nabojów. I z powodu tego, co zdarzy się za jedenaście dni.

Ktoś otworzył na górze drzwi.

Ktoś schodzi do piwnicy.

Już nie jest tak pusto.

— Miłość, bracie.

Nie przesłyszał się. Najpierw dostał od Gabriela w policzek, potem Gabriel poklepał go po ramieniu. A teraz padły te słowa. Patrzą na niego. Może znowu je usłyszy?

Ktoś poświecił mu latarką w twarz. Bruno i Jon. Każdy z nich przyniósł karton po butach.

Eddie rozejrzał się wokół siebie.

— A Gabriel?

— Przyjdzie później.

Starał się nie okazywać rozczarowania.

Bruno podał mu karton i poszedł na górę. Ściągnął windę, poczekał, aż przyjedzie, otworzył drzwi, zablokował je i zszedł z powrotem na dół. Wyjął z kieszeni pręt o długości dziesięciu centymetrów, odkręcił palcem śrubkę nad klamką windy i wsunął pręt w czworokątny otwór. Przekręcił go i otworzył drzwi prowadzące donikąd.

Nad ich głowami sączyło się słabe światło z windy, która stała piętro wyżej. Ostrożnie, po kolei, zeskakiwali na dno pustego szybu położonego metr niżej. W blasku latarek ukazał się duży czarny koc przyniesiony przez Brunona, dwa worki po dwadzieścia pięć kilogramów każdy i dwie skrzynki. Najpierw worki i coś, co przypominało okrągłe kulki albo kozie bobki. Kulki mają wypełnić oba kartony po butach. Potem dwie mniejsze skrzynki. W jednej są niewielkie rurki o średnicy centymetra i długości dziesięciu centymetrów, w drugiej też rurki, ale dłuższe i grubsze. Bruno wyjął z każdego pudełka po jednej rurce i wsunął je do tylnej kieszeni spodni.

Materiał wybuchowy kruszący. Zapalniki. Laski dynamitu.

To jeden z sześciu szybów przy Råby Allé, w których przechowują różne rzeczy.

Eddie dowiedział się o wszystkim zaledwie dwa tygodnie wcześniej. Dotarła do nich informacja, że firma, która sprawuje nadzór nad windami, zamierza sprawdzić wszystkie windy w okolicy i wydać zgodę na ich dalsze użytkowanie. Dowiedzieli się o tym na pół godziny przed wyznaczonym terminem i ledwo zdążyli przenieść wszystko z szybów do

samochodów zaparkowanych w podziemnym garażu. Było to siedem worków z materiałami wybuchowymi, z których każdy ważył po dwadzieścia pięć kilogramów, sześćdziesiąt dwie laski dynamitu i kilka tysięcy zapalników. Leżały w samochodach przez kilka dni, aż konserwator sprawdził windy i pojechał do innej dzielnicy. Następnej nocy odnieśli rzeczy na dawne miejsce.

Zakryli wszystko czarnym kocem i wyskoczyli z szybu. Zamknęli drzwi windy, wyjęli pręt z otworu, odblokowali mechanizm i wrócili do mieszkania z pomarańczowymi drzwiami przy Råby Allé 67.

...

Eddie poczuł ten zapach już w przedpokoju. Masa migdałowa. Pachnie dokładnie tak, jak smakuje. Spojrzał na Brunona i Jona i obaj skinęli głowami: tak, wolno mu wejść dalej. Znowu poczuł, jak ogarnia go fala ciepła. Pozwolili mu dalej sprzedawać towar, dali na przechowanie pistolet, pomagał im przy przenoszeniu materiałów wybuchowych. To dlatego czuł taką euforię. Za chwilę wejdzie do ich kuchni i będzie obserwował, jak przygotowują ładunek.

A może zdarzy się coś więcej? Może mu pozwolą go tam zanieść?

W dużym pokoju na kanapie siedziała Wanda. Obok niej leżał Duży Ali. Oglądali jakiś film. Eddie od razu go poznał. To dobry film, kiedyś też go obejrzy.

Gabriel stał w kuchni przy stole. Eddie na niego spojrział. Gabriel prawie od razu popatrzył na niego.

Na stole leżała gruba plastikowa rurka i paczka folii. Obok oba kartony po butach wypełnione materiałem wybuchowym, zapalnik i jedna laska dynamitu. Eddie podszedł bliżej i znowu poczuł ten zapach. Masa migdałowa. Był tego najzupełniej pewien.

Gabriel odczekał, aż wszyscy ucichną. Uderzył Brunona pięścią w ramię, bo ten ciągle coś mówił. Obejrzał plastikową rurkę ze wszystkich stron i odłożył ją na stół. Wcisnął zapalnik w laskę dynamitu i wsunął ją w niewielki otwór na dnie rurki, aż cała w niej znikła. Na zewnątrz został tylko długi przewód elektryczny. Znowu odwrócił rurkę i wsypał do środka coś, co Eddiemu przypominało kozie bobki. Teraz już wiedział, że to materiał wybuchowy kruszący, który rozrywa ludzkie ciało lepiej niż zwykły.

Gabriel, kochany bracie. Nie zapominaj: właściwa metoda.
Właściwa ściana.

Eddie wiedział też, że ważne jest, aby całą zawartość mocno wcisnąć do rurki. Trzeba zakręcić pokrywę, a całość owinąć w kilka warstw folii, bo przez parę dni gotowy ładunek będzie leżał blisko wody. Obserwował ruchy Gabriela, gdy ten umieszczał siedem kawałków dwustronnej taśmy samoprzylepnej po każdej stronie rurki. Potem zabrał z ławy skradzioną niedawno komórkę podłączoną do ładowarki i przymocował ją do rurki kilkoma warstwami taśmy. Na końcu otworzył plecak i włożył do niego swoje dzieło.

Pamiętaj: jeszcze nikt nie spowodował takiej eksplozji.

— Masz to przechować.

Gabriel otworzył boczną kieszeń plecaka, wyjął z niej obcęgi do cięcia drutu i podał plecak Eddiemu, który od dawna czekał na taką chwilę.

— Będziesz go przechowywał tak długo, aż ci powiem, że nadszedł czas i zamierzamy go użyć.

Eddie odebrał plecak od Gabriela.

— Stanie się to w dniu, w którym jednego z nas gliny wezwą na przesłuchanie.

Gabriel spojrzał na małego Eddiego, który tak bardzo się do nich garnął. Półtora metra wzrostu, twarz dziecka, oczy dziecka.

Przecież jest dzieckiem.

Gdybym sprzedał tyle towaru co ty, gdybym przechowywał broń w sklepowej szafce albo w szkolnej szafce, gdybym stał z bombą w ręce, jak ty teraz, i gdyby w tym momencie wpadli tu gliniarze, dostałbym jak nic pięć lat pierdła.

Ale tobie nic nie zrobią. Wezwą cię na rozmowę do kuratora, a potem pójdziesz z nim do kina na film.

Eddie widział, że Gabriel go obserwuje. Mocniej zacisnął ręce na czerwonym plecaku i znowu poczuł radość. Po raz pierwszy spędził w mieszkaniu Gabriela tyle czasu. Widział ich przy robocie, a oni widzieli jego.

Nie chciało mu się stąd wychodzić. Na dworze było jeszcze ciemno.

Nie wrócił do domu. Jeszcze nie. Główną ulicą poszedł do szkoły. Nikogo w niej jeszcze nie było.

Zajrzał do środka przez okno na parterze. Ciemno. Policzył do trzech i kopnął w szybę. Schylił się i wszedł przez wybity otwór do środka. Nawet nie musiał uważać na ostre krawędzie.

Miał osiem minut. Potem zjawi się ochrona. Już zapomniał, że alarm jest taki głośny. Czuł ból w uszach.

Za każdym razem, kiedy szedł pustym ciemnym korytarzem, czuł się dziwnie. Podszedł do swojej szafki i otworzył ją. Z trudem wcisnął plecak między podręczniki. W środku leżał już pistolet. Teraz, gdy włożył tam plecak, szafka była pełna. Kiedy wyszedł przez okno na ulicę, alarm nadal był. Powoli ruszył w kierunku Râby Allé 102. Mieszkanie na trzecim piętrze. Drzwi były zawsze otwarte. Jego pokój znajdował się po lewej stronie. W kuchni słyhać rozmowę. Ktoś przyszedł do mamy. Eddie położył się w ubraniu na łóżku i zapalił lampę. Jest zmęczony, zaraz zaśnie. Rano, kiedy się obudzi, światło będzie zgaszone. Mama zawsze to robi — wchodzi nocą do jego pokoju i gasi lampkę.

**Zostało
osiem dni**

Wanda siedziała na kanapie i oglądała film, ale chociaż zaczął się godzinę temu, nie miała pojęcia, dlaczego bohater ciągle biegnie i strzela. Było jej niedobrze i nie mogła się skupić, bo bolał ją brzuch. Przed chwilą wymiotowała i wyglądała na to, że zaraz znowu zwymiotuje.

Położyła się w takiej pozycji, żeby nie dotykać stóp Dużego Alego. Teraz łatwiej będzie jej oddychać. Wieczorem, a może to już była noc, widziała, jak tamten małolat ze złotym łańcuchem na szyi wychodzi z kuchni z czerwonym plecakiem w rękach. Szedł wyprostowany, czuł się dumny. Potem usłyszała, jak ci, co zostali w kuchni, głośno się śmieją. Któryś otworzył lodówkę i wyjął z niej kilka puszek piwa. I znowu rozległ się głośny śmiech.

Zapaliła papierosa i głęboko się zaciągnęła.

Nie chce, ale musi. Gabriel na nią spojrzał, gdy wchodził do kuchni. Właśnie zaczynał się film. To nie było miłe spojrzenie. Nie lubiła, gdy Gabriel tak na nią patrzył. „Zostały ci trzy mieszkania, dziwko”. Potem odwrócił się i nawet nie czekał na odpowiedź. Nie widział, jak ona przełyka ślinę i odwraca wzrok.

Nie lubiła, gdy ktoś nazywał ją dziwką. Kiedy robił to Duży Ali, Bruno albo Jon, nie zwracała na to uwagi, w ogóle tego nie słyszała. Ale kiedy Gabriel tak ją nazywał, robiło jej się przykro. Musi mu kiedyś powiedzieć, że za każdym razem, kiedy tak do niej mówi, czuje bolesne klucie w piersi.

Kolejny papieros, znowu się zaciągnęła. I znowu zrobiło jej się niedobrze, zwymiotowała do wiadra stojącego przy kanapie.

Zostały jej trzy mieszkania.

Dwa już odwiedziła: przy Råby Allé 124 i Råby Backe 4. Obejrzała też trzy komórki: przy Råby Allé 16, Råby Allé 143 i Råby Backe 192. Chodziło o to, żeby wybrane miejsca były pod różnymi adresami. Ważne jest też, żeby z okien każdego mieszkania nie było widać pozostałych mieszkań.

Pierwsza lokatorka miała prawie dwadzieścia pięć lat. Jej facet dostał niecałe dwa lata za narkotyki. Na początku kobieta na nią nakrzyzczała i opluła ją. Wtedy podbiła ofertę do pięciu tysięcy za tydzień. Kobieta znowu zaczęła na nią krzyczeć, ale w końcu wzięła gotówkę i dała jej komplet kluczy. W drugim mieszkaniu poszło łatwiej. Dziewczyna miała

dziewiętnaście lat, była bezrobotna, jej facet siedział od kilku lat za napad. Zgodziła się na trzy tysiące tygodniowo.

Mieszkanie przy Råby Allé 172 było na siódmym piętrze, na drzwiach wisiała tabliczka z nazwiskiem Holmgren. Lokatorka miała dwadzieścia jeden lat, jej facet był od niej znacznie starszy, dostał czternaście miesięcy za pobicie. Znały się już wcześniej, a kiedy on trafił za kraty, zaczęły spotykać się częściej. Miała na imię Linn. Wanda знаła ją i lubiła i dlatego zaprotestowała, ale Gabriel powiedział, że to mieszkanie też muszą mieć.

Nie chciała do niej dzwonić. To Linn zadzwoniła do niej.

Długo i uważnie przyglądała się Wandzie przez wizjer w drzwiach.

Linn ucieszyła się na jej widok. Zawsze się cieszyła z jej wizyty. Wanda objęła ją i Linn poprosiła, żeby usiadła.

Mieszkanie było dosyć małe, ale za to ładne. Dwa jasne, niewielkie pokoje, na regale obok dużego telewizora pełno szkła. Zawsze się tu dobrze czuła. Linn to taka ciepła osoba.

Poczęstowała ją herbatą. Wiedziała, że Wanda lubi herbatę z mleczkiem. Nawet Gabriel tego nie wiedział.

Wypiły po dwie duże filiżanki, aż zaczęło jej bulgotać w brzuchu. W mieszkaniu Linn umiała się śmiać. Już dawno nie siedziała na jej kanapie i zapomniała, jak bardzo tęskniła za tym miejscem. Już dawno się tak nie śmiała.

Linn miała właśnie poczęstować ją trzecią filiżanką, gdy w końcu Wanda wydusiła z siebie to, z czym przyszła.

— Potrzebujemy twojego mieszkania.

Z początku Linn nie zrozumiała, o co chodzi.

— Za osiem dni.

W końcu musiała jej wytłumaczyć.

— Na cztery, może nawet sześć tygodni.

Kiedy Linn w końcu zrozumiała, długo siedziała w milczeniu i nawet na nią nie patrzyła. *Ale ja tu przecież mieszkam.* O nic nie pytała, nie protestowała. *Nie chcę.* Ludzie rzadko protestują, bo każdy wie, kim są Gabriel i Leon, każdy wie, co mu grozi.

Linn spuściła wzrok. Spojrzała na stolik, potem w okno. Råby tonęło w ciemnościach.

— Dostaniesz trzy tysiące na tydzień.

Wanda podniosła się w końcu z białej kanapy.

— Potem tu wrócisz. Nic stąd nie zginie.

Trzecia filiżanka z herbatą została na stoliku.

— Za osiem dni, nie zapomnij.

Potem odwiedziła jeszcze jedno mieszkanie. Zostały dwa. I jedna komórka w piwnicy.

Otworzyła drzwi, spojrzała na Linn i na mieszkanie, do którego zawsze lubiła przychodzić. Linn mieszkała tu od dawna, zawsze była dla niej taka ciepła i miła. Objęła ją i mocno przycisnęła, tak jak zawsze.

**Zostało
sześć dni**

Na oddziale było całkiem pusto.

Leon siedział w kąciku telewizyjnym z papierosem w ręce. W akwarium był klawisz, ale albo go nie widział, albo mu się nie chciało podejść. W telewizji coś leci, chyba wiadomości. Nieważne. Chce tylko słyszeć jakiś dźwięk, który zagłuszy ciszę.

Pierwszy września. Idzie jesień, ale na dworze nadal jest ciepło. Trzeba tylko wyjść na spaceriak i usiąść w odpowiednim miejscu pod murem.

Jest tu już od pięciu miesięcy.

Kiedy tu trafił, akurat topniał śnieg, zaczynała się wiosna. W więzieniu łatwo zapomnieć, że za murami nadal istnieją pory roku.

Przez cały tydzień przebywał na oddziale zupełnie sam. Odmówił chodzenia do pracy i każdego dnia strażnicy składali na niego raport. Jednak jutro pójdzie do pracy, do warsztatu. Będzie tam produkował drewniane czerwone klocki i długie metalowe pokrywy, które montuje się na ulicznych latarniach. Gdyby znowu odmówił, przenieśliby go do izolatki. To wykluczone, bo dokładnie za sześć dni musi tu być.

Telefon komórkowy, którego używał wspólnie z Mihajlovicem, nadal był na podsłuchu. Dlatego kilka razy skorzystał z telefonu klawisza. Zapłacił mu za to po dwa tysiące za każdą rozmowę. Kontaktował się z Javadem, który długo nie wstanie z łóżka, i z Gabrielem w sprawie podwójnej dostawy z Afganistanu przez Rosję i Turcję, która pozwoli im pokryć koszty wynajmu mieszkań tak długo, jak będzie to konieczne. Rozmawiał też o workach i pudełkach w szybie windy, które mają im posłużyć do zrobienia czegoś, czego nikt inny przed nimi nie zrobił. Z Rezą dyskutował o murze więzienia w Österåker, a z Urosem o głównej bramie w Storbodzie. Dzięki temu czekanie stało się znośniejsze.

Twój brat jest jak twoje własne ciało.

Ani razu nie rozmawiał z nikim o więźniu, którego ponad tydzień temu strażnicy w bloku D2 znaleźli martwego. Akurat zamykali cele i zobaczyli, jak klęczy z głową wsuniętą w przestrzeń między wezłowiem łóżka a stołem przymocowanym do ściany. Nie rozmawiał

też z nikiem o kablu telewizyjnym zawiązanym wokół książki, która wypełniła tę przestrzeń, ani o tym, że kabel posłużył jako pętla, którą zaciśnięto więźniowi wokół szyi.

Dla ciebie żyje i umiera.

Teraz już go nie ma. Zaczął sypać i dlatego nie dołączy do nich jako dziewiąty członek grupy.

Jest przy tobie rano i wieczorem, w doli i niedoli.

Zastąpi go ten, który przechodził obok jego celi, gdy on, Leon, zapalał papierosa; najbardziej zapracowany pośród tych, którzy spędzają dzień w warsztacie albo w pralni, w pokojach widzeń albo w szkolnych salach, a nawet na trawnikach między murem a wewnętrznym ogrodzeniem. Pielęgnują je najbardziej godni zaufania więźniowie. To właśnie on stanie się tym dziewiątym.

Temu, kto zabija dla swoich braci, można ufać.

— Zdobyliśmy stalową szczotkę.

Alex wskazał na swoją prawą kieszeń. Marko stał o krok za nim. Miał zaczerwienioną z emocji twarz.

— Ćpun zaraz się tym zajmie.

Do celi numer dziesięć weszli bez pukania. Ćpun leżał na łóżku. Leon miał ochotę walnąć go w jego rozchylone usta, ale tego dnia przypadała kolej Marka, więc to on uderzył go pięścią. On, Leon, uczyni to jutro.

— Możesz się położyć na łóżku.

Marko rozpiął guziki i zdjął spodnie. Uda miał zaczerwienione.

— Tylko żadnego światła — powiedział Leon i zgasił lampkę stojącą na szafce.

— Wolę, kiedy jest zapalona.

Tak, w nocy.

— Jest dzień.

— Zawsze jest zapalona, kiedy pracuję. Lepiej wtedy widzę.

Ja ją zapalam na noc.

Leon nie mógł się dłużej powstrzymać. Zaciśnął pięść i uderzył Ćpuna w tę jego pieprzoną uśmiechniętą gębę. Ćpun zalał się krwią.

— Lampka w dzień ma być wyłączona — powiedział Leon.

Ćpun znowu chciał włączyć lampkę, ale cofnął dłoń i z roztargnieniem zaczął się bawić pięcioma stalowymi drutami, które wyrwał z drucianej szczotki. Na stoliku leżał patyk po lodach i szklana butelka. Kilka tygodni wcześniej udało mu się zrobić prawdziwy aparat do tatuowania. Wykorzystał do tego maszynkę do golenia marki Braun. Niestety, któregoś dnia podczas przeszukania celi klawisze skonfiskowali jego wynalazek. Na szczęście tusz udało mu się uratować. Ukrył go w kartonie po mleku, który stał w lodówce. Nowa maszynka do tatuażu, którą chce zrobić teraz, będzie równie dobra jak tamta. Zabierze mu to więcej czasu i trudniej będzie ciągnąć proste, równe linie, ale w całym swoim życiu wykonał wiele podobnych maszynek. Używał do tego stalowych drutów i patyków po lodach, które pełniły funkcję szkieletu. Mocował do patyka kolejne kawałki drutu, każdy z nich odstawał od patyka trochę bardziej niż poprzedni. Przypominało to schody. Potem wszystko związał nicią.

Pamiętaj: ufam nowemu na 200%.

Marko leżał na łóżku z obnażoną prawą nogą. Leon obserwował jego twarz. Oczy płonęły mu jak nigdy dotąd. Policzki miał rozpłomienione, usta ciągle zwilżał językiem. Leon pamiętał, jak przed laty on sam odczuwał podobną tęsknotę, by przynależć do czegoś większego od siebie. Marko przymknął oczy. Za chwilę na jego nodze pojawi się nazwa gangu. Wolał jednak nie patrzeć, jak Ćpun jedną ręką naciąga mu skórę na udzie, a drugą zanurza w tuszu metalowe igły zamocowane na patyku po lodzie. Nie chciał też patrzeć, jak dwie igły lekko unoszą skórę, a trzy pozostałe tłoczą pod nią tusz.

Zapamiętaj: po każdym zadaniu stają się coraz lepszymi bojownikami.

Marko otworzył oczy, spojrzął na Leona i uśmiechnął się, chociaż Ćpun nadal wstrzykiwał mu w skórę kolejne krople tuszu. Słowa GHETTO SOLDIERS pozostaną tam do końca jego życia. Przez pierwsze sześć lat, gdy przebywał w poprawczakach, służył jako chłopiec na posyłki i załatwiał różne sprawy dla innych. Potem, żeby zostać członkiem, przeszedł próbę. Odtąd już nie będzie sam.

...

Do tej pory było ich ośmiu.
Teraz jest dziewięciu.

...

Temu, kto zabija dla swoich braci, można ufać.

Zostały cztery dni

Zdjęcia ze szkolnego albumu.

José Pereira w zamyśleniu przesuwał palcem po fotografiach. Łamali prawo i wycinali w tajemnicy zdjęcia uczniów piątej i szóstej klasy, którzy byli wtedy dziećmi, aby wpaść na trop zorganizowanych grup przestępczych. Dawniej, w czasach zajęć w Akademii Policyjnej, nikt o takich praktykach nie wspominał.

Minął już ponad tydzień. Pereira wiedział, że dwa strzały w kolano i telewizyjny kabel zaciśnięty wokół szyi to sprawka tych, którzy zmienili nazwę i coś szykują. Tak naprawdę nie wiedział nic. Rozmowy z sąsiadami, przesłuchania, informatorzy... wszystko na nic. Wszędzie czaił się strach i nie pozwalał mówić tym, którzy coś widzieli albo słyszeli.

Trzymał w rękach rozłożony segregator, kręcił się bez sensu po swoim gabinecie i gapił w ściany. Przeszedł do zakładki *Ghetto Soldiers* i *Powiązani*, przyglądał się twarzom tak zwanych *hangarounds* i *prospects*. Potem przeszedł do zakładki, którą sam stworzył, *Niekarani* i *Niepełnoletni*. Zawierała fotografie z albumów szkolnych. Policji nie udało się pobrać od nich odcisków palców ani przeprowadzić testów DNA, ale i tak figurują w policyjnych rejestrach. Miał wątpliwości, czy wydobywanie informacji od niepełnoletnich i niekaranych to przesłuchanie, czy tylko rozmowa — i czy powinien być przy tym obecny opiekun prawny dziecka albo pracownik opieki społecznej. Z każdym chłopcem musi się spotkać, a zacznie od tego, który jest na lekko zamazanym zdjęciu, po lewej stronie. Już wiele razy rozmawiał z nim w tym pokoju. Miał zaczesane do tyłu włosy i nosił na szyi złoty łańcuch.

...

Eddie siedział z nogami na stole, który nosił ślady po jego nożu. Czasem grali przy nim w karty. Stał koło szafek szóstoklasistów. Na razie szkoła nie wstawiła nowej szyby w oknie. Woźny zamocował tylko sklejkę i podkleił ją grubą warstwą brązowej taśmy klejącej. Nie da się teraz wyrzeć na dwór.

Było popołudnie. Do końca zostały tylko dwie lekcje.

Siedział tu od rana i czuł się samotny. Wszędzie było tak cicho. Nie lubił takiej ciszy, stała mu ością w gardle, dławiała w piersi. Inni byli na lekcjach, ale on na nie już nie chodził. Bycie samotnym wśród tylu uczniów w szkole jest gorsze niż bycie samotnym na zewnątrz.

Ktoś trzasnął drzwiami. Słyszeć kroki. To dorosły.

— Glino!

Eddie zdjął nogi ze stołu, wstał z krzesła i podszedł do wysokiego mężczyzny. Miał przynajmniej czterdzieści lat, a ubierał się w dżinsy i starał się wyglądać młodo.

— Zabiję cię.

...

Chłopak wstał z krzesła i do niego podszedł, jak zawsze.

Pereira nigdy nie pozwalał, żeby stali naprzeciwko siebie i mierzyli się wzrokiem. Jego koledzy z komendy, którzy tak robili, nawet nie zdawali sobie sprawy, że w tym samym momencie stawiają się na straconej pozycji.

— Przyjdiesz do mnie. Musimy porozmawiać o pewnych sprawach.

Przerzucił kilka kartek w segregatorze z danymi o niekaranych niepełnoletnich, związanych z grupą przestępczą Ghetto Soldiers. Zatrzymał się na zdjęciu dwunastoletniego chłopca, zameldowanego w trzypokojowym mieszkaniu przy Råby Allé 102 razem z samotną matką i pięcioletnią siostrą. Przez chwilę przyglądał się jego twarzy. Przypominała twarze tych, którzy przed sześcioma laty byli tacy jak on, a teraz odsiadują długie wyroki w zakładach karnych o zaostrzonym rygorze. *Obserwowany chłopiec w wieku jedenastu, dwunastu lat podczas rozmowy z Leonem Jensenem i Gabrielem Miltonem; miejsce rozmowy: południowe wyjście z tunelu metra Råby.* Przez ostatnie dwa lata zdecydowanie zwiększył swoją aktywność. *Zwykłe ubranie, gruby złoty łańcuch na szyi, idzie do mieszkania przy Råby Allé 67, słucha poleceń Miltona.* Spośród wszystkich niepełnoletnich to on zaszedł najdalej i to on ryzykował najwięcej.

Teraz stał przed nim.

— Nie będę odpowiadał na żadne twoje pytania, glino.

— Rozmawiałem już z twoją mamą. Będzie obecna w czasie rozmowy.

Eddie podszedł jeszcze bliżej, spojrzał na Pereirę, wyciągnął rękę i przesunął mu ją przed oczami. Pereira chwycił ją i mocno ścisnął. Eddie

krzyknął głośno.

— Nie dotykaj mnie!

Pereira ścisnął go jeszcze mocniej.

— We środę zameldujesz się u mnie razem z matką. Porozmawiamy o tym, co przydarzyło się Javadowi.

Eddie przełknął ślinę.

— O czym ty gadasz, glino?

— Ktoś go postrzelił. Dostał dwie kulki w kolana. Wiesz o tym. Ja też chcę wiedzieć.

— Javada?

— Tak.

— A kto to jest?

Pereira nie uśmiechnął się ani nawet nie westchnął. To jeszcze dziecko, ale bez mrugnięcia okiem robi krzywdę każdemu, jeśli to wzmocni jego pozycję w grupie.

— We środę.

— Nie wolno ci mnie przesłuchiwać.

A więc nie chcesz rozmawiać. Tak samo jak teraz, gdy siedzisz w świetlicy i nie chcesz iść do klasy na lekcje.

— Skończyłeś dwanaście lat. Wolno mi z tobą rozmawiać, jeśli przy rozmowie będzie obecna twoja mama.

Przychodziłem po ciebie regularnie do twojego mieszkania, gdy szkoła nam zgłaszała, że nie chodzisz na lekcje, a twój opiekun społeczny domagał się interwencji. Teraz rzadko to robię, chociaż ty nie chcesz robić wielu innych rzeczy.

— Gliniarz, który zabija psa, zasługuje na śmierć. Naprawdę nie kapujesz? Nigdzie nie przyjdę!

— To twój wybór. Zostaniesz doprowadzony siłą.

— Pieprzony glino... W takim razie żądam adwokata.

— Adwokata?

— Tak.

— Mogę ci załatwić niańkę.

...

Robisz za gońca. Ukrywasz broń. Sprzedajesz metamfetaminę i heroinę. Podczas napadu na jubilera stoisz na czatach. Twoi koledzy z klasy płacą ci, żebyś groził nauczycielowi, a jeśli to nie wystarcza, bijesz

jego dzieci. Kradniesz samochód, którym uciekacie z miejsca przestępstwa. Potem go podpalasz. W czasie włamania do willi w Nacka przynosisz narzędzia, a jak jest po wszystkim, zabierasz łup i go ukrywasz. Odwiedzasz właścicieli sklepów w Råby, żeby ich informować o haraczu. W zamian oferujesz im ochronę, której i tak im nie zapewniasz. Będziesz tak wykorzystywany każdego dnia, każdego wieczoru, aż skończysz piętnaście lat. Od tego dnia to ty będziesz wykorzystywał innych.

...

Ten pierdolony gliniarz trzymał go za ramię, a on nie mógł mu się wyrwać. Kiedy go puścił, Eddie pobiegł do swojej szafki i otworzył ją. *Zabiję cię!* Pod książkami leżała broń owinięta w ręcznik. Zaraz jej użyje. Chwycił pistolet, ale w ostatniej chwili się opanował. Nie wolno go użyć, Gabriel mu zabronił.

Chciał zamknąć szafkę, gdy gliniarz podszedł bliżej. Eddie nie mógł domknąć drzwi, bo szafka była pełna: pistolet w ręczniku i plecak z materiałem wybuchowym. Spróbował przesunąć segregator i docisnął rzeczy ramieniem. Ten głupek stał za nim i tylko się gapił, nie miał pojęcia, że przeszkadza coś więcej niż tylko książki. W końcu sobie poszedł, a wtedy on krzyknął za tym tchórzliwym gnojem, tak jak wcześniej, tyle że głośniej: „Zabiję cię!”.

Dopiero później coś zauważył. Nie myślał o tym, gdy rozmawiali.

W świetlicy nie było już tak pusto jak przedtem.

Znowu został sam, ale już nie czuł się sam. Był tu tamten glina, rozmawiali podniesionymi głosami i w sali przestało być cicho.

Wyszedł ze szkoły i ruszył biegiem w stronę centrum. Zdyszany stanął przed pomarańczowymi drzwiami mieszkania.

— Co ty tu, kurwa, robisz?

Otworzył mu Jon.

— Muszę porozmawiać z Gabrielem.

Masz go przechować.

Nadal był zdyszany, bo nie chciało mu się czekać na windę. Z trudem wydusił z siebie kilka słów.

— To... bardzo... ważne...

— Masz się rozliczyć dopiero wieczorem.

Będiesz go przechowywał tak długo, aż ci powiem, że nadszedł czas i zamierzamy go użyć.

— Chodzi o plecak, ja...

Jon otworzył drzwi i wskazał mu miejsce w przedpokoju.

— Poczekaj tutaj.

Stanie się to w dniu, w którym jednego z nas gliny wezwą na przesłuchanie.

Eddie stanął dokładnie w miejscu, które wskazał mu Jon. Wszyscy inni byli w kuchni, słyszał ich głosy.

— No to o co chodzi?

— O Pereirę.

— Co z Pereirą?

— Mam się do niego zgłosić.

Jon uśmiechnął się lekko, a potem dał Eddiemu znać, żeby poszedł z nim do dużego pokoju. Pozwalają mu tam wejść! Do mieszkania! Kanapa, filmy i telewizor na cały regulator, choć w pokoju nikogo nie ma. Przeszli przez pokój do kuchni.

Gabriel stał w tym samym miejscu co wtedy, gdy składał bombę. Stał przy krótkim boku stołu, koło lodówki i zlewu. Naprzeciwko niego Duży Ali, po jego prawej ręce Bruno. Cała trójka wpatrzona w stos przedmiotów leżących na stole. Eddie wiedział, co to było. Kamizelki kuloodporne. Gabriel wziął jedną z wierzchu i położył przed sobą. Otworzył leżącą obok kopertę, wyjął z niej grubą igłę i gruby, czworokątny kawałek materiału i przyłożył go do przedniej części kamizelki. Potem zaczął go do niej przyszywać. Igła była gruba, więc miał trudności z przebiciem i materiału, i kamizelki.

— Balistyczna osłona na szyję. Balistyczna osłona na ramiona. Ochronna płyta z kevlaru. Nawet gliny takich nie mają.

Cztery szwy po każdej stronie, w sumie szesnaście. Gabriel dotknął kawałka materiału, żeby się upewnić, że mocno się trzyma, i założył kamizelkę. Eddie stał w progu. Pozwolili mu patrzeć!

— Rozłóż ręce.

Gabriel spojrział na Eddiego i pokazał mu, jak się ustawić.

— Teraz włóż głowę.

Kamizelka. Nowa kamizelka Gabriela. Chyba mu się to śni. Czyżby Gabriel chciał, żeby on ją założył?

— Właśnie tak.

Eddie poczuł się niepewnie. Naprawdę ma założyć kamizelkę Gabriela? Z nową nazwą grupy przyszytą z przodu?

Już sam nie wiedział, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Może mu się tylko wydawało? Przecież czasem tak jest, że ręce same się rozkładają. A jednak czuł, że trzyma je z daleka od ciała i że Gabriel zdjął kamizelkę i założył ją jemu.

Cały drżał. Poczzerwieniał na szyi, twarzy, czole.

Kamizelka Gabriela.

Zareagował dopiero po fakcie. Rewolwer przypominał ten, który leżał w jego szafce szkolnej, Smith & Wesson, kaliber 45 mm; po każdym oddanym strzale z lufy wydobywał się błysk, prawie tak długi jak jego dłoń.

Gabriel strzelił dwa razy.

Pierwszy pocisk trafił Eddiego w pierś, tuż obok skrawka przyszytego materiału. Drugi w brzuch. Ból był naprawdę silny, ale nawet nie krzyknął. Kiedy ktoś traci oddech, nie może krzyczeć. Nie mógł też ustać na nogach, jakby go podcięło. Klęknął przy ścianie i chciał krzyknąć, ale nadal nie potrafił wydobyć z siebie dźwięku.

W kuchni rozległ się głośny śmiech. Jon zrobił nawet kilka zdjęć swoim telefonem komórkowym. Gabriel zdjął z Eddiego kamizelkę i wszyscy zgromadzili się wokół stołu, żeby ją obejrzeć. Prawie nie było widać, w które miejsca trafiły pociski. Skrawek materiału też był nieuszkodzony. Gabriel dotknął palcem blaszki z wypisaną na niej nazwą. Okazało się, że jest tylko lekko wklęsnięta.

Podczas gdy Bruno naszywał znaczek na swoją własną kamizelkę, Gabriel objął Eddiego ramieniem i zaprowadził do dużego pokoju. Bolały go uszy, poczuł to dopiero teraz, gdy ból w piersi i brzuchu ustąpił. To były głośne strzały, oba odbiły się silnym echem.

Gabriel kazał mu usiąść na kanapie. Eddie posłusznie wykonał jego polecenie. Jeszcze przed chwilą miał łzy w oczach i trudno mu było oddychać, ale teraz czuł się lepiej, łzy przestały napływać. Nie wolno mu płakać, nie tutaj, przecież dali mu ponosić nową kamizelkę.

Gabriel usiadł obok niego i zdjął z niego koszulę, obnażając bladą skórę, na której widać było dwie okrągłe czerwone plamy. Eddie dotknął ich palcem. Zabolało.

— Będą jeszcze większe, a za kilka dni zrobią się tu siniaki.

Gabriel się uśmiechnął. Pokazał mu swój brzuch pokryty grubą, pomarszczoną, zniszczoną skórą.

— Wyglądasz, kurwa, prawie jak ja!

Eddie nadal dotykał bolących śladów, które wkrótce zamienią się w siniaki.

Gabriel do niego strzelał, a on tylko stał.

Przypomniał sobie o Pereirze. Rozmowa z nim może być nawet zabawna.

— Mam się jutro zgłosić u Pereiry.

— Dlaczego?

— Pytał o Javada.

Gabriel przestał się uśmiechać. Spojrzał na Eddiego takim wzrokiem, jakby chciał go zabić.

— I co?

— Nie zamierzam gadać z tym pieprzonym gliną.

Gabriel nadal mu się przyglądał tym samym wzrokiem, ale o nic więcej nie pytał.

— Powiedziałeś, że... plecak... że ja...

Gabriel skinął głową.

— Tak, jak będzie po wszystkim. Kiedy Pereira zada ci pytania, na które nie odpowiesz.

Znowu ten wzrok. Eddie kilka razy skinął głową, aż na twarzy Gabriela ujrzał wyraz zadowolenia.

— Powiesz mu, że musisz iść do klopa, i pójdziesz do kibla, który jest obok jego pokoju. Położysz plecak na podłodze. Otworzysz pokrywę zbiornika z wodą nad kiblem, tego, o który opierasz się plecami, jak stawiasz klocka, i położysz ją do góry dnem na umywalce. Wyjmiesz z plecaka plastikową rurkę, usuniesz papier, którym jest owinięta i przymocujesz rurkę do spodniej strony pokrywy zbiornika. Na samym końcu, zanim ją z powrotem założysz na zbiornik, przytniesz przewody elektryczne wystające z plastikowej rurki. Masz je odpowiednio skrócić. Powinny być jak najkrótsze.

Nowa nazwa. Nowe zasady. Rozróżba. Ucieczka. Porwanie.
Zabójstwo. Gazety. Telewizja. Wysadzić.

Eddie uważnie się przyglądał, jak Gabriel udaje, że przycina niewidzialny przewód elektryczny. Potem Gabriel wyjął bibułę, położył ją na stole i napełnił tytoniem ze skórzanego woreczka. Następnie dodał do niego dwie krople z trójkątnej buteleczki, która zawsze wisiała na złotym łańcuchu na jego szyi. Zrobił skręta, zapalił go, zaciągnął się i podał go Eddiemu.

Eddie głęboko się zaciągnął i uśmiechnął.

Siedzą z Gabrielem na kanapie. Gabriel poczęstował go skrzydełkami.

Kiedy Gabriel dowiedział się, że Eddiego ma przesłuchać Pereira, zaufał mu. Wyjaśnił, co ma zrobić z zawartością plecaka.

Kolejny sztach, jeszcze jeden szeroki uśmiech.

Gabriel nawet do niego strzelał.

Zostały trzy dni

Był wczesny ranek. A może nie ranek? Może dopiero kończyła się noc? Wanda leżała w łóżku i paliła papierosa. W środku nadal śmierdziało THC. Była przesiąknięta silnym zapachem konopi, podobnie jak jej ubrania i tapety na ścianach. Kiedy tu przyszła, wszyscy akurat palili, nawet tamten mały chłopak. Wyglądał na uszczęśliwionego i głośno się śmiał, gdy przymierzał kamizelkę kuloodporną. Potem kilka razy podciągał koszulę, żeby im pokazać czerwone ślady wielkości pięciokoronówki. Pomagał im znieść wszystko na dół — kamizelki, bluzy z kapturem, koszulki. Na wszystkich były przyszyte kawałki materiału z nową nazwą gangu. Znieśli rzeczy do piwnicy przy Râby Allé 22.

Odczekała, aż mały sobie poszedł, i poprosiła Gabriela, żeby pozostałym też kazał już iść. Odmówił, więc poszła do sypialni, a on za nią, i zamknęli za sobą drzwi.

Teraz leżeli nadzy obok siebie i palili. Niedługo powieszą w oknie koc, żeby słońce nie świeciło do środka. Położyła dłoń na jego policzku i zaczęła go gładzić. Gabriel nie odsunął się od niej, nie uderzył jej i nie krzychał na nią. Wiedziała, że nadszedł czas.

Odwróciła się na bok i wzięła plastikową torebkę, którą wcześniej położyła pod łóżkiem, żeby łatwo po nią sięgnąć. Pokazała mu ją, korzystając z okazji, że Gabriel nadal zachowywał się spokojnie.

— Widzisz?

Gabriel pochylił się w jej stronę.

— Tak.

— Wiesz, co to jest?

— Test narkotykowy.

Gabriel poszukał wzrokiem czerwonego znaczka „plus” i w końcu go znalazł.

— Pozytywny — dodał.

— Nie.

— Przecież widzę. Czerwony kolor! Po cholere trzymasz pozytywny test?

Wanda zacisnęła dłoń na plastikowej torebce. Gwałtownie oddychała. Zawsze tak oddycha.

— To test ciążowy.

Gabriel nie poruszył się.

— Gabi?

Cisza.

— Dotknij.

Wanda wzięła go za rękę i przyłożyła ją do swojego brzucha.

— Tutaj.

Potem, przytrzymując ją w tym miejscu, powiedziała:

— Jeśli ty... to coś takiego jak... ziarnko sezamu. Rozumiesz? Jest tak duże jak ziarnko sezamu! Tutaj... na środku jest wybrzuszenie... Serce. Jeszcze nie pracuje, ale jest.

Spojrzała mu w oczy.

Ujrzała w nich pustkę.

Gabriel wstał z łóżka i milcząc, opuścił pokój.

Dotarły do niego słowa „ziarnko sezamu” i „serce”, ale nic poza tym. Przeszedł nago z sypialni do kuchni. Jon siedział na krześle i coś pił. Nie zdążył się nawet odwrócić, gdy Gabriel uderzył go pięścią w twarz. Potem poszedł do dużego pokoju. Bruno leżał na kanapie i oglądał jakiś film. Gabriel chwycił go za koszulę, uniósł z kanapy, żeby spojrzeć mu w oczy, i dwa razy uderzył go z całej siły czołem w nos i policzek. Podniósł spodnie z podłogi i włożył je. Bluza i skarpetki leżały w innym miejscu, więc pobiegł do samochodu na bosaka, nagi do pasa. Wyjechał z Råby i skierował się na autostradę w kierunku Södertälje. Gdy był na wysokości Botkyrki, jechał już z prędkością dwustu kilometrów na godzinę. Miał łzy w oczach i ledwo widział drogę. Mimo to udało mu się wsunąć jedną rękę do schowka i upewnić się, że rewolwer nadal tam leży i jest w nim jeden nabój. Obrócił bębenek i odciągnął kurek, jakby był panem świata. Ale teraz wcale się tak nie czuł, wprost przeciwnie. Pociągnął za spust i usłyszał głuchy trzask. Znowu odciągnął kurek i pociągnął za spust. Potem zrobił to po raz trzeci.

Zatrzymał samochód i po raz czwarty odciągnął kurek. Zamknął oczy, nacisnął i znowu usłyszał trzask. Zostały jeszcze dwie komory: jedna pusta, druga załadowana pociskiem.

Pociągnął za spust i poczuł szczypanie w oczach. Odłożył rewolwer na siedzenie obok.

Zostały dwa dni

Eddie chwycił mocno za klamkę toalety.

To, co wydawało mu się takie proste wczoraj u Gabriela i dzisiaj rano, gdy jeszcze leżał w łóżku, teraz już takie proste nie było. Noc miał niespokojną, jakby za chwilę miał się obudzić, mijały kolejne godziny w ciemności, a on nie mógł się już doczekać, aż wstanie nowy dzień i będzie mógł zrobić to, co mu kazali.

Odetchnął głęboko dwa razy, jak zawsze, gdy musi zrobić coś, czego tak naprawdę nie chce. W końcu nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Zamknął je na zamek i położył plecak na sedesie.

Prowadzący przesłuchanie, José Pereira (PP):
Porozmawiamy o Gabrielu Miltonie.

Eddie Johnson (EJ): O kim?

PP: Wiem, że go znasz.

EJ: Nie mam pojęcia, o kim pan mówi.

PP: Popatrz na zdjęcie.

EJ: No i co?

PP: Zrobiono je na Rãby Allé sześćdziesiąt siedem. To mieszkanie Milтона. Tu stoi Milton. A tu ktoś wchodzi do mieszkania. To ty.

EJ: Nie.

PP: Nie?

EJ: Nigdy nie byłem w tym mieszkaniu. Jego też nigdy nie spotkałem. Tamten to też nie ja. Przecież ja nazywam się Eddie.

Kiedy budzik w końcu zadzwonił, wyskoczył z łóżka, nasmarował swoje krótkie włosy żelem, aż nabrały połysku, wyjął z szafki złoty łańcuch i założył go na szyję. Przejrzał się w lusterku i rozpiął zamek kurtki, żeby łańcuch był lepiej widoczny. Poprzedniego wieczoru rozbił szybę w jednym ze szkolnych pomieszczeń na parterze, wyjął z szafki plecak i przyniósł go do domu. Przez całą noc leżał z nim w łóżku. Rano, czekając, aż mama będzie gotowa do wyjścia, trzymał go mocno w dłoni. Potem razem przeszli pięćset metrów, które dzielą ich mieszkanie od komendy policji.

PP: Wiesz, co to jest?

EJ: Jakiś formularz, którego używają gliny.

PP: Nazywa się PDW.

EJ: Wiem, co to jest PDW. To formularz, którego używają gliny.

PP: PDW to protokół z przesłuchania, które odbyło się w trakcie wstępnego dochodzenia. Javad Kittu opowiadał nam o takich osobach jak Leon Jensen, Alexander Eriksson, Reza Noori i Uros Koren.

Pereira czekał na nich w recepcji. Przywitał się i starał się być uprzejmy. Poprowadził ich korytarzem, aż stanęli przed jednym z pokoiów w Sekcji do Walki z Przestępczością Zorganizowaną. Eddie był tu już dwa razy — miał wtedy dziesięć i jednaście lat. Wtedy Pereira nie dostał zgody, żeby go przesłuchać. Miał z tego prawdziwą satysfakcję, bo gliniarz musiał go odwieźć do domu radiowozem. Zaparkował przed wejściem do budynku. To właśnie wtedy po raz pierwszy rozmawiał z Leonem i Gabrielem. Pouczyli go, jak ma się zachować następnym razem. Mówili mu o jego prawach i obowiązkach. Przede wszystkim jednak starali się wbić mu do głowy, że jeśli ktoś jest podejrzany o popełnienie przestępstwa, powinien do samego końca kłamać jak z nut.

PP: Wiesz, o jakim dochodzeniu wspomniałem?

EJ: Nie.

PP: Wiesz, kto to jest Javad Kittu?

EJ: Nie.

PP: Popatrz na to zdjęcie. Są na nim dwie osoby: po lewej ty, po prawej Javad. Stoicie przy wyjściu ze stacji metra. Podsunę ci to zdjęcie bliżej, będziesz je lepiej widział. Powtarzam pytanie: czy znasz Javada Kittu?

EJ: Nie.

Kiedy siedzieli na kanapie, kilka razy spojrzął na mamę. Szukał jej wzroku, ale miała opuszczoną głowę, jak zawsze, gdy na nią patrzył. Już od dawna nie patrzyła mu prosto w oczy.

PP: Co oznaczają dwa strzały w kolano?

EJ: Że ktoś zakablował.

PP: Tu są dwa zdjęcia kolan. Możesz opisać, co na nich widzisz?

EJ: Krew i skórę.

PP: Coś więcej?

EJ: Dziury.

PP: To kolana Javada Kittu. A to otwory po dwóch kulach wystrzelonych z pistoletu.

EJ: To znaczy, że ten Javad kabluje?

W pewnej chwili usiadł naprzeciwko Pereiry w takiej pozycji, w jakiej miał siedzieć. Popatrzył na niego tak, jak miał popatrzeć. A gdy Pereira włączył magnetofon, westchnął tak, jak miał westchnąć. Na jego pytania odpowiadał tak, jak miał odpowiadać.

PP: Popatrz jeszcze raz na zdjęcia. Dwa przestrelone kolana. Wiesz, kto strzelał?

EJ: Wie pan, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

PP: Dlaczego nie?

EJ: Bo nie chcę.

PP: Nie chcesz odpowiedzieć?

EJ: Nie.

PP: Dlaczego nie?

EJ: Bo nie muszę.

W pewnej chwili wstał z krzesła i kilka razy przeszedł się po pokoju. Obejrzał zdjęcia wiszące na ścianach i rozpoznał na nich wiele twarzy. Leon i Gabriel, Alex i Bruno, Duży Ali i Reza, Uros. Nad zdjęciami wisiły dwa napisy: *Råby Warriors* i *Ghetto Soldiers*. Może jego zdjęcie też tu kiedyś trafi?

PP: Jakie zajmujesz stanowisko?

EJ: Stanowisko?

PP: Zajmujesz w gangu jakieś stanowisko, masz jakąś rangę.

EJ: Kto tak twierdzi?

PP: Mam rację?

EJ: Kto tak twierdzi?

PP: To ja zadaję pytania.

EJ: Ja też pytam: kto tak twierdzi?

Na chwilę zatrzymał wzrok na zdjęciach, które za jakiś czas znajdą się na lewej ścianie, w górnym rzędzie. Leon i Alex siedzą w więzieniu o zaostrzonym rygorze. Kiedy o tym myśli, czuje, jak w brzuchu robi mu się tak jakoś miękko. Może za kilka lat on też będzie miał tak bogatą kartotekę, że trafi do więzienia?

PP: A ci na ścianie... znają się wzajemnie?

EJ: Kto taki?

PP: Ci na ścianie, na których patrzysz, gdy ci się wydaje, że nie widzę.

EJ: Nie wiem.

PP: Nie wiesz?

EJ: Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

PP: Nie możesz odpowiedzieć na to pytanie?

EJ: Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

Za każdym razem odpowiadał tak, jak powinien. Miał nadzieję, że Leon przeczyta protokół z jego przesłuchania, że jego adwokat przyniesie mu go do celi, żeby się mogli przekonać, że Eddie nie sypie.

PP: W rozmowach wspominają o jakiejś rodzinie...

EJ: Naprawdę?

PP: O rodzinie, która nazywa się Ghetto Soldiers.

EJ: Naprawdę?

PP: O co chodzi z tą rodziną?

EJ: A o co chodzi w tym pytaniu?

PP: Chciałbyś należeć do rodziny?

EJ: Do jakiej rodziny?

Siedzi na plastikowej desce od sedesu i patrzy na plecak na podłodze. *Zrobisz to, kiedy Pereira zada ci swoje pytania, na które ty nie odpowiesz. Powiesz mu, że musisz iść do klopa, który jest obok jego pokoju. Za ścianą jest pokój. Jeszcze przed chwilą tam siedział. Teraz jest tam ten glina. Dwa razy głęboko odetchnął, ale nie poczuł się dużo lepiej. Jakby były*

w nim dwie osoby i jedna aż się rwała do wykonania zadania, a druga chciała wstać i razem z mamą wrócić do domu. *Otworzysz pokrywę zbiornika z wodą nad kibelem i położysz ją do góry dnem na umywalce.* Po raz kolejny sprawdził, czy drzwi są zamknięte na zamek, dwa razy głęboko odetchnął i ostrożnie zdjął pokrywę zbiornika na wodę przy sedesie. Pokrywa trochę się zablokowała w miejscu, gdzie jest przycisk do spuszczenia wody, zupełnie się tego nie spodziewał. Na szczęście udało mu się go poluzować. Kiedy wkładał pokrywę do umywalki, zaskrzypiała. *Wyjmiesz z plecaka plastikową rurkę.* Usunął z plastikowej rurki papier, w który była owinięta, i przymocował ją do spodu pokrywy. Dotknął palcami folii, która miała chronić telefon komórkowy, żeby sprawdzić, czy jest włączony i odpowiednio przymocowany. *Na samym końcu przytniesz przewody elektryczne wystające z plastikowej rurki.* Chwycił długie kable wystające ze spodu rurki i złapał je obciążkami. Ślizgały mu się w spoconej dłoni. *Masz je odpowiednio skrócić. Powinny być jak najkrótsze.* Przyciął je, sprawdził długość, znowu przyciął. Teraz są już dość krótkie.

Od tego momentu zapalnik czeka gotowy do użycia.

Wystarczy, że zadzwoni telefon. Nastąpi przepływ ładunku elektrycznego, który wywoła silną eksplozję i falę uderzeniową. Oba czynniki zniszczą wszystko, co napotkają na swojej drodze.

Eddie nałożył pokrywę z powrotem i kilka razy spuścił wodę. Chciał, żeby go usłyszeli. Teraz musi jeszcze napełnić plecak, żeby wyglądał jak przedtem. Włożył do niego dwie rolki papieru toaletowego i plik papierowych ręczników. Otworzył drzwi i podszedł do mamy, która czekała na niego przy automacie z kawą. Znowu unikała jego wzroku.

To juŹ jutro

Leon nie mógł zasnąć. Nie potrafił.

Wpatrywał się w błądy świt, zamykał oczy, mrugał powiekami.

Nic nie pomagało.

W takich chwilach myślał czasem o mamie, a czasem nawet o tacie.

Zawsze nocą, zawsze wtedy, gdy wpatrywał się w światło, jakby w takich chwilach nie umiał usunąć ich ze swoich myśli. Widział ich w celi, na krześle, na podłodze, przy szafce na ubrania. Czasem siedzieli na umywalce, ale najczęściej na łóżku, przy nim. Leżał wtedy nieruchomo, żeby ich nie dotknąć.

Czasem sobie wyobrażał, że mama go podnosi i nosi na rękach, dotyka dłonią jego policzka. A może to dłoń ojca? Nie, bo ojciec nigdy nie brał go na ręce. Ale tak to właśnie odczuwał. Dlatego zrobił to, co zawsze robi w takich momentach: wstał z łóżka i krzyknął: „Wszystkich ich pozabijam!”. Potem próbował myśleć o tamtych czterech lepkich dłoniach na swoim ciele. Tej nocy, kiedy znowu leżał na łóżku i nie mógł zasnąć, oboje wrócili i nawet słyszał ich głosy. Głos mamy, która była przy nim dawno temu, i głos ojca, którego nigdy nie było. Głosy do niego mówiły, ale nie słyszał co.

Zgasił lampkę, zapalił ją, znowu zgasił i znowu zapalił. Odwrócił się w stronę zakratowanego okna. Kiedy leżał na boku, widział ciemności spowijające więzienny spacerniak. Z trudem rozróżniał mur, a nawet wieżę kościelną. I tylko nieba nie było widać. Jeszcze nie.

Ogniwa. Zacier. Samochód. Drabina. Szlifierka. Łódka.

Ufa im. To jego ludzie. Gabriel, Alex, Marko, Reza, Uros, Jon, Bruno, Duży Ali. To jego bracia. Tylko tej dziwce nie ufa. Próbuje mu odebrać jednego z nich. Nie ufa też Ćpunowi, bo tak głupio się uśmiecha, a na dodatek zapala lampkę w ciągu dnia. Mimo to im też musi zaufać. Tylko ta dwójka może zrobić to, co najważniejsze.

Zgasił lampkę, ale od razu znowu ją włączył.

Wszystko po kolei. Niech każdy robi swoje. Wszyscy mają być na właściwym miejscu.

Spojrzał na zegarek. Za pięć dwunasta. Dochodzi północ.

Dzisiaj

Gabriel leżał na plecach pod białym, lekko zardzewiałym mercedesem na piętrowym parkingu w centrum Skärholmen. Był ubrany w cienką koszulkę i czuł pod plecami twardy asfalt, każde ziarnko piasku. Przeciął przewód systemu alarmowego. Telefon komórkowy umieścił w taki sposób, żeby go widzieć. Wskazówka zaczęła już odmierzać czas, jaki dzielił go od tego, co wkrótce ma się zdarzyć.

00:02.

Na podstawie paragrafu kodeksu karnego zamknięto go w zakładach poprawczych w Smalandii i Hälsinglandzie, potem przebywał na zamkniętych oddziałach w Bärby i Eknäs. Wcześniej nigdy się nie zdarzało, żeby opuszczał Råby z własnej woli aż na kilka dni z rzędu. Wanda pokazała mu test ciążowy z pozytywnym wynikiem. Myślał, że to test narkotykowy. Pobiegł na bosaka do samochodu i pojechał na parking dziesięć kilometrów za Södertälje. 00:05. W rewolwerze miał tylko jedną kulę i jedną komorę, w której ta kula mogła być. Długo się zastanawiał — strzelać czy nie strzelać. W końcu znowu włączył silnik i ruszył drogą E4 na południe. Zatrzymał się dopiero po dwudziestu minutach, po przejechaniu siedemdziesięciu pięciu kilometrów, na jakiejś stacji benzynowej koło Nyköping. Ekspedientkę uderzył otwartą dłońią w policzek, nos i szyję, aż upadła na podłogę. Potem zjadł dwa hamburgery, które akurat były gotowe, i kopnął ją w brzuch. 00:10. Nagle przybiegł jakiś facet, który stał przy dystrybutorze. Gabriel przystawił mu rewolwer do skroni i wystrzelił blisko jego ucha. Pocisk trafił w okno. Potem w ciągu godziny przejechał dwieście kilometrów do Jönköping. Kiedy wjeżdżał do miasta, było jeszcze ciemno. W pubie przy pasażu dla pieszych było całkiem pusto. 00:14. Zamówił dwa piwa, ale tłuścioch z baru odmówił przyjęcia zamówienia od kogoś, kto przyszedł bez butów, w samych spodniach. Poszedł więc do centrum towarowego Åhléns i kopniakiem rozbił witrynę. Zabrał z wystawy czarną koszulkę i parę pantofli, takich, jakie noszą stare pryki. Potem wrócił do pubu. Tłuścioch, który zmusił go do popełnienia przestępstwa, podał w końcu piwo. Po wyjściu z pubu wsiadł do samochodu i nie zatrzymując się nigdzie, pojechał dalej. Minął Värnamo i Ljungby. 00:17. Zaczęło się już przejaśniać, gdy znalazł się koło Helsingborga i portu. Był cały rozgrzany i spocony, więc wskoczył do wody w pobliżu miejsca, gdzie cumują

wielkie promy. Zakręciło mu się w głowie, zaczął coś wykrzykiwać i pluć w ich stronę. Wsiadł do samochodu, pojechał w stronę Malmö i wjechał na most nad cieśniną Öresund. 00:21. Rano wjechał do centrum Kopenhagi. I nagle wszystko stało się jakieś takie niewyraźne, a zarazem błyszczące, ciepłe i zimne. Był pewien, że spośród wszystkich twarzy rozpoznał Leona, który tam na niego czekał, i Wandę, która szła chodnikiem z twarzą zwróconą w jego stronę. 00:24. W dłoni trzymała duże ziarno sezamu i ciągle kłamała. Potem chyba się zdrzemnęła, a może gdzieś łąził. Zrobiło się całkiem jasno, a może ciemno i znowu jasno. Wreszcie ruszył w drogę powrotną i zwolnił dopiero wtedy, gdy minął Salem i Råby i zobaczył most koło Södertälje. W pobliżu Skärholmen zabrał Jona i Brunona. Nadal mieli poobijane twarze. Jednak żaden z nich nawet o tym nie wspomniał. Dobrze wiedzieli, że nie ma o czym mówić.

Sprawdził w telefonie komórkowym, która godzina.

Przeciął kabel, wyłamał zamek w baku paliwa, stopił końcówki kabli i uruchomił silnik.

00:29.

Wiedział, że dzisiaj musi być jeszcze lepszy niż zwykle. Dlatego znowu spojrzął na telefon leżący blisko niego na zakurzonym asfalcie.

Gabrielu, nadszedł już czas

Bruno i Jon stali na czatach. Kiedy usłyszeli, że uruchomił silnik, opuścili swoje stanowiska przy obu wyjściach i podbiegli do niego. Otworzyli tylne i przednie drzwi samochodu i wsiedli do środka. Przez następne dwanaście godzin samochód będzie należał do nich — aż wszyscy znowu się zbiorą.

żeby pokonać całą drogę.

Pierwszy przystanek zrobił koło pływalni w Skärholmen, ale nie wyłączał silnika. Wszedł do pachnącego chlorem budynku. Kiedy chodził do trzeciej klasy, przyjeżdżali tu raz na tydzień na lekcje pływania. Jeszcze teraz na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze. Nigdy nie wszedł do wody, bo wstydził się pokazać swoją brzydką skórę. Zapłacił siedemdziesiąt pięć koron ochroniarzowi, który spojrzął na niego przerażony, i poszedł do męskiej przebieralni. Stał przed szafką

w środkowym rzędzie. Zamek ciężko chodził i kluczyk się zaciął. Kilka razy musiał nim kręcić w lewo i prawo, ale w końcu zamek ustąpił. W szafce przechowywał czarny pistolet marki SIG Sauer. Był mały i mieścił się w wewnętrznej kieszeni kurtki. Zdobyli go trzy miesiące wcześniej, kiedy na rondzie w Råby zdybali jakiegoś glinę i przetrząsnęli mu kieszenie. Na pewno tęskni za swoją służbową bronią. Kiedy wychodził z szatni, pistolet wsunął pod pachę, a ręcznik wrzucił do kosza. Potem pojechali do Kungens Kurva i ICA Kvantum. Po prawej stronie, w środkowym rzędzie, stały szafki dla klientów robiących zakupy. Zabrał stamtąd rosyjski pistolet Tokariew kaliber 7,62 mm. Odebrali go jednemu z tych bladych, tłustych, brodatych motocyklistów, którzy odważyli się sprzedawać towar na ich terenie. Włożył go do drugiej kieszeni kurtki. Wrócił do Råby, pojechał na Råby Backe 7 i poszedł do mieszkania na trzecim piętrze, tego koło windy. Zadzwonił do drzwi i od razu mu otworzyła, bo miała na niego czekać. Próbował sobie przypomnieć, jak ma na imię. W garderobie w przedpokoju wyciągnęli jedną ze starszych walizek. Używał jej przy siedemnastu napadach. Obok stała taka sama walizka, tyle że nowa. Dziewczyna rozłożyła czarną torbę na śmieci i trzymała ją przed nim, a on włożył do środka dwa kałachy. Dał jej trzy tysiące, po tysiąc za każdy tydzień. Potem zeszli do piwnicy, do jej komórki. Stała tam damka, a za nią leżała szlifierka kątowa i składana aluminiowa drabina. To ich łup ze składu budowlanego w Masmø.

Jona i Brunona podrzucił na rynek w Råby. Kazał im przenieść łódź na plaży Slagsta Strand, a potem zanieść materace i jedzenie do wybranych mieszkań.

Coś go gryzło. W środku. Jeszcze trochę i nie będzie umiał sobie z tym poradzić.

Przez cały czas, gdy szykował samochód, broń, drabinę i szlifierkę, czuł, że coś mu doskwiera. Nie potrafił tylko zrozumieć, co to jest. Tak było od chwili, gdy Wanda pokazała mu test ciążowy. Od tego czasu to dziwne uczucie go nie opuszczało. Bardzo się starał o tym nie myśleć, ale myśli ciągle wracały.

Przełknął ślinę. Tak, coś go dręczyło. Wewnątrz. Mocno uderzał rękami w brzuch, aż skóra nabrała czerwonej barwy.

Coś go dręczyło.

Chciał pojechać na parking, ale nagle zmienił zdanie. Przyspieszył i ruszył w stronę szlabanu, który wyciągał swoje długie ramię nad asfaltową alejką. Uderzył w niego, ale metalowe ramię nie pękło, tylko ugięło się na tyle, że przejechał dalej, przez klomb porośnięty równymi

rzędami krzewów. Podjechał pod klatkę schodową Råby Allé 67, kluczyki zostawił w samochodzie i wbiegł schodami na górę.

Myśli wróciły. O tych ostatnich dniach.

Jedyna kula w rewolwerze, prom, który zamienił się w sezamowe ziarno, i Wanda z testem ciężowym. Otworzył drzwi i wpadł do przedpokoju. Wanda siedziała na kanapie. Krzykiem ją zmusił, żeby się rozebrała i położyła na podłodze. Poszedł do kuchni, wyciągnął z szafki odkurzacz i zaczął odkurzać jej ciało. Najpierw stopy, końcówka rury przyssała jej się do kostki. Potem łydki, kolana, uda i łono. Ominął brzuch, ale za to dłużej zatrzymał się na jej piersiach. Dokładnie oczyścił jej sutki, szyję, policzki, czoło. Kiedy dotarł do włosów, założył małą, okrągłą końcówkę, a gdy wrócił do brzucha, mocno przycisnął końcówkę do pępka. Może się przy tym popłakał, ale trudno to stwierdzić, bo cały czas krzyczał coś o kurwach i braciach, zwłaszcza zaś o kurwach szczególnego rodzaju, które odbierają mu braci. Kiedy w końcu wyłączył odkurzacz, miała zaczerwienioną skórę. Otworzył pokrywę odkurzacza i wyjął z niej worek na śmieci. Poszedł do zsypu i opróżnił go ze wszystkiego, co jego zdaniem było brudne.

...

Siedzieli obok siebie w samochodzie. Teraz już nie czuł takiej udręki jak przedtem, ale i tak się nie odzywał. Ona też milczała. Jechali środkowym pasem autostrady A4, tak jak zwykle co dwa tygodnie.

Do przejechania zostało im dwadzieścia kilometrów. Do końca kilka godzin.

Zjechali z autostrady na Täby i zatrzymali się na stacji benzynowej Shella, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Zaparkowali przy urządzeniu do pompowania opon.

Wanda została w samochodzie, a on wszedł do sklepu. Minął kasjerkę, która na jego widok spuściła wzrok. Jednak tym razem nie szukał jej wzroku na odległość, nie otworzył lady chłodniczej, żeby wyjąć z niej dwie puszki coli i wyjść. Po prostu stanął przed nią tak nagle, że aż się wzdrygnęła na jego widok.

Położył na ladzie opakowanie prezerwatyw i dwie baterie.

— To wszystko.

Kobieta nie rozumiała, co się dzieje. On płaci! I nawet jej nie grozi.

— Tak?

— Ile, kurwa, płacę?

Kasjerka zeskanowała czytnikiem ceny na opakowaniach i nabiła je na kasę. Robiła to ostrożnie i bezdźwięcznie, jakby chciała być niewidoczna.

— Sto piętnaście koron.

Podał jej odliczoną kwotę i wyszedł. Dopiero gdy wsiadł do samochodu, wzięła pieniądze. Spojrzała przez okno. Za każdym razem przyjeżdża innym mercedesem.

Wanda czekała w samochodzie. Gabriel podał jej prezerwatywy i rozerwał opakowanie z paluszkami 1,5 V. Z torby leżącej na tylnym siedzeniu wyjął nóż i obcęgi.

Nożem przeciął plastikowe opakowanie paluszków i zerwał kawałek po kawałku.

Metalową otoczkę przeciął obcęgami na dwoje.

Wewnątrz każdej baterii znajdowało się ogniwo. Chwytał je delikatnie w palce, żeby ich nie zniszczyć, i podawał Wandzie.

Dwa długie, czarne, lekkie ogniwa. To jedyne przedmioty spośród tych, które są im dzisiaj potrzebne, a których nie ma w więzieniu, bo każde urządzenie elektroniczne, do którego może zbliżyć się osadzony, jest wyposażone w baterie ze sproszkowanym węglem albo w alkaliczne, w których w ogóle nie ma węgla.

Wanda wiedziała, co ma zrobić.

Otworzyła drzwi i lekko dotknęła palcami jego policzka.

— Kocham cię.

Gabriel został w samochodzie, a gdy w połowie drogi do toalety Wanda odwróciła się i spojrzała na niego, wyjął telefon komórkowy, odwrócił się do niej plecami i udawał, że rozmawia.

Nigdy wcześniej tak do niego nie powiedziała.

A przecież on ma brata, kocha go.

A jej nienawidzi.

...

Twarda kamienna podłoga była bardzo zimna. Wszędzie śmierdziało moczem i pleśnią. Wanda położyła się na plecach i rozplakała. Wprawdzie zaczerwienienie na brzuchu i na udach ustąpiło, ale czuła się cała brudna. To Gabriel uznał, że jest brudna. Podniosła się z podłogi, odkręciła kran z zimną wodą i zdjęła resztę ubrań. Nie mogła stanąć zbyt

blisko umywalki. Zaczęła mocno pocierać dłonią całe ciało, aż skóra znowu się zaczerwieniła. Teraz wygląda tak jak wtedy, gdy Gabriel jeździł po niej odkurzaczem. Płakała i pocierała skórę, i robiła to tak długo, aż więcej się nie dało. Potem znowu położyła się na podłodze z nogami ułożonymi na desce klozetowej.

Amfetamina w plastikowych paczuszkach i ogniwa w prezerwatywach. Zresztą to nieważne, gdzie co jest. Posmarowała dziecięcą oliwką pochwę, prezerwatywy i palce, a na końcu zrobiła to co zawsze.

...

Przez cały czas nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Gabriel nie był w stanie się do niej odezwać, ona nie miała odwagi. Nie rozmawiali na autostradzie ani wtedy, gdy z niej zjechali i zostało im do pokonania kilka kilometrów lokalnymi drogami. W całkowitym milczeniu dojechali do więzienia w Aspsås. Gabriel nie mógł nawet na nią patrzeć, słowa dławili go w gardle. Siedzieli obok siebie w milczeniu i patrzyli na drogę. Gabriel nie wiedział, dlaczego tak się dzieje, ale nagle poczuł, że to, co tak bardzo dręczyło go przez ostatnie dni, nagle wróciło, i to z większą siłą. Nie wiedział tylko dlaczego. Może dlatego, że Wanda pokazała mu pozytywny wynik testu ciążowego? Może dlatego, że przepadł gdzieś na trzy dni i że dzisiejszy dzień był zarówno ostatnim, jak i pierwszym dniem? I że zacznie się na dobre dopiero wtedy, gdy Wanda zniknie za główną bramą więzienia?

Kiedy na więziennym parkingu wysiadała z samochodu, nawet na siebie nie spojrzeli. Spieszyło mu się, żeby odjechać i zaparkować przy kościele. Zostawi tam wóz i pójdzie na przystanek autobusowy, żeby tam na nią poczekać. Jeszcze raz zerknął przez szybę. Wanda szła w kierunku bramy. Nagle zahamował i zawrócił, a gdy do niej podjechał, opuścił szybę.

— Wsiadaj.

To pierwsze słowa, które wypowiedział od dłuższego czasu. To dziwne, że się do niej odezwał.

— Ale jest pora wizyty... Leon...

— Wsiadaj.

Wanda wsiadła do samochodu. Gabriel spojrzął na nią, ale nie wiedział, co powiedzieć. Czekala więc, aż znajdzie właściwe słowa.

— Kurwa.

Nie powiedział tego podniesionym głosem. Nie spojrzął na nią wściekłym wzrokiem. Nic z tego nie rozumiała.

— Już nigdy więcej cię tak nie nazwę. Masz na imię Wanda.

Spojrzała na niego niepewnie, ale nadal milczała. Ciągle się bała — nie jego, tylko tego, że coś popsuje.

— Weź to.

Gabriel trzymał w ręce białą tubkę z maścią, którą codziennie nacierał swoją poparzoną skórę. To pamiątka, jaką wyniósł z płonącego domu. Jego cierpienia mogła uśmierzyć tylko morfina. Kiedy w wieku dziesięciu lat wychodził ze szpitala, drżał na całym ciele.

Podał jej maść, którą nigdy nie pozwalał nikomu nacierać swojej skóry.

— Zapomniałem się dzisiaj posmarować... ty to zrobisz.

Kiedyś sama mu to proponowała, ale od razu na nią nakrzyczał.

— Chcę, żebyś ty to dzisiaj zrobiła.

Odwrócił się do niej plecami, a ona podwinęła mu koszulę. Więcej się nie odezwali. Nacierała go maścią, uśmiechając się przy tym. Kiedy dotknęła go pierwszy raz, Gabriel drgnął i trochę się od niej odsunął. Ale potem był już spokojny.

I znowu się rozstali. On pojechał w stronę kościoła, ona skierowała się w stronę głównej bramy.

Teraz. Już.

Znowu to samo. Domofon na murze i strażnik w niebieskim mundurze. Siedział w dyżurce i przesuwiał palcem po liście z nazwiskami osadzonych, którzy dostali zgodę na odwiedziny.

Właśnie po to poprzednim razem cię skontrolowali.

Wyszła z pomieszczenia z jednym zakratowanym oknem, gdzie przy ścianach stało mnóstwo szafek, i znalazła się w holu. Kiedy przechodziła przez bramkę kontrolną, rozległ się pisk. Dwaj strażnicy spojrzeli na nią uważnie, jak zawsze, gdy bramka wykrywa metal.

— Na wysokości pasa.

Masz z nimi rozmawiać.

— Znowu to samo? Wsadzicie mi rurkę w tyłek i będziecie się gapić?

— Proszę przejść przez bramkę jeszcze raz.

Masz z nimi tak rozmawiać, żeby sobie przypomnieli, co się stało poprzednim razem.

— Wiem, że ostatnim razem, jak wsadzaliście mi tam swoje paluchy, marzyliście o powtórcie.

Przeszła przez bramkę, która znowu zapiszczała.

— To gdzieś na wysokości talii. Proszę zdjąć pasek.

Już raz dostali nakaz prokuratora, wykorzystali go i niczego nie znaleźli.

— Proszę, możecie sobie popatrzeć i zwalić konia. Tacy jak wy pewnie muszą za to płacić.

— Niech pani stoi spokojnie.

Będą chcieli cię zrewidować. Podejdą blisko, będą ci grozić i straszyć. Ale tym razem nie będą mieli zgody. Żaden prokurator jej nie wyda bez wystarczających podstaw.

Wanda zdjęła pasek i czekała, aż obwącha go pies. Kiedy strażnik oddał jej pasek, uśmiechnęła się do niego i poszła do pokoju widzeń.

...

Rozebrała się do naga, tak jak chciał, i położyła się na łóżku. To on ma z niej wszystko wyjąć, poprzednim razem zrobiła to sama i więcej tego nie robi. Kucnął przy niej, wsunął palce do jej pochwy i wyjął z niej to, co tam ukryła.

Dwadzieścia osiem dni temu też przemyciła towar. To on zaaranżował to w taki sposób, żeby strażnicy nabrali podejrzeń. Czternaście dni temu pachniała tak samo, a oni byli już przygotowani i czekali na nią z nakazem prokuratora. Zrobili jej rewizję osobistą, ale niczego nie znaleźli. Przed chwilą zagrała im na nosie, bo nie mieli zgody prokuratora, i wniosła na oddział to, co miała wnieść.

Leon spojrział na prezerwatywę, w której były dwa ogniwa. Włożył ją do ust i połknął.

— To wszystko na dzisiaj.

Leon nacisnął czerwony guzik przy drzwiach i pochylił się w stronę domofonu.

— Już?

— Wizyta skończona. Chcę wrócić do celi. Wypuście mnie.

...

Zamknął drzwi celi, pochylił się nad umywalką, wsunął palce do gardła i zwymiotował prezerwatywę z dwoma ogniwami. Opłukał ją i poszedł do celi numer 10.

Ćpun siedział przy stoliku pod oknem zwrócony do niego plecami. Leon wszedł do celi, nie pukając do drzwi.

— Masz wszystko?

Ćpun odwrócił się w jego stronę. Leon ujrzał twarz, której tak bardzo nienawidził. Ledwo się powstrzymał, żeby go nie uderzyć. Nie dzisiaj. Teraz go potrzebuje.

— Tak. Mam.

Leon podszedł bliżej. Na stoliku stały dwie butelki, które osadzeni mogli kupić w kantynie. Kiedyś był w nich pomarańczowy napój gazowany, potem leżały w umywalce z napuszczoną wodą, aż zeszyły z nich etykiety. Obok butelek leżały dwa mazaki przyniesione z sali lekcyjnej w bloku D3 i taśma izolacyjna do przewodów elektrycznych, która zawsze była na półce w warsztacie. Teraz leżała na krzesełku pocięta na długie kawałki. Leon zauważył też cążki do paznokci w neseserku. To jeden z niewielu ostrych przedmiotów dozwolonych w celi.

— A to drugie?

Ćpun wskazał zamknięte drzwi celi.

— Tam.

Leon podszedł bliżej, a kiedy się pochylał, nie mógł sobie odmówić przyjemności i silnie potrącił Ćpuna ramieniem. Położył prezerwatywę obok butelek. Oba ogniwa były dobrze widoczne. Zauważył, że Ćpun uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Co z moją zapłata?

— Dwieście pięćdziesiąt gramów.

— Chcę pół kilograma.

— Zgodziłeś się na dwieście pięćdziesiąt?

— Tak.

— No to niech tak zostanie.

— Tyle mi nie wystarczy.

— Dostaniesz tylko tyle.

Ćpun rozejrzał się po celi. Miała niewiele więcej niż kilka metrów kwadratowych. Odwrócił się w stronę zakratowanego okna, wyjrzał przez nie i popatrzył na mur, który nie miał końca.

— Dwieście pięćdziesiąt. Pod warunkiem że weźmiecie mnie ze sobą.

Ty jebany popaprańcu! Będziesz z nami tak długo, jak długo będziemy cię potrzebować.

— Jasne, że cię weźmiemy. Ile potrzebujesz czasu?

— Na tamto zlecenie potrzebowałem... trzech godzin.

— Daję ci półtorej godziny. Dostawa do mojej celi.
Leon otworzył drzwi i usłyszał słaby głos Ćpuna.
— Zacznę, jak wy zaczniecie.

...

Leon ruszył szybkim krokiem w stronę kuchni. Napełnił duży garnek wodą i postawił go na płycie kuchenki. Otworzył lodówkę, z otworu w drzwiach wyjął telefon komórkowy, który nie był na podsłuchu, i wrócił do swojej celi. Dokładnie sprawdził, czy drzwi są zamknięte, i dopiero wtedy wybrał numer.

— Bracie?

W tle słyszał jakiś hałas. Ludzie, uliczny gwar, samochody. Jego kochany brat i ta dziwka wracają autobusem do domu.

— Reza?

— Tak.

— Uros?

— Tak.

Zapadła cisza. Obaj wsłuchiwali się przez chwilę w dźwięki dobiegające z tego drugiego świata.

— Samochód?

— Tak.

— Broń?

— Tak.

— Mieszkania?

— Tak.

Ma mu tak wiele do powiedzenia, ale zrobi to później.

— Kocham cię, bracie.

— Ja ciebie też kocham, bracie.

...

Zostawił telefon w celi i poszedł do kuchni, żeby zabrać z lodówki inny telefon.

Czworokątne pudełko z kwaśnym mlekiem stało na samym końcu, za innymi pudełkami.

Spieszyło mu się i dlatego nie był tak ostrożny jak zawsze. I tak nie zamierzał więcej korzystać z tego aparatu.

Wylał mleko, oderwał górną część kartonu i wyjął z niego paczuszkę.

To trzeci telefon komórkowy na oddziale. Używają go razem z Mihajlovicem. Wiedział, że ten aparat jest na podsłuchu.

To dobre miejsce na przechowywanie telefonu. Więźniowie posługiwali się tą metodą od wielu lat. Owinął telefon w wodoszczelną osłonkę, odkroił żyłką dolną część kartonu, wylał z niego mleko i włożył do środka telefon. Następnie odcięty kawałek połączył z kartonem, używając do tego płomienia zapalniczki. Potem nalał do kartonu świeżego mleka. W szwedzkich więzieniach jest pełno kartonów mleka z telefonami komórkowymi w środku.

Od tej pory miał dostęp do dwóch komórek. Jedna była pewna i mógł z niej dzwonić bez obaw. Drugiej używał tylko wtedy, gdy chciał, żeby jego rozmowy słyszeli ci, co je podsłuchują.

Włożył telefon do kieszeni i odwrócił się w stronę kuchenki. Woda w garnku zaczęła się właśnie gotować. Zdjął pokrywę.

Można już zaczynać.

...

Garnek z wrzącą wodą wyniósł z kuchni na korytarz. Podeszedł do wielkiej szyby dyżurki. W środku ujrzał tę młodą cipę i jednego ze starszych klawiszy. Siedzieli przy stole i pili kawę. Postawił garnek na podłodze, wyjął z kieszeni pięciokoronówkę i przyłożył ją do szyby. Mocno ją przycisnął i pociągnął z prawego dolnego rogu do lewego górnego, a potem z lewego dolnego do prawego górnego. Klawisz i strażniczka zerwali się od stołu i ruszyli w jego stronę.

— Co, do cholery...

Leon pochylił się i podniósł garnek z podłogi.

To dziwne, przypomniało mu się podobne zdarzenie, oddział psychiatryczny dla dzieci, o którym wcześniej nie myślał zbyt często; umysł właśnie tak się zachowuje — wspomnienia nagle wracają i układają się w głowie w logiczną całość; wtedy też niósł garnek z wrzącą wodą, a ponieważ zachowywał się agresywnie, zamknęli go za pancerną szybą. Teraz zrobił to co wtedy: wylał wrzącą wodę na szybę tam, gdzie przecinały się linie. Potem z całą siłą rzucił garnek dokładnie w ten sam punkt.

Był wtedy jeszcze chłopcem, wyskoczył z drugiego piętra i wylądował na świeżo wylanym asfalcie, a potem uciekł stamtąd i nie było go przez

trzydzieści sześć godzin. Teraz na szybie, tak jak wtedy, pojawiła się gęsta pajęczyna pęknięć, która chwilę później rozpadła się na drobniutkie kryształki i posypała na podłogę. Cofnął się o dwa kroki i spojrzał na klawiszy. Na pewno zrobią to, co nakazuje regulamin — naciśną przycisk alarmowy, wybiegną z dyżurki, zamkną drzwi na całym oddziale i wezwą posiłki. Stał więc w miejscu i przyglądał się, jak oboje opuszczają oddział.

...

Drzwi w celi numer 10 otworzyły się dokładnie w tym samym momencie, w którym Leon rozbił szybę, dając początek dobrze przygotowanym zamieszkom na oddziale D1 w lewym skrzydle. *Na tamto zlecenie potrzebowałem... trzech godzin.* Sonny Steen biegł, jak tylko mógł najszybciej, chociaż stopy bolały go od zastrzyków, których przez wszystkie te lata zrobił sobie naprawdę dużo. Pędził do kuchni, żeby dostać się do komórki z narzędziami do sprzątania. *Daję ci półtorej godziny.* Odkurzacza stał obok mopa. Wyciągnął z niego cały kabel i odciął go cążkami do paznokci. Wrócił do celi, gdzie najpierw odetnie wtyczkę, a potem dwa kawałki półmetrowej długości. Z każdego końca usunie izolację i splecie ze sobą goły miedziany drut, żeby zrobić z niego nowy — dwa równoległe kable półmetrowej długości do tego samego kontaktu.

To dopiero początek pracy przy palniku.

...

Ostatni kawałek szkła z wielkiego okna dyżurki upadł na podłogę tuż obok stóp Leona. Klawisz i dziewczyna uciekli z oddziału i zamknęli za sobą drzwi na klucz. Ćpun wracał do swojej celi z długim kablem od odkurzacza w ręce. Na umówiony znak czternastu osadzonych wyszło ze swoich cel. Czterech poszło od razu do kąjaka telewizyjnego. Chwycili stojącą lampę z szerokim niebieskim abażurem, która dawała dziwne światło, i z całych sił uderzyli metalową podstawą w sam środek ekranu. Potem rozbili o betonową ścianę okrągły stół, na którym kilka razy dziennie więźniowie grali w pokera albo w oczko. Stawką były zapalki o wartości dwóch tysięcy koron każda. Trzech wyważyło drzwi do dyżurki. Przewrócili biurka i regały, zrzucili na podłogę ekspres do kawy, powyrywali kable telefoniczne i wszystkie pozostałe. Trzech pobiegło do kuchni, żeby wysypać na podłogę zawartość każdej szafki i szuflady.

Wyrwali drzwiczki piekarnika. Rzucali o ścianę tym, co znaleźli w szafkach: talerzami, szklankami, filiżankami do kawy. Czterej wzięli na ramiona stół bilardowy, przenieśli go pod dyżurkę i wrzucili do środka przez pusty otwór po szybie.

...

Sonny siedział przy swoim stoliku przymocowanym na stałe do ściany i wyglądał na więzienny spaceriak. Jego cela numer dziesięć znajdowała się w drugim końcu korytarza, w pewnej odległości od dyżurki. Słyszał jednak, że rozróżba już się zaczęła, i wiedział, że od tej chwili ma półtorej godziny. Czuł się zestresowany. Zbudował już kilkanaście takich narzędzi, ale zawsze miał na to wystarczająco dużo czasu. Ręce mu drżały, bo nie przywykł do pracy na czas. Czasu zawsze mu brakowało. Przypomniawsobiesobienarzędzia, które kiedyś wykonał, i sam siebie uspokajał, że przecież każde z nich działało jak należy. Na przykład w zakładzie karnym w Hall, gdy zamówienie złożył Jochum Lang; albo to, które skonstruował wiele lat wcześniej. Policja i naczelnik więzienia do dzisiaj nie potrafią rozgryźć tej tajemnicy. Przypomniawsobiesłynną ucieczkę Popescu z więzienia w Kumli — siedział wtedy w bloku H bezpośrednio pod bunkrem i przekazywał mu narzędzie przez okno, część po części.

Dwa półmetrowe kable splótł końcówkami. Leżały teraz gotowe na stole. Od długiego kabla do odkurzacza odciął dwa dodatkowe kawałki dwumetrowej długości. Z końcówek usunął izolację i goły miedziany kabel zaczął powoli owijać wokół obu pustych butelek.

Położył je na stole, żeby im się dokładnie przyjrzeć.

To właśnie w ten sposób można oszukać system alarmowy w każdym więzieniu i areszcie. System działa automatycznie, żeby nikt nie mógł odebrać sobie życia za pomocą prądu. Jeśli opór jest zbyt duży, system automatycznie odcina jego dopływ.

Miedziany drut z kabla do odkurzacza owinięty wokół butelek.

Właśnie stworzył coś, co będzie pełnić funkcję opornika.

Gdy Jensen włączy palnik do kontaktu, lampy nadal będą się palić. Tak jak zwykle.

...

Po tym, jak czternastu osadzonych rozbiło dyżurkę, kącik telewizyjny i kuchnię, podzielili się na trzy- albo czteroosobowe grupy. Każdy z nich chwycił drewnianą nogę od krzesła, patelnię albo kij do bilardu, po czym rozbiegli się do cel i zaczęli je dewastować. Niszczyli lampy, szafy, łóżka i stoły, a skorupy z rozbitych umywalek pokryły podłogę cienką warstwą. Leon sprawdził godzinę w komórce — minęło trzydzieści minut. Ćpun obiecał, że uwinie się w półtorej godziny, więc została mu jeszcze godzina. Kiedy ostatnia umywalka — jego własna — znalazła się na podłodze obok kawałków szafy i rozdartego materaca, poszedł do kuchni, wszedł do schowka i wyjął stamtąd wiadro, które od czternastu dni stało za wózkiem i dwoma mopami. W wiadrze pływała brązowa breja z kawałków chleba, jabłek, ciastek cynamonowych, cukru i wody. Wystawił wiadro na korytarz, przyniósł czternaście plastikowych kubków i napełnił je dwunastoprocentowym zacierem. Taki zacier sprawia, że podczas rozróby więźniów ogarnia wściekłość i agresja. Będą wszystko niszczyć dopóty, dopóki będzie ich potrzebował.

...

Ćpun poczuł silny zapach zacieru. Postanowił wyjść, żeby upomnieć się o swoją porcję, ale szybko zawrócił, bo na korytarzu zobaczył Leona. Została mu mniej więcej godzina, zanim ci, którzy stoją przed wejściem na oddział i czekają na posiłki, wyważą drzwi. Podwójny kabel z wtyczką i opornik są już gotowe. Końcówki miedzianego drutu z dwóch kawałków kabla połączył z drutem, którym były oplecione butelki, po czym dwoma spośród niewielu zębów, jakie mu jeszcze zostały, odgryzł kawałek taśmy izolacyjnej, żeby jeszcze mocniej je ze sobą zespolić.

Połowa palnika jest już gotowa.

Żeby zmontować resztę, potrzebował dwóch ogniwi. Wyjął je z prezerwatywy i opróżnił zawartość dwóch mazaków, dzięki czemu uzyskał puste rurki. Resztę kabla od odkurzacza podzielił na dwa kawałki równej długości i nachylił się nad stołem, żeby wszystko ze sobą połączyć.

...

Porozbijane stoły, krzesła, szafki, umywalki, talerze i szklanki leżały obok rozbitego telewizora, stołu bilardowego, zniszczonej lodówki i zamrażarki. Nawet kuchenka leżała na podłodze. Czternastu

osadzonych siedziało pośród skorup i odłamków, zanurzali kubki w wiadrze i napełniali je zacierem. Pili, wypluwali pestki i znowu sobie dolewali. Dwaj młodzi narkomani kilka razy zwymiotowali, bo nie byli przyzwyczajeni do alkoholu, za co dostało im się od tych, którzy pilnowali, aby nie zmarnowała się nawet kropla. Musieli nasłuchać się komentarzy w stylu: „Co robisz, kurwa, z naszym zacierem?”. Leon stał w pewnym oddaleniu od nich i co jakiś czas zerkał to na wiadro ze śmierdzącą cieczą, to na drzwi celi numer 10. Ćpun starał się, jak mógł. Gdy wiadro będzie puste, na jego polecenie wszyscy wstaną z podłogi, pozbierają skorupy, drewno, metal, szkło i odłamki porcelany i rzuca to wszystko pod drzwiami wejściowymi na oddział, zamkniętymi od zewnątrz, i w ten sposób je zatarasują. Na koniec między kłamekę a framugę drzwi wcisną mopa i kije bilardowe.

...

Połowa roboty wykonana. Została druga. Ćpun usunął izolację z końcówek dwóch ostatnich kabli, przeciągnął je przez puste rurki po mazakach i przymocował taśmą izolacyjną w taki sposób, że powstały jak gdyby dwa uchwyty. Czarnymi od taśmy palcami przykleił końce kabli do obu ogniów.

...

Czternastu więźniów, pijanych zacierem i władzą, a także tym, że wreszcie stało się coś, cokolwiek, co przerwało więzienną monotonię i nudę, zerwało zasłony w oknach, zdarło tapety ze ścian i pocięło na kawałki linoleum pokrywające twardą betonową posadzkę. Leon podszedł do barykady piętrzącej się przed wejściem na oddział i obserwował przybycie więziennej jednostki specjalnej, którą dysponował zakład karny w Aspsås. Doliczył się dwudziestu ludzi ubranych i wyposażonych w tarcze, kaski i pałki. Wkrótce potem usłyszał, jak zaczynają wyważać zawiasy w drzwiach. Kiedy poszedł do kuchni i stanął przy oknie, skąd rozciągał się widok na więzienny dziedziniec, zobaczył, jak przez główną bramę wjeżdżają cztery policyjne wozy, takie same jak te, których policja używa w czasie ulicznych zamieszek. Pojazdy skierowały się w stronę bloku D i zatrzymały przed głównym wejściem. Z każdego wysiadło ośmiu uzbrojonych po zęby

policjantów. Każdy miał pistolet maszynowy i zwykły pistolet typu SIG Sauer. Wbiegli do budynku i ruszyli schodami do góry, w stronę drzwi, gdzie więzienna jednostka specjalna ustąpiła im miejsca. Żeby osiągnąć gotowość bojową, potrzebowali dziesięciu minut. Nie więcej.

...

Sonny zauważył, że ręce przestały mu drżeć. Powinien zdążyć. Zawsze był dobrze zaopatrzony w amfetaminę, bo ktoś taki jak on, kto w więzieniu o zaostrzonym rygorze konstruuje urządzenia i otrzymuje za nie pieniądze, nie ma z tym kłopotów. Jednak bardziej zależało mu na ośmieszeniu systemu, kiedy z dozwolonych w więzieniu elementów, nie licząc ogniw, stworzy jedną rzecz, której posiadanie jest zabronione. Wszystko zaczęło się w zakładzie karnym w Tidaholm, gdzie ukończył kurs spawalniczy. Dodatkowe kwalifikacje zdobył w więzieniu w Kumli, u pewnego Fina, który twierdził, że potrafi zbudować palnik. Reszty nauczył się sam, też za kratami.

Teraz musi ze sobą połączyć obie części.

Podwójny kabel — z wtyczką na jednym końcu i dwoma butelkami owiniętymi warstwami miedzianego drutu na drugim końcu.

Dwa trochę dłuższe kable — z ogniwami na jednym końcu. Na drugim końcu na razie nic nie ma.

To właśnie tam oba końce powinny się złączyć.

Luźny miedziany drut związał z drutem, którym były owinięte butelki. W sumie prosta robota: z wtyczki wydzielił dwa oddzielne przewody, które połączył z butelką owiniętą w miedziany drut, od którego wychodziły dwa nowe kable z ogniwami na końcach.

Wiedział, że to zadziała. Ale nie mógł się powstrzymać.

Wtyczkę włożył do kontaktu w ścianie, oba ogniwa przyłożył ostrożnie do kraty w oknie. Trwało to niecałą sekundę, ale wystarczyło, żeby wykonać wyraźne cięcie, gdy stalowa krata spotkała się z płomieniem palnika.

Otworzył drzwi i z palnikiem pod pachą pobiegł w stronę celi numer dwa. Położył go pod drzwiami i pobiegł z powrotem. Wracając, skinął głową Jensenowi, który stał na drugim końcu korytarza.

...

Leon widział, jak Ćpun otwiera drzwi jego celi, wchodzi do środka i po dwóch sekundach z niej wychodzi. Zanim wrócił do swojej celi, skinął mu głową.

Zdażył. Palnik jest gotowy do użycia.

Jeszcze przez moment czekał przy pustym wiadrze po zacierze i przy stosie, którym czternastu osadzonych zabarykadowało wejście na oddział. W pewnej chwili ucichł dźwięk wiertarek dochodzący zza zamkniętych drzwi. Oznaczało to, że jednostka specjalna przebiła się przez futrynę. Usłyszał nowy, pulsujący dźwięk o wysokiej częstotliwości. Włączył się alarm, bo czujnik wykrył materiał wybuchowy.

— Natychmiast wracamy!

Najpierw pobiegł w stronę kuchni, gdzie ocalał tylko ekspres do kawy, a potem do kącika telewizyjnego, skąd zabrał przedłużacz do telewizora. Z ekspresem i kablem w rękach ruszył przed siebie korytarzem zawałonym różnymi przedmiotami. Macie dokładnie dziesięć sekund, żeby odsunąć się od drzwi, pomyślał. Nagle rozległ się huk, drzwi wyleciały z zawiasów i na oddział wbiegli pierwsi policjanci. Leon usiadł w swojej celi na podłodze w miejscu, gdzie jeszcze niedawno stało jego łóżko. Palnik miał pod ręką, ale był ukryty pod stosem porcelanowych skorup z rozbitej umywalki. Oparł się o ścianę i czekał.

Oscarsson rozglądał się po korytarzu, w którym niemal wszystko zostało zniszczone: meble, dywany, tapety, kuchnia, dyżurka, oświetlenie, toalety. Dwudziestu uzbrojonym po zęby strażnikom z jednostki specjalnej kazał pozamykać osadzonych w celach. Więźniowie weszli do nich dobrowolnie. Potem obserwowali z okien, jak czterdziestu uzbrojonych policjantów z jednostek prewencyjnych wraca przez dziedziniec do wozów. Oscarsson kopnął puste wiadro leżące wśród szkła, resztek jabłek i wymiocin. Zacier. Zawsze brzydził go ten zapach.

Mniej więcej rok wcześniej doszło w jego więzieniu do pewnego zdarzenia. Więzień został trafiony przez strzelca wyborowego i w tym samym momencie rozerwany na strzępy przez eksplozję. Od tamtej pory wprowadził szereg zmian w systemie bezpieczeństwa — zainstalował na korytarzach i w większych pomieszczeniach detektory, które pomagają w wykryciu materiałów wybuchowych, zgodził się na zamontowanie większej liczby kamer monitorujących, przy każdym wejściu ustawił bramki do wykrywania metalu i zakupił kilka dodatkowych psów do wykrywania narkotyków.

Nic nie pomogło.

Jeszcze raz kopnął wiadro i wolnym krokiem zaczął przemierzać korytarz zasłany kawałkami drewna ze stołów, drzwi i szafek, które szesnastu osadzonych porozbijało na kawałki w pół godziny. Kiedy policjanci z jednostki prewencyjnej sforsowali drzwi, porozrzucali je po całym korytarzu. Po jednej stronie leżała kuchenka z wgniecioną blachą, po drugiej duży stół bilardowy rozbity na dwie części, które wzajemnie się podpierały. Kiedy zaczynał pracę w więziennictwie, był młodym wychowawcą po szkole, przyszedł tu na zastępstwo. Potem co trzy miesiące mu je przedłużano. Wtedy takie rozróby zdarzały się po trzy, cztery, a czasem pięć razy na rok. Kiedy wprowadzono lepsze zabezpieczenia, liczba buntów zaczęła spadać. Teraz dochodziło do nich sporadycznie, raz albo dwa razy do roku. Wyliczył w myślach, że był świadkiem trzydziestu siedmiu takich zdarzeń. Z tym będzie ich już trzydzieści osiem. Nie ma szans, żeby całkowicie ustały. Dlatego nadal będzie poświęcał wiele uwagi bezpieczeństwu, choć wie, że niewiele to pomoże, bo jeśli któryś z osadzonych zechce wzniecić bunt, na pewno mu się uda.

Tym razem po krótkiej rozróbce zostały nie tylko rozbite umywalki i szafki, odłamki porcelany i kawałki drewna. Pozostało też niemiłe uczucie, które daje o sobie znać, gdy coś idzie nie tak, jak trzeba, gdy trudno zrozumieć, co się wydarzyło i dlaczego.

Zacier.

Trzydzieści siedem podobnych zdarzeń i nigdy nie obyło się bez alkoholu. Ktoś na oddziale przygotował zacier i rozdał go osadzonym. Alkohol wywołał w nich frustrację, agresję i chęć odwetu. Strażnicy pełniący dyżur na oddziale zeznali, że sygnał do buntu dał Leon Jensen, który nie był ani pijany, ani pod wpływem narkotyków. To on podszedł do dyżurki, oblał szybę gorącą wodą i rzucił w nią wiadrzem. Strażnicy zeznali, że u innych więźniów też nie zauważyli podejrzanych objawów. Oscarsson kucnął przy pustym wiadrze i zajrzał do środka, jakby chciał zobaczyć w nim to, czego tam nie było. Tym razem osadzeni zabrali się do picia zacieru, gdy bunt już się rozpoczął. Pili, żeby kontynuować, a nie żeby zacząć. Alkohol miał działać przez następne dwie godziny, aż poczują zmęczenie albo do momentu wkroczenia policji.

— Tutaj.

Oscarsson wyprostował się i podszedł do dowódcy więziennej jednostki specjalnej, który pojawił się na korytarzu. Dowódca był bez kasku i ubrania używanego podczas akcji.

— Usuńcie stąd wszystko, co może być użyte jako broń albo niebezpieczne narzędzie.

Dowódca skinął głową.

— Za dwie godziny przeszukajcie wszystkie cele. Nie wiem, co znajdziemy za drzwiami; nie wiem też, co osadzeni tam zabrali i czego mogą użyć przeciwko nam.

Dowódca miał za chwilę przekazać polecenia swoim dwudziestu ludziom, którzy tego wieczoru wrócą do domów później.

— Opróżnijcie każdą celę, przesłuchajcie krótko każdego z osadzonych, a potem zamknijcie każdą celę. Więźniowie zostaną w nich do czasu, aż sprawa się wyjaśni. Muszę się dowiedzieć, o co im tak naprawdę chodziło.

Oscarsson przebywał na korytarzu dłużej, niż to było konieczne. Chodził po poboju, od czasu do czasu pochylał się, żeby coś podnieść. Dotykał palcami ścian, z których więźniowie pozdzierali tapety, i oglądał otwory w betonowej podłodze, w których jeszcze przed południem były osadzone drzwi i szafki. To miejsce było ich domem, mieli spędzić w nim jeszcze jakiś czas, a mimo to całkowicie je zniszczyli.

Przez pewien okres nic się tu nie zmieni — ani on, ani szef więziennictwa nie będą się zbytnio spieszyć z zakupem nowego wyposażenia. Jeśli osadzeni chcą żyć w takich warunkach, to będą.

Idąc korytarzem, słyszał chrzęst skorup pod butami. Mijał kolejne cele, z których nie dobiegał żaden dźwięk. Osadzeni milczeli. Tkwili teraz w tym bałaganie i po prostu milczeli.

Zatrzymał się przed celą numer dwa. To tu siedział Jensen. Przez chwilę spoglądał na drzwi, jakby się spodziewał, że Jensen z nim porozmawia, odpowie na jego pytania.

To ty wszystko zaczęłaś. A ja ciągle nie wiem dlaczego.

Leon usiadł na podłodze i spojrzał w stronę zapalanej lampy wiszącej nad łóżkiem. Właściwie to już nie były lampa ani łóżko. W celi został tylko otwór w betonowej ścianie, która oddzielała go od zewnętrznego świata.

Za dwie godziny przeszukajcie wszystkie cele.

Głos dobiegał z zewnątrz. To naczelnik więzienia. Oscarsson miał wysoki, prawie piskliwy głos.

Muszę się dowiedzieć, o co im tak naprawdę chodziło.

Drzwi celi były zamknięte na klucz. Umundurowani strażnicy zaczęli sprzątać korytarz. Słyszał poirytowane głosy, dźwięk kruszonego szkła i porcelany. Po chwili usłyszał odgłosy przypominające szum jakiegoś urządzenia. Był to wózek elektryczny, na który strażnicy ładowali odpady z korytarza.

Zostały mu dwie godziny.

...

Okno celi składało się z kilku elementów. Pierwszy to krata z czterech poprzecznych i trzech pionowych prętów. Za kratą jest szyba ze szkła i sztucznego tworzywa. Za nim kolejne okno ze szklaną szybą.

Żeby usunąć kratę, musi ją naciąć w sześciu różnych miejscach.

Kiedyś już to zrobił, siedział wtedy w zakładzie karnym w Mariefred. Na wykonanie każdego cięcia potrzebował piętnastu minut.

...

Najpierw za pomocą oszlifowanego kawałka blachy, który miał przymocowany taśmą klejącą do drewnianej poprzeczki łóżka, usunął farbę z żelaznych prętów w sześciu wybranych miejscach. Potem wsunął wtyczkę palnika do jedyne go kontaktu, jaki był w celi, i złapał za oba uchwyty z plastikowych rurek po mazakach. Jedno ogniwo przyłożył do metalu, drugie umieścił tak blisko, jak tylko się dało. Aż się wzdrygnął, gdy buchnął płomień.

...

Był to niezwykle widok. Leon obserwował, z jaką łatwością prąd przepływa z ujemnego na dodatni, między dwoma ogniwami ze zwykłych baterii, jak przecina metal.

...

Strażnicy zaglądali od czasu do czasu do cel, rozglądali się po korytarzu. Szklane skorupy raniły ich w palce. Narzekali, że muszą dźwigać na plecach ciężką kuchenkę i obie części stołu bilardowego. Wózek elektryczny jeździł na okrągło, słychać było tylko chrzęst szkła. Dwudziestu strażników chodziło po korytarzu i zbierało do worków i kartonowych pudeł wszystko, co dało się do nich włożyć.

Dopóki on słyszy ich, oni nie słyszą jego.

...

Leon nie rozumiał, dlaczego tak mocno się poci i ciężko oddycha. Przecież to wcale nie jest ciężkie ani trudne. Mimo to drżał.

...

W środku każdego pręta, który tkwił w oknie, była dodatkowa warstwa metalu. To pręt z łożyskiem kulkowym. Kulki zaczynają drgać, gdy ktoś próbuje go przepiłować. Jednak wykonywanie cięć palnikiem szło mu bardzo dobrze. Leon zawinął wokół prętów prześcieradło, żeby kulki nie wyleciały na podłogę.

W kracie powstał otwór o szerokości czterdziestu centymetrów.

To za mało.

Jeden koniec kabla od telewizora owinął sobie wokół pasa, drugim końcem obwiązał pręty, które nadal tkwiły w oknie. Wziął prześcieradło i wsunął je między kabel a skórę, żeby zbyt nie krwawić, a następnie położył się na plecach.

Nigdy wcześniej nie patrzył przez zakratowane okno z tej pozycji. Na niebie nadal świeciło słońce, wiał lekki wiatr, widać było płynące chmury.

Zamknął oczy i czekał, aż uspokoi mu się oddech. Nadal obficie się pocił, krople potu czuł na czole i we włosach.

Obie stopy oparł o ścianę pod oknem i naprężył kabel rozpięty pomiędzy plecami a kratą. Mocno zacisnął zęby, żeby nie krzyczeć z bólu, gdy kabel skaleczy mu skórę, i odepchnął się obiema nogami od ściany. Krata powoli się odgięła i powstał większy otwór. Teraz będzie mógł się przez niego przecisnąć bez trudu.

...

Przez chwilę leżał bez ruchu na podłodze. Na niebie nadal było niewiele chmur, ale teraz płynęły jakby szybciej, bo wzmógł się wiatr.

Z korytarza nie dobiegało już tyle dźwięków co przedtem, coraz rzadziej słyszał wózek elektryczny, podobnie jak ludzkie głosy i kroki. Ale i one wkrótce ucichły.

Zostało mu trochę czasu, ale to już nie godziny, tylko minuty i sekundy, które płyną coraz szybciej.

Gabrielu, ten list robi się długi, to już jedenaście stron.

Otwór w oknie był już wystarczająco duży. Leon zagotował wodę w ekspresie do kawy. Zdążył go chwycić, biegnąc do celi, żeby nie dosięgła go eksplozja drzwi, wysadzanych przez jednostkę specjalną. Pięciokoronówką narysował krzyż na wzmocnionej szybie.

Teraz oblał ją wrzątkiem. Uderzył w nią nogą od stołu tam, gdzie krzyżowały się obie rysy. Kiedy szyba rozpadła się na kawałki, zaciśniętą pięścią rozbił drugą szybę, tę ze zwykłego szkła.

Droga ucieczki stała przed nim otworem.

Na dworze wiał silny wiatr.

Jesteśmy u celu.

Z korytarza nie dobiegały już odgłosy pracy wózka. Zaczęło się przeszukiwanie cel. Usłyszał dolatujący z dala odgłos ciężkich kroków. Będą przeszukiwać jedną celę za drugą.

Nowa nazwa. Nowe zasady.

Nagle rozległy się inne kroki. Lżejsze, ale bardziej zdecydowane. Wyjdź i pokaż ręce. Usłyszał, jak otwierają się pierwsze drzwi, naprzeciwko jego celi.

Rozróżba.

Następne drzwi. Zaraz przyjdą do niego.

Ucieczka.

Zdjął kabel, który pokaleczył mu skórę, i na dłoniach pojawiła się świeża krew. *Powiedziałam, wychodzić z celi.* Podszedł ostrożnie do drzwi i zaczął nasłuchiwać. *Nie dotykaj mnie, sukinsynu.* Są teraz w celi naprzeciwko niego, ale jeszcze nie skończyli.

Porwanie. Zabójstwo.

Przez chwilę stał nieruchomo. Opierał się plecami o drzwi i spoglądał przez okno. Wiatr wdmuchiwał powietrze do środka przez pusty otwór.

Przeniosą ich na tamtą ścianę. Wiedział, co powinien zrobić, żeby się na niej znaleźć. Już wiedział.

Gazeta. Telewizja.

Wysadzić.

Obie butelki rozbił o betonową podłogę, odwinął z nich miedziany drut i rozgniół rurki po mazakach. To samo zrobił z ogniwami. Kilkumetrowy kabel po prostu zwinął.

Nie zostawi żadnych śladów. Nikt niczego się nie domyśli.

Wolnym krokiem ruszył w stronę okna, jakby chciał przejść o dwa metry więcej. Im bliżej okna, tym więcej szkła.

Wiatr przybierał na sile. Poczuł na twarzy pierwszy powiew. Okazało się, że wiatr jest cieplejszy, niż sądził.

Wkrótce się zobaczymy. Kocham cię całym sercem.

Twój brat do końca życia

Leon

Teraz
Część druga
(dziewięćdziesiąt minut)

Na twarzy poczuł ciepły powiew wiatru.
Dziwne uczucie — otwarte okno w zamkniętej na klucz celi.

...

Kiedy przeciskał się przez otwór, na chwilę utknął. Połowa jego ciała wystawała poza okienny gzyms, a druga połowa nadal była w celi. Opuścił nogi i teraz poszło trochę lepiej. Spocił się i drżał na całym ciele, ale na szczęście dziedziniec na dole był pusty, więc nie pozostało mu nic innego, jak tylko czekać.

...

Z celi naprzeciwko strażnicy wynieśli resztę zniszczonych przedmiotów. Rozległ się charakterystyczny dźwięk rozkuwanych kajdanek, a potem któryś klawisz kazał osadzonemu wrócić do celi. Za chwilę cela zostanie znów zamknięta i otworzą następną.

...

Kroki.

Czekał na nie.

Ktoś szedł na dole asfaltową alejką.

Był pewien, że ta osoba jest już za rogiem, coraz bliżej. Za chwilę ujrzy głowę i mundur. Będzie zaledwie kilka metrów pod nim.

...

Strażniczka. To ta zdzira, niewiele starsza od niego. Codziennie otwierała drzwi jego celi i nie odchodziła, dopóki nie usłyszała tego pieprzonego „dzień dobry”. Wiedział, że ma na imię Julia.

Niczego nie przeczuwała.

Bez trudu zeskoczył na ziemię i wylądował tuż za nią. Nie zdążyła się nawet odwrócić. Szybko się wyprostował i mocno uderzył ją w tył głowy. Upadła na ziemię. Postawił ją na nogi, ciągnąc za włosy, i przystawił jej do szyi ostry kawałek blachy.

— Trzy kroki do przodu.

Nie poruszyła się. Słyszała go, wiedział, że słyszy. Dlatego mocniej przycisnął jej blachę do skóry i lekko ją drasnął. Na szyi pojawiła się krew.

— Trzy kroki do przodu!

Stali we właściwym miejscu, tuż pod oknem celi. I dobrze, niech klawisze ich widzą.

Jeszcze mocniej przycisnął blachę. Niech czuje i robi, co jej każe.

— Nie umrzesz — szepnął jej do ucha. — Jeszcze nie teraz.

Oboje spojrzeli w górę w stronę okna. Różniło się od innych, bo nie było w nim kraty.

Jeszcze minuta, może dwie.

Nagle rozległ się głos: „Wizytacja!”. Potem usłyszeli dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Po chwili drzwi się otworzyły.

Przez kilka sekund panowała cisza.

— Osadzony! Wyjść i pokazać ręce!

Znowu zapadła cisza i nagle usłyszeli przekleństwo. Ktoś podbiegł do okna.

— Ty tam, na górze, nie ruszaj się!

W pustym otworze okiennym pojawiły się dwie twarze. Leon zrobił krok do przodu i popchnął strażniczkę przed siebie. Odchylił jej głowę do tyłu, żeby tamci zauważyli blachę przy jej szyi.

— Cela dziewięć!

Rozległ się odgłos kroków. Były cięższe niż te, które słyszał przed chwilą.

— Dawać go tutaj!

Leon chwycił strażniczkę za kark i włosy i mocno szarpnął ją do tyłu. Odsunął blachę od jej szyi i przyłożył do lewego uda. Wbił jej blachę głęboko w udo, a gdy pojawiła się krew, przyłożył ją znów do szyi.

— Cela dziewięć! Już!

...

Trzymał blachę przytkniętą do jej szyi i czuł pod kciukiem tętniący puls. Drugą ręką trzymał ją za czoło i włosy. Strażniczka była cała spocona. Leon był coraz bardziej podniecony, zrobiło mu się ciepło i poczerwieniał na twarzy. Poczuł, że dostał erekcji.

Drżała mu ręka i nie mógł nad nią zapanować, chociaż to on kontrolował sytuację.

...

W oknie pojawił się klawisz.

— Szybko!

Przesunął blaszką po krwawiącej szyi.

— Szybko!

I znowu cięcie.

W końcu ujrzał w oknie twarz Alexa.

— Ma tu do mnie przyjść! Na dół!

Przesunął się kilka kroków do tyłu, cały czas przyciskając blachę do jej szyi. Chciał lepiej widzieć, jak Alex przeciska się przez okno i szykuje do skoku. Nagle Alex zmienił zdanie. Wrócił do celi, chwycił szklany dzbanek na kawę i uderzył nim strażnika w twarz. Na policzku powstało głębokie poziome cięcie. Przez dziurę widać było dżiasta i kawałek języka. Dopiero po kilku sekundach pojawiła się krew.

...

Klawisz z przeciętym policzkiem miał stać nieruchomo przy oknie.

Nie posłuchał.

Dlatego Leon jeszcze mocniej przycisnął blachę do szyi strażniczki, wrzynając się głębiej w skórę. Próbowwała nabrać powietrza, ale zakręciło jej się w głowie i poleciała bezwładnie do tyłu. Leon podciągnął ją za włosy, a gdy spojrzał w górę na klawisza, który miał go wysłuchać, był najzupełniej pewien, że przez dziurę w skórze widzi jego kość policzkową i jeden z tylnych zębów.

— Cęła dwanaście!

Jeśli czyjeś życie jest w niebezpieczeństwie...

— Już.

Znowu przytknął metal do tylnej części jej uda.

— Cęła dwanaście!

...należy współpracować, a nie stawiać opór.

— Już idzie.

Strażnik z rozciętym policzkiem, z którego tryskała krew, odsunął się od okna. Jego miejsce zajął Marko, który precyzyjnie się przez otwór i zeskoczył na ziemię, tak jak przed chwilą Alex.

...

— Poderżnę jej gardło, jeśli tylko spróbujecie!

...

Leon ruszył w stronę głównej dyżurki, gdy nagle usłyszał odgłosy uderzeń. Dobiały z innej celi. Były mocne, zdecydowane i rozpaczliwe. Nagle ujrzał twarz Ćpuna, który machał rękami w powietrzu.

Co z moją zapłata? Leon przypomniał sobie nagle to, o czym chciał zapomnieć. Chcę pół kilograma. Ćpun wpadł w histerię i walił pięściami w okno. Jego usta próbowały ułożyć się w jakieś słowa. Dwieście pięćdziesiąt. Pod warunkiem że weźmiecie mnie ze sobą. Znowu zaczął walić pięściami w okno. Jasne, że cię weźmiemy. Nagle ujrzał — a przynajmniej tak mu się zdawało — jak usta Ćpuna układają się w słowa: „Przecież mieliście mnie ze sobą zabrać!”.

Leon przycisnął blachę mocniej do szyi strażniczki i odwrócił się. Szedł i pchał ją przed sobą. Alex i Marko szli tuż za nim. Prawie słyszał, jak inni klawisze biegną tunelem pod dziedzińcem. Dwudziestu członków jednostki specjalnej opuściło biegiem oddział, żeby zdążyć przed nim na główną dyżurkę.

...

Brama w pierwszym murze wewnętrznym była w zasięgu kamery, która wisiała na wysokości twarzy. Leon spojrzął w obiektyw i ustawił się w taki sposób, żeby kamera mogła objąć szyję strażniczki i przytknięty do niej metal.

...

Brama w następnym murze wewnętrznym była większa i szersza od poprzedniej, a kamera wisiała wyżej. Brama otwarła się przed nimi, jeszcze zanim do niej doszli. Leon popchnął strażniczkę w stronę głównej dyżurki i głównej bramy wjazdowej.

...

Młody strażnik, który tego popołudnia pełnił dyżur przy głównym wejściu, śledził na ekranach monitorów, jak cztery osoby przemieszczają się z bloku D przez dziedziniec, przechodzą przez dwie bramy wewnętrzne i zatrzymują się przed szybą jego dyżurki. Na zakrwawionej szyi strażniczki zauważył kilka głębokich cięć.

Jeśli czyjeś życie jest zagrożone...

Jej oczy patrzyły na niego, wprost czuł na sobie jej przeszywający wzrok.

...jeśli według twojej oceny porywacz gotów jest spełnić groźbę, którą wcześniej sformułował...

Jest przerażona. A przecież na jej miejscu mógł być teraz on.

...jeśli porywacz żąda, żeby go wypuszczono, to masz mu otworzyć, aby uratować życie zakładnika.

Miał kłopot z naciśnięciem przycisku. Palce mu drżały i stracił w nich czucie. Tuż za strażniczką stał osadzony, trzymał w ręce coś ostrego i kilka razy uderzył jej głową o szybę. W końcu strażnik użył drugiej ręki i udało mu się wcisnąć guzik. Trzymał go tak długo, aż kilkumetrowej szerokości brama powoli się rozsunęła. Potem siedział w milczeniu i patrzył, jak cała czwórka idzie przez parking w stronę kościoła. Strażniczka mocno kulała na jedną nogę, a oni ją popychali albo ciągnęli za sobą. Ich sylwetki stawały się coraz mniejsze i coraz mniej wyraźne, aż znikły całkowicie w świetle, który rozciągał się za murami.

Brakowało jej słów na określenie tego, co czuła. Bardzo się starała znaleźć słowa, które mogłyby nazwać jej stan, ale nie potrafiła. Przecież nigdy wcześniej nie doświadczyła takiego bólu. Był palący, przenikliwy i koncentrował się z tyłu uda. W jej służbowych spodniach powstała długa zakrwawiona dziura.

Od dawna bała się tego, co w jej pracy wiązało się z agresją. Wiedziała, że kiedyś zetknie się z nią bezpośrednio. Teraz, gdy więzień pociął jej szyję blachą, już się nie bała. Była tylko wściekła. Wcześniej miała ochotę się ukryć, żeby na nich nie patrzeć. Teraz w miejsce tego uczucia pojawiła się złość. Nawet nie poczuła, że w pewnym momencie nogi przestały ją nieść i upadła.

...

Dziwka robiła się coraz cięższa, a gdy próbował ją podciągnąć, upadła na ziemię. Krzyknął na nią: „Wstawaj, dziwko!”, a ona szepnęła mu, żeby nigdy więcej jej tak nie nazywał. Wtedy kopnął ją w nogę, dokładnie w to miejsce, gdzie ją zranił.

...

Już sama nie była pewna, czy nadal jest przytomna, czy raczej śpi, czy ktoś naprawdę ciągnie ją za ramię, wlecze alejką prowadzącą na cmentarny parking, otwiera tylne drzwi samochodu i wciska ją na tylne siedzenie.

Jeśli to wszystko rzeczywiście się zdarzyło, to na pewno osobą, która stała z boku i wszystko obserwowała, nie była ona.

...

Leon otworzył bagażnik i znalazł w nim wszystko to, co wkrótce miało mu się przydać: składaną drabinkę, szlifierkę, prawdziwego kałasznikowa i jego replikę, a także to, czego potrzebował już teraz: dwa

pistolety owinięte w ręczniki, jednego sig sauera i jednego tokariewa. Usiadł na tylnym siedzeniu koło dziwki i zauważył pierwszy radiowóz, który z dużą prędkością jechał w stronę więzienia. Dźwięk syreny, kogut na dachu. Czekali na parkingu, aż ich minął, a potem ruszyli powoli w stronę miasteczka. Kiedy zostawili za sobą ostatnie domy, przyspieszyli.

Leon chwycił ją mocno za rękę, żeby skrępować ją taśmą, gdy nagle strażniczka drugą, wolną ręką chwyciła za klamkę i otworzyła tylne drzwi. Jego pierwszy cios trafił ją w nos i usta. Puściła klamkę i Leon zamknął drzwi. Chwycił ją za obie ręce i mocno obwiązał nadgarstki i palce, a potem uda i stopy. Kiedy chciał jej zakleić usta, ugryzła go w nadgarstek. Jej zęby wbiły mu się głęboko w skórę. Znowu ją uderzył, tym razem w szczękę i ucho. Trzeci cios trafił ją w czoło, czwarty w brodę. Ściągnął jej buty i skarpetki, zwinął je w kulę i wcisnął jej w zakrwawione usta. Dopiero wtedy zakleił je taśmą.

— Skończyłem.

Po pewnym czasie zrobili sobie przerwę. Zatrzymali się na skraju lasu w miejscu z widokiem na jezioro. Leon zaniósł ją do bagażnika i zamknął kłapę. Usiadł za kierownicą i ruszył z dużą prędkością, tak jak przedtem.

...

Julia leżała na boku. Za każdym razem, gdy samochód hamował, skręcał albo przyspieszał, uderzała głową o blachę. Na początku leżała z zamkniętymi oczami, ale potem je otworzyła. Na dworze było już ciemno, podobnie jak w bagażniku. Przeszkadzała jej taśma i knebel w ustach. Za każdym razem, gdy nabierała powietrza, drżała na całym ciele.

Słyszała, jak do siebie wykrzykują. Pojawili się w więzieniu mniej więcej wtedy, kiedy zaczęła tam pracować. Przerażali ją i to przez nich miała ochotę stamtąd uciec. Rodzina ją ostrzegała, że w końcu coś jej się przytrafi. I rzeczywiście, doigrała się. Ostrzegała ją mama, która podwoziła ją do pracy pierwszego dnia, a potem czekała na nią na parkingu dla gości; ostrzegał ją tata, który średnio raz na tydzień przynosił jej do nowego mieszkania broszury zachęcające do nauki w szkołach wyższych i na uniwersytetach; ostrzegał ją Jocke, który kładł się koło niej do łóżka i ścisnął ją mocno za rękę.

Samochód zahamował gwałtownie i zarzuciło go w lewą stronę. Julia uderzyła głową w ścianę bagażnika. Zjechali z głównej drogi i znaleźli się na jednej z dróg lokalnych.

Próbowała coś zobaczyć, ale nic nie widziała. Chciała się zorientować po zapachu, ale żadnego zapachu nie wyczuła. W końcu zaczęła nasłuchiwać, ale tamci trzej przestali wrzeszczeć. Bagażnik stał się jej trumną. Drżała tak mocno, że w końcu straciła czucie, najpierw w palcach u nóg, potem w całych stopach, a w końcu w łydkach. Kiedy straciła czucie w kolanach, samochód wreszcie się zatrzymał.

Próbowała liczyć w myślach, ale dwa razy się pomyliła, bo ból stał się nie do zniesienia. Udało jej się jednak doliczyć dziewiętnastu skrętów w prawo, siedemnastu skrętów w lewo i czterdziestu trzech hamowań. Kiedy porywacze wyszli z samochodu i zamknęli drzwi, nie rozmawiali ze sobą. Jeden podszedł do bagażnika i otworzył go. Światło ją oślepiło i nie mogła rozróżnić ich twarzy. Była jednak pewna, że to, co widzi za nimi, to fragment innego muru wokół innego więzienia.

Ściemniło się, ale nadal był dzień. Samochód zaparkowali przy narożniku siedmiometrowego muru.

Leon otworzył bagażnik i spojrział w oczy zakneblowanej dziwce. Odepchnął jej nogi, żeby dostać się do składanej aluminiowej drabinki, szlifierki kątovej i dwóch kałasznikowów, z których jeden był prawdziwy, a drugi nie. Podał szlifierkę Alexowi, który podbiegł z nią do siatki, klęknął i włączył ją.

Czterdzieści pięć minut wcześniej wycięli drogę ze środka na zewnątrz.

Teraz wytną drogę z zewnątrz do środka.

...

Strażnik, który tego wieczoru pełnił dyżur w głównej dyżurce zakładu karnego w Österåker i śledził obraz na szesnastu czarno-białych monitorach, odstawił na biurko kubek z kawą. Nagle jego wzrok zatrzymał się na ekranie znajdującym się mniej więcej po środku. Przy pierwszej siatce zewnętrznej, a potem przy następnej, zauważył jasne błyski i trzy ciemne cienie. Nie bardzo wiedział, co to jest. Zorientował się dopiero wtedy, gdy cienie pobiegły w stronę muru, przystawiły do niego drabinę i zaczęły się po niej wspinać.

...

Marko przecisnął się przez dziury wycięte szlifierką, rozciągnął drabinę na pełną długość ośmiu metrów i przystawił ją do muru. Alex stał o krok za nim ze szlifierką w ręce, na końcu szedł Leon z odbezpieczonym karabinem na plecach.

Na górze wiało mocniej niż na dole. Kiedy znaleźli się na górnym gzymsie muru, wciągnęli drabinę, a potem spuścili ją na dół po drugiej stronie.

...

Wszystko rozegrało się naprawdę bardzo szybko.

Na głównej dyżurce pracował już od dwóch lat, ale jeszcze nigdy czegoś takiego nie widział.

Najpierw nacisnął czerwony guzik i połączył się bezpośrednio z wojewódzkim centrum dowodzenia policji w Sztokholmie. Poinformował o „trzech uzbrojonych osobach i próbie uwolnienia więźnia”. Potem nacisnął guzik obok, żeby wysłać sygnał do sześciu pagerów należących do członków więziennej jednostki specjalnej zakładu karnego w Österåker. Przekazał im, że „należy włożyć ubiór ochronny i stawić się na spacerniaku”, a następnie powiadomił dyżurnych na wszystkich oddziałach o próbie odbicia więźnia. Potem znowu spojrzął na ekran monitora. Dwaj intruzi zdążyli już zejść po drabinie na ziemię po wewnętrznej stronie muru. Teraz pędzą przez dziedziniec w stronę stalowej klatki spacerniaka.

...

Leon stał na samym szczycie szerokiego muru i przyglądał się, jak Alex klęka ze szlifierką w ręce i w ciągu kilku sekund wycina czworokątny otwór w narożniku stalowej klatki. Trzech osadzonych w więziennych ubraniach ruszyło biegiem w ich stronę przez dziedziniec. Pierwszy z nich, wysoki, barczysty mężczyzna z ogoloną głową, rzucił się w stronę wyciętego otworu i precyzyjnie przycisnął przez niego. Dwaj pozostali, którzy biegli tuż za nim, zrobili to samo.

— Tylko Reza! Nikt inny!

Dwaj mężczyźni usłyszeli jego słowa, ale nie zareagowali. Marko wycelował w ich stronę i trzy razy wystrzelił na postrach.

— Nikt inny!

Komuś, kto stał siedem metrów nad ziemią, wydawali się tacy mali.

Alex, Marko i Reza pobiegli w stronę drabiny. Leon stał na gzymsie i głęboko oddychał. Poczul ulgę. Wszystko przebiegało sprawnie, był tylko on, mur i wiatr tak silny, że musiał stać w rozkroku. Kałasznikow ważył cztery kilogramy, był w nim magazynek na trzydzieści naboju. Uniósł karabin i wycelował w nich. Chciało mu się śmiać, więc wystrzelił w niebo, a potem w stronę lasu. Oddał pięć, sześć albo siedem strzałów. Potem spojrzął w obiektyw kamery umieszczonej w narożniku muru. Wiedział, że patrząc w obiektyw, patrzy jednocześnie na tego, który siedzi w głównej dyżurce i też mu się przygląda. Leon uśmiechnął się do niego,

zachichotał, wycelował i strzelił. Pocisk trafił w szkło, które rozprysło się na drobne kawałeczki. Alex, Marko i Reza byli już prawie na górze. Chwilę potem wspólnie wciągnęli drabinę na górę i ustawili ją po zewnętrznej stronie muru.

...

Strażnik w niebieskim mundurze siedział samotnie w głównej dyżurce. Nagle na ekranie monitora pojawiła się męska twarz. Usłyszał odgłosy strzałów oddanych z kałasznikowa. W sumie doliczył się ich osiem.

Alarm, zabezpieczyć oddziały, pozamykać cele.

Strażnik znał zasady bezpieczeństwa. Dlatego zrobił dokładnie to, co powinien. A jednak drżał na całym ciele.

Wiedział, że w drodze jest już jedenastu policjantów ze Sztokholmu, Arlandy i Norrtälje, że więzienna jednostka specjalna z Österåker jest już na spacerunku, a jej członkom udało się zapędzić do cel wszystkich osadzonych, łącznie z tymi, którzy próbowali się przecisnąć przez czworokątny otwór. Teraz stali posłusznie przy murze. Strażnicy zamykali na klucz cele na wszystkich oddziałach, wszystkie drzwi i dyżurki. Obserwując monitory, zauważył czterech mężczyzn, którzy zeszli w dół po drabinie, przecisnęli się przez dwa otwory wycięte w zewnętrznych siatkach i popędzili w stronę samochodu. Nadal miał w uszach huk strzałów oddanych z karabinu. Miał nadzieję, że żaden pocisk nie trafił któregoś z jego kolegów pełniących służbę na zewnątrz.

Julia próbowała przewrócić się na drugi bok, wyprostować ręce i nogi. Z trudem znosiła ból, który sprawiała jej taśma wrzynająca się w skórę. Wykonywała pojedyncze ruchy, kopiała w blachę, ale nikt nie reagował.

Wyobrażała sobie, że idzie na spacer ze Slussen przez Götgatsbacken. Jest ciepły wieczór, wszędzie pełno ludzi, rowerów. Kawiarnie są otwarte przez cały wieczór, w kawiarnianych ogródkach siedzą ludzie, rozmawiają i głośno się śmieją. Dzwonił Jocke, umówili się na Medborgarplatsen, koło budki z kielbaskami. Zawsze się tam spotykają. Przyjdzie jak zwykle lekko spóźniona, Jocke będzie na nią czekał na ławce. Zawsze tam czekał.

Kopnęła nogami w bagażnik i znowu rozległ się głuchy dźwięk blachy. Samochód stał przez kilka minut przy czymś, co miało czerwony kolor. Była pewna, że to mur innego więzienia.

Jechali krótko. W pobliżu Aspsås był tylko jeden jedyny zakład karny. Österåker.

Teraz łatwiej jej oddychać bez tego gwałtownego hamowania i nagłych skrętów, gdy żołądek podchodził jej do gardła. W pewnej chwili wydało jej się, że ktoś przeszedł obok samochodu i zauważył ją. Chciała krzyknąć, ale taśma na ustach tłumiła jej głos. Znowu kopnęła w blachę i znowu rozległ się głuchy dźwięk.

Nagle usłyszała strzały. Poznała, że to broń automatyczna. Najpierw siedem strzałów oddanych jeden za drugim, potem jeszcze pojedynczy, ósmy strzał. Usłyszała, że pociski rozbiły szybę i zagrzechotały o metal.

W kogo celowali? Kogo trafili? Czy kogoś zabili?

Usłyszała, że ktoś biegnie, otwiera drzwi samochodu, włącza silnik.

Skuliła się i znowu nie mogła złapać oddechu. Im bardziej się kuliła, tym trudniej było jej nabrać powietrza w płuca. Kręciło jej się w głowie i kończyny znowu zaczęły jej cierpnąć. Słyszała więcej głosów niż przedtem, brzmiały dźwięczniej, ale i tak zbyt cicho, żeby coś zrozumieć. Poczula, że samochód jedzie wąską drogą i coraz gwałtowniej skręca. Kręciło jej się w głowie, ale starała się skupić uwagę na tym, co uważała za najważniejsze, to znaczy na liczeniu zakrętów: trzydzieści pięć w prawo i trzydzieści cztery w lewo. Hamowali pięćdziesiąt dwa razy.

W końcu samochód się zatrzymał.

Bardzo wyraźnie usłyszała dźwięk syren.

Próbowała kopać, krzyczeć, ale na próżno.

Policyjne radiowozy przejechały blisko nich i po chwili zapadła cisza.

Miała iść z Jockem do kina, wypić lampkę wina. Pewnie teraz siedzi na ławce i na nią czeka. Często jej się zdarza, że się trochę spóźnia, ale rzadko spóźnia się tak bardzo.

Po mniej więcej dziesięciu minutach samochód znowu zwolnił i zjechał z szosy. Jechali po trawie, łące albo polu, a ona obijała się o bagażnik. W końcu otworzyli drzwi i wysiedli. Od razu rozpoznała jego głos: to ten, który pociął jej szyję, nazywa się Jensen. To on nazywał ją dziwką, gdy przechodził koło bagażnika i uderzał pięścią o blachę.

...

Słońce już zaszło, za pół godziny zrobi się całkiem ciemno.

Zostało im jeszcze jedno więzienie, trzecie w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu minut. W zakładzie karnym w Storbodzie nie obowiązywał zaostroszony rygor jak w dwóch poprzednich. Alex wyciął kawałek drucianej siatki w zewnętrznym ogrodzeniu. Zajęło mu to dwanaście sekund. Podbiegł do drugiego ogrodzenia i w ciągu ośmiu sekund wyciął następny otwór. W tym samym czasie Uros biegł już przez wewnętrzny dziedziniec. Leon spojrzął na zegarek. 19.25. Za pięć minut zamykają cele.

...

Tym razem samochód nie stał przy murze tak długo jak poprzednio.

Julia usłyszała głośną pracę jakiegoś urządzenia, a potem kroki biegnących ludzi. Próbowała się domyślić, co się dzieje.

Drzwi samochodu otwarły się i szybko zamknęły.

Było ich już pięciu, głośno się śmiali i krzyczeli, bili dłońmi w dach wozu i w szyby. Nagle samochód się zatrzymał i usłyszała kolejny strzał z broni automatycznej. Wóz znowu ruszył. Jechali z dużą prędkością lokalnymi drogami, gwałtownie skręcali i dopiero teraz zaczęli o niej rozmawiać. Na początku pomyślała, że jej się tylko wydaje, ale głos brzmiał wyraźnie. Jeden wyjaśniał pozostałym, że już jej nie potrzebują. Potem inny spytał, czy zabiją ją od razu, czy dopiero po jakimś czasie. Zastanawiała się, czy Jocke nadal na nią czeka, czy się o nią niepokoi, czy wstał z ławki, żeby się przejść i jej poszukać. Może próbuje się do niej

dodzwonić? Oczyma wyobraźni widziała, jak Jocke kręci się po placu wśród par, które trzymają się za ręce. Czuła, jak znowu traci czucie w palcach u nóg, stopach, kolanach i udach. Chciała nabrać powietrza, ale nie mogła. Trudno oddychać i połykać ślinę, gdy w gardle tkwi zwinięta skarpetka. Powoli zaczęła tracić świadomość.

Teraz
Część trzecia
(dwadzieścia trzy godziny)

Cisza.

Cisza siedzi w fotelu przy jego biurku, pewnie jest lekko pochylona, opiera się łokciami o drewniany blat i patrzy na niego. Cisza stoi przy zamkniętych drzwiach, oparta o nie, i patrzy na niego. Leży obok niego na brązowej kanapie, z której oderwała się część obicia i która jest za krótka, żeby mógł na niej położyć swoją sztywną nogę. Cisza leży na kanapie i przesuwając się bliżej, żeby dotknąć jego barku.

Ewert Grens uśmiechnął się do niej, skinął lekko głową.

Już się nie boi.

Na początku naprawdę się bał, gdy hałas dobiegający z Hantverkargatan i dźwięk samochodów, które przyspieszają przed stromym wzniesieniem, wdzierał się przez okno do środka, a głosy ludzi idących korytarzem nie milkły. Zaczął słyszeć to, czego nigdy przedtem nie słyszał: muzykę, która odeszła na zawsze, miękki głos Siw Malmkvist i melodie, których od bardzo dawna nie słyszał. Minął rok, a on kilka razy schodził do piwnicy, gdzie mieścił się policyjny magazyn. Policja przechowywała w nim przedmioty zabezpieczone dla potrzeb śledztw. Podchodził spiesznym krokiem do drewnianego kontuaru i dokładnie wypełniał blankiet niezbędny do wydania zdeponowanych rzeczy. Po chwili zaczynał żałować, że tam przyszedł. Zamykał oczy, odwracał się od regałów i ciężko oddychał. W końcu wracał na górę. Jego kartony stały tak blisko, pośród dowodów rzeczowych, zapomnianych pudełek z kasetami magnetofonowymi, głośnikami, gramofonem i czarno-białymi zdjęciami piosenkarki. Sam ją kiedyś sfotografował. Potem oprawił to zdjęcie w srebrną ramkę. W kartonach była muzyka, która przez trzydzieści lat towarzyszyła mu każdego dnia i pochłaniała wszystkie jego myśli.

I ta cisza.

Zaczął od tego, że nie słuchał jej przez jeden dzień. Następnego dnia postanowił, że nie będzie jej słuchał także tego dnia.

I następnego.

Mniej więcej miesiąc temu zasnął na kanapie, a gdy się obudził, poczuł to, przed czym tak długo się wzbraniał — przestał się bać. Cisza może sobie teraz na niego krzyczeć, ile tylko chce. Może siedzieć pochylona nad

biurkiem albo leżeć na jego własnej kanapie. W ogóle jej nie słyszał i właśnie to było takie cudowne.

Wstał z krzesła, przeszedł przez pokój i otworzył okno wychodzące na wewnętrzny dziedziniec komendy policji w Kronobergu. Poczł ciepłe, przyjemne powietrze, spojrzł w kierunku pobliskich zabudowań. Każdy z tych budynków reprezentował inną epokę w działalności policji, która zmagala się z rosnącą przestępczością. Liczba przestępstw rosła z każdą chwilą, na dodatek stawały się one coraz brutalniejsze. W ciągu ostatnich lat nabrały innego charakteru. Przybywało ćpunów, którzy biegali po ulicach z kuchennymi nożami. Wzrastała liczba publicznych egzekucji, mających nauczyć szacunku tych, do których przesłanie było kierowane.

Zostawił okno otwarte, bo temperatura w środku nie różniła się od tej na dworze. Podszedł do biurka i spojrzł na stos teczek. Otworzył jedną z nich i zaczął przeglądać akta. Znowu ktoś złamał prawo, czyjeś życie nigdy już nie będzie takie jak przedtem. Zastanawiał się, dlaczego tak jest, skąd bierze się pogarda i przekonanie, że jeden ma prawo krzywdzić innych.

Mimo tylu ponurych myśli słyszał śpiew ptaków.

Siedziały na niskich drzewach, które wkrótce zrobią się żółte. Kiedyś posadzono je w równych odstępach wzdłuż asfaltowej alejki łączącej komendę miejską policji z Komendą Główną. Przy tej samej alejce rosły także sędziwe drzewa. Wyglądały jak pozbawione gałęzi. Mimo to pięły się w górę w stronę wąskiego księżycy i głośno o czymś śpiewały.

Grens położył teczki między telefonem a filiżanką do kawy. Niech sobie tam leżą, zajmie się nimi za dwie godziny. Dotyczyły ludzkiego życia i przemocy. Dla niego były zawsze czymś w rodzaju ucieczki. Ale nie teraz, nie dzisiaj. Podszedł do białej szafy na ubrania, wciśniętej w kąt pokoju. Obok niej stały dwa brzydkie regały na książki i sejf, którego nigdy nie zamykał. W szafie wisiał dres, którego nigdy nie wkładał, a obok stary mundur policyjny, z którego zdążył wyrosnąć. Między nimi była marynarka w przezroczystym plastikowym worku. Pachniała świeżością.

Zdjął ją z wieszaka i wystawił pod światło. Miała beżowy odcień, właśnie taki lubił. Rozerwał worek, wyjął marynarkę, a worek wrzucił do kosza na śmieci. Uznał, że marynarka leży na nim tak samo dobrze jak w sklepie. Przejrzał się w lustrze po wewnętrznej stronie drzwi szafy. Stanął tyłem i odwrócił głowę. W niewielkim pojemniku leżał grzebień. Wyjął go i przeczesał rzadkie włosy, które szarym wianuszkiem oplatały mu czaszkę.

Ktoś szedł korytarzem.

Ptaki znowu się rozśpiewały, ty razem głośniej, jakby ich nagle przybyło.

Poza tym wszędzie panowała cisza.

Nagle zadzwonił telefon. Ostry dźwięk wypełnił cały pokój, chociaż aparat stał ukryty pod jedną z teczek.

Niech sobie dzwoni.

Przesunął dłonią po gładkim materiale. Już dawno nie miał na sobie nowej marynarki. Dziesięć lat. Właśnie mijała rocznica. Sprawdził, jak prezentuje się z dwoma albo trzema zapiętymi guzikami. Drzwi szafy odchylił pod trochę innym kątem. Lustro było brudne i małe i nie widać w nim było całej sylwetki.

Telefon ciągle dzwonił. Zaczął liczyć sygnały. Dwanaście, szesnaście, dwadzieścia dwa.

— Słucham?

— Ewert?

Erik Wilson. Mówi głośniej niż Göransson, jego poprzednik na tym stanowisku. Im są młodszy, tym głośniej mówią. Pewnie nie chcą, żeby ktoś na podstawie głosu doszedł do wniosku, że są mało ważni.

— Czego chcesz?

— Wiem, że już skończyłeś służbę. Ale jeśli już tu jesteś...

— Ja zawsze tu jestem.

— Potrzebuję twojej pomocy.

W dolnej części rękawa zauważył lekką fałdkę. Jeśli wygładzi ją palcami, to może zniknie? Tak, udało się.

— Kiedy?

— Teraz.

Znowu sięgnął po grzebień i zaczesał włosy na prawą stronę. W końcu zawsze się układają.

— Nie mam czasu. Właśnie wychodziłem.

— Teraz?

— Tak.

— Jest środek nocy.

— Bywa i tak.

Wilson był od niego o dwadzieścia lat młodszy, ale to on wydawał mu polecenia. Chrząknął i zaczął jeszcze raz.

— Nie dzwoniłbym do ciebie, gdyby sprawa nie była ważna.

Jeśli naciągnie rękawy, zrobią się dłuższe. Zakryją nadgarstki, fragment dłoni i mankiety koszuli, które spod nich wystają.

— Jak myślisz, czy beżowa marynarka to dobry wybór?

— Słucham?

— Na początek września. Można ją teraz nosić?

Wilson nie rozłączał się. Grens słyszał w słuchawce jego oddech. Dopiero po dłuższej chwili Wilson znowu się odezwał.

— Ewert?

— Tak? No więc jak, pasuje? A może powinienem kupić sobie marynarkę w ciemniejszym kolorze? Albo w kratkę?

— Piłeś coś?

— Marynarka, mówię o marynarce. Jakiego koloru jest twoja?

— Szarego.

— A nie beżowa?

— Nie.

Grens opuścił słuchawkę i znowu przejrzał się w lustrze. Już wiedział, że ten dzień będzie inny.

Nawet nie westchnął.

— Bardzo ważna?

— Osiemnasta pięć w Aspsås. Trzy ucieczki, trzech osadzeni w wieku osiemnastu, dziewiętnastu i dwudziestu lat. Wzięli zakładniczkę, grozili jej ostrym narzędziem.

— Aha.

— Osiemnasta czterdzieści pięć: Österåker. Ucieczka osadzonego, dziewiętnaście lat. Sprawcy użyli broni automatycznej. Jesteśmy absolutnie pewni, że to ci sami ludzie.

— Aha.

— Dziewiętnasta dwadzieścia pięć. Zakład karny Storboda. Dwudziestolatek. Ucieczka, broń automatyczna. Ta sama grupa.

— Aha.

— Chciałbym, żebyś poprowadził śledztwo.

— Poprowadził?

— Tak, żebyś je poprowadził.

Grens odłożył grzebień do schowka pod lustrem, jedną ręką wcisnął do szafy dres i mundur, drugą zamknął szafę i podszedł do dużego okna wychodzącego na dziedziniec.

Zachnął się.

— Prowadzący śledztwo. Myślałem, że czymś takim zajmują się policyjni urzędnicy, sama wierchuszka. Jak na przykład... ty.

— Ewert...

— Jest za dwadzieścia druga. Od ostatniej ucieczki minęło ponad siedem i pół godziny. Jedna połowa szwedzkich policjantów szuka ich po lasach, druga połowa siedzi w domach i ogląda pościg w telewizji. Może mi więc, do cholery, wyjaśnisz, dlaczego dzwonisz do mnie w swojej szarej marynarce akurat teraz?

Późna letnia noc, powietrze jest prawie ciepłe. Grens otworzył okno szerzej i spojrzął na wydłużone cienie. Lamy przy asfaltowej alejce rozbliły słabym światłem, które mieszało się z blaskiem bijącym z pojedynczych okien w uśpionych budynkach.

— Bo wiem to, czego nie wiedziałem wcześniej.

— Aha.

— Że to ty nadajesz się najlepiej do takich spraw.

— Nadaję się?

— Tak.

Grens wychylił się przez okno. Czwarte piętro. Jest ciężki, spadłby na ziemię w ułamku sekundy.

— Aspsås. Uważamy, że wszystko zaplanował osadzony w tym więzieniu. Ma na imię Leon.

— Aha.

— Leon Jensen.

Grens wyprostował się i odszedł od okna. Kołysał się niespokojnie, sztywna noga znowu dała o sobie znać.

— Jensen?

— Tak.

— Oddział dla młodocianych?

— Tak.

— Urodzony w tysiąc dziewięćset... dziewięćdziesiątym trzecim?

— Tak.

Tak jak pozostali.

— Ewert?

Grens zauważył wąski skrawek plastiku przyklejony do rękawa. Próbował go oderwać, ale nie udało się. Zostawił go więc tam, gdzie był.

— Będę kończył. Muszę jeszcze wykonać parę telefonów.

...

Zazwyczaj nie trwało to zbyt długo. Grens wyobraził sobie aparat telefoniczny, który stał na piętrze, na szafce nocnej z okrągłymi nóżkami,

przy łóżku od strony, gdzie zwykle spała Anita.

— Sven?

— Tak.

— Obudź się.

Grens zawsze się zastanawiał, czy kiedy dzwoni do Svena, ten wstaje i idzie po zimnej podłodze wokół łóżka, żeby nie budzić Anity, i czy po rozmowie z nim wraca do łóżka na swoje miejsce. A może tylko przewraca się na bok i sięga po słuchawkę?

— Już się obudziłem.

— Powtarzam: obudź się.

Za każdym razem ze słuchawki dobiegały nieprzyjemne dźwięki. Sven przyłożył ją do pomiętego prześcieradła, a jednocześnie próbował się obudzić i chrząknął, żeby móc z nim rozmawiać normalnym głosem.

— Sven.

Sven mieszkał w szeregowcu w Gustavsbergu pod Sztokholmem. To jedyny dom, który Grens odwiedzał regularnie. Czuł się tam jak u siebie.

— Obudziłeś się już? Słuchasz mnie?

Pracowali razem od szesnastu lat.

Telefon w domu Svena dzwonił o każdej porze dnia i nocy. Najczęściej w nocy. Sven siadał wtedy na brzegu łóżka i szukał lampki, a jednocześnie zaczynał się zastanawiać, co jest lepsze: przejść do innej służby czy raczej pogodzić się ze swoim losem.

W końcu się pogodził.

— Już jestem.

— Świetnie. Czekam za pół godziny w moim biurze.

...

Grens nie znał na pamięć zbyt wielu numerów telefonów. Ale gdy rozłączył się ze Svenem, od razu wykręcił znany sobie numer do Mariany Hermansson.

Wolny sygnał.

Spojrzał na zegarek. Za dziesięć druga. Nie rozłączał się.

W końcu się uśmiechnął, wstał z fotela i wyszedł na pogrążony w ciemnościach korytarz wydziału śledczego.

Coś usłyszał. Kilkoro drzwi dalej.

Minął automat do kawy, automat z artykułami spożywczymi, kserokopiarkę. Dźwięki stawały się coraz wyraźniejsze.

Drzwi pokoju były otwarte. Lampka na biurku zapalona.

— Dlaczego nie odbierasz?

Mariana Hermansson nie usłyszała, jak wchodził. Spojrzała na Grensa, który opierał się ciężko o futrynę drzwi.

— Ewert?

— Dzwoni telefon.

— Nie nadążam.

— To ja do ciebie dzwonię.

Hermansson spojrzała na komórkę i znowu na Grensa.

Teraz to ona się uśmiechnęła.

— A więc to tak.

Grens rozmawiał z nią w szczególny sposób. Mówił do niej głosem rodzica zadowolonego ze swojego dziecka. Tylko że on nie miał dzieci.

— Mariana?

— Słucham?

— Jest środek nocy.

Znowu ten głos.

— Pracujesz po nocach?

— Tak wyszło.

Grens nie zdawał sobie sprawy, że tę nutę w jego głosie dało się słyszeć. Bo przecież na pewno jej tam nie było. Tej nuty dumy.

— Jak leci?

Hermansson przeciągnęła palcem po grzbietach segregatorów.

— Przejrzałam pięćdziesiąt dwa wszczęte śledztwa. Dwanaście możemy zamknąć bez konkretnych ustaleń. W każdym chodzi o drobne wykroczenia. Dochodzenie wstępne umorzone. Dalej w tych sprawach nie zajdziemy.

Hermansson miała na sobie policyjny mundur, który bardziej przypominał czarną bluzę. Jego zestaw ciągle leżał w kartonie, nawet go nie rozpakował.

— Resztę możesz na razie odłożyć na bok.

Grens nadal stał w drzwiach, wypełniał sobą całą wolną przestrzeń między futrynami, jakby się do nich przykleił i utknął w przejściu.

— Mariana?

— Masz nową marynarkę.

— Słuchasz mnie?

— Tak.

— Przestań się nimi zajmować.

Grens odwrócił się, wyszedł na korytarz i rzucił za siebie:

— Za dwadzieścia pięć minut w moim pokoju.

...

Grens leżał na kanapie i patrzył w sufit, szukając na nim nowych pęknięć. Jeszcze przed chwilą miał nadzieję, że weekend będzie raczej spokojny. Dziesięć napadów z bronią w ręku i cztery gwałty to przecież niewiele. Tymczasem czuł ból w klatce piersiowej. Nie mógł tego zrozumieć, przecież od tak dawna niczego nie czuł.

Spojrzał na Svena i Marianę. Siedzieli na krzesłach i czekali. W pokoju nie słychać żadnej muzyki, ale głos Siw Malmkvist i tak się tu unosi, zagłusza zmęczenie i zamieszanie. Jeszcze dwa takty i wstanie, pochyli się nad komputerem.

— Ewert?

Grens uniósł dłoń.

— Za chwilę.

Ostatnia zwrotka. Siw zaczyna śpiewać trochę głośniej. Grens był pewien, że ją słyszy, teraz śpiewa refren. Wysłuchał go do końca i podniósł się z kanapy.

— Sven, mógłbyś otworzyć okno?

— Już jest otwarte, i to dość szeroko.

— Można by tu siekierę powiesić.

Na szafce przy kanapie leżał laptop. Grens wybrał folder o nazwie „Aspsås” i dwa razy w niego kliknął. Folder zawierał dziewiętnaście różnych dokumentów. Najpierw ustawił kursor na pliku o nazwie „Kamera 4”. Kliknął w niego i wzdłuż czarnej cienkiej linii pełniącej funkcję podziałki godzinowej przesunął kursor aż do godziny 18.10. Naczelnik więzienia potwierdził, że dokładnie o tej godzinie strażnicy wyznaczeni do przeszukania celi otworzyli ciężkie żelazne drzwi i weszli do pustej celi z oknem pozbawionym krat.

We trójkę oglądali gruboziarniste zdjęcia widoczne na ekranie.

Kawałek zadbanego trawnika. Fragment pokrytego asfaltem spacerniaka.

Trzydzieści albo czterdzieści metrów dalej widać długi trzypiętrowy budynek, nazywany przez personel więzienia blokiem D.

Grens kliknął kursorem w punkt odpowiadający obrazowi więzienia, który kamera zarejestrowała godzinę wcześniej.

Przesuwał sekwencje obrazów, które następowały po sobie w odstępie sekundy. Razem z Marianą i Svenem oglądali trawnik, asfalt, betonowy budynek i ptaka, który przeleciał koło kamery. Zaraz po nim przeleciał drugi ptak i potem już nic się nie działo.

Może obraz był bardziej rozjaśniony, może kolory bardziej nasycone, a może im się tak tylko wydawało, ale obraz na ekranie mógł równie dobrze pochodzić z początku września.

Stop. Coś widać!

Błysk światła.

Tak jakby w oknie celi na pierwszym piętrze, na samym końcu lewego skrzydła, coś się iskrzyło albo paliło.

Pochylili się nad ekranem, bo nie wiedzieli, co to było.

Pięćdziesiąt siedem sekund.

Jeszcze raz szary budynek, rzędy zakratowanych okien, wszędzie spokój.

I znowu to samo okno! Znow coś w nim rozbłysło.

— Widzicie to co ja?

Grens odwrócił się w ich stronę, ale nie otrzymał odpowiedzi. Oboje mieli zastygłe twarze.

Po chwili ujrzeli ten błysk po raz trzeci.

Mariana skinęła głową.

— Jakby płomień z palnika — powiedziała trochę zbyt głośno. — Tylko jakiś taki większy.

— W takim razie wiemy już jak — stwierdził Grens. — Teraz musimy się jeszcze dowiedzieć kiedy.

...

Grens ponownie przesunął kursorem wzdłuż długiej cienkiej osi czasu. Określa godziny i minuty i przenosi tego, który ogląda obrazy, do przeszłości. Obserwator widzi znow to, co na ekranie rozgrywało się jakiś czas temu.

Cela 2. Oddział w bloku D1.

O godzinie 18.10 oddział był zupełnie pusty.

Iskry, które zauważyli na ekranie, pojawiły się o 17.14.

Istnieje różnica między kimś, kto jest zamknięty, i kimś, kto jest wolny. Między osadzonym a uciekinierem. Między kimś, kto jest gwałtowny, pełen nienawiści, groźny dla otoczenia, ale zamknięty w celi, a kimś, kto

jest gwałtowny, pełen nienawiści, groźny dla otoczenia i wolny, a zwykły człowiek może go w każdej chwili spotkać na ulicy.

Na początku Grens przesuwiał kursor tak, aby sprawdzić, co działo się w każdej sekundzie. Potem zaczął sprawdzać, co działo się co minutę. Najpierw z normalną prędkością, potem dwa razy szybciej, cztery razy szybciej, osiem razy szybciej.

Nic.

Żadnego ruchu, żadnych iskier, żadnych ptaków.

W końcu zatrzymał kursor na godzinie 18.00. Potarł zmęczone, zaczerwienione oczy i wrócił do normalnej prędkości. Teraz przesuwiał obraz w odstępach sekundy.

Dalej nic.

Chyba nie jest już tak jasno, wiatr wieje troszkę mocniej, ale żeby to stwierdzić, trzeba dokładniej spojrzeć na nieprzystrzyżony trawnik i na zużytą linę wiszącą na słupie. Czasem powiewa na nim flaga.

Minuta później.

I jeszcze jedna.

Teraz.

Wyraźny ruch w lewej części obrazu. Okno tej samej celi. Głowa. Człowiek.

Głowa i ludzka postać stają się coraz wyraźniejsze.

Nagle ruch ustaje. Skulone ludzkie ciało jakby się zawahało, próbuje precyzyjnie się przez okno.

Próbujesz uciec.

Grens zerknął na Marianę i Svena. Spędził w tej komendzie całe swoje dorosłe życie, ale to właśnie im ufał najbardziej. Sven Sundkvist i Mariana Hermansson siedzą blisko niego i obserwują człowieka, który w połowie jest już na wolności, w połowie w celi.

Grens patrzył na Svena, który siedział ze skupioną miną, podobnie jak Hermansson. Chciał im wyjaśnić, że to, co oglądają, to coś więcej niż tylko ludzkie ciało bez wyraźnie zarysowanych konturów, że można zbudować urządzenie wyposażone w kursor, który cofa czas, a potem pozwala wrócić do współczesności, i że tylko ktoś, kto był tam od samego początku, wie, co się stało i dlaczego.

Chcesz stamtąd uciec, a ja wiem dokąd.

Spojrzał na ekran i na folder zawierający dziewiętnaście dokumentów. „Kamera 9”, ta sama godzina, ale obraz z innego ujęcia, z góry. Kamera obejmuje dach bloku D. Jej obiektyw jest skierowany prosto w dół.

Pusty asfalt.

Kolejny ptak. Może mewa? Leci blisko obiektywu, który obejmuje płaski dach i tynkowaną fasadę.

Tam!

Niezbyt ostry obraz przedstawiający ludzką postać. Robi się coraz większa, przeciska się przez okno. Stopy w jasnych butach na blaszanym parapecie, potem ramiona, ręce i palce obejmujące okrągłe żelazne pręty, plecy naciskające mocno na kraty i szary beton.

Trzydzieści sekund. Sześćdziesiąt sekund. Półtorej minuty.

Obraz znowu się zmienia.

Prawy narożnik — strażniczka w mundurze, młoda kobieta, idzie sama, zbliża się do rogu budynku, skręca.

To dziwne uczucie: obserwować kogoś, kto tam na nią czeka, i ją samą ze świadomością, że ona niczego się nie spodziewa. To tak, jakby tam stać i nie móc jej ostrzec.

Ten, kto na nią czeka, słyszy jej kroki, choć nagranie pozbawione jest dźwięku.

Lekko ugina nogi, szykuje się do ataku.

Strażniczka nie patrzy w górę, bo po co?

Nie zauważa, że ktoś zeskakuje z muru i ląduje tuż za nią, robi dwa albo trzy kroki, unosi ramię i uderza ją mocno w kark.

...

Sven odchylił się lekko i spojrzał na swojego starszego kolegę. Grens siedział na podniszczonej kanapie ubrany w beżową marynarkę. Wyglądała na nową, zauważył nawet kawałki folii w górnej części prawego rękawa i w środkowej części lewego.

Ewert Grens.

Jego szef i kolega z pracy. Niewielu potrafi z nim wytrzymać i bardzo niewielu utrzymuje z nim bliskie kontakty. Ewert jest ostry i surowy, bywa złośliwy, potrafi się nagle rozszłościć.

Jest wysoki i silnie zbudowany, ale czasem wydaje się całkiem mały.

Ewert był jednym z nieformalnych „szefów” w komendzie. Przeszedł przez życie wsparty na dwóch kulach. Jedną była jego nieżyjąca już żona, Anni. Drugą Siw Malmkvist, wciąż obecny głos, przeszłość, która miała nigdy nie przeminąć, choć tak właśnie się stało. Kiedy upadł, podniósł się i dalej szedł przez życie. Kuleje na jedną nogę, ale chodzi o własnych

siłach. Nie musi już nikogo odwiedzać w każdy czwartek ani słuchać piosenek z lat sześćdziesiątych. Nie musi swego strachu ukrywać pod maską agresji.

Jednak takiego jak dzisiaj jeszcze nigdy go nie widział. Na twarzy Ewerta malowała się prawdziwa wściekłość.

Sven spojrzał na niego, spodziewając się, że jak zwykle ujrzy pulsującą żyłę na prawej skroni, skrzywione usta, wąskie, zaciśnięte powieki.

Niczego takiego nie dostrzegł.

Złość na twarzy Grensa przypominała raczej smutek, żal.

Nagle naszła go ochota, żeby się pochylić i dotknąć jego policzka. Nigdy wcześniej się na to nie odważył, podobnie jak wszyscy inni.

...

— Dla nich jest tylko przedmiotem.

Grens mówił podniesionym głosem.

— Przedmiotem, który można wykorzystać do negocjacji albo do szantażu.

Żyła na skroniach już nie pulsuje, ale za to twarz mu poczerwieniała.

— Nie rozumiecie? Jensen... może ją bić, ile chce... stała się dla niego czymś, co można zniszczyć, wyrzucić, popsuć.

Oczy Grensa też nie są już takie małe i wąskie.

Wyświetlił im na ekranie fragment nagrania, na którym Jensen przykłada Julii metal do szyi i kaleczy ją w udo. Obserwowali, jak strażniczka upada na ziemię, wije się z bólu, a potem osadzony podnosi ją i używa jako żywej tarczy.

Grens cofnął obraz, jeszcze raz obejrzał przebieg całego zdarzenia i nagle wydał głośny okrzyk, uderzając dłonią o szafkę stojącą przy kanapie.

Otworzył kolejny folder, o nazwie „Österåker”, złożony z dwudziestu dwóch dokumentów. „Kamera 2”. To już inne więzienie i ujęcie z kamery numer 2. Kiedy na ekranie wyświetliła się sekwencja zdarzeń z godziny 18.44, Grens zatrzymał obraz.

— Ilu ich widzicie?

Sven spojrzał na niewyraźny obraz.

— Trzech.

— A ty?

— Trzech — potwierdziła Hermansson.

Grens znowu uderzył dłonią, tym razem w plastikową obudowę komputera. Uderzenie było tak silne, że powstało wąskie, wyraźne pęknięcie.

— Kogoś brakuje.

Grens wskazał na obraz na ekranie.

— Ona już z nimi jest. Leży w bagażniku.

Wskazał palcem na obraz, na którym widać było tył białego samochodu.

— Niedługo się jej pozbędą.

...

Sven znowu spojrział na Grensa. W ogóle go nie poznawał.

Przypomniawszy sobie, jak pewnego ranka Ewert klęczał spocony na twardej podłodze w pokoju i pakował do kartonów kasety magnetofonowe, zdjęcia i magnetofon. Potem podniósł się, żeby przerwać trwający od trzydziestu lat taniec, w trakcie którego obejmował coś, czego nie było.

Od pewnego czasu coraz rzadziej nocował w komendzie, czasem wybuchał głośnym śmiechem, który brzmiał całkiem naturalnie. Od kilku miesięcy robił też coś, o czym inni komisarze policji kryminalnej nawet nie myśleli: chodził na co dzień w mundurze. Poza tym na własną prośbę wychodził na nocne piesze patrole ze świeżo upieczonymi absolwentami szkoły policyjnej. Przemierzał z nimi niebezpieczne dzielnice Sztokholmu, gdzie kwitnie handel narkotykami i szeroko pojęta przestępczość. Na pewien czas zrezygnował z własnej prywatności, która tak długo była tylko jego prywatnością, i zamienił ją na rozmowy z absolwentami. Żadnego z nich nie znał, bo dopiero niedawno rozpoczęli podróż, którą — jak mu się zdawało — on sam zakończył przed laty.

Wszystko to było wynikiem zmian, jakie się w nim dokonały. Jego złość przypominała raczej smutek.

...

— Napadł na nią i groził jej.

Groził młodej kobiecie, która każdego dnia stawiała na drodze zła, żeby nie musieli tego robić inni.

— Pociął ją i uprowadził.

Młodą kobietę, która odpowiadała za niedostosowanych do życia w społeczeństwie.

— Pociął ją...

Tym razem Grens mówił ściszym głosem, prawie szeptem.

— ...jakby była kawałkiem mięsa. Nie widział w niej człowieka. Nie znał jej. A przecież mogłaby teraz siedzieć w kawiarni z przyjaciółmi i popijać kawę z mlekiem. Dla niego jest jednak mięsem! Będzie to trwało dopóty, dopóki jej nie wyrzuci i nie weźmie sobie kogoś innego, kogo nie zna i dlatego będzie mógł go zniszczyć.

...

Grens spojrział na budzik na biurku między telefonem a stosem teczek z aktami bieżących śledztw. Julia Bozsik została wzięta na zakładniczkę dokładnie o osiemnastej pięć. Czterdzieści minut później leżała w bagażniku samochodu, którym uciekli bandyci. Przejechali pod okiem kamery numer 2, przy wjeździe na teren zakładu karnego Österåker.

Czy żyje?

Minęło osiem godzin.

Czy żyje?

...

Grens ciężkim krokiem chodził po pokoju, który bez muzyki wydawał mu się zbyt ciasny. Muzyka dawniej zagłuszała dźwięk jego niespokojnych nóg stąpających po drewnianej podłodze. Otwierał kolejne pliki, oglądał nagrania z różnych ujęć i odległości, aż wreszcie zatrzymał się przy pliku o nazwie „Kamera 7”. Wysoki, pomalowany na czerwono mur zakładu karnego w Österåker widziany po skosie. W porównaniu z górnym narożnikiem obraz był tu ostrzejszy.

Twarz, która patrzy prosto na niego.

Grens wpatrywał się w kark i plecy osoby stojącej na betonowym murze. Na samym dole ekranu ktoś klęczał koło wewnętrznego ogrodzenia. Ten, który był do niego obrócony tyłem, stał na czatach, wyraźnie to widać. Trzymał w rękach groźną broń. W pewnej chwili odwrócił się i spojrział prosto w obiektyw kamery. Na jego twarzy pojawił się dumny uśmiech, jakby pozował do zdjęcia. Grens przypomniał sobie twarze wielu innych młodocianych gangsterów, które widywał

w telefonach komórkowych zabezpieczonych przez policję dla potrzeb śledztwa. Fotografowali ich en face inni członkowie gangu. Byli ubrani w bluzy z wytłoczoną na nich nazwą gangu. Teraz jeden z nich, osiemnastolatek, macha do niego ręką. W drugiej trzyma broń, która zabija. Zawsze jest to ta sama broń, ta sama nienawiść.

Nie ukrywa twarzy. Uśmiecha się.

Grens zamknął oczy, nabrał głęboko powietrza i po raz kolejny spojrzał na twarz na ekranie.

Ta sama postawa, ten sam wzrost, podobne rysy twarzy.

Tamten też tak wtedy wyglądał.

I nawet miał tyle samo lat.

Ojciec tego chłopaka.

...

Stoisz tam i szczerzysz zęby. Nie ukrywasz twarzy. Chcesz, żeby wszyscy cię widzieli, bo odniosłeś sukces. Udało ci się obrabować bank w centrum miasta i już następnego dnia jeździłeś błyszczącym bmw. Obrabowałeś sklep jubilerski w galerii handlowej na przedmieściach i przesiadłeś się do innego bmw. My, policja, nie możemy ci niczego udowodnić. Wiemy, że to ty, ale nie mamy ani świadków, ani broni. Podjeżdżasz powoli pod siedzibę komendy policji i parkujesz w niewłaściwym miejscu. Wszyscy cię widzą i znowu ci się udaje. Jeśli pewnego dnia to zdjęcie, na którym się tak uśmiechasz i strzelasz do kamery zamontowanej na więziennym murze, zostanie udostępnione dziennikarzom, policjantom i strażnikom więziennym, znowu odniesiesz sukces.

Dlaczego? Bo wczoraj i jutro nie istnieją.

Bo ty donikąd nie zmierzasz.

...

Po tym, jak Grens uderzył pięścią w komputer, na obudowie pojawiło się wyraźne pęknięcie. Kiedy przekręcił ekran, pęknięcie jeszcze bardziej się wydłużyło.

Storboda.

Wybrał dwa ujęcia.

Kamera 14. Biały samochód zjawia się pod więzieniem, w którym zamiast muru jest wysokie i szerokie ogrodzenie zwieńczone zwojami drutu kolczastego. Z samochodu wysiadają trzech mężczyźni i podbiegają do ogrodzenia. Jeden z nich, kierowca, podchodzi do bagażnika, uderza w niego pięścią i coś krzyczy.

Grens zatrzymał nagranie i zrobił zbliżenie na usta kierowcy.

— Strażniczka nadal żyje.

Znów uruchomił nagranie i znów ujrzeli, jak kierowca uderza ręką w bagażnik, tym razem po drugiej stronie. Mówi coś do strażniczki, która jeszcze nie tak dawno przysłała do jego celi i kazała mu nasikać do kubka. Kiedy jej powiedział, że chce się położyć, zamknęła drzwi. A teraz ona sama leży w bagażniku i musi go słuchać.

— Ona nadal żyje. Jest w bagażniku.

Kamera 18. Biały samochód odjeżdża spod więzienia, przyspiesza i nagle się zatrzymuje. *Nienawidzę was*. Kierowca wygląda przez lewą boczną szybę i odwraca się w stronę kamery. Bierze do ręki karabin automatyczny i przez pięć sekund strzela w stronę budynku. *Nienawidzę tego pierdolonego miejsca*. Grens zatrzymuje obraz i wpatruje się w twarz człowieka, który posiada ten rodzaj władzy, jakiej nigdy wcześniej nie miał. *Mogłem was wszystkich pozabijać*. Ten rodzaj kontroli, jakiej nigdy nie sprawował. *Gdybym tylko chciał*.

...

Twarz zatrzymana w obiektywie.

Rozpoznał ją. A może nie rozpoznał?

Wszystko, co człowiek robi, zmienia go. Każda czynność, każda myśl ma swoje konsekwencje.

Bez względu na to, czy postępuje słusznie, czy popełnia błąd.

Grens znowu spojrział na ekran, na usta, które coś krzyczały, na oczy, które niczego nie widziały.

Doskonale o tym wiedział. Zawsze to wiedział.

Każda interwencja policji rodzi określone konsekwencje. Każda interwencja, którą podjął albo jeszcze podejmie, też ma albo będzie mieć konsekwencje.

Nie do niego należy ich ocena, nie on ma prowadzić rozważania na temat działań i skutków, nie on ma podejmować próby zrozumienia, jak długo takie konsekwencje trwają.

Nawet teraz.

Przed twarzą zatrzymaną w kadrze, którą prawie rozpoznał.

...

— O osiemnastej dwanaście oficer dyżurny skierował wszystkie dostępne jednostki, dwadzieścia trzy patrole, do Aspsås.

— O osiemnastej czterdzieści sześć wysłał je dalej, do Österåker.

— O dziewiętnastej dwadzieścia siedem kazał im jechać do Storboda.

Ucieczka z celi przypominała ucieczkę Popescu w latach osiemdziesiątych.

— Trzy ucieczki, pięciu osadzonych.

Ucieczka z Österåker była kopią ucieczki Maiorany z więzienia w Kumli piętnaście lat później.

— Jesteśmy pewni, że wszyscy są członkami gangu, który dawniej nazywał się Råby Warriors, a teraz nazywa się Ghetto Soldiers. Poza tym...

A ten tutaj... Grens spojrzał na twarz w nieruchomym kadrze. Nadal wypełniała obraz z podjazdu do zakładu karnego w Storbodzie i cały ekran monitora. Ucieczka z tego więzienia była zaplanowana i zrealizowana krok po kroku na wzór ostatniej ucieczki z więzienia w Norrtälje.

— ...nie wiemy nic.

Wskazał na zastygły obraz, pochylił się w stronę komputera i puścił kolejne nagranie z folderu „Storboda”. Kamera 18. Ujrzeli młodego mężczyznę, który głośno się śmieje i strzela z dużego czarnego karabinu.

To ostatnie nagranie.

Za dwie godziny dostaną wieczorne i nocne nagrania ze wszystkich kamer zainstalowanych w okolicy przy drogach. Za kolejne dwie godziny dostaną ogólne zestawienie informacji na temat czarnego mercedesa i pięciu młodych mężczyzn, których widziano już w setkach miejsc na terenie Szwecji, w dwóch miejscach w Finlandii oraz w kilku miejscach na terenie Danii i Norwegii.

Grens przewinął klatka po klatce obraz sprzed pustego podjazdu, ale na nagraniu pojawił się tylko rowerzysta, kilka jasnych ptaków i zajęc.

W końcu dotarł do ostatniego ujęcia. Zatrzymał nagranie i przeniósł komputer na podłogę.

Dziwne uczucie.

Ponad rok temu ścigał inny cień. Szwedzka policja zwerbowała do współpracy groźnego przestępcę, aby za jego pośrednictwem przeniknąć do zorganizowanej grupy przestępczej. Ów przestępca opracował szczegółowy plan, który miał mu pomóc dostać się do więzienia w Aspsås. Kiedy tam trafił, okazało się, że miał gotowy plan dalszych działań.

Tu było zupełnie odwrotnie.

Znowu będzie ścigał cień. To też jest groźny przestępca, ale tym razem chodzi o kogoś, kto w najdrobniejszych szczegółach opracował plan ucieczki z więzienia. Kiedy znalazł się na wolności, zabrakło mu pomysłu na dalsze działania. Grens był tego absolutnie pewien. Ten, którego ścigał, nie zmierzał do określonego celu. Wróci tam, gdzie zawsze było jego miejsce.

Dwie podobne sprawy, a jednak bardzo różne.

— Aspsås, Österåker, Storboda.

Grens rozwiesił na ścianie między obu oknami mapę.

— Tu ich nie ma.

Zakreślił ręką zielono-niebieski obszar obejmujący północny region województwa sztokholmskiego.

— Nie ma ich też w Finlandii, Norwegii i Danii. Nie ma ich także w południowej ani w północnej Szwecji.

Mapa wisiała trochę krzywo, bo Grens powiesił ją byle jak, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Stał przed nią, spoglądając na Svena i Marianę. Sven zauważył, że Grensowi skronie już nie pulsują i że nie ma tak niemiłego wyrazu twarzy jak zwykle.

— Nie będą szukać schronienia ani w lesie, ani na wodzie.

Przesunął dłonią po szarej części mapy. Tym kolorem było zaznaczone centrum miasta. Jego dłoń powędrowała niżej.

— Będą chcieli trzymać się dróg i gęsto zaludnionych osiedli.

Grens przesunął dłonią po dzielnicach leżących na przedmieściach Sztokholmu. Południowa Botkyrka, Tomba, Tullinge, północna Botkyrka, Norsborg, Alby, Fittja, a na samym końcu niewielka miejscowość wciśnięta między nie a autostradę A4: Råby.

— Ale ja i tak wiem, gdzie powinniśmy ich szukać.

Sztokholm jest najładniejszy wtedy, gdy śpi, kilka godzin przed świtem. Od pewnego czasu Grens rzadko kładł się spać wcześniej niż właśnie o tej porze. Czekał, aż ucichną głosy na korytarzach wydziału dochodzeniowego i hałasy na dziedzińcu przed budynkami policyjnego kompleksu. Dopiero wtedy zdobywał się na odwagę, żeby przed snem dać upust swoim myślom. Kiedyś był młody, a jego Anni piękna. Wstawali tuż przed świtem, bo Anni zabierała go ze sobą na spacer ulicami uśpionego miasta. Czekali tam na pierwszy blask poranka. Anni miała wtedy taką łagodną twarz. Całował ją w policzki, a ona często się śmiała. Zdarzało się, że i on się śmiał. Jednak jego śmiech był głuchy, jakby wcale nie był śmiechem. Nadal czuł jej dłoń — nie była ani nieśmiała, ani wilgotna, tylko ciepła. Teraz wiedział, że Anni już nie ma. Wiedział.

— Mariana!

— Tak?

— Jedź trochę szybciej.

Grens siedział na tylnym siedzeniu w nieoznakowanym radiowozie. Hermansson prowadziła, obok niej siedział Sven. Każde z nich miało swoje stałe miejsce w samochodzie. Siedzieli w milczeniu i czekali, aż wewnątrz wozu jak zwykle wypełni muzyka — jego muzyka. Przez tyle lat słuchali Siw Malmkvist i tekstów jej piosenek z lat sześćdziesiątych. Teraz, gdy tej muzyki w samochodzie zabrakło, okazało się, że nie potrafią ze sobą rozmawiać i jest za późno, żeby się tego nauczyć. Grens zerknął na schowek po prawej stronie tablicy rozdzielczej — Sven siedział tak blisko. Mógłby go poprosić, mógłby mu nawet rozkazać. Przecież to takie proste. Wiedział, że w schowku oprócz skrobaczki do szyb i książki z instrukcją obsługi samochodu leżą dwie kasety magnetofonowe. Właśnie tam. Nie spakował ich do kartonu i nie ukrył w policyjnym magazynie. Za każdym razem, gdy siedzą w wozie i milczą, kasety głośno do niego krzyczą. Sam te piosenki nagrywał, sam wyciął zdjęcia i sam je nakleił. Wydawało się, jakby nie pochodziły stamtąd, jakby nie można ich było ukryć w zamkniętych szafach archiwum, których już nigdy nie będzie wolno otworzyć. Za każdym razem, gdy jechał samochodem, siedział pochylony w stronę tego cholernego schowka. Nie miał odwagi usiąść z przodu, nie ufał sobie i bał się, że pewnego dnia po którąś sięgnie. Sven i Mariana pewnie wiedzieli, że

kasety tam leżą, ale żadne z nich nigdy nie poruszało tego tematu. Niech sobie leżą. Są potwierdzeniem czegoś, co Grens ma już za sobą.

— Powiedziałem: szybciej.

Za latarniami przy autostradzie A4 rozciągała się ciemność. Co jakiś czas oślepiało ich światło reflektorów mijających ich samochodów. Gdzieś w tych ciemnościach jest Julia Bozsik. O 18.12 ostry przedmiot zranił ją w tylną część uda, a potem w szyję. Półtorej godziny później leżała w bagażniku samochodu. Zobaczyli to na ostatnim dostępnym zdjęciu. Grens spojrział na tablicę rozdzielczą, chociaż starał się unikać jej widoku. Zegar był tuż obok schowka z kasetami. Od ucieczki minęło ponad dziewięć godzin.

Västberga, Fruängen, Segeltorp. Południowe przedmieścia są nadal pogrążone we śnie.

Dziewięć godzin.

Już trzydzieści siedem lat jest policjantem i do tej pory uczestniczył w osiemnastu śledztwach dotyczących porwań i brania zakładników. Aspirant, asystent, inspektor policji kryminalnej, komisarz. Wiedział, że każda zmarnowana godzina między porwaniem a aresztowaniem zbliża ofiarę do śmierci. Za każdym razem, gdy ich działania kończyły się niepowodzeniem i wreszcie znajdowali zwłoki uprowadzonej ofiary, okazywało się, że od jej zaginięcia do znalezienia zwłok mijało ponad dwanaście godzin.

Znowu spojrział na zegar na desce rozdzielczej. Trzecia piętnaście. Zostały im dwie godziny i pięćdziesiąt minut.

— Mariana?

— Tak?

— Jeszcze szybciej.

Autostrada ma w obie strony osiem pasów. Bredäng, Sättra, Skärholmen, same znane nazwy. Na początku lat dziewięćdziesiątych dokładnie poznał te tereny. Krótco przedtem ktoś otworzył drzwi prowadzące do świata, który naczelne kierownictwo policji oglądało najczęściej z drogi A4 przez opuszczoną szybę radiowozu. Potem tylko słuwał na brzydkie domy należące do tego innego świata i podciągał szybę. Odkrywca innego świata dostrzegł nagle rozgałęzioną siatkę przestępczą, bandytów dysponujących całym arsenałem broni, którzy sprawowali lokalną władzę. Przestępczość rosła w szybszym tempie niż środki zaradcze. Budowano nowe posterunki policji, zamykano je i znowu otwierano. Mniej więcej w tym czasie policja skierowała go w tamte rejony do pracy. Jego zadanie polegało na opracowaniu i

wdrożeniu programu ochrony świadków. Miał stworzyć niektórym kryminalistom szansę na wyjście z przestępczego środowiska.

Mariana jechała coraz szybciej. Mijane latarnie jak gdyby stopiły się z otoczeniem. Grens rozparł się na siedzeniu.

Ochrona świadków.

To jedyna szansa dla tych, którzy w zamian za ochronę własnej tożsamości chcą zerwać z przestępczością. Trafiają do nowego środowiska, nie utrzymują żadnych kontaktów z poprzednim.

Od tamtej pory nigdy tam nie był. To już osiemnaście lat. Zachowywał się dokładnie tak samo jak inni. Spoglądał z wnętrza samochodu na brzydkie budynki i przyspieszał. Nigdy się tam nie zatrzymywał, nigdy nie skręcał, nigdy tam nie wrócił.

To niezwykle. Wszystko toczy się dalej. Przez cały czas.

Wzdrygnął się.

Zrobiło się jasno.

Nie usłyszał helikoptera lecącego trzysta metrów nad nimi. Dostrzegł za to jasność poranka, która zaczynała się gdzieś pod helikopterem i szukała swojego miejsca na ziemi wśród jadących samochodów. Nagle ta jasność przybrała inny, niebieski kolor.

Mariana gwałtownie zahamowała. Samochód wtoczył się powoli na jasno oświetlony teren.

Drogę zagroziła im żelazna barierka ustawiona w poprzek czterech pasów autostrady biegnącej na południe. Grens naliczył dwunastu umundurowanych policjantów uzbrojonych w broń automatyczną. Do pasków mieli przypięte granaty szokowe i łzawiące. Jeden skierował w ich stronę lufę karabinu, drugi podszedł do nich z latarką w ręce.

— Proszę zjechać na bok.

Mariana skręciła w prawo, gdzie między elementami barierki zostawiono wolne miejsce na przejazd.

— Proszę się tam zatrzymać.

Pulsujące niebieskie światło.

Grens wytarł boczną szybę z pary. Zobaczył przez nią trzy samochody, radiowóz i dwa motocykle.

— Proszę nas przepuścić.

Ktoś zapukał w boczną szybę od strony kierowcy. Hermansson nie zdążyła się nawet odwrócić. Grens opuścił szybę do połowy.

— Natychmiast.

Ujrzał przed sobą kamizelkę kuloodporną, kurtkę, kask i skierowany w siebie otwór lufy.

— Nie celuj we mnie.

— Macie czekać na swoją kolej.

— Odsuń się, chcemy przejechać. Zagradzasz nam drogę.

Policjant stał tuż przy ich samochodzie. Mimo to zrobił kolejny krok do przodu, kierując światło latarki prosto w twarz Grensa.

— Proszę wysiąść z samochodu.

Sven wyprostował się na swoim siedzeniu i po raz pierwszy od chwili, gdy wyjechali z garażu komendy w Kronobergu, odezwał się do Grensa.

— Ewert...

Tylko jedno słowo. Więcej nie zdążył powiedzieć, bo Grens szarpnął drzwiami i stanął naprzeciwko policjanta, który mierzył do niego z broni.

Czy ona jeszcze żyje?

— Mamy dwie godziny i pięćdziesiąt minut.

— Słucham?

— Przepuście nas!

— Poproszę o dowód osobisty.

Policjant znowu skierował strumień światła w twarz Grensa, który dowodził operacją. Ten wyjął z portfela czworokątną plastikową kartę i podał ją policjantowi, który od razu opuścił broń.

— Grens?

— Tak.

— Ewert Grens?

Wsiadając do samochodu, Grens starał się nie patrzeć na policjanta. Zamknął drzwi i kazał Marianie ruszać.

Jednak zanim odjechali, opuścił szybę i zwrócił się do policjanta:

— To ja zarządziłem tę blokadę.

Potem jeszcze skinął mu głową.

— Dobrze się spisałeś.

Mariana przyspieszyła. Vårby Gård, Vårberg, Hallunda. Grens powoli przypominał sobie te miejsca.

— Alarm na terenie całego kraju. Zapory drogowe. Dwa helikoptery. Dwie łodzie i sześć patroli z psami. Czterdzieści osiem radiowozów.

Zakreślił ręką szeroki łuk.

— Wszystko to w niczym nie pomoże.

Potem, wskazując ręką mijane wieżowce, dodał:

— Oni już tam są.

...

Wjazd do Råby zwężał się w miejscu, gdzie tory metra dochodziły do pierwszych przystanków autobusowych. Był tam ostry skręt w prawo, ostry skręt w lewo i długa, szara betonowa ściana po obu stronach pokryta graffiti. Szare tło zupełnie znikło pod kolejnymi grubymi warstwami sprayu.

Tuż obok drogi ścieżka rowerowa przechodzi w spacerową alejkę.

— Zaparkuj tutaj. Ja i Mariana przejdziemy ten odcinek piechotą. To kwadrans drogi stąd. Sven, siadaj za kierownicą.

Sven spojrział w lusterko wsteczne.

— Nie zostanę tutaj.

Grens zdążył już otworzyć drzwi i chciał wysiąść z samochodu, ale słysząc słowa Svena, położył mu rękę na ramieniu.

— Ile lat ma Jonas?

— Co?

— Twój syn. Ile ma lat?

— Trzydzieści.

— To dobrze.

— Dlaczego?

— Ja nie mam dzieci. Mariana też nie.

Sven nadal czuł dłoń Grensa na swoim ramieniu. Grens rzadko kogoś dotykał.

— I dlatego to ty tu zostaniesz, nie my.

Sven znowu spojrział w lusterko. Ujrzał w nim łysinę Grensa i jego pomarszczoną twarz.

— Ewert, nie idźmy tam. Jeszcze nie teraz. Nie wchodźmy na teren Råby. A jeśli już mamy tam wejść... to z obstawą. Takie są rozkazy.

— Ja już straciłem to, co można stracić.

Sven poczuł ulgę, gdy Grens w końcu zdjął dłoń z jego ramienia.

— Nie mam już niczego, co osiemnastoletni smarkacz mógłby mi jeszcze zabrać.

...

Szli obok siebie asfaltową alejką. Mijali niskie domy, które niczym się od siebie nie różniły, i te, które były od nich trochę wyższe i też się od siebie niczym nie różniły. Przeszli obok kilku placów zabaw z huśtawkami i drabinkami do wspinania, z których już dawno temu zeszła prawie cała niebieska farba. Minęli boisko piłki nożnej i plac posypany

piaskiem i żwirem. Minęli szkołę, świetlicę i niewielkie centrum handlowe z neonami sklepów spożywczych. W końcu ich oczom ukazały się wieżowce, które również niczym się od siebie nie różniły.

— Ten chłopak uciekał już czternaście razy.

Zrobiło się trochę jaśniej. Było późne, ciepłe lato. Mariana spojrzała na silnie zbudowanego mężczyznę, który szedł obok niej, lekko kulał i od czasu do czasu tracił równowagę. Jednak zamiast zwolnić tempo, wydłużył krok. To dlatego tak mocno się pocił i ciężko oddychał.

— Uciekał z rodzinnego domu, z zakładów wychowawczych, z poprawczaków, z zakładów dla młodocianych i z prawdziwych zakładów karnych dla dorosłych.

Błyszcząca twarz, nowa marynarka i oczy, które płoną inną niż zwykle złością. Mariana nie pamiętała, żeby Grens kiedykolwiek poruszał się tak szybko.

— Za każdym razem wracał tutaj. To jedyne miejsce, w którym czuje się pewnie i bezpiecznie.

Nagle Grens wykonał krok w lewo i jego sztywna noga straciła oparcie. Zatoczył się na Marianę, która wyciągnęła ramię, żeby mu pomóc. Grens machnął tylko poirytowaną ręką. Odzyskał równowagę i nie potrzebował niczyjej pomocy.

Mariana patrzyła, jak idzie szybkim krokiem i kuleje.

Komisarz Grens, który zawsze przebywał w swoim pokoju w komendzie policji, nie znosił innych miejsc. Stał się zwykłym starszym panem z nadwagą i resztką włosów na głowie. Tylko w komendzie był kimś. Tam wszyscy go znali.

Dwa światy. A może jeden i ten sam świat?

W jednym młody chłopak ścigany przez policję. W drugim starszy mężczyzna, który go ściga.

Råby i policja w Sztokholmie.

To jedyne miejsce, w którym czuje się pewnie i bezpiecznie.

— Osiem tysięcy mieszkań. Dziewięćdziesiąt osiem procent to mieszkania kwaterunkowe.

Grens zatrzymał się i otarł pot z czoła rękawem marynarki.

— Dwanaście tysięcy mieszkańców. Trzydzieści dwa procent młodzieży kończy naukę, nie mając żadnej wiedzy. Dwadzieścia siedem procent bezrobotnych. Piętnaście procent wczesnych emerytów.

Przy każdym zdaniu Grens gwałtownie oddychał.

— Ciekawe, czy strażniczka jeszcze żyje.

Osiem tysięcy mieszkań. Tyle samo komórek w piwnicy albo na strychu.

— Słucham?

Grens rozejrzał się wokół siebie. Wszędzie te same szare wieżowce.

— Zastanawiam się, czy ona jeszcze żyje.

...

Kiedy podszedł bliżej, okazało się, że spalony budynek przypomina przedszkole, a za stojakami na rowery leży czarny od sadzy motocykl. Już wcześniej zauważył przynajmniej dwa stosy spalonych opon i na wpół spalone ogrodzenie. Jeszcze niedawno wszystko to służyło ludziom. Było ich wspólną własnością.

— Ewert?

Grens dał Marianie znak ręką, żeby stanęła przy pierwszym siedmiopiętrowym budynku. Zadzwoił jego telefon komórkowy. Grens niezgrabnymi palcami otworzył klapkę.

Wilson.

— Ewert? Zawarliśmy umowę.

— Tak?

— Właśnie ją łamiesz.

Zapory drogowe. Kilkanaście minut temu wysiadł z samochodu i w blasku lampki przymocowanej do lufy karabinu MP5 Heckler & Koch pokazał swoją legitymację służbową policjantowi.

Policjant musiał o tym zameldować.

— Umówiliśmy się, że nikt tam nie wejdzie, dopóki nie ustalimy, że oni na pewno są w Råby.

Byliśmy tu wtedy. I ty, i ja.

— Umówiliśmy się, że nikogo nie ostrzeżemy, bo mogą ostrzec tamtych.

Stałeś obok mnie. Ty też wiesz, o co chodzi Jensenowi.

— Oni tu są. Nie mieli dokąd uciec.

— Ewert...

— Spiesz mi się. Potrzebuję informacji. Zostały dwie godziny i trzydzieści dwie minuty.

...

Tysiące okien z czerwonymi i zielonymi framugami.

Grens stał na asfaltowej alejce wijącej się między blokami o identycznych oknach i wiedział, że ci, których szuka, ukrywają się w jednym z nich, może nawet wyglądają teraz ostrożnie przez okno i obserwują ubranych po cywilnemu policjantów.

Wiedział o rozkazie, który od dwóch lat zabrania policjantom wchodzić do Råby bez wsparcia. Wiedział też, że właśnie naraża Marianę i Svena na wielkie niebezpieczeństwo.

Dwie godziny i dwadzieścia cztery minuty.

Nie ma innego wyjścia. Oni tu są.

— Mariana, zostaniesz tutaj.

Mariana spojrzała na Grensa, na stojące za nim domy, plac, puste ławki i przewrócone stojaki na rowery. Przeniosła wzrok na puste perony między torami metra i na fragment zjazdu z autostrady.

— Nie.

— Dalej pójde sam, to już moja sprawa.

Grens już wcześniej widział jej złość, a nawet wściekłość. Jej oczy przypominały wtedy oczy innej kobiety, która dawno temu była w jej wieku i nosiła taki sam mundur.

Już jej nie ma.

— Co ty wygadujesz?

Zawsze mu się to podobało. Nadal mu się podobało. Kiedy ktoś wymagał.

— Wiesz, że sama wychowywałam się w takiej dzielnicy. Dobrze o tym wiesz. W Rosengårdzie w Malmö. Do diabła, Ewert, nie masz nawet pojęcia, co tam się działo. Sztokholm nawet nie umywa się do Malmö.

Mariana wcale nie zamierzała tu na niego czekać. Na chwilę oboje wrócili pamięcią do pewnego zdarzenia cztery lata wcześniej w komendzie. Dwadzieścioro dzieci pod wpływem narkotyków siedziało na podłodze. Każde trzymało w ręce brązową torbę. Dopiero gdy przykucnęła przy nich Mariana i zagadnęła do nich po rumuńsku, zaczęły mówić. Grens długo się potem wstydził, że zapomniał, co mu kiedyś opowiadała o swojej młodości: że wychowywała się w zupełnie innych warunkach niż on. Wstydził się, że sam nie potrafił uporządkować swojego życia ani nie obchodziło go życie innych.

— To bez znaczenia. Masz tu zostać i na mnie czekać.

Mariana lekko ujęła jego dłoń, która wskazywała na nią, a może na jej buty, i ją odepchnęła.

— Rozejrzyj się.

Nie musiał. Wieżowce, asfaltowe alejki. Już to widział. Wieżowce. Asfaltowe alejki.

— Orientuję się w takich miejscach lepiej od ciebie. I czuję się o wiele bezpieczniejsza niż ty.

Znów odsunęła jego rękę.

Czegoś od niego wymagała.

Grens uśmiechnął się słabo. A może to nie był uśmiech?

Kiedy szukał jej w środku nocy, siedziała w komendzie w swoim pokoju. Ktoś, kto tam siedzi, nie musi tłumaczyć się przed innymi, że muzyka gra za głośno, że nie świętuje Bożego Narodzenia, nie bawi się w sylwestra ani nie obchodzi okrągłej rocznicy urodzin, bo zajmuje się czymś ważnym, co daje mu prawo do samotności. Mariana po prostu wstała, a on nie musiał jej niczego wyjaśniać. Zdjęła mundur i włożyła cywilne ubranie, bo wiedziała, jak się zachować wśród takich wieżowców i asfaltowych alejek.

Grens uśmiechnął się z dumą.

...

Siedmiopiętrowy dom podobny do innych, długie rzędy ciemnych okien, galerie z drzwiami pomalowanymi na pomarańczowo albo niebiesko. Trzecie piętro, gdzieś pośrodku. Jedyne okno, w którym pali się światło.

Zatrzymali się na skraju dużego parkingu, który oddzielał budynek numer 67 od pozostałych. Prawie połowa miejsc parkingowych była pusta. Na innych stały starsze, używane samochody.

Z dwoma wyjątkami.

Grens westchnął.

Każde cholerne śledztwo było takie przewidywalne. Za każdym razem uprzedzenia się potwierdzały. Jakby celowo potwierdzali stereotypy, aż się nimi stawali. Jestem członkiem gangu, zakładam taką maskę, żebyście wszyscy wiedzieli, że nim jestem, wyglądam tak, jak wam się wydaje, że powinienem wyglądać. I nawet jeżdżę tymi samymi cholernymi modelami samochodów. Ten, który stoi najbliżej, czarny i lśniący, audi R8. Używają go ci, którzy uciekają przed policją. Ma napęd na cztery koła i potężny silnik. Obok srebrny mercedes CLK 500. Przestępcy, którym powiodło się w branży, kupują go za gotówkę i wszędzie nim jeżdżą, żeby inni im zazdrościli.

— Sven?

Grens podszedł do mercedesa i oparł się ręką o maskę silnika, w drugiej trzymał telefon.

— Tak?

— Nadal siedzisz w samochodzie?

— Tak.

— No to wejdź w bazę pojazdów.

Czekając na odpowiedź, wyobrażał sobie, jak Sven odpina pas i pochyla się nad sąsiednim fotelem, aby dosięgnąć komputera wbudowanego w deskę rozdzielczą.

— Już wszedłem.

— Sprawdź numer rejestracyjny BGY trzysta dziewięćdziesiąt siedem i... chwilę... GZP siedemset osiemdziesiąt cztery.

Kolejne kliknięcia w słuchawce.

Grens zastanawiał się, czy Sven nadal się pochyla, czy raczej przeniósł się na sąsiedni fotel i siedzi w nim wyprostowany.

— Mercedes, kolor srebrny, rocznik dwa tysiące jedenaście. Obecny właściciel Gabriel Milton. Poprzedni właściciel Leon Jensen.

Grens nadal opierał się o maskę silnika.

Stał z twarzą zwróconą w stronę wieżowca.

— Nie rozumiesz? — Mariana skinęła głową w stronę pojazdów.

— Że w tym wszystkim właśnie o to chodzi?

Grens pokręcił głową i lekko uderzył dłonią w maskę.

— Nie. Nie rozumiem. Napadasz na bank, więc nie chcesz, żeby policja cię rozpoznała, nie chcesz być podejrzana. A potem... idziesz i kupujesz sobie błyszczące cacko za osiemset tysięcy. Nie. Za cholerę tego nie rozumiem.

— Korzyść wynikająca z faktu, że wyglądasz na bogatego faceta, który odniósł sukces, jest większa niż ponoszone ryzyko.

Mariana stanęła między dwoma samochodami, które razem kosztowały tyle, ile ona zarobi przez pięć lat.

— Są trzy rzeczy: być widzianym, słyszonym i akceptowanym. Ty tego potrzebujesz, ja tego potrzebuję, wszyscy tego potrzebujemy, bo jesteśmy ludźmi. Inaczej nie moglibyśmy funkcjonować. Wcale. Jak dokonujesz napadu i wpada ci w ręce kupa forsy, a ty nie możesz się nią pochwalić, to nieprzyjemna sytuacja. Przyjemnie jest wtedy, kiedy możesz pokazać, że ci się udało. A do tego potrzebne jest takie lśniące cacko. Chwalisz się nim i masz w nosie, czy komisarz policji, który mieszka przy Sveavägen,

rozumie, co jest grane. Zapamiętaj, Ewert: człowiek chce być widziany, słyszany i akceptowany. Nic więcej.

Grens znowu uderzył dłonią w maskę samochodu i ruszył przez parking w stronę siedmiopiętrowego budynku, w którym w jednym z okien paliło się światło. Dziewiętnaście lat temu wszystkie te domy były tak samo szare jak teraz. W wielu spędził wtedy mnóstwo czasu. Stopniowo udało mu się przekonać paru skruszonych członków gangów do udziału w programie ochrony świadków. Potem był z tego bardzo dumny — zdołał przecież zdefiniować jednorazowe zjawisko, to znaczy zrobił coś, co zauważyli inni i co potem minęło.

Wtedy jeszcze nie pojmował rozmiarów zjawiska, jakim stawała się rosnąca przestępczość. Rosła wtedy i nadal rośnie.

Skinął Marianie głową i ruszyli w stronę domu z jedynym oknem, w którym paliło się światło. Potem się rozdzielili i każde poszło asfaltową alejką, która na tyłach budynku kończyła się wąskim pasem trawnika. Tutaj znowu się spotkali, ale nie zamienili słowa. Nie było takiej potrzeby. Interesowało ich tylko jedno okno, w którym paliło się światło, w mieszkaniu na trzecim piętrze.

Winda była zepsuta. Grens ruszył wąskimi schodami za Marianą. Szedł na górę i ciężko sapał. W końcu wyszli na galerię i poczuli na twarzy ciepłe poranne powietrze.

Grens się zatrzymał.

Piętnaście metrów dalej jest to mieszkanie.

Imię i nazwisko: Gabriel Milton

Numer osobowy: 931017-0015.

Zanim tu przyszli, zebrał z policyjnej bazy wszystkie dane na temat Milтона. Kiedy wstukał jego nazwisko, na ekranie monitora pojawiły się trzydzieści dwa wyniki, np. „widziany na placu Hötorget dwadzieścia minut po zbrojnym napadzie na konwój bankowy na Kungsgatan”. Potem sprawdził jeszcze w rejestrze podejrzanych i na ekranie pojawiło się osiemnaście wyników, np. „przesłuchany w sprawie posiadania broni bez zezwolenia”. W końcu wszedł w bazę skazanych i komputer wyświetlił mu osiem wyników, np. „kradzież z art. 8. kodeksu karnego, §4”, „użycie siły przeciwko funkcjonariuszowi policji, art. 17. k.k. §1.”, „ciężkie pobicie, art. 3 k.k. §5”. Na ekranie wyświetliły się trzy fotografie Milтона.

— Ewert, nie możemy tam iść.

Przystawili ucho do drzwi. W środku panowała cisza.

— Ewert, żaden z nich nie jest podejrzany o popełnienie przestępstwa.

Grens nacisnął dzwonek, a ponieważ nie działał, kopnął w drzwi i cofnął się o krok.

— Nie są podejrzani, więc nie mamy prawa przeszukiwać mieszkania. Słuchasz mnie? Nie wolno nam tam wejść.

— Ta dziewczyna leży teraz w bagażniku samochodu. Nie potrzebuję żadnych pieprzonych nakazów. Potrzebne mi są informacje.

Znów kopnął w drzwi, tym razem trochę wyżej.

— Jeśli tam wejdziemy, uznają to za nielegalne wtargnięcie.

Grens wskazał na tabliczkę z nazwiskiem Santos na skrzynce pocztowej. Nazwisko było napisane krzywymi literami.

— Gabriel Milton nie płaci czynszu. Nie ma umowy najmu mieszkania. Nie ma prawa własności. Właściciel nazywa się Santos. To nie my dokonujemy nielegalnego wtargnięcia. To Milton się tu włamał.

W kieszeni marynarki Grens miał czarne rękawiczki. Wyjął je i nałożył. Mariana wyjęła z kabury na piersi pistolet i odbezpieczyła kurek.

— Nie będzie nam to potrzebne. Tu ich nie ma.

Grens nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Zacisnął pięść, zrobił krok w lewo i uderzył pięścią w szybę między drzwiami a betonową ścianą. Potem wsunął dłoń do środka i przekręcił zamek.

W przedpokoju paliła się lampa. Grens poszedł dalej. Przedpokój był prawie pusty. Tylko przy ścianie stała szafka na buty. Brzegi miała ozdobione drobnymi perełkami.

— Już tu nie wrócą. Ale my poszukamy tu informacji. Chcemy się dowiedzieć, w jaki sposób członkowie gangu na wolności pomagają członkom gangu ściganym przez policję. Musimy się tego dowiedzieć, może ta dziewczyna jeszcze żyje.

Grens poszedł do kuchni, a Marianie dał znak, żeby została przy wejściu do mieszkania.

Stół, kilka krzeseł. Nic więcej.

Grens otworzył lodówkę i znalazł w niej kilka pustych butelek. Niektóre były opróżnione do połowy, dwie nienaruszone. Obejrzał je z każdej strony, wylał płyn do zlewu i butelki też tam włożył. Zajrzał do spiżarki, ale znalazł w niej tylko gumę do żucia. Dokładnie ją obejrzał, ale nie wydała mu się podejrzana. Wyciągał szuflady ze sztućcami, zaglądał do worków na śmieci i do szafek nad kuchenką, wysypał cukier z torebki, przejrzał stosy serwetek, odkręcił pokrywę ekspresu do kawy, wsunął

dłoń do paczki z makaronem i wykręcił żarówki w obu lampach pod sufitem.

Nic.

W końcu westchnął. Przez chwilę zatrzymał się przy zlewie i butelkach. Żadnemu nie wolno było jeszcze kupować alkoholu w sklepie monopolowym. Łatwo zapomnieć, że młodzi ludzie, którzy od lat żyją jak dorośli, wcale nimi nie są.

Grens przeszedł do sypialni, żeby sprawdzić łóżka. Podnosił poduszki i kołdry i między materacami znalazł ukryty nóż. Jego rękojeść przypominała kastet z ostrymi końcami. Ostrze było długie, w niektórych miejscach miało wypilowane ząbki. Grens wsunął się pod łóżko i znalazł tam białą tubkę z napisem „Fenuril-Hydrokortison”. Powąchał ją, lecz niczego nie poczuł. Podniósł się z podłogi i ruszył w stronę wyjścia, ale nagle się zatrzymał i czubkiem buta pogrzebał w dywanie. Dywan był gruby, miękki i nie pasował do wystroju mieszkania. Grens domyślił się, że kosztował o wiele więcej niż reszta sprzętów w całym mieszkaniu razem wziętych.

Uśmiechnął się. Szafka na buty ozdabiana perełkami i gruby dywan za sto tysięcy koron pochodzą z włamania do willi gdzieś poza Råby.

Duży pokój.

Puste puszki po piwie, skorupki po orzechach i pełne popielniczki na poplamionym klejem szklanym stoliku. Obok kartony po pizzy tworzące półmetrowy stos i trzyosobowy narożnik obity niebieskim materiałem. Grens podnosił poduszki, zdejmował z nich powłoczki i dokładnie oglądał. W środku znalazł pięć brązowych opakowań z haszyszem. Oceniał, że razem ważą około trzydziestu gramów.

Na samym dnie kanapy znalazł złote i srebrne monety. Wyjął je stamtąd, potarł lekko palcami i położył na dłoni. Korony to waluta paserów; euro — waluta handlarzy narkotyków, bahty — waluta tajska. Członkowie małych gangów jeździli na tajską prowincję, żeby przestrzelać broń.

Za każdym razem wyłaniał się obraz tego samego świata.

Grens wychodził już do przedpokoju, ale w ostatniej chwili podszedł do płaskiego ekranu telewizora wiszącego na ścianie pokoju. Po obu stronach miał wbudowane długie głośniki.

Wyjął z kieszeni marynarki telefon i wybrał numer.

— Sven?

— Tak?

— Jesteś tam?

— Tak.

— Wejdź teraz w bazę danych RAR.

Sven wyciągnął się w fotelu pasażera. Naprzeciwko niego znajdował się komputer wbudowany w deskę rozdzielczą.

— Wszedłem.

— Sprawdź telewizor. — Podał Svenowi numer modelu: 47LH4000-ZA i numer serii: 906WRGX40359.

Grens sapał do słuchawki tak jak wtedy, gdy wchodzi po schodach. Sven domyślił się, że Grens się pochyła i zagląda w wąską szczelinę między ścianą a telewizorem, i próbuje odczytać drobne cyfry na tylnej obudowie.

— Zgłoszono kradzież tego telewizora. Włamanie do magazynu firmy SIBA w Kungens Kurva na początku czerwca. Zgłoszono wtedy w sumie sto obiektów.

Grens sprawdził jeszcze numery na obu głośnikach, na odtwarzaczu Blu-ray i na dwóch komputerach. Za każdym razem słyszał tę samą odpowiedź.

Rozłączył się i zaczął przeglądać stos kaset w futerałach leżących przy nodze od stołu. Pornografia i filmy z przemocą. Na samym spodzie znalazł osiem odcinków kreskówki o Aladynie.

...

Nabrał w płuca wilgotnego letniego powietrza. Już nie było tak ciemno jak przedtem.

Przedpokój, kuchnia, sypialnia, duży pokój.

Zanim weszli do mieszkania, nie mieli żadnych informacji. Teraz dalej nic nie wiedzą. Grens wsunął ostrożnie rękę przez otwór wybity w szybie i obrócił zamek. Poczul wzrok Mariany na karku. Wiedział, że go obserwuje. Nic się nie zmieniła.

— Nie ma prawa własności. Włamał się do cudzego mieszkania.

Mariana spojrzała na niego, ale nie odpowiedziała.

— A my, jako policjanci, zgodnie z obowiązującymi przepisami mamy obowiązek przerwać przestępczy czyn.

Grens uśmiechnął się słabo.

— Byliśmy do tego zmuszeni. Chyba że wolisz działać wbrew policyjnym instrukcjom?

Ruszyli z powrotem tą samą drogą, ale nie tak szybko jak wcześniej. Kiedy doszli do parkingu, Grens wyciągnął z kieszeni ciężki pęk kluczy. Były wśród nich klucze długie i krótkie, wąskie i szerokie. Przez chwilę szukał ostrego klucza, a potem znów wsunął rękę do kieszeni i wyjął z niej zapasowy magazynek z nabojami. Przesunął czubkami palców po ostrych brzegach i skinął z zadowoleniem głową. Podeszedł do bmw i ostrą krawędzią magazynka zrobił prostą kreskę na lewych drzwiach. Rozległ się typowy skrzypiący dźwięk. Potem podeszedł do mercedesa i tak samo zarysował prawe drzwi. I znowu rozległo się skrzypienie.

— To towar z drugiej ręki.

Spojrzał na milczącą Marianę.

— Sama wiesz, że po pewnym czasie każdemu się to zdarza.

Mijali domy, których lokatorzy zaczną się budzić dopiero za kilka godzin. Przed chwilą byli w mieszkaniu tych, którzy mają potrzebną mu wiedzę, ale już tu nie wrócą.

Nóż z kastetem. Kilka kawałków haszyszu. Dywan za sto tysięcy koron. Kreskówki o przygodach Aladyna. Monety z Tajlandii o wysokim nominale.

Może jednak wie już coś więcej? Głośno westchnął. Nie, nadal niczego nie wie.

To wszystko równie dobrze mogło dotyczyć każdego członka gangu, jakiego kiedykolwiek spotkał albo spotka.

— Erik?

Grens przycisnął mocno komórkę do ucha. Wilson chrząknął.

— Słucham?

Pół godziny wcześniej Grens rozłączył się w trakcie rozmowy z własnym szefem.

— Gdzie jesteś?

Nikt nie lubi, gdy ktoś się rozłącza w taki sposób.

— Jestem w centrum dowodzenia, poza Råby.

Grens chwilę odczekał. Spodziewał się, że Wilson będzie bardziej poirytowany. O swoim nowym przełożonym mógł mówić i myśleć różne rzeczy, mógł o nim myśleć w sposób niedopuszczalny w przypadku własnego szefa, ale jedno musiał mu przyznać: Erik to zawodowiec, który stoi ponad własną dumą.

— Przypomnij sobie, co było osiemnaście lat temu. To trwa dalej. Rozumiesz, Erik?

Grens wyobraził sobie, jak Wilson stoi na środku sali wielkości boiska piłkarskiego. Jest w niej pełno komputerów, monitorów i pracowników.

Tylko Erik potrafił zrozumieć, skąd bierze się to coś, co człowieka napędza i nie daje mu spokoju.

— Ewert, czego właściwie chciałeś?

Tym razem Wilson miał inny głos. Był zły, że Grens rozłączył się w trakcie rozmowy.

— Chodzi mi o Julię Bozsik. Strażniczkę z więzienia w Aspsås.

Grensa dzieliło od Wilsona około dziesięciu kilometrów. Stał w mroku, który niedługo rozjaśni blask poranka. Obaj przebywali teraz w dwóch zupełnie różnych światach.

— No i co?

— Leon Jensen. Alexander Eriksson. Marko Bendik. Reza Noori. Uros Koren.

— I co?

Chodzi o strażniczkę, która leży w bagażniku samochodu. I o tych, którzy ją tam wsadzili. To nie jest jeden pościg, tylko dwa.

— Patrole z psami, Erik. Helikoptery, patrole policyjne na lądzie i na wodzie. Niech dalej szukają. Samochód, którym uciekli bandyci, musi gdzieś być!

Grens się rozejrzał. Wieżowce, asfaltowe alejki i osiem tysięcy mieszkań.

— Tyle samo przyślij tutaj, Erik! Sam wiesz, że pozostałych znajdziemy właśnie tutaj.

— Dałem ci wszystko, co chciałeś.

— Potrzebuję więcej!

— Ogołociłeś z policji całe województwo.

— No to zadzwoń do Uppsali, do Eskilstuny, do Nyköping! Możesz ogołocić inne województwa!

— Ewert...

— A potem obudź cały oddział prewencyjny i też go do mnie wyślij. Niech zatrzymują wszystkie pojazdy jadące do Råby i wyjeżdżające stąd, niech legitymują każdą osobę, niech przewrócą do góry nogami wszystkie samochody!

— Ewert...

— Na pewno znajdą więcej pistoletów, obrzynów, siekier, noży, pałek, nunczako i kijów bejsbolowych niż którykolwiek z nich widział przez całe swoje życie. Niech to wszystko potem skonfiskują i ułożą na stosie, ale niech nie spisują protokołu przejęcia. Nie mamy na to czasu. Ona też nie ma go za wiele.

Grens pokazał Marianie, żeby podwinęła rękaw na lewym ramieniu i sprawdziła, która jest godzina.

— A jak już to wszystko załatwisz, przyślij mi tu całą drogówkę. Niech wejdą do każdego mieszkania, na każdy strych, do każdej komórki w piwnicy!

Cyfry na zegarku Mariany były niewielkie, ale wyraźne.

Została im godzina i dwadzieścia siedem minut.

...

Zaczęło padać.

Drobne, lekkie krople robiły się coraz większe i cięższe i coraz mocniej uderzały w szybę samochodu. Jednostajny dźwięk zakłócał ich myśli.

— Czułam lekki zapach masy migdałowej.

— Słucham?

— W mieszkaniu. Czuć było masę migdałową.

— Tak?

— Całkiem niedawno musieli tam przechowywać dynamit.

...

Sven prowadził, a Mariana szukała na niebie jasnego owalu, który zawsze pojawiał się nad Sztokholmem. Im bardziej się zbliżali, tym lepiej było go widzieć.

Masa migdałowa. Dynamit.

Ani Grens, ani Sven nie skomentowali jej słów. Nie było takiej potrzeby. Jeśli ktoś ostrym przedmiotem rani strażnika więziennego, ucieka z jednego z najlepiej strzeżonych zakładów karnych w Szwecji, po czym z karabinem w ręce uwalnia członków gangu z dwóch innych zakładów, to znaczy, że coś planuje. Coś, z czym wiąże się przemoc i środki wybuchowe.

— Ewert?

Zostali wywołani już po tym, jak zjechali z E4 i z trasy na Essinge.

Mariana zdjęła mikrofon zawieszony przy radiu i podała go Grensowi na tylne siedzenie.

— Słucham?

— Gdzie jesteście?

— Na Drottningholmsvägen, zbliżamy się do placu Fridhemsplan. Zaraz wjedziemy na Hantverkargatan.

To znowu Wilson. Był podenerwowany.

— Chciałbym, żebyś tu do mnie przyjechał.

— A ja cię prosiłem...

— Natychmiast, Ewert.

Tym razem to Wilson rozłączył się jako pierwszy, a Grensowi został w ręce mikrofon, który nie był mu już do niczego potrzebny.

Skreśli w Bergsgatan, która była zastawiona samochodami. Sven zwolnił i poszukał wolnego miejsca.

— Jedź dalej.

Grens uchwycił się zagłówka, uniósł swoje ciężkie ciało i pochylił się lekko do przodu. Wskazał Svenowi niewielki park ze starymi drzewami wciśnięty między ratusz a wschodnie wejście do budynku komendy policji.

— Wjedź na chodnik, a potem na trawnik.

Sven odwrócił się i spojrzał na niego.

— Sven, mamy mało czasu. Tak będzie bliżej.

Samochód zostawił w wilgotnej ziemi głębokie ślady. Do czytnika przy wejściu wsunęli identyfikatory i ruszyli kamiennym korytarzem w stronę dyżurki i oszklonych drzwi, gdzie znów musieli użyć identyfikatorów.

— Poczekajcie.

Grens wskazał dyżurnemu telefon.

— Zadzwoń do Larsa Ågestama.

Dyżurny nawet nie zaprotestował. Nie próbował wytłumaczyć, że to do niego nie należy i że biuro prokuratora znajduje się w zupełnie innym budynku, i że trzeba tam dzwonić przez inną centralę. Wiedział, kto przed nim stoi, więc znalazł w komputerze numer i podał Grensowi słuchawkę.

— Ågestam?

Obaj nie lubili się od dziesięciu lat, od pierwszego dnia pracy. Można nawet powiedzieć, że się wzajemnie nie cierpieli, a nawet pogardzali sobą. Stary, doświadczony komisarz policji był wszystkim tym, czym nie był młodszy od niego prokurator.

— Słucham?

— Potrzebna mi twoja zgoda na założenie podsłuchów i przeszukanie kilku mieszkań.

Obaj wzajemnie się unikali. Za każdym razem, gdy los ich ze sobą stykał i musieli wspólnie prowadzić śledztwo — bo tego wymagała

procedura — ich wzajemna pogarda rosła i żaden z nich nie próbował tego nawet ukrywać.

— A co to za sprawa?

Mniej więcej rok wcześniej Grens kazał snajperowi zastrzelić przestępcę osadzonego w więzieniu. Potem okazało się, że na podstawie błędnych przesłanek dopuścił do zastrzelenia człowieka, którego śmierci życzył sobie ktoś inny. Tamtej nocy zadzwonił do Ågestama i zaprosił go do swojego domu, żeby zwrócić się do niego z prośbą o pomoc. Zrobił to, chociaż wcześniej nigdy nikogo nie wpuścił za próg własnego mieszkania, a jego nienawdził z całego serca.

— Uciezka. Odbicie z więzienia. Notujesz? Ana Tomas, Råby Allé trzydzieści cztery.

Tamtej nocy usiedli przy kuchennym stole i znaleźli rozwiązanie, dzięki któremu udało im się aresztować komendanta głównego policji, innego wysokiej rangi oficera policji i ministra. Podczas tamtej rozmowy kilka razy zwrócił się do Ågestama po imieniu. Później obaj żalowali tego chwilowego zbliżenia, którego żaden z nich przecież tak naprawdę nie chciał. Obaj doszli też do milczącego porozumienia, że nigdy więcej do czegoś takiego nie powinno dojść.

— Z którego artykułu?

Grens wyjął z kieszeni spodni ręcznie zapisaną kartkę, rozłożył ją i założył okulary.

— Na razie nieprzypisane. Piszesz, Ågestam? Amanda Hansen, Västra Ringen sto dwa. Sonja Milton, Albyvägen czterdzieści dwa.

— Stopień podejrzenia?

Grens przesunął palcem po całym rzędzie nazw i nazwisk. Dokumentacja z Państwowego Instytutu Geotechniki, informacje ze służb wywiadowczych, znane adresy, gdzie widziano Jensena i Milтона.

— Na razie brak. Deniz Johnson, Råby Allé sto dwa. Wanda Svensson, Råby Allé sto czternaście. Sofia Eriksson, Råby Backe jeden B.

— Ewert?

— Tak?

— Jeśli mogę się tak wyrazić... nigdy nie ułatwiasz mi pracy. Ale w tym wypadku...

— Potrzebuję twojej zgody.

— A ja potrzebuję podstawy prawnej, na której mogę oprzeć zgodę. Bez tego nie wolno nam ani zakładać podsłuchu, ani wystawić nakazu przeszukania.

Grens oparł się mocno o ścianę dyżurki. Jego twarz i szyja przybrały czerwony kolor.

— Rusz tyłek od tego swojego pieprzonego biurka, Ågestam! Podejdź do okna i wyjrzyj przez nie! Co widzisz? Realny świat. Ja w nim pracuję. Tym razem nie ma innego sposobu. W przypadku Råby, w tej sytuacji, normalna obserwacja się nie sprawdzi.

Korytarz, dwa piętra, kolejny korytarz.

Sven, Grens i Mariana weszli do wielkiego pomieszczenia, które uważane jest za serce komendy policji: do centrum dowodzenia. Na każdym biurku stały po trzy małe monitory, na ścianach wisiały znacznie większe ekrany. Pokój tętnił życiem. Łączono tutaj każdą rozmowę z terenu województwa, rejestrowano każdą pozycję wszystkich radiowozów. Kamery zamontowane przy stacji metra Zinkensdamm albo na placu Sergels Torg, albo przy wyjazdach z miasta w stronę Nynäshamn przekazywały tu zarejestrowany obraz. Osoby pracujące w tej sali mogły w każdej chwili obejrzeć dowolne miejsce objęte nadzorem kamer.

Grens, Mariana i Sven mijali kolejne biurka, kierując się do okrągłego stołu w rogu pokoju. To tu urzędował Erik Wilson i pracownicy sekcji P1, P3k i P7. Pili kawę, przewracali papiery i wzdychając, rozwodzili się nad brakiem środków podczas wielogodzinnych odpraw, które zwoływali głównie po to, aby potwierdzić, że braki rzeczywiście istnieją.

Na stole stało więcej filiżanek niż zwykle. Pustych, z resztkami kawy.

Siedzieli tam już pół doby, od wieczora do świtu, ale nie wyglądali na zmęczonych.

— Jensen kontynuuje to, co zaczął.

Grens zajął wolne miejsce obok Wilsona.

— Ucieka z każdego więzienia.

Wilson spojrzał na niego wzrokiem, jakim policjant patrzy na drugiego, gdy ten go nie rozumie.

— Kontynuuje to, co zaczął.

Kiedyś stali obok siebie w białych fartuchach lekarskich narzuconych na policyjne mundury i patrzyli, jak rodzi się życie.

— Powiedziałeś, że nie ma zbyt wiele czasu.

Wilson wskazał głową w stronę dziesięciu ekranów na ścianie. Każdy z nich miał dwa metry szerokości i dwa metry wysokości. Widać było na nich opustoszałe autostrady z zapalonymi latarniami, ciche budynki mieszkalne, które będą pogrążone we śnie jeszcze przez jakiś czas, i spóźnionych przechodniów spieszących do domów. Kamery, które rejestrowały te obrazy, były umieszczone wysoko nad ziemią.

— Popatrz na ekran na samym dole, po lewej stronie.

Ekran był prawie zupełnie czarny.

W tle widać było słabe światło, wąską asfaltową alejkę na pierwszym planie i dwa niskie domy tonące w mroku.

— Czternaście minut temu przyjęliśmy zgłoszenie od jednego z helikopterów. Od tej pory wyświetlamy na monitorze obraz z ich kamery.

Grens podszedł bliżej, bo nie chciał, żeby cokolwiek zasłaniało mu obraz na monitorze.

— Dziesięć godzin w powietrzu. Akcja poszukiwawcza obejmuje teren na północ od granic miasta, odcinek od Aspsås aż do Hagi. Ale dopiero teraz zauważyli coś ciekawego.

Z ciemności wyłonił się zarys trzech samochodów stojących w ślepej uliczce przed ostatnim, jednokondygnacyjnym budynkiem.

— To Söderby, dwadzieścia trzy kilometry na północny zachód od centrum. Kamera termowizyjna lustrowała położony trochę dalej park. Stoją tam magazyny, między nimi rosną gęste krzaki. Zarejestrowano źródło ciepła.

Nadal mocno padało, wielkie krople spadały na obiektyw kamery.

— Źródło jest w jasnym samochodzie.

Wilson zbliżył obraz. Biały duży samochód stopniowo robił się coraz większy.

— W bagażniku jest coś, co emituje ciepło, ale się nie porusza.

Grens z trudem zachowywał spokój.

Dwie godziny wcześniej, godzina 19.23, kamera 14 w Storbodzie. Trzej mężczyźni wysiedli z samochodu i ruszyli biegiem przed siebie. Kierowca został przy wozie, uderzał pięścią w bagażnik, coś wykrzykiwał.

Grens podszedł jeszcze bliżej ekranu.

— Możesz wywołać helikopter?

Na biurku operatora siedzącego obok stały trzy ekrany i mikrofon.

— Mogę.

— Chcę ujęcie pod innym kątem. Chcę zobaczyć ten samochód od przodu, po skosie.

— Ale źródło ciepła jest w bagażniku.

— Powiedziałem: od przodu, po skosie.

Grens, Mariana, Wilson i Sven obserwowali manewry helikoptera. Kamera ustawiła się pod innym kątem. Samochód stał się lepiej widoczny w silnym świetle.

Trochę dalej, niżej, lekko w lewo.

W końcu kamera pokazała przód pojazdu i niewielkie okrągłe logo. Grens właśnie tego szukał.

— Mercedes.

Grens znów zwrócił się do operatora.

— Wyświetl mi teraz mapę z zaznaczoną pozycją tego samochodu.

Po chwili na ekranie, na prawo od mercedesa stojącego na pustej ulicy, pojawiła się kratka z setką niewielkich zapalonych lampek. Połowa poruszała się w różnych kierunkach, druga połowa stała nieruchomo. Lampki wskazywały pozycje wszystkich policyjnych radiowozów.

Grens stanął jeszcze bliżej ekranu i zaczął wypatrywać jasnych punktów w pobliżu mercedesa.

Jest!

Dwie świecące lampki oznaczające dwa patrole policji. Zapora drogowa na autostradzie E18, skrzyżowanie z drogą numer 267.

— Są od nich za daleko.

Grens przesunął palcem po gładkim ekranie. Został po nim wyraźny ślad na delikatnej powierzchni.

— Dziewczyna leży w bagażniku, a oba patrole są od niej zbyt oddalone.

Tam!

Kolejny radiowóz.

Grens zmierzył odległość na ekranie — niecały kilometr. Wóz numer 2319. To motocykl. Jest teraz na trasie do Rotebro.

Grens ujął mikrofon stojący na biurku operatora i przekręcił go w swoją stronę.

— Dwadzieścia trzy dziewiętnaście, zgłoś się.

W głośniku rozległy się trzaski.

— Dwadzieścia trzy dziewiętnaście, zgłoś się!

Znowu trzaski. Po chwili usłyszeli słaby głos.

— *Tu dwadzieścia trzy dziewiętnaście. Zgłaszam się.*

— Zmień pozycję! Jeden kilometr na wschód. Jedź na koniec Söderbyvägen. Wykonać!

...

Sala, w której do tej pory panował ożywiony ruch, nagle ucichła. Setki oczu zaczęły wpatrywać się w ścianę. Główny operator jednym

kliknięciem połączył ze sobą wszystkie ekrany, które od tego momentu emitowały jeden wielki obraz.

Policjant na motocyklu ruszył z dużą prędkością we wskazanym kierunku. Silny strumień światła z reflektora oświetlił biały nieruchomy samochód.

Grens zacisnął mocno palce na mikrofonie.

— Bagażnik w samochodzie. Kobieta leży tam już bardzo długo... pospiesz się... nie wiemy, czy jeszcze oddycha... wyważ zamek i otwórz bagażnik! Natychmiast.

Helikopter podleciał bliżej. Na kamerze pojawiły się jeszcze większe krople deszczu.

W blasku reflektora, który przeciął mrok, widać było nadgarstki, brzuch i łydki policjanta. Zatrzymał motocykl, otworzył jedną z bocznych toreb i wyjął z niej dwa długie przedmioty.

Śrubokręt i klucz francuski.

Grens uniósł mikrofon i wskazał nim obraz oddalony od niego o trzy metry, choć w rzeczywistości o wiele kilometrów.

— Dodaj mu więcej światła!

Helikopter obniżył nieco lot, widoczność trochę się poprawiła.

Pilot włączył kolejny reflektor, który oświetlił biały kask policjanta. Ten wsunął śrubokręt w zamek bagażnika i trzy razy uderzył kluczem francuskim w jego nasadę. Czwarte uderzenie wbiło śrubokręt wystarczająco głęboko. Policjant nałożył klucz francuski na nasadę śrubokrętu i wykonał nim pół obrotu. Gdyby razem z obrazem docierał do nich dźwięk, usłyszeliby, że mechanizm zamka został złamany.

Policjant odwrócił się w stronę kamery, ale tylko na chwilę, jakby nie chciał być tam sam.

Nagle obraz znikł z ekranów.

Helikopter zszedł niżej i dlatego obraz stracił ostrość. Pilot próbował nakierować strumień światła na bagażnik i ustawić kamerę pod odpowiednim kątem.

W końcu obraz odzyskał poprzednią jakość.

Na początku nie bardzo wiedzieli, co na nim widać.

Coś ciemnego i dość dużego leżało nieruchomo w bagażniku. Właściwie nie coś, tylko ktoś.

Ludzkie ciało spoczywało na lewym boku z odwróconą twarzą. Długie kobiece włosy. Srebrna taśma wokół karku.

Policjant zajrzał do środka.

Potem drugi raz się odwrócił w stronę kamery, jakby znowu nie chciał być sam.

Obejrzał twarz kobiety. Skóra była prawie szara. Nie słyszał helikoptera. Wisiał zaledwie dwa metry nad jego głową, ale on go nie słyszał.

Widział go, bo był ogromny. Czuł na twarzy silne fale powietrza. Helikopter jeszcze bardziej się zniżył, ale on go nie słyszał.

Znalazł się w świecie, w którym dźwięk nie istniał.

Zerwał taśmę z ust kobiety, wsunął jej do ust dwa palce i wyjął jakby kawałek materiału. Dotknął jej kurtki, koszuli i spodni, przyciągnął ją do siebie.

...

Policjant usiadł na brzegu bagażnika i przyłożył dłoń do twarzy kobiety. Czekał na karetkę pogotowia, delikatnie przesuwając czubkami palców po jej miękkiej skórze.

Dopiero teraz zobaczył jej oczy. I znowu słyszał helikopter. Już wiedział.

Samochód, który stał w małym parku między ratuszem a wschodnim wejściem do budynku komendy policji, zostawił na wilgotnym trawniku głębokie ślady. Sven otworzył drzwi i usiadł za kierownicą.

Było mu wstyd.

Przecież sam mógł wpaść na pomysł, żeby wjechać na zadbane trawnik i zyskać kolejne piętnaście sekund.

Kiedy Mariana zajęła miejsce obok niego, przekręcił kluczyk w stacyjce i uruchomił silnik. Czekał, aż miejsce zajmie również ten, który nigdy niczego się nie wstydzi.

— Sam poprowadzę — powiedział Grens.

Zaczął przed wozem, aż Sven przesiądzie się do tyłu.

— Do dnia, w którym to pieprzone śledztwo dobiegnie końca, będziesz jeździł z tyłu.

Włączył kogut na dachu i w strumieniach deszczu, który uderzał o szyby i karoserię, przejechali Drottningholmsvägen i wjechali na most Tranebergsbron. Grens jechał z dużą prędkością, a jednak sięgnął po komórkę, która leżała przed nim na desce rozdzielczej.

— Gdzie jesteś? — spytał.

— Tam, gdzie zawsze.

Nils Krantz. Technik z laboratorium kryminalistycznego, który w komendzie policji w Kronobergu pracował równie długo, jak Grens.

— W takim razie zostaw swoje mikroskopy i jedź do Söderby. Stoi tam samochód z otwartym bagażnikiem.

— Bagażnikiem?

— Tak.

Rozmawiając z Grensem, Krantz szykował się do wyjazdu. Poruszał się żwawo po ciasnym laboratorium i pakował instrumenty do czarnej torby. Za chwilę zejdzie do granatowego busa stojącego w podziemnym garażu komendy w Kronobergu.

— O kogo chodzi?

— O kobietę.

— W jakim stanie?

Grens zacisnął drugą dłoń na kierownicy.

— Pytałem, w jakim jest stanie?

— Nie żyje.

Na moście Tranebergsbron minęli skład metra i jadące z naprzeciwka samochody. W dole kłębiły się niespokojnie wody jeziora Mälaren.

— Jest martwa?

— Tak.

— Kto stwierdził zgon?

— Nikt, ale niedługo ktoś stwierdzi.

Krantz zawahał się, kilka razy chrząknął do słuchawki.

— Muszę obejrzyć ciało.

— Jedziemy na miejsce domniemanej zbrodni. Wskakuj w ten swój pieprzony bus i przestań głądzić!

— Ciało to też miejsce domniemanej zbrodni. I dlatego najpierw pojedę tam. Otwarty bagażnik w samochodzie może poczekać.

Grens zwolnił, gdy na końcu mostu samochód zbliżył się do pierwszych świateł. Zawrócił i zadzwonił do centrum dowodzenia. Zamówił radiowóz przed główne wejście do szpitala Karolinska.

— Mariana!

Grens spojrział na nią krótko i znowu skierował wzrok na most.

— Jak dotrzemy pod szpital, przesiądziesz się do radiowozu i pojedziesz do Söderby, do tamtego samochodu. Odpowiadasz za to, żeby nikogo do niego nie dopuścić. Niech tam stanie umundurowany policjant. Wszystko, co leży wokół samochodu, ma zostać przykryte, dopóki się nie skończy ten pieprzony deszcz. I najważniejsze: zanim wszystko rozwieje wiatr, niech zrobią zdjęcia każdego najdrobniejszego szczegółu. Chcę dokładnie wiedzieć, gdzie i jak wszystko leżało.

Sven już od wielu lat nie siedział na tylnym siedzeniu. To miejsce było zarezerwowane dla Grensa. On sam o tym zdecydował w dniu, w którym jedyna osoba, na której mu kiedykolwiek zależało, odeszła na zawsze z tego świata i ze swojego pokoju w domu opieki. Teraz Grens siedział za kierownicą. Jechał z dużą prędkością i dość nierówno. Przez pierwszy kilometr Sven myślał, że Grens wyszedł z wprawy, ale teraz był już pewien, że powód jest inny.

Niedawno wydarzyło się coś, co tak bardzo poruszyło Grensa.

To było wtedy, gdy helikopter obniżył lot i policjant wbił śrubokręt w zamek bagażnika, a na wielkim ekranie w centrum dowodzenia pojawiła się twarz młodej kobiety.

Grens od razu się domyślił, że jest martwa. To dlatego zaszła w nim taka zmiana. Działo się tak za każdym razem, gdy stykał się ze śmiercią, gdy ktoś pozbawił życia innego człowieka. Na początku głębiej oddychał. Potem zaczynał poruszać się szybciej i energiczniej. Wzrok mu się

wyostrzał, pulsowała żyła na skroni. Ogarniała go złość, stawał się nią całkowicie owładnięty.

Ciekawe, czy zawsze tak było. Może wszystko zaczęło się dopiero wtedy, gdy skończyło się życie, które było ich wspólnym życiem — Grensa i Anni? Które mieli przeżyć razem do samego końca? Może to właśnie ten rodzaj złości? Może chodzi o zadośćuczynienie? Rodzaj odkupienia winy? Tyle że tu nie chodzi o zadośćuczynienie dla ofiary, jak w przypadku Svena, Mariany i innych śledczych. Może Grens chce w końcu zyskać odkupienie za tamten moment, gdy prowadzony przez niego samochód przejechał po głowie Anni? Może Ewert nadal próbuje to odkupienie zyskać, odwrócić to, co się wtedy stało?

Sven wiedział, że właśnie to napędza Grensa, bo znał go od wielu lat.

Jednak tym razem dostrzegł w nim zupełnie inny rodzaj złości. Była obecna w jego ruchach, głosie. Zachowywał się nienaturalnie. Nigdy go takiego nie widział. Dlatego nie wiedział, jak do niego podejść.

Była to złość przypominająca żal i smutek.

...

Przed głównym wejściem do szpitala czekał na Marianę radiowóz z włączonym silnikiem. W środku siedzieli dwaj umundurowani policjanci. Skinęła głową Grensowi i Svenowi i przesiadła się. Grens podjechał pod wejście do izby przyjęć, ale musiał poczekać przed zamkniętą bramą.

Oba pojazdy zjawiły się prawie równocześnie.

Z prawej strony przyjechała karetka pogotowia bez syreny i migających świateł. Z lewej strony nadjechał bus. Za szybą Grens dostrzegł zmęczoną twarz Krantza.

Brama rozsunęła się, wszystkie trzy pojazdy wjechały do środka i zaparkowały koło rampy. Grens i Sven zostali w samochodzie. Przez chwilę obserwowali, jak sanitariusze wynoszą z karetki płaczące dziecko. Miało siną twarz i nie więcej niż pięć lat. Później sanitariusze wynieśli na noszach młodego mężczyznę. Był pijany, ale przytomny, z głowy i nosa płynęła mu obficie krew.

Izba przyjęć w dużym mieście to dość niezwykle miejsce. Przywożą tu tych, którzy będą żyć dalej, ale pozostanie w nich strach. Tych, którzy zapomną, że w ogóle tu byli. I tych, którzy już nie wrócą.

Sven obserwował stojącą w pobliżu karetkę. Kierowca, który z niej wysiadł, ruszył szybkim krokiem w stronę tylnych drzwi i otworzył je. W środku, na noszach, leżał człowiek. Obok niego siedział sanitariusz w żółto-zielonej kamizelce. Próbował robić pacjentowi sztuczne oddychanie, ale nie bardzo sobie radził.

To się robi zupełnie inaczej, pomyślał Sven.

W wąskich drzwiach prowadzących do izby przyjęć pojawił się lekarz dyżurny, który szybkim krokiem podszedł do rampy.

— Status?

— Młoda kobieta, tożsamość nieustalona.

Mężczyzna w żółto-zielonej kamizelce wysiadł z karetki i wyciągnął z niej wózek z noszami.

— Znalaziono ją w zamkniętym bagażniku. Policja kazała ją przywieźć do szpitala Karolinska.

Mężczyzna w kamizelce zdawał relację i jednocześnie pchał wózek w stronę rampy. Sven nadal siedział nieruchomo w samochodzie.

To się robi zupełnie inaczej, pomyślał znowu.

Powinno ich być dwóch. Trzeci powinien iść obok wózka, nie przerywając sztucznego oddychania i masażu serca. W tym samym czasie lekarz powinien przeglądać wydruki z EKG ustawionego nad głową kobiety.

— Nie przeprowadzono reanimacji ani na miejscu, ani w karetce.

Sven już wiedział, tak jak Ewert. Niedawno stali obok siebie i widzieli jej twarz na dwumetrowym ekranie. Zawsze tak z nim było. Znowu pojawił się ten cholerny strach przed śmiercią. A właściwie nie przed śmiercią, tylko przed nieistnieniem. Dopóki nie myślał o śmierci, dopóty mógł udawać, że wcale jej nie ma.

Niebieski mundur.

Strażniczka leżała w pozycji embrionalnej.

Sanitariusz w kamizelce nadal pchał wózek w stronę wejścia do sali zabiegowej, gdzie czekała lekarka. Grens ruszył w jej stronę, Sven szedł tuż za nim. Jego szef miał zmęczone oczy i zacięte usta.

— Ta kobieta już nie żyje.

Wózek toczył się w stronę wejścia trochę wolniej. Młoda lekarka nawet na niego nie spojrzała.

— Kim pan jest?

— Grens z policji. Chcę dokładnie obejrzeć ciało.

Lekarka nie odpowiedziała. Weszła do środka, a Grens poszedł za nią. Wózek z noszami zatrzymał się na środku pokoju. Sanitariusze przenieśli

martwą strażniczkę na inne nosze.

— Proszę stąd wyjść.

— Ona nie żyje.

— Proszę wyjść.

— Jej ciało to teraz miejsce zbrodni. Musimy je dokładnie obejrzeć.

Lekarka w końcu spojrzała na Grensa.

— Nie stwierdziliśmy jeszcze zgonu.

Grens miał takie zmęczone spojrzenie, napiętą twarz. Sven go nie poznawał.

— To tylko formalność. Ona od dawna nie żyje.

...

Grens opuścił pokój i lekarzkę o ostrym głosie. W automacie kupił sobie lukrowane migdałowe ciasteczka i kanapki, a potem usiadł na kanapie w rogu poczekalni w izbie przyjęć.

— Napadł na nią, groził jej.

Grens nie mówił do Svena, który siedział tuż obok niego, bo nawet go nie zauważył. Nie mówił do oczekujących w izbie przyjęć, kaszlących, pociągających nosem, osłabionych, kulejących. Prawdopodobnie nie mówił nawet do siebie samego.

— Ranił ją, uprowadził i zabił.

Po prostu musiał. Złość doskwiera i musi wydostać się na zewnątrz. Pomyślał o kobiecie, która spoczywa pod białym krzyżem na wielkim ponurym cmentarzu; o mężczyźnie, który leżał postrzelony na podłodze w kostnicy; o innym mężczyźnie, który został ranny pod prysznicem w więzieniu. Nieważne, czy ich kochał, czy byli jego najlepszymi przyjaciółmi albo czy w ogóle ich nie spotkał żywych. Wszyscy oni byli ze sobą powiązani w oczywisty sposób — w przeciwieństwie do kobiety leżącej na urazówce, bo ona do nich wszystkich zupełnie nie pasowała.

I tylko on to widział, tylko on to czuł.

...

Filizanka czarnej kawy. Biała bułka z wysuszonym serem i czerwoną papryką.

Grens czuł się zupełnie bezradny, chodził niespokojnie po szpitalnym korytarzu, bawił się telefonem komórkowym, aż w końcu zadzwonił do

komendy i poprosił o połączenie z prokuratorem Ågestamem.

— To znowu ty?

— Zrobiłeś to, co powiedziałem? Ruszyłeś tyłek, podszedłeś do okna i popatrzyłeś na prawdziwy świat?

— Dostaniesz zgodę na podsłuch. Nie dostaniesz zgody na przeszukanie mieszkań. Chyba że powiesz mi, na podstawie jakiego paragrafu.

— Ågestam...

— Możesz sobie krzyczeć do woli.

Grens nie krzyczał. Raczej szeptał.

— Nie żyje. Zamordował ją.

— Kto?

— On. Tamten.

— Wiesz, kto to jest?

— Tak.

— Skąd? Skąd wiesz?

— Po prostu wiem.

Grens opuścił rękę, w której trzymał telefon. Komórka znalazła się nad podłogą. Z tej odległości głos prokuratora był znośniejszy.

— Grens, słyszysz mnie? Wystąpiłeś o zgodę na przeszukanie, ale jej nie dostałeś, bo nie mam się do czego przyczepić. A to, że ty po prostu wiesz, sądowi nie wystarczy. Potrzebuję dowodów. I nie rozumiem, czego ty właściwie ode mnie chcesz?

— Chcę, żebyś był przygotowany. Zamierzam go wsadzić.

Buczenie automatu do kawy mieszało się z regularnymi piknięciami dobiegającymi z izby przyjęć. Grens znowu przyłożył telefon do ucha, głos Ågestama brzmiał teraz wyraźniej.

— Przyślesz ich do mnie, a ja wyślę ich do sądu... Tak ich nie dostaniemy, sam wiesz, jak to działa. Od celu dzieli nas długa droga. W sądzie są ławnicy, którzy nigdy nie byli na przedmieściach i nigdy nie spotkali na swojej drodze członka gangu. Podczas rozprawy staną z tymi bandziorami twarzą w twarz i będą się zastanawiać, jak funkcjonuje zorganizowana przestępczość i jak to się dzieje, że gang liczący niewielu członków zyskuje wysoki status w środowisku przestępczym i otacza się liczną grupą młodocianych, którzy dopuszczają się przestępstw, włóczą po osiedlu i są gotowi zrobić wszystko, żeby do takiego gangu trafić. Będziesz musiał tych ludzi przekonać, że to zjawisko istnieje i że to rzeczywiście dzieje się w Szwecji. Za każdym razem, gdy próbowałem przekonać sąd o sile i zasięgu działalności gangów, gdy mówiłem, że jeśli

nie przyjmiemy tego zjawiska do wiadomości, to już wkrótce takie rzeczy będą się działy pod naszymi oknami, spotykałem się z niedowierzaniem i przegrywałem sprawę.

Grens spojrział w stronę sali zabiegowej. Drzwi nadal były zamknięte.

— Dowody, Grens. Daj mi dowody, a ja skażę mordercę, bez względu na to, kim jest.

Grens pomyślał o młodej kobiecie, która leży za drzwiami i już nikomu nie jest do niczego potrzebna.

— Daj mi dowody oparte na próbkach krwi, testach DNA, włóknach i odciskach palców. Podaj mi dokładną godzinę śmierci. Jak już to będę miał, każę go zamknąć. Tym razem dostanie dożywocie.

...

Grens oparł się o kanapę.

Jakby to był jego błąd.

Zostało mu ostatnie ciasteczko.

Każda interwencja, którą podejmuje policjant, rodzi określone konsekwencje.

Nie do niego należy ich ocena, nie musi się zastanawiać, jak długo takie konsekwencje będą trwać.

Nauczył się, że tak właśnie jest.

Mimo to nie chciał mu pomóc.

Przełknął kilka suchych okruszków, rozejrzał się po pustej poczekalni i zamknął oczy.

Jakby to był jego błąd.

Strażniczka leżała nieruchomo na plecach, z rękami po bokach. Miała na sobie swój niebieski mundur.

Szara twarz. Oczy utkwione w jednym punkcie.

Usta wyglądały z bliska tak, jakby się uśmiechała.

Grens zrobił kilka kroków, podszedł do wózka z noszami i stanął tuż przy zmarłej. Zawsze to robił. Sven wolał zatrzymać się za progiem i patrzeć na nią z daleka. To dla niego typowe. Bał się śmierci, podczas gdy Grens nią pogardzał. Unikał kontaktu ze zwłokami, a Grens starał się znaleźć jak najbliżej nich. Czasem ich nawet dotykał. Jednak Sven coraz wyraźniej widział, jak pogarda na twarzy komisarza zamienia się w strach, może nawet taki sam jak ten, który ogarnia jego. Przez ostatni rok często widywał, jak Ewert podchodzi zbyt blisko, dotyka jakby zbyt mocno. Możliwe, że ten nowy strach jest u Grensa jaskrawszy niż u niego, bo przecież właśnie tym jest pogarda: bardzo grubo opakowanym strachem.

— Jak ona się nazywa?

Krantz stał po drugiej stronie noszy. Najpierw obfotografował całe ciało, potem zrobił dodatkowe zdjęcia ud. Na końcu zajął się jej ustami i zębami.

— Ona nie żyje.

— Właśnie dlatego chcę się o niej czegoś dowiedzieć. Jak się nazywa?

Krantz wyjął z czarnej teczki paczkę sterylnych wymazówek i zamoczył je w szklanej misce z wodą destylowaną. Pierwszą z nich pobrał próbki krwi z podartego materiału na tyle lewego uda. Innych wymazówek użył do pobrania próbek zakrzepłej krwi na policzku i zaschniętych grudek krwi we włosach.

— Miała na imię Julia.

Każdą wymazówkę Krantz wkładał do plastikowego woreczka. Potem umieszczał je w papierowej torebce, zaklejał taśmą, a na wierzchu wpisywał nazwisko i miejsce pobrania próbek.

— Nils?

Krantz był zajęty fotografowaniem ust denatki. Dwoma palcami w gumowych rękawiczkach chwycił ją za górną szczękę.

— Jeden z przednich zębów się chwieje.

— Nils...

— Jakby ktoś ją uderzył.

Krantz rozsunął szczęki ofiary, które nadal były miękkie, wyjął nową wymazówkę i dotknął nią przedniego zęba.

— Nils, muszę go dostać. Tego, który ją zamordował. Chcę go wsadzić do samochodu, razem z nią. Chcę...

Krantz włożył wymazówkę do kolejnej papierowej torebki, opisał próbkę, zapieczętował i znowu zajął się górną szczęką martwej kobiety.

— Zaraz ci to wyjaśnię. Mogę udowodnić, że wspólnie zmusili strażniczkę do przejścia przez główną bramę więzienia w Aspsås i dokonali dwóch zbrojnych napadów, podczas których odbili innych więźniów. Już teraz mam materiał, żeby ich oskarżyć o ciężkie pobicie i napad z bronią w rękę. Ale on powinien iść za kraty za morderstwo! A jak już tam trafi, rozbijemy cały gang część po części, całą siatkę, odeślemy ich do rodzin zastępczych, szkół specjalnych dla trudnej młodzieży, do zakładów karnych z oddziałami dla młodocianych. Nils... posłuchaj mnie uważnie... to się nie uda, jeśli nie udowodnimy, że to on wsadził ją do bagażnika, że to przez niego ta dziewczyna nie żyje.

— Przez niego?

— Słuchaj, co mówię: krew, DNA, włókna, odciski palców.

— Chcesz tylko jego?

— Tak.

— W samochodzie było ich pięciu.

— Chcę jego.

...

Grens nadal stał przy noszach i patrzył na twarz kobiety, która nie dożyła nawet dwudziestu pięciu lat. Jej oczy są już martwe. Jej wargi nie spytają go, dlaczego na nią tak patrzy.

— Ktoś ją uderzył. Jestem tego pewien.

Grens skinął głową, ale właściwie go nie słyszał.

Nie miała dwudziestu pięciu lat.

Znowu to nieprzyjemne uczucie, które nie jest złością. Nie mija, nawet jeśli bije pięściami w ścianę.

— Powtarzam ci, Nils: potrzebne mi krew, DNA, włókna i odciski palców.

Jensen i Milton grali w swoje gierki już jako chłopcy. Obaj działali pod wpływem nagłych impulsów: ja coś odkryłem, ja chcę coś zrobić, ja chcę

to zrobić już teraz. Liczy się moje zwycięstwo. Moje zadowolenie.

Nadal to robili. Bawili się i grali, ale już w inne gry. Ta, która tu leżała, nic już nie widziała i nic nie mówiła, też nie była na serio. Chodziło tylko o zwycięstwo, natychmiastową satysfakcję.

Uciekinierzy i ścigający. Ta zabawa zmieniła nazwę. Teraz nazywa się mordercy i ścigający.

— Ślady kolejnych uderzeń. Widzisz? Nad ustami.

Krantz wysunął wymazówkę spomiędzy jej przednich zębów i uniósł ją. Grens spojrział i wzruszył ramionami. Zwykła pałeczka z kawałkiem waty.

— Nic nie widzę.

— Ja też nie. Ale w laboratorium kryminalistycznym znajdą, co trzeba.

Krantz podsunął Grensowi wymazówkę do twarzy.

— Chcesz mieć cztery rodzaje dowodów. To prawdopodobnie pierwszy.

Grens wyjął z kieszeni marynarki futerał na okulary.

— Nic nie widzę.

— To DNA sprawcy. Popatrz na to... to chyba naskórek z jego palca, może z nadgarstka.

...

Ma na imię Julia.

Grens obserwował we wstecznym lusterku, jak budynek szpitala robi się coraz mniejszy. Coraz mocniej zaciskał dłonie na kierownicy.

Miała na imię Julia.

...

Morderca.

To ty nim jesteś.

...

Z początku chciał ją odwiedzić tego samego dnia, tylko później. Miał włożyć nową marynarkę, chybaby jej się spodobała. Ale czuł się naprawdę podle, choć nie potrafił tego Svenowi wyjaśnić. Niemile

uczucie trwało bez względu na to, jak mocno zaciskał dłonie na kierownicy. Był dorosłym mężczyzną, ale już nie potrafił tego wytrzymać. A cmentarz był tak blisko. I tak by go mijali po drodze. Wjechał na teren kościoła w Solnie i zaparkował, dwieście metrów od wejścia na podjeździe przed bramą numer 1. Wysiadł z samochodu i ruszył przed siebie szeroką wyasfaltowaną alejką między czworokątnymi trawnikami, wielkimi drzewami i starymi nagrobkami. Kiedyś, gdy jego żal i smutek były wielkie jak bezgraniczne morze, potrzebował osiemnastu miesięcy, żeby po raz pierwszy pokonać całą drogę od wjazdu na Cmentarz Północny aż do grobu numer 603 w kwaterze 19B.

Nie da się wyznaczyć w kalendarzu terminu żałoby, Ewert. To, czego się boisz, już się wydarzyło.

Po tamtej pierwszej wizycie na cmentarzu przychodził tu kilka razy na tydzień i za każdym razem ogarniał go niezwykły spokój.

Teraz już tego nie robi.

Poczucie winy nosił w sobie przez całe życie. W końcu postanowił, że pogrzebie je razem z Anni. Teraz wróciło i patrzyło na niego.

Unikał go. Schylił się nad niskim kamiennym murkiem, który tu niedawno zbudowano, i wziął blaszaną konewkę z drewnianego stojaka. Napełnił ją wodą i tak długo zraszał niewielki krzak, aż zyskał pewność, że wszystkie listki są wilgotne.

Poczucie winy nadal w nim tkwiło.

Ale nie chodziło o nią. Już nie.

Chodziło o niego.

O osiemnastolatka, który ucieleśnia przestępczość i niszczy ludzi. Policja uważa go za jednego z najgroźniejszych bandytów w Szwecji, chociaż jest właściwie dzieckiem. Już nigdy się z tego nie wykaraska, bo od dawna robi wszystko, żeby na drodze, którą podąża, zająć jak najdalej.

Grens spojrział na grób, na trawę, na piękny krzyż z pomalowanego na biało drewna.

Nie pomogło.

Jakby to był jego błąd.

...

Sven siedział w samochodzie i słuchał muzyki z radia. Grens takiej nie znosił, więc nie pytając o zgodę, pochylił się i wyłączył radio. Sven nawet nie spytał dlaczego. Za każdym razem, gdy jechali na północ albo stamtąd

wracali, zaglądali na cmentarz. Grens kazał mu się zatrzymać, zarządził krótki postój i zniknął wśród grobów. Zanim wrócił z zabłoconymi butami i mokrym prawym rękawem marynarki, zanim zatrzasnął za sobą drzwi samochodu, on wyłączał muzykę, bez względu na jej rodzaj.

Wracali przez Solnę drogą prowadzącą obok szpitala Karolinska. Wyjechali na autostradę A4 i skierowali się na południe, na trasę do Essinge. Odkąd w szpitalu oglądali zwłoki młodej kobiety, żaden się nie odzywał. Sven przerwał milczenie dopiero wtedy, gdy Grens z dużą prędkością minął zjazd na Stora Essingen i kolejny zjazd na Hornsberg.

— Mieliśmy tu skręcić.

— Nie.

— Zapomniałeś, że...

— Jedziemy dalej.

— Dalej?

Sven spojrzał na swojego szefa.

— Dokąd?

— Na południe.

— Ale dokąd?

— Wracamy do Råby.

...

Posterunek policji w Råby to niski szary budynek na obrzeżach przedmieścia, które Grens kiedyś bardzo dobrze znał. Leżał w równej odległości od zjazdu z autostrady i stacji metra, widać go było z każdego wieżowca. Grens wjechał na parking położony na tyłach posterunku i wysiadł z samochodu. Jeszcze raz przebiegł w myślach wydarzenia ostatniego poranka. Zrobiło się cieplej, przestało padać i słońce ostrożnie świeciło na mokry asfalt.

Rozejrzał się dokoła i poczuł na sobie wzrok ośmiu tysięcy mieszkań. To tutaj. Znowu tu jest.

Wejściem dla personelu wszedł do budynku stojącego wśród smutnych drzew jarzębiny. Niewielkie brązowe drzwi. Grens westchnął. Aspsås, Österåker, Storboda. I młoda kobieta, której już nie ma.

Chociaż wszyscy postąpili jak należy.

Strażnicy wypuścili Jensena, bo groził zakładniczce nożem. Kamery zarejestrowały lufę karabinu wycelowanego w obiektyw. Strażnicy ogłosili alarm, ale nie interweniowali, bo mogłoby dojść do rozlewu krwi,

a on niezbyt to lubił. Był wdzięczny władzom, że ci, którzy domagali się lepszego uzbrojenia dla personelu więziennego, spotkali się z odmową. Gdyby nie to, doszłoby do rozlewu krwi. Im surowsze przepisy obowiązują na terenie zakładu karnego, tym wyższe ryzyko, że ktoś użyje przemocy, żeby uciec. Jeśli więziennych murów strzegą strażnicy z bronią automatyczną, ci, którzy chcą się wydostać na wolność, też muszą takiej użyć.

Pierwsze piętro, krótki korytarz, kilka ciasnych pokoi, niewielka, pomalowana na czerwono kuchnia.

Nadal nieźle się tu orientował.

Ekspres do kawy był nowy, filiżanka czarna. Nalał sobie i spróbował. Kawa miała przyjemny smak. Sven nie miał na nią ochoty, więc Grens sobie dolał. Drzwi prowadzące do biura, w którym mieści się Sekcja do Walki z Przeszłością Zorganizowaną, nie były zamknięte na klucz. Grens otworzył je i wszedł do środka. Pokój był pełen ludzi.

Na ścianie przy wejściu zauważył listę docelową „Alcatraz” — długie rzędy czarno-białych zdjęć. Pod każdym była kartka z imieniem i nazwiskiem napisanym niebieskim długopisem. Do tego numer osobowy, adres i aktualne miejsce pobytu. To najgroźniejsi przestępcy. Jest ich stu pięćdziesięciu. Na dwóch innych ścianach wisiały zdjęcia tych samych twarzy z podziałem na grupy: na prawej ścianie ci, którzy wyrobili sobie silną pozycję. Mają na swoim koncie tyle przestępstw, że segregatory z ich aktami trzeba było przenieść na osobny regał. Na ścianie po lewej wisiały zdjęcia tych, którzy w przestępczym rzemiośle zaszli już dość daleko i teraz tylko czekali na awans w hierarchii. Grens z irytacją machnął ręką. Wcale mu się to nie podobało. Głupia lista rankingowa, która już w chwili układania staje się nieaktualna, bo kiedy policja uznaje bandytę za tak groźnego, że jego zdjęcie należy przewiesić wyżej, ten szybko się o tym dowiaduje i zaczyna działać jeszcze brutalniej, żeby tylko wspiąć się wyżej.

Grens podszedł bliżej. Wszyscy wyglądają podobnie.

Te same nieruchome spojrzenia.

Tak samo u tych, których twarze niedawno trafiły na lewą ścianę. Na tapecie widać ślady po czerwonych i żółtych szpilkach. Ci nowi mają podwójną nazwę, Rąby Warriors i Ghetto Soldiers. Grens zatrzymał wzrok na zdjęciu wiszącym najwyżej. To przywódca gangu. Jego oczy mówią, jak bardzo nienawidzi; śledzą go, gdy chodzi po pokoju.

...

José Pereira trzymał w dłoni plastikowy kubek. Nowy ekspres do kawy był cichszy niż stary. Wcześniej tego nie zauważył.

Wrzesień, późne lato.

Było trochę jaśniej. Zaraz miał wstać rano.

Minęło dopiero pół doby, ale jemu się wydawało, że dłużej. Jak zwykle się spóźnił i dlatego ostatni odcinek od przystanku autobusowego do głównego wejścia do ośrodka sportowego Tallkrogen pokonał biegiem. Otworzył bramę i stał nieruchomo w miejscu, żeby nie przeszkadzać. Pierwsza połowa meczu trwała już od piętnastu minut. Przyglądał się, jak po boisku biegają dwie dziewczyny z opaskami na czołach. Urodziły się w odstępie czternastu minut. Z tak dużej odległości widać było, że są dość wysokie. Już niedługo staną się kobietami. Czasem się zastanawiał, jak to będzie, kiedy podrosną. Czy też będzie tu przyjeżdżał, stał tak blisko jak teraz i patrzył? Czy potem, gdy będą zmęczone i spocone, będzie je odwoził do domu? A może doświadczy tego, co sam kiedyś okazał swoim rodzicom: niechęci, która sprawiła, że przestali po niego przyjeżdżać? Nie dojrzywał przecież razem ze swoimi dziećmi i każdy krok, który robili wspólnie, robili po raz pierwszy. Oparł się o drzewo i poczuł, jak stopniowo się odpręża. Zawsze tak było, gdy po całym dniu spędzonym wśród młodocianych przestępców obserwował, jak dwie młode istoty biegają za czarno-białą piłką. W takiej chwili i w tym miejscu istniała tylko ta piłka, ta radość i smutek, które mieszczą się między liniami wyznaczonymi kredą na podłożu.

Stał tam, gdy zadzwonił telefon.

Mecz trwał dopiero pół godziny, a on musiał już wrócić do tej drugiej rzeczywistości.

Erik Wilson, nowy szef wydziału śledczego policji w Sztokholmie, opowiedział mu, jak dwaj albo trzej członkowie gangu, który dawniej nazywał się Råby Warriors, a teraz nazywa się Ghetto Soldiers, wzniesili bunt w więzieniu o zaostrzonym rygorze, a potem z niego uciekli.

Poprosił Wilsona, żeby przysłał mu dwa radiowozy. Jeden miał go natychmiast zabrać do Råby, drugi miał odwieźć do domu dwie spocone dziewczyny w zbyt długich skarpetkach. Gdy jechał do komendy w Råby, żeby zebrać oficjalne i nieoficjalne informacje dotyczące pięciu poszukiwanych, zerkał na puste tyle siedzenie i przypominał sobie, jak kiedyś ich wiozł. Kiedy byli niepełnoletni i oddał ich w ręce opieki

społecznej. Kiedy mieli po piętnaście lat i odstawił ich do prokuratora. Gdy radiowóz zbliżał się do Råby, a on ujrzał tutejsze wieżowce, przypomniał sobie zrozpaczone matki, które wtedy odwiedzał w ich mieszkaniach.

Zgniół brązowy plastikowy kubek i wrzucił go do kosza przed dyżurką. Minął pomieszczenie socjalne, toaletę i znalazł się w skrzydle budynku, gdzie swoją siedzibę miała Sekcja do Walki z Przestępczością Zorganizowaną. Wszedł do środka przez uchylone drzwi, chociaż był absolutnie pewien, że zostawił je zamknięte.

...

Mężczyzna w beżowej marynarce stał kilka metrów przed nim. Nie odwrócił się w jego stronę. Jego sylwetka wydała mu się znajoma. Stał oparty o ścianę, był dobrze zbudowany, miał rzadkie włosy, ciężar ciała spoczywał na prawej nodze.

— To ty, Grens?

Grens najpierw usłyszał kroki, a potem głos. Odwrócił się.

— Dzień dobry.

Grens spojrzał na stojącego przed nim mężczyznę w średnim wieku. Nadal miał ciemne, gęste włosy i nadal był szczupły. Oczy miał przyjazne, nawet wtedy, gdy był wzburzony.

Nie postarzał się tak jak on.

— To ty, Grens? Znowu?

Grens wzruszył ramionami.

— Tak. Potrzebuję twoj...

— Byłeś tu dzisiaj rano.

Pereira demonstracyjnie machnął ręką w stronę drugiego gościa, młodego mężczyzny stojącego przy drzwiach.

— Obaj byliście tu rano. Widzieli was. Postąpiliście wbrew instrukcjom. W ciągu dwudziestu minut spapraliście naszą całonocną pracę, a naszą strategię naraziliście na szwank.

Grens znowu odwrócił się w stronę ściany, z której patrzyło na niego dziesięć twarzy.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Mówię o tym, że twoja pieprzona poranna akcja do niczego nam się nie przydała. Zbiliście szybę i włamaliście się do mieszkania. Ostrzegliście ich. Naraziliście życie zakładniczki.

Pereira wpatrywał się w plecy człowieka, z którym kiedyś przez kilka lat współpracował. Grens wzruszył ramionami i spojrzał na niego.

— Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz. Przyjechałem tutaj, bo prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa, a sprawca jest tutaj.

Młoda kobieta w mundurze służby więziennej.

Pereira zamknął na chwilę oczy. Czasem tak trzeba, bo inaczej człowiek nie zdierży.

Wyjął telefon komórkowy, bo nagle znowu zapragnął zadzwonić do dwóch dziewczyn, które właśnie teraz wracały radiowozem do domu, podekscytowane rozmawiały o meczu, który zakończył się wynikiem trzy do dwóch. Chciał choć przez chwilę ich posłuchać, dotknąć prawdziwego życia.

Młoda kobieta w więziennym uniformie, która idzie obok niego więziennym tunelem do bloku D1.

To tylko kilka sekund, ale uczucie jest cudowne, przez moment nie musi otwierać oczu.

Idzie i radzi policjantowi na służbie, żeby nie wchodził na oddział, na którym sama pracuje, bo wie, że to bardzo niebezpieczne.

Miała powody, żeby się bać.

— Ona tak powiedziała.

Pereira stanął twarzą w twarz z Grensem, który tylko wzruszył ramionami i dalej przyglądał się zdjęciom na ścianach.

— Powiedziała, że się boi, Ewert.

Na początku lat dziewięćdziesiątych razem stali przed tą ścianą. Twarze były inne, ale oczy takie same. Większość z nich już nie żyje, zginęli w młodym wieku. Tylko nielicznym udało się zacząć nowe życie. On zaraz po ukończeniu szkoły policyjnej rozpoczął pracę w Komisji Fittja. Grens dostał wtedy polecenie, aby stworzyć pierwszy, dość ograniczony program ochrony świadków dla członków gangów, którzy chcieli rozpocząć nowe życie. Przez kilka lat pracowali po nocach i od podszewki poznali ten drugi świat, w którym prawo nie obowiązuje.

— Pamiętasz jego ojca?

Grens nadal wpatrywał się w twarze, które niedawno trafiły na lewą ścianę, między X-Team a Red & White Crew, tuż pod Hells Angels MC i Bandidos.

Pereira skinął głową.

— Pamiętam.

Ciekawe, czy syn jest do niego podobny.

— Przenieśliśmy go do wyższego rzędu.

— Widzę.

— Czterech członków gangu już wcześniej przebywało na wolności. Kolejnych pięciu uciekło z więzienia wczoraj wieczorem.

— Wiesz, jakie mam zdanie na temat twoich list.

— Bunt. Zakładniczka. Ucieczka. Odbicie więźniów. Morderstwo.

— Oni już tu są. Pod twoimi oknami.

— Niedługo trafią do najwyższego rzędu.

— Nie mają dokąd pójść. Poza tym nie mają ochoty stąd odchodzić.

— Przecież zawsze jest jakiś moment przełomowy, Ewert. Śmieszny klub dla chłopców ze śmieszną nazwą staje się nagle czymś zupełnie innym. Ich logo, bluza albo tatuaż stają się symbolem pozbawionym znaczenia, jeśli go nie przypieczętują.

Pereira stał obok Grensa, wpatrującego się w zdjęcie chłopca, który bardzo się starał wyglądać groźnie.

— Masz...

Pereira wyciągnął rękę w stronę beżowej marynarki i dotknął jej tuż pod kołnierzem.

— ...masz chyba folię na plecach.

Usunął ją z kołnierza.

— Dzięki.

Pereira zmiął kawałek folii w palcach i wycelował w stronę kosza na śmieci.

— Chodzi o kilku chłopaków, którzy długo nazywali się Råby Warriors... obserwujemy ich od samego początku... od tamtej pory minęło dziesięć lat. To typowy gang z południowego przedmieścia. Sam wiesz najlepiej, że jest ich tu więcej, niż umiemy zliczyć.

Kolejny kawałek folii na ramieniu. Kiedy chciał go podać Grensowi, przykleił mu się do palców.

— Któregoś dnia, wczesnym latem, zrozumiałem, że podjęli decyzję. To był przełomowy moment. Postanowili wypełnić swój symbol treścią. Za każdym razem tak jest. Kiedy ci, których mamy tu w nadmiarze, awansują w hierarchii, proces przebiega bardzo szybko. Ghetto Soldiers. Ta nazwa istniała już wcześniej. Używał jej pewien więzienny gang utworzony w Aspsås przez starszych osadzonych. Działali za murami. Dopóki siedzieli, mieli władzę i ochronę. Dostałem cynk, że Råby Warriors postanowili zmienić nazwę i przejęli tamtą.

Pereira zaczął czegoś szukać na biurku zarzuconym teczkami. Po chwili otworzył jedną z nich.

Orzeczenie lekarza rentgenologa: młody mężczyzna, siedemnaście lat, postrzelony w oba kolana.

Położył zdjęcia z prześwietlenia na blacie. Wszystkie zostały zrobione przez policyjnych techników. Były zbyt lśniąco, ale wyraźne. Przedstawiały kilka ujęć przestrzelonego lewego kolana.

Orzeczenie lekarza rentgenologa: wielokrotne złamania rzepki, distala femur, proximala fibia, proximala fibula.

— Nowa nazwa. Nowa struktura. Nowe zasady.

Pereira powoli przeglądał teczkę z aktami. W środku były zakładki *Ghetto Soldiers* i *Powiązani*, a w niej trzy kolejne zdjęcia.

Lewy profil, en face, prawy profil.

— Ten tutaj nazywa się Javad Kittu. Ten nazywał się Daniel Wall.

Leży w celi między łóżkiem a stolikiem przymocowanym do ściany.

— Jego cela znajdowała się blisko tej, z której uciekli Jensen, Bendik i Eriksson.

Kabel, prawdopodobnie telewizyjny, obwiązany wokół szyi.

— Strzały w oba kolana. Kabel telewizyjny zaciśnięty wokół szyi. Do obu zdarzeń doszło w tym samym czasie. Dlaczego? Bo w czasie przesłuchania, które skończyło się wysokim wyrokiem, dwaj kandydaci do gangu nie nazywali nas policyjnymi świniami.

Pereira nadal trzymał w ręce zdjęcia wykonane przez policyjnych techników.

— Wiem, że masz swoje powody. Ja mam swoje. Ale musimy ich szybko wsadzić, Grens. Współpracujemy z tajnymi służbami we wszystkich miejscowościach, w których istnieją dzielnice wieżowców; codziennie je mijamy. Nasza dzielnica stała się wzorcem dla gangów ze Sztokholmu i Göteborga, z Malmö i Uppsali, z Västerås i Eskilstuny, z Örebro, Gävle i Sundsvall, a także... właściwie to zewsząd.

Pereira wszystkie lata swojej pracy poświęcił studiowaniu kolejnych faz rozwoju gangów. Zdjęcia członków przestępczych ugrupowań wisiły na ścianie. Powoli wyciągał szpilki i przenosił zdjęcia po kolei na ścianę po lewej stronie, gdzie wisiły już fotografie członków gangu o nazwie X-Team.

— Znowu ich przenoszę. Od tej pory na samą górę mają już tylko dwa kroki.

Na tapecie zostały jasne plamy po zdjęciach tych, którzy trafili wyżej, bo stali się groźniejsi.

— Mają na koncie mnóstwo wyroków, siedzieli w więzieniach o zaostrowym rygorze, wzięli zakładniczkę, uciekli i zamordowali ją. Telewizja i radio trąbią o tym przez cały dzień. Właśnie w ten sposób wypełnili treścią swój symbol. Z każdą kolejną godziną, gdy pozostają na wolności, budują legendę gangu. Wiemy, że każdy z nich wprost marzy, aby pewnego dnia zbudować swoją osobistą legendę.

Obaj cofnęli się o krok, z tej odległości ścianę widać było lepiej.

— Stali się wzorem do naśladowania, Grens. Bo im się udało.

Ledwo doszli do połowy parkingu, Grens zatrzymał się i spojrzał na Svena.

— Nie odjedziemy stąd. Jeszcze nie. Chcę, żebyś wrócił do tamtego mieszkania.

Skinął głową w stronę wieżowców.

— Tego z tabliczką Santos na drzwiach, ze zbitą szybą.

W środku pachniało masą migdałową.

— Za dziesięć minut zjawi się tam patrol z psem do wykrywania ładunków wybuchowych.

Pachniało masą migdałową.

— Chcę, żebyś tam wtedy był. Potem poinformujesz mnie o wynikach przeszukania.

— Czy ty w ogóle słuchałeś tego, co mówił Pereira?

— Sven?

— Tak?

— Idź już.

Grens spojrzał na swojego najbliższego współpracownika. Tylko on z nim wytrzymuje, bo tak sobie postanowił. Odwrócił się od Svena i ruszył przed siebie, powłócząc nogą po asfalcie.

— Ewert?

— Spotkamy się za czterdzieści pięć minut. Chcę porozmawiać z kimś, z kim powinienem był porozmawiać już dawno temu.

...

Grens ruszył w stronę jednego z dumnych wieżowców, które wyglądały tak, jakby przez cały czas obserwowały i zapamiętywały, kto, kiedy i gdzie wchodzi i skąd wychodzi.

Zastanawiał się, czy ją tam jeszcze zastanie, czy nadal tam mieszka.

I czy domy zapamiętały jego poprzednią wizytę.

...

Jedną z alejek pędził wóz strażacki. Grens zatrzymał się i poczekał, aż samochód przejedzie. Dopiero wtedy poszedł dalej. Rozejrzał się, ale nigdzie nie dostrzegł ani dymu, ani ognia. Od razu się domyślił, o co chodzi: pali się jakiś kosz na śmieci albo komórka w piwnicy.

Råby Allé 34.

Drzwi wejściowe wyglądały jak każde inne. Wszedł do klatki schodowej i ściągnął windę.

Silny smród moczu. Cztery pęknięte dzwonki przy drzwiach mieszkań. Nieczytelne bazgroły na ścianach.

Zawahał się. Otoczenie nie wzbudziło jego zaufania. Niechętnie i rzadko wchodził po schodach, tylko wtedy, gdy musiał. Kiedy dotarł na czwarte piętro, głośno sapał. Było tam pięcioro jednakowych brązowych drzwi, a na nich tabliczki z nazwiskami lokatorów: Dordevic, Muhazabi, Hansson, Pitkänen, Stenberg. Zrobił dwa kroki i stanął przed drzwiami szóstego mieszkania, wciśniętymi między gaśnicę i rozbitą skrzynkę elektryczną.

Tomas.

Te same drzwi. Inne czasy.

Dzwonek chyba działa.

To już osiemnaście lat. Znowu zadzwonił.

W judaszu pojawiło się oko. Słyszał ją za drzwiami, nie próbowała się przed nim ukrywać. W końcu mu otworzyła. Teraz stoją i mierzą się baczny wzrokiem.

— Pamięta mnie pani?

Wtedy też tak stał. Był szczupły, miał więcej włosów na głowie i czterdzieści kilka lat.

— Tak, pamiętam.

Wygląda na zadbaną. Ma wszystkie zęby. Gładką cerę. Żadnych nerwowych tików na twarzy. Dziwne, bo cztery lata spędzone w zakładzie karnym w Hinsebergu powinny pozostawić po sobie ślad.

— Wpuści mnie pani?

Wtedy, dawno temu, zabrał jej chłopaka.

Potem zjawił się tu z nakazem przeszukania. W spiżarni znaleźli kilogram heroiny ukryty w pudełku po makaronie.

Ana nie odpowiedziała na jego pytanie.

Widziała, że to ta sama twarz, tyle że dwadzieścia lat starsza. Wydawało się, jakby na twarz, którą zapamiętała z tamtych czasów, ktoś nałożył na krótką chwilę inną twarz, z nowymi zmarszczkami, a nawet

z nowym kolorem. Chciała wyciągnąć rękę i sprawdzić dotknięciem delikatnych palców, czy to, co widzi, istnieje naprawdę.

— Wpuści mnie pani?

Grens poruszył się niecierpliwie. Nie może tak długo stać i opierać się na bolącej nodze. Słyszała, co powiedział, ale miała taką samą minę jak kiedyś, gdy chciała mu zatrzaskać drzwi przed nosem. Niestety, wepchnął ją do środka i zagonił do kuchni. Podobną minę miała przed kilkoma tygodniami, gdy czterej młodzi mężczyźni zadzwonili do jej mieszkania i jeden wstawił nogę w szparę między drzwiami a futryną. Potem weszli do środka i na półce nad wieszakiem położyli reklamówkę.

Skinęła lekko głową i uchyliła drzwi.

— Wiem, że pani wie.

Grens wszedł do przedpokoju, ale znowu nie doczekał się odpowiedzi. Jak prowadzić rozmowę z kimś, kto czekał przez pół życia?

— Mam rację? Wie pani, gdzie on jest?

Poprzedniego wieczoru widziała w telewizji, jak jej syn uśmiecha się do niej ze zdjęcia.

— Nie, nie wiem.

— Wie pani, gdzie mógł się ukryć?

— Ja już niczego o nim nie wiem.

— W domu jest ktoś jeszcze?

— Wie pan, że nie. On nie ma ani rodzeństwa, ani dziadków.

Każda interwencja policji rodzi określone konsekwencje.

— Nie ma też ojca.

Te konsekwencje rodzą potem dalsze konsekwencje.

Nie ma też ojca.

Na tym polegała jego praca: odebrać, ochronić, ukryć, zostawić. Tylko na tym.

— Wiem też, że pani syn uprowadził z więzienia strażniczkę, znacznie młodszą od pani. Wiem, że jest podejrzany o popełnienie zbrodni. Wiem, że po osiedlu...

Grens wskazał ręką jakiś punkt poza nią. Może okno?

— ...kręci się wielu policjantów, są uzbrojeni po zęby i chcą go ująć. Wiem, że jeśli nie będzie pani z nami współpracować, zginą kolejni ludzie. On też.

Kobieta spojrzała na Grensa w taki sam sposób jak przed chwilą, gdy otworzyła mu drzwi. Znowu się nie odezwała.

— Osłanianie przestępcy jest przestępstwem.

— To niech mnie pan aresztuje.

Nie spuszczała z niego wzroku.

— Znowu?

Grens opuścił rękę, którą przed chwilą wyciągnął w głąb mieszkania.

— Przyszedłem tu, żeby pani pomóc.

— Przyszedł pan tu, żeby wykonać swoją robotę.

W jej głosie pojawiła się pogarda.

— Nie może mi pan pomóc. Nie może pan pomóc nikomu na tym osiedlu.

...

W windzie śmierdziało tak jak kiedyś.

Grens wolał zejść schodami. Powoli minął niebieskie drzwi i nabrał powietrza.

Pachnie benzyną, ropą albo blachą. Spojrzał w stronę miejsca, gdzie wcześniej widział wóz strażacki.

Benzyna, ropa, blacha.

Pali się jakiś samochód.

Pewnie zabrakło im koszy na śmieci.

Idąc w stronę budynku policji w Råby, pozdrowił strażaka, który właśnie odcinał wodę i wykręcał końcówkę węża z hydrantu w studziencie. Poszedł dalej, wdychając coraz silniejszy zapach benzyny i blachy. Domyślił się, że palił się któryś z samochodów zaparkowanych w pobliżu komendy.

Najpierw ujrzał Svena. Siedział na ławce przy czerwonej ceglanej ścianie z telefonem w ręce.

Potem zobaczył wóz strażacki. Z bliska okazał się o wiele większy. Stało wokół niego czterech strażaków, którzy ładowali sprzęt. Wyglądało na to, że pożar został ugaszony.

W końcu zobaczył samochód. Był w połowie pokryty sadzą, z drugiej połowy zeszła farba, opony spłonęły całkowicie.

Podszedł bliżej i zanurzył dłoń w białej, wilgotnej, klejącej się pianie pokrywającej samochód od maski aż do bagażnika.

Ich samochód.

Spojrzał na Svena i na zniszczony nowy wóz, który kosztował czterysta tysięcy koron.

— W schowku leżały moje ostatnie dwie kasety. Wiedziałaś o tym?

Ten samochód już nigdy donikąd nie pojedzie.

Grens wytarł ręce w spodnie i wzruszył ramionami.

— Skończyłeś? — spytał.

Sven skinął głową.

— Tak.

— No to przejdźmy się kawalek.

— Nie musimy. Załatwiłem nowy samochód.

— Nie mamy czasu czekać.

Grens ruszył w kierunku głównego wejścia, przed którym stał radiowóz. Na dwóch przednich fotelach siedzieli dwaj młodzi policjanci.

Grens zapukał w szybę.

— Ten samochód będzie nam potrzebny.

Policjant za kierownicą opuścił do połowy boczną szybę i uśmiechnął się.

— Nam też.

— Nasz właśnie spłonął.

Uśmiech nie schodził z twarzy policjanta.

— Widziałem. Ale tak już bywa... Nie siedzimy tutaj po to, żeby przyjmować od pana zgłoszenia.

Grens uderzył lekko w blachę pojazdu.

— Wsiadajcie. Rekwiruję samochód.

Żaden nie ruszył się z miejsca.

— Coś panu powiem. Tak się składa, że my tu pracujemy. I dlatego i ja, i komendant tego posterunku będziemy wdzięczni, jeśli pan stąd pójdzie, o ile oczywiście nie ma pan nic przeciwko temu. Bardzo by nam to ułatwiło robotę.

Grens wyjął coś z kieszeni spodni i przyłożył do przedniej szyby. Był to biały skórzany futerał, a w nim legitymacja służbowa i metalowa, żółtoniebiesko-czerwona blaszka, którą obaj policjanci od razu rozpoznali. Nad słowem „Policja” widniał znajomy herb z trzema koronami.

— Nazywam się Ewert Grens, dowodzę tą operacją. To ja jestem tutaj szefem.

Obaj policjanci długo oglądali legitymację i metalową blaszkę, a gdy się upewnili, że jest prawdziwa, zrozumieli, że stoi przed nimi ktoś, o kim wcześniej tylko słyszeli.

— Pracujemy w komendzie w Västerort.

— No i co z tego?

— Samochód jest nam potrzebny, żebyśmy mogli tam wrócić.

Grens nie odpowiedział, tylko spojrział na nich wymownie. Po chwili obaj policjanci wysiedli z samochodu. Grens usiadł za kierownicą, Sven

obok niego. Uruchomił silnik i przejechał kilkanaście metrów, po czym nagle się zatrzymał, opuścił szybę i zawołał w stronę policjantów, którzy stali nieruchomo w tym samym miejscu.

— Jeszcze jedno, chłopaki.

Grens wychylił głowę przez okno, żeby lepiej go usłyszeli.

— Chyba wiecie, że umundurowani policjanci mogą podróżować metrem za darmo?

...

Dopiero gdy przejechali połowę drogi dzielącej ich od centrum Sztokholmu, gdy minęli Kungens Kurva i Skärholmen, a na wysokości Segeltorp i Bredäng wjechali na środkowy pas, Sven uznał, że Grens całkowicie panuje nad nowym samochodem. Dopiero wtedy odważył się odezwać bez obawy, że go rozproszy.

— Wspominałeś coś o zapachu masy migdałowej.

Grens lekko zwolnił, żeby się skoncentrować na rozmowie i na skrzyni biegów, która w tym samochodzie działała inaczej. Musiał w całkiem inny sposób operować pedałem gazu i sprzęgła.

— Pies obwąchał przedpokój, toaletę, sypialnię i duży pokój i niczego nie znalazł. Za to w kuchni... Ledwo tam wszedł, podbiegł do stołu, położył się pod nim, kilka razy przesunął nosem po podłodze i spojrzał na przewodnika.

Grens jeszcze bardziej zwolnił. Tym razem tak gwałtownie, że samochodem aż szarpnęło. Dopiero po pewnym czasie odzyskał płynność jazdy.

— To był angielski springer spaniel. Puścili go luzem, a on od razu znalazł na blacie wyraźną plamę. Położył się przy niej z przytkniętym nosem i znowu spojrzał na przewodnika.

Na tym odcinku drogi ruch był znaczny, więc musieli częściej hamować. Sven starał się przez cały czas obserwować drogę, do celu zostało im już tylko parę kilometrów.

— Miałeś rację, Ewert.

Tunel na południowym odcinku trasy, a potem już tylko kilka zakrętów, gdzie też trzeba będzie operować gazem i sprzęgłem.

— Mają dostęp do materiałów wybuchowych.

Nagle ściszył głos.

— A jeśli tak, to w końcu wysadzą coś w powietrze. Tylko co i gdzie? Kogo oni chcą wysadzić, Ewert?

...

To już osiemnaście lat.

Zadzwoił do drzwi, jak wtedy. Czekał, aż mu otworzy. Jak wtedy.

Pamięta mnie pani?

Tak, pamiętam.

Pytał ją o kogoś, kto uciekł z zakładu karnego i zamordował młodą kobietę.

Na żadne z jego pytań nie odpowiedziała, bo nie mogła.

Wie pani, gdzie on jest?

Kiedyś miała syna. Już go nie ma.

On nie ma ani rodzeństwa, ani dziadków. Nie ma też ojca.

Nie płakała, nie wstrzymywała oddechu, żeby poczuć ból, który rozsadza pierś.

Jeśli nie będzie pani z nami współpracować, zginą kolejni ludzie. On też.

Otworzyła drzwi i wyszła na schody obok windy. Szybkim krokiem zeszła na dół. Wiedziała, że ma niewiele czasu.

...

Jest już naprawdę zmęczony. W środku czuje pustkę. Nigdy wcześniej się tak nie czuł. Czterdzieści osiem wyjazdów do pożarów w ciągu tygodnia, w tym dwóch zwykłych i czterdziestu sześciu celowych podpaleń. Motocykle, samochody, komórki w piwnicach, opony, kontenery na śmieci, huśtawki dla dzieci, płoty, kosze na śmieci, krzaki, ściany frontowe budynków, drzewa. W czasie ostatniego pożaru płomienie i kłęby dymu sięgały bardzo wysoko. Ktoś oblał benzyną samochód i podpalił. Kamienie i butelki z odłamaną szybką zaczęły na nich spadać później niż zwykle, już po ugaszeniu pożaru. Poza tym z większej odległości niż poprzednim razem. Za to wyzwiska były ostrzejsze. Kilka razy dostał kamieniem w nogę. Tym razem ich nienawiść okazała się silniejsza niż zwykle, głosy mieli naładowane jeszcze większą agresją. „To przecież samochód glin, niech się pali”.

Thom podniósł wąż i pompę i otworzył klapę wielkiego pojazdu, gdy nagle poczuł rękę na ramieniu. Ktoś podszedł do niego zbyt blisko. Słyszał

kroki, ale nie zwrócił na nie uwagi. Odwrócił się i uniósł ramię, ale w jego stronę nie poleciały ani kamień, ani potłuczona butelka. Mimo to mało brakowało, a zadałby cios. Miał przed sobą obcą twarz.

To kobieta. Trzydzieści albo trzydzieści pięć lat.

Widząc jego podniesioną rękę, skuliła się.

— O... przepraszam.

Thom opuścił rękę, jakby chciał ją ukryć.

— Przepraszam, ale myślałem, że...

— Nic się nie stało. Rozumiem. To moja wina... Ma pan chwilę?

Ciemne włosy, piękne oczy. Są już martwe, choć kiedyś żyły i teraz też chcą żyć.

— Czy mam chwilę? A o co chodzi?

Omam nie uderzył kogoś, kto wcale mu nie zagrażał.

Nie, to nie ona.

To się wydarzyło całkiem niedawno. Obserwował jednego z tych, którzy podpalił samochód. Młody chłopak, który podbiegł do napęczniałego wodą węża i przeciął go czymś, co przypominało miecz z zakrzywionym ostrzem. Coś w nim wtedy pękło. Rozkazał swoim ludziom, którzy trzymali wąż, żeby się odwrócili i skierowali strumień wody w stronę dzieciaka z mieczem. Trafili go w pierś i chłopak się przewrócił. Krzyknął jak zwykle: „Zabiję cię!”, bo oni wszyscy tak krzyczą, tyle że głośniej. „Następnym razem cię zabijemy!”.

To nie była ona.

— Widziałam tu pana dzisiaj rano.

Kobieta z ciemnymi włosami i oczami, które kiedyś żyły, zaczęła mówić głośniej. Chciała mieć pewność, że ją słyszy.

— Kwadrans po szóstej, widziałam motocykl oparty o ławkę na rynku w Råby. Spaliły się. I ławka, i motocykl, zanim zdążył pan przyjechać.

Kobieta zrobiła krok w jego stronę.

— Dwadzieścia po ósmej, niebieski kontener przy placu zabaw dla dzieci. Już się palił, gdy przyjechaliście.

Kolejny krok w jego stronę.

— A teraz to. Widziałam, co się stało. Dzisiaj to już trzecie podpalenie, prawda?

Thom słuchał, ale czuł się nieswojo. Kobieta obserwowała go, liczyła coś w myślach.

— Widziałam was tutaj już tyle razy. Pana też.

Thom nadal milczał. Kobieta nie wyglądała na obłąkaną. Przez całe życie spotykał ludzi o zachwianej psychice i był pewien, że ta kobieta do

nich nie należy. Nie podobało mu się tylko to, że mu się tak bacznie przygląda.

— Mam na imię Ana. Mieszkam tutaj.

Odwróciła się i wskazała mieszkanie w domu, który wyglądał tak samo jak wszystkie inne domy w okolicy. Nie bardzo wiedział, o które mieszkanie jej chodzi.

— Wystarczy. Proszę już stąd odejść.

— Słucham?

— To, co powiedziałem. Już wystarczy.

Thom poszedł na tył samochodu, po raz kolejny sprawdził węże i pompę i jeszcze raz poprawił coś, co inni poprawili wcześniej. Miał nadzieję, że kiedy się odwróci, już jej nie będzie.

Niestety, kobieta nadal tam stała.

— Od wielu lat pracuję w opiece społecznej w Botkyrcie. Zajmuję się rodzinami, w których jest alkohol albo narkotyki. To znaczy pracuję z alkoholikami i narkomanami. Wielu z nich to młodzi ludzie, nawet dzieci. I... niech mnie pan wysłucha, proszę... jest pewna narkomanka, nigdzie nie pójdzie, jeśli nie zechce. Żeby cokolwiek załatwić, trzeba ją spotkać we właściwym momencie. Słucha innych tylko wtedy, gdy jest pijana albo dała sobie w żyłę, kiedy jest osłabiona albo zdołowana, wtedy można do niej jakoś trafić.

Thom znowu na nią spojrział. O czym ona mówi?

Przed chwilą spłonął radiowóz, w jego stronę leciały kamienie, butelki i wyzwiska, chuligani okazywali im nienawiść i wołali, że ich pozabijają. I nagle przychodzi ona. Nie wyglądała na wariatkę. Znał takie oczy, często je widywał. Mimo to czuł się nieswojo.

— Na pewno jest pani mądrą kobietą, ale nie rozumiem, o czym pani mówi. I nawet nie chcę tego rozumieć. Może mi pani nie przeszkadzać w pracy?

Wszedł na stopień przy szoferce i zajął swoje miejsce.

— O czym ja mówię? Że jest pan tutaj... teraz.

Kobieta zrobiła dwa kroki w jego stronę.

— Nie jest pan alkoholiczkiem ani narkomanem... nie to miałam na myśli. Chodziło mi o to, że jest pan taki... zrezygnowany i zmęczony, ciągle do dyspozycji.

Thom poczuł się tak, jakby kobieta go przejrzała.

Nie podobało mu się to.

— Pani tu mieszka, prawda?

— Tak, w tamtym mieszkaniu.

— To niech pani tam wróci. A zamiast marnować czas, niech się pani zajmie wychowywaniem waszych pieprzonych dzieci.

— Nie mam dzieci. Już nie.

Stała w miejscu. Thom nie mógł przez nią zamknąć drzwi wozu.

— Proszę przyjść na czwarte piętro, na drzwiach jest nazwisko Tomas. Teraz, wieczorem albo jutro po południu. Chciałabym z panem porozmawiać.

— Porozmawiać?

— Tak. A może nawet poprosić o pomoc.

Kobieta nie mówiła już tak głośno jak na początku. Nie była też spięta. Wyglądała na opanowaną i być może właśnie to go przerażało.

— Niech pani już idzie.

— Musi mi pan pomóc...

Kobieta odwróciła się w stronę miejsca, gdzie ogień płonął przed chwilą i wczoraj i gdzie będzie płonął także jutro.

— ...w tej sprawie... żeby to się skończyło. Na zawsze.

Grens wysiadł z niebiesko-białego radiowozu należącego do policji w Västerort. Jeszcze raz spojrział przez boczną szybę na schowek. Na pewno nie ma w nim dwóch kaset magnetofonowych, z którymi od dawna nie potrafił się rozstać.

W końcu je spalili, a jej głos zarejestrowany na taśmie stopił się w płomieniach.

Razem ze Svenem weszli po niewysokich schodach do siedziby zakładu medycyny sądowej w Solnie i przez okno sali, w której przeprowadza się sekcje zwłok, zobaczyli ciało ofiary. Młoda kobieta w mundurze strażnika więziennego leżała na plecach na stole obdukcyjnym. Grens miał przez chwilę wrażenie, że widzi inną młodą kobietę w mundurze. Ją też niedawno odwiedził, biały krzyż nadal stał wkopany w trawę w narożnej kwaterze długiego na kilometr cmentarza. Dokładnie podlał zielony krzak. Jakoś się ten cmentarz nazywa, ale zapomniał nazwy. Zaczął się zastanawiać, czy ona też tak leżała na noszach. Przez cały ten czas nawet nie próbował się dowiedzieć, czy ktoś, kto zobaczył ją po raz pierwszy w życiu, zobaczył ją właśnie taką.

Po jednej stronie ciała stał Krantz, po drugiej Ludvig Errfors, lekarz sądowy. Grens podszedł bliżej, Sven został przy drzwiach.

— Co ty tu robisz? Nie powinieneś już skończyć i siedzieć teraz w swoim laboratorium wśród mikroskopów i analiz? Przecież ci tłumaczyłem, że sprawa jest pilna.

Krantz odciął skalpelem taśmę owiniętą wokół dłoni kobiety. Leżała z rękami skrzyżowanymi na piersi.

— Chcę sprawdzić, w jakiej pozycji leżała, zanim zdjęto z niej ubranie i usunięto taśmę.

Errfors wyczuł, że Grens jest podenerwowany, i wolał nie denerwować go bardziej. Grens słyszał, co powiedział Krantz, ale nie spuszczał oczu z jego rąk. Krantz odciął kolejny pasek taśmy i włożył go do papierowej torebki.

— Chciałeś mieć dowody, którymi będziesz mógł powiązać go z samochodem i zwłokami. Zabezpieczyłem już pierwszy dowód, DNA, które pochodzi z zadrapania między jej zębami, i wysłałem go do analizy w zakładzie kryminalistyki.

— Kiedy?

Państwowy Zakład Kryminalistyki miał siedzibę w Linköping, więc ich próbki musiały poczekać w kolejce.

— Skorzystałem z własnego transportu i poprosiłem ich, żeby potraktowali tę sprawę priorytetowo. Sądzę, że odpowiedź nadejdzie dziś wieczorem.

— Nils, do cholery, przecież kazałem ci się pospieszyć!

Krantz pokazał mu torebkę i otworzył ją.

— Tutaj znajdzie się drugi dowód, odciski palców. Dlaczego tak ci się spieszy?

Grens nawet nie spojrzał na brązową papierową torebkę i szarą taśmę.

— Bo już raz zabili, bo ich ścigamy, bo przekroczyli pewną granicę i znowu zabijają, bo...

— Nie wydaje mi się, żeby ta sprawa szczególnie różniła się od innych.

Grens trząsał się coraz bardziej. Podniósł rękę i wskazując jakiś punkt, podszedł bliżej. Z emocji aż poczerwieniał.

— Bo stanowią wzór dla innych. Wiesz tak jak ja, że chce go naśladować pięć tysięcy młodocianych. Będą obserwować każdy jego krok, zastanawiać się, czy mu się uda, teraz i później. To się roznosi jak zaraza.

— Ta sprawa nie różni się niczym od innych spraw. I dlatego pytam ponownie: dlaczego się tak spieszysz?

Młoda kobieta.

— Nie zrozumiesz tego.

Prowizoryczny gabinet położniczy.

— Dlaczego, pytam?

Jego zadanie. Jego decyzja.

— Bo każda interwencja, jaką podejmuje policjant, rodzi konsekwencje.

Krantz upuścił brązową torebkę na stół, tuż obok stóp ofiary.

— Nie rozumiem...

— No właśnie powiedziałem, że nie zrozumiesz.

Krantz zajął się swoją pracą. Małym pędzelkiem nałożył proszek na czubki palców kobiety i przyciskał je do szablonu, na którym było zaznaczonych dziesięć niewielkich kratek. Do dwóch większych kratek przycisnął wewnątrz dłoni denatki. Pracował, nie zwracając uwagi na Grensa. Jej ubranie porozcinał na małe kawałki i włożył je do papierowych torebek. Następnie sfotografował nagie ciało.

— Zobaczmy się w Kronobergu.

Krantz zabrał swoją czarną torbę i wyszedł z sali.

— Pamiętaj, Nils, sprawa jest pilna!

— Wyniki dostaniesz najpóźniej dziś wieczorem.

Errfors stanął w miejscu, które przed chwilą zajmował Krantz, i wskazał ołówkiem na twarz martwej strażniczki.

— Widać tu ślady bezmyślnej przemocy.

Lekarz sądowy nie lubił, gdy ktoś się złościł, i dlatego nie miał ochoty narażać się na kolejny wybuch złości Grensa. Jego zachowanie było dla niego całkowicie niezrozumiałe i nawet nie wiedział, jak się do niego odnieść. Grens też nie wiedział, dlaczego nagle wpadł w złość.

— Proszę spojrzeć, okolice nosa. I tutaj, nad górną wargą.

Errfors wskazał ołówkiem górną szczękę.

— Zaciśnięta pięść. Pamięta pan zadrapanie między jej przednimi zębami?

Tak, to był pierwszy cios. Miał ją zmusić do posłuszeństwa.

— Wybił jej kość szczękową. Proszę popatrzeć za ołówkiem, który przesuwam po jej skórze... pomijając skaleczenia na czole, które, jak wiemy, pochodzą od szkła z rozbitej dyżurki... sędzę, że mamy tu do czynienia z trzema kolejnymi ciosami. Bezmyślna przemoc, bił ją z całej siły, i to już po tym, jak złamał jej szczękę.

Jeden cios wystarczył. Jedno uderzenie zmusiło ją do całkowitego posłuszeństwa.

Mimo to zadał jej trzy kolejne ciosy. Tym razem chodziło mu o coś innego: o szacunek. Ale nie z jej strony, bo ten zapewnił sobie pierwszym ciosem. Chodziło mu o szacunek ze strony tamtych. Zadał jej trzy kolejne ciosy, żeby ci, którzy siedzieli w tym samym samochodzie, utwierdzili się w przekonaniu, że nadal zasługuje na ich szacunek.

Musisz kogoś skrzywdzić, żeby pokazać, że się nadajesz.

Z tego rodzaju przemocą Grens stykał się prawie zawsze, gdy w świecie gangów dochodziło do ciężkiego pobicia. Nigdy tego nie rozumiał i nigdy nie zrozumie, bo żeby takie zachowanie zrozumieć, trzeba je w pewien sposób zaakceptować.

Grens nie skomentował słów lekarza. Odwrócił się od stołu i zaczął uderzać zwiniętą pięścią w ścianę. Po chwili pojawiła się na niej krew. Lekarz narysował na udzie kobiety kilka kółek. Grens przyglądał mu się, ale nadal milczał. Z protokołów przesłuchań personelu z Aspsås dowiedział się, że jednemu strażnikowi Alexander Eriksson pociął twarz dzbankiem do kawy. Oglądał zdjęcia, na których było widać, że Jensen skaleczył Julię Bozsik blachą w tył uda, a gdy już siedzieli w samochodzie,

uderzył ją w twarz, żeby ją zmusić do posłuszeństwa. Potem uderzył ją jeszcze trzy razy, żeby wzbudzić podziw swoich kompanów.

Posłużył się przemocą wobec słabszego, i to nie dlatego, że musiał, tylko dlatego, że mógł.

Errfors rysował kolejne linie na zimnej skórze. Grens uświadomił sobie nagle, że jego życie kręci się wokół konsekwencji wynikających z zastosowania przemocy przez kogoś wobec kogoś innego. Niestety, jako śledczy dochodzeniówki stykał się z przemocą każdego dnia. Wiedział, że tego rodzaju przemoc różni się na przykład od czterdziestu ośmiu pchnięć nożem w pierś, które samotny szaleniec zadał swojej ofierze w określonym porządku albo od kopniaków w brzuch wymierzonych przez zazdrosnego mężczyznę kobiecie, która po tym już nigdy nie urodzi dziecka. To był rodzaj przemocy funkcjonalnej skierowanej do wewnątrz, dla własnej satysfakcji. Jej celem było zmuszenie kogoś do zrobienia tego, czego życzy sobie ten, który zadaje ofierze cierpienie.

Grens stał w ostrym świetle lampy. Dopiero gdy Errfors skończył i odszedł od stołu, Sven podszedł bliżej i położył mu dłoń na ramieniu.

Zadziałało. Nie będzie już więcej bił pięścią w ścianę. Przynajmniej nie teraz.

...

Mariana zamierzała właśnie wejść do zakładu medycyny sądowej, gdy na schodach spotkała Grensa i Svena. Najpierw popatrzyła na swojego szefa, który miał rękę owiniętą w białą-czerwoną gazę, potem na Svena. Widać było, że Grens jest poruszony i działa pod wpływem innej złości niż zwykle. Zawróciła do samochodu, idąc między nimi. Chciała, żeby jej wysłuchali.

— Rozszerzyłam teren objęty blokadą policyjną wokół miejsca zbrodni.

Nie mogła oderwać wzroku od zabandażowanej dłoni Grensa.

— Instytut Meteorologii ostrzegał przed deszczem, więc kazałam zakryć samochód plandeką. Jest właśnie w drodze na parking, gdzie pracują technicy z laboratorium.

Już kiedyś widziała, jak ogarnięty złością Grens tłucze rękoma w ściany, meble i samochody.

— Dwadzieścia dwie blokady na terenie całego województwa zredukowano do dziesięciu. Mniej więcej za godzinę ich liczba spadnie do

czterech. Wszystkie są ustawione wokół Råby.

Nigdy jednak nie tłukł tak mocno, nie zaciśniętą pięścią.

— Jedna blokada stoi na drodze E cztery, na północ od mostu nad zatoką Fittjaviken. Druga na Glömstavägen pod Masmö. Trzecia na południowym odcinku drogi E cztery na wysokości Salem. Ostatnia na trasie na Hågelby, tuż za Tumbå.

Grens otworzył drzwi samochodu. Opatrunek był dość gruby i trudno mu było chwycić za klamkę. Mariana nie potrafiła już dłużej zapanować nad ciekawością.

— Co z twoją ręką?

— Wszystko w porządku. Cztery blokady, przy każdym wjeździe do Råby.

— Twoja ręka...

— Siadaj obok, ja poprowadzę.

Grens objął obandażowaną dłońią drążek skrzyni biegów. Mariana nadal stała przy drzwiach i patrzyła na samochód.

— Widzę, że to wóz z komendy w Västerort?

— Bądź tak miła i zamknij drzwi.

— Skąd go masz?

— Powiedzmy, że go zarekwirowałem.

— A nasz samochód?

— Były problemy z lakierem.

Grens wyjechał między ciasno zaparkowane wozy i skierował się w stronę wyjazdu.

— Z lakierem?

— Nie spodobał mi się nowy, czarny kolor.

Mariana dała sobie spokój. Odwróciła się do Svena.

— O co mu chodzi?

— Że nasz samochód spłonął.

O nic więcej nie pytała. Później czegoś się dowie, gdy wspólnie ze Svenem będą popijać herbatę w pokoju socjalnym w wydziale dochodzeniowym.

— Nadal mamy do dyspozycji dwa aktywne helikoptery, jeden w stanie gotowości na lotnisku w Brommie i drugi, który krąży między czterema blokadami.

Grens za kierownicą był bardzo pewny siebie. Przejechał mostem nad trasą na Essinge, wjechał w Gävlegatan, a potem w Sankt Eriksgatan. Dokładnie słuchał Mariany i ani razu jej nie przerwał. W pewnym momencie musiał nawet przyznać, że jest bardzo kompetentna

i wymagająca, a momentami upierdliwa. Kiedyś ją nawet pochwalił, powiedział jej, że jest dobra. Nigdy więcej tego nie zrobi, bo to by oznaczało, że potrzebuje nie tylko jej, ale także jej wymagającej postawy. Poza tym, gdyby znowu zechciał ją pochwalić, zatarłby tamto wrażenie.

— Od wczoraj, od dwudziestej, kiedy wszystkie stacje telewizyjne zaczęły mówić o tym, co się stało, sztab dowodzenia odebrał od mieszkańców dwieście osiemdziesiąt trzy telefony, w tym sześćdziesiąt siedem o rzekomej drodze ucieczki przestępców. Dwie z nich były nadzwyczaj ciekawe.

Mariana wyjęła z kieszeni kurtki pomietą kopertę. Na tylnej stronie miała jakieś notatki.

— Pierwsza informacja: obserwacja dokonana około dziewiętnastej pięćdziesiąt pięć na drodze Mälarvägen między rondem a stacją benzynową, przy zjeździe z autostrady na Upplands Väsby. Kierowca cysterny podał nam dokładną godzinę i numer rejestracyjny. Powiedział, że kilka razy trąbił na młodego mężczyznę, który zatrzymał swój samochód, wysiadł z niego i nie zwracając uwagi na jadące za nim pojazdy, podszedł do bagażnika, otworzył go, przez kilka sekund stał nad nim pochylony i „coś robił rękami w środku”. Potem wsiadł do wozu i odjechał.

To znaczy, że wtedy jeszcze żyła.

— Druga informacja: dwie minuty później na tej samej drodze. Rowerzystka wracała do domu. Twierdzi, że na wysokości jeziora Edssjön o mało nie przejechał jej samochód, który z dużą prędkością jechał na południe. Opis samochodu odpowiada temu, którym uciekli przestępcy. Powtarzała, że w środku siedziało „kilka” osób. Parę minut od tego miejsca leży Söderby. To miejsce zbrodni.

Gdy ją zostawili, żeby uciec, nadal żyła.

Mariana miała jeszcze więcej do przekazania, ale czuła się zbита z tropu. Od wyjazdu z Solny cały czas zerknęła na obandażowaną rękę Grensa i obserwowała, jak przejeżdża na światłach i omija kolumny stojących samochodów. Jechał szybko i wykonywał gwałtowne manewry, jakby go ktoś ścigał.

— Ewert?

— Tak?

— Co się z tobą dzieje?

— Co?

— Nie wiem, ale... widzę, że coś jest nie tak.

Grens odwrócił na chwilę wzrok od drogi i spojrzął na nią.

— Coś jest nie tak?

— Z tobą.

Każda interwencja rodzi konsekwencje, które rodzą nowe konsekwencje.

On tylko wykonuje swoją pracę. Gdyby trzeba było, zrobiłby to znowu.

— Hermansson?

— Słucham.

— Jeśli tak, po prostu to olej.

...

Minęli ostatnie światła na Sankt Eriksgatan i korek. Potem szlaban i budkę strażnika, a gdy zjeżdżali do policyjnego garażu, brama otworzyła się automatycznie. Grens zaparkował radiowóz z Västerort i nawet udało mu się uniknąć zderzenia ze ścianą czy zarysowania innego samochód. Szli już w stronę windy, gdy nagle Grens zmienił zamiar.

— Jedźcie na dziewiąte piętro. Czeka tam na was Werner. Ja zaraz przyjdę.

Zawrócił w stronę tak zwanego garażu w garażu. Była to duża, brzydka metalowa klatka, którą kiedyś postawiono na czterech miejscach parkingowych. Zapukał i nie czekając na odpowiedź, szarpnął za drzwi i wszedł do środka. Krantz klęczał przy białym mercedesie, który kilka godzin wcześniej był pokazywany na wielkim ekranie w centrum dowodzenia.

— Zobacz.

Krantz trzymał w ręce lampę na podczerwień. Skierował ją w stronę materiału na tylnym siedzeniu samochodu, ale nie był zadowolony z rezultatu i dlatego wymienił ją na inną, na ultrafiolet.

— Widzisz? Promienie znikają w plamie krwi.

Grens rzadko potrafił dostrzec to, co pokazywał mu Krantz. Jednak tym razem mu się udało. Kiedy światło lampy zlało się z plamą krwi, plamy pociemniały i stały się wyraźniejsze.

— Pierwszy cios dostała tutaj. Drugi też. I trzeci, i czwarty. Potem owinęli ją taśmą.

Grens skulił się, żeby lepiej widzieć. Dwaj dorośli mężczyźni na tylnym siedzeniu. O jednego za dużo.

— Te duże plamy pochodzą z jej lewego uda, które obficie krwawiło. Natomiast ta plama jest trochę wyżej. Niewykluczone, że krew ofiary

zmieszała się z krwią innej osoby.

— Tego, który ją bił.

— Próbki DNA są w drodze do laboratorium kryminalistycznego. Te brązowe papierowe torebki z szarą taśmą trafią do specjalistów od daktyloskopii. Ta krew może się stać trzecim dowodem, którego potrzebujesz.

— To on.

...

Dziewiąte piętro.

Nieczęsto tu przychodzi, średnio raz na rok, ale zawsze było tu podobnie. Dominował ten sam ostry zapach przeпоconych marynarek co na wydziale dochodzeniowym. Grens minął zamknięte drzwi, zwolnił przy pierwszym pomieszczeniu, w którym prowadzono nasłuchy, minął je, podobnie jak następne, i poszedł dalej, na sam koniec korytarza. Ten pokój był trochę mniejszy od pozostałych. Jest przeznaczony dla tych, którzy tu nie pracują, tylko przychodzą jako goście. Mają zgodę na podsłuchiwanie przychodzących i wychodzących rozmów. Nikomu nie przeszkadzają w pracy.

— Załatwiłeś?

Sven i Mariana siedzieli przy długim stole. Gunnar Werner stał pochyłony w stronę półki z kablami i monitorami. Podali sobie ręce na powitanie. Grens znał przygarbionego inspektora z sekcji nasłuchowej od niepamiętnych czasów.

— Załatwiłem. Kazałem dziwce wysprzątać mieszkanie.

Werner przyniósł krzesło i postawił je przed Grensem, który tylko machnął ręką. Ma sztywną nogę, ale czasem woli postać.

— Trochę to potrwa.

— Wytrzymam.

— Uważnie słuchaj.

Werner podniósł jakiś papier i zmienił obraz na dwóch ekranach.

— Decyzję o założeniu podsłuchu, o który sam prosiłeś, dostaliśmy prawie siedem godzin temu. Zgoda dotyczy czterech linii. Uznaliśmy, że podłączymy się pod numery czterech znanych *hangarounds* i *prospects*, czy jak oni się tam nazywają. To ci, którzy podobno najczęściej przebywali w towarzystwie Jensena i Milтона. Mają po kilkanaście lat i wszyscy są zameldowani u jednego opiekuna prawnego. Do tej pory zarejestrowaliśmy... trzynaście rozmów telefonicznych i dwadzieścia siedem esemesów.

— I co?

— Zrobiła, co kazałem. Potem jeszcze zapowiedziałem tej drugiej dziwce: żadnej wódy w mieszkaniu.

— Przejrzałem wszystkie wydruki. Ani słowa o uciekinierach. Ani słowa o ucieczce. Ani słowa o niczym, co miałyby związek z tamtymi. Każdy dostał jakiś rozkaz. Nic nie mówią i nie powiedzą przez telefon niczego, co moglibyście wykorzystać.

Grens w końcu się poruszył.

— W takim razie podłącz się do innych numerów i je też podsłuchujcie.

— Nie mam zgody na więcej.

— No to załatw, co trzeba.

— Na zlecenie służby bezpieczeństwa podsłuchujemy od ośmiu tygodni sześć innych telefonów.

Werner nacisnął przycisk na klawiaturze, który kierował pracą monitora.

— Jutro. Szara mazda.

— Wiemy o tych telefonach od dawna. Zostały przemycone i ukryte przez więźniów na czterech oddziałach w trzech różnych zakładach karnych.

— Szara mazda?

— Nie mogę wam powiedzieć, dlaczego ich podsłuchujemy. Nie wolno mi też zdradzić, jakie przestępstwo stało się powodem do wydania decyzji

o nasłuchu. I nie mogę powiedzieć, skąd wiemy o tych telefonach. Te podsłuchy dotyczą innego śledztwa i innych przestępstw. Uzyskałem za to zezwolenie, aby puścić wam coś, co my tu nazywamy „informacją zbędną”.

— Tak.

— Gdzie?

— To z rozmowy sprzed ponad trzech tygodni. Jesteśmy pewni, że głos należy do Gabriela Milтона, a miejsce, w którym przebywał w trakcie rozmowy, leży gdzieś przy Råby Allé. Jesteśmy też pewni, że drugi rozmówca, ten z ostrzejszym głosem, to Leon Jensen i że w trakcie rozmowy z całą pewnością przebywał w zakładzie karnym w Aspsås.

— Siedzenie kierowcy. Lewe przednie koło. Może też w osłonach przeciwsłonecznych.

— Dogadują jakiś interes z narkotykami. Dwie rozmowy i przestępstwo, które nie ma nic wspólnego z naszą decyzją o założeniu podsłuchu. To właśnie jedna z tych „informacji zbędnych”. Żadnej nie wolno nam wykorzystać.

Na ekranie znowu pojawiły się poprzeczne linie. Żadnych obrazów, tylko głosy w postaci kreski na ekranie.

Werner przesunął kursor i otworzył kolejny plik.

— Mam tu coś dla ciebie... dla was. Posłuchajcie tego. Nagranie z tego samego aparatu, ale znacznie późniejsze.

— Bracie?

Grens spojrział na Wenera i przyciągnął krzesło, które ten mu przyniósł. Zrozumiał. Postanowił wysłuchać nagrania bardzo uważnie.

— Rozmowa została nagrana dokładnie o dziewiętnastej pięćdziesiąt dwie.

— O dziewiętnastej pięćdziesiąt dwie?

— Tak.

Werner dał Grensowi parę grubych słuchawek, drugą wziął dla siebie. Potem zamknął drzwi.

Nikommu innemu nie wolno usłyszeć tej rozmowy.

— Dwadzieścia pięć minut po uwolnieniu osadzonych z trzeciego zakładu. Już po tym, jak znaleźliście ostatni ślad.

Werner pochylił się i poprawił Grensowi przekrzywioną słuchawkę. Żeby słyszał wszystkie dźwięki, także te w tle, słuchawka powinna ściśle przylegać do ucha.

— Ta rozmowa różni się od innych. Ktoś do kogoś dzwoni, ktoś odbiera, ale głosy, które słyszemy, należą do osób znajdujących się w tym samym miejscu i rozmawiają tylko ze sobą, a nie z tym, który dzwoni.

— Nie rozumiem.

— Sądząc po jakości dźwięku, zgaduję, że siedzą w samochodzie. Ustaliliśmy ich pozycję: to było blisko zjazdu na Upplands Väsby. Ten, który dzwoni, połączył się z automatyczną sekretarką. Odbiorca jest nieznan, bo ma telefon na kartę. Ten, który dzwoni, nie chce porozmawiać, tylko chce, żeby sekretarka nagrała trwającą w tle rozmowę.

Werner poprawił Grensowi słuchawkę, bo znowu mu się przekrzywiła.

— Posłuchaj teraz.

Werner pochylił się nad Grensem i drżącym palcem wcisnął przycisk tuż pod ekranem monitora.

Wyraźny dźwięk jadącego samochodu.

Jakiś inny dźwięk.

I znowu.

I jeszcze raz.

Ktoś uderza w blachę, słychać głuchy i przytłumiony łomot.

— Słuchaliśmy tego przez cały wczorajszy wieczór i całą noc. Nie mam jeszcze wydruków, ale ten dźwięk... nie ma go na żadnym innym nagraniu.

Grens odwrócił się w stronę ekranu i spojrział na wskaźnik czasu.

19.54:22.

Wtedy jeszcze żyła.

Znowu ten dźwięk.

I jeszcze raz.

— Bracie, zatrzymaj wóz!

Głos, którego wcześniej nie słyszeli.

Nie jest tak wyraźny, jak ostry głos Jensena i jasny głos Milтона. Może dobiegać z fotela obok kierowcy albo z tylnego siedzenia. Może ten ktoś siedzi trochę dalej i nie trzyma telefonu w ręce?

Znowu ten dźwięk.

— Bracie, zatrzymaj. To znowu ta dziwka... już dłużej nie zniosę tego kopania...

Grens spojrzał na Svena, a potem na Marianę i Wenera. Każde z nich pomyślało to samo. Ten dźwięk dochodził z bagażnika, ktoś w nim leżał i kopał. Tamci ją słyszeli, a ona słyszała ich. Leżała związana, z taśmą na ustach, w zupełnych ciemnościach. Aż trudno sobie wyobrazić, jak bardzo musiała się bać.

— Bracie, ta dziwka z więzienia...

— Poczekaj.

Nowy głos.

Usta przytknięte do telefonu. To chyba ten, który trzyma aparat. Leon Jensen.

— Braciszku, kurwa, może byśmy tak...

— Zamknij się i siedź cicho. Sam to załatwię.

Grens zatopił wzrok w długiej linii na ekranie. To ścieżka dźwiękowa.

Dźwięk otwieranych drzwi.

Uliczny szum, jakiś inny samochód, który dwa razy trąbi.

Mariana przysunęła się bliżej Grensa i rozłożyła mapę.

— Upplands Väsby. Rondo w pobliżu zjazdu z autostrady.

Odgłos szybkich kroków.

Dźwięk otwieranego zamka, może w bagażniku?

— Klakson, to ta cysterna. Dzwonił do nas kierowca tego wozu.

— Sam to załatwię. Więcej już nie będzie kopać.

Ostry głos mężczyzny, który trzymał telefon i do nikogo nie dzwonił. Znają ten głos z wcześniejszych nagrań.

Ostry dźwięk.

— Spokojnie, bracie!

Zduszony dźwięk, jakby bulgotanie.

— Leon, kurwa, tylko nie przesadź...

Głuchy odgłos.

Kroki, odgłos zamykanych drzwi samochodu, wóz rusza.

— Możemy jechać.

— A ona?

— Teraz już będzie trzymać gębę na kłódkę.

Grens spojrział na czarną linię na ekranie. Cisza.

Odwrócił się do Wenera.

Jego przydługie, prawie przezroczyste ręce nadal drżały.

— Coś więcej?

— Nie.

— Żadnych innych rozmów? Przedtem? Potem?

— Tylko to, co słyszałeś. Jedna jedyna rozmowa z tego numeru. Wczoraj. I to rozmowa z automatyczną sekretarką.

Grens przesunął palcem po ekranie.

— Dalej będziecie ich podsłuchiwać?

— Tak.

— A jeśli trafi wam się jakaś inna „zbędna informacja” tego rodzaju, o której nie wolno wam z nikim rozmawiać?

— Sam wiesz, że nie mogę o tym informować. Następnym razem też nie.

Grens zdjął słuchawkę i podał ją Wenerowi. W ostatniej chwili cofnął rękę i znowu założył ją na ucho.

— Chcę to przesłuchać jeszcze raz.

— Który fragment?

— Sam wiesz który.

Werner przesunął kursorem po linii.

Ostry dźwięk.

Zduszony dźwięk, jakby bulgotanie.

Głuchy odgłos.

Grens spojrział na Wenera. Ma tyle lat, co on, i brał udział w wielu śledztwach dotyczących ludzi, którzy sami przyznali sobie prawo decydowania o życiu innych.

— Słyszysz to, co ja?

Werner skinął głową.

— Tak.

— Uda się odczytać ten głos?

— Nie.

Grens podniósł się z krzesła i ruszył w stronę drzwi, ale nagle się zatrzymał.

— Chcę mieć kopię tych nagrań.

— Już ją masz.

Werner wskazał na płytkę CD, którą Sven trzymał w ręce. Grens podziękował mu skinieniem głowy i ruszył w stronę wyjścia. Był już absolutnie przekonany, że są rzeczy, które zawsze będą dla niego niedostępne.

Na przykład czarna linia na ekranie monitora, która przenosi człowieka w czasie — do przodu albo do tyłu.

Albo okrągła płytka, którą w każdej chwili można odtworzyć i znów usłyszeć dźwięki oddechu odebranego przemocą na zawsze.

Grens szedł z jednej części komendy w Kronobergu do drugiej. Stawiał ciężkie kroki i na tyle szybkie, na ile pozwalała mu niesprawna noga.

Zaraz potem odbył rozmowę telefoniczną przerywaną regularnym, głośnym sapaniem.

— Ågestam?

— Tak.

— To on.

— Mówiłeś mi to już poprzednim razem.

— I nadal twierdzę, że to on.

— To znaczy, że masz wyniki analizy DNA?

— Jeszcze nie.

— Odciski palców?

— Wkrótce.

— Krew, włókna?

— Za kilka godzin.

— Potrzebuję wszystkich czterech dowodów. A jak je już będziesz miał, określ dokładną godzinę śmierci.

— Wszystko dostaniesz. I coś więcej.

— Więcej?

W laboratorium, gdzie technicy przeprowadzają swoje badania, nikogo nie było. Na jednym ze stołów leżał brązowy beret Krantza, obok stała jego czarna torba. Była otwarta. Grens znał Krantza od trzydziestu lat. Był dla niego takim samym kolegą z pracy jak Werner. Obu ich znał od bardzo dawna, ale spotykają się tylko w pracy. Nigdy nie poszli razem do kawiarni na rogu Bergsgatan, żeby wypić filiżankę kawy, nigdy nie rozmawiali o swoich rodzinach, piłce nożnej, pogodzie, zbyt wysokich podatkach, to znaczy o zwykłych sprawach, o których zazwyczaj rozmawiają ludzie. Żaden z nich nie nauczył się tej sztuki.

Grens usiadł koło brązowych torebek, na których ktoś napisał ręcznie słowo „Obdukcja”. Zawierały ludzkie ciało w postaci pierwiastków. Każde śledztwo opierało się na mikroskopie i proszku do zabezpieczania odcisków palców. Śledczy unikali dzięki temu błędnych teorii i niewłaściwych podejrzeń. Wokół torebek leżało mnóstwo zużytej folii żelatynowej, pincety, szkła powiększające, pędzelki, etykiety, szpilki, kable do lampek, wykałaczki, plastikowe pudełka, gumowe rękawiczki.

Zniecierpliwiony czekaniem Grens podniósł się z krzesła i zaczął otwierać kolejne drzwi — najpierw do magazynka, potem do ciemnego pokoju, do pomieszczenia, gdzie przeprowadza się analizę włókien z ubrań podejrzanych, a w końcu do pokoju, gdzie przeprowadza się podobne analizy włókien pobranych z ubrań ofiar.

I właśnie w tym ostatnim pokoju zastał Krantza. Pomieszczenie było nie większe od więziennej celi.

— Włókna.

Krantz stał odwrócony do niego plecami. Był zajęty wkładaniem czarnej skarpetki i białych majtek do torebek.

— Potrzebny mi raport dotyczący włókien z ich ubrań. Słyszysz, co do ciebie mówię, Krantz? Potrzebny mi jest raport.

Ciemna służbowa marynarka strażniczki i jej służbowa koszula wisiały w suszarce. Była włączona i głośno szumiała. Rozcięte rękawy powiewały niespokojnie, uderzając o szklane drzwi.

Bała się. Patrząc na jej ubrania, Grens wyobraził sobie, jak Pereira stał przed ścianą ze zdjęciami i jak razem z nią szedł podziemnym tunelem w Aspsås. Miała wtedy na sobie to ubranie. Bała się.

— Raport dostaniesz dopiero wtedy, gdy będzie gotowy.

Strażniczka leżała najpierw na tylnym siedzeniu, a potem wrzucili ją do bagażnika. Znalazła się bardzo blisko przestępcy, który pozbawił ją życia. Swoim ubraniem dotknął jej ubrania. Krantz rozłożył na stole jej spodnie od służbowego munduru i pociął je na kawałki, żeby poddać je badaniom. Kawałki włożył do dwóch kopert. Pobrany materiał zostanie później porównany z ubraniami z więzienia znalezionymi w pierwszym samochodzie, którym uciekali przestępcy.

— No to go wreszcie skończ. Daj mi odpowiedź!

— Grens, wiesz, że nie zajmujemy się tymi samymi rzeczami. Ty szukasz swojej prawdy, a ja... ja szukam po prostu prawdy. Kiedy skończę, pozostanie mi jeszcze osiemdziesiąt pięć procent pracy: będę musiał sporządzić raporty i protokoły zawierające prawdę.

W pokoju czuć było zapach płynu do dezynfekcji. Każdy najmniejszy ślad po ubraniu poprzedniej ofiary trzeba usunąć. Dopiero wtedy nożyce mogą pociąć na kawałki ubrania kolejnej ofiary, które zostaną potem włożone do suszarki.

— Wyobraź sobie, Ewert, że kogoś przesłuchujesz. Prawdą jest wtedy to, co ten człowiek chce ci powiedzieć. To jego wersja prawdy, która potem staje się twoją wersją jego wersji prawdy. Ale to, o czym ja tu piszę, musi obronić się w sądzie! To jest prawda! Ja nie interpretuję i nie

zgaduję. W ciągu kilku godzin zebrałem to, czego chciałeś. DNA, odciski palców, krew i włókna. Teraz moi ludzie poddadzą je analizom. Dopiero wtedy dowiesz się prawdy.

Rękawy porozcinanej koszuli zaczęły się poruszać szybciej, bo ciepło stopniowo wchłonęło wilgoć. Uderzały w szklaną szybę, jakby chciały stamtąd wyskoczyć.

— Kiedy?

— Kiedy będę gotowy!

Krantz, który spędził życie na kolanach, wyposażony w czarną torbę, za każdym razem chciał zobaczyć to, czego nikt inny nie widział. Był spokojnym człowiekiem i działał metodycznie. Takie życie sobie wybrał: znajdować kolejne elementy układanki. Teraz wyszedł wzburzony z pokoju, który wydał mu się zbyt mały.

— Nils, on się nie przyzna.

Grens prowadził odmienny styl życia. W ciągłym ruchu, pełen niepokoju, powodowany odruchami, które często bywały sprzeczne. Dlatego od razu ruszył za Krantzem.

— W ogóle nie będzie odpowiadał na żadne pytania. Musimy go zasypać dowodami. Chcę wiedzieć, czy to on!

— Wieczorem.

Doszli do laboratorium techników, w którym stało kilka stołów zasypanych różnymi przedmiotami.

— Nils... chcę mieć coś wcześniej niż wieczorem!

Kiedy człowiek, który wiecie metodyczne i spokojne życie, poszukując elementów układanki, nagle wybucha, to w sposób niekontrolowany. Ciska gromami na wszystkie strony. Krantzowi twarz poczerwieniała, odwrócił się do Grensa i zaczął tak gwałtownie machać rękami, że strącił na podłogę dwa mikroskopy.

— Nigdy więcej na mnie nie krzycz!

Krantz widział, jak mikroskopy spadają, ale nawet nie próbował ratować sprzętu, którego w normalnych okolicznościach broniłby z narażeniem życia. Zrobił krok do przodu i stanął twarzą w twarz z tym, który go dręczył. Pracowali ze sobą od wielu lat. Byli ulepieni z tej samej gliny. Żyli dla czegoś, co za kilka lat się skończy, a wtedy w ich pokojach zasiądą inni i nawet nie będą pytać, kto tu przed nimi pracował. Przez cały ten czas nigdy nie stali tak blisko siebie, nie czuli na sobie oddechu drugiego.

— Cztery godziny temu byłem w sali zabiegowej w szpitalu Karolinska.

Na razie Krantz nie krzyczał. Jeszcze nie. Ale zaraz wybuchnie. Z początku mu się wydawało, że już to zrobił, ale po chwili zrozumiał, że tak nie jest. Przecież nie miał zwyczaju aż tak się unosić.

— Trzy godziny temu byłem w sali obdukcyjnej na oddziale medycyny sądowej w Solnie.

Teraz mówi głośniej, to fakt, ale nadal niewystarczająco głośno. Policzki miał rozgrzane, powinien krzyczeć głośniej.

— Dwie godziny temu siedziałem w samochodzie pobrudzonym krwią.

Tym razem krzyczy. To prawdziwy krzyk. Dopiero teraz cała jego złość znalazła ujście.

— A przed chwilą byłem w pokoju, gdzie bada się włókna. Musiałem osuszyć ubrania! Pracuję tak szybko, jak tylko potrafię! Czy jest coś jeszcze, czym tak się podniecasz i na co nie masz wpływu?

Grens spojrział na człowieka, który przed nim stał i głośno krzyczał. Nigdy przedtem nie widział, żeby Krantz tak się zachowywał.

— Dlatego powtarzam moje pytanie: dlaczego ci się tak cholernie spieszy? Czy ty sam to wiesz?

Grens poczuł w piersi niepokój. Te słowa i ten krzyk. Nie miał pojęcia, co takiego zrobił, i zaczął powoli cofać się przed człowiekiem, który zachowywał się tak, jak i jemu czasem się zdarzało.

— Nie jestem...

Krantz schylił się i podniósł z podłogi oba mikroskopy. Nic im się nie stało. Tuż za sobą usłyszał cichy głos Grensa.

— ...nie jestem za bardzo pewien dlaczego, ale... przepraszam.

Krantz ustawił oba mikroskopy tam, gdzie stały poprzednio.

— Wygląda na to... że... że...

— Że co?

— Że to moja wina.

Sven czekał na Grensa w samochodzie przed wejściem od strony Kungholmsgatan. Po dwudziestu minutach Grens pomachał dyżurnemu, aby otworzył mu drzwi, po czym wyszedł na ulicę, zszedł po schodach i wsiadł do samochodu.

— Trochę to trwało.

— Krantz.

— Co z nim?

— Wydawał się odrobinę zestresowany, no wiesz... wyprowadzony z równowagi.

Kiedy minęli Pohlemsgatan i Fleminggatan, Sven chciał skręcić w Sankt Eriksgatan, ale Grens zastukał nagle w szybę.

— Skręć w lewo. I zatrzymaj się przed cukiernią Thelina.

Późne popołudnie, szeroka ulica przelotowa. Sven westchnął i zatrzymał wóz.

— Zapomniałem pieniędzy. Mógłbyś tam ze mną wejść i zapłacić?

Kiedy weszli do cukierni, uderzył ich zapach słodkich bułeczek i korzennych ciastek. Podeszli do lady, w której za szybą były marcepanowe torty i grube kanapki.

— Poproszę jeszcze dziesięć sztuk.

Grens wskazał na talerzyk z mazarynkami. Na jego widok młoda ekspedientka uśmiechnęła się. Chyba go poznała.

— Chce pan kupić więcej?

— Tak.

— A te, które pan kupił wczoraj wieczorem?

— Nadal są w kartonie. W takim dniu nie może ich zabraknąć dla nikogo.

Teraz i Grens się uśmiechnął. Nic więcej nie powiedział, chociaż po minie Svena było widać, że chętnie usłyszałby jakieś wyjaśnienie.

Grens był już chyba zmęczony śledztwem. Sven nigdy go takim nie widział.

Mazarynki i ten uśmiech... prawie nieprzyjemny.

Sven położył na ladzie trzy banknoty stukoronowe, wziął resztę i spojrzał na swojego szefa. Tak, chyba nigdy go nie zrozumie.

...

Kwadrans później Sven zaparkował samochód przed wejściem do zakładu medycyny sądowej w Solnie. Grens poszedł obejrzeć ciało strażniczki, a on postanowił poczekać na niego przed wejściem.

— Chodź ze mną.

Grens nigdy nie domagał się od niego wyjaśnień, nie starał się go umniejszać. Rozumiał go i często sam prosił Svena, aby poprowadził przesłuchanie albo zrobił coś innego, żeby tylko jego młodszy kolega znalazł się jak najdalej od śmierci, której tak bardzo unikał.

— To ważne. Tym razem musisz ze mną iść.

— Ważne?

— Ważne dla mnie.

Obaj weszli do pokoju, w którym leżały nagie zwłoki kobiety. Obyło się bez słowa wyjaśnienia, bez zbędnych pytań. Tak jakby tym razem Grens też nie chciał się spotkać twarzą w twarz ze śmiercią.

Errfors usłyszał ich kroki i nakrył ciało zielonym prześcieradłem.

— Możesz je odsłonić.

Lekarz spojrzał Grensowi prosto w oczy, a potem skinął w stronę Svena.

— Ale...

— Dzisiaj będzie musiał je zobaczyć.

Sven nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy tak blisko stykał się ze śmiercią. Już dawno temu zapomniał, co to za uczucie, gdy martwy człowiek szklistym wzrokiem obserwuje innego człowieka. Grens go nie zmuszał, nie chciał być złośliwy. Sven znał go dość dobrze, by wiedzieć, że Grens by mu tego nie zrobił. Tym razem to zrobił, więc musiał być jakiś powód. Na razie nie wiedział jaki, ale był pewien, że zaraz się dowie.

Spojrzał na twarz denatki. Oczy. Długo się w nie wpatrywał, ale po chwili przeniósł wzrok na cięcie wykonane w poprzek ogolonej czaszki, mniej więcej koło ucha. Skupił uwagę na otwartej ranie, która kończyła się gdzieś na karku.

— Dlaczego?

Sven skierował te słowa do Grensa, ale nie spuszczał wzroku z rany na głowie. Nie chciał patrzeć na nic innego.

— Dlaczego, Ewert?

Czy to jego DNA, odciski palców, krew, włókna? Czy zgadza się godzina śmierci?

— Przecież ci mówiłem.
Czy to on? Czy to mój błąd?
— To ważne. Dla mnie.

— Bracie?

Grens przyniósł brązową teczkę. Otworzył ją i wyjął z bocznej kieszeni odtwarzacz CD.

— Nagranie zostało wykonane wczoraj w samochodzie, w którym dzisiaj rano znaleźliśmy jej ciało.

Grens położył odtwarzacz między stopami kobiety, dotykając ich grzbietem dłoni.

— Chcę ustalić, kiedy dokładnie zmarła.

Lekarz sądowy przysłuchiwał się młodym głosom dochodzącym ze stołu obdukcyjnego. Widać było po jego twarzy, że jest poruszony.

— Nie potrafię ustalić dokładnej godziny.

Wyraźny dźwięk jadącego samochodu.
Jakiś inny dźwięk.

— Errfors?

— Tak?

— Chcę dokładnie wiedzieć kiedy.

Ktoś uderza w blachę, słychać głuchy i przytłumiony łomot.

Errfors spojrział na potężnie zbudowanego komisarza policji, potem na odtwarzacz przy stopach zmarłej, a w końcu na zegar na ścianie z grubymi wskazówkami i kreskami zamiast cyfr.

— Godzina, jak myślisz, która? Jedenasta trzydzieści?

Znowu ten dźwięk. I jeszcze raz.

— Bracie, zatrzymaj wóz!

Errfors przyłożył dłoń do policzka strażniczki, kciukiem i palcem wskazującym rozsunął powieki jednego oka.

W drugiej ręce trzymał cienką strzykawkę.

Kiedy wbił igłę w źrenicę i wstrzyknął w nią zawartość plastikowego pojemnika, źrenica nadal była pusta.

— Atropina, mydriacyl, acetylocholina... kiedy umieramy, nasze oko nadal żyje, otwiera się, zamyka i... popatrzcie, widzicie? Wiemy już, że umarła między piątą trzydzieści wczoraj a szóstą trzydzieści dzisiaj.

Grens pochylił się nad okiem, które już nie widziało, ale prawie do niego zamrugało.

Wczoraj o 5.30.

— Przedział czasowy wynosi dwadzieścia pięć godzin.

Byłaś wtedy jeszcze w Aspsås.

— To nie wystarczy. Muszę mieć bardziej przybliżony czas.

Dźwięk otwieranych drzwi.

Errfors sięgnął do jednego z metalowych regałów, który błyszczał na tle białej ściany, zdjął z niego niewielką torbę i otworzył ją.

Młotek.

Dość mocno uderzył nim w górną część prawego ramienia martwej kobiety.

— Nic.

Errfors spojrział na Svena i Grensa.

— Prawda, że nic?

— Co masz na myśli?

— Niczego nie zauważyliście?

— Nie.

Errfors znowu uderzył kobietę młotkiem, tym razem dwa razy w środek przedramienia.

— Ten mięsień to biceps. Gdyby zareagował, zobaczylibyście szybki, falujący ruch, który nagle by ustał, a w miejscu uderzenia utworzyłyby się dwa wybrzuszenia. Oznaczałoby to, że od śmierci minęło mniej niż trzynaście godzin. Tak się jednak nie stało i dlatego wiemy, że śmierć nastąpiła ponad trzynaście godzin temu.

— Naprawdę?

— Dzięki temu możemy zmniejszyć przedział czasowy. Teraz wiemy, że śmierć nastąpiła wczoraj między piątą trzydzieści a dwudziestą drugą trzydzieści.

Grens wziął do ręki młotek i dokładnie mu się przyjrzał. Młotek miał żłobienia i był zimny.

— To mi nie wystarczy.

Odgłos szybkich kroków.

— Popatrzcie na ten bok.

Errfors poruszył się przy zwłokach. Ciemne plamy na stole miały nierówne brzegi. Jakby smugi wyciągały się ku sobie.

— Leżała na lewym boku w bagażniku, a gdy krążenie krwi ustało... popatrzcie, to plamy pośmiertne, są dosyć rozległe. To one pozwalają nam jeszcze bardziej zawęzić przedział czasowy. Teraz wiemy, że śmierć nastąpiła między jedenastą trzydzieści a dwudziestą drugą trzydzieści.

11.30.

O tej godzinie byłaś jeszcze na więziennym korytarzu.

— To mi nie wystarczy.

Dźwięk otwieranego zamka, może w bagażniku?

Kobieta leży tutaj z lewą ręką wyciągniętą częściowo wzdłuż nagiego ciała. W samochodzie leżała związana, nadgarstki miała skrępowane taśmą. Kiedy Errfors przycisnął ją z całej siły do stołu, rozległ się głośny dźwięk przypominający trzask albo pstryknięcie palcami.

— Maksymalne stężenie ciała. Poskręcane włókna mięśniowe skracają przedział czasowy o kolejne cztery godziny. Oznacza to, że kobieta zmarła wczoraj między piętnastą trzydzieści a dwudziestą drugą trzydzieści.

15.30.

Siedziałeś wtedy jeszcze w swojej celi. Ktoś ci przyniósł narzędzie, które kazałeś wcześniej zmontować. Zacząłeś nim ciąć pręty w celi.

— To nie wystarczy.

Ostry dźwięk.

— Spokojnie, bracie!

Czworokątna, plastikowa skrzynka na wózku z małymi kółkami. Kiedy Errfors pociągnął go w swoją stronę, wózek zaskrzypiał. Ze skrzynki

wystawały dwa kable. Lekarz wbił je ostrożnie najpierw nad okiem ofiary, a potem pod nim.

— Mięsień okrężny oka reaguje na prąd, pięćdziesiąt herców, pięćdziesiąt woltów... spójrzcie... widzicie? Cała powieka się zacisnęła.

Szara twarz, czarne wargi. Sven nie mógł już wytrzymać.

Tym razem kobieta naprawdę do niego mrugnęła.

— Mięsień będzie reagował jeszcze przez cztery godziny. Śmierć nastąpiła wczoraj między dziewiętnastą trzydzieści a dwudziestą drugą trzydzieści.

19.30.

Ostatni obraz, Storboda, kamera numer 1. Samochód odjeżdża spod więzienia, ale nagle się zatrzymuje.

Wychylasz się z niego.

Bierzesz do ręki broń, strzelasz w stronę kamery i prawej bramy.

— To mi nie wystarczy.

Zduszony dźwięk, jakby bulgotanie.

— Leon, kurwa, tylko nie przesadź...

— W takim razie muszę was poprosić, żebyście się odwrócili.

Sven posłuchał od razu. Grens nadal patrzył na nagie stopy, blade nogi, korpus pokryty plamami.

— Odwróć się, Ewert. Ze względu na nią.

Obaj skupili uwagę na jasnej ścianie, metalowym pojemniku i metalowych narzędziach chirurgicznych, które leżały na metalowych półkach.

— Zmierzę jej temperaturę w odbytnicy. Prędkość, z jaką spadała temperatura jej ciała, zależała od temperatury, jaka panowała wtedy w samochodzie, i od obecnej temperatury w pomieszczeniu. Niektórzy lekarze posługują się komputerami, ale ja nadal korzystam z nomogramów Henssgego i... no tak, możemy odjąć kolejną godzinę. Śmierć nastąpiła... między dziewiętnastą trzydzieści a dwudziestą pierwszą trzydzieści.

— To mi nie wystarczy.

Sven odwrócił się i znowu spojrzał na zwłoki.

— Ewert?

— To ważne. Dla mnie.

Głuchy odgłos.

Kroki, odgłos zamykanych drzwi samochodu, wóz rusza.

Errfors przyniósł następną czworokątną plastikową skrzyneczkę, która przypominała kuchenkę mikrofalową, i postawił ją koło głowy martwej kobiety.

— Potem nie będę mógł już nic więcej zrobić.

Po tych słowach wbił jej w oko igłę i przecisnął ją przez źrenicę. Pociągnął za tłok, aż strzykawka wypełniła się płynem.

— Płyn z ciała szklatego — powiedział Errfors i wstrzyknął zawartość strzykawki do próbówki umieszczonej na środku plastikowej skrzyneczki.

— Im dłużej jest martwa, tym więcej jest w nim potasu.

Na samym środku plastikowej skrzynki znajdowało się niewielkie okienko pokryte wzorami chemicznymi, elektronicznymi formułami, cyframi, przecinkami.

— Mniej więcej zero koma dziewiętnaście milimola na litr na godzinę.

— Słucham?

— Mogę jeszcze bardziej zawęzić przedział czasowy.

— To znaczy?

— Gdzieś między dziewiętnastą trzydzieści a dwudziestą.

Grens przyglądał się cyfrom, które wskazywały na zawartość potasu w oku zmarłej osoby.

— Jesteś absolutnie pewien?

— Niczego nie jestem pewien, ale mogę to zeznać w sądzie.

— Możemy jechać.

— A ona?

— Teraz już będzie trzymać głowę na kłódkę.

Nagranie dobiegło końca. Grens poszukał przycisku, żeby wyłączyć odtwarzacz.

— Ostatnie słowa wypowiedział o godzinie dziewiętnastej pięćdziesiąt cztery.

Grens był tak zajęty wkładaniem płyty do kieszonki, że nie zwracał uwagi na przejętego lekarza.

— Rocznie przeprowadzamy około tysiąca trzystu obdukcji. Tak zwanych obdukcji całkowitych. Jest nas tu siedmiu specjalistów i jeden

lekarz krótko po studiach. Myślę, że żaden z nas nie miał jeszcze okazji słuchać, jak ktoś popełnia zbrodnię.

A więc godzina śmierci się zgadza.

Grens wykonywał gwałtowne ruchy, miał rozbiegane oczy. Sven i Errfors przypomnieli sobie jego pokrwawione pięści i odetchnęli z ulgą, gdy Grens ruszył w kierunku wyjścia.

— Ewert, czy jest coś, o czym mi nie powiedziałeś?

Sven wszedł do pokoju Grensa i usiadł na krześle przy biurku.

— Już ci mówiłem. Macie się mną nie przejmować.

— W nocy zbiłeś szybę i nieuzbrojony włamałeś się do mieszkania, w którym mogli przebywać niebezpieczni ludzie. Wpadłeś do gabinetu zabiegowego i stwierdziłeś zgon kobiety. Wnerwiłeś Pereirę, zdenerwowałeś Krantza i Errforsa.

— Masz rację. Z każdym dziś rozmawiałem.

Grens spojrział z oburzeniem na Svena i poszedł do automatu, żeby nalać sobie kawy. Niestety, kawa się skończyła i automat wydawał tylko czekoladę. Trochę upił, resztę wylał do kosza na śmieci.

— A teraz... jesteś wstrząśnięty z powodu śmierci człowieka. Nigdy wcześniej cię takim nie widziałem. Z wyjątkiem sytuacji, gdy... no wiesz, wtedy.

— Co ty nie powiesz.

— Chcę wiedzieć.

Grens zacisnął mocno wargi, jakby chciał dać wyraźnie do zrozumienia, że nie zamierza odpowiadać.

— Ewert, czuję... czuję, że ty... że coś jest z tobą nie w porządku.

— Ty to czujesz? I tak jak Hermansson uważasz, że coś jest ze mną nie w porządku?

Grens znowu zrobił obrażoną minę. Wrócił na salę, gdzie leżały zwłoki kobiety, i zobaczył, że Errfors stoi przy jej głowie. Czy dlatego, że doszło między nimi do ożywionej rozmowy? A może nie chciał jej zostawić samej? Zebrał już wszystkie narzędzia, za pomocą których ustalił godzinę jej śmierci. Teraz jej nieruchome ciało wydawało się jakby mniejsze. Odkąd tu są, kobieta jakby umierała po raz drugi.

— Wiemy, że miała skarpetkę w gardle i usta zaklejone taśmą.

Lekarz położył ostrożnie dłoń na jej policzku.

— Przed chwilą tego słuchaliśmy. Zatrzymali samochód i któryś z nich zerwał jej taśmę z ust.

Ostry dźwięk.

— Wcisnął jej skarpetkę głębiej do gardła.

Zduszony dźwięk, jakby bulgotanie.

— Zamknął bagażnik.

Głuchy odgłos.

— I właśnie wtedy się udusiła. Z medycznego punktu widzenia sześć minut później była martwa.

Tego dnia Grens nie zamierzał iść na jej grób. Nie planował tego także w tym tygodniu. Kiedy jednak wracali z zakładu medycyny sądowej w Solnie, samochód jakby sam skręcił w stronę Cmentarza Północnego. Grens zaparkował przed bramą numer 1.

— Pójdiesz ze mną?

Chciał odwiedzić jej grób. Grób Anni. I zaprosił Svena.

Z początku Sven nie odpowiedział. Ewert nigdy wcześniej nawet nie rozważał takiego pomysłu. To jego prywatne miejsce, część jego samego i nikomu nie pozwalał się do niego zbliżać.

Dziwne pytanie.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Grens stał przy otwartych drzwiach i czekał na odpowiedź.

— Nie.

Sven nie chciał z nim iść.

— Dziękuję, ale nie.

Grens szedł przez kwaterę pełną milczących grobów. Przez chwilę czuł coś, co przypominało spokój. Kiedyś bał się tego miejsca i nie miał odwagi udać się tam, gdzie panowała niespotykana nigdzie indziej cisza.

Podlał rośliny, wyprostował biały krzyż i ustawił go tak, żeby się już nie przekrzywiał.

Przez dwadzieścia siedem lat przychodził do domu opieki w każdy wtorek. Nadal tam jeździł, chociaż w jej dawnym pokoju mieszkał już ktoś inny. Zatrzymywał się pod jej dawnym oknem i wyobrażał sobie, że Anni tam siedzi, wygląda przez okno i czegoś wypatruje. Tamtego ranka, kiedy chodził po trawniku, wyszła do niego studentka medycyny, Susann. To ona go kiedyś uprzedzała, żeby nie robił sobie zbyt dużych nadziei. Tego dnia powiedziała mu o czymś, czego sobie wcześniej nie uświadamiał: że rozplanował swój własny smutek, że żył dla smutku, a nie w nim, i że powinien pamiętać o jednej ważnej rzeczy: to, czego się tak bardzo obawiał, już się stało.

Stał przy grobie i odczuwał całkowity spokój.

Ma ją przy sobie każdego dnia.

Na wszelki wypadek doleje trochę wody.

...

Grens otworzył bramę, która zawsze stała otwarta, i wyszedł z cementarza. Sven siedział na masce. Wrześniowe słońce świeciło mu prosto w twarz. Przymknął oczy i wystawił policzki na słońce, żeby złapać trochę ciepła.

— Ewert, poczekajmy chwilę.

Grens wyglądał na uspokojonego. Jego ruchy nie były już tak ciężkie i gwałtowne.

— Wsiadaj. Poopalasz się innego dnia.

Sven posłusznie wykonał polecenie, całkiem nieświadomie, jak zawsze. Zastanowił go przyjazny ton głosu Grensa, inny niż zwykle. Grens nie tylko wyglądał na rozluźnionego, ale też naprawdę był rozluźniony.

— Rozmawiałem przed chwilą z naszym specjalistą od ładunków wybuchowych.

— I co?

— Rozmawialiśmy o mieszkaniu, które według ciebie pachniało masą migdałową. Na samym środku kuchni była plama.

— No i?

— Dokonali analizy tej plamy. Nitrogliceryna. Aktywny składnik dynamitu.

Obaj nadal stali przy samochodzie i nie ruszali się z miejsca.

— Na tym samym stole, dwa centymetry dalej, pies znalazł jakby biały okruszek ciasta. To był bardzo silny materiał wybuchowy zwany saletrolem albo ANFO. Używa się go zazwyczaj do wysadzania w powietrze podziemnych tuneli.

Sven oparł obie dłonie o rozgrzaną blachę samochodu.

— Podczas kolejnej wizyty na progu drzwi do dużego pokoju technicy znaleźli małe kawałki zielonego i białego plastiku. Od przewodu elektrycznego do zapalników używanych do detonacji.

Grens ani jednym ruchem nie zdradził, jakie wrażenie zrobiła na nim ta informacja. Nadal zachowywał zupełny spokój.

— Dynamit. ANFO. Zapalniki.

— Tak.

— Sven, czy ty rozumiesz, co to znaczy?

— Chyba tak.

— Zbudowali bombę.

Ledwo zdążyli wyjechać z parkingu i znaleźli się na drodze prowadzącej do kościoła w Solnie, Grens zjechał na pobocze i zatrzymał wóz.

Osiem tysięcy lokatorów, wszyscy mieszkają w takich samych domach.

— Nie zdążymy.

Musieliby wejść do każdego mieszkania, przetrząsnąć każdy strych i piwnicę.

— Sven, nie zdążymy.

Grens wyłączył silnik, żeby łatwiej mu było mówić.

— Tamte sześć mieszkań, które wolno nam podsłuchiwać. Miejsca, gdzie widziano Jensena i Miliona. To, że nadal będziemy ich podsłuchiwać, nie wystarczy. Musimy wejść do ich mieszkań.

— Nie możemy. Dostaliśmy zgodę na podsłuchy, ale nie na przeszukanie. Żaden z nich nie jest podejrzany o przestępstwo.

— Sześć włamań, do sześciu mieszkań. Za każdym razem w ten sam sposób.

— To niezgodne z prawem.

— Granaty szokowe i gaz łzawiący, do tego sig sauer dwieście dwadzieścia sześć, heckler and koch MP pięć A dwa.

— Łamiesz dyscyplinę policyjną.

— Każdemu, kogo zastaniemy w mieszkaniu, każemy położyć się na podłodze. Przewrócimy do góry nogami każdy pokój, każdą szafę, każdą szufladę, bez względu na ich wielkość.

— Ewert...

— Zamordowano młodą kobietę. Szykują bombę. A ty siedzisz i ględzisz o formularzach, które trzeba będzie wypełnić w prokuraturze?

Grens otworzył szafę na ubrania. Po wewnętrznej stronie drzwi było lustro. W środku wisiała beżowa marynarka. Bardzo ją lubił.

Wyjął talerzyk z mazarynkami i torebkę duńskich bułeczek *wienerbrød*. Wyszedł na korytarz, podszedł do automatu z kawą i wcisnął przycisk. Najpierw dostał kubek gorącej wody, potem trzy kubki czarnej kawy, jedną czarną, jedną z podwójną porcją cukru i jedną z białozółtawym proszkiem, który udawał mleczko. Poszedł do spiżarki, wyjął torebkę herbaty i tacę, żeby postawić na niej kawę.

— Z dodatkowym cukrem.

Postawił ostrożnie pierwszy ciepły kubek obok notesu, w którym Hermansson robiła zazwyczaj notatki.

— Z... hm... czymś w rodzaju mleka.

Grens uśmiechnął się słabo do Svena, który przesunął swój telefon komórkowy, żeby zrobić mu miejsce.

— Herbata. Żółto-czerwone opakowanie. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jak to jest z tymi różnymi smakami.

Ågestam sięgnął po kubek z torebką pozbawionej smaku herbaty wyjętą z pudełka, jakie można zobaczyć w każdym pozbawionym indywidualności biurze. Grens upewnił się, że każdy otrzymał właściwy kubek, po czym sięgnął po swoją czarną kawę.

— Częstujcie się.

Odwinął białą torebkę i wyjął z niej talerz z ciastkami. Sven i Mariana spojrzeli po sobie i pomyśleli to samo: tylko raz się zdarzyło, że Grens przyniósł kawę także dla innych.

— Mazarynki. A w torebce *wienerbrød*.

Wienerbrød z żółtym nadzieniem. Mazarynki z różową polewą.

Grens sam wziął po ciastku, bo pozostali nie bardzo wiedzieli, jak się zachować. Wszyscy spoglądali po sobie niepewnym wzrokiem.

Tymczasem Grens wydawał się zadowolony z siebie.

— To dobry dzień na mazarynki. Częstujcie się, zanim znikną.

Sięgnął po następne ciastko, wypił resztę kawy, wstał z krzesła i podszedł do biurka.

Na blacie leżała żółta podkładka.

Taka się przynajmniej wydawała, gdy ją podniósł i trzymał przed sobą. Widać było na niej żółte zapisane karteczki.

— Za każdym razem, gdy tu zaglądam, tak to właśnie jest.

Grens opuścił podkładkę i oderwał jedną karteczkę.

— Vincent Carlsson, Szwedzka Telewizja.

Zmiał kartkę i wrzucił ją do kosza.

— Johanna Linder, Szwedzkie Radio.

Tę kartkę też zmiał, na wszelki wypadek porwał ją na kawałki i wrzucił do kosza.

— Viveka Lind, agencja prasowa Tidningarnas Telegrambyrå. Jovan Mravac, „Expressen”. Sune Johannesson, „Kristianstadsbladet”. Riita Strömberg, „Göteborgs-Posten”. Lisa Erixon, „Sydsvenska Dagbladet”.

Grens brał po kolei każdą kartkę, gniótł ją i wrzucał do kosza.

— To na pewno porządni ludzie, ale żaden nie będzie rozmawiać ani ze mną, ani z wami. Nie życzę sobie żadnych kontaktów z mediami. Nie zamierzam brać udziału w tworzeniu legendy tego mordercy.

Na podkładce pozostała jeszcze połowa karteczek. Grens jednym ruchem strącił je wszystkie na podłogę.

— Nie odpowiem na ani jedno pytanie. Wy też tego nie róbcie. Nic nie wiecie o „wojnach gangów” ani o „pościgu za mordercą”. Dopilnujcie za to, aby ci, którzy biorą pieniądze za organizowanie konferencji prasowych, trzymali się jak najdalej od nas i żeby te konferencje były pozbawione treści. Oni po prostu lubią oglądać samych siebie w telewizji, żyją z popularności, więc nie powinniśmy ich dodatkowo dowartościowywać.

Grens schylił się i zebrał z podłogi żółte karteczki, które nie trafiły do kosza. Potem wrócił do stolika przy kanapie, plastikowych kubków obok papierowej torebki i błyszczącego dzbanka z kawą. Sven, Mariana i Ågestam wypili napoje prawie do połowy, zjedli też mazarynki i *wienerbrød*.

Już od dawna odprawa nie przebiegała w tak dobrej atmosferze.

— Wiemy, że zamordowali i że mają bombę. Wiemy, że szybko się rozwijają i że los im sprzyja.

Za trzydzieści sekund atmosfera będzie jeszcze lepsza.

— Nie mamy innego wyjścia.

Będą musieli posunąć się tak daleko jak nigdy przedtem, zbliżą się do tych, którzy uciekli i przepadli jak kamień w wodę.

— Od tej pory musimy zacząć stosować środki przymusu.

...

Wanda szła przez pokoje, w których ostatnio tak rzadko przebywała. A przecież to jej własne mieszkanie, w samym centrum Råby. Było to całkiem miłe uczucie, więc znowu zrobiło jej się przyjemnie. Włączyła muzykę i wsłuchiwała się w jej dźwięki, tańcząc w kuchni i przedpokoju. Gabriel nie lubił piosenek, szumiało mu od nich w głowie. Teraz jest sama, może sobie wybrać dowolną piosenkę i słuchać jej na cały regulator. Jest środek dnia i przed chwilą się obudziła, jest bardzo zmęczona. Nuciała refren piosenki i gładziła się ręką po brzuchu. Jeszcze nie urósł, a mimo to wydawał się taki duży. Nagle rozległ się trzask szkła tłuczonego w oknie kuchennym i do dużego pokoju wpadł ciemny przedmiot, który potoczył się po podłodze. Rozległ się straszny huk i ujrzała jasny błysk, który prawie ją oślepił. Chwilę później usłyszała kolejny huk w dużym pokoju i znowu zobaczyła jasny błysk. Drzwi w przedpokoju wyleciały nagle z zawiasów i coś zaczęło się wokół niej dziać. Niczego nie widziała, po prostu się domyślała. Jakieś cienie, które podbiegły do niej, rzuciły ją na podłogę, chwyciły mocno za kark i odciągnęły ręce na plecy, a potem przyłożyły do nadgarstków chłodny metal. Słyszała, że jest ich czterech, pięciu albo nawet sześciu, że nadchodzą od strony drzwi wejściowych, jeden albo dwaj inni są w kuchni, jeden albo dwóch na balkonie. Nie wiedziała, czy te cienie to ludzie i czy czarne przedmioty na ich głowach to hełmy, i czy to, co mają na twarzach, to noktowizory. Jeśli tak, to było ich chyba z dziesięciu. Z uszu ciekła jej krew, wszędzie słyszała ich krzyki, a ten, co siedział na niej, był bardzo ciężki i przyciskał ją jeszcze mocniej do podłogi, kiedy próbowała się podnieść.

...

Ågestam ugryzł kolejny kawałek duńskiej bułeczki i czuł, jak rośnie mu w ustach. Z każdym kęsem odczuwał to coraz wyraźniej. Już nie mógł wytrzymać. Siedział spokojnie i spoglądał przed siebie.

— Środki przymusu?

Postanowił, że nie zje ani kawałka więcej.

— Porozmawiamy o tym później — odparł Grens.

Prokurator chciał znów zadać to samo pytanie, ale tylko skinął głową. Udał, że je ciastko. Potem uśmiechnął się i wskazał ręką na Grensa.

— Widzę, że masz nową marynarkę. Na dodatek częstujesz nas ciastkami.

Grens nie odwzajemnił jego uśmiechu. Spróbował, tak jak zawsze, ale nie udawało mu się i ciągle nie wiedział dlaczego. Może dlatego, że młody prokurator, który w ciągu zaledwie kilku lat został prokuratorem rejonowym, reprezentował sobą wszystko to, czego brakowało jemu? Pracował równie ciężko, spędzał w prokuraturze mnóstwo czasu, ale z innych niż on powodów. Grens pracował, bo bardziej lubi pracować niż nie pracować, a Ågestam spędzał w pracy tyle czasu, bo chciał awansować. Może dlatego, że jeden z nich odbierał bolesne lekcje od życia, a w tym samym czasie drugi studiował na uniwersytecie? Może to właśnie dlatego obaj mieli zupełnie inne poglądy na wiele spraw? A może po prostu dlatego, że jeden był młodszy i wszystkie ważne decyzje miał dopiero przed sobą, drugi był starszy i pewne decyzje mógł tylko podejmować po raz kolejny?

Grens odsunął talerz z ciastkami i dwa kubki i przyniósł laptopa. Ustawił go tak, żeby wszyscy widzieli ekran. Po chwili pojawiło się na nim nagranie z kamery 7, pochodzące sprzed dziesięciu godzin. Widać było na nim górną krawędź muru, który okalał zakład karny w Österåker.

Ten, którego ścigają, spoglądał w obiektyw kamery, robił do nich miny i nawet nie był zamaskowany.

Podobna postawa i rysy twarzy, jakby to była ta sama osoba, a nie dwie różne. W chwili popełnienia przestępstwa byli w tym samym wieku.

— Leon Jensen. Przypomina ojca wyglądem i sposobem, w jaki się porusza. Jest taki jak on.

Grens ustawił kursor na twarzy Jensena i powiększył obraz.

— Daniel Jensen. Tak nazywał się jego ojciec, gdy znikł. To on jako pierwszy uczestniczył w naszym programie ochrony świadków.

Grens przyłożył dłoń do ekranu i zaczął przesuwając palcami po twarzy człowieka w kadrze, jakby chciał zepchnąć go z muru na ziemię.

— Daniel Jensen wydał nam swoich kompanów i własną dziewczynę. W zamian za to dostał od nas nową tożsamość i miejsce w schronisku turystycznym w Smalandii. Od tamtej pory jego przeszłość przestała dla niego istnieć. Trwało to pół roku. Niestety, nie mógł wytrzymać bez prochów, a jak ktoś nie ma pieniędzy, zaczyna popełniać przestępstwa. Znowu dostał wyrok, już pod swoim nowym nazwiskiem. Jensen był dość inteligentnym młodym człowiekiem o destrukcyjnym charakterze. Skończył jako drobny handlarz prochami, który co jakiś czas trafiał do pudła, żeby po odbyciu wyroku wyjść na wolność.

Jakość obrazu nie była najlepsza. Kiedy Grens jeszcze bardziej go powiększył, twarz Leona Jensena zamieniła się w plamę. Zamiast oczu

pojawiły się dwie wielkie dziury.

— Ostatniej nocy próbowałem wrócić pamięcią do tamtych wydarzeń. Niestety, zostały mi tylko wyblakłe wspomnienia, które przypominają ten kiepski obraz. Wyraźnie pamiętam tylko jeden dzień. Odwiedziłem go wtedy trzeci i ostatni raz. Mieszkał w czerwonym drewnianym domu niedaleko jeziora Nässjö. Przyjechałem do niego, żeby go poinformować, że jego dziewczyna poprzedniego dnia urodziła mu syna. Wieczorem tego samego dnia kazał mi się wynosić. Potem wrócił do narkotyków, wyjechał z tamtego domu i zrezygnował z programu ochrony świadków.

...

Deniz była w łazience, gdy usłyszała, jak winda zatrzymuje się na siódmym piętrze. Drzwi się otwały, ale nikt ani do niej nie wszedł, ani z niej nie wyszedł. Przejrzała się w lustrze i przeciągnęła szczotką po świeżo umytych włosach. Uśmiechnęła się do nagiej kobiety, która skończyła już czterdzieści lat i nadal miała odwagę na siebie patrzeć. Nauczyła się rozróżniać dźwięki dochodzące z czterdziestu ośmiu mieszkań. W ciągu paru ostatnich minut słyszała kroki kilku różnych osób. Jest niedziela, środek dnia, a przecież nawet w powszednie dni na tym piętrze nie pojawia się zbyt wielu ludzi. Obliczyła, że tak wysoko dotarło najwyżej pięć osób. Przetarła włosy ręcznikiem i zerknęła w lustro. Upłynęło już tyle czasu, ale była z siebie dumna. Jako młoda kobieta włożyła wiele wysiłku, żeby pozbyć się pogardy dla samej siebie i się ze sobą pojednać. Nagle usłyszała dwa krótkie dzwonki do drzwi. Nie otworzyła. Nigdy tego nie robi. Usłyszała głosy. Potem jeden z tych, którzy stali za drzwiami, podniósł klapę otworu na listy i coś do niej zawołał. Kiedy wyszła z łazienki, żeby podejść bliżej i sprawdzić, o co chodzi, usłyszała, jak ktoś wbija kawałek stali do zamka w drzwiach i jak pęka łańcuch zabezpieczający drzwi. Po chwili usłyszała inny dźwięk — ktoś wyważał łomem futrynę. Towarzyszył temu płacz pięcioletniej dziewczynki, która przybiegła do niej z dużego pokoju. Jednak najbardziej zajmowały ją myśli na temat Eddiego, który gdzieś tam teraz był, na dworze.

...

— Czy ona wie?

— Słucham?

— Odebrałeś jej chłopaka. Była w ciąży i nie wiedziała, co się z nim stało. Facet po prostu znikł. Czy ona o tym wie?

— Wie o czym?

— O tym, co się z nim stało?

— Nie, nie wie.

Mariana nie spuszczała oczu z Grensa. Chciała, żeby czuł na sobie jej spojrzenie, chociaż już dawno nauczyła się rozpoznawać jego miny i wiedziała, że nie powie jej nic więcej. Dlatego postanowiła już nie pytać, czemu tamta kobieta, która była w ciąży, o niczym nie wiedziała. Grens pewnie sam nie znał odpowiedzi.

Grens wypił resztkę kawy z kubka, który właściwie był już pusty. Na dnie zostało jeszcze kilka kropli. Przesunął dłonią po stoliku przy kanapie. Zrobił to w taki sam sposób jak przed chwilą, gdy zrzucił do kosza żółte karteczki. Tym razem to były okruchy duńskich bułeczek. Strzepnął je wszystkie na podłogę.

Miejsce nieostrej twarzy na monitorze zajęło nagranie z kamery zawieszanej daleko od więziennych murów, wykonane sześć lat temu.

Sklep jubilerski. Długi pasaż w centrum handlowym w Skärholmen. Kamera wysoko nad kasą.

Wszyscy pochylili się lekko do przodu.

Obraz jest czarno-biały. Nie drga, jak to często bywa z nagraniami z kamer przemysłowych. Widać biżuterię w gablotach. Sprzedawczyni poprawia sznury pereł na półce koło okna. Ktoś wchodzi do sklepu. To dziecko, chłopiec, ma mniej więcej sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Jasne buty, ciemne spodnie od dresu. Na głowie szary kaptur bluzy. Towarzyszy mu jeszcze jeden chłopak. I następny. W sumie weszło ich do sklepu dwudziestu jeden. Dwaj wyglądają na dorosłych, pozostali nie.

— To niemy film, ale wielu świadków zeznało, że dokładnie taka sama cisza panowała wtedy w sklepie. Ci chłopcy nie powiedzieli ani słowa, po prostu tam weszli i ustawili się w wyznaczonych miejscach.

Dwadzieścia jeden głów w kapturach pod ścianą z lewej. Wyglądało to jak duże „U”. W górnym rogu ekranu widać kolejnych dziesięciu przed sklepem. Jeden z nich bierze do ręki czworokątną kostkę brukową, unosi ją i rzuca w szybę. Sprzedawczyni — kobieta w średnim wieku — wybiega ze sklepu i znika z obrazu. W tym samym momencie ci w sklepie odwracają się i zaczynają tłuc szyby w gablotach młotkami, kamieniami i dłońmi owiniętymi w gruby materiał. Z kieszeni w bluzach wyciągają zwinięte reklamówki, opróżniają półki i gabloty z pierścionków,

obrączek, naszyjników, zegarków, kolczyków, bransoletek, srebrnych cukiernic.

Grens zatrzymał nagranie.

— Leon Jensen miał wtedy dwanaście lat. Już wówczas wiedział, jak wykorzystywać kumpli do własnych celów.

Grens dotknął ekranu palcem i pokazał chłopca, który rzucił kamieniem w okno wystawy, a potem wszedł do sklepu i stanął w miejscu, skąd, nie wypowiadając ani jednego słowa, kierował całą akcją.

Obraz przesunął się o kolejne klatki.

Dwadzieścia jeden reklamówek wypełnionych łupem. Chłopcy spokojnie opuszczają lokal i przechodzą przez szeroki pasaż handlowy. W triumfalnym geście unoszą reklamówki nad głowami.

— Tego samego ranka Jensen uciekł z internatu w Örkelljunga, pięćset kilometrów na północ. Żeby o czasie dotrzeć na miejsce, gdzie napadł na jubilera, ukradł po drodze cztery mercedesy. Każdy przestępca ma ulubioną markę. Kierownik tamtego internatu też miał mercedesa. Ci, z którymi Jensen tam był, nauczyli go, jak ukraść taki wóz. On się po prostu nauczył mercedesa na pamięć. Szkoła bezprawia. Dwanaście lat. To chyba szósta klasa?

Obraz zarejestrowany przez kamerę w sklepie jubilerskim przesuwa się powoli na ekranie. Kamera zawieszona nad kasą.

Na całej podłodze leżą okruchy szkła.

— Potem już tylko dodawał jedno przestępstwo do drugiego: pobicia, napady, podpalenia, wymuszenia, handel narkotykami, przemoc wobec policjanta, kolejny napad, kolejne pobicie, usiłowanie zabójstwa.

Z lewej strony obrazu pojawiają się pierwsze twarze ciekawskich. Zaglądają do środka, któryś z nich pokazuje coś palcem.

Nagle jeden z chłopców wraca.

To on!

— Do tej pory nie miał na koncie najcięższej zbrodni. Wczoraj dopisał ją do swojej kartoteki.

Gapie powoli się wycofują, a chłopak otwiera drzwi do sklepu, wchodzi do środka, zbliża się do wystawy i bierze z niej kamień, którym wcześniej zbił szybę.

— Mówię o morderstwie.

Trzyma go w ręce, wchodzi w głąb sklepu, zbliża się do kamery, odwraca się do niej i patrzy w obiektyw. Uśmiecha się, rzuca w niego kamieniem i obraz się urywa.

— A ona?

Mariana chciała spojrzeć Grensowi prosto w oczy, jak przedtem, gdy nie odpowiedział na jej pytanie. Jest przecież dokładnie taka sama jak on. Nie poddaje się.

— Pytam o ojca. Ona nadal nie wie, dlaczego znikł, co się z nim stało?

— Jej syn, który tak świetnie potrafił rzucać kamieniami, został jej odebrany tuż po porodzie. W celi przy łóżku czekali dwaj urzędnicy z opieki społecznej, przed oknem stała karetka. Dziewczyna wiedziała tylko tyle, że ona siedzi za kratami, a ojciec dziecka gdzieś przepadł.

— Więc ona nadal nie wie?

— Ile razy mam ci to powtarzać?

— Dlaczego nie wie?

— Bo informowanie jej o tym nie należało do moich obowiązków.

— A teraz?

— To nadal nie należy do moich obowiązków.

...

Ana siedziała w kuchni, którą tak bardzo lubiła. Przy stole, który stał w tym miejscu od czasu, gdy się wprowadziła. Miała go, jeszcze zanim trafiła do zakładu w Hinsebergu. Wypiła wystygłą kawę z mlekiem. Do kawy dolewa zawsze prawie pół kubka mleka. Od godziny nie przechodziła obok pustej półki wiszącej na ścianie w przedpokoju, a gdy zjawily się wozy strażackie, nawet nie wyjrzała przez okno. Była zmęczona, prawie spokojna. Dolała sobie kawy, a wtedy rozległ się dzwonek do drzwi. Ktoś krzyknął: „Policja, otwierać!”. Napila się kawy, spokojnie odstawiła kubek na stół i przeszła do przedpokoju. Nadal słyszała tamten głos. Wie, kto tam stoi, i wie także dlaczego. To dobrze, że przyszli. Zawsze przychodzą. Już nie była w stanie dłużej czekać. Stała tuż przy drzwiach, kiedy znowu rozległy się krzyki: „Policja, otwierać!”.

— To nie mnie szukacie.

— Otwierać, bo wyważymy drzwi.

— Nie mam z tym nic wspólnego...

— Otwierać!

— ...oprócz mnie nikogo innego tu nie ma.

— Otwieraj, bo wyważymy drzwi!

— Są otwarte.

Wróciła do kuchni. W kubku było jeszcze trochę kawy. Położyła się na brzuchu, założyła ręce na plecy i czekała. Wtedy, dawno temu, też tak leżała w kuchni i jakiś potężny policjant przyciskał ją kolanem do podłogi. Dzisiaj przyszło ich ośmiu. Chwycili ją za ręce i któryś znowu przycisnął ją do podłogi. Spojrzała w stronę przedpokoju. Półka nadal jest pusta.

...

Mazarynki już się skończyły. W torebce została połowa duńskich bułeczek. Grens poczęstował nimi zebranych, ale wszyscy pokręcili odmownie głowami. Musiał jeść je sam.

Mariana zmieniła obraz na ekranie. Zamiast sklepu jubilerskiego pojawił się biały samochód odjeżdżający spod zakładu karnego w Storbodzie. Zobaczyli też osiemnastolatka, który uśmiechał się do nich, a potem wychylił przez okno samochodu i oddał niekontrolowany strzał.

— Była dziewiętnasta trzydzieści trzy. To prawie siedemnaście godzin temu. Ostatni obraz, jaki mamy.

Między oknami nadal wisiała przekrzywiona mapa. Mariana odkleiła taśmę po obu stronach, powiesiła mapę jak należy i przykleiła ją mocniej niż poprzednio.

— Teraz mamy ich więcej.

Wzięła do ręki czerwony mazak i zaczęła nim coś zaznaczać na zielonej mapie. Północne regiony województwa sztokholmskiego były na niej zaznaczone czerwonym kolorem.

— Zakład karny w Storbodzie. Miejsce ostatniej ucieczki osadzonych. Jestem całkiem pewna, że kierując się na południe, musieli jechać przez Rosersberg i dalej Norrsundsvägen, która przechodzi w Stockholmsvägen. Potem pojechali tędy, przez Upplands Väsby.

Mariana spojrzała na osoby siedzące przy stole. Nie musiała im tego dokładniej wyjaśniać. Każdy z nich słyszał, jak kierowca cysterny trąbił na kogoś, kto zatrzymał samochód na drodze, wysiadł z wozu i otworzył bagażnik.

— Ich dalsza droga ucieczki wiodła tędy... Mälärvägen koło jeziora Edssjön, rowerzystka, którą potrącił, i dalej do Söderby, gdzie dzisiaj rano znaleźliśmy ich samochód.

Mariana powiesiła na ścianie kolejną mapę i przykleiła ją taśmą.

— Wiemy, że w okolicach Söderby zgłoszono rano kradzież trzech samochodów. Jednym z nich był mercedes benz, numer rejestracyjny EBN dziewięćset dwadzieścia siedem. Przejrzeliśmy nagrania ze wszystkich kamer w promieniu dziesięciu kilometrów od miejsca, gdzie znaleźliśmy samochód. Coś mamy.

Mariana wzięła czerwony mazak i nakreśliła nim na mapie linię skierowaną na południe, w stronę Sztokholmu.

— Jest godzina dwudziesta dwadzieścia siedem. Miejsce: Bergslagsvägen koło Åkeshov. Skradziony samochód. A przez szyby widać... zresztą zobaczcie sami.

Mariana wyjęła maksymalnie powiększone zdjęcie i podała Grensowi, który dokładnie je obejrzał i położył na stole między Svenem a Ågestamem.

Przedstawiało twarze dwóch osób siedzących z przodu samochodu. Po lewej Leon Jensen, po prawej Alexander Eriksson. Za nimi trzy kolejne osoby, które wprawdzie nie były widoczne aż tak wyraźnie, ale dla kogoś, kto rano i przed południem wielokrotnie oglądał podobizny Marka Bendika, Rezy Nooriego i Urosa Korena z profilu i en face, wszystko było oczywiste.

— Domyślam się, że jechali przez tereny przemysłowe w Lundzie, dalej Bergslagsvägen, minęli Vällingby i Räcksta. Wiem za to na pewno, którą trasą pojechali później.

Mariana narysowała linię łączącą kamerę w Åkeshov, plac Brommaplan położony na południowy zachód od Drottningholmu i Ekerövägen.

— Jechali tędy, aż do Ekerö. Tu jest fragment lasu, droga przy kanale mocno zakręca i spotyka się z inną drogą. Dokładnie tutaj.

Zaznaczyła ten punkt krzyżykiem na mapie. Obok krzyżyka narysowała coś, co miało cztery nogi i chyba karabin.

— Myśliwy, około sześćdziesięciu lat, godzina dziewiąta wczoraj wieczorem. Wyszedł z psem, żeby znaleźć postrzelonego jelonka. Jego opis jest szczegółowy i wiarygodny. Pies wyczuł ślady zwierzęcia, które doprowadziły go do skrzyżowania Jungfrusundsvägen z Bryggavägen. Wtedy z dużą prędkością nadjechał samochód. Myśliwy zezłościł się, uniósł karabin i obserwował ich przez noktowizor. Miał ochotę do nich strzelić, powtórzył to kilka razy, bo kierowca o mało nie przejechał mu psa. Bardzo dokładnie ich widział. W porannych wiadomościach zobaczył te same twarze. Jest tego absolutnie pewien.

Mariana wskazała na zielono-niebiesko-żółtą mapę. Zatrzymała wskaźnik na cyplu wchodzącym głęboko w jezioro.

— Wychodzę stąd, spotykam tego mężczyznę... tutaj. Idę dalej w kierunku jazdy samochodu, aż do końca drogi. Idę wzdłuż brzegu. Niezbyt daleko. Samochód stoi zaparkowany... o, tutaj.

Odległość między porzuconym samochodem a drugim brzegiem zatoki wynosi niecały kilometr. To już stały ląd. Blisko stamtąd do wieżowców na przedmieściu Hallundy.

Stamtąd już tylko niecałe dwadzieścia minut piechotą po asfaltowej drodze.

Do Råby.

Grens pozbierał plastikowe kubki i okruchy ciastek, przesunął krzesło i nawet nie zauważył, że nie wszyscy wyszli z sali.

— Chciałabym z tobą porozmawiać.

Grens odwrócił się w stronę drzwi.

— Słucham?

Mariana patrzyła na niego z taką miną, jakby domagała się natychmiastowej odpowiedzi.

— Chodźmy na kawę.

— Przed chwilą piliśmy kawę.

— No to wypijemy jeszcze jedną, w kawiarni na Bergsgatan.

Grens przychodził tam czasem rano, pił małą czarną i zjadał kanapkę z serem. Zawsze siadał przy okrągłym stoliku w kącie sali przy oknie. Lubił czasem wyjść z komendy i przejść na drugą stronę ulicy, żeby przeczytać gazetę, poobserwować wchodzących i wychodzących ludzi, porozmawiać z kobietą, która pracuje tam od wielu lat i głośno się śmieje. Potem wracał do swojego pokoju z poczuciem, że tego dnia nie będzie już nikogo więcej potrzebował.

Tym razem nie przyszedł tam sam. Dziwne uczucie. To jego stolik, a tymczasem Mariana wyciąga jedno z trzech krzesł, żeby usiąść obok niego.

— Wiesz co? Lepiej usiądź tutaj — zaproponował Grens i wskazał jej wolne krzesło naprzeciwko siebie. Mariana skinęła głową i przesiadła się.

— Masz rację. Teraz się widzimy.

— Teraz siedzisz dalej ode mnie.

Nigdy za blisko. Nawet gdy pokonywali krótką drogę z komendy do kawiarni i Mariana szła zbyt blisko niego, od razu odsunął się od niej na krok.

Mariana się uśmiechnęła.

— Teraz mogę położyć swoją dłoń na twojej. Ludzie tak robią, gdy rozmawiają z kimś w zaufaniu.

Grens poczuł się tak, jakby go uderzyła.

Tak bardzo bał się tej sytuacji, w której on, starszy mężczyzna, pokazał się publicznie w towarzystwie młodej kobiety. Bał się, że ktoś weźmie ludzkie ciepło za natrętność.

Przecież to rozumiała. A jednak tak długo trzymała swoją dłoń na jego dłoni, aż się zorientował, cofnął rękę i wyjrzał przez okno.

— Udało wam się zlokalizować miejsca, z których prowadzono rozmowy z podsłuchiwanej komórki Leona Jensena?

— Słucham?

— Mówię o rozmowie, którą podsłuchaliśmy. Sygnał z jego telefonu dotarł do wieży przekaźnikowej. Chcę dokładnie wiedzieć, gdzie Jensen przebywał w trakcie tej rozmowy.

— Ewert?

— Tak?

— Słyszałam, co powiedziałaś. Ale nie przyszedłam tu z tobą, żeby rozmawiać o masztach przekaźnikowych.

Intymność. Przynależność. Dla niego to żadna różnica. Nie miał o tym pojęcia.

Tak jak oni.

— Wiem, że Sven próbował z tobą rozmawiać. Wiem, że nie odpowiedziałaś na jego pytania. To miło, że przyniosłaś ciastka. Ale one nie pasują do twojego... do tego, co przypomina złość, a jednocześnie jej nie przypomina. Dręczysz nas, a zarazem dręczysz samego siebie.

Grens spojrział przez okno. Starsza kobieta rozmawiała ze starszym mężczyzną. Ich psy wzajemnie się obwąchiwały.

— Niepokoję się o ciebie. Chcę wiedzieć, co się z tobą dzieje.

Grens przypomniał sobie, że już wcześniej ich tu widywał. Zamieniają kilka słów, ich psy się obwąchują, a potem każde idzie w swoją stronę.

— Czy to z powodu Anni?

— Co?

— Czy chodzi o Anni?

Grens odwrócił wzrok od okna.

— Nie, to nie chodzi o nią.

— Rozumiem twój smutek, musisz z tym jakoś żyć...

— Nie chodzi o nią.

— Ewert, musisz...

— Powtarzam: nie chodzi o nią.

Grens wstał gwałtownie z krzesła, ale Mariana chwyciła go za rękę i zmusiła, żeby usiadł.

— Nie rozumiesz, o co pytam? Jesteś dokładnie taki jak oni.

— Pytałem cię o stacje przekaźnikowe.

— Intymność. Przynależność.

— Chcę wiedzieć, która stacja przekaźnikowa przesłała sygnał z jego telefonu i gdzie Jensen wtedy był.

— Oni też nie widzą różnicy. Mimo wszystkich słów, których używają. Mówią „miłość”. Nazywają się „braćmi”. Moim zdaniem oni nie wiedzą, czym jest miłość. Ale myślę, że coś czują. Na przykład, że to miłe, gdy ktoś klepie ich po ramieniu i mówi: „Dobra robota, bracie, dowaliłeś temu gnojowi, świetny strzał, miłość, bracie”. Dopóki tego nie usłyszą, nie wiedzą. Bo niby skąd mają wiedzieć? „Aha, więc to jest miłość?”, „Aha, więc to takie uczucie?”.

Mariana nie była pewna, czy Grens jej słucha. Może się zamknął w swoim wnętrzu, jak zawsze, gdy próbowała z nim rozmawiać o jedynej rzeczy, o której nie wolno jej mówić?

— Czy ty to wiesz, Ewert? Wiesz, czym jest miłość?

Jeśli nawet jej słucha, to w ogóle tego po sobie nie pokazuje.

— Ewert? Czy kiedykolwiek będziesz w stanie pokochać inną kobietę?

— Nie powinno cię to w ogóle obchodzić.

Przynajmniej teraz jej słucha.

— Czy kiedykolwiek...

— Tu nie chodzi o Anni.

Grens znowu wstał z krzesła. Tym razem Mariana go nie zatrzymywała.

— Tu chodzi o Leona Jensena.

Grens odwrócił się i nie czekając na nią, wyszedł z kawiarni i skierował się w stronę komendy.

...

Ågestam stał oparty plecami o ścianę windy i przeglądał się w lustrze. Mokra od potu szyja, napięte rysy twarzy. *Od tej pory musimy zacząć stosować środki przymusu.* Cały drżał. Trzy kwadransy wcześniej wyszedł objedzony ciastkami z pokoju Grensa, gdzie omawiali wyniki śledztwa. Śledztwo utknęło w miejscu. Zdążył przejść z komendy do mostu, który sięgał aż po Norrmalm. Odwiedził prokuraturę rejonową przy Kungsbron 21. Wjechał na siódme piętro, gdy zadzwoniła jego komórka. *Środki przymusu?* Po chwili rozmowy zbiegł schodami na dół. *Porozmawiamy o tym później, Ågestam.* Biegł w stronę komendy, nie zatrzymując się ani na chwilę. Minął psy w kagańcu i uczniów podstawówki, którzy szli na ciastka do 7-Eleven, aby zrekompensować sobie niezjedzony lunch. Nie

zatrzymywał się nawet, żeby zaczerpnąć oddechu. W końcu dotarł do windy.

Areszt w Kronobergu, szóste piętro. Oddział kobiecy.

Szybkim krokiem ruszył w stronę oszklonej dyżurki. Zapukał zdecydowanie w szybę, za którą siedział młody strażnik.

— Nazwisko?

— Otwieraj. Oddział sześć A.

— Nazwisko i w jakiej sprawie?

— Prokurator rejonowy Lars Ågestam. Sprawa? Nazwij to zwolnieniem z aresztu niewinnych osób.

Ågestam podszedł do drzwi prowadzących na oddział i zaczął szarpać za klamkę, ale drzwi nadal były zamknięte.

— Otwieraj.

— Dlaczego?

— Niecałą godzinę temu zamknięto tu sześć osób. Trzeba je wypuścić.

— A dlaczego?

— Bo ja tak mówię.

— Wie pan, my tu działamy na podstawie decyzji wydanych w formie pisma urzędowego.

Ågestam poczuł, że znowu jest spięty, jak w windzie.

— Tam, gdzie ja pracuję, wymagany jest pisemny nakaz zatrzymania. Otwieraj!

— Przykro mi, ale nie mogę.

Ågestam przestał szarpać za klamkę. Podbiegł do dyżurki, wsunął palec pod opuszczoną szybę okienka i uniósł ją na taką wysokość, że mógł wsunąć do środka całą dłoń. Chwycił stos papierów leżących na stole, które zawierały listę dyżurów. Przyciągnął je do siebie, przerzucił pierwszą stronę, napisał na niej coś długopisem i podsunął ją strażnikowi.

Ten przyjrzał się uważnie tekstowi, który prokurator nagryzmolił na kartce, spojrział na Ågestama i znowu na kartkę.

— Co tu jest napisane?

— Tu jest napisane: „Prokurator rejonowy. Lars Ågestam”. A tu, na górze, napisałem: „Wypuście je, do cholery”.

...

Młody strażnik był o wiele wyższy i cięższy, niż się wydawało, gdy siedział przy biurku w dyżurce. Ågestam szedł za nim przez oddział kobiecy, na którym każda cela miała siedem metrów kwadratowych i zakratowane okno z widokiem na pustkę.

Sonja Milton. Sofia Eriksson. Deniz Johnson. Ana Tomas. Amanda Hansen. Wanda Svensson.

Przez długi czas próbował dogadać się z Grensem. Nie zważał na szyderstwa komisarza ani na pogardę, jaką ten mu okazywał, podejmował coraz to nowe próby. W końcu się poddał. Dlatego szczerze się ucieszył, gdy któregoś nocy Grens zaprosił go do swojego mieszkania. Okazało się, że był pierwszą obcą osobą, którą spotkał ten zaszczyt. Wydawało mu się, że w końcu przełamali lody. Niestety, kolejny raz zdał sobie sprawę, że chyba nigdy nie znajdą wspólnego języka.

Pierwsze drzwi. Strażnik pochylił się, żeby zajrzeć przez wizjer do celi. Wsunął klucz do zamka i dwa razy go przekręcił. Usłyszeli, jak w środku ktoś wstaje.

Kiedy strażnik się odsunął, Ågestam ujrzał kobietę, która przed chwilą leżała na łóżku. Miała potargane włosy i zmęczone z niewyspania oczy. Ocenił jej wiek na trzydzieści pięć lat. Była niska, a w szarym ubraniu aresztanta wydawała się bardzo drobna.

Ågestam wyciągnął do niej rękę.

— Nazywam się Lars Ågestam i jestem prokuratorem rejonowym. Proszę o wybaczenie, że została pani potraktowana w ten sposób.

Kobieta nie odpowiedziała, nie podała mu ręki i nawet na niego nie spojrzała.

Ågestam zrozumiał. On też by się tak zachował.

...

Mariana patrzyła na niego z taką miną, jakby żądała od niego natychmiastowej odpowiedzi. Grens ruszył w stronę samochodu, w którym siedział Sven. Po chwili Mariana poszła za nim. Jechali jak zawsze w milczeniu. Ich celem była komenda policji w Råby. W jednym z okolicznych wieżowców ukrywał się morderca.

Po dotarciu na miejsce weszli do budynku i usiedli przy stole w Sekcji do Walki z Przestępczością Zorganizowaną. Grens zerknął na Marianę. Na stole stała czerwona torba. To z jej powodu tu przyjechali. Musiał się

tylko przyjrzeć siedmiu osobom, które spoglądały na niego czujnym wzrokiem.

Ta sama ściana. Wiszą na niej zdjęcia tych, których tutejsza policja uważa za najgroźniejszych. Kartka z dwoma nazwami — *Råby Warriors* i *Ghetto Soldiers* — znajduje się na tym samym miejscu. Pod spodem wiszą fotografie tych samych dziewięciu osób: czterech jest na wolności, pozostałych pięciu gdzieś w pobliżu. Jest tego absolutnie pewien. Siedem zupełnie nowych twarzy. Wyraźnie widać, że stanowią grupę, ale zdjęcia są inne niż zwykle — zrobiono je z większej odległości aparatem z teleobiektywem. Takie zdjęcia robią wywiadowcy, którzy chodzą po rynku w Råby albo siedzą w oknie któregoś z mieszkań.

— To ci, którzy zrobią dosłownie wszystko, żeby tylko któregoś dnia znaleźć się na tej ścianie. Nie wolno nam ich śledzić. Nie wolno zbierać informacji na ich temat. Uważam jednak, że w obecnej sytuacji powinieneś mieć dostęp do wiedzy.

Pereira spoglądał na zdjęcia siedmiu nowych. Wisiały obok zdjęć ich rówieśników. To przez nich poprzedniego wieczoru opuścił mecz córek. Noc spędził w komendzie, żeby opracować materiały dotyczące młodych przestępców zebrane podczas dziesięciu lat pracy.

— Jedenaście lat. Ten tutaj ma dwanaście.

O świcie nie mógł już dłużej wytrzymać. Pojechał do swojego pustego mieszkania, do innego świata, bo inaczej nie mógłby dalej pracować. Laura i Maria zostawiły na stole resztki śniadania. Posprzątał płatki rozsypane na dolnej półce w spiżarni, żółty ser i dżem pomarańczowy, zmył naczynia i położył się na chwilę na kanapie w dużym pokoju. Przespał dwie godziny w świecie bez przemocy, nie myśląc o młodej kobiecie, która bardzo się bała, a teraz jest martwa.

— Żaden nie ma więcej niż czternaście lat. Bez nich gang nie mógłby funkcjonować.

Grens przyglądał się uważnie zdjęciom. Dzieci.

Potem spojrział na twarz, której widok prześladował go od ostatniej nocy. Przypomniawszy sobie kamień i chłopca, który miał wtedy dwanaście lat. To on rzucił kamieniem, a potem kierował tymi, którzy rabowali sklep jubilerski.

— Nie możemy ich aresztować, bo są niepełnoletni. Ale mogą nas doprowadzić dalej.

Pereira podszedł do zdjęć dwóch chłopców — jedenastolatka i dwunastolatka. Sam je kiedyś zrobił. Obaj byli na dobrej drodze, żeby znaleźć się w towarzystwie groźnych przestępców, starszych od nich

zaledwie o kilka lat i od dawna wykorzystujących tych, którzy chcą do nich dołączyć.

— Mogą mieć wiedzę, której my nie mamy. Działają przecież w ich środowisku.

Pereira zdjął jedno ze zdjęć i podał je Grensowi. Przedstawiało chłopca idącego przez rynek w Råby.

— Przesłuchiwałem go dwa tygodnie temu. Trzeci raz. Przyszedł z mamą i plecakiem w ręce. Rozmawialiśmy o chłopaku, któremu ktoś przestrzelił oba kolana. Siedział na tym samym krześle, na którym teraz siedzi Mariana. Wiedział wszystko i nic.

Grens przyglądał się zdjęciu. Szczupłe dziecko. Gruby złoty łańcuch na szyi i lśniące, zaczesane do tyłu włosy.

— Nie podoba mi się ta ściana.

— Wiem.

— Oni wprost marzą, żeby się na niej znaleźć. I zawsze wiedzą. Dziwna gra. My tylko utwierdzamy ich w przekonaniu, że są na dobrej drodze.

Na stole koło torby leżały dwie kamizelki kuloodporne, trzy bluzy z kapturem, bagnet, sztylet, dwa nunczako.

— Sześć nalotów w tym samym czasie. Osiem patroli policji w każdym mieszkaniu. I tylko to znaleźli.

Sven przyciągnął do siebie jedną z kamizelek i podniósł. Ktoś przyszył do niej po lewej stronie kawałek materiału z napisem: GHETTO SOLDIERS.

— Jest całkiem nowa. Porównaliśmy ją z tymi, które znaleźliśmy wcześniej... to zupełnie inna jakość.

Sven założył kamizelkę i okazało się, że pasuje jak ulał. Rozmiar był prawie idealny.

— To najlepsze kamizelki, jakie kiedykolwiek widziałem. Mają blachę wzmacniającą, która potrafi zatrzymać nawet pociski wystrzelone z broni automatycznej.

Pereira otworzył torbę.

— Kamizelki, kominiarki, broń. Nie szczególnego. A to znaleźliśmy pod łóżkiem w mieszkaniu domniemanej dziewczyny Gabriela Milтона.

Sięgnął obiema rękami na dno torby.

— To dość ciekawe znalezisko.

Pereira wyjął z torby plik papierów. Kominiarki i bagnet położył na podłodze i rozłożył na stole jedenaście kartek formatu A4.

Ręcznie pisany list. Pochylone litery, które ktoś starał się stawiać w równym rzędzie.

— To jest...

Nagle ktoś zapukał.

— O co chodzi?

— Chcę tylko zameldować, że już jesteśmy.

Sven rozpoznał policjanta, który zaglądał do pokoju przez uchylone drzwi. Ekspert od ładunków wybuchowych, który w mieszkaniu Santosa znalazł ślady bomby.

— Kiedy?

Mężczyzna chciał już zamknąć drzwi, ale zatrzymał się, słysząc pytanie Grensa.

— Słucham?

— Pytałem, czy coś znaleźliście, czy ktoś coś skonstruował, czy to jest gdzieś w pobliżu i kiedy wybuchnie.

Ekspert otworzył drzwi na całą szerokość.

— Wybuch nastąpi wtedy, kiedy oni o tym zdecydują.

Technik podszedł do stołu i wyjął z kieszeni spodni aluminiową rurkę długości palca wskazującego. W środku były dwa cienkie plastikowe kable — jeden biały, a drugi zielony.

— To zapalnik. Niegroźny. Na razie — powiedział.

Wyciągnął z kontaktów znajdujących się nisko nad podłogą kable podłączone do czterech komputerów stojących na biurkach i kable telefoniczne podłączone do sześciu aparatów. Wyjął z kieszeni swój telefon komórkowy i wyłączył go.

— Wy też wyłączcie wasze komórki.

Odczekał chwilę, po czym z jednej kieszeni spodni wyjął parę rękawic używanych do rozbijania bomb, a z drugiej szczypcy do cięcia drutu. Wziął do ręki zapalnik i skrócił oba kable. Przyjrzał mu się i jeszcze bardziej je skrócił.

— Od tej chwili zapalnik stanowi zagrożenie dla życia i może zostać aktywowany w każdej chwili.

Położył go na rękawicy i ostrożnie owinął w materiał przypominający gumę.

— Panie komisarzu?

— Słucham? — spytał Grens.

— Proszę włączyć swoją komórkę.

Grens mruknął poirytowany i włączył telefon. W tym samym czasie technik włączył swoją komórkę i położył ją na stole obok gumowej

rękawicy.

— Ma pan mój numer?

— Tak.

— Proszę do mnie zadzwonić.

Grens wybrał numer i po chwili rozległ się pierwszy sygnał. Obaj spojrzeli po sobie i skierowali wzrok na rękawicę. Rozległ się drugi sygnał, wszyscy wyraźnie go usłyszeli. Rozległ się głuchy trzask. Rękawica podskoczyła i spadła na podłogę.

— Wystarczy jedno połączenie z innym telefonem. Wystarczy niewielki przepływ prądu, aby uruchomić zapalnik. Trzeba tylko skrócić kable.

Po wybuchu w pokoju rozszedł się ostry i przenikliwy zapach.

— Mają dynamit, zapalniki, materiały wybuchowe. Gdzieś w pobliżu podłożyli telefon. Wystarczy, że któryś z nich zadzwoni na tamten numer... Kiedy się w końcu zdecydują, uruchomią zapalnik, a on spowoduje wybuch.

Technik odwrócił się i rozłożył ręce. Nawet ruchami przypominał Grensa.

— Zrobią to w jakimś niewielkim pomieszczeniu. Nie większym od tego. Użyją materiału, który wyrządza najwięcej szkód właśnie w takich małych pokojach.

Technik pozbierał resztki odciętych kabli, zabrał rękawicę i wyszedł z pokoju. Wszyscy siedzieli w milczeniu.

Sygnał, wywołujący detonację, przesłany za pomocą telefonu komórkowego w świecie, w którym wszyscy dzwonią do wszystkich.

Może do tego dojść w każdej chwili, w dowolnym miejscu.

To oni zadecydują, gdzie i kiedy.

— List.

Sven pozbierał jedenaście kartek formatu A4, które przed przyjściem technika rozłożył na stole, i każdemu z obecnych podał po kilka stron.

— Znaleźliśmy je w sypialni w mieszkaniu dziewczyny Miliona. Ale to nie ona była adresatem.

Miłość, drogi bracie!

List wyglądał tak, jakby napisało go dziecko. Nikt się jednak nie śmiał. Wiedzieli, że list był pisany na poważnie.

Bardzo za tobą, kurwa, tęsknię.

Grens zmęczył się czytaniem jako pierwszy i odłożył kartki na stół.

Bracie, UZBROJONY po zęby, ZAMKNIĘTY oddział!! 200% miłości, szacunku, dómy, braterstwa, obowiązku, poczucia wspólnoty, honoru.

— To jeden z tych głupich listów, które piszą do siebie członkowie gangów. Nie nauczyli się poprawnie pisać, ale za każdym razem, gdy czują się samotni, muszą taki list wysmażyć. Bracie to, bracie tamto.

Pereira nadal trzymał w ręce swoje kartki.

— Ci tutaj zamordowali.

— To same brednie. Miłość. Brat. Szacunek. Te same porąbane marzenia, że ktoś ich polubi, jeśli tylko zrobią jakieś wielkie świństwo.

— Może to brzmi tak, jakby list napisało dziecko. Ale ich przemoc to przemoc dorosłych. Widziałem już wiele podobnych listów. Ich autorzy byli młodzi i źli, siedzieli w poprawczakach albo w więzieniu, a ich jedynym towarzyszem były własne megalomańskie myśli. Zauważ jednak, Ewert, że list jest napisany w pewnym tonie. Ten, kto go napisał, już zaczął realizować własne frazesy.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Ågestam. Jego twarz była zmarszczona jak twarz Grensa.

— Grens!

Komisarz nawet się nie poruszył.

— Spójrz na mnie, kiedy do ciebie mówię!

Grens nadal siedział odwrócony plecami do drzwi.

— Jak to się stało, że bez mojego nakazu przeprowadziłeś przeszukania w sześciu mieszkaniach?

Prokurator dosłownie krzyczał na Grensa.

— Domagałeś się ode mnie nakazu. Nie dostałeś go, a jednak przeszukałeś mieszkania.

Dopiero teraz Grens odwrócił się w stronę prokuratora, który stał przy stole.

— Ågestam?

— Przeszukałeś sześć mieszkań!

— Nie nauczyli cię pukać?

Ågestam jeszcze bardziej poczerwieniał na twarzy i jeszcze bardziej podniósł głos. W ręce trzymał sześć kartek i wymachiwał nimi.

— Sonja Milton! Sofia Eriksson! Deniz Johnson! Ana Tomas! Amanda Hansen! Wanda Svensson!

Ågestam rzucił kartki na stół.

— Policjant w randze komisarza włamuje się do cudzych mieszkań. Na domiar złego dokonuje tego w towarzystwie oddziału policji! Czterdziestu ośmiu ludzi robi to na polecenie wysokiej rangi funkcjonariusza policji, który nie dostał na to pozwolenia.

— Skończyłeś?

— Wszcząłem dochodzenie w sprawie wtargnięcia do cudzego mieszkania bez odpowiedniego zezwolenia, w sprawie samowolnego działania i nadużycia władzy.

— Coś ci powiem. Stałem dziś rano nad zwłokami młodej kobiety, której bandyta pociął nożem udo i szyję, związał ją i wsadził do bagażnika, żeby się tam udusiła na śmierć...

— To nie ty stanowisz prawo!

— Niedaleko stąd, choć bardzo daleko od twojego eleganckiego biura, ukrywają się sprawcy tego zabójstwa. Mam w dupie to, jakie papiery podpiszesz, a jakich nie podpiszesz. W Råby nie obowiązuje żadne prawo. A przynajmniej nasze prawo jest tu bezużyteczne. Musimy więc sięgać po inne rozwiązania. W swoich kodeksach ich nie znajdziesz. Musimy postępować tak jak oni.

— Sześć obywaterek tego kraju, których nie podejrzewano o popełnienie żadnego przestępstwa, zostało potraktowanych przez ciebie jak przestępczyni tylko dlatego, że są spokrewnione z bandytami. Grens... nigdy byś nie zastosował takiej samej przemocy, gdyby właściciele tamtych mieszkań nazywali się inaczej i mieszkali gdzie indziej.

W czasie mowy wygłaszanej przez Ågestama Grens usiadł. Teraz znowu się podniósł.

Twarz mu poczerwieniała, żyły zapulsowały na skroniach, oparł się mocno na swojej sztywnej nodze.

— Ty pieprzony... gnojku...

Grens chwycił Ågestama za klapę marynarki i przyciągnął go do siebie.

— Co to za insynuacje?

— Twierdzę, że oceniasz ludzi w różny sposób.

Grens jeszcze mocniej zacisnął dłonie na klapach marynarki prokuratora.

— Ty durniu... mam w dupie takich jak ty, którzy żyją z dala od realnego świata i boją się popełnić najdrobniejszy błąd, żeby ktoś im nie zarzucił, że są stronnicy! To tacy jak ty żyją we własnym, wyobcowanym świecie i dlatego nie potrafią dostrzec świata innych ludzi! To tacy jak ty myślą, że jeśli tylko przez dłuższy czas nie zechcą sformułować jakiejś prawdy, to takiej prawdy nie będzie! I jeszcze jedno ci powiem, z wielką radością zrobię to samo w bogatym Djursholm albo na Östermalm, a nawet w siedzibie prokuratora, gdy tylko przyjdzie na to czas!

Grens puścił klapy i odepchnął Ågestama.

W sali zapadła kompletna cisza. Ågestam poprawił koszulę, krawat i klapy marynarki. Do komendy w Råby przyjechał pierwszy raz, bo ostatnio wiele prowadzonych przez niego spraw dotyczyło tego rejonu. Od dłuższego czasu przyglądał się śledztwom prowadzonym przez Pereirę i jego sekcję i od dawna chciał ich odwiedzić. Ale nie w takich okolicznościach.

Rozejrzał się po sali, skinął głową Pereirze, Marianie i Svenowi i ruszył w stronę drzwi.

— Właśnie wszcząłem w twojej sprawie dochodzenie wstępne.

Ågestam wyszedł, ale zanim zamknął drzwi, wrócił na chwilę do pokoju.

— I jeszcze jedno ci powiem: dokładnie wiem, co to za dzień.

Zebrani wsłuchiwali się w kroki na korytarzu, które po chwili ucichły. Potem popatrzyli po sobie. Czuli, jak gdyby energia nagromadzona wcześniej w pokoju ulotniła się razem z prokuratorem. Zostały tylko obraźliwe słowa i złość, jaką niosły.

Pereira zebrał kamizelki, broń i kominiarki — wynik przeszukania sześciu mieszkań — ale zostawił na biurku list Jensena.

— Zamordowali i nie poprzestaną na tym.

Dwa razy zaczął czytać list, ale ciągle nie mógł go skończyć.

— Ściga ich policja, odnieśli sukces, rosną i poszli w górę w przestępczej hierarchii.

Przejrzał kolejne strony listu.

— Nie mają innego wyboru. Muszą to ciągnąć.

...

Przed głównym wejściem do budynku policji w Råby znajduje się niewielki trawnik.

Nie jest aż tak zielony, jak powinien być, i nikt z niego w żaden sposób nie korzysta.

Tego popołudnia stało przy nim sześciu umundurowanych funkcjonariuszy z sześcioma psami, które kręciły się niecierpliwie w oczekiwaniu na początek pracy.

— Sven?

— Tak?

— Sprawdzamy każde mieszkanie, każdą komórkę w piwnicy.

Sven skinął głową w stronę budynku i okna na drugim piętrze, gdzie niedawno Ågestam krytykował ich za zaniedbania służbowe i łamanie prawa.

— Jesteś tego absolutnie pewien?

— Mają bombę. Bombę! Wystarczy jeden telefon. Tak, jestem pewien. Papiery nie są mi do niczego potrzebne.

Psy siedziały, czekając niecierpliwie, aż padnie komenda. Sven doliczył się przynajmniej czterech różnych ras. Jeden z psów, około półmetrowej wysokości, był nieco mniejszy od pozostałych. Miał białobrązowe, długie uszy i był typowym angielskim springer spanielem. Syn prosi go co roku o takiego psa i za każdym razem, gdy dostaje narty albo jakąś grę wideo, przeżywa rozczarowanie. Inny pies był trochę większy i przypominał belgijskiego psa pasterskiego. Za nimi siedziały dwa owczarki i dwa labradory. Różniły się między sobą kształtem nosów i szybkością ruchów. Były trochę wolniejsze od pozostałych. Wytresowano je, żeby umiały dostrzec to, czego nie potrafi dostrzec ludzkie oko.

— Zakładam, że sprawdzenie każdego mieszkania zajmie nam do dziesięciu minut. Osiem tysięcy mieszkań to osiemdziesiąt tysięcy minut na sześć psów.

Sven wyjął z kieszeni marynarki niewielki notes i ołówek. W dzisiejszych czasach niewielu policjantów posługiwało się takimi narzędziami. Ołówek, papier w linie.

— Dwieście dwadzieścia dwie godziny. Ponad dziewięć dób. Pod warunkiem że tyle wytrzymają.

Grens dobrze zapamiętał to, co niedawno zaprezentował im ekspert od bomb i materiałów wybuchowych. Wystarczy jedno połączenie telefoniczne i katastrofa gotowa. Spojrzał na psy, które miały do tego nie

dopuścić. Dwa z nich, te najmniejsze, zaczęły szczebrać z niecierpliwości i spoglądać na przewodnika, żeby wydał im polecenie.

Jesteś tutaj. Zbudowałeś bombę. Gdzieś ją podłożyłeś.

Przewodnicy ruszyli, prowadząc przed sobą psy. Sven poszedł z nimi. Postanowił przeszukać pierwszy kwartał od wschodniej strony, który nazywa się Råby Backe.

I na pewno jej użyjesz.

...

Grens spoglądał za nimi, aż znikli mu z oczu. Potem poszedł w stronę parkingu na tyłach komendy. Mariana czekała na niego przy otwartych drzwiach samochodu, wskazując palcem na oznaczenie.

Policja w Västerort.

— Może już czas, żeby go zwrócić?

Grens otworzył drzwi od strony kierowcy.

— Jeszcze nie.

Zanim wsiadł do wozu, spojrział na nią.

— Jak będą chcieli spalić kolejny radiowóz, lepiej, jeśli spalą ten niż któryś z naszych.

Grens jechał dość powoli, a jednak dopiero za Skärholmen zdecydowali się przerwać milczenie.

— Wiem, że się boisz, Ewert.

Grens jeszcze bardziej zwolnił.

— Po odprawie w kawiarni trzymałam cię za rękę. Wiem, że tego nie lubisz, bo nie potrafisz odróżnić intymności od przynależności. Jesteś taki jak oni. I właśnie to cię przeraża.

— Nie.

— Strasznie się boisz bliskości innej osoby.

— Nie. Bo to, czego się bałem, już się zdarzyło.

— Ewert?

— Tak?

— To tylko słowa.

— Słyszałem to od ludzi. To całkowita prawda. To, czego się bałem, już się zdarzyło.

— To tylko słowa. A jeśli ich nie rozumiesz...

— Posłuchaj...

— Boisz się. Nadal się boisz. Bez względu na to, ile razy powtarzasz cudze prawdy.

Grens nie patrzył na nią. Wzrok miał wpatrzony w jadący przed nimi samochód.

— Przestań mnie już zadręczać.

— Chcę z tobą porozmawiać. O twoich uczuciach. O twoim życiu.

— Moje życie to moja sprawa.

— Twoje życie, Ewert, twoje pieprzone życie obchodzi wszystkich, którzy się w nim pojawiają. Twoje życie, staruszkule, obchodzi wszystkich nas, którzy pojawiają się w nim od wielu lat.

Grens zatrzymał samochód na środkowym pasie autostrady A4.

Już po kilku sekundach usłyszeli za sobą trąbienie rozzłoszczonych kierowców.

Tuż przed nimi znajdował się zjazd na Fruängen i Bredäng. Przecież mógłby tam skręcić. Mimo to siedział bez ruchu za kierownicą. Mocno zacisnął na niej dłoń.

— Wiesz co? Odpierdol się ode mnie.

Mariana sama nie rozumiała, dlaczego zaczęła go nękać, zadawać pytania, domagać się odpowiedzi. Tak jakby wieloletnia złość, skradanie się na palcach, jego brak wzajemności, jego nieumiejętność normalnego funkcjonowania, wszystko to skupiło się w tej jednej chwili.

— Nie odzywaj się do mnie w ten sposób!

Mariana uderzyła go w twarz. Nie spuszczając z niego wzroku, odpięła pas. Odwróciła się od niego, wysiadła z wozu i ruszyła autostradą.

Grens jechał za nią powoli i obserwował, jak idzie wśród mijających ją samochodów.

W końcu opuścił szybę.

— Wsiadaj.

Odezwał się znów trochę głośniejszym głosem, żeby przekrzyczeć szum samochodów.

— Mariana, wsiadaj do wozu!

Mariana odwróciła się w jego stronę.

— Odpieprz się, dziadule! — powiedziała i ruszyła dalej.

...

Pusty peron jest coraz bliżej.

Próbowała coś dojrzeć przez okno wagonu, które w silnym blasku słońca przypominało cienką błonę. Råby. Przedostatnia stacja na czerwonej linii, między stacjami Hallunda i Norsborg. Kiedy drzwi się otworzyły, wstała i wyszła na peron. Oprócz niej nikt inny nie wysiadł.

Miała na sobie parę żółtych spodni i pomarańczowy sweter.

Policjanci wdarli się do jej mieszkania i rzucili ją na podłogę. Kiedy stamtąd odjeżdżała na tylnym siedzeniu radiowozu, miała na sobie szlafrok i kapcie. Jeden z policjantów ubranych w bluzę i hełm, ten sam, który zakuł ją w kajdanki, miał chyba bardzo zły gust. Otworzył szafę z ubraniami i wyjął z niej dwie sztuki ubrań, których od dawna nie wkładała, zwłaszcza w tym zestawieniu. Żółte spodnie i pomarańczowy sweter...

Ana zatrzymała się na peronie i czekała. Deniz przeciągnęła dłonią po włosach, które były mokre, kiedy ją aresztowano. Teraz były nieuczesane i odstawały jej na wszystkie strony. Poprawiła zbyt długą sukienkę, którą inny policjant w bluzie i hełmie przyniósł z jej szafy.

W samochodzie patrzyli na nią i ciągle pytali: „Gdzie on jest?”. Siedziała sztywno i tylko powtarzała „To nie mnie szukacie”. Ostre krawędzie kajdanek wrzynały jej się w nadgarstki. Siedziała wciśnięta w tylne siedzenie i czuła ból. Nie miała z tym nic wspólnego. Kiedy samochód wjechał do podziemnego garażu w Kronobergu, zaprowadzili ją na szóste piętro, zdjęli kajdanki i wskazali celę z zielonymi drzwiami. Kobieta w zielonym mundurze weszła z nią do środka i usiadła na jedynym w celi krześle. Pytania, które padły, były trochę dłuższe i było ich więcej. „Gdzie przebywa teraz Leon Jensen?” „Gdzie przebywa Gabriel Milton?” „Czy zdaje pani sobie sprawę, że łamie prawo, ukrywając miejsce pobytu przestępcy?” Na żadne pytanie nie odpowiedziała. Policjantka wyszła po chwili z celi, a ona usiadła na brzegu łóżka i siedziała tak w zupełnym milczeniu, spoglądając na drzwi, aż cztery lata, które spędziła kiedyś w zakładzie w Hinsebergu, stały się tak długie, jak półtorej godziny teraz.

Deniz poprawiła zmierzwione włosy i zbyt długą sukienkę i razem poszły na koniec peronu. Kamiennymi schodami wyszły z tunelu i opuściły stację. Przez cały ten czas nie zamieniły ze sobą ani jednego słowa. Nie musiały. Jeszcze niedawno siedziały w swoich celach, po obu stronach milczącej ściany. Przywieziono je tutaj z ich mieszkań, zastosowano wobec nich siłę, pokrzykiwano na nie. Wyglądało na to, że aby wrócić, będą musiały jeszcze raz przez to wszystko przejść. Doszły na rynek i ujrzały kilku policjantów stojących przy radiowozach. Jeden

kontrolował dwóch młodych mężczyzn, a pozostali utrzymywali resztę grupy w bezpiecznej odległości. Na otwartym placu, który na co dzień służył jako niewielkie boisko do piłki nożnej, stał zaparkowany bus z napisem „Centrum Dowodzenia”. Kiedy znalazły się na Råbyvägen, ujrzały jeszcze więcej policjantów, którzy stali wokół każdego wieżowca, tworząc kordon w kształcie rozległego koła. Ktoś trąbił, ktoś inny krzychał z balkonu, przy którym policjanci ustawili wysoką żelazną barierkę. Każdy samochód, który wjeżdżał i wyjeżdżał, był zatrzymywany i przeszukiwany. Kontrole prowadzono pod lufami karabinów. Kiedy znalazły się w pobliżu Råbygången, ujrzały kolejne grupy policjantów z psami. Zwierzęta machały ogonami i przyglądały się uważnie swoim przewodnikom, czekając na znak. Przewodnicy szli razem z psami w stronę dwóch klatek schodowych. Już niedługo zaczną robić to, do czego zostały wyszkolone. Nie mogą się już tego doczekać. Ana i Deniz szły powoli, aż w końcu się zatrzymały. Objęły się na pożegnanie i każda skierowała się w stronę swojego domu. Deniz do budynku przy Råby Allé 102, Ana trochę dalej, pod numer 34.

Otworzyła drzwi na klatkę, weszła do środka i poczuła smród dymu.

Okazało się, że dym wydobywa się od strony podwórza, cztery mieszkania dalej. Próbowwała zgadnąć, ile razy wozy strażackie, które dzisiaj mijają, musiały tu tego dnia wracać.

Rozpoznała go po plecach.

Trzymał w ręce mikrofon, kabel kończył się gdzieś pod kołnierzem jego grubej bluzy. Poczekała, aż skończył rozmawiać.

— Witam. To znowu pan.

Nie słyszał jej. Dopiero po chwili ujrzał tę, której miał nadzieję już nigdy więcej nie widzieć.

— To pani?

— Motocykl kwadrans po szóstej. Kontener dwadzieścia po ósmej i radiowóz tuż przed dziesiątą. To tylko przed południem. Ile razy już pan tu był od tamtej pory?

— Prosiłem już, żeby pani dała mi spokój.

— Byłam przez kilka godzin w mieście, ale niech zgadnę... siedem razy? Czyli dziesięć razy tylko tego dnia? Czy to typowy dzień? Co tym razem? Wygląda na to, że pali się kontener na śmieci.

Strażak odwrócił się do niej plecami i podszedł do innego strażaka, który trzymał w ręce wąż. Za chwilę podłączą go do pompy wodnej.

Ana poszła za nim.

— Potrzebuję pana pomocy.

Strażak się nie odezwał.

— Jeśli tak to mogę określić.

Podeszła do niego i dotknęła jego bluzy, na której napis „Straż Pożarna w Södertörn” krzyżował się z napisem „Dowódca Jednostki”.

— Właściwie to dlaczego wy to ciągle gasicie?

Dopiero teraz się do niej odwrócił.

Było zbyt ciemno, żeby określić, czy napięcie na jego twarzy jest spowodowane złością.

— Bo taką mamy pracę.

— To znaczy, że wasza praca polega na ratowaniu Råby, chociaż my, mieszkańcy tej dzielnicy, chcemy ją spalić?

Teraz była już pewna, że jej słucha.

— Przyjeżdża pan tu i gasi płonące motocykle, ogrodzenia i kontenery na śmieci. Robi pan to dziesięć razy dziennie. Czy pan nadal nie rozumie? Będzie to trwało dopóty, dopóki ktoś nie stwierdzi, że trzeba z tym skończyć.

Jego głos nie brzmiał agresywnie. Nie był nawet poirytowany.

Raczej zmęczony.

— Jeszcze raz panią proszę. Niech pani stąd pójdzie i zostawi mnie w spokoju.

Im wyżej, tym słabiej czuć było dym.

Kiedy wsiadła do windy i wjechała na czwarte piętro, w ogóle go nie czuła.

Stała przed drzwiami mieszkania, które należało do niej od czasu, gdy dawno temu wyprowadziła się z rodzinnego domu. Ostrożnie ujęła dłonią klamkę, nacisnęła ją, otworzyła drzwi i weszła do mieszkania, które nie było już tylko jej mieszkaniem. Usiadła w kuchni na podłodze w tym samym miejscu, gdzie kilka godzin wcześniej policjant przycisnął ją kolanem.

Strażak, który gasi pożary. Potrzebuje go.

Żeby nikomu nie stała się krzywda.

...

Policzek nadal go szczypał. To było mocne uderzenie.

Nazwała go „dziadem”, wymierzyła mu policzek, wysiadła z samochodu i ruszyła przed siebie środkowym pasem autostrady A4. Jechał za nią i po chwili włączył niebieskie pulsujące światło. Nic nie

rozumiał. To przecież ona go obraziła, nie odwrotnie. Nigdy jej nie rozumiał. Czasem czuł się przez nią niepewnie, patrzyła na niego inaczej niż wszyscy. Niekiedy śmiała się z niego, aż czuł się zażenowany. Przypomniawszy sobie, jak pięć lat wcześniej zatrzymali pewnego Amerykanina skazanego w Ameryce na śmierć. W trakcie prowadzonego śledztwa Mariana prawie go zmusiła, żeby poszli potańczyć do jakiegoś lokalu w Sztokholmie. Spoliczkowała tam pijanego faceta, który spytał, ile lat ma jej partner i ile zapłacił jej, dziwce z Rinkeby, żeby z nim tu przyszła. Potem poprosiła, żeby zespół zagrał piosenkę *Tunna skivor* z repertuaru Siw Malmkvist, i poprosiła go do tańca. Sprawilo mu to prawdziwą przyjemność. Tańczył wtedy z kobietą po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat.

Była jak córka, której on i Anni nie zdążyli się doczekać.

— Słyszałem, że Ågestam skrytykował wasz nalot w Råby.

Erik Wilson zatrzymał się przy automacie do kawy na korytarzu wydziału śledczego komendy w Kronobergu.

— Tak. Pewnie nie miał wypełnionych formularzy dla grupy brutalnych osiemnastolatków, którzy w ciągu kilku godzin najpierw uciekli z jednego strzeżonego więzienia, czterdzieści minut później uciekli z drugiego strzeżonego więzienia, dokonali zabójstwa, skonstruowali przynajmniej jedną bombę i nadal przebywają na wolności, są przestraszeni i agresywni i z każdą minutą stają się jeszcze bardziej przestraszeni i jeszcze bardziej agresywni. A kiedy brakuje formularzy, biurko staje się czasem większe niż realny świat za oknem.

Grupa brutalnych osiemnastolatków. Groźnych dla otoczenia.

— Dostałem pięćdziesiąt siedem pytań od dziennikarzy. Staram się unikać odpowiedzi. Wybieram się na rozmowę do komendanta głównego policji, a potem do ministra sprawiedliwości. Będą mi zadawać różne pytania, a ja będę próbował jakoś wykręcić się od odpowiedzi, bo nie wiem, jak odpowiadać. Rób, co chcesz, Ewert, masz moje pełne poparcie. Chcę, żebyś bez względu na wszystko kontynuował pościg. Masz ich znaleźć. W tym samym czasie ja pomogę Ågestamowi wypełnić formularze.

Pół filiżanki kawy z automatu.

Grens gardził tym, czym Wilson dawniej zajmował się w policji. Nadzorował policyjne wtyczki w środowisku przestępczym, które dopuszczały się przestępstw, żeby rozpracować inne przestępstwa. Kłamstwa i prawda na tym samym policyjnym korytarzu. Jednak pogląd

Wilsona na całą tę sprawę i jego elastyczność sprawiały, że łatwiej było współpracować z nim niż z jego poprzednikiem.

— No to co masz?

Grens wzruszył ramionami.

— Co mam? Zdjęcia białego mercedesa, czerwoną torbę sportową z nadrukiem *Adidas* i list od dziecka, które chce być groźne. List przypomina wszystkie inne listy pisane przez dzieci, które chcą być groźne. Mam bagnet, dwie pary nunczako, kominiarkę i kamizelki kuloodporne, do których można strzelać ze scudów.

Kolejna filiżanka kawy.

— Właśnie to mam.

Wilson pił herbatę. Jakiś gatunek zielonej.

— Ile to jeszcze potrwa?

— Nie wiem.

— Minęły prawie dwadzieścia dwie godziny.

— On jest tutaj.

— A jego matka?

Obaj spojrzeli po sobie.

Już dawno temu o niej zapomnieli. Teraz będą musieli sobie o niej przypomnieć.

— To jedna z osób, na które nie dostaliśmy zgody od Ågestama. Uważa, że w jej przypadku złamaliśmy prawo.

Leżała w swojej celi z dzieckiem u boku, a przed celą stali dwaj policjanci i pilnowali jej. Pierwszy przepracował w policji połowę swojego życia zawodowego, drugi był młodszy i służył od dwudziestu lat.

— Nic?

— Nic.

Teraz każdy z nich jest starszy. Obydwaj chcą powiedzieć coś więcej. Że wszystko jakoś się ułoży. Że wszystko zawsze się jakoś układa.

— No to czego ty chcesz, Ewert?

— Nachodzimy ich, sprawdzamy, przeszukujemy i nic nam to nie daje. Chcę pójść dalej. Chcę tam wprowadzić stan wyjątkowy.

— Może to zrobić tylko rząd.

— Chcę otoczyć kordonem policji całe Råby. Chcę wprowadzić zakaz opuszczania mieszkań. Zamierzam to urządzić tak, żeby od tej pory nikt nie mógł stamtąd wyjść ani tam wejść, dopóki nie zostanie sprawdzony.

— Stan wyjątkowy można wprowadzić w sytuacji, gdy istnieje zagrożenie dla istniejących struktur społecznych albo dla życia ludzkiego.

— No właśnie.

— Co?

— Na południe i na zachód od Sztokholmu, Göteborga, Malmö. Płonące przedmieścia i twarze młodych mężczyzn na fotografiach, którzy piszą listy jak dzieci, bezwzględne zasady męskich klubów. W samym tylko Råby doliczyliśmy się siedemnastu młodzieżowych gangów. Pięć tysięcy dzieciaków jest na dobrej drodze, aby stać się przestępcami, bo obserwują i podziwiają tych, którzy tam rządzą. To dla nich wzory do naśladowania! Bez względu na to, ile informacji zachowamy dla siebie, i bez względu na wszystkie głupie konferencje prasowe, które organizujemy, oni i tak od prawie doby zapełniają kolumny gazet i programy telewizyjne. To nowi celebryci! Uciekli z więzienia, zamordowali kobietę i podłożyli gdzieś bombę, która wybuchnie, kiedy tylko zechcą! Powiedziałaś, że stan wyjątkowy można wprowadzić w sytuacji, gdy istnieje zagrożenie dla istniejących struktur społecznych albo dla ludzkiego życia. A ja chcę wprowadzić stan wyjątkowy dla tych, którzy właśnie wprowadzili swój własny stan wyjątkowy!

— To niemożliwe.

— No to nazwijmy go jakoś inaczej!

Torebka z zieloną herbatą już naciągnęła. Wilson wyrzucił ją do kosza na śmieci. Spróbował napoju... woda była trochę za ciepła, ale całkiem niezła, jak na wodę z automatu w państwowej instytucji.

Spojrzał na siedzącego przed nim mężczyznę, który kiedyś był jego przełożonym.

Wtedy, przed laty, wszystko było o wiele prostsze.

— Zgoda. W takim razie nazwiemy to inaczej.

...

Kanapa, biurko. Tylko w tym pokoju odczuwał spokój. Przejrzał się w lustrze wiszącym w garderobie, marynarka nadal leżała na nim jak trzeba. Uczesał się, choć włosów pozostało mu niewiele. Zaczął się zastanawiać, czy spodobałoby jej się to, co by teraz widziała. Wprawdzie nie przypomina już mężczyzny, którego poznała kiedyś w szkole policyjnej, ale nadal jest wysoki, trochę bardziej barczysty. Twarz mu się postarzała, ale taka jest natura twarzy: starzeją się w miarę upływu lat. Położył się na kanapie. Jakiś rok temu zrobił to, co od lat robił w każdy wtorek: pojechał do domu opieki, w którym już jej nie było. Patrzył w okno pokoju, w którym już nie mieszkała, i usłyszał, że nie jest tu już

mile widziany. W następny wtorek znowu tam pojechał, ale zatrzymał samochód na moście. *Niech pan tu więcej nie przyjeżdża.* Zawrócił i jeździł bez celu po mieście, które zapomina o samotnych ludziach. Po pewnym czasie zatrzymał się na obrzeżach Solny przed budynkiem, w którym przed wielu laty mieściła się szkoła policyjna. To tam się poznali. Wysiadł z wozu i poszedł na spacer w miejsce, gdzie kiedyś rosły drzewa i krzewy. Teraz stoją tam wieżowce, teren jest zabetonowany. Odnalazł kawiarnię, gdzie zazwyczaj pili razem czarną kawę. Personel był już inny, wystrój bardziej nowoczesny, ale pobyt w tym miejscu sprawił mu przyjemność. Potem przychodził tam w każdy kolejny wtorek o tej samej godzinie. Rozmowy, jakie przez trzydzieści lat prowadził w domu opieki z kimś, kto już dawno nie żył, przeniósł w miejsce, które odwiedzali razem, gdy była jeszcze zdrowa. Teraz prowadzi je z kimś, kto już na pewno jest martwy. Jest mu żal i zawsze będzie mu żal, ale nie siebie, tylko jej.

Kroki w korytarzu.

Chyba się zdrzemnął. Za oknem nie jest już tak jasno jak wcześniej.

Ktoś przeszedł koło jego pokoju. Zatrzymał się. Zawrócił. Otworzył drzwi.

Mariana.

Grens ujrzał na jej czole krople potu.

— Musimy potem porozmawiać.

Zajrzała do środka, coś powiedziała i zamierzała zamknąć drzwi.

— Mariana?

Hermansson pokręciła głową.

— Szłaś dalej?

— To będzie długa rozmowa.

— Pytałem, czy szłaś dalej środkowym pasem?

Nie odpowiedziała, ale nie oczekiwał odpowiedzi.

Wstał z krzesła, żeby się trochę przeciągnąć. Zaczął chodzić po pokoju. Zatrzymał się przed mapą wiszącą między oknami i spojrzał na czerwoną kreskę narysowaną mazakiem. Kreska oznaczała wolność dla tych, co uciekli samochodem, i śmierć kobiety zamkniętej w bagażniku, która dobijała się o życie. Podszedł bliżej i przesunął wzrokiem wzdłuż linii nad jeziorem, skąd do Råby jest już tylko dwadzieścia minut piechotą. Z góry to niezbyt duży obszar. Białe czworokąt między żółtą kreską oznaczającą autostradę i czarną kreską oznaczającą linię metra.

— Sven?

Zadzwoił do Svena, który o tej porze znajdował się jeszcze na tamym terenie, w jednym z tych białych czworokątów. Pewnie idzie

jakimś korytarzem w towarzystwie psa i specjalisty od rozbrajania bomb.

— Słucham?

— Macie coś?

— Nic.

— To, co mamy, nam nie wystarczy!

— Sześć psów, pięć godzin. Przeszukaliśmy sto osiemdziesiąt mieszkań. Potrzebujemy wsparcia.

— Jutro.

— Zostało nam siedem tysięcy osiemset dwadzieścia mieszkań.

— Dostaniesz sześć psów jutro do wpół do siódmej rano. Dwa od policji w Malmö i cztery od celników.

— Załatw nam też ślusarza. Nawet dwóch albo trzech. Niektórzy właściciele mieszkań nie chcą otworzyć nam drzwi.

— Będą tam za godzinę.

Wziął mazak i narysował na mapie nową kreskę. Autostrada stanowi jedną część ramy, linia metra drugą. Wystarczy dorysować dwie krótkie kreski, żeby je ze sobą połączyć. W ten sposób powstanie długi łańcuch zapór drogowych, policyjnych patroli, przewodników z psami, umundurowanych funkcjonariuszy i policjantów po cywilnemu, którzy otoczą Råby i stworzą zamknięty obszar, z którego nikt nie będzie mógł się wydostać.

Pukanie do drzwi. To znowu ona. *Musimy potem porozmawiać.* To już teraz?

— Wejdz.

Lars Ågestam.

— To ty?

— Czekales na kogoś innego?

— Mów, czego chcesz, i wyjdz.

Prokurator trzymał coś w ręce. Mówił znacznie ciszej niż kilka godzin wcześniej.

— Widzę, że zostałeś dłużej w pracy.

— Czego chcesz?

— Myślałem, że może jednak nie zostałeś. To znaczy dzisiaj.

Grens poruszył się niespokojnie.

— Wszystko u ciebie w porządku?

— Chcesz czegoś ode mnie czy nie? Już mi dzisiaj nagadałeś i zaczynasz mnie męczyć.

— Czasem zachowujesz się jak krety. Popełniłeś błąd. Ale nie w tej sprawie tu przyszedłem.

Grens zachnął się, ale nie nakrzyczał na niego ani nie wyrzucił go z pokoju.

— Dzisiaj poczęstowałeś nas kawą.

— No i?

— I ciasteczkami.

— Już się skończyły.

Wygląda na to, że po wyjściu z domu Grens jeszcze raz cesał swoje rzadkie włosy, i to całkiem niedawno. Ågestam nie przypominał sobie, żeby aż przez tyle godzin leżały gładko zaczesane. *Zrozum w końcu: dokładnie wiem, co to za dzień!* Wyjął długą drewnianą skrzyneczkę i postawił ją na biurku.

— Zamówiłem ją w sklepie monopolowym. To dobry rocznik, tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty drugi. Ma sześćdziesiąt lat.

Grens się nie odezwał. Wziął do ręki skrzyneczkę i otworzył ją. Piękna butelka. To takie dziwne. Jeszcze przed chwilą czuł dyskomfort na myśl o tym, że obcy chce się do niego zbliżyć, stać się częścią jego dnia. I nagle zrobiło mu się przyjemnie, że tak się stało. Postawił butelkę wśród stosu papierów na biurku i zaczął dokładnie oglądać etykietkę, żeby nie patrzeć Ågestamowi w oczy.

— Niektóre rzeczy stają się z upływem lat coraz lepsze.

Grens uniósł butelkę i znowu nie skomentował słów prokuratora.

Faktycznie, czasem wieczorem naprawdę dobrze jest wypić szklaneczkę takiego alkoholu.

Ågestam wyjął z teczki korkociąg i dwa kieliszki do koniaku.

— W zasadzie powinniśmy podać do niego kawę. Ale ty i tak pijesz dużo kawy, więc tym razem możemy ją sobie odpuścić. Dostałeś prezenty?

Ågestam napełnił oba kieliszki do połowy.

— Od ostatniego razu minęło trzydzieści lat.

Stuknęli się kieliszkami i wypili pierwszy łyk.

— Ale w końcu dostałeś to, co chcesz?

— Armagnac? Tak, to miłe.

— Mam na myśli sprawę o morderstwo.

Grens uśmiechnął się lekko.

— Tak. Sprawę o morderstwo.

Przez kilka minut się nie odzywali. Stali blisko siebie i popijali brandy, aż opróżnili oba kieliszki.

— Chcesz spędzić ten wieczór zupełnie sam?

Grens skinął głową. Ågestam zabrał kieliszki i drewnianą skrzyneczkę i wyszedł na korytarz. Kiedy był już koło kopiarki, Grens pobiegł za nim i podał mu rękę.

— Dziękuję.

Dziwne uczucie nadal go nie opuszczało.

Wrócił do pokoju, popatrzył na piękną butelkę i poczuł zadowolenie. Nie dlatego, że Ågestam wiedział, tylko dlatego, że wiedział, a mimo to nic nie mówił, tylko przyszedł sam z siebie i po krótkiej chwili wyszedł. Zrozumiał.

Ostatnim razem, kiedy naprawdę dzielił się z kimś swoją radością, miał dwadzieścia dziewięć lat. Tym razem był to ktoś inny. Przypomniawsobie, jak okropnie się czuł, gdy świętował pięćdziesiąte urodziny. Impreza odbywała się w ogrodzie, a on siedział na krześle wciśnięty między Svena, który wiedział, jak się wtedy czuł, a Bengta i Lenę, którzy nie mieli o tym pojęcia. Za każdym razem, gdy musiał się uśmiechnąć i dziękować tym, którzy go zaskoczyli, kurczył się coraz bardziej.

Tym razem czuł się zupełnie inaczej. Wypił kieliszek mocnego alkoholu, patrzył na Ågestama i alkohol bardzo mu smakował.

Może następnym razem, gdy skończy sześćdziesiąt jeden lat.

Może wtedy.

...

— Skończyłeś?

Mam godzinę śmierci, która się zgadza.

Jeszcze tylko wyniki badań DNA, krwi, testy włókien i odciski palców...

— Za chwilę.

Kiedy będę to wszystko miał...

— Nils, potrzebuję ich...

...dalej już nie będę odpowiedzialny.

— Ewert?

— Tak?

Do moich obowiązków nie należy troska o konsekwencje.

— Możesz już do mnie zejść.

Nawet wtedy, gdy cię schwytam i znowu zamknę.

Bardzo naciskał Krantza. Jest późny wieczór i zaraz otrzyma odpowiedzi na swoje pytania, choć normalnie potrzeba na to całej doby.

To jego dzień i dostał nawet prezent. Sprawę o morderstwo. Teraz ten prezent otworzy.

— Włożyłeś jasną marynarkę, a na dodatek pachnie od ciebie alkoholem.

Krantz stał przy jednym z długich stołów i trzymał w ręce czarną torbę.

— Tak.

— Nigdy wcześniej nie widziałem cię w jasnym kolorze. Nigdy też nie widziałem, żebyś wypił choćby kieliszek tego, czym teraz pachniesz.

— Chyba masz rację.

— Ewert?

— Nic się nie stało.

— Znamy się od...

— Naprawdę nic.

Obserwowali się wzajemnie, stojąc na środku pokoju pełnego torebek z tkankami po obdukcji i białych bagietek, na których widać resztki krwi. Przed wielu laty mogli siedzieć wieczorem w wygodnych fotelach i oglądać telewizję. Dzisiejszy wieczór, podobnie jak wiele innych, spędzą w pracy, bo wolą zająć się czymś konkretnym niż siedzieć w pustych mieszkaniach.

Teraz stoją po obu stronach stołu, na którym leżą trzy różne dokumenty.

W ustach ofiary AB/4409-12/G234 (zbadano próbki pobrane spomiędzy przednich górnych zębów) znaleziono ślady DNA. Wyniki badań wskazują jednoznacznie, że nadmienione ślady DNA pochodzą od Jensena (stopień: +4).

Grens przesunął palcem po tekście.

Na tylnym siedzeniu samochodu AB/2344-12/G342 (zbadano ślady na dolnej części pokrowca) znaleziono krew. Wyniki badań wskazują jednoznacznie, że krew należała do Jensena (stopień: +4).

Krantz podkreślił ołówkiem najważniejsze słowa. Później stworzy z nich podsumowanie, które znajdzie się w końcowym raporcie.

Na spodniach ofiary AB/4513-12/G018 (zbadano plamy na dolnej części lewej nogawki) znaleziono włókna. Wyniki badań wskazują jednoznacznie, że włókna pochodzą od Jensena (stopień: +4).

— To trzy dowody.

— Tak. Gdybyś wiedział, jak bardzo naciskałem na tych z laboratorium kryminalistycznego i kazałem im...

— A czwarty?

— Słucham?

— Czwarty dowód, odciski palców. Mówiłem ci, że chcę mieć cztery dowody.

Kilka godzin wcześniej Krantz nakrzyczał na Grensa i zrzucił na podłogę dwa mikroskopy. Nie warto było. Już nigdy więcej tego nie zrobi.

— Już niedługo.

Krantz włożył gumowe rękawiczki i z jednej z papierowych torebek leżących na stole ostrożnie wyjął kawałek taśmy klejącej, którą kilka godzin wcześniej odciął z nadgarstków martwej kobiety. Teraz umieścił go na kratce w czerwonej metalowej szafce. Do aluminiowej formy na palniku stojącym na samym dole szafki dodał piętnaście kropli kleju CNA.

Przy temperaturze stu pięćdziesięciu stopni za szklaną szybką zaczął uwalniać się dym.

— Marynarka? A do tego alkohol?

— Naprawdę nic się nie stało.

Miseczka letniej wody i puszka żółtawego proszku. Krantz wymieszał składniki, rozgniół i przelał żółtą ciecz do butelki.

Dziesięć minut. Gaz, który miał białe zabarwienie, stał się przezroczysty. Krantz wziął kawałek taśmy, obejrzał go w dużym powiększeniu i skinął głową.

Wyraźne odciski palców.

Wylał na nie żółtawą ciecz i wodę, żeby ją potem spłukać. Po tym zabiegu odciski zaczęły świecić. *Należą do osoby, która wcisnęła jej skarpetkę do gardła, a potem zakleiła usta taśmą.* Przyniósł lampę, dzięki czemu odciski mógł zobaczyć także Grens. Krantz porównał je z odciskami znalezionymi podczas obdukcji, które umieścił na przezroczystej folii.

— Możemy wykluczyć, że to jej odciski.

— Na pewno?

— Tak.

— No to czyje?

— Dowiemy się za kilka minut.

Wyszli z pokoju i przeszli na sam koniec korytarza, gdzie znajdowały się zamknięte drzwi prowadzące do innego pomieszczenia.

— To pokój naszego eksperta od medycyny sądowej. To jego krzesło i to on jest tu specjalistą. Ale o tej porze dnia... No i widzę, że ci zależy... dlatego dzisiaj sam to zrobię.

Ciasne pomieszczenie. Krantz przerzucił ze skanera do komputera odciski palców, które przed chwilą świeciły na folii. Grens stanął za nim, żeby lepiej widzieć.

— Ustaw ekran, bo odbija się od niego światło. Lepiej będzie, jak usiądę obok ciebie.

Ma trzy dowody.

Potrzebny mu czwarty.

Od rozmowy, którą przeprowadził w środku nocy, odczuwa niepokój.

— Jeden szczegół.

Teraz, kiedy na ekranie monitora oglądał powiększony obraz, uczucie niepokoju jeszcze bardziej się wzmogło.

— I jeszcze jeden.

Krantz uważnie studiował linię papilarną. W pewnym miejscu podzieliła się na dwie, tworząc rozwidlenie. Musi mieć osiem, a nawet dziesięć szczegółów, najlepiej jeszcze więcej. Unikalnych szczegółów odcisków palców. Pojawiają się przed przyjściem na świat, zostają po śmierci. Kolejna linia biegła trochę bliżej środka i w pewnym miejscu nagle się urywała, żeby kawałek dalej znowu się pojawić.

— Popatrz, prawy splot, widzisz? Wygięty w kształcie łuku. Delta.

Każdy nowy szczegół stawał się czerwonym punktem na ekranie monitora i tworzył sieć, która coraz bardziej przypominała wzór.

— Jedenaście szczegółów. To nam wystarczy, teraz będziemy już pewni.

W ciągu kilku sekund wzór na ekranie zostanie porównany ze wzorami innych odcisków palców. W policyjnej bazie jest ich sto dwadzieścia tysięcy.

— Trafienie.

Grens przyjrzał się obu zdjęciom na ekranie. Czerwone punkty tworzyły identyczny wzór.

Poczuł ulgę.

— Jesteś absolutnie pewien?

Krantz wskazał na czerwone linie łączące punkty charakterystyczne tylko dla jednego człowieka.

— Jedenaście szczegółów. Tak. Jestem absolutnie pewien. Teraz wystarczy już tylko jedno naciśnięcie klawisza.

Numer osobowy: 931020-0358.

Leon Jensen.

...

Nie odczuwał zmęczenia. Było już ciemno, a on jechał autostradą na południe. Za każdym razem, gdy działa pod wpływem adrenaliny, a podekscytowanie rośnie, zamiast spadać, doznaje tego samego, dziwnego uczucia.

Jeszcze niedawno miał tylko trzy dowody.

Na taśmie zawiązanej na nadgarstkach ofiary AB/10942-12G/009 znaleziono pięć odcisków palców pochodzących z dłoni numer jeden. Dokonano przeszukania bazy danych. Odciski z całą pewnością należą do Jensena (stopień: +4).

Teraz ma już cztery dowody i zna dokładną godzinę śmierci. W sumie to pięć elementów.

Jechał z dużą prędkością do kobiety, która urodziła swoje dziecko w więziennej celi. Stał wtedy obok Wilsona, a ona patrzyła na niego. Miała siedemnaście lat. Dziecko przez krótką chwilę leżało na jej brzuchu.

Zjazd z autostrady w pobliżu budynku policji. W oddali widać jeden z wieczornych składów, który wkrótce zatrzyma się na stacji Råby. Wsiądą z niego ci, co wracają do domu, a wsiądą ci, którzy pojedą w przeciwną stronę. Jedzie niebiesko-białym radiowozem z logo policji na bocznych drzwiach. Rzadko takim jeździ. O wiele łatwiej jest zmieniać pas na autostradzie. Wjechał na teren dzielnicy i zaparkował przed wejściem do budynku na Råby Allé 34.

W windzie śmierdziało, ale tym razem postanowił zatkać sobie nos i pojechać zamiast wchodzić po schodach. Zaczął nawet czytać bazgroły

w miejscu, gdzie kiedyś wisiało lustro, chociaż treść tekstu była mu najzupełniej obojętna.

Czwarte piętro. Jest w domu. Nie próbuje tak jak inni ukrywać się za drzwiami. Przez wizjer w drzwiach przeświecało światło zapalone w przedpokoju.

— Tego już za dużo.

— Chciałbym pani coś pokazać.

— Już pan u mnie był przed południem i zadawał pytania. Kilka godzin później przysłał pan tu swoich ludzi, żeby rzucili mnie na podłogę.

— Proszę otworzyć. Chcę pani coś pokazać. Potem sobie pójdę.

W każdej klatce schodowej słychać różne dźwięki. Na tym piętrze jest sześć mieszkań. Grens doliczył się piętnastu osób. Każda z nich zajęta swoimi sprawami.

Kobieta przekręciła klucz w zamku. W szczelinie między drzwiami a futryną pojawiła się jej dłoń. Wokół nadgarstka miała czerwony ślad, skóra była podrażniona. Kajdanki mocno werżnęły jej się w skórę.

— Proszę tego posłuchać.

Grens podał jej odtwarzacz CD i słuchawki.

— Nie rozumiem.

— Nagranie trwa dziesięć sekund, nie dłużej.

Kobieta nadal stała w uchylonych drzwiach. Z wahaniem wzięła od niego słuchawki i założyła je na uszy.

— Proszę słuchać.

Zduszony dźwięk, jakby bulgotanie.

— Słyszała pani?

Kobieta nie odpowiedziała.

— Puszczę to jeszcze raz.

— Możemy jechać.

— A ona?

— Teraz już będzie trzymać głowę na kłódkę.

Ana spojrzała na Grensa. Jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

— Czy pani wie, co to za nagranie?

Nie odpowiedziała. Nawet na niego nie spojrzała. W tej chwili Grens dla niej nie istniał.

— Mogę wejść?

Ana wyszła na korytarz i zamknęła drzwi za sobą.

— Już nigdy więcej nie wejdzie pan do mojego mieszkania.

— To, co pani słyszała...

— Wiem, co słyszałam.

Grens odczekał, aż kobieta zdjęła słuchawki. Dopiero wtedy wyjął cztery kartki.

— Proszę to przeczytać.

Nawet nie westchnęła.

Wzięła od Grensa kartki i zaczęła czytać: o taśmie na nadgarstkach ofiary, o tylnym siedzeniu w samochodzie, którym uciekali przestępcy, o spodniach ofiary i o jej ustach. Potem, nie oglądając się na niego, weszła do mieszkania i zamknęła drzwi na klucz.

...

— On się z panią skontaktuje!

Ana stała w przedpokoju. Półka na czapki nadal była pusta. Ana stała w miejscu. Ale nie upadła na dywan ani się nie rozpłakała.

— A wtedy pani skontaktuje się ze mną.

Minęła sypialnię, gdzie na podłodze leżały szuflady powyciągane z szafy. Wszystko z nich wyrzucili i wywrócili do góry nogami. Zdjęli obrazy w dużym pokoju i ustawili je na podłodze motywem do ściany. Weszła do kuchni, stanęła przy stole i dopiła prawie zimną kawę. Potem zapaliła papierosa.

Grens został za drzwiami. Znowu nacisnął dzwonek i coś do niej wołał.

Przed chwilą wysłuchiwała nagrania. Zawierało głos osoby, która odebrała innemu człowiekowi życie. Przeczytała kartki, które dał jej Grens.

Ale nie upadła na dywan ani się nie rozpłakała.

Grens znowu zadzwonił do drzwi. Pewnie teraz klęczy przy otworze na listy z przysuniętymi do niego ustami.

— Czy pani nie rozumie? Musi nam pani pomóc.

Mogłaby mu jakoś odpowiedzieć, na przykład „Tego już za wiele”. Ale nie zrobiła tego. Dopiła kawę i zapaliła kolejnego papierosa. Spojrzała

przez okno na okoliczne domy. Wszystkie są takie same.

Twój tata.

Ty.

I ci, którzy każdego dnia oglądają cię w telewizji i marzą, żeby zostać kimś takim jak ty.

Grens znowu zadzwonił. W końcu dał sobie spokój. Usłyszała, jak wchodzi do windy i zjeżdża na parter.

Odczekała chwilę, żeby się upewnić. Za drzwiami nadal panowała cisza.

Zeszła na półpiętro i otworzyła zsypanie.

Podniosła klapę, wsunęła do środka rękę i zaczęła nią przesuwać po betonowych ścianach, gdzie niedawno przykleiła tamtą rzecz taśmą.

Już nic nie czuje.

Przez moment trzymała reklamówkę w ręce, potem lekko ją rozhuśtała i spuściła na dół. Po chwili usłyszała odgłos uderzenia. Reklamówka spadła na dno zsypu.

Do mieszkania wróciła z ulgą.

Zimna kawa i papieros. Spojrzała na zamknięte drzwi mieszkania. Tego już za dużo, szepnęła.

...

— Już kończysz pracę?

Przecież i tak wie, że Werner tu jest.

— Jeszcze nie.

W tym budynku pełno jest starszych mężczyzn, którym nie spieszy się do domu.

— Chcesz czegoś?

Grens nie spodziewał się, że Ana da mu adres, pod którym ukrywa się jej syn, albo że go stamtąd sprowadzi. Chciał ją tylko zachęcić, żeby to zrobiła, gdy uzna, że powinna. Poszło mu jednak gorzej, niż oczekiwał. Musiał klęknąć przed drzwiami i wołać do niej z ustami przystawionymi do otworu na listy. Tego nie planował.

Wyszedł od niej, wsiadł do radiowozu i wrócił do centrum Sztokholmu.

— Chodzi mi o telefon.

— Tak?

Prowadził z niezbyt dużą prędkością. Uznał, że przyjemnie będzie z kimś porozmawiać, zwłaszcza że zapadł zmrok i zaczął padać deszcz.

— Ktoś z niego znowu korzystał?

Poszedł do Wenera na dziewiąte piętro, gdzie były pomieszczenia, z których prowadzi się nasłuchy.

— Nie. Nie mam niczego nowego. Tylko to, co już słyszałeś.

Jeden z osadzonych w Aspsås miał na oddziale ukryty telefon komórkowy. Werner nie mógł ujawniać żadnych szczegółów, ponieważ podsłuch dotyczył innego śledztwa.

— A jeśli jednak jest używany?

Obaj wiedzieli, że telefon został wyniesiony z oddziału za mury, był w jadącym samochodzie i być może używa go teraz ten, który zamordował.

— Jeśli tak jest, to nie wolno mi o tym mówić. Dobrze o tym wiesz.

— A więc sytuacja jest mniej więcej taka jak wtedy, gdy widzieliśmy się dziś rano?

Werner się uśmiechnął.

— Mniej więcej.

...

Grens zaparkował w miejscu przeznaczonym dla samochodów używanych przez śledczych i przez chwilę siedział za kierownicą. Nocą podziemny garaż policyjny był pusty.

Trochę przemarzł. Rzadko mu się to zdarza. W garażu, gdzie nawet w najgorętsze dni panuje chłód, o tej porze roku było naprawdę zimno.

Wysiadł z samochodu i ruszył w stronę windy, ale w połowie drogi rozmyślił się i skierował w stronę blaszanej konstrukcji stojącej na czterech miejscach parkingowych. To tu znajduje się część garażu wydzielona dla techników kryminalnych.

Cicho. Pusto. Zapalił lampę. Samochód stoi na swoim miejscu. Biały mercedes.

Chwycił klamkę i okazało się, że wóz nie jest zamknięty. Otworzył drzwi i w nozdrza uderzył go od razu mocny zapach kleju. Krantz pooblepiał taśmą ściany, podłogę i siedzenia.

Usiadł w fotelu kierowcy, który był przykryty ochronną folią. *Ty też tu siedziałeś i słyszałeś, jak dziewczyna kopie w bagażniku.* Przesiadł się na

tylne siedzenie i położył się na nim. *Leżała tutaj, a ty uderzyłeś ją trzy razy, żeby wzbudzić podziw tamtych.*

Wtedy jeszcze żyła.

Grens wysiadł z samochodu, obszedł go, zatrzymał się przy zamkniętym bagażniku i zapukał w niego, jakby nieobecny myślami. Dźwięk rozszedł się po betonowym pomieszczeniu, odbił od ścian i wrócił do niego.

Otworzył bagażnik.

Nie jest zbyt duży. A gdyby tak tam wejść? Pochylił się i z trudem wcisnął do środka. Miejsca akurat mu wystarczyło. Jego potężne ciało dokładnie wypełniło blaszane wkłęsnięcia.

Podniósł rękę, chwycił za klamkę i pociągnął klapę w swoją stronę. Zostawił wąską szczelinę, przez którą do środka wpadała smuga światła. W bagażniku pachniało olejem.

Ona tu leżała, a ty ją zabiłeś.

Ma już wystarczającą liczbę dowodów, żeby sąd mógł skazać osiemnastoletniego chłopaka za zabójstwo.

Oskarżenie jest już gotowe. Brakuje tylko oskarżonego.

Leżąc w bagażniku, spróbował się rozciągnąć. Niestety, bagażnik wcale się od tego nie powiększył.

Nie ma ani taśmy na ustach, ani skarpetki w gardle.

Może oddychać.

Ziewnął i poczuł, jak powoli się odpręża. Ochronna folia lekko zaszeleściła, gdy próbował ułożyć się wygodniej.

Teraz

Część czwarta

(trzydzieści siedem godzin)

Na dworze jest już ciemno. Widzi to przez okno. Ale czy to na pewno jest okno? Przecież nie ma w nim krat. Mimo to śpi. Śni mu się, że kładzie się do łóżka, słyszy chrzęst kluczy w zamku i do środka wchodzi dziwka, która mówi mu „dzień dobry”.

Lampa nie jest zapalona.

Słyszy, że ktoś krzyczy. Ale to gdzieś daleko. Ktoś uruchamia silnik samochodu. W górze leci samolot.

Kto zgasił lampę?

Leon rozejrzył się wokół siebie.

To jest okno.

Ktoś rzeczywiście krzyczy, ktoś uruchamia silnik i w górze faktycznie leci samolot.

Nie mógł jednak słyszeć klucza przekręcanego w zamku i jej głosu, gdy mówi „dzień dobry”. Ona już nie żyje. A on przebywa teraz w jednym z trzech opuszczonych pokojów z pięcioma cienkimi materacami na podłodze.

Noc przespał nago, bez prześcieradła.

Wprawdzie ma ubranie, bo Gabriel włożył je do samochodu, ale nie chce go wkładać do snu.

Czarna bluza z kapturem — przecież nosi tylko szare. Czarne spodnie od dresu marki Adidas ze zwężonymi na dole nogawkami — właśnie takie lubi.

Obok materaca leży mnóstwo kartonów po mrożonej pizzy, puste torebki z cukrem na dnie, puste puszki po piwie, niedopałki papierosów, stos łupin po orzechach, kawałek żółtego sera.

Wstał z materaca i na bosaka przeszedł na środek pokoju.

Stanął koło okna. Nasłuchuje.

Kolejny samochód. Bus. Niewyraźne głosy.

Râby Allé 124. Siódme piętro.

Ostrożnie rozsunał żaluzje i wyjrzał na dwór. Domy, parking... to nadal jest jego świat.

Przespali cały dzień. Złamali swój dobowy rytm, bo do tej pory spali tylko nocą. Jakby organizm zapomniał o pięciu miesiącach spędzonych pod kluczem. Siódma rano — pobudka, dziewiętnasta trzydzieści — zamykanie cel na klucz.

Alex spał obok niego. Leżał na plecach i lekko chrapał. Reza i Uros śpią przy drzwiach w przedpokoju, Marko w kuchni między lodówką a kuchenką gazową. Pozwolił im się wyspać, im mniej się będą poruszać, tym lepiej.

Na ścianie wisi zegar. Jest kwadrans po dwunastej. Za sześć godzin wzejdzie słońce. Zawsze śpi przy zapalanej lampce i dlatego brakuje mu światła, które chroni i sprawia, że po przebudzeniu od razu widzi, gdzie co jest. Zaczął się zastanawiać nad przeciwnością tego stanu i znalazł: ciemność, która chroni uciekiniera.

Zaraz musi zadzwonić. Przeprowadzić dwie rozmowy. Pierwszą z nikim. Drugą z kimś, kto jest dla niego wszystkim.

Za każdym razem, gdy przypomina sobie tamte wydarzenia, czuje się oszołomiony: serce bije mu szybciej i dostaje erekcji. Przywodzi mu to na myśl niedawną sytuację, gdy tamtej dziwce wbijał blachę w udo i przyciskał do jej szyi.

Nowa nazwa. Nowe zasady.

W głowie nadal mu huczy. Dzwonka mocno waliła w bagażnik, kręciła się i rzucała. W końcu zatrzymał się na rondzie w Upplands Väsby i kilka razy obwiązał jej ręce taśmą. Leżała i patrzyła na niego. Wcisnął jej szmatę do gardła tak głęboko, jak tylko się dało, a potem mocno zakleił jej gębę taśmą. Ciągle na niego patrzyła, a on nie unikał jej wzroku.

Ostrożnie rozsunał żaluzje. W Råby nadal jest ciemno. Jest w domu.

Bunt. Ucieczka.

Telefon komórkowy ma jak zwykle w kieszeni bluzy.

Wyjął go ze świadomością, że rozmowy są podsłuchiwane. Wie, że są nawet nagrywane.

Porwanie. Zabójstwo.

Potem znowu zaczęła walić w bagażnik, a oni porzucili samochód w jakiejś ślepej uliczce w dzielnicy przemysłowej. Pamięta, że zatrzymał się jeszcze przy bagażniku i kazał jej się zamknąć. Potem nawet się nie odwrócił, chociaż nadal hałasowała. Przesiedli się do innego mercedesa

i odjechali stamtąd. Kilka razy o mało się nie zderzyli z innymi samochodami. Odczuwali wielką ulgę i ciągle się śmiali. Śpiewali głośno w takt reklam radiowych, a w połowie drogi do miasta oślepił ich błysk policyjnego radaru stojącego na poboczu.

Opuścił żaluzje. Wypił trochę letniego piwa z puszkii Alexa, z leżącej obok torebki wyjął garść słodczy.

Pierwszy numer, który wybierze, to jego własny. Drugi jest wypisany czarnym mazakiem na kuchennym stole.

Rozpoznał charakter pisma Gabriela. Mocno przyciska długopis, a oba brzuski ósemek wypełnia zawsze podwójnie. Jego ukochany brat przeprowadza zmiany poza więziennym murem. Zawsze tak jest, gdy któryś z nich siedzi. Ucieczka, odbicie więźniów, ucieczka... to był ich wspólny plan, ich wspólna tęsknota za odpowiednim miejscem na ścianie Pereiry, w najwyższym rzędzie. Mieli po dziewięć lat, gdy zaczęli zarabiać na morfinie i amfetaminie. Nadal są razem, ale od tamtej pory pokonali długą drogę.

Ufa mu. Wprawdzie nie ufa nikomu, ale uznał, że Gabriel zasługuje na zaufanie.

Tak bardzo mu go brakuje.

Po tym, jak sfotografował ich policyjny radar, zjechali z głównej drogi na wysokości placu Brommaplan, przejechali przez Ekerö i znaleźli się w ciemnościach, gdzie wszystko stało się nieostre. Włączył muzykę i przyspieszył. Potrącił zająca, który wpadł na latarnię, i psa, którego powinien był właściwie przejechać. Zaczęli przekrzykiwać radio, bo w końcu ujrzeni wodę i brzeg zatoki, a na niej łodzie. W ciągu kilku minut przeprawili się na drugi brzeg.

Gazety. Telewizja.

Trzy słowa na zlewozmywaku w kuchni. *Zabiję ich wszystkich.* Jeśli będzie chciał, w każdej chwili awansuje do wyższego rzędu na ścianie.

Biegli wzdłuż brzegu. Łodzie były przytwierdzone łańcuchem z kłódką, ale jeden z nich zdołał przeciąć szlifierką. Rzucili broń na dno łodzi i odpłynęli. W pewnej chwili nadleciał helikopter. Byli wtedy jeszcze blisko brzegu. Maszyna leciała nisko z reflektorami skierowanymi na wodę. Musieli krążyć, zawracać, zmieniać kierunek, aż wreszcie skulili się na wilgotnych deskach. W końcu wyskoczyli z łodzi w pobliżu kąpieliska w Slagsta. Od razu się domyślił, gdzie są.

Ścisnął mocniej telefon i znowu poczuł, jak zaszumiało mu w głowie. Często doznaje tego uczucia, gdy jest sam, choć nie chce. Tym razem było silniejsze niż wtedy, gdy przyciskał jej blachę do gardła. Wiedział, że tamten numer jest na podsłuchu, ale i tak zadzwonił. Zrobił to, zanim wysiadł z samochodu i zanim wcisnął jej skarpetę do gardła. Gadał do siebie. Teraz znowu tak robi. Oni znowu będą słuchać, jak wtedy, przyjadą tutaj i właśnie wtedy on znowu zadzwoni.

Wysadzić w powietrze.

Gwałtownie oddychał i ręce mu się trzęsły. Wbił wzrok w ciemną szybę, która nagle zamieniła się w lustro. Teraz już wie, na sto procent.

Jeśli ktoś znajdzie się na samej górze, wyżej już nie może się wspiąć i nie potrzebuje żadnej nowej ściany.

...

Ktoś stoi za drzwiami.

Gabriel był tego najzupełniej pewien.

Leży na jej kanapie. Ma własny klucz do jej mieszkania, odkąd się spotykają, ale nigdy tu nie był. W Råby zauważono dwóch tajniaków. Na szczęście dzieciaki go ostrzegły, więc wiedział, dokąd pójść.

O nic nie jest podejrzewany, więc nie mogą go aresztować.

Za to mogą zapuszkować Dużego Alego, Jona i Brunona.

Poszukują ich, chcą ich poddać tym swoim niby-przesłuchaniom, chociaż żaden z nich się nie zdradzi. Dlatego rozdzielili się i każdy poszedł w swoją stronę. On się wczołgał pod samochody na parkingu między Råby Allé 67 a Råby Allé 114. Poszedł drogą, którą zna tylko on.

Ktoś jest za drzwiami. Wyraźnie to słyszy.

Po wejściu do mieszkania zamknął drzwi na klucz, zasunął żaluzje, położył się na jej kanapie i czekał. Jest za wcześnie na odwiedzinę u Leona, a on ma telefon, z którego nie wolno mu z nikim rozmawiać. W końcu zasnął i przespał cały wieczór.

Ktoś chwycił za klamkę.

Gabriel schylił się i podniósł z podłogi swojego glocka 17. Fajnie leżał w ręce. Palcem wskazującym pociągnął lekko za spust. Tylko ten model pistoletu jest odbezpieczony w ten sposób. Lubi mieć nad nim całkowitą kontrolę.

Drzwi otwarły się na całą szerokość. Jeszcze nie wie, kto to. Mocniej zacisnął dłoń na kolbie, palec na spuście. Jest gotowy.

To ona.

Od razu się rozluźnił i zabezpieczył pistolet.

— Cześć.

Wygląda na zadowoloną. Usiadła obok niego na kanapie, pocałowała go w policzek i czoło, a nawet w kark.

— Byłam tam wczoraj, jeszcze zanim przyszły gliny.

Zazwyczaj nie tryska taką radością.

— Byłam w klinice.

Faktycznie, często się śmieje, ale nigdy w ten sposób.

— W klinice dla młodych matek. Prywatnej.

Wzięła go za rękę i przyłożyła ją do łona.

— Dotknij. Rozumiesz? Lekarz zrobił mi USG. U nas tego nie robią, przynajmniej nie na tym etapie ciąży, ale za granicą tak. Ale ja chciałam i nawet miałam na to pieniądze.

Garbiel przypomniał sobie, że kiedyś dał jej film, który sam bardzo lubił. Kiedy był mały, oglądali go z Leonem na okrągło. Pamiętał każde ujęcie, ale zawsze czekał niecierpliwie na moment, gdy oczy głównego bohatera wypełniały się szaleństwem. Teraz film leży na białej półce pod telewizorem. Gabriel wsunął płytę do odtwarzacza.

— To się nazywa ciąża pozamaciczna i jest niebezpieczne. Musiałam się upewnić. Po badaniu lekarz powiedział mi, że to coś zupełnie innego. Jestem w piątym tygodniu. Rozumiesz?

Film nazywa się *Mechaniczna pomarańcza*. Najbardziej mu się podoba pierwsza scena. Widać na niej leżącego na chodniku alkoholika i ludzi idących tunelem. Są ubrani na biało, w czarne kapelusze i gdy alkoholik coś mówi, uderzają go kijami. Kiedy obejrzel ten film pierwszy raz — na starym odtwarzaczu DVD, który ukryli u mamy Leona — pobiegli do metra, a potem wytłukli szyby w Centrum Handlowym w Skärholmen i w Åhlens. Zdążyli dotrzeć na drugie piętro, do stoiska z czapkami. Wtedy cały sklep należał do nich. Mieli po jedenaście lat i tańczyli jak na tym filmie, w kapeluszach na głowach. Dopiero wtedy tak naprawdę zrozumiał, o co w tym filmie chodziło.

— Maleństwo ma już pięć milimetrów.

Wanda znowu pocałowała Gabriela w policzek. Pochyliła się nad odtwarzaczem, wyjęła z niego jego płytę i włożyła swoją.

— Popatrz, widzisz?

Czarno-szary, trochę zamazany obraz na ekranie. Wanda podeszła bliżej i pokazała mu coś palcem, ale Gabriel miał taką minę, jakby na ekranie niczego nie było.

— Pięć milimetrów, licząc od głowy do pupy.

Uniosła dłoń i dwa razy przesunęła nią przed jego twarzą, odmierzając odległość równą gramowi amfetaminy w żółtej kapsułce.

— Jak pół paznokcia palca wskazującego. Ale to już człowiek.

— Wyłącz to.

— Lekarz powiedział, że serce jest nie większe niż ziarno piasku, ale zaczęło już bić. Wątroba i nerki jeszcze się w pełni nie wykształciły, ale już są. Są też pączuszki, które kiedyś zamienią się w ręce i nogi. Jest nawet wyrostek robaczkowy. No i...

— Wyłącz to, powiedziałem!

— ...twarz, która dopiero się kształtuje, szczęki i nozdrza, i oczy. Jesteśmy teraz razem, ty i ja.

Przez cały czas na ekranie było widać czarno-szary obraz. Coś się na nim ciągle powoli poruszało.

— Twoje kolczyki.

— Tak?

— Gdzie je, kurwa, masz?

Garbiel nadal leżał, a ona usiadła obok niego na podłodze i spojrzała mu w oczy. Kolczyki. Te ze skoku na sklep jubilerski przy Kungsgatan, dwa krzyżyki z małym diamentem w środku.

Sama je wybrała. Miała je nosić.

— Sprzedałam je.

— O czym ty, kurwa, mówisz?

— USG. Nagranie, które właśnie oglądasz, drogo kosztowało, więc je sprzedałam. Pieniądzy wystarczy mi...

— ...ty pieprzona...

— ...na jeszcze jedną wizytę lekarską i na jeszcze jeden film.

Gabriel już od dłuższego czasu nie nazywał jej dziwką. Nie bił jej. Raz przeciągnął po niej odkurzaczem. Nic więcej już na niej nie zostało. Mimo to wyjął jej film z odtwarzacza, wyrzucił go do kuchni i włożył swój. Jest jeszcze jedna scena, która mu się bardzo podoba: gdy główni bohaterowie dzwonią do drzwi obrzydliwie drogiej willi. Pojawiają się kobieta i mężczyzna, którzy nie chcą ich wpuścić do środka. W końcu im otwierają, a tamci śpiewają *Singin' in the Rain*, są ubrani w maski kłownów, białe stroje i czarne kapelusze. Zaklejają właścicielom usta taśmą i biją ich kijami, wiele razy.

...

Wykonał już pierwszy telefon. Zadzwoił na aparat, który trzymał w ręce — ten na podsłuchu. Zadzwoił do siebie samego. Na pewno słyszeli, teraz będą go szukać i trafią tutaj.

Leon przesunął palcami po pustym blacie w kuchni. Dziesięć cyfr wypisanych czarnym mazakiem. To charakter pisma Gabriela, a cyfry to numer telefonu owiniętego w wodoszczelną folię. Gabriel napisał je, gdy był pewien, że tam przyjdą.

Zabiję ich wszystkich.

Na podłodze szeleszczą cztery materace, śpią na nich jego nastoletni kumple i chrapią. Gliny szukają ich po całym kraju, a oni tu leżą, kilka metrów od nich, i śpią. Zostawi ich na chwilę, żeby coś przynieść, a gdy wróci, oni nadal będą spać. Właśnie po to chce tam iść. Żeby to przynieść. Matka nie odwiedziła go ani razu w Aspsås, ani razu w Mariefred i ani razu w Eknäs. Gdyby dokładnie policzyć... nie, nie musi tego nawet robić... dwa lata i cztery miesiące... dokładnie tak dawno temu widzieli się ostatni raz, chociaż między jego odsiadkami przebywali w tej samej okolicy. Na razie nie jest gotów, ona też. Stali obok siebie na peronie stacji metra w Råby. Była ubrana w czarny płaszcz i niebieskie dżinsy. Włosy miała upięte w coś w rodzaju koka, chociaż wyglądała przez to starzej. Do odjazdu następnego pociągu mieli trzy minuty i oprócz nich na peronie nikogo innego nie było. Nie odezwał się do niej. Ona do niego też nie. Stali w milczeniu i cicho oddychali. Nagle powiedział „cześć”. Wiedział, że go usłyszała, ale nie odwróciła się w jego stronę. Chciał wypowiedzieć to słowo jeszcze raz, ale na peron wtoczył się pociąg i każde z nich weszło do innego wagonu.

Otworzył drzwi wejściowe. Klatka schodowa była pusta. Chciał iść dalej, ale nie w ciemność, w której nic nie widać. Zejdzie do garażu i pójdzie drogą, którą wybierają zawsze wtedy, gdy nie chcą, żeby ktokolwiek ich widział.

...

Nie mógł zasnąć.

Leżeli obok siebie na jej białej kanapie, a on na przemian pocił się i marzył. Stopy i stawy rwały go jak dawniej, gdy był małym chłopcem i gdy zeszła mu skóra i ciągle odczuwał ból.

Spojrzał na Wandę. Śpi bez kolczyków. Przesunął kciukiem i środkowym palcem po jej delikatnych uszach. Sprzedała je, a za pieniądze kupiła czarno-szary film.

Wypalił skręta i wypił dwie puszki piwa. Z torby w przedpokoju wyjął nawet rewolwer, usunął z niego kulę i od razu włożył go z powrotem. Nie mógł jednak wytrzymać, bo to, co odczuwał wcześniej, doskwierało mu teraz jeszcze dotkliwiej. Trawka, alkohol i dłoń zaciśnięta na kolbie pistoletu zazwyczaj go uspokajały. Ale nie teraz. Z każdą chwilą czuł się gorzej.

To jej nagranie. Włożył je do odtwarzacza i włączył.

Brak dźwięku.

Poprzednim razem nawet tego nie zauważył. Obraz był czarno-szary i niewyraźny. Coś się na nim w ciszy poruszało.

Przecież nic tu nie widać.

Serce. Dwie nerki. Załączki rąk i nóg.

Skoro on nic nie widział, to jakim cudem coś tam było? Jak mogło się tak wolno ruszać?

Nie, tego nie było.

Jest on. I Wanda. Niedługo zjawi się Leon, jego ukochany brat.

Poda mu rękę po raz pierwszy od pięciu miesięcy. I właśnie to jest, właśnie to istnieje. Nie ten pieprzony obraz, który przypomina o jej błędzie.

...

Ostatnim razem powiedział do niej „cześć”, a ona mu nawet nie odpowiedziała.

Przecież mogła się przynajmniej odwrócić, popatrzeć na niego. Nie odezwała się jednym słowem, udawała, że go nie słyszy. Weszła do wagonu metra i odwróciła się do niego plecami.

Ma odebrać paczkę. To tylko dlatego. Otworzy mu, on ją odbierze, a ona dalej będzie milczeć.

Leon zszedł schodami budynku przy Råby Allé 124. Może nie powinien opuszczać swojej kryjówki, ale jest noc, jego kumple śpią, a gdy wróci, nadal będą spali. Dokoła jest zupełnie ciemno, zdążył wykonać pierwszy telefon. Zresztą niedługo i tak się przeniosą do innego mieszkania.

Od razu rozpoznał tamto miejsce, kąpielisko w Slagsta. Mimo to razem z Alexem i Markiem leżeli płasko na mokrym dnie łodzi. Oczekali, aż helikopter zrobi ostatnią rundkę i odleci. Do Råby mieli stamtąd dwa kilometry, w okolicy roilo się od policjantów. Przez pewien czas siedzieli na brzegu. Przychodzili tam już wcześniej, gdy byli jeszcze w szkole. Kąpali się w nocy, zmywali z siebie wszystko to, co przyklejało im się do skóry. Pamięta, jak był nagi — czuł się wtedy taki lekki, chociaż zawsze było chłodno. Potem trzęśli się z zimna, ale nie tak bardzo. Był wtedy mały, to dawne czasy, pamięta je jak za mgłą, trudno sobie coś przypomnieć. Kiedy myśli o tamtych latach, niczego nie czuje. I tylko w gardle coś go dławi.

Parter, szare drzwi naprzeciwko windy. Otworzył je cicho i zaczął nasłuchiwać.

Rozdzielili się koło Centrum Handlowego w Hallundzie. Pobiegnął przez górkę za metrem i zbiegnął na dół po drugiej stronie. Znowu ten helikopter. Szperacze, niski lot. Leżał w rowie gdzieś między kościołem w Botkyrce a stacją benzynową Shella. Pewnego lata, gdy mieli po dwanaście lat, obrabowali ją cztery razy. Kiedy helikopter odleciał w kierunku Södertälje, podniósł się z rowu i pobiegł na autostradę E4, do betonowej rury biegnącej pod szosą. Zaszumiało mu w głowie, gdy z pewnej odległości ujrzał okna bez firan i poczuł zapach, który czuć tylko tam.

Za drzwiami na pewno nikogo nie ma. Położył się na twardym betonie i wczuł się do garażu, który pod ziemią łączy ze sobą całe przedmieście.

Tamten helikopter zawrócił, ale nadal słyszał dźwięk silnika. Było już ciemno, ruszył w drogę, krok za krokiem zbliżał się do domów, wśród których spędził dzieciństwo. W pewnej chwili dostrzegł migające niebieskie światła i policjantów z latarkami w rękach. I nagle doznał cudownego uczucia, które w jednej chwili rozpląnęło się po całym ciele. Poczul się dumny. Przecież to przez niego są tutaj te wszystkie helikoptery, zapory drogowe, motocykle i radiowozy. Przemknął wśród pierwszych domów i usłyszał głośną muzykę dobiegającą z otwartego okna. W innym oknie ujrzał kobietę i mężczyznę, którzy na siebie wrzeszczeli. Mijał kolejne domy, aż dotarł na miejsce. To tutaj. „Zatrzymaj się!” Za sobą usłyszał wołanie, to był męski głos. „Stój nieruchomo”. To gliniarz, dobrze zna ten ton. Z trudem się powstrzymywał, żeby nie zerwać się do biegu, kilka razy zaczerpnął głęboko powietrza. Mało brakowało, prawie by go mieli.

Czołgał się między samochodami stojącymi w garażu. Zna tu każde wyrzucenie w betonowych ścianach, każdą rurę, słup, kosz na śmieci,

stos opon.

Nagle usłyszał, jak ktoś woła: „Stać!”. Odwrócił się w tamtą stronę. Przy wejściu na klatkę schodową stało czterech gliniarzy z latarkami. Na szczęście wołali na kogoś innego. Przyłgął mocno do ściany. W tym samym czasie policjanci przeszukiwali komuś kieszenie i sprawdzali dowód osobisty. W końcu sobie poszli. Zatrzymali kogoś innego. Ostatni odcinek dzielący go od drzwi wejściowych pokonał w szybkim tempie. A teraz nadal tu jest, czeka na Alexa, Rezę, Marka i Urosa. W tym samym czasie dzieciaki zablokowały windę i schody prowadzące do mieszkania na samej górze. W mieszkaniu są materace, pizza i piwo w lodówce.

Już po raz drugi w ciągu doby wdychał zapach garażu. Czołgał się powoli pod samochodami i po pustych miejscach parkingowych.

Zostały mu tylko dwa metry. Szare drzwi mieszkania przy Råby Allé 34.

Dokładnie wiedział, co poczuje. Niezwykłe jest to, że wszystko, co wydarzyło się na początku, nadal mu towarzyszy. Przez ostatnie lata spał w innych łóżkach, chodził po innych schodach. Tymczasem tutaj na każdym kroku ma ochotę głośno się śmiać, uderzyć kogoś, chce być sam, a zarazem znaleźć się w otoczeniu tych, których znał. Czuje to przez cały czas, właśnie na tych schodach.

Czwarte piętro. Zadzwoił do drzwi.

Od razu ją usłyszał. Zasłonił dłonią wizjer w drzwiach, żeby nie mogła go rozpoznać.

— Otwórz.

Nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz.

— Otwieraj, kurwa!

Przypomniało mu się, jak dawno temu, gdy miał cztery i pół roku, stał tak przed zamkniętymi drzwiami i ona wróciła do domu.

— Otwórz drzwi albo zacznę w nie kopać!

Przyszedł tylko odebrać paczkę. Po nic więcej.

— Czego chcesz?

— Wiesz czego.

— Nie powinno cię tutaj być. Już ci to kiedyś powiedziałam. A wczoraj... tamta dziewczyna w bagażniku, zdjęcia... Nigdy więcej cię tu nie wpuszczę.

— Otwieraj!

Ana stała za zamkniętymi drzwiami i patrzyła na wizjer zakryty jego dłonią.

Tamtym razem też przed nim stała. Dzień wcześniej skończył szesnaście lat.

Jej syn.

Powiedziała wtedy, że otworzyła mu ostatni raz. Szepnęła, że go kocha, ale się boi. Skarżyła się, że brakuje jej sił i że od kiedy trzyma się z Gabrielem, stał się dla niej niedostępny, zwłaszcza że ciągle przebywa z tamtymi, a przy nich chyba czuje się silniejszy. Zarzuciła mu, że jest niedostępny także wtedy, gdy jest sam, i że jeśli ktoś nie daje już rady, to albo musi się poddać, albo pójdzie na dno. I ona się właśnie poddała.

— Muszę z tobą porozmawiać!

— Nigdy więcej.

— O ojcu.

Ana spojrzała w wizjer zasłonięty jego dłonią.

Stoi za drzwiami. Dzieli ich trzydzieści centymetrów.

Może prawie dotknąć jego dłoni. O ojcu. Nigdy wcześniej nie wypowiedział słów, które chociażby w przybliżeniu brzmiały podobnie.

Przekręciła klucz w zamku, nacisnęła klamkę, otworzyła mu.

Ujrzała osiemnastoletniego chłopca; spięta twarz, potargane włosy, ubrany w dres, jak oni wszyscy. On ujrzał kobietę w wieku trzydziestu pięciu lat. Spięta twarz i długie, siwiejące włosy. Jest ubrana w szlafrok podobny do tych, które miała kiedyś. Chyba lekko się uśmiecha. A może to jedna z tych min, które robimy, gdy kogoś rozpoznajemy i przez chwilę widzimy coś innego? Może chce ją objąć, pogłaskać dłonią jej policzek. A jednak nie. Nie wyciąga do niej ręki. Jeśli ktoś nie wyciągnie ręki, to nie może dotknąć ani objąć.

— Gdzie jest?

— Pytasz o ojca? Chciałeś...

— Powiedziałem tak tylko, żebyś otworzyła. Gdzie to jest?

Leon stał w przedpokoju, a ona była przy nim tak mała, jak wtedy, na peronie stacji metra. Chciał powiedzieć „cześć”, porozmawiać o czymkolwiek.

— Gdzie to, kurwa, jest?

Leon śmierdział piwem. Jego ubranie było przesiąknięte potem.

— Tu tego nie ma.

— A gdzie jest?

— Wyrzuciłam.

Stoi blisko niego.

Kazał Gabrielowi dać jej reklamówkę. To ona miała ją przechować, chociaż mogli zmusić kogoś innego. Przeleżał na materacu dwadzieścia

siedem godzin. Przed chwilą zadzwonił do jej drzwi.

W ogóle mu na niej nie zależy.

— Więc jej nie masz?

Dlaczego ma mu zależeć? Babsko ma trzydzieści pięć lat i nie chce mu otworzyć drzwi.

— Wiem, że jej nie wyrzuciłaś.

Przecież wie, że nie mogła wyrzucić reklamówki, bo ona go chroni, dzięki niej przeżyje. Wie, że w pewnym sensie zawsze tak będzie.

Może wcześniej chciał ją objąć, dotknąć jej. Nie zrobił tego. Uderzył ją.

— Zachowujesz się dokładnie tak, jak twój ojciec.

Znowu ją uderzył.

— Dokładnie tak jak on.

Ruszył na nią, a ona zaczęła się przed nim cofać. Stali w przedpokoju, po którym kiedyś często biegał. Wpadał do kuchni, gdzie jadł śniadania, obiady i kolacje. Czasem, gdy na dworze było zimno, wypijał ciepłą herbatę, którą ona mu przygotowywała. Smakowała chyba malinami. A może nie?

Uniósł rękę, żeby ją znowu uderzyć.

— Tam.

Wskazała mu ręką przedpokój i drzwi na klatkę.

— Leży na dnie zsypu.

Opuścił rękę, która nadal lekko drżała, i podszedł do kuchennego stołu. Kiedyś od czasu do czasu razem piekli tu okrągły, ciężki chleb. Potem razem z Gabrielem przygotowywali na tym stole działki z morfiną. Któregoś wieczoru cztery razy dziabnął w ten stół nożem. Dziury nadal widać. Wystarczy podnieść doniczkę z kwiatkiem i obrus, bo ona w ten właśnie sposób je przykrywa. W stole jest szuflada między obydwoma miejscami do siedzenia. Wysunął ją i wyjął z niej długi czerwony śrubokręt. Zabrał go i wrócił do przedpokoju. Na wieszaku pod półką wisi jej kurtka. Klucze zawsze trzyma w lewej kieszeni.

— Zabieram je na wszelki wypadek, żebyś nie zamknęła drzwi.

Powinien powoli i cicho zejść po schodach. Tymczasem ruszył na dół biegiem. Zbiegł na parter i zatrzymał się dopiero przy drzwiach prowadzących do podziemnego garażu. Tam odwrócił się w stronę innych drzwi. Też były szare, ale nie tak grube.

Śrubokręt wsunął w futrynę mniej więcej na wysokości mechanizmu zamka.

Silny ruch.

Szczelina była już trochę szersza. Jeszcze jeden ruch śrubokrętem i zrobiła się na tyle szeroka, że mógł unieść drzwi. W nozdrza uderzył go smród wydobywający się ze śmieci. Nie oddychając, zaczął grzebać wśród plastikowych worków, z których coś ciekło, i kartonów po mleku z resztkami płynu. Dwa razy skaleczył się o szyjki rozbitych butelek.

W końcu znalazł. Biała torba owinięta grubą taśmą klejącą. Leżała wciśnięta między cztery worki śmierdzące rybami. Pochylił się nad brzegiem kontenera i sięgnął ręką aż na samo dno. Poślizgnął się na wilgotnej plastikowej folii, ale w końcu mu się udało. Wyprostował się zadowolony. W rękę trzymał pistolet.

Lahti V35. Fiński. Wycelował przed siebie, lekko skrzywił rękę. Taką samą pozycję przyjął, wchodząc do jej mieszkania.

Ana siedziała w kuchni. Piła kawę i paliła papierosa.

— Zupełnie jak dziecko.

Jeszcze raz wycelował z pistoletu, tym razem do niej.

— Co powiedziałaś?

— Że stoisz tu i zachowujesz się jak dziecko.

Tym razem uderzył ją w prawy policzek. I nawet nie wypuścił pistoletu z ręki. Upadła na podłogę, a on kopał ją po udach, biodrach i brzuchu.

— Nauczę cię szacunku, kurwo!

Uniosła lekko głowę i spojrzała na niego.

— Dokładnie jak twój ojciec.

...

Nadal leżała koło niego na kanapie i spała. W uszach nie miała kolczyków. Gabriel przytulił się do niej, a ona nawet tego nie zauważyła. Kiedy dotknął koniuszkami palców płatków jej uszu, odwróciła się do niego, ale nadal spała i tylko przytuliła twarz do jego twarzy.

Tymczasem jemu robiło się na przemian chłodno i gorąco.

Widział coś, co powoli się ruszało, było czarno-szare i miało pięć milimetrów długości, serce i nerki, a zamiast nóżek i rączek zawiązki. Po raz pierwszy od bardzo dawna zaczął myśleć o pożarze: pożar odebrał mu ojca, którego nie pamięta, i młodszego brata, którego wspomina czasem rano, po przebudzeniu. Przypomina sobie o tym, że osiemdziesiąt pięć procent skóry pokryły poparzenia. Zapatrzył się w tamten obraz, który niczego nie przedstawiał, i wyobraził sobie, że znajduje się

w samym środku pożaru. Stoi przed drzwiami, które są zamknięte na klucz, a po ich drugiej stronie jest tata. On miał wtedy siedem lat. Szarpał za klamkę, żeby podejść bliżej płomieni, a wtedy tata zaczął na niego krzyczeć, żeby puścił klamkę i uciekał. Nie ruszył się z miejsca, więc tata krzyknął, że spuści mu lanie, jeśli tego nie zrobi. Puścił klamkę i uciekł od ognia. A teraz ma przed oczami ten pieprzony obraz, który powoli się porusza. Nie widzi tego, co ma dopiero pięć milimetrów długości. Dlatego rzucił pilotem w ekran i przytulił się do Wandy. W pewnej chwili chwycił ją za ramiona i potrząsnął nią, a ponieważ się nie obudziła, niezbyt mocno uderzył ją w policzek. W końcu krzyknął na nią: „To twoja wina!”, a potem zaczął chodzić po pokoju. Przecież niedługo ma go spotkać, swojego jedyne go brata, jedyną osobę, którą kocha.

...

Obraz znikł. Jak to możliwe?

Kiedy zamknął drzwi do mieszkania i zszedł schodami na dół, obraz został w mieszkaniu. U niej.

Gabriel stał nieruchomo.

Obrazu naprawdę już nie ma. Nie wyruszył w ślad za nim.

Ruszył na dół. Wyjął rewolwer, ale tym razem usunął z niego jedyną kulę. Zakręcił bębenkiem i strzelił sobie w skroń. Rozległ się tylko ostry trzask.

...

Cztery komórki w piwnicy. Pięć mieszkań.

Paragraf 1. Rodzina nigdy nie prosi. Rodzina wydaje rozkazy.

To najważniejsza zasada. Za godzinę go spotka.

Minęło pięć miesięcy.

Niedługo się obejmą.

Paragraf 2. Żołnierz zawsze jest gotów służyć rodzinie.

Gabriel szedł po schodach budynku przy Råby Allé 124. W całym domu panowała cisza. Mieszkali tu zwykli ludzie, którzy spali, żeby rano wstać i prowadzić swoje zwykłe życie.

Nie czuł się tak, jak sobie przedtem wyobrażał.

Trzy noce wcześniej przygotowali wszystko wspólnie z Jonem, Brunonem i Dużym Alim. W papierowych torbach z Konsumu przynieśli pizzę i piwo, torby podróżne, materace i poduszki. Potem obrócili jeszcze raz. Tym razem ukradli cztery skrzynki z przyczepy w garażu. Leon chciał, żeby je wstawić do garderoby w przedpokoju. Włożył jedzenie do lodówki i przygotował miejsca do spania. Czuł coś dziwnego w piersi. Niedługo będzie tam leżał jego brat, a cały ten pieprzony kraj dowie się, że pięciu Żołnierzy Getta uciekło z więzienia. Znowu się obejmą, czuł to już w całym ciele, jakby radość wewnątrz.

A jednak jest jakoś inaczej. Przecież zmierzał ku czemuś innemu. Ku kolejnemu pożarowi.

Paragraf 3. Rodzina jest ponad wszystkim.

Stał przed drzwiami. Czy powinien tam wejść? Czy powinien wziąć ze sobą Wandę i film? Czy powinien otworzyć drzwi i wejść do mieszkania, w którym czeka na niego inny rodzaj miłości? Razem z Leonem stworzyli przecież specjalny zbiór reguł, które się do niej odnoszą.

Paragraf 4. Inaczej będzie kara.

...

Gabriel wszedł do przedpokoju. Głęboko oddychał, prawie spokojnie.

Czuł coś dziwnego, głównie w brzuchu i gardle. Jak gdyby był zły albo smutny, albo wystraszony. Ale teraz się nie bał. Oddychał bez trudu i nie odczuwał wewnątrz ani ucisku, ani pieczenia.

Alex leżał na materacu przy bocznej ścianie w dużym pokoju. Uros i Reza trochę bliżej, prawie przy wejściu. Zajrzał do kuchni, gdzie Marko Bendik leżał wciśnięty między kuchenkę a lodówkę. Usłyszeli, że przyszedł, skinęli mu głowami. Na razie nie wolno im się z nim witać.

Piąty materac był pusty.

Zrobił kolejny krok i w końcu go ujrzał.

Leon stał w kuchni przy blacie odwrócony plecami do pokoju. Obok niego leżała biała reklamówka, którą kilka tygodni wcześniej wieźli metrem między stacjami Norsborg i Råby, a potem trafiła na półkę w przedpokoju. Broń była rozłożona na trzy części: osłona lufy po jednej stronie reklamówki, szyjka kolby po drugiej. Trzymał w jednej ręce rygiel z lufą, w drugiej wycior. Powoli wsunął go do lufy i wysunął z niej.

Leon odwrócił się do niego. Spojrzeli na siebie i równocześnie ruszyli w swoją stronę z rozłożonymi ramionami. Objęli się ciepło i długo tak stali.

— Miłość, bracie.

— Miłość, kochany bracie.

Uczucia. Ale nie wszystkie naraz. Chociaż zawsze tak było. Cała tęsknota i radość, poczucie bezpieczeństwa i ufność, i coś, co było resztą jego.

Gabriel starał się je przywołać. Chciał znowu je poczuć.

Zawsze przychodziły wszystkie naraz przy tym pierwszym uścisku. Teraz trzyma Leona w objęciach i żaden nie chce się odsunąć od drugiego. Gabriel czekał, aż to, czego jeszcze nie poczuł, w końcu przyjdzie.

Tymczasem pojawiło się inne uczucie. Od razu je rozpoznał. To wstyd. Silniejszy niż kiedykolwiek.

Obejmowali się, aż w końcu Leon opuścił ręce i poszedł do szafy w przedpokoju. Otworzył ją i wyjął z niej cztery brązowe kartonowe pudełka. Przyniósł je do dużego pokoju, wyjął z nich cztery niedawno skradzione telewizory, rozpakował małe antenki i położył przed sobą na podłodze cztery piloty.

— Czekałem na ciebie, bracie.

Podniósł z podłogi dwa piloty i podał je Gabrielowi.

— Włącz Szwedzką Telewizję i Sky News. Ja włączę Teletext i Czwórkę. Gabriel starał się unikać jego wzroku.

Czuł wstyd.

Wziął od niego oba piloty i zważył je w ręce.

— Bracie...

— Włącz oba kanały.

— Musimy porozmawiać, bracie.

Leon stał w pustym pokoju z gołymi ścianami. Skinął głową Alexowi, Markowi, Urosowi i Rezie, uniósł pilota wysoko nad głowę i udawał, że z niego mierzy i strzela. Po chwili telewizor stojący po prawej stronie włączył się na stronie z teletekstem z numerem sto. Na samej górze

znajdował się duży tytuł wypisany żółtymi literami: „Śledczy ostrzegają”. Pod spodem kolejny nagłówek wypisany niebieskimi literami: „Największa akcja policji od czasów Malexandra”. Leon wycelował pilota w drugi telewizor i włączył go. Na TV4 szła akurat relacja. Powtarzały się w niej słowa „ucieczka”, „zakładniczka”, „odbicie więźniów”, „morderstwo”. Program nadawano co pół godziny.

- Bracie, włącz telewizor!
- Bracie, musimy pogadać.
- Włącz telewizor! Potem pogadamy.

Nigdy nie przypuszczał, że wstyd jest prawie namacalny, że może chwycić za gardło i trzymać. Próbował spojrzeć swojemu ukochanemu bratu w oczy, ale tylko wziął pilota i udając, że też z niego celuje, skierował go w stronę telewizora po lewej stronie. Na jednym z kanałów telewizji publicznej też była relacja. Na ekranie ujrzał kobietę, którą od razu rozpoznał, potem mury więzienia w Aspsås i pięć zdjęć paszportowych przedstawiających ludzi, którzy przebywają w tym pokoju. Na końcu telewizja pokazała zdjęcia białego samochodu z otwartym bagażnikiem.

- Włącz drugi.
- Bracie...
- Później.

Nie chciało mu się celować i strzelać z pilotów. Jakoś nie miał ochoty, ale pod wpływem perswazji Leona w końcu posłuchał. Sky News. Program sportowy. Leci baseball.

Twarz Leona wyrażała lekkie rozczarowanie.

- Wyłącz go.

Trzy telewizory były włączone, czwarty już nie. Stali, siedzieli albo leżeli, oglądając kolejne programy, w czasie których toczyły się dyskusje albo pokazywano z bliska ogrodzenie z drutu kolczastego. Obrazy zarejestrowane przez więzienne kamery były czarno-białe i lekko zamazane.

Mówią o nich na każdym kanale.

Leon wyciągnął ramiona, objął Gabriela i przycisnął go do siebie.

- Widziałeś? To my!
- Bracie, musimy porozmawiać.
- Za chwilę. Najpierw muszę znów zadzwonić pod ten drugi numer. Leon wskazał własny telefon.

— Będą mnie podsłuchiwać. Potem przeniesiemy się w inne miejsce. Stamtąd zadzwonimy pod drugi numer. A w telewizji dalej będą o nas

mówić.

Leon wskazał pilotem na swoje zdjęcie. Gabriel spojrział na nie i odwrócił wzrok.

— Bracie, chcę się wycofać.

Gabriel nie był pewien, czy wypowiedział te słowa głośno. Może nadal rozbrzmiewają tylko w jego głowie?

— Kochany bracie, słyszałeś, co powiedziałem? Chcę się wycofać.

...

Kiedy Leon wyłączył dźwięk we wszystkich trzech telewizorach, w pokoju zapadła kompletna cisza.

— Rozumiesz, bracie, co powiedziałem?

Cała czwórka spoglądała na Gabriela.

— Będę... kurwa, Wanda... będę ojcem.

...

Pierwszy cios trafił go w górną część ramienia.

— I dlatego... chcę się wycofać.

Drugi cios w klatkę piersiową, blisko serca.

— W jej brzuchu... tej wielkości... jak człowiek.

Gabriel uniósł dłoń i złożył kciuk z palcem wskazującym w taki sposób, że powstała między nimi szczelina o szerokości kilku milimetrów. Tak jak zrobiła niedawno Wanda.

Trzeci cios trafił go w szczękę i policzek.

— Nigdy się nie wycofasz.

— Kocham cię, bracie.

— Gabriel, bracie, jesteś częścią naszego planu, nie możesz nas teraz, kurwa...

Dłoń, w której Leon trzymał pilota, zaczęła drżeć.

— ...zostawić. Nikomu nie wolno się wycofać. Sam o tym wiesz najlepiej! Razem tworzyliśmy te zasady!

— Już postanowiłem, bracie. Zrozum... miłość, czuję... w jej brzuchu... jak ty i ja... jak ty i twoja mama kiedyś, wiesz, miłość.

...

Paczkę papierosów i zapalniczkę trzymał w kieszeni bluzy.

Leon wyjął papierosa i zapalił go. Zaciągnął się. Odłożył żarzącego się papierosa na telewizor, wziął do ręki pilota i spojrzał na Gabriela, który stał w milczeniu z opuszczonymi ramionami i patrzył mu w oczy. Leon zacisnął dłoń na pilocie, a potem z całej siły uderzył go w lewą skroń.

Gabriel upadł na podłogę.

Przycisnął ramiona do boków i zachował całkowitą bierność. Zanim Leon kopnął go pierwszy raz w udo, spojrzał mu prosto w oczy.

— Nikomu nie wolno się wycofać.

Kolejny kopniak trafił go w prawe górne żebro.

— Nikomu.

...

Gabriel ciągle leżał w milczeniu na podłodze. Leon usiadł mu na klatce piersiowej, oparł się obiema nogami o podłogę obok jego boków i czekał. Potem odwrócił się i wziął z telewizora żarzącego się papierosa. Gabriel spojrzał mu w oczy błagalnym wzrokiem, ale Leon przyłożył mu końcówkę papierosa do skóry, w miejscu, które nie było poparzone. To piętnaście procent powierzchni jego skóry. Najpierw dotknął jego czoła.

— Twój tata się spalił.

Potem przyłożył mu papierosa do lewego policzka.

— Mój gdzieś znikł.

I znowu lewy policzek, tym razem niżej i mocniej. Rozżarzona końcówka wtopiła się w skórę.

— Tata Alexa lał go gdzie popadnie, tata Rezy zapił się na śmierć. Tata Urosa przesiaduje na ławce na rynku w Råby i każdego przechodnia nazywa chujem. Tata Marka...

Leon przerwał i odwrócił się w stronę Marka, który stał przy oknie z zasuniętymi żaluzjami. Marko przyłożył sobie palce do skroni i wykonał taki gest, jakby do siebie strzelał.

— ...zrobił sobie wielką dziurę w czaszce.

Leon znowu przytknął Gabrielowi papierosa do zdrowej tkanki, tym razem do prawego policzka. I to dwa razy.

— A ty... ty nam mówisz, że zostaniesz ojcem?

Gunnar Werner zamknął drzwi prowadzące na korytarz na dziewiątym piętrze, gdzie znajdowała się sekcja nasłuchowa, i ruszył w stronę windy. Był to jeden z tych wieczorów, jaki zdarza się rzadko. Zjadł kanapkę w prawdziwym domu, obejrzał wiadomości w telewizji i program z Frankiem Sinatrą. Rozsiadł się w fotelu, zamknął oczy i nagle poczuł, że coraz bardziej odlatuje, jakby czekał na coś, nie wiedząc na co.

I nagle się domyślił. Już wie. Musi się pospieszyć.

Wziął telefon i zjechał do piwnicy. W ciągu kilku minut dwanaście razy łączył się z tym samym numerem, ale za każdym razem po wysłuchaniu długiego sygnału był przełączany na automatyczną sekretarkę Grensa. Po kilku kolejnych minutach ustalił lokalizację telefonu — z dużym prawdopodobieństwem stwierdził, że aparat znajduje się gdzieś w podziemnym garażu komendy policji w Kronobergu.

Wysiadł z windy i znalazł się w betonowym pomieszczeniu.

Nocą stoi tu o wiele więcej pojazdów niż za dnia. Jest inne powietrze, mniej spalin i mniejszy smród. Słychać zupełnie inne dźwięki. W panującej ciszy wyraźnie słyszał wentylatory.

Zadzwoił jeszcze raz, ale i tym razem Grens nie odebrał. Po raz kolejny wybrał numer i ruszył wzdłuż rzędów samochodów, nasłuchując sygnału telefonu.

Dopiero gdy znalazł się w pobliżu części garażu wydzielonej dla techników, zrozumiał.

Usłyszał jakiś dźwięk. Najpierw dość słaby, potem coraz wyraźniejszy. Tutaj? Otworzył niezamknięte na klucz drzwi i wszedł do środka.

Stał tam tylko jeden samochód, biały mercedes. Nigdy wcześniej go nie widział, nigdy nie stał blisko niego. Mimo to czuł się tak, jakby już kiedyś w nim siedział i jeździł po przedmieściach Sztokholmu. Wiedział, jak brzmi dźwięk, gdy kierowca zwiększa prędkość, a potem nagle hamuje albo gdy ktoś leży w bagażniku i uderza w blachę. Wiedział nawet, co słychać, gdy ktoś zamknięty w bagażniku przestaje oddychać.

Sygnał telefonu był coraz wyraźniejszy, więc skierował się w tamtym kierunku. Okazało się, że sygnał dochodzi ze środka samochodu, gdzieś z okolic przedniego siedzenia.

Otworzył drzwi od strony pasażera i ujrzał telefon. Leżał na desce rozdzielczej, między prędkościomierzem a zegarem.

Niestety, nigdzie nie widział Grensa.

W środku unosił się silny zapach kleju. Każde siedzenie było zabezpieczone plastikową folią, a w miejscu, gdzie były plamy krwi, ktoś powbijał małe chorągiewki. Werner stał przy otwartych drzwiach i w pewnej chwili zrozumiał, że chociaż się spieszył, i tak przyszedł prawdopodobnie za późno. Zamknął drzwi mercedesa i ruszył w stronę wyjścia. Nagle usłyszał czyjś oddech.

Odwrócił się i dopiero teraz ujrzał czarny but.

Z bagażnika wystawały ludzkie nogi w ciemnych skarpetkach i ciemnych nogawkach spodni.

Dopiero teraz Werner zrozumiał, że Grens po prostu zasnął. Leżał na boku z podkulonymi nogami i skrzywioną szyją. Jego wielkie ciało ledwo mieściło się w bagażniku.

— Ewert?

Brak odpowiedzi.

Grens oddychał regularnie, od czasu do czasu rozlegało się lekkie chrapanie. Werner położył dłoń na jego nodze i delikatnie za nią pociągnął.

— Ewert?

— Tak?

Grens miał pomarszczoną twarz. Zmrużył oczy, szukając wzrokiem osoby, która go obudziła.

— Ewert, zasnąłeś.

— Nie.

— Zasnąłeś w miejscu zbrodni, które bada Krantz.

— Pracowałem.

Werner uśmiechnął się i wyciągnął do niego rękę.

— To dobrze. Bardzo dobrze, że jesteś taki staranny.

Grens też podał mu rękę i wygramolił się z bagażnika. Bolała go noga, bo trzymał ją w niewygodnej pozycji. Właściwie to cały czas go boli. Usiadł na brzegu bagażnika i przeciągnął się energicznie.

— Rozumiem, że czegoś chcesz?

Grens lekko się uśmiechnął.

— To wystarczająco ważna sprawa, żeby naruszyć świętość miejsca zbrodni.

Werner, który był wybitnym specjalistą od podsłuchów, podał mu magnetofon kasetowy.

— Wczoraj wieczorem zostałem w pracy. Badałem tamte długie kreski na ekranie, które ci pokazywałem. Jak wiesz, czasem mamy trochę zbędnych informacji.

Grens podniósł się, a Werner zamknął pokrywę bagażnika, położył na niej magnetofon i spojrzął na zegarek.

— Po dwunastu minutach. I dwadzieścia osiem minut później. Dwadzieścia minut po północy i trzydzieści sześć minut po północy.

Wysłuchiwali się w nagranie, stojąc w podziemnym garażu, gdzie ściany i podłoga przenoszą i potęgują dźwięki. Lekkie naciśnięcie klawisza w telefonie brzmi jak ostry syk, który rani rozbudzony mózg.

— Ktoś wybiera numer telefonu.

— Słyszę.

Dziesięć cyfr, dziesięć piknięć ostrych jak krótki nóż. Potem inny rodzaj piknięć, które brzmiały jak długie noże i pojawiały się z większą częstotliwością.

— Zajęte.

— To też słyszę.

Werner wiedział, że niedługo będzie musiał wrócić do pracy. Zdawał sobie sprawę, że kilka godzin wcześniej rozmawiał z Grensem o rzeczach, o których nie powinien był z nim rozmawiać. Już to było czymś niedobrym. Teraz na dodatek stoi w podziemnym garażu i znowu z nim rozmawia. Istnieje ryzyko, że ktoś ich zobaczy. Gra nie jest chyba warta świeczki.

— To z telefonu Jensena. Obie rozmowy. Dzwoni do siebie samego.

— Co?

— Do siebie samego. Było zajęte. To telefon, którego używał na spółkę z Mihajlovicem i który zabrał z bloku D. Dzwonił do siebie w samochodzie, gdy dokonano morderstwa. Mamy założony podsłuch na ten numer z innego powodu.

Werner wyłączył magnetofon, włożył go do kieszeni marynarki i ruszył przed siebie wolnym krokiem.

— Dwie rozmowy z tego samego miejsca.

Począł na Grensa, który szedł za nim, wlokąc za sobą swoją sztywną nogę.

— Jestem pewien, że wiem, skąd dzwonił. Z którego piętra, a nawet z którego mieszkania.

W środku pachniało spalonym ludzkim ciałem.

Był to nieprzyjemny zapach, który zatykał nos i zabijał każdy smak w ustach.

Leon dzwonił pod tamten numer dwa razy, słysząc było, że linia jest zajęta, więc już tu jadą. Cała ich piątka siedzi tu razem. Pierwsze połączenie ma ich doprowadzić właśnie tu, do następnego numeru, który Gabriel napisał czarnym mazakiem na blacie w kuchni. A wtedy wystarczy już tylko jedno połączenie z telefonem ukrytym w wodoszczelnej folii w zbiorniku na wodę przy sedesie.

Leon stał w przedpokoju pustego mieszkania, w którym spędzili ostatnią dobę. Niedługo będą musieli się stąd ewakuować. Zostało im trzydzieści, może dwadzieścia minut, nie więcej. Mają do wyboru cztery inne mieszkania, wszystkie położone bezpośrednio przy podziemnym garażu z widokiem na komendę policji w Råby.

Pięć białych kółek.

Gabriel nadal leżał na podłodze przed telewizorami. Leciąły jakieś programy, ale dźwięk był wyłączony.

Pięć białych kółek z małymi czarnymi kropkami pośrodku. Wyglądają jak ziarenka popiołu leżące na śniegu. Miał po dwa kółka na każdym policzku i jedno na czole. Za kilka godzin porobią mu się w tych miejscach krwawe bąble; za kilka dni zainfekowane rany; za kilka tygodni jasnoczerwone pęknięcia w skórze; za kilka miesięcy bolące blizny.

Leon przeszedł nad milczącymi telewizorami i podszedł do blatu w kuchni. *Nigdy nas nie zostawisz*. Przyciągnął do siebie reklamówkę, która jeszcze nie tak dawno leżała na dnie zsypu. *Nigdy nas nie zostawisz*. Podniósł lufę z zamkiem, połączył ją z osłoną i szyjką lufy i włożył pełen magazynek — osiem nabojów. *Jesteś moim ukochanym bratem i razem trafiliśmy na tamtą pieprzoną ścianę, ty i ja, ty i ja!* Została mu jeszcze jedna część o długości dziesięciu centymetrów: czarna, okrągła, metalowa rurka. Wyjął ją z reklamówki i przykręcił do lufy pistoletu.

— Resztę skóry też mi możesz spalić. I tak do was nie wrócę.

Ta ostatnia, długa część to tłumik. Od razu się domyślili, gdy uniósł pistolet. Odciągnął kurek i wycelował w kółko wypalone na czole.

— Gównu mnie obchodzi, co chcesz zrobić. Już postanowiłem. Wycofuję się.

Leon wycelował i położył palec na cynglu.

Odwrócił się i oddał kilka strzałów, jeden po drugim. Kule utkwily w ekranach telewizorów.

— Zgoda. Ale w takim razie zapłacisz nam pięćdziesiąt tysięcy, tatusiu.

— Nie dostaniesz ode mnie ani grosza.

— Tyle to kosztuje.

— Kurwa, Leon, przecież razem to stworzyliśmy!

— Pięćdziesiąt kawałków. Dopiero wtedy możesz się wycofać. Już cię nie potrzebuję.

...

Grens szedł obok Wenera w kierunku radiowozu należącego do policji z Västerort.

Ten, którego szukali, milczał przez dwadzieścia osiem godzin. I nagle się odezwał.

Werner wyłapał połączenie telefoniczne.

Dwanaście sekund za pierwszym razem, osiemnaście sekund za drugim. Dzwoniłeś do samego siebie. Dwa razy. Ryzykowałeś, że cię namierzemy. Jakbyś tego chciał.

— Adres?

— Råby Allé sto dwadzieścia cztery.

— Które piętro?

— Siódme.

Grens czuł, jak ogarnia go podniecenie — jest coraz bliżej mordercy, który pokazał, że życie innego człowieka jest mniej warte od jego życia, i dlatego mu je odebrał.

Sprawdził swój telefon, który leżał w samochodzie na folii pokrywającej fotel pasażera.

Szesnaście nieodebranych połączeń. Od Wenera.

Skinął głową i podziękował mu za to, że zrobił więcej, niż musiał. Werner się odwrócił. Musi wrócić do pracy i dokonać analizy innych głosów. Jej wyniki staną się dowodami w śledztwie.

Grens usiadł za kierownicą, przekręcił kluczyk i zadzwonił.

— Gdzie jesteś?

— W Råby, w dużym pokoju. Przygotowałem listę niepełnoletnich. Jeśli wykluczę z niej tych, którzy nie są bezpośrednio powiązani, zostaje mi dwudziestu. Mam ich adresy, raporty z obserwacji...

— Tego nie potrzebuję.

— ...zestawienie...

— Tego też nie potrzebuję.

Pereira miał zmęczony głos. W ogóle nie spał.

— Grens?

— On tam jest. Niedaleko ciebie.

— Gdzie?

— W odległości nie większej niż czterysta metrów.

Grens był przy jego narodzinach.

— Chcę, żebyś ogłosił alarm dla jednostki specjalnej.

Pereira obserwował, jak chłopak dorasta.

— Mają zrobić nalot.

Obaj wiedzieli, dokąd zmierza i jak skończy.

— Za piętnaście minut.

...

Leon wyłączył komórkę i włożył ją do kieszeni bluzy. Policja może sobie namierzać podsłuchane połączenie. Przed chwilą właśnie tego chciał. Wiedział, że nie ma znaczenia, do kogo dzwoni i jak długo trwa rozmowa. Teraz już tego nie chciał. Muszą się przenieść w inne miejsce. Wyliczył, że mają pięć, najwyżej dziesięć minut. Alex, Uros, Reza i Marko idą właśnie do przedpokoju, a on zatrzymał się na chwilę przy telewizorach stojących na podłodze w dużym pokoju. Niedawno oglądali w nich swoje twarze — lewy profil, prawy profil. Zatrzymał się przy cyfrach wypisanych mazakiem na kuchennym blacie. To numer telefonu, który leży ukryty w folii w pewnej toalecie. Zadzwoń pod ten numer, gdy oni tam będą. Zatrzymał się przy Gabrielu. Ufał mu bezgranicznie. Teraz Gabriel ma na twarzy okrągłe ślady.

— Gdybym był na twoim miejscu, szybko bym się stąd zmywał.

Leon otworzył drzwi na klatkę i odwrócił się do Gabriela.

— Pamiętaj... pięćdziesiąt tysięcy.

Zamknął za sobą drzwi, ale za chwilę znowu je otworzył. Gabriel nadal leżał na podłodze. Spojrzeli sobie w oczy. Nie trwało to długo, bo mu się spieszyło, ale wystarczyło, żeby obaj się zrozumieli.

...

Grens wyjechał z centrum i skierował się autostradą A4 na południe.

Był przy jego narodzinach. Zobacz, jak go aresztują.

Ten, którego ściga policja, włączył telefon, zadzwonił do siebie, chwilę odczekał, przerwał połączenie i wyłączył komórkę.

Chcesz, żebyśmy cię namierzyli?

Znowu ta sama blokada, gdzie dobę wcześniej zatrzymał ich policjant. Grens opuścił boczną szybę i ujrzał przed sobą tego samego policjanta. Miał opuszczony automat i świecił mu latarką prosto w twarz.

— Spotkaliśmy się ostatniej nocy.

— To prawda.

— Jak będzie tym razem?

— Tym razem pozwolę panu przejechać bez kontroli.

Policjant uśmiechnął się lekko, a gdy ujrzał, że Grens odwzajemnił jego uśmiech, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Wjazd na autostradę, potem droga lokalna i asfaltowa alejka. Wejście do budynku przy Råby Allé 124. Grens zaparkował między pustym placem zabaw dla dzieci a dwoma ławkami i skierował się w miejsce, gdzie stały dwa małe busy policyjne, dwa radiowozy i dwa patrole z psami.

— Siódme piętro?

— Sześć mieszkań. Nalot na wszystkie w tym samym momencie.

Dwaj policjanci zajęli miejsca po obu stronach otwartych drzwi wejściowych. Ciemne hełmy, osłony opuszczone na twarz, nowe kurtki i broń automatyczna.

— Kiedy?

— Za cztery minuty.

Grens wszedł do klatki schodowej i nagle jeden z psów, owczarek niemiecki, skoczył w jego stronę. Oparł mu łapy na barkach, zawarczał mu w twarz i chwycił pyskiem za rękaw marynarki. Chciał w ten sposób pokazać, że Grens znalazł się zbyt blisko. Grens odepchnął go mocno, pies stracił równowagę i opadł czterema łapami na ziemię. Grens spojrzał na niego i krzyknął głośno: „Siad!”. Na szczęście pies posłuchał komendy. Grens skinął przewodnikowi, jakby chciał go pochwalić za psa, który zrobił to, co do niego należało, wszedł do klatki i ruszył schodami na górę. Szedł dość szybkim krokiem.

Winda stała nieruchomo. Pięć mieszkań z prowizorycznym zabezpieczeniem. Szóste otwarte. Bez drzwi. Grens podszedł bliżej.

Ktoś je zdjął z zawiasów i oparł o ścianę. W miejscu, gdzie jeszcze niedawno były zawiasy, teraz zostały tylko drewniane drzazgi. To ślady po tłoku i wiertarce pneumatycznej.

Na chwilę zatrzymał się w przedpokoju. Od razu poczuł lekki, wyraźny zapach spalonego mięsa. O wiele mocniej było go czuć w dużym pokoju, gdzie na podłodze stały cztery telewizory. W każdym ekranie był jeden otwór. Grens klęknął na podłodze, dokładnie je obejrzał i stwierdził, że pochodzą od pocisków. Na podłodze leżały materace i poduszki dla pięciu ludzi. Obok walały się puszki po piwie i niedojedzone paczki ciastek. Podłogę pokrywały okruchy szkła z obu potłuczonych okien. Zwisły z nich liny, które kołysały się na wietrze. Antyterroryści wkroczyli do mieszkania z dwóch stron jednocześnie.

— Rozmawiałem z lokatorami z piętra.

Pereira podniósł z podłogi pudła i potrząsnął nimi. Z opisu na bokach pudeł wynikało, że były w nich telewizory.

— Trzy mieszkania zostały opuszczone w największym pośpiechu. Ktoś coś widział, przestraszył się i uciekł, żeby nie musieć zeznawać. Zostały dwa. Sąsiad z tyłu... to znaczy za tą ścianą. Mieszka tam rodzina z trójką dzieci. Niczego nie widzieli. Spali, gdy się zjawiliśmy. Z kolei za tą ścianą mieszkają dwie siostry, chyba są Polkami z pochodzenia. Opowiadały, że obudziły je podniesione głosy i coś, co opisały jako „trzy albo cztery głuchoe odgłosy”.

Grens i Pereira spojrzeli na uszkodzone telewizory.

— Podeszły do drzwi. Są w nich dwa judasze, każdy na innej wysokości, więc można przez nie wyjrzeć w tym samym momencie. Zgodnie zeznały, że mieszkanie opuściło najpierw pięciu młodych mężczyzn w sportowych dresach, a minutę później wyszedł szósty.

Grens kopnął lekko karton, który potoczył się po podłodze.

— Kiedy to było?

— Mniej więcej dziesięć minut przed naszym przyjściem.

— Czy te kobiety są wiarygodne?

— Tak.

Byli tak blisko. Tamci znowu im uciekli.

— To znaczy, że są już w następnym mieszkaniu.

Kawa w komendzie w Råby smakowała o wiele gorzej niż kawa w komendzie w Kronobergu. Gorzka, prawie kwaśna, przypominała lurę. Grens rzadko odmawia, gdy ktoś go częstuje tym ciepłym napojem, ale gdy Pereira chciał mu przynieść trzeci kubek, pokręcił przecząco głową. Pierwszą porcję jakoś przełknął, ale zawartość drugiego kubka wylał do zlewu.

Znowu stali przed ścianą ze zdjęciami. Grens nadal uważał ten pomysł za nieudany, bo ci, których poszukują, wprost marzą, żeby się na niej znaleźć.

Dziewięć młodych twarzy i siedem jeszcze młodszych tuż koło nich.

Kiedy stali się brutalniejsi i groźniejsi, Pereira przeniósł ich fotografie z biurka na drugą ścianę. Potem przesuwiał je coraz wyżej. Po pewnym czasie przeniósł je na pierwszą ścianę, aż w końcu trafiły tam, gdzie wiszą teraz. Gang jest już blisko szczytu. Na razie wiszą nad nimi Bandidos i Hells Angels. Po chwili Grens sam zaczął brać po kolei tamte dziewięć zdjęć, żeby powiesić je wyżej.

— Jeśli już koniecznie chcesz mieć tę pieprzoną listę rankingową... To oni są najgroźniejsi, a nie te tłuściochy na motocyklach. Oni są młodszy, kieruje nimi silniejsza nienawiść i dopominają się o swoje miejsce w hierarchii w jedyny znany im sposób.

Nie tak dawno był jeszcze w mieszkaniu bez drzwi. Na podłodze leżały resztki jedzenia, okruchy szkła i materace. Obok stały cztery rozbite telewizory.

— Sprawdziliśmy wszystkie nasze wtyczki działające w ich środowisku, które uznałeś za stabilne, wiarygodne i dobrze poinformowane. I nic. Nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Nikt nic nie wie.

To nie przypadek, że znikłeś dziesięć minut przed nalotem.

— Psy szkolone do wykrywania bomb też niczego nie znalazły. Poszukiwania trwały wieczorem i nocą. Czternaście godzin, pięćset cztery mieszkania. Zostało nam ich jeszcze siedem tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt sześć.

Pozwoliłeś nam posłuchać, jak ją zabijałeś — to była jedyna w czasie całej ucieczki rozmowa nagrana na sekretarkę. Jakbyś chciał, żebyśmy to usłyszeli. Kiedy zrobiliśmy nalot, już cię tam nie było. Wykonałeś kolejny

telefon do siebie samego. Jakbyś chciał, żebyśmy o tym wiedzieli i przeprowadzili ten nalot.

To ty przejąłeś inicjatywę. Na piętnaście minut oddałeś ją w nasze ręce. Potem znowu ją nam odebrałeś.

— Pereira, to oni dyktują nam warunki. A właściwie on.

Stoję pośród domów i mieszkań, a ty masz dostęp do wielu z nich. Znasz tu każdą ścieżkę, bo się tu urodziłeś. Nawet stu, ba, tysiąc policjantów, którzy nie znają tego terenu, nie ma takiej wiedzy jak ty.

— Więc co możemy zrobić? Tylko czekać!

...

Piąte piętro przy Råby Allé 146. Leon wyjął komórkę, żeby sprawdzić godzinę. Zabrało im to niecałe trzy minuty.

To mieszkanie jest większe, ma dodatkowy pokój. Na podłodze leży pięć nowych materaców, poduszek i koców. W lodówce jest piwo, cola, pizza, chipsy i słodycze. Tutaj na blacie w kuchni Gabriel zapisał mazakiem numer telefonu, pod który on zaraz zadzwoni. Tak jak poprzednio.

Leon zwinął żaluzje w oknie i wyjrzał na dwór. Jest tak samo ciemno jak przed chwilą. Całe Råby jeszcze śpi. Jest środek nocy.

Matka uśmiechała się do niego szyderczo. Dokładnie jak twój ojciec, powiedziała. Uderzył ją jeszcze raz, a potem kopał w klatkę piersiową, w uda i biodra.

Gabriel objął go, przycisnął i powiedział: „Kochany bracie, chcę się wycofać”. A on przypalał mu papierosem czoło i policzki. Gabriel leżał spokojnie, był bierny, nie bronił się.

Nie potrzebuje jej. Jego też nie. Nigdy więcej nie chce ich już widzieć, rozmawiać z nimi, nawet myśleć o nich.

Jeszcze wyżej podciągnął żaluzje. Zobaczył komisariat policji i okno na drugim piętrze, w którym paliło się światło.

Policja wyłamała drzwi i zrobiła nalot na puste mieszkanie. Potem, tak jak tego chciał, wrócili do tamtego pokoju. Do budynku odległego zaledwie o sto metrów. Teraz tam siedzą, a on widzi, jak chodzą po pokoju. Poczł drżenie dłoni i dostał erekcji. Już tam są.

...

Grens podszedł bliżej ściany, na której wisiały zdjęcia tych, którzy sami siebie nazywają Ghetto Soldiers. Były trochę niewyraźne, bo Pereira zrobił je z dużej odległości. Inne miały całkiem dobrą ostrość, bo zostały wycięte z albumów szkolnych.

— Popatrz.

Pereira sięgnął po skoroszyt leżący na biurku na stosie innych dokumentów i podał go Grensowi.

— To zestawienie wszystkich tych, którzy nie skończyli piętnastu lat. Dwudziestu jeden młodocianych. Dane osobowe, sytuacja rodzinna, wzorce zachowania, pozycja w gangu, raporty z obserwacji.

Grens otworzył skoroszyt i ujrzał zdjęcia dzieci siedzących na wysokich ławkach. Miały uśmiechnięte twarze.

— Ich nazwiska znamy przynajmniej od sześciu miesięcy. Przechowują broń, handlują narkotykami i rzeczami pochodzącymi z włamań.

Grens skinął głową Svenowi i Marianie, którzy właśnie weszli do pokoju. Sam zajął się przeglądaniem dokumentów, w których zarejestrowano codzienne życie dzieciaków. Przy każdym zdjęciu był zapisany numer osobowy. Grens zaczął liczyć i wyszło mu, że najstarszy z nich ma czternaście lat, najmłodszy jedenaście.

— Złożymy im wizytę — powiedział. — Każdemu po kolei. Niektórzy z nich coś wiedzą.

Rzucił skoroszyt Pereirze, który po niego sięgnął.

— Kogo powinniśmy odwiedzić w pierwszej kolejności? — spytał Grens. Wykonał przy tym gest w stronę ściany ze zdjęciami tych, którzy są dla gangu przydatni tylko do dnia, w którym osiągną pełnoletność i sądy będą mogły ich karać. — Kogo? — powtórzył.

Pereira spojrział na niego, potem na ścianę i wskazał na jedno ze zdjęć. Widoczny na nim chłopak miał włosy zaczesane do tyłu, gruby złoty łańcuch na szyi i buńczuczny wzrok.

— Jego. To Eddie Johnson.

Grens spojrział na zdjęcie chłopca.

— To on siedział na tym krześle tydzień temu. Za kilka lat jego zdjęcie nadal będzie na tej ścianie, tyle że wyżej.

...

W oknie budynku nadal paliło się światło. Ciągłe tam są. Nikt nie wysadził wcześniej w powietrze komisariatu policji.

Uros leżał na materacu obok Leona i gryzł zimne kawałki pizzy, bo nie chciało mu się jej podgrzać. Rok temu zbił szybę w kabinie ciężarówki przewożącej materiały wybuchowe na budowę w Södertälje, gdzie jakaś firma drążyła tunel kolejowy, i odjechał z parkingu z siedmioma workami materiału o wadze prawie dwustu kilogramów. W kuchni spał Alex. Sześć miesięcy temu włamał się do magazynu na budowie osiedla domków jednorodzinnych w Tyresö, skąd skradł sześćdziesiąt dwie laski dynamitu i dwa tysiące zapalników. Telefon komórkowy pochodzi z napadu, którego dokonał w biały dzień na sklep na Kungsgatan, a plecaki załatwił Bruno, który przyniósł je z magazynu firmy ze Skärholmen handlującej końcówkami produkcji.

W tamtym pomieszczeniu nadal pali się światło.

Siedzą tam albo krążą po pokoju. Są zaledwie kilka metrów od pakunku, który na komisariat wniósł tamten dzieciak i umieścił go w zbiorniku w toalecie.

Wystarczy jedno połączenie telefoniczne.

Jeden sygnał przesłany przez fale dotrze do zapalnika, co doprowadzi do odcięcia kabli elektrycznych. Kiedy wybuchnie bomba, powstanie fala uderzeniowa, a jej impet zniesie z powierzchni ziemi wszystko, co znajdzie na swej drodze.

Nikt jeszcze nie wysadził w powietrze komisariatu policji.

...

Na dworze nie jest jeszcze zbyt chłodno.

Wszędzie panuje ciemność, do ranka daleko, pada drobny deszcz. Grens zapinał właśnie marynarkę, ale nagle przestał i zaczął ją rozpinąć. Na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

— Czternaście lat?

— Tak.

— Trzyznaście lat?

— Tak.

Razem z Pereirą odwiedzą kilku chłopców, Sven i Mariana wezmą na siebie pozostałych.

— A ten... dwunastolatek?

Nie zdążyli się jeszcze oddalić, gdy Grens zatrzymał się i odwrócił w stronę Mariany.

— Hermansson?

Mariana się zatrzymała. W ręce trzymała dokument ze zdjęciem niepełnoletniego chłopca, który miał na koncie przestępstwa, jakie zazwyczaj popełniają dorośli.

— Podejdź do mnie.

Mariana odwróciła się i podeszła do Grensa, który stał nieruchomo. Poprosił tylko Pereirę, żeby trochę się przesunął.

— Słucham?

— Czy wczoraj poczułaś się lepiej?

— Lepiej?

— Tak. Nikt mnie jeszcze nie spoliczkował.

Kiedy położyła swoją dłoń na jego dłoni, poczuł się tak, jakby ktoś go uderzył. Za to kiedy naprawdę go spoliczkowała, nie poczuł nic.

— To znaczy, że był najwyższy czas.

Grens potarł nieświadomie policzek w miejscu, w które uderzyła go Mariana. W ogóle tego nie zrozumiał. Przecież to ona była natrętna, naciskała i pytała o sprawy, które nie powinny jej obchodzić.

A potem po prostu wysiadła z samochodu i poszła przed siebie autostradą A4.

— Być może.

Grens umilkł, chrząknął i spuścił wzrok.

— Wiesz... tak myślę... może miałaś trochę racji.

Powinna teraz krzyknąć z radości, objąć go, bo usłyszała o wiele więcej, niż się spodziewała. Przecież ma do czynienia z kimś, kto nie lubi kłaść po sobie uszu.

— Może to wynika ze... strachu?

Grens znowu chrząknął, szukając właściwych słów.

— Może to z powodu Anni? Albo Jensena? Jednak głównym powodem jest...

Grens zszedł z alejki i popatrzył na otaczające ich domy. Nie miał jeszcze na tyle odwagi, żeby na nią spojrzeć.

— ...samotność.

Mariana nie odważyła się poruszyć ani wypowiedzieć choćby jednego słowa. Nie chciała burzyć nastroju, który nagle zapanował.

— Kiedy odchodzi jedyna osoba, której ufasz, stajesz się samotny.

Grens spojrział na nią po raz pierwszy w czasie tej rozmowy.

— A czasem... już nie chce się żyć dłużej w samotności.

Dopiero teraz Mariana odważyła się odezwać.

— Ewert...

— Tak to właśnie wygląda.

Mariana zrozumiała, że rozmowa dobiegła końca.

Grens powiedział jej to, co chciał powiedzieć. Nie oczekiwał od niej odpowiedzi ani jej nie potrzebował. Zresztą i tak już się od niej odwrócił i podszedł do Pereiry, który siedział na ławce przed przedszkolem.

— Aha, jeszcze jedno — powiedział Grens, odwracając się do niej. — To, co wydarzyło się wczoraj w samochodzie...

— Tak?

— Twoje zachowanie podpada pod paragraf o przemocy wobec funkcjonariusza policji. — Grens się uśmiechnął. — Rozważam złożenie na ciebie skargi.

Szli przez dzielnicę, w której Pereira świetnie się orientował, choć otaczały ich ciemności. W ciągu ostatniej doby Grens stał się na pewien czas częścią tego miejsca. Na czwartym piętrze domu, obok którego akurat szli, mieszka lokatorka, której już nigdy więcej nie odwiedzi; minęli parking, na którym stały dwa nowe samochody z długimi brzydkimi rysami na lakierze i wejście na klatkę schodową budynku, w którym znajduje się mieszkanie ze stłuczoną szybką przy drzwiach wejściowych, drogą szafką na buty w przedpokoju i dywanem za sto tysięcy koron w sypialni. Gdy doszli do Råby Allé 102, wyjął dokument w niebieskiej teczce.

— Chłopcy bardzo ryzykują, ciągle popełniają jakieś przestępstwa i nie brakuje im pomysłów na nowe.

Pereira pokazał mu dokument ze zdjęciem chłopca mieszkającego z mamą i młodszą siostrą w stojącym przed nimi budynku.

— Nigdy jednak nie pracują dla własnego zysku. Handel narkotykami, przechowywanie broni, włamania do sklepów, wszystko to robią dla gangu. Pełnoletni członkowie takich grup wykorzystują małolátów, którzy marzą, aby do nich należeć.

Grens podszedł do windy i wziął od Pereiry papiery.

Głośno westchnął.

Ma sześćdziesiąt lat, a idzie odwiedzić dwunastoletniego chłopca. Wokół niego wznoszą się wieżowce, do których wchodzi tylko wtedy, gdy prowadzi jakieś śledztwo. Nie pasuje do tego miejsca. Nie powinien się tym w ogóle zajmować.

Sygnál dzwonka zabrzmiał głośniejsz niż zwykle. Potem zapadła cisza, a po chwili usłyszał szybkie kroki w przedpokoju i ktoś otworzył drzwi.

Dziewczynka. Sześć lat. A może młodsza? Nie potrafił określić jej wieku.

— Czy mama jest w domu?

Dziewczynka miała włosy w nieładzie, bo dzwonek wyrwał ją ze snu. Patrzyła na Pereirę nieprzytomnym wzrokiem.

— Jest pan gliną?

— Tak, jestem. Czy mama jest w domu?

— Już pan u nas był.

— To prawda. Mama w domu?

Dziewczynka przesunęła dłonią po swoich długich włosach, popatrzyła na niego badawczo, a potem skierowała wzrok na Grensa. W końcu odwróciła się od nich i znikła w przedpokoju.

Muszą poczekać.

— Mamo!

— Tak? — usłyszeli dużo starszy głos.

— Jest tu ten glina i jakiś stary facet.

Matka dziewczynki też niedawno wstała. Miała zmęczone oczy. Wyszła do nich w szlafroku.

— Słucham?

— Deniz?

— Czego pan chce?

Głos miała ostry.

— Było was tu ośmiu...

Niedawno umyła włosy, uczesała je przed lusterkiem w łazience.

— ...wyłamaliście drzwi.

Tak, ale najpierw dzwoniли i rozmawiali z nią przez otwór na listy.

— To było wczoraj.

Kobieta przypomniała sobie krzyk swojej córki. Nadal targał nią niepokój o Eddiego, który gdzieś tam jest, poza domem.

— Dzisiaj będziemy zachowywać się spokojnie.

Pereira przyglądał się jednej z sześciu kobiet, które nie były podejrzane o żadne przestępstwo, a mimo to rzucono je na podłogę, przewieziono do aresztu i zamknięto na klucz.

— Już to słyszałam. Niektórzy policjanci podejmują błędne decyzje.

Pereira spojrział na Grensa, który unikał jego wzroku. Przyglądał mu się trochę zbyt długo.

— Bardzo przepraszam, że potraktowano panią w taki sposób.

Kobieta nie odpowiedziała.

— Chcemy tylko wejść i porozmawiać.

— Eddiego tu nie ma.

— No to może pani nam pomoże?

Kobieta nie była w stanie odpowiedzieć. Stała w miejscu, zaciskając dłoń na klamce.

— No to jak będzie? Wpuści nas pani?

...

Zapamiętał dokładnie cały numer zapisany czarnym mazakiem na kuchennym blacie. Wpisywał do swojej komórki kolejne cyfry.

Czuł się niesamowicie. Miał w swoich rękach los tego świata. Wystarczy wcisnąć klawisz telefonu.

Zadrżał i prawie się roześmiał.

W końcu światło w tamtym pokoju zgasło. Do wpisania została mu jeszcze jedna cyfra. Niecałą minutę później Pereira wyszedł z budynku. Towarzyszyły mu trzy osoby. Wysoki mężczyzna kulał na jedną nogę, obok niego szedł niższy. Trzecia osoba wyglądała na kobietę.

Wyszli z pokoju. Mimo to on nadal stał przy oknie z komórką w dłoni. Niedługo wróca.

...

Kobieta nie odpowiedziała. Zostawiła drzwi otwarte i weszła do przedpokoju. Zamknęli je od środka i przeszli przez przedpokój zastawiony dużymi meblami. Ściany były zawieszane obrazami.

— Jak już tu jesteście...

Kobieta przyniosła dzbanek z kawą i trzy filiżanki. Grens usiadł przy stole na jednym z krzeseł.

— Dziękuję.

Kobieta napełniła filiżanki po brzegi kawą i kazała córce wrócić do pokoju.

Grens posmakował gorącego napoju i skinął głową. Kawa smakowała o wiele lepiej niż ta, którą poczęstował go Pereira.

— Nazywam się Ewert Grens. To ja jestem tym starym facetem. Chciałbym pani zadać kilka pytań.

Na jego twarzy pojawiło się coś, co przypominało uśmiech. Kobieta też się do niego uśmiechnęła.

— Słucham.

Grens dopił kawę, sięgnął po dzbanek i dolał sobie.

— Na pewno się pani domyśla, dlaczego tu jesteśmy.

Znowu nie odpowiedziała. To zresztą nie było pytanie.

— Chcemy się dowiedzieć, czy pani syn miał jakiegokolwiek kontakty z osobami, których poszukujemy.

— Wiecie, że tak.

Grens spojrział na jedną z wielu kobiet, które urodziły synów, kochały ich i nadal kochają. Nie mają jednak dość sił, żeby zaprotestować, gdy ich syna wzywa inna miłość, ta na zewnątrz, która im tego syna odbiera.

— Chodzi mi o to, czy miał takie kontakty ostatnio. W ciągu ostatniej doby.

Kobieta po raz pierwszy napiła się kawy. Była wczesna noc, do rana jeszcze daleko. Wiedziała, że już nie zaśnie.

— Tego nie wiem.

Pereira wyjął kartkę ze zdjęciem i listą popełnionych przestępstw. Położył ją na stole, jakby chciał w ten sposób uzasadnić swoją wizytę. Zastanawiał się, czy matka chłopca jeszcze pamięta, że za pierwszym razem siedział w nieoznakowanym radiowozie i obserwował dziewięcioletniego chłopca, który kręcił się wokół gangu o nazwie Råby Warriors. Wsadził go wtedy do samochodu i zawiózł do niej do domu. Już wtedy wiedział, że w życiu chłopaka zaczyna się coś, co nigdy się nie skończy.

— Nie wie pani?

Dwa tygodnie później znowu odwiózł go do domu. W ciągu następných miesięcy wielokrotnie zwracał się o pomoc do policji i opieki socjalnej. Prosił, aby ktoś się chłopcem zajął. Może trzeba go przenieść w inne miejsce? Umieścić w rodzinie zastępczej? Matka chłopca wyjaśniła mu, że coraz bardziej się od niej oddala i chociaż bardzo się stara mu pomóc, jej syn coraz częściej i dłużej przebywa poza domem. W końcu się poddała. Teraz widuje go tylko wtedy, gdy Eddie popełnia przestępstwo. Jest wtedy wzywana na przesłuchanie, bo prawo nakazuje, aby matka nieletniego sprawcy był przy nim obecna.

— Nie wiem. I nie chcę wiedzieć.

Jej oczy mówiły, że już się poddała. Wiedziała, że jej syn stanie się kiedyś pełnoletni. Dzisiaj ma dopiero dwanaście lat.

— Czy w ciągu ostatniej doby pokazał się w domu?

— To mój syn.

— Czy słyszała pani, żeby w ciągu ostatnich dni rozmawiał z kimś przez telefon?

— Kocham mojego syna.

— Czy ktoś go odwiedzał?

— Tęsknię za nim.

Grens zrozumiał, że niczego z niej nie wydobędą. Po prostu niczego nie wie.

— Próbowałam... wszystkiego... ja...

Pokręciła głową, ale nie rozplakała się. Już się napłakała w życiu.

— Chciałbym rozejrzeć się po jego pokoju. Czy pani ma coś przeciwko temu?

Kobieta wzruszyła ramionami.

— Proszę. Po drugiej stronie przedpokoju.

Grens znał właściwie tylko jedno dziecko — Jonasa, syna Svena. Zdarzało się, że rozmawiali ze sobą, gdy Grens składał im wizytę. Chłopiec przychodził na chwilę do kuchni, żeby z nim zamienić parę słów. Żadnych innych dzieci nie znał. Kiedy jeszcze żył Bengt, znał też jego dzieci, ale teraz muszą już być dorosłe.

Nie miał więc punktu odniesienia. Mimo to doszedł do wniosku, że pokój Eddiego nie różni się zbyt wiele od pokoi innych dzieci.

Łóżko, biurko, lustro, plakaty. Na półce puszka żelu do włosów. Otworzył ją, powąchał i od razu przypomniał mu się chłopak z zaczesanymi do tyłu włosami, rozpiętą bluzą i błyszczącym łańcuchem. Podniósł materac, przejrzał jakieś czasopismo i uruchomił komputer. Włączyła się jakaś gra, której nie znał. Klęknął i wyciągnął spod łóżka sportową torbę. Otworzył ją i poczuł wyraźny zapach acetonu. Nie tak dawno musiał się w niej znajdować narkotyki.

Usiadł na brzegu łóżka, wyciągnął nogi i rozłożył na kolanach nieoficjalne dokumenty, które zgromadził Pereira. Handel narkotykami. Podpalenie. Posiadanie broni. Gdyby Eddie był dorosły, za każde z tych przestępstw dostałby wyrok od czternastu lat więzienia do dożywocia.

Czy za kilka lat staniesz się taki jak Jensen? Jeśli tak, to ciebie też będziemy ścigać. Bez względu na to, co zrobię ja i twoja matka, już więcej niczego nie możemy dla ciebie zrobić. Wszystko się wydało, już nigdy nie wyrośnie z ciebie porządny człowiek. Jedyne, co ci pozostało, to odsiedzieć wyrok.

Grens położył się na łóżku. Na poszewce poduszki zauważył obrazek przedstawiający Bambi. Łóżko było miękkie jak kanapa w komendzie.

...

Leon stał przy zwiniętej żaluzji. W ręce trzymał telefon komórkowy. Numer zapisany mazakiem na kuchennym blacie wprowadził już do pamięci. Będzie tu stał tak długo, aż światło w tamtym pokoju znowu się zapali, a oni wszyscy usiądą na kanapie i znowu zaczną się gapić na tamtą ścianę.

Pierwszy raz. Nikt przed nimi tego nie zrobił.

Przez prawie rok handlowali morfiną Gabriela, potem wzbogacili ofertę o amfetaminę. Kiedy Pereira go nakrył i zaprowadził do swojego pokoju, w którym stało kilka biurków i w którym przebywało kilku innych policjantów, czuł się naprawdę dumny. Zatrzymali go, naprawdę. Potem zobaczył tamtą ścianę ze zdjęciami tych, których tak bardzo podziwiał. Ani jego, ani jego kumpli na niej nie było. Siedział tam i nic się nie działo, aż w końcu przyszła jego mama, która pracowała w opiece społecznej, i dopiero wtedy Pereira zaczął mu zadawać pytania. Rozzłościło go to, że na ścianie nie znalazł swojego zdjęcia. W domu wyjął nóż i cztery razy wbił go w blat kuchennego stołu.

Potem musieli się stawić na kolejnych pięć przesłuchań. Jego zdjęcie trafiło do najniższego rzędu na drugiej ścianie.

Czy to moje zdjęcie? A tamto? To chyba Gabriel?

Bardzo mu się te zdjęcia spodobały, bo wyglądał na nich jak tamci. Za każdym razem, gdy stawiał się w komendzie i czekał na przesłuchanie, zerkał na ścianę. Zauważył, że niektóre zdjęcia wiszą wyżej, i zrozumiał, że ten, którego fotografia wisi na samej górze, nie może już awansować.

...

Grens przewrócił się na prawy bok i oparł lewą ręką o niewielką półkę. Jakoś tak się stało, że zsunął się z łóżka i spadł na podłogę. Okazało się, że o wiele trudniej jest wstać niż się położyć. Łóżko zostało przecież zaprojektowane dla kogoś, kto ma sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu i waży czterdzieści pięć kilogramów.

Pod szafką nocną leżały ćwiczenia z geografii Europy. Przejrzał kilka stron i doszedł do wniosku, że nie da się tego czytać. Wszędzie mnóstwo błędów, źle zbudowane zdania. Ta sama ręka, która trzymała długopis, z dumą sprzedawała narkotyki, przechowywała broń i groziła ludziom. Ten, który to robił, miał ambicję zajść wysoko wśród innych kryminalistów.

Grens oparł się o półkę, podniósł się i wyszedł do przedpokoju. Pożegnał się z kobietą, która założyła na pościel barwne poszwy z Bambi i Miss Piggy i która musi walczyć z tym, co się dzieje na zewnątrz, chociaż ani tego nie widzi, ani nie rozumie. Wyszedł na klatkę przez drzwi, które nosiły ślady ostatniej akcji policji, a potem na dwór, kierując się przez pogrążoną we śnie dzielnicę. Ruszył w stronę komendy policji, gdzie na ścianie czekają na niego kolejne twarze, które zechce odwiedzić.

...

Przez chwilę stał na schodach, po czym wszedł do środka. Wszystkie okna sprawiają takie wrażenie, jakby wzajemnie się obserwowały i pilnowały.

Jesteś tam.

Chciało mu się machać rękami i krzyczeć, zrobić cokolwiek, żeby nie tkwić w bezczynności.

I może mnie nawet teraz obserwujesz?

Minęły dwadzieścia cztery godziny, a śledztwo nie posunęło się ani o krok do przodu.

...

Gdy Grens wszedł do pokoju, Pereira już stał przed ścianą ze zdjęciami. W ręce miał teczkę z dokumentami. Wyjął je i każdy z nich dokładnie przejrzał.

— Do kogo teraz?

— Jeszcze nie wiem.

Spojrzał na jedno ze zdjęć z albumów szkolnych. Ten, który go interesuje, siedzi na nim w środkowym rzędzie. Fotograf ustawił dzieci według wzrostu, żeby zachować symetrię. Kolejna dziecinna twarz.

— Może ten. Ma tyle samo lat, te same rokowania na przyszłość i taką samą kartotekę przestępstw.

— Råby Backe dwadzieścia trzy. Mieszka z matką i młodszym bratem. Daj mi pięć minut. Możesz już iść, dogonię cię.

W pokoju były trzy duże okna. Grens wyjrzał przez środkowe. Chciało mu się wyć, machać rękami. Potrzebuje jakiegoś śladu. Najdrobniejszego.

Jesteś tam. Wiem o tym na pewno.

Dzwoniłeś pod swój numer. Dwa razy. Cały czas było zajęte. Ujawniłeś się. Chciałeś tego! Chciałeś, żebyśmy zrobili nalot i nie znaleźli was na miejscu.

Nic nie rozumiem!

Spojrzał na Pereirę, który uniósł dłoń z rozłożonymi palcami, jakby chciał zasygnalizować, że za pięć minut będzie do dyspozycji. Grens odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia. Szedł wolnym krokiem, jakby czekał, aż Pereira do niego dołączy. Poczul, że słaby wiatr niesie ze sobą jakiś zapach, był tego pewien. Coś mu ten zapach przypominał, ale nie potrafi go uchwycić.

...

Teraz.

Leon podciągnął żaluzję do samej góry.

W pokoju na drugim piętrze komendy w Râby znowu pali się światło. W środku są jacyś ludzie.

A oni? Dotarli do punktu, do którego zmierzali. Uciekli z więzienia, uwolnili swoich kumpli, wspięli się na najwyższy poziom w bandyckiej hierarchii, a teraz robią coś, czego przed nimi nikt inny nie zrobił.

Zacisnął dłoń na telefonie i położył palec na zielonym przycisku. Nacisnął go. Z jego komórki wyszedł sygnał, który dotrze do innego telefonu, ukrytego w toalecie w odległości kilkuset metrów od niego.

Teraz!

...

Ten zapach!

Nie przyniósł go wiatr. Dociera stąd, ze środka budynku. Jest w jego głowie i w piersi, jakby chciał się wydostać na zewnątrz. Staje się coraz mocniejszy i coraz bardziej intensywny.

Grens się zatrzymał.

Jesteś tutaj. Chciałeś, żebyśmy tutaj przyszli. Wiedziałeś, że słyszeliśmy, jak zabijasz strażniczkę. Wiedziałeś też, gdy ostatnio do siebie dzwoniłeś. Wiesz, że nami manipulujesz.

Zapach. Ten w mojej głowie, poznaję go.

Przypomina zapach masy migdałowej.

...

Zaczął biec. Przecież to tak blisko.

Biegł w stronę komendy, gdzie został Pereira. Biegnąc, myślał o policjancie z drogówki, który podbiegł do tamtego samochodu i kilka razy uderzył kluczem francuskim w śrubokręt, otworzył bagażnik, a potem opowiadał, jak się czuł, gdy robił to w całkowitej ciszy, jaka wokół niego panowała.

Grens biegł i jego też otaczała zupełna cisza.

Nie słyszał nawet własnych kroków.

Zdążył przebiec połowę drogi, gdy ujrzał, jak pierwsze okno wylatuje z futryny, rozbija się na tysiące drobnych okruchów i spada na ziemię.

Nadal nie słyszał żadnego dźwięku, jakby w ogóle nie doszło do eksplozji.

Ana spojrzała na obrus leżący na kuchennym stole. Zakrywa rysy po czterech cięciach nożem. To on je zrobił. Miał wtedy dziewięć lat i wbił ostrze w blat stołu.

Na drugim końcu stołu przykrytego białym obrusem leży ząb.

Przez pewien czas się ruszał, aż w końcu go wyrwała. To jeden z przednich zębów w górnej szczęce. Uderzył ją pięścią w policzek, usta i brodę. Położyła ząb na stole i podeszła do zlewozmywaka. Nalała sobie szklankę zimnej wody, potem drugą i wyszła do przedpokoju. Ból w biodrze dawał o sobie znać przy każdym kroku. Kopnął ją dwa razy, trzeci raz w brzuch.

Leon nigdy przedtem jej nie uderzył. Przez ostatnie lata rzadko się spotykali i wtedy rzeczywiście dochodziło do wybuchów złości albo nienawiści, ale zawsze przychodził z Gabrielem, więc nigdy się nie bała. W takich momentach jej syn nie wybuchał złością tak jak wtedy, gdy byli sami, bo hamował się przy Gabrielu.

Zatrzymała się i wyciągnęła rękę w stronę brązowej tapety.

Zdecydowała się dawno temu, ale wtedy tego nie rozumiała. Czekwała na nich w pokoju w wydziale opieki socjalnej i powoli stawała się częścią ich choroby. Mnóstwo młodych chłopców — a właściwie dzieci — którzy coraz bardziej się oddalali, chociaż powinno być odwrotnie. Niedawno zaczęli swój marsz i już nigdy nie zmienią kierunku. Siedzieli przed nią na krześle, a ona siedziała przy biurku w komendzie policji. Obie władze doszły do zgodnego wniosku, że w ich przypadku na pomoc jest już za późno.

Oparła się ręką o ścianę przedpokoju. Ból trochę zelżał. Podeszła do okna i otworzyła je. Nabrała w płuca ciepłego powietrza.

Choroba. Rozwija się gdzieś poza jej organizmem. Na początku tak to właśnie odczuwała, ale pewnego popołudnia zadzwonił do niej Pereira i poprosił, żeby przyszła do komendy. Miała uczestniczyć w kolejnym przesłuchaniu niepełnoletniego chłopca. Okazało się, że tym razem chodzi o jej syna.

Na twarzy poczuła powiew ciepłego wiatru. Nad Råby wstawał świt. Potrzebowała powietrza. Takiego, które jest po drugiej stronie betonowych ścian.

Symptomy choroby w końcu przedostały się także do jej ciała. Gangi, przestępstwa, wyobcowanie. Leon. Jej własny syn. Krzyczała i płakała, czuwała nad nim i tuliła do siebie. Niestety, ci, którzy mieli tę chorobę zdiagnozować, którzy mieli władzę i siłę, nie wiedzieli, na czym ta choroba polega, ponieważ ciągle rozwijała się poza ich ciałem. Zawsze tak jest — tego, czego nie widzisz, po prostu nie ma. Dlatego symptomy, których nikt nie powstrzymuje, rozprzestrzeniają się i człowiek powoli umiera.

Ostrożnie nabrała w płuca świeżego powietrza.

Po raz pierwszy zdecydowała się, gdy policjant, który rzucił ją na podłogę w kuchni, stanął w drzwiach i kazał jej słuchać nagrania ze zbrodni. Po raz drugi przed godziną, gdy dostała pierwszy cios.

Prawie się roześmiała.

Ile razy można się na coś decydować?

Przecież wiedziała, że to, co umierało tak powoli, musi zostać pogrzebane, żeby zrobić miejsce nowemu. Przecież postanowiła, że tak właśnie uczyni. Teraz musi tylko przekonać tego strażaka, żeby myślał jak ona.

Wychyliła się przez okno. Niedaleko stąd jest pusty rynek, puste centrum handlowe i huczące metro.

Nagle coś usłyszała. Zabrzmiało jak wybuch.

Dziwne, ale od razu poczuła, że ma to coś wspólnego z Leonem i chorobą, której ci, co mijają ich dzielnicę, jadąc autostradą A4, nie zauważają.

Gabriel leżał na jej białej kanapie i patrzył na nią. Lekko krwawił, opatrunek zabarwił się na czerwono.

Prawie nigdy u niej nie bywał. Teraz to jedyny dom, jaki ma.

Jeszcze zanim zadzwonili do jej drzwi, uprzedził ją, żeby wyszła. Wiedział, że tu przyjdą. Kazał jej wyjść i poszukać sobie jakiejś kryjówki, byle tylko nie została tutaj. Wanda rozplakała się i zaprotestowała, ale on nawet nie podniósł głosu. Nie potrafi łamać komuś żeber ani grozić nożem. Chwycił ją tylko za oba ramiona i wyprowadził po prostu na klatkę schodową. Potem wrócił do mieszkania i nawet nie zamknął za sobą drzwi.

Nadal leżał, a oni chodzili po jej mieszkaniu i na chybił trafił wybierali przedmioty, które należały do niej. Nic dla nich nie znaczyły, ale chcieli w ten sposób zademonstrować władzę. Potem usiedli przy stole w dużym pokoju: Jon, Duży Ali, Bruno. Mógłby im się postawić, zranić któregoś, może nawet zabić, ale nie zrobił tego. Żaden nie zachowywał się niewłaściwie. Leon też nie zachował się niewłaściwie. Kopał go, bił, pięć razy przypalał mu papierosem zdrową skórę. Leon zrobił po prostu to, co powinien.

Najgorsza była chwila, gdy leżał na podłodze i Leon jeszcze raz otworzył drzwi. Popatrzyli sobie w oczy i obaj zrozumieli, że to ostatni raz.

Zdjął spodnie i skinął im głową. Duży Ali, Jon i Bruno. Ich oczy ani się nie śmiały, ani nie płakały. Był im wdzięczny, że przynieśli rohypnol, było go tam pewnie z osiem miligramów. To był jego błąd, nie ich. Oni będą tylko na niego patrzeć i niczego nie czują. Leżał, żeby było im łatwiej dostać się do jego uda. Jon przyłożył mu okrągłą szlifierkę do miejsca, gdzie na prawym udzie znajdował się tatuaż. Zrobił go sobie kilka miesięcy wcześniej. Duży Ali włożył kabel do kontaktu. *Masz nam zapłacić pięćdziesiąt tysięcy kary.* Gdy szlifierka osiągnęła najwyższą prędkość obrotów, noga zaczęła obficie krwawić. Ale i wtedy nic nie powiedział. Po chwili skończyli i usiedli przy stole. Krew ściekała mu z uda na jej białą kanapę. *Nie dostaniecie ode mnie ani grosza. Przecież to ja, kurwa, to wszystko rozkręciłem.* Odczekają pół godziny i dadzą mu cztery miligramy rohypnolu, a potem znowu użyją szlifierki. *Pięćdziesiąt tysięcy kary, masz trzy godziny.* Za każdym razem z rany wypływało

coraz więcej krwi. Po chwili zmienił pozycję, żeby na kanapie nie zrobiła się zbyt duża plama. W tym samym momencie usłyszał huk. Domyślił się, co oznacza, i poczuł się trochę dumny.

Kobieta, której Grens nigdy przedtem nie widział, zamknęła mu drzwi przed nosem. Przez chwilę stał i zastanawiał się, co zrobić, ale wiedział, że nie ma jej nic więcej do powiedzenia.

Kiedy wracali, kierownicę trzymał obiema rękami. Będzie jechał tak długo, aż to się skończy. Kiedy zadzwonił telefon, zdjął jedną rękę z kierownicy.

— Ewert?

Werner z dziewiątego piętra. Zatrzymał samochód.

— Słucham?

— Czwarta czterdzieści dwie.

— Tak?

— Miałeś rację. Zadzwonił. Znowu. Dokładnie w tej samej chwili.

Tamten zapach. Znowu go czuł. Zapach masy migdałowej, gdy biegł w ciemnościach i ujrzał, jak okno wylatuje z futryn i rozpada się na kawałki.

Polowali na tych, którzy polowali na nich. Wiedział, że go podsłuchują, i chciał, żeby o określonej godzinie znaleźli się w tamtym miejscu.

4.42.

Zadzwonił. Chwilę potem budynek wyleciał w powietrze.

— Skąd?

— Jeszcze nie wiem.

— Werner, ja...

— Żeby móc określić miejsce, z którego dzwonił, muszę mieć pomiar z czterech stacji przekaźnikowych. Na razie mam tylko dwie. Pozostałe... jeden z serwerów nie działa, potrzebuję przynajmniej dziesięciu albo nawet piętnastu minut, żeby go zrestartować.

Tamta kobieta zamknęła przed nim drzwi. Cisza. Pustka. Sama wiedziała najlepiej, że w takiej sytuacji słowa są zbędne.

Biały krzyż i trawnik w jednej z kwater cmentarza. Grób numer 603. Obejmowali go, coś mówili, pocieszali, pytali, dzwoniли i tylko mu przeszkadzali.

Nie ma takich słów.

Martha Pereira grzecznie go poprosiła, żeby wyszedł, i zamknęła drzwi. Po raz trzeci w swojej karierze musiał poinformować żonę policjanta, że ten, na którego czeka, nie wróci do domu. Pierwszy raz

spełnił ten przykry obowiązek dwa lata po wypadku Anni. Był wtedy młodym policjantem i towarzyszył jednemu z komisarzy policji, który miał poinformować żonę innego policjanta, że jej mąż został zastrzelony przez poszukiwanego listem gończym bandytę. Komisarz był wzburzony, a on stał koło niego i obserwował kobietę, która w jednej chwili straciła wszystko. Niczego wtedy nie czuł. Nagle kobieta upadła. Zanieśli ją do kuchni i na zmianę pilnowali, żeby nie straciła przytomności. Dopiero wtedy coś poczuł. Ale nie to, co powinien. Poczł napięcie. Po raz pierwszy miał kogoś poinformować o czyjejs śmierci i nie odczuwał żadnego smutku, strachu ani żalu. Tylko napięcie. Po chwili pojawiło się inne uczucie — wstyd, że czuje nie to, co powinien, że nie potrafi współczuć. Potem starał się unikać takich sytuacji. Za każdym razem prosił kogoś innego, żeby go wyręczył. Najczęściej był to Sven, bo jako jeden z nielicznych potrafił rozmawiać z ludźmi. Tak było do chwili, gdy jego jedyny bliski przyjaciel, Bengt Nordwall, został zastrzelony w kostnicy przez kobietę zmuszaną do prostytucji. Pojechał wtedy do jego żony i powiadomił ją, że już nigdy nie ujrzy tego, który był dla nich obojga kimś najbliższym. Uderzyła go w twarz, nakrzyczała na niego. *Ewert, co ja powiem dzieciom, co ja im powiem!* Potem mocno się do niego przytuliła, a on stał nieruchomo, nie wiedząc, co zrobić z rękami. W końcu przestała płakać, a on zrozumiał, że śmierć można wyprzeć z własnych myśli. Stracił najlepszego przyjaciela i nadal niczego nie czuł. Poinformował o wszystkim jego żonę, pocieszył ją, widział, jak zareagowała, ale tylko to rejestrował.

Tym razem musiał podjąć się tego obowiązku sam.

Ewert, Pereira miał żonę.

Ktoś musi do niej pojechać i o wszystkim jej opowiedzieć.

Ty to zrobisz.

Nie wiedział, że Pereira mieszka w centrum. Nie znali się aż tak blisko. Jego rodzina mieszkała w zachodniej części Södermalmu, w budynku pochodzącym z przełomu XIX i XX wieku. Zapukał do drzwi. Chyba nie ma jej w domu. Znowu zapukał. Chyba naprawdę nie ma jej w domu. Już się zbierał do wyjścia, gdy mu otworzyła.

Tym razem czuł się naprawdę okropnie.

Za drzwiami ujrzał dzieci — bliźniaczki. Przed przyjściem miał nadzieję, że ich tam nie zastanie. Nie wiedział tylko, czy ma taką nadzieję przez wzgląd na dziewczynki, na żonę Pereiry, czy na siebie samego. We własnym ciele poczuł ich strach i smutek, a potem straszną złość.

Pereira nie żyje.

...

Kobieta zamknęła przed nim drzwi. Samotna matka z dwojgiem dzieci. Ten, z którym postanowiła spędzić życie, już nigdy nie wróci do domu, nie podejdzie do niej, nie pocałuje jej w kark, nie szepnie do ucha jej imienia, nie spyta, kto ma odebrać dziewczynki z treningu. Grens zacisnął dłonie na kierownicy. Tak to właśnie bywa. Ktoś już nigdy do ciebie nie podejdzie, nie wypowie twojego imienia, nie pocałuje cię w kark. Tymczasem ty nie reagujesz tak, jak oczekują inni, bo nigdy nie przyszło ci do głowy, że masz jakoś reagować. Pozwalasz więc, aby obraz tego, czego już nie ma, blokował obrazy, które gromadzą ci się w głowie. Nie rozumiesz, że to, czego się tak boisz, już się zdarzyło.

— Ewert?

Grens odebrał. Teraz znowu prowadził tylko jedną ręką.

— Tak?

— Godzina czwarta czterdzieści dwie. Już wiemy, skąd i dokąd dzwonił.

— Werner?

— To było połączenie z jednego telefonu komórkowego na inny telefon komórkowy. W tamtej chwili Leon Jensen przebywał w mieszkaniu przy Råby Allé sto czterdzieści pięć, na piątym piętrze. Dokładna pozycja telefonu, który odebrał to połączenie...

— Tak?

— ...komenda policji w Råby. W korytarzu, który przylega do Sekcji do Walki z Przystępczością Zorganizowaną.

Grens spojrział na zegar na tablicy rozdzielczej. Jest 5.37.

— Miałeś rację, Ewert. To on zadzwonił i aktywował bombę.

...

Grens już w chwili, gdy poleciał dwunastu antyterrorystom i czterem tajnikom zrobić nalot na mieszkanie przy Råby Allé 146, wiedział, że ci, których szuka, są zupełnie gdzie indziej. Godzina i trzynaście minut to w tych okolicznościach wieczność. Wokół nich istnieje przecież płatanina korytarzy prowadzących do ośmiu tysięcy mieszkań i komórek w piwnicach.

Pięć materaców i pięć poduszek. Puszki po piwie i opakowania po ciastkach.

Grens wyrzał przez otwarte okno i popatrzył na uszkodzony budynek komendy policji. Z tego miejsca widać było, że wybuch wyrwał ze ściany trzy okna na drugim piętrze. Na dole stały wozy strażackie, obok nich granatowy bus Krantza. Wokół miejsca, gdzie doszło do eksplozji, zebrało się mnóstwo wzburzonych gapiów, którzy próbowali podejść bliżej. Za nimi dostrzegł dziennikarzy, których zawsze starał się unikać.

Stałeś w tym miejscu. Kiedy się odwróciłem i szukałem cię, kiedy gdzieś wchodziłem albo skądś wychodziłem, przez cały czas mnie widziałeś. Widziałeś i kierowałeś nami. Teraz wiesz, że my wiemy, że ty wiedziałeś. Od tej pory już nie będziesz nami kierował.

Poprawił krótkofalówkę przytwierdzoną do kieszeni na piersi.

Wszędzie słychać było rozgorączkowane głosy.

Bandyci uciekli, ale ty razem miał do dyspozycji trzy patrole z psami, które podjęły już trop i rozeszły się w różnych kierunkach.

— *Zgubił trop przy wejściu do piwnicy!*

W krótkofalówce słychać było coś, co przypominało drapanie, a potem gwałtowne sapanie. Grens pokręcił potencjometrem i głosy stały się wyraźniejsze.

— *Pies znów podjął trop, to będzie chyba jakieś dwadzieścia pięć metrów.*

Po raz pierwszy w czasie tego pościgu uciekinierzy rozdzielili się i nie stanowili już grupy. Nigdy nie uda im się wymknąć z Råby. Fakt, że podzielili się na tak ograniczonym terenie, zwiększał szanse psów, które dzięki temu będą mogły złapać przynajmniej jeden trop.

Grens odszedł od okna i skierował się w stronę pustego mieszkania.

Czuł, że jest już blisko niego.

...

Tłum ludzi na dole był większy, niż się wydawało z piątego piętra. Stali w kilku rzędach, gęsto stłoczeni. Jak zwykle wszyscy pchali się do przodu, zbity tłum ma swoją własną siłę. Grens przebijał się stopniowo naprzód i przeszedł nad taśmą policyjną odgradzającą teren zamachu. Dokładnie tędy kilka godzin wcześniej biegł do komendy, gdy zrozumiał, co ma się wydarzyć.

W miejscach, gdzie jeszcze niedawno znajdowały się trzy duże okna, widać było trzy wielkie dziury. Sekcja do Walki z Przystępnością Zorganizowaną. To tam w ciągu ostatniej doby spędził tyle czasu. Ziemię

zasłały małe i duże okruchy szkła. Kiedy szedł po asfalcie, słyszał nieprzyjemny chrzęst. Zdążył dojść do pierwszego wozu strażackiego, gdy usłyszał, że z tłumu ktoś go woła: „Komisarzu Grens, komisarzu Grens, tylko jedną chwilę!”. Dziennikarze. Miał ich gdzieś. Oni czegoś chcą, a on ma im to dać. Nie interesowały go jednostronne działania. Zrobił więc to co zwykle: nawet się nie odwrócił. Zareagował dopiero wtedy, gdy jeden z dziennikarzy przeskoczył przez taśmę, podbiegł do niego i chwycił go za ramię.

— Czekamy na komentarz, panie komisarzu.

Grens zatrzymał się gwałtownie.

Ujrzał przed sobą dość wysokiego mężczyznę, młodszego od niego przynajmniej o dziesięć lat, który podtykał mu pod usta dyktafon. W pewnej odległości za nim doliczył się przynajmniej dwunastu innych dziennikarzy i tyluż fotoreporterów, a do tego zauważył cztery kamery telewizyjne.

— Proszę zabrać rękę...

— Jedno...

— ...i wrócić spokojnie na swoje cholerne miejsce za biało-niebieską taśmą.

Wysoki mężczyzna posłuchał Grensa. Idąc, machał magnetofonem uniesionym nad głową.

— Potrzebujemy faktów! Oświadczeń! Odpowiedzi!

Za każdym razem, gdy policja podejmuje działania i wypuszcza jakąś informację, wszystkie gazety, radio i kanały telewizyjne donoszą o „groźnej zorganizowanej przestępczości” i o „przedmieściach Sztokholmu”. W ciągu ostatnich dwudziestu dziewięciu godzin zgromadził mnóstwo żółtych karteczek z nazwiskami i numerami telefonów, które nie zdążyły wylądować w koszu.

Kiedy w budynku policji nastąpił wybuch, wcale ich nie ubyło. Przeciwnie.

— O coś mnie pan pytał.

Dziennikarz, który przeszedł nad taśmą, pochylił się w stronę Grensa i wyciągnął do niego rękę z dyktafonem.

— Tak.

— Chce pan odpowiedzi?

— Tak.

Grens odwrócił się, wskazał ręką w stronę dawnej komendy i odparł:

— Ja też.

Potem ruszył w stronę głównego wejścia. Tak to już jest: kiedy postanowiasz nie słyszeć czyjogoś krzyku, po prostu go nie słyszysz.

Dziwnie się czuł, otwierając drzwi po tym wszystkim, co się wydarzyło. Wchodził do budynku, który niedawno żył, a teraz wszystko było w nim martwe. Wchodząc po schodach na górę, spotkał strażaka, który schodził na parter. Przywitali się i chociaż nigdy przedtem się nie spotkali, czuli, że w tym momencie i w tym miejscu wiele ich łączy.

Strażak był tego samego wzrostu co dziennikarz. Miał na głowie hełm z napisem „Dowódca jednostki”.

— Ewert Grens, policja miejska w Sztokholmie.

— Thom Håkansson, straż pożarna w Södertörn.

Strażak chciał go minąć, ale Grens przytrzymał jego dłoń.

— Jaki jest zakres szkód? Tam w środku?

Strażak odczekał, aż Grens puści jego rękę.

— Nie większy niż widać. Środek miał małą prędkość wybuchową, przez co fala uderzeniowa trwa dłużej. Wyłączyłem prąd i wodę. Możecie zacząć badać to miejsce.

Grens wszedł na górę i skierował się korytarzem w prawo, gdzie mieściły się pokoje Sekcji do Walki z Przestępczością Zorganizowaną. Jeszcze półtorej godziny temu miejsce to wyglądało zupełnie inaczej. Teraz w suficie widać było długie, potężne pęknięcie.

Kiedy biegł, Pereira jeszcze żył.

Toaleta znajdowała się za ścianą jego gabinetu. Na podłodze leżały wielkie kawałki porcelany. Wśród skorup i kawałków drewna klęczał Krantz.

— Ładunek podłożono w tym miejscu.

Grens podszedł bliżej.

— Prawdopodobnie został ukryty wewnątrz zbiornika na wodę. Zbudowano go z tych samych elementów, których obecność stwierdziliśmy w kuchni tamtego mieszkania. Zabezpieczyłem ślady saletrolu i dynamitu.

Krantz przeszedł do pokoju, który właściwie już nie istniał.

— Ciało osoby, która znajdowała się w tym pokoju, było przez długi czas poddane działaniu olbrzymiej siły. Pod jej wpływem Pereira został zgnieciony, podobnie jak wszystkie jego narządy wewnętrzne, a potem po prostu eksplodował od środka.

Plama na podłodze. Tylko tyle zostało.

Pereira tutaj siedział. Wybuch rzucił nim o ścianę, a potem o następną. Grens, który nigdy nie bał się oglądać zwłok na miejscu zbrodni — już

raczej podchodził bliżej i nawet ich dotykał, jakby chciał pokazać, że nie robią na nim wrażenia — tym razem odwrócił głowę i wyszedł.

Plama na podłodze.

Stał zupełnie nieruchomo, patrzył na nią i czuł, jak zaczyna się trząść, najpierw słabo, potem coraz gwałtowniej.

Sven i Mariana.

Mało brakowało, a oboje by tu zginęli.

— Znalazłem fragment baterii.

Krantz pokazał mu kawałek metalu leżący dwa metry dalej. Zaraz obok znalazł następny.

— Kawałek płytki z obwodem drukowanym.

Co chwila podnosił coś z ziemi i pokazywał Grensowi.

— Dwie godziny temu te części znajdowały się w tym samym telefonie komórkowym.

W tym, na który zadzwonił Jensen. To był jeden, najwyżej dwa sygnały. Wystarczyło tylko tyle prądu, żeby zdetonować ładunek.

Kiedy chodziliśmy po pokoju, on tam był.

Grens poczuł, że musi odetchnąć świeżym powietrzem. Miał do wyboru trzy otwory po oknach. Wychylił się i nawet nie słyszał, jak ktoś w tłumie dziennikarzy wykrzykuje jego nazwisko. Uwagę skupił w innym miejscu, tam, gdzie inne Råby budziło się ze snu.

— *Świeży ślad, jestem tego pewien.*

W krótkofalówce znowu usłyszał ludzkie głosy. Wyjął ją z kieszeni, żeby słyszeć lepiej.

— *Zapach znowu staje się lepiej wyczuwalny!*

Grens wyobraził sobie psy, jak próbują wychwycić w powietrzu cząsteczki, które jeszcze nie opadły na ziemię, a potem węszą w powietrzu, szukając śladów.

— *Widzę ich!*

Rozległy się głośnie strzały, słyszać było rozgorączkowane głosy.

— *Jest ich dwóch! Widzę ich!*

Chwilę potem Grens usłyszał głos jednego z przewodników.

— *Mają broń... nie spuszcza psa!*

...

Gabriel poczuł zapach spalenizny.

Wiedział, że źródło zapachu nie znajduje się tutaj, więc uniósł się z kanapy i poszukał w dużym pokoju.

Wiedział, że wkopał się na dobre. Czerwone plamy krwi na białej kanapie Wandy zdążyły w nią wsiąknąć. Ściemniały, stały się prawie brązowe i przykleiły mu się do uda. Przemarzł i czuł okropny ból. Udo miał spuchnięte, bo tarcza szlifierki nie oszczędziła ani skóry, ani mięśni, ani ścięgien. Nie wiedział, jak długo tu leżał... godzinę, może dwie. Tamci siedzieli na stoliku przy kanapie. Nagle usłyszał głuchy odgłos. Spojrzał na udo, na kolor krwi i tuszu z tatuażu i poczuł dumę, że był częścią tego, do czego już nie należał. To przecież on skonstruował tamtą bombę i postarał się, żeby trafiła na właściwe miejsce. Czuł się tak, jakby się cofnął w czasie i obserwował to, co za sobą zostawił.

Zapach spalenizny stawał się coraz bardziej wyczuwalny.

Wstał z wersalki, sprawdził w kuchni i sypialni. Spaleniznę czuć było najbardziej w przedpokoju, przy drzwiach wyjściowych. Otworzył je.

Cała klatka schodowa była pełna dymu.

Jon, Bruno i Duży Ali stali na samym końcu korytarza. Otworzyli drzwi prowadzące na klatkę i teraz wiatr zwiewał dym w stronę mieszkania. Usłyszał, jak włączył się alarm przeciwpożarowy, i przypomniał sobie tamte słowa. *Pięćdziesiąt tysięcy, tatusiu.* Dopiero teraz zauważył, że pali się dziecięcy wózek. *W ciągu godziny, tatusiu.* Materiał w wózku prawie zupełnie spłonął. Potem jeszcze coś do niego krzyknęli, zamknęli drzwi i poszli.

...

Ana stanęła na palcach. Trudno jej było zobaczyć coś więcej niż błyszczące dachy domów i wąskie kominy. Jest przecież niska. Potrącana łokciami przez tłum przesuwała się coraz bardziej do tyłu. Odchyliła się ostrożnie, żeby nie potrącić kogoś, kto stał blisko niej. Ból, który odczuwała w ustach, w miejscu, gdzie miała pusty otwór po wybitym zębie, ustał. Teraz przesuwał się przez klatkę piersiową i kumulował mniej więcej w okolicach biodra i brzucha. Był tak silny, że przypominał jej inny ból, którego doświadczyła tylko jeden raz w życiu — leżała wtedy na łóżku w więziennej celi i rodziła syna, który potem przez chwilę leżał na jej brzuchu.

Kiedy rozległ się tamten huk, stała w otwartym oknie kuchni swojego mieszkania. Od razu zrozumiała, jak to się ma do jej choroby i do Leona.

Wybiegła na klatkę schodową i na podwórze. Huk się nie powtórzył. Na dworze nadal było dość ciemno, ale nawet z tak dużej odległości zauważyła dym wydobywający się z trzech okien w budynku policji. Potem w środku rozbłysło światło i to, co do tej pory było szare i ulotne, nagle stało się wyraźne i prawie piękne. Była jedną z pierwszych osób, które zjawily się na miejscu. Stała nieruchomo i wpatrywała się w pokój, w którym tyle razy była. Prawie słyszała jego głos, dziwiła się jego ruchom, które jak na dziewięciolatka wydawały jej się dość nietypowe. Był z siebie taki dumny. Siadywała tuż obok niego i chociaż bardzo się starała, nie potrafiła do niego dotrzeć.

Zatrzymała się w niewielkiej odległości od miejsca, w którym jeszcze nie tak dawno były okna, i obserwowała dym, który stopniowo się rozwiewał. Przez cały czas przybywało ludzi, zrobił się tłok, w końcu przyjechała telewizja. Jeden z dziennikarzy — już nie pamięta który — miał dyktafon i długopis. Szepnął jej, że dowiedział się z pewnego źródła, iż w środku zginął policjant. Dziennikarz nie miał pojęcia, z kim rozmawia. Nie wiedział, że przed osiemnastu laty urodziła syna. Skinęła mu lekko głową i zrozumiała, że w środku naprawdę zginął któryś z policjantów. Rozpłakała się tak, jak nigdy przedtem nie płakała w całym swoim życiu, i zaczęła krzyczeć, choć nikt jej krzyku nie słyszał. Wokół niej gromadziło się coraz więcej ludzi, ale żaden z nich nie wiedział, że choroba, której nikt nie dostrzega i nie leczy, nadal się rozprzestrzenia.

Od razu rozpoznała strażaka, który wysiadł z samochodu. Pojazd był mniejszy niż ten, którym zazwyczaj przyjeżdżał na akcję. Było na nim napisane: „Dowódca jednostki”. Kilku policjantów odsunęło tłum jak najdalej od miejsca zdarzenia, a gdy czerwony samochód strażacki podjechał pod główne wejście i zatrzymał się na zasypanym szkle asfalcie, policjanci rozciągnęli wokół tego miejsca niebiesko-białą taśmę.

Poczekaj na niego. Już zdecydowała.

Poczekaj, aż znowu się zjawi, ale tym razem będzie do niego mówić tak długo, aż w końcu ją zrozumie.

...

Szkodzi ludziom.

Thom zatrzymał się w pół kroku na schodach budynku policji i przywitał się z wysokim, lekko kulejącym komisarzem policji miejskiej w Sztokholmie.

Bardziej niż budynkom.

Ruszył w stronę tłumu i podszedł do czerwonego samochodu. Otworzył drzwi, wsiadł do środka i oparł się ciężko o kierownicę.

Przez dłuższy czas siedział nieruchomo.

Kluczyki trzymał w dłoni, ale ręka tak mu drżała, że upuścił je na podłogę. Wpadły w pustą przestrzeń między pedałem gazu a sprzęgłem. Objął kierownicę, ale dłonie mu się z niej ześlizgnęły. W środku budynku znalazł kogoś, kogo zdążył polubić. Ten ktoś siedział na podłodze oparty o ścianę i trzymał w rękach własne wnętrzności, które wypłynęły mu z jamy brzusznej.

Thom pochylił się, żeby lewą dłonią objąć prawy nadgarstek. Jeśli nad nim zapanuje, utrzyma w palcach kluczyki i zdoła je wsunąć do stacyjki. Włączy silnik i stąd odjedzie.

A może już nie jest w stanie nad sobą panować?

Nagle usłyszał ściszyony dźwięk alarmu, który wydobywał się z krótkofalówki przymocowanej do deski rozdzielczej. Usłyszał też piszczenie pagera w kieszeni kurtki, oba dźwięki dotarły do niego jednocześnie. To dlatego nie podniósł kluczyków z podłogi, tylko otworzył bagażnik, wyjął z niego gaśnicę pianową i ruszył biegiem w stronę budynku. Całkiem możliwe, że akcja gaszenia dziecięcego wózka choć na krótką chwilę odciągnie jego myśli od tamtego wstrząsającego widoku.

...

Ana jeszcze bardziej pochyliła się w lewo. W chwili gdy prawie upadała na gapiów stojących obok, uświadomiła sobie, że nie czuje bólu. Tamten strażak wbiegł do budynku jakieś dwadzieścia minut wcześniej, więc obserwowała na przemian główne drzwi wejściowe i czerwony wóz dowodzenia. Ogień już się nie palił, dym powoli opadał. Strażak pewnie wkrótce wyjdzie z budynku.

W tamtym pokoju nie ma trzech okien.

A Leon? Bardzo starała się do niego dotrzeć, ale jej się nie udało.

Pracowała w opiece społecznej i widywała już takich samych Leonów z matkami, które próbowały do nich dotrzeć. Często o nich myślała: dokąd zmierzają? W którym więzieniu siedzą? Któremu strażnikowi wyrządzą krzywdę? Którego zabijają? Jakim wzrokiem spojrzą na swoją matkę, gdy po raz pierwszy uniosą rękę, żeby ją uderzyć? Jak się nazywał policjant pracujący w tej komendzie, którego wysadzili w powietrze?

Najczęściej rozmyśla o chłopcu, który za pierwszym razem, gdy się spotkali, też miał dziewięć lat. Teraz był o trzy lata starszy. Miał na imię Eddie i przez te wszystkie lata starał się upodobnić do Leona. Przypomniła sobie jego matkę, która wtedy siedziała obok niego i błagała, tak jak ona kiedyś, żeby ktoś się nim zajął. Apelowała do nich, żeby zrobili cokolwiek, żeby odciągnąć go od tego, do czego ona nie miała już sił się zabrać. Potem piły razem kawę w jej pokoju w opiece. Po każdym kolejnym przesłuchaniu Eddiego piły coraz więcej kawy. Spodobało jej się to. Obie widziały to, czego wszyscy inni stojący na zewnątrz nie umieli dostrzec: chorobę i jej symptomy. Podczas rozmów z Deniz zrozumiała, że nawet jeśli już dawno temu wyzbyła się nadziei, iż w końcu uda jej się przemówić do rozsądku temu, którego tak bardzo kocha, to może pomóc innym matkom. Niech chociaż im się uda.

Drgnęła, widząc, jak komisarz policji, który kiedyś rzucił ją na podłogę, przeciska się przez zgromadzony tłum, przechodzi nad policyjną taśmą i kieruje się w stronę wejścia do budynku policji. Czuła się nieswojo, obserwując jego potężną sylwetkę, jakby się bała, że nigdy nie zniknie jej z oczu. Niecałą minutę później pojawił się strażak, na którego czekała. Podbiegł do czerwonego samochodu i długo siedział nieruchomo za kierownicą. Zaczęła się przeciskać w jego stronę i poczuła ulgę, widząc, że wysiada z wozu, wyjmując z bagażnika gaśnicę proszkową i biegnie w stronę domu.

Pobiegła za nim.

Nie spuszczała z niego wzroku. Biegła i biegła. Strażak wbiegł do klatki schodowej przy Râby Allé 114.

Zatrzymała się przed wejściem.

Zamknęła oczy, uspokoiła się i upewniła, że może mówić opanowanym głosem.

— Proszę pana.

Strażak stał przed okopconą metalową ramą. Wszędzie unosił się swąd spalenizny, ale dymu było niewiele. Podeszła bliżej i zobaczyła, że tym razem chuligani podpalili dziecięcy wózek.

— Muszę z panem porozmawiać.

Strażak nie słyszał, jak do niego podeszła. Obejrzał się i uważnym wzrokiem obrzucił kobietę, która już wcześniej kilka razy go zagadnęła.

— To znowu pani?

Skinęła głową.

— Tak. Ja...

Odstawił gaśnicę i machnął na nią ręką.

— Proszę stąd odejść.

— Nie odejdę. Nie tym razem.

Strażak pokręcił głową.

— W takim razie ja stąd pójdę.

Rzucił ostatnie spojrzenie na wózek, podniósł gaśnicę i ruszył w stronę drzwi.

Ana podbiegła do niego, zablokowała mu drogę.

— Musi mi pan pomóc.

— Proszę mnie przepuścić.

— Niech mi pan pomoże.

— Proszę się odsunąć!

Ana patrzyła na niego z taką intensywnością, że nie mógł oderwać od niej wzroku.

Nagle zaczęła się rozbierać. Rzuciła na ziemię kolejne sztuki ubrania.

Strażak pokręcił z troską głową i odwrócił się od niej, żeby nie widzieć marznącego ciała.

— Niech pan na mnie spojrzy.

Ana odsunęła się i obeszła go w taki sposób, żeby ją zobaczył.

Przecież podjęła decyzję.

— Będę tu stała tak długo, aż pan na mnie spojrzy.

Thom zamknął oczy, odczekał chwilę, przełknął ślinę. W końcu odwrócił się do niej.

— Dziękuję.

Widział już jej twarz, lekko siny policzek, spuchnięty podbródek i górną szczękę, w której brakowało przedniego zęba. Teraz Ana delikatnie chwyciła go za rękę i wskazując na swoją prawą pierś, powiedziała mocnym, lekko podniesionym głosem:

— Niech pan spojrzy tutaj.

Thom jeszcze nigdy nie widział tak przebarwionej, spuchniętej kobiecej piersi. Zobaczył też bladą, zmarzniętą skórę.

Spojrzał na jej biodro i widoczne na nim zaczerwienienie, które powoli zmieniało kolor, na uda i na ślad po uderzeniu w brzuch.

— Nie rozumie pan?

Leon siedzi obok niej na krześle na policji, ma dziewięć lat, a ona próbuje przemówić mu do rozsądku.

— Potrzebuję pańskiej pomocy...

Eddie siedzi obok niej na krześle na policji, ma dziewięć lat, a Deniz próbuje przemówić mu do rozsądku.

— Musimy raz na zawsze skończyć z tym, co tu się dzieje. Na zawsze. Nie robiąc przy tym nikomu krzywdy.

Mówiąc to, wskazała na stojący za nim wózek dziecięcy, potem na budynek policji, a może także na okoliczne domy. A może na niebo?

— Nie rozumiem.

Ana nie wypuszczała z ręki jego dłoni.

— Co pani zdaniem powinienem zrobić?

...

Płonący wózek, szary dym. Jon, Bruno i Duży Ali spojrzeli na niego i poszli.

Gabriel leżał na białej kanapie. Przestał krwawić. Wyjął z szafki wszystkie środki przeciwbólowe i poczuł się nieco lepiej. Duża dziura w prawym udzie bardziej go swędziała, niż bolała.

Wiedział, co oznacza okopcony wózek przed drzwiami mieszkania.

Sam też to robił. Kiedyś policja zatrzymała Alexa. Oskarżono go o ciężkie pobicie hurtownika, który nie zapłacił haraczu, i o pobicie kobiety, która była świadkiem tego zdarzenia i zeznawała przeciwko niemu. Kobieta miała trójkę dzieci. Razem z Leonem podpalili wtedy trzy wózki, wjechali nimi do windy i postawili je pod jej drzwiami. Kobieta zrozumiała i tego samego wieczoru wycofała zeznania. Policja musiała wypuścić Alexa z aresztu, dzięki czemu uniknął półtorarocznej odsiadki.

Zastanawiał się, czy cokolwiek czuje. Leon zwyciężył. Płać albo zaszkożymy twojej rodzinie. A jednak wcale tak tego nie odczuwa. W ogóle niczego nie czuje.

Tym razem łatwiej mu było wstać z kanapy. Idąc do kuchni, oparł ciężar całego ciała na lewej nodze. Wysunął górną szufladę z szafki stojącej przy zlewozmywaku i wyciągnął stamtąd zwitek banknotów przyklejony do tylnej ścianki. Wszedł z mieszkania i kopnął wózek stojący przed drzwiami. Przez szybę na klatce schodowej zobaczył tłum ludzi przed budynkiem policji. Właściwie mógłby się tam przejść, stanąć pośród nich i obejrzeć konsekwencje tego, co sam zaplanował. Policja i tak nic na niego nie ma. Nie jest formalnie o nic oskarżony, podobnie jak Jon, Duży Ali albo Bruno. Policja poszukuje pięciu zbiegów, którzy najpierw zabili strażniczkę z więzienia, a teraz policjanta. Tak, mógłby tam pójść i poruszać się całkiem swobodnie, ale wiedział, że nawet jeśli nie jest o nic podejrzany, może figurować w jakimś rejestrze. Policja

mogłaby go zatrzymać i przesłuchać, a tego wolał uniknąć. Nie chciał tam siedzieć i gapić się w podłogę, nie chciał odpowiadać na ich pytania. Dlatego odsunął się od szyby i zszedł schodami dwa piętra niżej. Ostrożnie otworzył ciężkie żelazne drzwi prowadzące do podziemnego garażu, a ujrawszy dwóch policjantów, którzy stali tam na straży, zaczął się czołgać po brudnym betonie między rzędami zaparkowanych samochodów. W końcu doczołgał się do zardzewiałego chevroleta, który stał na swoim miejscu od wielu lat. Nikt go nigdy nie ruszał. To ich skrzynka kontaktowa. Odczepił rolkę taśmy pod zderzakiem i tuż koło lewego tylnego koła przymocował plik banknotów. Sto sztuk o nominale pięciuset koron każdy.

Leon zwyciężył. A on nawet tego nie czuł.

...

Grens nadal trzymał w ręce krótkofalówkę. Słyszał każde słowo. *Znowu ich widzę!* Pospieszył do pokoju, w którym jeszcze do niedawna biło serce Sekcji do Walki z Przestępczością Zorganizowaną. Wszędzie leżały kawałki porcelany i gipsu, drewna i metalu, z którego zrobione są telefony komórkowe. *Ciągle jest ich dwóch! Kierują się w stronę wejścia!* Wyszedł z budynku, minął zgromadzony tłum i przeszedł prawie pięćset metrów dzielących go od pokrytych graffiti drzwi wejściowych na klatkę budynku przy Råby Backe 17. Dotarł na to miejsce dokładnie w tym samym momencie, w którym zjawili się tam antyterrorysty.

...

Gabriel leżał spokojnie za ciężarówką zaparkowaną dwa miejsca dalej. Dwie minuty później zjawili się Jon i Duży Ali. Oni też się czołgali, tak jak on. Od razu wiedzieli, dokąd się skierować. Jeden z nich wsunął rękę pod chevroleta i wyjął spod niego zwitek banknotów o wartości pięćdziesięciu tysięcy koron. Gabriel odczekał, aż odejdą, i sam zaczął się czołgać w stronę klatki schodowej. Przebiegł obok wózka i wpadł do mieszkania.

...

Obaj byli ubrani w bluzy z kapturami i dresy. Leżeli na brzuchu z rękami na karkach. Obok nich siedziały trzy psy, które szczekały i machały ogonami. Miały nadzieję, że któryś z nich się ruszy.

Przewodników z psami zastąpili antyterrorysty. Obu schwytanych złapali za ramiona i chociaż ci rzucali się i głośno przeklinali, zaciągnęli ich do policyjnych busów. Obaj nadal krwawili, gdy pojazd odjeżdżał.

Grens usiadł na jednej z ławek. Kiedyś były zielone, teraz pokryte graffiti.

Złapali dwóch.

Przeprowadzili największą akcję od czasów Malexandra i schwytali tylko dwóch spośród pięciu. Poczul, jak ogarnia go gniew.

Alexander Eriksson i Reza Noori. Akurat oni nic nie znaczą.

Jensen nadal gdzieś tam jest.

To on zamordował.

...

Kiedy Gabriel wrócił do mieszkania, Wanda siedziała na poplamionej od krwi kanapie. W ręce trzymała telefon i patrzyła na niego wzrokiem, którego nie lubił.

— Dzwonił Leon.

Gabriel podszedł bliżej.

— Powiedział, że musisz zapłacić.

— Już zapłaciłem.

— Kazał ci zapłacić dodatkowo siedemdziesiąt pięć tysięcy.

— Przecież już...

— Groził, że wydrze mi dziecko z brzucha. Powiedział dokładnie tak: jak Gabriel nie zapłaci, wyrwę ci tego bękarta z brzucha.

Gabriel spojrział na nią i poczuł, jakby ktoś przeszył go nożem, wykroił mu coś ze środka i wyrzucił. Najpierw chciał ją uderzyć, bo zawsze tak robił, gdy się tak czuł. Uniósł rękę, ale nie zrobił tego. Wyrwał jej tylko telefon, żeby sprawdzić ostatnie połączenie. Nikt nie odbierał. Usiadł na kanapie, która była brudna od zakrzepłej krwi, i sięgnął po swój własny telefon leżący na szafce nocnej. Wybrał numer, który był zakodowany tylko w nim.

— Bracie?

Po drugiej stronie ktoś głośno oddychał. Wyraźnie to słyszał.

— Dzwonisz do mnie na ten telefon?

— Wcześniej dzwoniłem na ten, z którego ty dzwoniłeś. Nie odebrałeś.

— Rozłącz się...

— Tego już za dużo, bracie.

Groźby. Pobicie. Kolejne groźby. Sam wiedział najlepiej, jak to działa.

— Nie jesteś już moim bratem. Zapomniałeś?

— Przesadziłeś, Leon. Zapłaciłem ci pięćdziesiąt. Mam gdzieś, czy spalisz mi resztę twarzy. Nie wolno ci jej tknąć.

On też to robił: stosował przemoc wobec tych, którzy byli nieposłuszni. Współtworzył ten system i dlatego teraz nie czuł nienawiści. Leon jest przecież jego bratem.

— Nikomu nie wolno od nas odejść. A ty... papo Gabrielu... ty nie odejdiesz ode mnie. Masz mi zapłacić dodatkowo siedemdziesiąt pięć tysięcy.

...

Sven pobiegł w stronę budynku przy Råby Backe 17. Miał na sobie specjalny strój. Policja używała takich w przypadku zagrożenia bombowego. Ubiór był dość obcisły i wydawał się w nim niższy niż w rzeczywistości. W połowie drogi zerwał z głowy hełm i noktowizor. Wreszcie mógł odetchnąć świeżym powietrzem. Na ławce ujrzał Ewerta.

Dziewiętnaście godzin i sześćset osiemdziesiąt cztery mieszkania. Zostało im jeszcze siedem tysięcy trzysta szesnaście.

Niedługo przybędą posiłki z Malmö i z urzędu celnego i wtedy będą mieć dwanaście psów zamiast sześciu. Pościg za bandytami nabrał tempa po tym, jak wysadzili w powietrze budynek. W tym budynku był człowiek, z którym niedawno rozmawiali; w wyniku eksplozji został pozbawiony organów wewnętrznych. Ich kolega — policjant. Ojciec dwóch dziewczynek. Nie mają nawet tylu lat co jego syn. Gdyby wybuch nastąpił dwadzieścia, trzydzieści minut wcześniej... Ładunek znajdował się zaledwie dwa metry od niego. Mógł eksplodować w każdej chwili. Gdyby to on tam siedział... Gdyby Ewert musiał powiadomić jego żonę... Gdyby to Jonas stracił ojca...

Ktoś zdetonował bombę dokładnie w chwili, gdy chciał, żeby wybuchła. Mogło być więcej ofiar.

Przyspieszył i po chwili stanął przed wejściem do budynku. Kogoś schwyтали. Może to szaleństwo wreszcie się skończy. Ewert siedział pochylony na ławce z rękami na kolanach.

— To ja to wszystko zacząłem.

Nie widział Svena, chociaż ten usiadł obok niego na ławce.

— Przyjechałem tak szybko...

— Dwóch mamy z głowy.

— ...słyszałem, że...

— Dwóch mamy z głowy, a to gówno warte.

Grens pocierał dłońmi o kolana, chwycił palcami za materiał i ciągnął za niego.

— Bo on nadal tam jest.

— Ewert?

— ...on tam ciągle jest.

Grens szeptał, rzadko to robił. Sven bardzo tego nie lubił.

— Ewert, ty...

Grens podniósł się z ławki i ruszył przed siebie. Nie kulał i nie miał sztywnego karku. Sven nigdy nie widział, żeby Grens się tak poruszał.

— To ja to wszystko zacząłem. I ja muszę to zakończyć.

...

Grens nie był w tym mieszkaniu od osiemnastu lat, a teraz zaledwie w ciągu doby odwiedził je dwa razy. To będzie jego trzecia wizyta. Zadzwoił do drzwi. Nie chciała mu otworzyć.

— Niech pani otworzy, musimy porozmawiać.

Nie przestawał dzwonić. Wiedział, że kobieta jest w środku.

— Już panu wyjaśniałam, wczoraj wieczorem. Nigdy więcej...

— Powiedziałem wtedy, że pani syn dopuścił się zabójstwa.

— ...nie wpuszczę pana do środka.

— Znowu zabił.

...

Grens od razu zauważył. Kobieta uchyliła drzwi zaledwie na kilka centymetrów, ale widać było ślady pobicia na twarzy. Być może również na innych częściach ciała, na co wskazywał sposób, w jaki się poruszała.

— Czy pani pozostaje w bliskim związku z jakimś mężczyzną?

Grens znowu na nią spojrział. Kobieta odchyliła się na prawo, żeby jej tak nie bolało. Jeden z ciosów, który trafił ją w lewą część szyi, był naprawdę silny.

— Ma pani to?

Ana pomyślała, że mogłaby go zapytać: A co to pana obchodzi? Ale nie zrobiła tego. Domyśliła się, o co Grens pyta.

— Nie.

Grens spojrział wymownym wzrokiem na parę męskich butów stojących w przedpokoju. Od razu je poznał. Takie buty noszą strażacy. Wydało mu się, że słyszy, jak ktoś porusza się w dużym pokoju.

— Ma pani gościa?

— Tak.

Grens wskazał głową na jej biodro i twarz.

— Czy zrobił to ten, który tu teraz jest?

— Nie.

— Jest pani absolutnie pewna?

— To nie on.

Swoją służbową broń Grens nosił w kaburze z brązowej skóry. Teraz ją rozpiął, wyjął pistolet, odbezpieczył go, przeszedł obok Any i wszedł z wycelowaną przed siebie bronią do dużego pokoju. Mężczyzna, którego zobaczył w fotelu, był podobny do strażaka, którego widział niedawno na schodach. Strażak wchodził wtedy do zniszczonego budynku policji. Na hełmie, kurtce i spodniach miał napis „Dowódca jednostki”. Grens skinął mu głową, opuścił broń i wsunął ją do kabury. Wrócił do poprzedniego tematu rozmowy.

— Jeśli nie pobił pani strażak ani partner, to rozumiem, że zrobił to syn.

Ana pokręciła głową.

— Spodziewa się pan, że na niego doniosę?

— Ale...

— Stoi pan tu i się tego ode mnie domaga? A kim pan jest, żeby tego ode mnie żądać? Gdzie pan był, kiedy jedyny duży sklep, jaki tu mieliśmy, przeniósł się dwa tygodnie temu do Alvsjö, bo ciągle go ktoś okradał? Gdzie pan był, kiedy po siódmym w tym roku włamaniu właściciel zamknął ostatnią restaurację, jaką tu mieliśmy? Ostatnim razem bandyci wjechali do lokalu samochodem, przez witrynę. Gdzie pan był, kiedy ktoś zamordował kontrolera bramek w metrze, a dyrekcja kolei przez długi czas zabraniała swoim pracownikom przychodzić tam do pracy? Gdzie pan był, gdy przestano nam doręczać pocztę, gdy okradano bankomaty, gdy...

Ana się zakrztusiła. Próbowwała popatrzeć Grensowi prosto w oczy, ale on przyglądał się akurat opuchliznie na jej lewym policzku.

— Pana koledzy z policji nawet tu nie przychodzą i nie badają śladów, bo jest tu zbyt niebezpiecznie. Radzą nam nie wychodzić z domu po dziesiątej wieczorem, bo to zbyt niebezpieczne. Prawa i obowiązki, które są tak ważne dla wszystkich obywateli tego kraju i o których tyle się mówi i każe ich przestrzegać, tutaj nie obowiązują.

Grens skupił uwagę na opuchliznie na jej brodzie i prawym policzku. Po chwili stwierdził, że jest trochę większa, niż sądził.

— Ja...

— Tutaj nie obowiązują!

— Wiem, że...

— Tutaj nie obowiązują, bo pan i społeczeństwo już dawno temu zostawiliście nas własnemu losowi, stopniowo się od nas oddalaliście. A teraz pan tu do mnie przychodzi i czegoś ode mnie żąda?

— Wiem, że obrażenia na pani ciele...

Ana pokręciła powoli głową i roześmiała się. Niezbyt głośno i niezbyt radośnie.

— Wczoraj mnie pan pytał, czy sobie pana przypominam. Powiedziałam, że tak. Powiedziałam to, bo pamiętam każde słowo, każdy grymas na pana twarzy, gdy stał pan tutaj dawno temu, za tymi drzwiami, z nakazem przeszukania mieszkania. Gdy pokazał mi pan pudełko po makaronie, w którym był kilogram heroiny. Gdy spytałam o mojego chłopaka, a pan pokręcił głową, tak jak ja teraz. Gdy rodziłam w samotności. I gdy kilka lat później powiedział pan: „Jeśli będzie pani potrzebowała pomocy, proszę do mnie zadzwonić”. Od tamtej pory nie dał pan znaku życia.

W tym momencie światło dokładniej oświetliło jej twarz i Grens zauważył, że kobieta nie ma przedniego górnego zęba.

— Czy pan rozumie, co to za uczucie?

— Nie.

— Nie rozumie pan, jak...

— Nie. Nigdy nie miałem dzieci. Nie czuję tego, nawet jeśli bardzo się staram. Rozumiem tylko jedno: każda interwencja, każde zatrzymanie rodzi określone konsekwencje. I rozumiem, że to nadal trwa.

Być może boi się swojego syna, a może go nawet nienawidzi. Już wcześniej spotykał takie matki, podobne do niej. Boją się i nienawidzą, ale to one urodziły swoich synów i dlatego na zawsze pozostaną częścią tego, czego już nie rozumieją.

— To się kiedyś skończy.

Grens nie zrozumiał, co Ana ma na myśli.

— Naprawdę?

Ana dotknęła dłonią bolących miejsc na ustach i policzku.

— To, co się tutaj teraz dzieje, niedługo się skończy. Jedynie ten, kto to rozpoczął, może to skończyć.

— Słucham?

— Tylko on.

Ławka w parku. Niedawno na niej siedział i słyszał, jak ktoś tak powiedział.

To był inny głos. Jego głos.

— O czym pani mówi?

W jej oczach pojawiła się jakaś twardość. Mocno zacisnęła wargi.

— Mówię właśnie o tym. Że tylko ten, kto to zaczął, może to skończyć.

...

Gabriel leżał na poplamionej krwią kanapie. Wanda leżała obok niego.

Chciał jej dotknąć, tak jak ona dotykała jego, położyć dłoń na jej policzku, ale nie umiał. Kiedyś widział, jak robią to inni, gdy byli chłopcami, a on siadywał przy kuchennym stole w mieszkaniu Leona i jego mama głaskała go po policzku. Wanda dotykała go tylko wtedy, gdy jej na to pozwolił. A on nie umie. Nigdy tego nie robił. Odczuwał w tym jakiś fałsz.

Łatwiej jest kogoś uderzyć.

Dzwonił Leon. Powiedział dokładnie tak: jak Gabriel nie zapłaci, wyrwę ci tego bękarta z brzucha.

Poczuł się tak, jakby ktoś przebił go nożem.

Wszedł do kuchni i wysunął inną szufladę. Znalazł w niej sztucce, białe serwetki i małe świece, które Wanda tak bardzo lubiła stawiać na stole. Sięgnął ręką w głąb i od tylnej ścianki oderwał zwitek banknotów. Potem zszedł do garażu, do chevroleta, gdzie przy lewym tylnym kole był schowek. Potem poczołgał się z powrotem w stronę żelaznych drzwi prowadzących do garażu. To właśnie tam, w panujących ciemnościach, Jon zadał mu pierwszy cios ciężką żelazną rurką. Trafił go w tylną część uda. Gabriel wbiegł na schody, ale tam po obu stronach czekali na niego Duży Ali i Bruno. Zaczęli go kopać po całym ciele, a gdy się skulił i nakrył głowę ramionami, kopali go w ręce, aż odsłonił głowę. Ostatnie kopniaki trafiły go w podbródek i policzek. Potem któryś z nich szepnął mu do

ucha: „Za godzinę masz przynieść jeszcze sto tysięcy, bo inaczej wyrwiemy jej tego bękarta z brzucha”.

...

Twarz miała spuchniętą i posiniaczoną. Próbowwała stać nieruchomo w drzwiach, ale widać było, że wszystko ją boli.

Był u niej Leon Jensen. Mimo blokad, psów i helikopterów swobodnie się poruszał w całej tej plątaninie asfaltowych alejek i obłożonych mieszkań, wyłamanych drzwi i zaufanych kumpli. Każdemu, kto stąd pochodzi, tutejszy świat daje niezwykłą przewagę nad kimś, kto bez tej nieformalnej mapy w ręce tylko tu przychodzi, zagląda na chwilę i nie umie się w tym wszystkim połapać.

Grens przeciskał się przez tłum ludzi, których na szczęście trochę ubyło. Szary dym stał się prawie przezroczysty, pod butami chrzęściły mu okruchy szkła. Od zewnątrz budynek policji był prawie nienaruszony, nie licząc oczywiście zniszczonych okien. Niedawno bomba rozerwała tam na strzępy człowieka.

Grens zatrzymał się przy zniczu, który ktoś zapalił i postawił przed wejściem obok bukietu róż.

— Ewert?

Obok Grensa zatrzymał się samochód, który przed chwilą z dużą prędkością minął policyjną blokadę. Był to żółty japoński wóz, który Grens widywał w policyjnym garażu w Kronobergu. Ze środka wychyliła się dobrze mu znana twarz.

— Słucham?

Gunnar Werner.

Grens uświadomił sobie, że zna go już od tylu lat, a mimo to nigdy wcześniej nie widział go poza komendą policji.

— Widzę, że pan komisarz ciągle na nogach?

— Nie spałem. Dałem tylko odpocząć oczom.

Werner przywiózł ze sobą laptopa. Wysiadł z wozu, położył go na dachu samochodu i otworzył.

— Chciałbym, żebyś tego posłuchał.

— Bracie?

Gabriel Milton.

— Dzwonisz do mnie na ten telefon?

I Leon Jensen. Prawie godzinę temu.

— Tego już za dużo, bracie.

— Nie jesteś już moim bratem. Zapomniałeś?

— Rozmowa wychodząca z mieszkania przy Råby Allé sto czternaście. Pierwsze piętro. Mieszka tam niejaka Wanda Svensson. Dzwoniący rozmawiał z kimś, kto przebywa w mieszkaniu przy Råby Allé sto siedemdziesiąt dwa. Szóste piętro. Mieszka tam Linn Holmgren.

— Przesadziłeś, Leon. Zapłaciłem ci pięćdziesiąt. Mam gdzieś, czy spalisz mi resztę twarzy. Nie wolno ci jej tknąć.

— Chce się wycofać.

To najbliższy przyjaciel Leona, od kiedy skończyli dziewięć lat. Jeden z dwóch przywódców gangu.

— Gunnar, on chce się wycofać.

Grens uderzył pięścią w dach samochodu.

— Kumple mu grożą. Grożą jego dziewczynie. Będą go zmuszali do płacenia haraczu. Jeśli uda nam się do niego dotrzeć... Od tej pory szukamy jego. Musi nas doprowadzić do Jensena!

...

Gabriel leżał na ziemi w podziemnym garażu. Najbardziej bolał go lewy bok. Domyślił się, że ma złamane kilka żeber. Przy każdym oddechu przeszywał go przenikliwy ból, który wywoływał skurcze mięśni. Podniósł się z ziemi i zaczął wchodzić po jednym stopniu. Miał spuchniętą twarz, złamane dwa palce u prawej ręki, bolały go plecy i udo, z którego poprzednim razem usunęli mu szlifierką tatuaż. Rana nadal go piekła.

Kiedy Wanda otworzyła mu drzwi, nie spojrzał jej w oczy. Wszedł do pokoju i położył się na kanapie. Wiedział, że nie mogą tu zbyt długo zostać. Rozmowa telefoniczna z Leonem może się skończyć tym, że gliny

skorzystają z okazji do zadawania pytań. Nawet jemu, chociaż o nic nie jest podejrzany.

Kiedy Wanda zapaliła w pokoju światło, aż się wzdrygnął. U kogoś, kto doznał wstrząsu mózgu, czasem pojawia się taki odruch. Wanda usiadła koło niego i położyła mu dłoń na policzku. Zrobiła to dokładnie tak, jak on nie umie.

— To się nigdy nie skończy — powiedziała.

Gabriel nie odpowiedział.

— Masz na twarzy pięć śladów po przypaleniu papierosem. A udo!? Przecież oni zdarli ci skórę szlifierką! Pobili cię, chociaż im zapłaciłeś. Zagrozili, że znowu to zrobią, jeśli znowu im nie zapłacisz. Zapłaciłeś jeszcze raz i znowu cię pobili. Teraz mówią, że masz im jeszcze dopłacić. Znowu! Czy Leon nadal jest twoim bratem?

— Robi to, co powinien.

— To się nigdy nie skończy.

— To my z Leonem układaliśmy te zasady.

— Czy ty naprawdę nie pojmujesz? To się nigdy nie skończy!

Gabriel zamknął oczy, żeby nie raziło go światło. Poczuł, że robi mu się niedobrze.

— Chcę, żebyś zadzwonił.

Wanda wzięła go za rękę. Gabriel spojrzał na nią, na jej drobne ciało i twarz, na której malowała się rozpacz.

— Poproś o pomoc.

Gabriel wiedział, w jakiej sytuacji się znajduje. Po prostu wiedział.

Nie miał innego wyjścia.

Podniósł się z wersalki i natychmiast zwymiotował na dywan i podłogę. Udało mu się wstać dopiero za drugim razem. Sięgnął po telefon i wybrał numer, którego nauczył się na pamięć dawno temu.

— *Policja.*

To się nigdy nie skończy.

— Ja...

Będzie musiał im płacić.

— *Słucham?*

Dopóki ma pieniądze, będą go zmuszać, żeby płacił.

— Dzwonię w sprawie śledztwa...

— *Którego?*

— No tego... tych, co uciekli. Z Rąby. Chcę rozmawiać z kimś, kto je prowadzi.

A jak zabraknie mu pieniędzy?

Dla niego i Wandy oznacza to śmierć. Najpierw zabiją Wandę. Potem jego, za zdradę. To on współtworzył te zasady.

— *Przykro mi, ale nie mogę pana połączyć bezpośrednio z tą osobą. A o co chodzi?*

— O cynk.

— *Cynk?*

— Wiem... wiem, gdzie oni są.

Policjantka jak gdyby się zawahała. Może to jakiś wariat? Może go lepiej nie łączyć? A jeśli tego nie zrobi? Mogą się nie dowiedzieć czegoś, co jest istotne dla śledztwa.

— *Okay. Łączę z komisarzem z sekcji dochodzeniowej. Nazywa się Ewert Grens.*

...

Opuszczone mieszkanie.

Wiedział, że to nie ma sensu, i dlatego nie był nawet rozczarowany. To już trzeci nalot, ponad godzinę później. Wyważyli drzwi z zawiasów, spuścili się po sznurach, stłukli szybę. Ta sama metoda, ale mieszkanie inne. W poprzednich dwóch mieszkaniach na podłodze leżały materace i poduszki i nie było żadnych mebli. Natomiast to jest w pełni urządzone, mieszka tu młoda kobieta. Gang zmusił ją do wyprowadzki, a potem w ramach rekompensaty, żeby to wyglądało na obopólną zgodę, dali jej kilka tysięcy na tydzień za możliwość korzystania z lokum.

Nagle zadzwonił telefon. Grens odebrał.

— Słucham?

— *Tu centrala. Łączę rozmowę.*

— Z kim?

— *Nie wiem. Twierdzi, że ma informacje.*

W słuchawce rozległ się cichy szum.

— Słucham?

Znowu nic.

— Halo?

Po drugiej stronie ktoś się rozłączył.

Grens zamknął telefon i się rozejrzył.

Kazał przeprowadzić dodatkowy nalot, chociaż wiedział, że to nic nie da, a on sam ryzykuje kolejną krytykę Ågestama i raport wydziału kontroli wewnętrznej za działania sprzeczne z regulaminem służbowym.

Chodziło o mieszkanie, w którym był Gabriel Milton, gdy dzwonił pod jedyny numer telefonu, pod który nie wolno mu było dzwonić.

Ale i tam nikogo nie było.

Znaleźli tylko plamy zaschniętej krwi na kanapie i świeże wymiociny na podłodze w dużym pokoju.

Okazało się, że ten, który miał ich doprowadzić do Jensena, też przepadł jak kamień w wodę.

...

Sven usiadł na ławce stojącej przed wejściem do budynku przy Råby Backe 17 i zaczął obserwować Grensa, który jakby go w ogóle nie widział i nie słyszał, chociaż Sven siedział tuż przy nim.

Po pewnym czasie zaczęło go to niepokoić. Uczucie strachu utrzymywało się w nim mniej więcej od doby, gdy spotkał się z Grensem w jego pokoju w środku nocy.

Kiedy dwa lata temu żona Grensa, która pół życia spędziła w domu opieki, zmarła na skutek powikłań pooperacyjnych, zastał Grensa w jego pokoju na komendzie w Kronobergu. Grens siedział na podłodze i trzymał w rękach segregator z aktami śledztwa sprzed dwudziestu siedmiu lat. Nie można było z nim nawiązać żadnego kontaktu. Gdy Bengt Nordwall, jego najstarszy i najbliższy przyjaciel, został zastrzelony w kostnicy, Grens postanowił zniszczyć niektóre dowody, aby nie zaszkodziły jego przyjacielowi. Zrobił to, choć ryzykował dalszą karierę zawodową.

W obu tych przypadkach Grens działał pod wpływem szoku, ale go tak nie przerażał.

Tym razem było inaczej.

Miał przed sobą człowieka, którego coś zżerało od wewnątrz. Grens zachowywał się jak zranione zwierzę, które ani nie kuleje, ani nie pada. Właściwie nie powinno się ruszać, a gdy odzywa się ból, produkuje wielkie ilości adrenaliny, która tłumii odczucia. Aż przestaje cokolwiek czuć. Takie zwierzęta biegną po lesie z ogromną prędkością, dopóki działa adrenalina. Potem padają bez życia.

Zostało im jeszcze siedem tysięcy dwieście osiemdziesiąt mieszkań. Będą musiały poczekać.

Sven zdążył już zdjąć zielony hełm, kaptur i noktowizor. Zaczął też zdejmować specjalną kamizelkę, która miała go chronić przed

odłamkami i skutkami siły uderzeniowej. Zdjął nakolanniki i rękawice, ciepły sweter i resztę wyposażenia, które pożyczył od jednego z techników. Wszystko to zaniósł do wozu zaparkowanego na zapleczu budynku policji i pojechał do wojewódzkiego centrum dowodzenia. Wszedł do wielkiej sali z ustawionym pośrodku okrągłym stołem, przy którym ciągle coś się działo.

— Potrzebuję twojej pomocy.

Sven wypowiedział te słowa w kierunku mężczyzny, który opierał się łokciami o stół. Od razu przypomniał sobie inny stół, w Jacksonville na Florydzie. Przyszli wtedy do restauracji na lunch i siedzieli naprzeciwko siebie. Na stole nakrytym białym obrusem stał laptop, a oni wpatrywali się w ekran, obserwując nagranie, na którym ktoś, kto jeszcze przed chwilą żył, został właśnie zastrzelony. Teraz Erik Wilson jest szefem sekcji dochodzeniowej i ich bezpośrednim przełożonym. Sven uświadomił sobie, że rozmowa, jaką za chwilę odbędą, będzie ich pierwszą konkretną rozmową od czasów Florydy.

— Tak?

— Chodzi o Ewerta.

— Co z nim?

— Niepokoję się o niego.

Wilson przeprosił zebranych i odszedł od stołu. Poprosił Svena, aby podszedł z nim do ściany, na której wisiał wielki ekran. Tutaj nikt ich nie będzie słyszał.

— Jak to się niepokoisz?

— Zaczynam się bać. Wszystko się wali. Od tej sprawy z Råby... sam nie wiem... widzę, że ma na niego cholernie zły wpływ.

Cela z zakratowanym oknem i kobieta na szpitalnym łóżku, młody policjant w wieku dwudziestu kilku lat stojący obok starszego o dwadzieścia lat inspektora policji.

— Erik, powiedz mi... Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

Znowu stoi w zamkniętej celi i obserwuje starszego policjanta. Ten zachowuje się niepewnie, chyba nie czuje się tu najlepiej. Gdy dziecko przyszło na świat, podszedł do kobiety. W tej samej chwili, w której lekarz przyjmujący poród położył na jej brzuchu noworodka. Policjant, znany z tego, że nigdy nie dotyka innych ludzi, dotknął policzka dziecka i pogłaskał je po główce.

Wilson miał wtedy dwadzieścia dwa lata, niedawno zaczął pracę w policji i było to jego pierwsze zlecenie różniące się od rutynowego patrolowania ulic Sztokholmu. Wtedy jeszcze nie wiedział, że ów

inspektor policji kryminalnej zostanie kiedyś komisarzem policji i będzie spędzał dni i noce w swoim służbowym pokoju wypełnionym muzyką Siw Malmkvist; że ten sam komisarz, który patrzy na ludzkie zwłoki z pewną dozą współczucia i pogardy, właśnie wtedy doświadczy czegoś zupełnie innego od śmierci: tajemnicy życia i narodzin.

— Nie sądzę — odparł Wilson.

Zajrzał w swoje papiery, poprawił w nich coś ołówkiem i skierował się w stronę okrągłego stołu, gdzie przez cały czas toczyły się ożywione rozmowy.

— Nie sądzę, że jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

...

Gabriel leżał z twarzą przyciśniętą do zimnej, twardej, kamiennej podłogi. Leżał przy zsypie, na siódmym piętrze, między trzema mieszkaniami.

Kiedy się podnosił z kanapy, zwymiotował. Wyjął ukryte za kuchenną szafką ostatnie zwitki banknotów i razem z Wandą opuścili mieszkanie. Poszli do windy i wjechali na najwyższe piętro. Wiedział, że policja namierzyła jego rozmowę z Leonem i zaraz zacznie szukać także jego. Policja domyśliła się, że cierpi i być może zechce współpracować. Jednak po wstrząsie mózgu i wymiotach, które targały jego wnętrzościami, uznał, że nie ma dość siły, żeby iść w inne miejsce.

Zadzwoił na centralę, a gdy policjantka połączyła go ze śledczym, rozłączył się.

Postanowił, że ten trzeci raz też im zapłaci. Jednak za każdym razem, gdy próbował się podnieść, zaczynał wymiotować i dlatego musiała to zrobić za niego Wanda. Było mu wstyd, ale wyjaśnił jej dokładnie, jak ma postąpić. Zjechała windą na dół, zeszła do garażu i włożyła pieniądze w uzgodnione miejsce, to znaczy przy lewym tylnym kole zardzewiałego chevroleta. Kiedy wracała, natknęła się na nich. Jon i Bruno przekazali jej, że za godzinę ma im przynieść sto dwadzieścia pięć tysięcy. Powiedzieli tylko tyle. Wtedy ona wskazała na samochód i wbiegła po schodach na górę. Usiadła na podłodze obok Gabriela, który prawie zdołał się podnieść. Kiedy ją objął, szepnęła: „To się nigdy nie skończy”.

Telewizor był stary, wielki i ciężki, jak wszystkie telewizory starego typu. Potrzebował dużo miejsca i dlatego zawsze stał na środku pokoju. Thom siedział w wygodnym fotelu ze wzrokiem utkwionym w twarzy na telewizyjnym ekranie. Znał ją od wielu lat. Siedząc w fotelu, oglądał telewizję, a jednocześnie przysłuchiwał się, jak policjant, którego nie tak dawno widział przy wejściu do budynku policji, w progu zadaje Anie pytania, na które ona nie chciała odpowiadać. Potem zamknęła drzwi, poszła do kuchni i naląła kawy do dwóch dużych kubków, zrobiła im kanapki z serem i wróciła do dużego pokoju. Usiadła w fotelu, wzięła pilota i włączyła nagranie z ostatnimi wiadomościami. Przez pierwsze dwanaście minut na ekranie pojawiały się na zmianę nagrania z kamer zamontowanych w trzech więzieniach i fotografie młodych mężczyzn z policyjnej bazy danych.

— Bracie, zatrzymaj wóz!

Siedzą obok siebie, ale nie za blisko. Nie znają się aż tak dobrze. Słuchają nagrania z samochodu, którym uciekli bandyci. Trzy podenerwowane młode głosy.

Na samym dole ekranu pojawiły się dwa rzędy białych liter. Dzięki temu słowa stały się bardziej zrozumiałe.

— ...już dłużej nie zniosę tego kopania...

Thom spojrział na Anę. Miała spuchniętą twarz, siniaki, niektóre miejsca zabarwiły się na żółto. Siedziała w fotelu obitym materiałem w wielkie kolorowe kwiaty, poprawiła sobie poduszkę pod głową.

Kiedy dolewała im kawy, poczuła ból.

Co twoim zdaniem powinienem zrobić?

Tam, na dole, stała przed nim naga i pobita i coś do niego mówiła. Kiedy w końcu zrozumiał, czego od niego chce, doszedł do wniosku, że jest szalona. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że błędnie ją ocenił, i dlatego pomógł jej się ubrać. Na klatce schodowej nadal czuć było

dymem. Poszli do jej mieszkania. Dopiero kiedy usiedli w fotelach i zaczął jej uważnie słuchać, powoli do niego dotarło, czego od niego chciała.

— Sam to załatwię. Więcej już nie będzie kopać.

Dawno temu obiecał sobie, że nigdy nie da się nikomu sprowokować, nigdy nie podniesie na nikogo ręki, nawet jeśli ktoś go opluje. Jednak teraz coś w nim pękło. Stało się to wtedy, gdy tamten chłopak ze złotym łańcuchem na szyi i zaczesanymi do tyłu włosami najpierw przeciął kolejny wąż, a potem wycelował w jego głowę palec i „oddał” w jego kierunku strzał, szepcząc: „zabiję cię”. Drugi raz coś w nim pękło trochę później, gdy w budynku policji znalazł tamtego sympatycznego policjanta i spojrzał w martwe oczy. *Jest pan taki... zrezygnowany i zmęczony, ciągle do dyspozycji.* Ana go przejrzała, więc unikał jej wzroku. Jej też unikał. Do pożarów dochodziło dwanaście razy na dobę, a on za każdym razem je gasił. Przypomina to pożar lasu: najpierw wybucha mały, lokalny pożar, ale gdy wiatr zawieje z właściwej strony, ogień zaczyna się błyskawicznie rozprzestrzeniać. Co jakiś czas rozmawiał ze strażakami z innych miast. Oni też mieli swoje Råby i tam też wybuchały takie małe pożary. Trzeba je gasić, żeby nie zamieniły się w jeden wielki pożar.

W telewizji znowu pokazują to samo nagranie.

Widać na nim policjanta, który jedzie na motocyklu. Reflektor z helikoptera jest coraz bliżej, strumień światła staje się coraz silniejszy. Tak, to była ładna dziewczyna.

Ana zatrzymała nagranie na ujęciu, które przedstawiało osiemnastoletniego chłopaka. Jego głos słyszała na tamtym nagraniu, które puścił jej policjant. Całkiem możliwe, że ma na sumieniu dwa ludzkie istnienia.

— Oni nas zostawili własnemu losowi. A przecież my tu żyjemy, mieszkamy, funkcjonujemy. Sam pan słyszał, co mówili: „Niech te bydlaki same się wystrzelają, a jak będzie już po wszystkim, pojedziemy tam i pozbieramy trupy”.

Ana podeszła do telewizora i przyłożyła dłoń do poturbowanej twarzy.

— Rozebrałam się, żeby pokazać, co może zrobić męska pięść i czubek buta. Chciałam, żeby pan na mnie patrzył i słuchał. Nie mogę się obnażyć przed całym Sztokholmem ani przed całą Szwecją. Rozumie pan? Zróbmy to co ja, ale na większą skalę. Pokażemy to, co jest zniszczone, zmusimy ich, żeby patrzyli.

Ana zdjęła dłoń z ekranu. Przez chwilę został na nim wilgotny odcisk, nieruchomy obraz zrobił się lekko zamazany.

— Musi pan to zrobić z wielkim hukiem, żeby usłyszeli. Jak widać, nie wystarczyło, że budynek policji wyleciał w powietrze. Dla nas to codzienność. Tym światem bezprawia rządzi mała grupka i wszyscy powinni to w końcu zrozumieć.

Ubrali się i zeszli na dół. Ana zaprowadziła go do budynku pod numerem dwanaście. Weszli do klatki schodowej, Ana ściągnęła windę, a gdy nadjechała, otworzyła drzwi i zablokowała je w tej pozycji. Potem razem zeszli do piwnicy.

Ana podeszła do szybu windy i swoimi drobnymi palcami wykręciła cienkie niebieskie śrubki. Trudno je było zauważyć, bo znajdowały się nad klamką drzwi do windy. Pod spodem był czworokątny otwór.

Ana wyjęła z kieszeni kurtki metalowy pręt długości około dziesięciu centymetrów, wcisnęła go w otwór i przekręciła. Drzwi prowadzące do szybu się otworzyły.

Ana zeskoczyła na dół. Podłoga szybu była metr poniżej.

Skinęła Thomowi ręką, żeby też zszedł, zapaliła latarkę i odsunęła dwa czarne koce.

Pod spodem leżały dwa worki o wadze dwudziestu pięciu kilogramów każdy zawierające ANFO — najtańszy i najczulszy na wstrząsy materiał wybuchowy. Obok stała skrzynka, a w niej trzysta pięćdziesiąt zapalników, niewielkie rurki z zielonym i białym przewodem i jedenaście lasek dynamitu.

— Co jest w pozostałych szybach?

— W każdym jest worek o wadze dwudziestu pięciu kilogramów. Jest w nich tyle samo zapalników i lasek dynamitu, co tutaj.

— Jest pani tego pewna?

— Rąby Allé dwadzieścia pięć, trzydzieści cztery, pięćdziesiąt siedem, siedemdziesiąt sześć, sto dwa. Pięć szybów.

Thom oświetlił latarką cały szyb. Patrzył na materiał wybuchowy, zapalniki, dynamit.

— Skąd pani o tym wszystkim wie?

— Nie mogę powiedzieć.

— Od jak dawna pani o tym wie?

Kiedy była bardzo młoda, miała do czynienia z narkotykami. Kiedy była nastolatką, pojawiła się broń. Z materiałem wybuchowym zetknęła się jakieś dziewięć, dziesięć miesięcy wcześniej.

— Tego też nie mogę powiedzieć.

Ana wyszła z szybu i spojrzała na człowieka, z którym przegadała cały dzień. Kiedy wróci do mieszkania, znowu będzie z nim rozmawiać. Kazała mu już wyjść, bo w każdej chwili ktoś się mógł zjawić.

Mimo to Thom nie ruszał się z miejsca.

— Właściwie to nieważne, skąd i od jak dawna. Nie obchodzi mnie to. Ale jak nie odpowie pani na moje następne pytanie, zaraz sobie stąd pójdę.

— Co to za pytanie?

— Ilu osobom pani o tym opowiadała?

— Nikomu.

— Wiedziała pani o tych materiałach, jeszcze zanim zginął Pereira?

— Jeśli o tym powiem, zabiją mnie. Tak to u nich funkcjonuje. Powinien pan o tym wiedzieć.

Thom wiedział. Kopnął lekko jeden z worków.

— Mają tutaj taki sam materiał wybuchowy jak ten, którego użyli w budynku policji. Wyrządza o wiele więcej szkód niż materiał z wysoką prędkością detonacji.

— Słucham?

Thom pochylił się, otworzył worek i pokazał jej garść małych, okrągłych, bezbarwnych kulek.

— Ten środek wybuchowy, zwany ANFO, był także...

— Co pan ma na myśli?

— Że Pereira zginął od fali detonacyjnej o niskiej prędkości. Nie może się ona przebić przez ściany nośne budynku i dlatego przez cały czas odbija się od ludzkiego ciała.

Thom zgasił latarkę i wyszedł z szybu.

— Pytała pani, co mam na myśli? Chciałem powiedzieć, że to się da zrobić.

Ana zamknęła drzwi szybu metalowym prętem i przysłuchiwała się w milczeniu słowom strażaka.

— To, czego pani chce, da się zrobić. Wystarczy połączyć ze sobą zapalnik, laski dynamitu i worki wypełnione materiałem wybuchowym. Trzeba odciąć zielony i biały przewód elektryczny. Natomiast żeby za pomocą tego, co tu mamy, wysadzić w powietrze budynek, potrzebne są drzwi w odpowiednim miejscu i ktoś, kto zadzwoni pod ustalony numer.

Gabriel usiadł na podłodze w wyprostowanej pozycji.

Kręciło mu się w głowie i chciało mu się wymiotować, ale jakoś się powstrzymał.

Wanda podała mu rękę, ale sam sobie poradził. Zauważył, że jego dziewczyna ma zmęczoną twarz i suche usta.

Nagle usłyszeli wyraźne dźwięki dochodzące z klatki schodowej z okolic trzech sąsiednich mieszkań. W mieszkaniu po lewej stronie słychać było muzykę, może grecką, w środkowym głośno grał telewizor, w mieszkaniu po prawej ktoś przybijał gwoździe. Gabriel oparł się ręką o ścianę zsypu i próbował się podnieść, ale nie udało się i znowu osunął się na podłogę. Odczuwał coraz silniejsze zawroty głowy i nie mógł się utrzymać na słabych nogach. Spróbował jeszcze raz, a Wanda znowu podała mu rękę. Tym razem jej nie odrzucił. W końcu po kilku sekundach stanął na własnych nogach.

— Chcę, żebyś zadzwonił.

Grecka muzyka, głośno grający telewizor i uderzenia młotka, a teraz na dodatek jej głos.

— Wiesz, że to się nigdy nie skończy. Musisz zadzwonić!

Groźby. Pięćdziesiąt tysięcy. Pobicie. Groźby. Siedemdziesiąt pięć tysięcy. Pobicie. Sto tysięcy. Kolejne groźby.

Sto dwadzieścia pięć tysięcy za godzinę.

— Musisz poprosić o pomoc!

Wanda podała mu komórkę.

— Zostało nam trzydzieści pięć minut.

Gabriel wziął od niej telefon i zaczął go przekładać w dłoni.

Grecka muzyka ucichła, w telewizji leciał inny program, uderzenia młotka ustały, usłyszeli za to wiertarkę i odkurzacz.

— Trzydzieści dwie minuty.

Gabriel wybrał numer. Dwa sygnały.

— *Policja, słucham.*

Gabriel rozłączył się. Oboje popatrzyli po sobie.

Znowu wybrał ten sam numer. I znowu dwa sygnały.

— *Policja, słucham.*

— Chodzi... o tych, co uciekli...

— *Tak?*

— ...chcę mówić z tym, który prowadzi to śledztwo.

— *Nie mogę pana tak po prostu połączyć...*

— On chce ze mną rozmawiać.

— *Na pewno chce?*

— Jeśli chce się dowiedzieć, gdzie są ci, których szuka, to na pewno.

Jeden sygnał, po nim drugi. Ten sam głos co poprzednim razem.
Starszy mężczyzna.

— *Grens, słucham.*

Cisza.

— *Halo?*

— To pan prowadzi śledztwo?

— *A kto pyta?*

Oddech w słuchawce.

— *Halo?*

Kolejny, głębszy oddech.

— *Słyszę, że tam jesteś. Z kim rozmawiam? Jeśli chcesz ze mną porozmawiać, to mów.*

Chrząknięcie.

— *Ja...*

— *Tak?*

— *Musicie...*

Gabriel objął mocniej słuchawkę, spojrzał na Wandę — na jej twarz, brzuch.

— ...musicie mi pomóc.

...

Grens skierował czerwone volvo w stronę głównego wjazdu do garażu. Kiedy przejeżdżał przez bramkę, lekko zaskrzypiała. Zgodnie z poleceniem rozmówcy miał przejechać obok radiowożu, wjechać do podziemnego garażu, za trzecim rzędem samochodów skręcić w lewo i zaparkować za starym chevroletem. Wyłączył silnik i na siedzeniu obok lewej nogi położył pistolet.

Rozejrzał się i dopiero teraz sobie przypomniał, że był tutaj ponad osiemnaście lat temu. Spotkał się tu z innym członkiem gangu, który też próbował wycofać się z przestępczego życia, a gdy mu się nie udało, zadzwonił na policję i umówił się na spotkanie.

To był ojciec Leona Jensena.

— To pan jest Grens?

Gabriel otworzył drzwi od strony pasażera. Grens ocenił, że może mieć około stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu. Miał na sobie czarną bluzę z kapturem i czarne spodnie dresowe. Wyglądałby tak jak wszyscy inni mieszkańcy tej dzielnicy, gdyby nie zaschnięta krew na ubraniu, rany na twarzy, rozszerzone źrenice i drgająca prawa brew. Kiedy wsiadał do samochodu, skulił się. Grens domyślił się, że ma złamane żebra.

— Pan jest tym gliną, który prowadzi sprawę?

Grens od razu go rozpoznał, i to mimo ran. Jego twarz widział wiele razy w ciągu ostatniej doby. Poza tym jego zdjęcie wisiało na ścianie w pokoju Pereiry, i to w najwyższym rzędzie.

To drugi z przywódców gangu. Gabriel Milton.

— Wsiadaj. Nie jesteś poszukiwany. Z formalnego punktu widzenia nie popełniłeś przestępstwa.

Gabriel już siedział w więzieniu i odsiedział kilka wyroków. Z jego akt wynikało, że jest całkowicie zdeprawowanym przestępcą i jednym z dwóch przywódców jednego z najgroźniejszych gangów. Na razie jest czysty — do czasu, aż policja znajdzie dowody wskazujące na coś przeciwnego.

— Chociaż wiem, że orientujesz się, gdzie przebywa teraz Leon. Wiem też, że jesteś współodpowiedzialny za ostatni wybuch, w którym zginął nasz kolega.

Zapadło nieprzyjemne milczenie. Grens i Gabriel wpatrywali się w mrok panujący w garażu. Jeden próbował przeczekać drugiego.

— Potrzebuję pomocy.

Gabriel poruszył się lekko i jęknął. Zabolało.

— Waszej pomocy. Wy, gliny, musicie mi pomóc.

Gabriel oddychał głęboko. Grens poczuł zapach wymiocin.

— Muszę z tym skończyć. My musimy z tym skończyć.

— No proszę.

— Nie kapujesz, glino? Musimy! Potrzebujemy pomocy.

— Dlaczego?

— Nie mogę odpowiedzieć.

Grens zerknął na niego. Gabriel rozmawiał z nim w taki sam sposób, jak z innymi policjantami. Inaczej nie umiał.

— Jeśli chcesz mojej pomocy, musisz odpowiedzieć na moje pytania.

I znowu ten oddech śmierdzący wymiocinami. Grens opuścił szybę.

Do garażu wjechał jakiś samochód. Grens śledził go wzrokiem do momentu, aż znikł na wyższym poziomie.

— Dlaczego?

— Ktoś nam grozi.

Grens dopiero teraz przyjrzał się uważnie jego twarzy. Pięć okrągłych śladów po przypalaniu papierosem. Przypomniał sobie wcześniejsze akta Miliona i zdjęcia, na których pokazano jego poparzone ciało. Tylko twarz była nienaruszona. Przypomniał też sobie ostry zapach spalonej tkanki w mieszkaniu.

— Kto wam grozi?

— Nie mogę odpowiedzieć.

Grens nadal mówił spokojnym głosem.

— To nie jest przesłuchanie, tylko zwykła rozmowa. Rozmawiamy o tym, czy przeżyjesz ten dzień. Kto wam grozi?

Grens jeszcze bardziej ściszył głos.

— Możemy z tym skończyć tylko na dwa sposoby: albo zginiesz, albo wydasz kumpli i zostaniesz objęty programem ochrony świadków.

— Gównu warta gadanina, tylko po to, żebym zaczął sypać.

— Możesz to nazwać, jak chcesz. Ja to nazywam handlem wymiennym. Muszę się dowiedzieć, gdzie przebywają Leon, Marko Bendik i Uros Koren. Prowadziłem takie targi z różnymi gangami w Råby, ciebie jeszcze wtedy nie było na świecie. Zginiesz w wieku dwudziestu lat albo wsypiesz swoich kumpli i zostaniesz objęty naszym programem. Innej alternatywy nie masz.

Znowu ten smród wymiocin. A może zapach zakurzonego garażu? Grens sam już nie wiedział. Jeszcze niżej opuścił szybę.

— Nie sypnę brata, którego kocham.

— Żeby podlegać pod nasz program, będziesz musiał.

— Nie sypnę go.

— No to sobie idź.

Grens siedział wpatrzony w ciemny brzydki garaż. Gabriel otworzył drzwi, wysiadł i znikł w ciemnościach.

...

Gabriel się zatrzymał. Znowu miał zawroty głowy. Odczuwał ból w boku i klatce piersiowej, rwanie w połamanych żebrach stało się jeszcze dotkliwsze. Stał w ciemnościach, gdy Grens uruchomił silnik

i odjechał. Odczekał, aż drzwi garażu się zamkną, a samochód znajdzie się na zewnątrz. Dopiero wtedy poszedł w stronę drugiego wejścia, przy Rąby Allé 34. Wsiadł do windy i pojechał na czwarte piętro.

Długo stał przed drzwiami, na których wisiała tabliczka z nazwiskiem Tomas. Zawsze tam wisi.

Zadzwoił. Może nie ma jej w domu? Usłyszał, jak przekręca klucz w zamku i zdejmuje łańcuch.

— Mogę wejść?

Ana uchyliła drzwi tylko na kilka centymetrów. Ujrzała chłopaka, którego znała, odkąd miał dziewięć lat. Instynkt jej podpowiadał, żeby zatrzaskać przed nim drzwi — z nienawiści do tego, co sobą reprezentował. Ujrzała jednak coś jeszcze — oczy, które nie unikały jej wzroku, poparzoną skórę. Od razu się domyśliła, kto mu to zrobił.

— Mogę?

Szpara w drzwiach była zbyt wąska, żeby zobaczyć coś więcej. Jednak na korytarzu na pewno nikogo innego nie ma.

Poza tym spytał, czy może wejść. Już od dawna nikt się tak do niej nie zwracał.

— Jestem sam.

Wydał jej się inny. Nie taki agresywny jak zawsze. Prawie przypominał jej chłopca, którego znała i wpuszczała do swojego mieszkania wiele lat wcześniej.

— Proszę.

Gabriel wszedł do przedpokoju. Minął pokój Leona, który już nie był jego pokojem. Kiedyś był pomalowany na zielono, teraz na białe. Telewizor, duże biurko. Zajrzał do sypialni, gdzie często skakali po łóżku i bawili się w chowanego, potem do kuchni, gdzie każdego dnia siadali przy stole. Odsunął obrus. Cztery głębokie nacięcia zrobione nożem nadal tam były.

— Nikogo innego nie znam.

Na stole stały dwie filiżanki z kawą. W przedpokoju zauważył parę męskich ciężkich butów.

— Masz gościa?

Ana zabrała filiżanki ze stołu i wylała kawę do zlewu.

— Nie.

Gabriel rozglądał się po kuchni. Ana znowu widziała w nim małego chłopca, który wprawdzie dorósł, ale wybrał to samo krzesło co dawniej.

— Leon... ty i on... to tak jak ja i on.

Gabriel skulił się z bólu.

— Nie wiem... miłość... sam nie wiem, kapujesz? Leon to miłość, a Wanda... będę ojcem... tak, ojcem, kapujesz?

Pięć okrągłych śladów po przypaleniu papierosem. A przecież zawsze był taki dumny ze swojej skóry na twarzy.

Zrozumiała. Miłość, brat.

Położyła mu dłoń na policzku, pogładziła go po szorstkiej, nieogolonej skórze, dotknęła miejsc wokół ran. Gabriel się nie uchylił.

— Leon jest moim jedynym bratem. Kapujesz?

— Nie. To ty jesteś jego jedynym bratem.

Gabriel się rozplakał. Łzy płynęły mu po poranionej twarzy.

— Byliśmy braćmi! Rozumiesz? A teraz... teraz go już nie ma.

Ana obserwowała młodego mężczyznę, który zmierzał swoją drogą. Ona też kiedyś dokądś zmierzała. Nie widać tego, ale łatwo to wyczuć.

— To nie jest tak, że go nie ma. To ciebie nie ma.

Nadal trzymała dłoń na jego wilgotnym policzku.

— Posłuchaj, ty...

— Kocham go. Ale syna nie mam. Już nie.

Gabriel powinien wziąć ją za rękę i odsunąć od policzka, ale nie zrobił tego.

— A ty nie masz brata. Już nie.

Gabriel płakał, jak kiedyś, a ona obejmowała go tak, jak tylko jej było wolno. Spojrzała na niego i na puste krzesło stojące obok. Kiedyś siadywał na nim inny chłopiec.

...

Gabriel przeszedł powoli przez podziemny parking, wyszedł na ulicę i skierował się z powrotem do budynku przy Råby Allé 114. Mocno zaciskał powieki, żeby chronić oczy przed światłem. Szedł pochylony, bo tylko w tej pozycji ból w żebrach był do zniesienia.

Wszedł do windy i usiadł na podłodze.

Zapłacił, a jednak dług rośnie. Jeśli znowu zapłaci, dług wzrośnie jeszcze bardziej. Jeśli nie zapłaci, on i Wanda zginą.

Nie zostawisz mnie.

Siódme piętro. Z windy wygramolił się na czworaka. Tu nie słychać greckiej muzyki, nikt nie wbija gwoździ. Wanda siedziała pod ścianą, przy zsypie. Kiedy go ujrzała, rozłożyła ręce i objęła go.

— Załatwiłeś to?

— Nie.

Odsunęła się trochę od niego. Policzki miała zaczerwienione.

— Minęła godzina i pięć minut!

— Ale...

— Nie zapłaciłeś im. Wiesz, co się stanie! Dobrze wiesz!

Gabriel nie odpowiedział.

— Minęła godzina i sześć minut!

— Nie wsypię ich.

— Zabiją cię! Mnie też!

— Nigdy nie będę donosił na swoich braci.

— No to ja tam pójdę.

Wanda weszła do windy. Gabriel podniósł się z podłogi, zrobił kilka niepewnych kroków, ale po chwili odzyskał równowagę i poszedł za nią.

Po raz pierwszy od ucieczki znalazł się poza domem. Powietrze było rześkie, prawie wilgotne, pewnie zaraz spadnie deszcz. Ostre promienie słońca paliły go w głowę tak mocno, że musiał naciągnąć kaptur. Zrobili duże koło, żeby uniknąć wścibskich spojrzeń. Z tyłu za budynkiem policji ujrzał na parkingu zaparkowane czerwone volvo. A więc Grens nadal tu jest! Gabriel stanął za samochodem, wziął od Wandy komórkę i zadzwonił na centralę komendy miejskiej policji w Sztokholmie. Poprosił, aby połączono go z Ewertem Grensem.

...

Gabriel nigdy wcześniej nie wchodził do komendy policji drzwiami dla personelu. Gdy szli na górę, zauważył, że kulejący gliniarz porusza się równie wolno, jak on.

W przeszłości wiele razy przesłuchiowano go w Sekcji do Walki z Przestępczością Zorganizowaną. Najczęściej rozmawiał z Pereirą. Były to zwykłe rozmowy, wyjaśnienia albo oficjalne przesłuchania.

Nigdy jednak to miejsce nie wyglądało tak jak dzisiaj. Ścian już nie ma, podłogę zalegają stopy papierów, kawałki porcelany, gipsu i drewna.

Na ścianie Pereiry na pewno byli na samej górze.

Każdy oddech sprawiał mu ból, ale prawie go nie czuł. Uśmiechał się w duszy na widok tego, co tu zastał.

Wszystko poszło zgodnie z planem.

— Niech oboje stąd wyjdą.

Gabriel splunął w kierunku mężczyzny w średnim wieku i młodej kobiety, którzy siedzieli na krzesłach w zimnym pokoju. Byli ubrani po cywilnemu, ale od razu się domyślił, że są z policji.

— To Sven Sundkvist i Mariana Hermansson. Pracujemy razem.

— Będę rozmawiał tylko z panem.

Grens skinął im głową, żeby wyszli z pokoju. Potem usiadł na jednym z krzeseł i wskazał mu drugie.

— Siadaj.

Gabriel nie ruszył się z miejsca.

— Żadnych magnetofonów.

Grens wyłączył magnetofon i sięgnął po papier i ołówek.

— Żadnych notatek.

Grens zawahał się, ale po chwili odłożył wszystko na podłogę.

— Wcześniej czy później nasi ludzie i tak powiążą cię z ucieczką. Ukrywanie przestępcy. Z samochodem. Zawłaszczenie prywatnego mienia. Z bronią, którą grożono innym ludziom. Nielegalne posiadanie broni. Biorąc pod uwagę twoją kartotekę, uważam, że dostaniesz... cztery lata.

— Mogę to odsiedzieć.

— To nie wystarczy. Jeśli chcesz naszej pomocy, musisz pomóc nam.

— Nigdy nie zakabłuję moich braci.

W zniszczonym pokoju stały tylko dwa krzesła. Grens i Gabriel siedzieli naprzeciwko siebie. Grens podniósł się i zaczął chodzić po pokoju. Okruchy szkła chrzęściły mu pod butami. W pewnej chwili zatrzymał się przed stosem papierów, szkła i gruzu i przesunął odłamek dawnego sedesu. Szukał czegoś w stosie śmieci, a z podłogi unosiły się kłęby gipsowego pyłu. To, czego szukał, leżało gdzieś na samym dole. Kawałek metalowej blaszki. Otarł ją o nogawkę i rękaw marynarki. Blaszka zostawiła na materiale ślady pyłu.

Pokazał ją Gabrielowi.

— Popatrz na to.

— Tak?

— Co widzisz?

— Co... widzę?

— Tak.

— Przypomina... hm... lusterko. Widzę... siebie.

— Widzisz swoją twarz. Masz na niej pięć dziur. Leon cię przypiekał.

Gabriel patrzył w blaszkę. Wcześniej nie wiedział, jak teraz wygląda.

— Tak.

— No i co?

— Wolę odsiadkę. Brata nie zakabluję.

Komisarz odrzucił blaszkę, która wylądowała na stosie śmieci.

— No to spójrz na to.

Grens pokazał mu laptopa.

— Dostałem to z naszego biura zaledwie godzinę temu.

Na ekranie pojawiło się nagranie z kamery zamontowanej na stacji benzynowej koło Nyköping. Młody mężczyzna bije kobietę, a potem celuje z broni w stronę nadbiegającego mężczyzny.

— Niecały tydzień temu.

— Wolę odsiadkę. Brata nie zakabluję.

Nagranie z kamery na jednej z ulic w Jönköping. Młody mężczyzna wybiega z lokalu i rozbija szybę w domu towarowym.

— Może mi pan pokazywać, co tylko pan chce.

Trzecia kamera. Nagranie przekazane przez policję w Kopenhadze. Młody mężczyzna napada wczesnym rankiem w Hovedbanegården na dealera narkotykowego.

— Nie zakabluję go.

— Ciężkie pobicie. Groźby karalne. Kradzież. Napad. Wszystko w ciągu jednej doby. Sądzę, że dostaniesz za to od ośmiu do dziesięciu lat odsiadki.

— Nie rozumiesz, glino? Nie zakabluję mojego brata.

Grens miał ochotę krzyczeć. Wiedział jednak, że nie powinien tego robić ani tutaj, ani teraz. Obaj walczyli o zdobycie przewagi. Bez słowa wstał z krzesła i wyszedł na korytarz. Wszedł do pokoju spotkań i przysiadł się do stolika, przy którym Sven i Mariana pili kawę.

— Sven?

Grens miał czerwoną ze zmęczenia twarz.

— Daj mi swoją pałkę.

Sven słyszał, co powiedział Grens, ale nie ruszył się z miejsca.

— Czekam!

Marynarka Svena wisiała na oparciu krzesła. Sven wyjął z wewnętrznej kieszeni czarną pałkę długości około dwudziestu centymetrów i podał ją Grensowi. Ten nacisnął przycisk znajdujący się na końcówce i poczekał, aż rozlegnie się charakterystyczny trzask. Pałka sama się rozciągnęła i była teraz trzy razy dłuższa niż przed chwilą. Grens uderzył nią kilka razy w betonową ścianę nad kuchenką i w oparcie krzesła.

— Dziękuję.

Oddał Svenowi pałkę, ale jej nie złożył, tylko wrócił do pokoju. Gabriel prawie leżał na krześle.

Grens zdążył go już poinformować, że gdy śledztwo dobiegnie końca, powiążą go z ucieczką, za co dostanie cztery lata odsiadki. Wspomniał o jego własnej, zniszczonej twarzy. Pokazał mu nagranie, na którym sfrustrowany nastolatek jedzie samochodem przez całą Szwecję. Osiem lat w zakładzie karnym.

Wyłożył wszystkie karty. Z wyjątkiem jednej.

— Przyszedłeś do nas, bo potrzebujesz pomocy.

Znowu musiał skorzystać z laptopa. Tym razem to będzie nagranie dźwiękowe.

— To rozmowa telefoniczna. Sprzed godziny.

— Nikomu nie wolno od nas odejść.

— On ci grozi.

Grens chciał mu spojrzeć w oczy, ale Gabriel odwrócił głowę.

— Grozi twojej dziewczynie. I dziecku.

— A ty... papo Gabrielu... ty nie odejdziesz ode mnie.

W końcu Gabriel zareagował. Był w budynku, którego z całego serca nienawidził, ale nie miał innego wyjścia. Przyszedł prosić o pomoc. Grens był pewien, że w końcu to do niego dotrze.

Przesunął kursor na ekranie i odtworzył tylko jedno słowo:

— ...papo...

Zatrzymał nagranie, przesunął kursor i znowu je odtworzył:

— ...papo...

— Chcesz jeszcze posłuchać?

Teraz był już pewien. Na twarzy Gabriela zaszła ledwo widoczna zmiana.

— Grozi twojemu dziecku.

Grens przesunął laptopa po podłodze.

— A ty swoje dziecko...

Wszystko zaczyna się zawsze w oczach.

— ...zobaczysz dopiero wtedy, gdy skończy szkołę.

Zaciśnięte wargi, zaciśnięte szczęki.

— To ty musisz zdecydować. Obejmiemy cię programem ochrony świadków. Powiesz mi, gdzie znajdę Leona. A ja... ja być może nie będę się upierał, żeby doprowadzić do końca śledztwa w sprawie ukrywania przestępcy, zawłaszczenia mienia, posiadania broni i ciężkiego pobicia, ponieważ oprócz mnie nikt inny o tym nie wie. Obiecuję też, że twoja dziewczyna dostanie od razu osobistą ochronę.

Gabriel już dłużej nie potrafił ukryć uczuć, które nim targały.

— Sam decyduj.

Gabriel podniósł się z krzesła i stanął w miejscu, gdzie niedawno była ściana, a po jej drugiej stronie znajdowała się toaleta. To tam podłożyli bombę.

— Gdzie on stał?

— Kto?

— Pereira. W chwili śmierci.

Grens domyślił się, dlaczego Gabriel o to zapytał. Na sam koniec chciał się pochwalić resztką władzy, jaką do niedawna miał. Serce biło mu jak szalone, policzki poczerwieniały.

— Stał dokładnie tutaj.

— A potem? Gdzie potem leżał?

Grens nie był już w stanie opanować złości, ale wiedział, że musi się kontrolować.

— Nie leżał. Siedział. Oparty plecami o ścianę.

Gabriel, który do tej pory nie powiedział niczego, na co Grens tak bardzo czekał, próbował jeszcze przez chwilę nadrabiać miną.

— To znaczy, że pan go widział?

Grens poczuł, jak ogarnia go wściekłość. Nie teraz, jeszcze nie teraz.

— Tak, widziałem go.

— Podobno siedział z wnętrzościami w rękach? Tak słyszałem. Co pan wtedy czuł?

Grens od dawna nikogo nie uderzył.

Ostatni raz zdarzyło mu się to w wojsku, gdy miał dziewiętnaście lat i był dowódcą pododdziału w jednostce P10. Uderzył tylko raz, do incydentu doszło na terenie koszar. Po tym ciosie jego podkomendny upadł na ziemię. Chłopak w zupełności na to zasłużył. Pijany głupek pewnej nocy ukradł rower sprzed knajpy na Kungsträdgården. Do zdarzenia doszło na początku lat siedemdziesiątych i już nawet nie pamiętał, jak ta knajpa się nazywała. Później już tylko raz stracił nad sobą panowanie. Pewien facet z długimi włosami, który był właścicielem kiosku, zaczął sobie żartować z Anni. Musiał zareagować, ale właściwie nie uderzył go, tylko pchnął na ścianę.

Kiedy w kimś kipi złość, nie ma innego wyboru. Chłopak z oparzeniami na twarzy mówił o Pereirze z taką szyderczą miną. Mówił, że Pereira siedział z wnętrznościami w rękach. Tego już było za dużo. Grens uniósł rękę, żeby go uderzyć, ale Gabriel opuścił głowę.

...

Już po wszystkim.

Gabriel Milton opuścił głowę. Nie jest dłużej w stanie tego wszystkiego znosić.

Grens stał nad nim z zaciśniętą pięścią. Ostatni raz uderzył kogoś w wojsku.

...

— Wiesz, jak działa system ochrony świadków.

— A co z Wandą?

— Nigdy nie będziesz mógł wrócić.

— Co z Wandą, kurwa?

— Zajmiemy się nią, ale przez kilka lat nie będziecie mogli się spotykać.

Pogoda znowu się zmieniła. Jeszcze niedawno powietrze było ciepłe i wilgotne. Teraz zaczął padać deszcz. Pierwsze krople spadły nieśmiało na dach czerwonego samochodu. W budynku policji trwała przeprowadzka. Grens siedział już za kierownicą, Sven i Mariana wsiadali do wozu. Towarzyszył im Gabriel, ubrany w bluzę z kapturem i spodnie dresowe, wszystko poplamione krwią.

— Wsiadaj.

Grens skinął mu głową. Gabriel chwycił za klamkę tylnych drzwi i zajrzał do wnętrza samochodu.

— Możesz usiąść z przodu. Nie jesteś zatrzymany za żadne przestępstwo.

Gabriel z przyzwyczajenia zamierzał usiąść z tyłu, bo to tam siadał zazwyczaj z rękami w kajdankach, między dwoma policjantami.

Grens upewnił się, że pozostałe dwa samochody są gotowe do odjazdu. Dał znać kierowcy radiowozu, który miał jechać przed nimi, i sprawdził we wstecznym lusterku, czy samochód jadący z tyłu zachowuje właściwą odległość.

Na dworze się rozpadało, uderzenia kropel deszczu o dach samochodu mieszały się z nieregularnym oddechem Gabriela. Grens poprosił Svena, żeby wyjął mu z kieszeni marynarki telefon komórkowy, wybrał ostatni numer, pod który Grens dzwonił, i podał mu go.

— Co masz? Gdzie jesteście? — spytał Erik Wilson.

— Na razie nie wiem, muszę znaleźć dwa bezpieczne mieszkania, które akurat stoją puste.

Bezpieczne miejsce. Potrzebuje go tylko na dwa dni.

— Jedno jest w Rosvik, między Piteå a Luleå. Drugie w Korsberdze, w Smalandii, między Vetlanda a Växjö.

— To zbyt daleko.

— Innych nie mamy.

Grens włączył wycieraczki, bo deszcz zaczął zacinać coraz ostrzej.

— W takim razie sam się tym zajmę.

Spojrzał na Gabriela, który miał coraz bledszą twarz.

— Ale musisz mi pomóc i załatwić jakieś ubrania. Mężczyzna, sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, normalna budowa. Cokolwiek, tylko nie bluza z kapturem i spodnie od dresu.

Grens zakończył rozmowę i odwrócił się do Gabriela.

— Brązowa kanapa.

Gabriel nie odpowiedział, nawet na niego nie spojrzał. Po prostu nie zauważył, że ktoś do niego mówi.

— Wygodnie się na niej leży.

...

Komenda policji miejskiej w Sztokholmie. Sekcja dochodzeniowa.

Gabriel siedł w towarzystwie Svena, Mariany i Grensa, którzy otaczali go z trzech stron. Poruszał się jeszcze wolniej niż przedtem, oddychał coraz ciężiej, jakby podczas podróży całkowicie się odprężył. W końcu usłyszał zapewnienie, że jego dziewczyna znajdzie się pod ochroną. Poza tym podjął wreszcie decyzję, która doprowadzi go w nieznane miejsce.

Grens zatrzymał się przy automacie z kawą, wybrał wariant bez cukru i mleka, nacisnął guzik i napełnił płynem plastikowy kubek.

— Napijesz się?

Gabriel nie odpowiedział.

— Może coś przekąsisz? Ciastko?

Tym razem Gabriel odwrócił się od niego.

Drzwi do pokoju Grensa były uchylone. Na biurku, między telefonem a budzikiem, leżało ubranie dla Gabriela: niebieskie spodnie od munduru, biały T-shirt, białe majtki, białe tenisówki.

— Zdejmij wszystko, co masz na sobie. Jeśli masz coś w kieszeniach, telefon komórkowy, pieniądze, włóż je do tej plastikowej torebki.

Grens wyjaśnił mu to, co Gabriel już i tak wiedział.

Nie wolno ci do nikogo dzwonić. Nie wolno ci niczego zabrać. Całą swoją przeszłość zostawisz tutaj.

Na widok ubrań Gabriel się zdziwił. Podeszedł do biurka, podniósł je i odłożył z powrotem.

— To są te ubrania?

— Tak.

— Nie ma szans, glino.

— To tylko na dzisiaj. Z zapasów policji. Jutro dostaniesz nowe, które kupimy w sklepie.

Gabriel oglądał ubranie, aż w końcu odwrócił się do Grensa.

— A jak pan by się czuł w moich dresach? Tutaj, w komendzie? Ja tak się będę czuł w tym ubraniu.

Gabriel jeszcze raz spojrzął na ubranie, w końcu zdjął bluzę i koszulkę.

— Mam wyjść?

Mariana zatrzymała się w progu.

— Nie trzeba. Wolę się rozebrać przed tobą niż przed tymi dwoma.

Kiedy Gabriel się rozebrał, ujrzeli świeżą ranę na prawym udzie i siniaki na całym ciele.

Grens chciał zobaczyć, jak wygląda jego brzuch, żebra i klatka piersiowa, ale nie zdążył.

Z przeszłością już nic cię nie łączy. Niedługo wydobędziemy od ciebie wszystko, co nas interesuje. Zabierze nam to kilka godzin albo kilka dni, bo tyle to trwa.

Gabriel przebrał się już w nowe ubranie. Od tej pory był kimś zupełnie innym.

Sven i Mariana przysunęli swoje krzesła bliżej kanapy. Grens też się przysiadł i pokazał Gabrielowi, żeby usiadł na kanapie. Dopił kawę, kubek odstawił na biurko.

— Na pewno nie chcesz się napić?

Gabriel pokręcił niepewnie głową. Grens wyszedł z pokoju, a po chwili wrócił z dwoma kubkami i kanapką z serem. Kanapkę zostawił sobie, kubki z kawą postawił na stoliku.

— To na wypadek, gdybyś zmienił zdanie.

Grens wypił pół kubka kawy, Sven siedział z zamkniętymi oczami, Mariana porządkowała papiery na kolanie. Gabriel rozsiadł się wygodniej. Czuł się trochę bardziej rozluźniony i nawet ból w boku stał się mniej dokuczliwy.

— Możesz się odprężyć. Bezpieczniejszego miejsca nie ma. Tutaj aż się roi od policji.

Grens pokazał mu pęk kluczy i czworokątną plastikową kartę.

— Żeby tu wejść, muszę użyć kluczy i trzy razy tego identyfikatora. Kiedy chcę stąd wyjść, muszę zrobić to samo, tyle że w odwrotnej kolejności.

Gabriel nie słyszał, co Grens do niego mówił. Miał twarz skrzywioną od bólu. Siedział na kanapie z głową na oparciu. To ta sama kanapa, na której przez tyle lat leżał Grens. Głośno jęknął, na czole i skroniach pojawiły się krople potu. Trwało to może pół minuty, potem oddech wrócił do normy.

Grens sięgnął po magnetofon stojący na podłodze, ustawił go na środku biurka i wcisnął przycisk. Zapaliła się mała czerwona lampka.

Przesłuchanie mogło się zacząć.

W pokoju zapadła cisza. Dlaczego nikt nie śpiewa? Ten pokój bez muzyki i bez jej głosu stał się nagle pozbawiony czasu.

Grens pochylił się i oparł łokciami o blat biurka.

Nie miał nic przeciwko czasowi. Nie o to chodziło. Proces starzenia wcale go nie przerażał. Bardziej chodziło o to, że do mijającego czasu nie miał określonego stosunku. Nigdy nie potrafił dzielić go na małe części, nadawać im różnych nazw, aby potem dochodzić do wniosku, że wszystko to razem wzięte znaczy naprawdę dużo.

W jego przypadku działało to zupełnie inaczej.

Jedna sekunda spędzona w samochodzie, którym najechał na jej głowę, trwała dla niego znacznie dłużej niż trzydzieści dwa lata, które minęły od tamtego wypadku. Kwadrans spędzony przy nagrobku z białym krzyżem zawsze będzie trwał dla niego tyle samo co wieczność, której potrzebował, żeby się zdecydować odwiedzić to miejsce.

...

— Musisz mi wydać Jensena, Bendika i Korena.

Grens zamówił wcześniej jedzenie dla czterech osób: lunch, kawę, kolację i kanapki na wieczór.

— Musisz mi opowiedzieć o wszystkich przestępstwach, które popełniłeś i za które nie zostałeś skazany.

Poprosił Svena, żeby zadzwonił do domu i przekazał Anicie, że wróci bardzo późno.

— Musisz opowiedzieć mi o wszystkich przestępstwach waszego gangu i osób, które z wami współpracują. Mam na myśli przestępstwa, za które nie zostaliście skazani.

Wcześniej skontaktował się ze szpitalem św. Jerzego i pewnym schroniskiem położonym ponad dwieście kilometrów od Sztokholmu.

— Podaj mi nazwiska wszystkich niepełnoletnich, z którymi wasz gang współpracował. Chcę poznać jego strukturę. Opowiedz mi o waszej przestępczej działalności, ze wszystkimi szczegółami.

Grens długo przyglądał się chłopakowi, leżącemu na jego kanapie.

— Innymi słowy: chcę usłyszeć wszystko, o czym nigdy nie chciałbyś mi opowiedzieć.

...

Zdarzało się, że takie przesłuchanie trwało nawet trzy doby. Czasem dwie. Czasem kończyło się w ciągu dwóch minut.

Wartość sekund albo godzin traciła znaczenie, gdy potem wyciągał z kieszeni klucze i wychodził z komendy.

...

— Gdzie jest Leon Jensen?

Grens nadal siedział z łokciami opartymi o blat biurka. Sven dwa razy wstawał z krzesła, żeby otworzyć okno, a potem dwa razy je zamykał. Mariana częstowała wszystkich kawą i papierosami. Gabriel pochylił się lekko do przodu, nadal spokojnie oddychał.

— A co z Wandą?

— Jest w bezpiecznym miejscu.

— Co teraz robi?

— Teraz?

— Tak.

— Przebywa w budynku policji w Råby, strzeże jej dwóch policjantów.

— A ja?

— Już ci to wyjaśniałem.

— Chcę to usłyszeć jeszcze raz.

— Przewieziemy cię w bezpieczne miejsce, tak jak ustaliliśmy.

— To dobrze.

— No to zaczynamy.

— Powiedział pan: opowiedz mi o waszej przestępczej działalności, ze wszystkimi szczegółami.

— Powiedziałem, że chcę się dowiedzieć, gdzie jest Leon Jensen.

— Jeśli chce pan poznać naszą działalność ze wszystkimi szczegółami, będzie panu potrzebny długopis i papier.

Trzy godziny i dwanaście minut.

...

Nie podobało mu się nowe ubranie. Sposób, w jaki siedział i w jaki się poruszał. Jego ciało protestowało przeciwko niewygodzie i źle dobranemu strojowi.

Wypił pierwszy kubek kawy. Grzebał plastikowymi sztuczkami w zestawie obiadowym złożonym z pulpetów, ziemniaków i sosu.

— Wanda.

— Co: Wanda?

— Co teraz robi?

— Nadal przebywa w tym samym pokoju w towarzystwie dwóch policjantów.

— To dobrze.

— Sam o to prosiłeś.

— Już powiedziałem, że dobrze.

— Jeszcze kawy?

— Chce pan poznać strukturę gangu Ghetto Soldiers.

— Chcę usłyszeć, gdzie przebywa Leon Jensen.

— Strukturę. Pisze pan?

Pięć godzin i trzydzieści dwie minuty.

...

Gabriel spytał, czy może położyć się na kanapie. Grens skinął głową. Mariana podała mu jedną z poduszek leżących na podłodze za kanapą. Przez chwilę Gabriel oddychał trochę lżej, na jego twarzy pojawił się wyraz pewnej ulgi.

— Pytał pan o nazwiska małolatów, którzy współpracują z gangiem?

— Pytałem o Jensena.

— Powiedział pan: podaj mi nazwiska wszystkich niepełnoletnich, z którymi wasz gang współpracował.

— Pytałem, gdzie ukrywa się Jensen.

— Chce pan ich złapać czy nie?

Osiem godzin i cztery minuty.

...

Kawa, kolejna kawa i kolacja. Ryba. Grens próbował zgadnąć, jaki to gatunek. Dorsz? A może czarniak? Nieważne, jedzenie i tak nie miało żadnego smaku.

Kawa, kolejna kawa i kanapki. Potem znowu pulpety, tym razem z buraczkami na chrupkim żytnim pieczywie. Do tego jasne pieczywo z serem.

Gabriel wyglądał, jakby spał. Był już całkowicie odprężony. Mariana poprawiła mu poduszkę. Nawet nie zareagował.

Obserwowała go, zerknęła na Grensa.

I znowu na Gabriela.

Czy on wie, czym jest miłość? A może jednak coś czuje?

Skąd miała to wiedzieć?

— Powiedział pan: musisz mi opowiedzieć o wszystkich przestępstwach, które popełniłeś i za które nie zostałeś skazany. Mam rację?

A jednak nie spał. Może się lekko wzdrygnął, gdy twarz Mariany znalazła się tak blisko jego twarzy?

— Powiedział pan: musisz mi opowiedzieć o wszystkich przestępstwach członków waszego gangu i osób, które z wami współpracują. Mam na myśli przestępstwa, za które nie zostaliście skazani.

— Powiedziałem, że chcę się dowiedzieć, gdzie jest Leon Jensen.

— Może mi pan obciągnąć. Pisze pan czy nie? O wszystkich przestępstwach? Będzie pan potrzebował mnóstwo papieru.

Czternaście godzin i cztery minuty.

...

Gabriel znowu zamknął oczy. Mariana stała tuż przy nim, blisko jego twarzy.

Wszystko go bolało. Już nie pomaga, że leży na kanapie.

Mariana przysunęła się jeszcze bliżej.

Kiedyś wiedział, czym jest miłość, ale nagle coś się zmieniło. Jego dziewczyna zaszła w ciążę.

Mariana znowu poprawiła mu poduszkę.

- Powiedział pan: musisz mi wydać Bendika i Korena.
- Chcę, żebyś mi wydał Leona Jensena.
- Marka Bendika i Urosa Korena.

Osiemnaście godzin i szesnaście minut.

...

Grens nie zamówił śniadania. Po prostu zapomniał, że w odróżnieniu od niego inni coś rano jedzą. Wyjął z górnej szuflady biurka dziesięciokoronówkę i poszedł do automatu na korytarzu. Kanapki w plastikowych torebkach, bułeczki z cynamonem, jabłka, jogurty, mazarynki, dwa wafle w czekoladzie. Gabriel wybrał wafle i od razu je zjadł. Potem znowu położył się na kanapie.

Coraz ciężiej oddychał i kilka razy o mało nie zasnął. Mariana i Sven pilnowali na zmianę, żeby nie spał.

Wyśni się później, jak z nim skończą.

...

Są już bardzo blisko prawdy.

Gabriel jest tu z nimi, bo sam tak postanowił. Oni też o tym wiedzą.

— Nie wydam mojego brata.

Czasem próbował krzyczeć, ale nie pozwalał mu na to zbyt silny ból. Nadal z nich szydził, prowokował, ale nie robiło to na nich żadnego wrażenia. Był bezsilny.

— Opowiedziałem wam o wszystkim, czego chcieliście. Mojego brata nie wydam.

Kiedy Gabriel pierwszy raz się rozplakał, Grens wychylił się przez okno i przez komórkę wezwał pogotowie policyjne. Kazał im czekać na dalsze rozkazy.

...

— Chcesz jeszcze kawy?

— Nie.

— Obiad?

— Nie.

— Mam tu papierosy, gdybyś...

— Pięć.

Gabriel znowu się rozpłakał. Tym razem jego żal dochodził z głębi serca.

— Przygotowaliśmy na tę akcję pięć mieszkań.

Gabriel leżał nieruchomo. Sven i Mariana też się nie poruszali. Czuli, że coś się zaczyna dziać i że za chwilę może się to skończyć.

— Råby Allé sto dwadzieścia cztery, sto czterdzieści sześć, sto siedemdziesiąt dwa, Råbygången sześćdziesiąt osiem i Råby Backe cztery.

Gabriel płakał z bólu i nad życiem, które się skończyło.

— Mamy też do dyspozycji cztery komórki w piwnicach na Råby Allé szesnaście, Råby Allé sto czterdzieści trzy, Råby Backe sto dziewięćdziesiąt dwa i Råbygången sto czterdzieści sześć.

Jednak tak naprawdę Gabriel płakał, bo był strasznie samotny.

— Do tej pory zrobiliście nalot na trzy mieszkania. Leon nigdy już do nich nie wróci. Resztę dopowiedzcie sobie sami.

Dwadzieścia trzy godziny i czterdzieści siedem minut.

— Musimy go zabrać do szpitala. Żebro przebiło mu płuco.

Sven słyszał, co powiedział Grens, ale nie podniósł się z krzesła. Spojrzał na Gabriela, który nadal leżał na kanapie, a potem na swojego szefa.

— Płuco? Od kiedy o tym wiesz?

Gren wychodził właśnie z pokoju.

— Ewert, pytałem, od jak dawna o tym wiesz?

— Mniej więc od momentu, w którym on dowiedział się, gdzie śmierć zastała Pereirę. Będę szczery: stan jego zdrowia obchodzi mnie tyle samo, co jego obchodzi Pereira.

W ciasnym pokoju komendy spędzili całą dobę. Gabriel już nigdy nie wróci do poprzedniego życia. Grens obserwował, jak skulony z bólu bandyta idzie między Svenem a Marianą ciemnym, zakurczonym korytarzem. Powiedział im, że reszty powinni się domyślić sami.

Do niedawna Gabriel był członkiem gangu. Teraz się z niego wycofał i zdradził swoich braci.

Niedługo dostanie nową tożsamość i trafi na ostry dyżur do szpitala św. Jerzego. Przez dwa dni będą się nim opiekować lekarze na chirurgii. Potem nieoznakowanym samochodem zostanie przewieziony do schroniska w Hargebaden koło Askersundu. Nie będzie miał dostępu do narkotyków, nie wolno mu będzie kontaktować się z rodziną ani przyjaciółmi. Będzie dostawał kieszonkowe i jedzenie, przydzielą mu osobę kontaktową. I nowe nazwisko.

Już nigdy nie wróci do dawnego życia. Z nową tożsamością dożyje swoich lat. Być może przeżyje dawnych kumpli z gangu.

Kawał plastiku, który zasłaniał wyrwę powstałą po wybuchu, nie pozwalał mu wyrzeć na zewnątrz, więc go rozerwał. Żeby to lepiej zobaczyć, musiał się bardziej wychylić.

— Dziewięćdziesiąt sekund.

Przysunął krótkofalówkę bliżej ust.

— Siedemdziesiąt pięć sekund.

Grens był w budynku policji w Råby. Stał nieruchomo i spoglądał w błękitne niebo. Przez chwilę obserwował okno na najwyższym piętrze. Potem spojrzął na drzwi wejściowe do klatki, za którą kryły się mroczne podziemne korytarze. Zebrał tu łącznie pięćdziesięciu pięciu antyterrorystów uzbrojonych w pistolety MP5, granaty hukowe i pistolety maszynowe. Przed chwilą wydał im rozkaz przeprowadzenia nalotu na kilka obiektów. Mieszkanie w budynku przy Råby Backe 4, czwarte piętro, tabliczka z nazwiskiem Suvorov; mieszkanie przy Råbygången 68, drugie piętro, tabliczka z nazwiskiem Dahl; komórka w piwnicy należąca do mieszkania 86 w budynku przy Råby Allé 143; komórka w piwnicy numer 342 w budynku przy Råby Backe 192; komórka numer 798 w budynku przy Råby Allé 16; komórka numer 976 w budynku przy Råbygången 146.

— Sześćdziesiąt sekund.

Oddziały, które mają wtargnąć do mieszkań, dostaną się tam przez drzwi wejściowe i przez okna. Oddziały, które mają wtargnąć do piwnic, zastosują inną taktykę: dwie grupy wejdą przez dwa wejścia prowadzące do piwnicy, trzecia przez wąskie okienko piwniczne.

— Trzydzieści sekund.

Kiedyś zatrzymał ojca Leona Jensena, potem jego matkę.

— Piętnaście sekund.

Czy to, co robi teraz, to konsekwencje tamtych decyzji? Czy tamte zatrzymania doprowadzą do tych, których dokona wkrótce?

— Dziesięć sekund.

Co potem? Co się stanie w przyszłości, jeśli dzisiaj ich zatrzyma?

— Pięć sekund.

Ale przecież to nie jego sprawa. Nie może tego roztrząsać.

— Cztery sekundy, trzy sekundy, dwie sekundy, jedna sekunda.

To nie jego sprawa, nie może się przecież zastanawiać, jak długo trwają konsekwencje podejmowanych decyzji.

— Zaczynamy!

Teraz
Część piąta
(cztery doby)

Za oknami zrobiło się ciemno. Grens przespał spokojnie całą noc na swojej brązowej kanapie.

Spał na tej samej poduszce co zawsze, ale tym razem pachniała trochę inaczej. Ktoś inny leżał przed nim na tej kanapie i pod tym samym kocem, który teraz też pachniał inaczej. Zapach nie był nieprzyjemny, tylko inny, ale to bez różnicy, bo on nie jest przyzwyczajony do innych zapachów.

Niedawno leżał tu osiemnastoletni chłopak z przebitym płucem.

Grens przeciągnął się i usiadł na brzegu kanapy. Beżowa marynarka była cała wygnieciona, powinien był ją zdjąć. Na stole znalazł pół kanapki z serem, która leżała tam od śniadania. Zaczął ją jeść i okazało się, że nadal jest miękka. Podszedł do półki z czarnymi segregatorami i dwoma lekko zwiędłymi kaktusami. Stały w miejscu, gdzie przez wiele lat był gramofon i magnetofon kasetowy, na który ponagrywał swoje ulubione piosenki. Na ścianach nadal wisiały zdjęcia piosenkarki, które kiedyś jej zrobił, a potem oprawił w ramki. Od pewnego czasu jej głos nie rozbrzmiewał w tym pokoju. Podszedł do okna i spojrzał na pogrążony w mroku dziedziniec komendy. Po chwili zerknął na okno pokoju na dziewiątym piętrze. Gunnar Werner na pewno tam teraz siedzi i nagrywa rozmowy telefoniczne. Trochę dalej jest areszt. Przebywa w nim pewien osiemnastolatek.

Grens wyszedł na korytarz i zszedł trzy piętra niżej do archiwum, gdzie stoją metalowe regały wypełnione aktami śledztw. Gdyby do nich zajrzał, na pewno by znalazł ślady swojej wieloletniej pracy w policji. Tak, to już trzydzieści siedem lat.

Szedł w stronę pokoju na samym końcu korytarza. Zatrzymał się przed oszkloną dyżurką. W środku siedział siwowłosy mężczyzna w okrągłych okularach. Na jego widok odwrócił wzrok od komputera.

— Szukam pewnych dokumentów, do których tylko ty masz dostęp.

Grens wskazał głową na pokój bez okien mieszczący się za szybą. Znajdowały się w nim dokumenty objęte specjalnymi klauzulami tajności, przechowywane na zlecenie służby bezpieczeństwa, Interpolu, pochodzące z działań infiltracyjnych, z programu ochrony świadków i z wydziału, który on, Grens, lubił najmniej, Wydziału Kontroli Wewnętrznej. Jego akta też się tam znajdowały, bo dwadzieścia dwa razy oskarżano go o złamanie regulaminu. Cztery razy został za to ukarany.

— Jakich?

— Z programu ochrony świadków. Z dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Nazwisko: Sonny Steen.

Mężczyzna przy komputerze uderzył kilka razy w klawiaturę i spojrzał na ekran.

— Są tutaj.

— Chciałbym je wypożyczyć. Na kilka dni, może na tydzień.

Mężczyzna pokręcił powoli głową.

— Są opatrzone klauzulą „ściśle tajne”. Mogą je wypożyczać tylko ówcześni śledczy.

— Tak.

— A więc...

— To ja prowadziłem wtedy śledztwo w tej sprawie.

Mężczyzna znów napisał coś na klawiaturze i po dwóch sekundach na ekranie wyświetliły się kolejne informacje. Nie unosząc wzroku znad klawiatury, powiedział:

— Legitymacja służbowa.

— Przecież wiesz, jak się nazywam.

Grens spojrzał mu w oczy. Obaj od dawna się nie lubili. Mimo to lekko się uśmiechnął i położył na podkładce w okienku swoją odznakę policyjną. Nie miał czasu na dyskusje.

— Przychodzę tu od trzydziestu pięciu lat. Ty pracujesz tu prawie tyle samo czasu. I ciągle robisz kłopoty.

— Jeśli coś jest tajne, ma takie pozostać.

Mężczyzna wstał od biurka i poszedł do drugiego pomieszczenia. Dokładnie zamknął za sobą drzwi i mniej więcej po minucie wrócił.

Na wierzchu teczki znajdował się napis „ŚCIŚLE TAJNE” wykonany czarnymi wersalikami na żółtym tle.

— Na tydzień.

— Bądź spokojny.

— Do czego ci są potrzebne?

— Bardzo mi przykro, ale to jedne z tych akt z klauzulą „ściśle tajne”. Mają do nich dostęp tylko ówcześni śledczy.

Grens zabrał gruby segregator z aktami i odwrócił się od okienka.

— Tylko obchodź się z nimi ostrożnie!

Grens się zatrzymał.

Zabrzmiało to tak, jakby mężczyzna siedzący za szybą i strzegący tajnych dokumentów uważał się za ich właściciela i za każdym razem,

gdy je komuś wypożyczał, dawał do zrozumienia, że wolałby, aby segregatory pozostały nietknięte na swoim miejscu.

Grens odwrócił się do niego.

— Chcę je skopiować, a potem je porozdaję. Wyślę je do redakcji „Aftonbladet” i „Expressen”. Możesz być zupełnie spokojny.

Grens szedł ciemnym korytarzem, nie słuchając już tego, co mówił do niego mężczyzna w okularach. Wsiadł do windy i wjechał na ósme piętro. Tam podszedł do kolejnej oszklonej dyżurki, w której siedzieli dwaj strażnicy. Poprosił jednego z nich, żeby z nim poszedł. Strażnik podniósł się z krzesła i ruszył przed nim. Grens poinformował go, że chce wejść do celi w zachodniej części aresztu.

Strażnik podszedł do celi i zajrzał do środka przez czworokątny otwór w drzwiach.

— Wizyta!

Jego głos przeciął ciszę panującą na korytarzu.

— Jensen, masz gościa.

— Już ci mówiłem, pieprzony klawiszu, że nie chcę żadnych wizyt.

Strażnik usłyszał, jak Grens, który stał tuż za nim, poruszył się niespokojnie. Odsunął się na bok i Grens podszedł do samych drzwi.

— Nazywam się Ewert Grens.

Jest tam. W celi o powierzchni pięciu metrów kwadratowych.

Widać go przez wąski otwór w drzwiach. Jensen przeszedł szybkim krokiem z jednego miejsca na drugie i stanął tak, żeby go nie było widać: tuż przy otworze w drzwiach, przyciśnięty do nich mocno od wewnętrznej strony.

— Nie chcę żadnych gości. I nie będę gadał z glinami.

— Jeśli będę chciał z tobą porozmawiać, to rozmawiam. Ale tym razem chodzi o coś innego. Nie przyszedłem tu, żeby z tobą gadać. Chcę ci tylko pokazać coś, co na pewno chciałbyś zobaczyć.

— Nie jestem zainteresowany.

— Na pewno będziesz, jak zobaczysz, co...

— Jeśli chcesz mi pokazać swojego kutasa, pokaż go komuś innemu.

Dzieli ich tylko pół metra. Stoją po obu stronach zielonych metalowych drzwi. Mimo to nie potrafią nawiązać kontaktu.

Grens odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia. Ścigały go okrzyki w rodzaju „pierdolony glina”. W końcu zatrzymał się w pół drogi i zawołał równie głośno: „Dokładnie to samo powiedział mi twój ojciec, gdy go zamknąłem”. Potem już nie czekał, bo wiedział, że po tych słowach krzyki ucichną.

Grens spojrział na budzik stojący na biurku między telefonem a lampą. Dochodziła druga. Wiedział, że nie będzie musiał czekać zbyt długo.

Przeciągnął palcem po napisie „Ścisłe tajne”, który prawie krzyczał do niego z okładki akt. Otworzył teczkę i zaczął czytać jedyne słowa, jakie znajdowały się na pierwszej stronie:

Daniel Jensen

Potem zobaczył zdjęcia zrobione w dniu, w którym go zatrzymał. Fotograf wykonał ujęcia z prawego profilu, lewego i en face.

Przerzucił kilka stron i znalazł kolejne zdjęcie. Przedstawiało czerwony dom stojący w rzadkim lesie. Schronisko. Kiedy już wyciągnęli z niego wszystkie potrzebne informacje, wysłali go tam w ramach programu ochrony świadków. Zdjęcie miało już osiemnaście lat. Dobrze je pamiętał, bo sam je zrobił podczas pierwszej z trzech wizyt.

Zamknął teczkę z dokumentami i zaczął się zastanawiać. Brak ojca. Nie rozumiał tego. On też nie miał ojca, ale mimo to nie został bandytą.

Wstał od biurka i położył się na kanapie.

Brak ojca. Rzadko o nim myślał. Spotkali się tylko dwa razy. Tak to przynajmniej zapamiętał. Miał wtedy cztery albo pięć lat. To był miły dzień. Wypłynęli łodzią w morze, daleko od brzegu, znaleźli się w pobliżu latarni morskiej, która nazywa się Tjärven. Niezbyt dobrze zapamiętał to drugie spotkanie, chociaż doszło do niego wiele lat później. Umarła mama, a on miał wtedy czterdzieści jeden lat. Pewnego wieczoru poszedł na strych i zaczął przeglądać zawartość starych pudeł. Następnego dnia znalazł jego dane kontaktowe, zadzwonił i spytał, czy to on. Tego samego dnia pojechał pod wskazany adres, to znaczy na Kolbäcksgränd 34 w Bagarmossen. Przez dwie godziny siedział w samochodzie przed wejściem do budynku i nie miał odwagi z niego wysiąść. W końcu wszedł do klatki schodowej, poszedł na drugie piętro i zadzwonił do drzwi. Otworzył mu mężczyzna starszy od niego o dwadzieścia lat. Przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu. Mężczyzna też się nie odzywał. W końcu odwrócił się i zamknął drzwi. Grens został na korytarzu i wsłuchiwał się w kroki w przedpokoju. Po chwili ucichły.

Tak wyglądało jego spotkanie z ojcem.

Ktoś zapukał do drzwi, ostrożnie je otworzył i zajrzał do środka.

Był to jeden z młodszych strażników. Czasem zamieniał z nim kilka słów, gdy w nocy opuszczał komendę głównym wyjściem od strony Kungsholmsgatan.

— Domyśliłem się, że pan tu nocuje.

Towarzyszył mu strażnik z aresztu przy komendzie.

— Nie nocuję, tylko pracuję.

Strażnik wskazał palcem swojego kolegę.

— Jest sprawa. Dzwonili już kilka razy z aresztu, ale pana telefon jest wyłączony.

— Nocą zawsze go wyłączam. Nie chcę, żeby mi przeszkadzano, gdy pracuję.

Grens podniósł się z wysiłkiem z kanapy. Strażnik wszedł do pokoju.

— Wiem, że jest już późno, ale...Chciałbym prosić, żeby pan ze mną poszedł na ósme piętro, to w zachodnim skrzydle. Mamy tam aresztanta, który od kilku godzin krzyczy w celi. Za każdym razem, gdy ktoś z personelu każe mu się uspokoić, zaczyna grozić: „Zabiję ich wszystkich”. Przed chwilą podpalił dwie książki i prześcieradło.

Grens przeciągnął dłonią po rzadkich włosach. Wysłuchał słów strażnika i się uśmiechnął.

Przecież wiedział, że długo nie będzie musiał czekać.

— Ten aresztant chce rozmawiać tylko z panem.

Grens spojrział na budzik. Czekał na to jedenaście i pół godziny.

— A więc chce ze mną rozmawiać?

— Tak.

— A jak to sformułował?

— Słucham?

— Jak mnie nazwał, gdy wam powiedział, że chce ze mną porozmawiać? Wątpię, czy zapamiętał moje nazwisko.

Grens znowu się uśmiechnął, za to strażnik poczerwieniał na twarzy.

— Poprosił o spotkanie. Z panem.

— Jeśli mam tam iść, to chcę najpierw usłyszeć, co o mnie powiedział.

Twarz strażnika jeszcze bardziej poczerwieniała.

— Dokładnie?

— Tak, dokładnie.

Strażnik chrząknął i odparł:

— Powiedział... że chce rozmawiać... to jego dokładne słowa...
z pieprzonym gliną, który kuleje.

Grens zabrał z biurka gruby segregator z napisem „Ścisłe tajne”, poszedł do automatu na korytarzu i nalał czarnej kawy do dwóch plastikowych kubków. Od aresztu na ósmym piętrze dzieliło go sześcioro zamkniętych na klucz drzwi. Troje z nich znajdowało się w części budynku należącej do policji miejskiej. Żeby je otworzyć, będzie musiał posłużyć się plastikowym identyfikatorem. Troje pozostałych znajduje się w części, w której mieści się areszt. Tam będzie musiał użyć identyfikatora, którego używają strażnicy.

Było wpół do trzeciej w nocy, ale korytarz z celami był jasno oświetlony.

Przed metalowymi drzwiami, gdzie Grens stał prawie dwanaście godzin wcześniej, zobaczył pięciu umundurowanych strażników. Każdy trzymał przed sobą gruby materac. To na wypadek, gdyby musieli odeprzeć niespodziewany atak aresztanta i przyprzeć go do ściany. Za strażnikami stał lekarz w białym fartuchu ze strzykawką w ręce.

— Wolałbym, żeby przed otwarciem celi wszyscy stąd odeszli.

Grens skinął głową idącemu obok strażnikowi.

— Pan też.

— Zostaniemy tutaj.

— Wasze mundury jeszcze bardziej go rozzłoszczą. Sam sobie z nim poradzę.

— Zamordował naszą koleżankę!

— Wiem o tym. Dostanie za to długi wyrok. Jeśli chcecie uniknąć kolejnych gróźb i kłopotów, pozwólcie mi wejść do jego celi. Potem możecie stąd odejść.

Strażnik przekręcił klucz w zamku i oddalił się w stronę sześciu pozostałych strażników, którzy stali na samym końcu korytarza i obserwowali, co się dzieje.

Grens został sam.

Otworzył drzwi i wszedł do ciasnej celi. Dokładnie zamknął za sobą drzwi.

W środku poczuł ostry swąd spalenizny. Na podłodze leżały dwie nadpalone książki. Próbował odczytać ich tytuły, ale mu się nie udało. Trochę dalej leżała rozerwana poduszka. Grens spojrzął na materac: aresztant chciał go podpalić, krawędź materaca była wyraźnie osmalona. Leon Jensen leżał na łóżku wsparty na ramieniu.

Grens postawił kubek z kawą na przymocowanym do ściany stoliku, drugi na parapecie okiennym przed kratą. Napił się kawy ze swojego kubka i wskazał na ten, który stał przy oknie.

— Dobra.

— Naprawdę?

— Z automatu. Lepszej nie ma.

Jensen nawet nie sięgnął po kubek.

— Chciałeś ze mną mówić?

— Nie gadam z glinami.

Jensen wypowiedział te słowa głośno i wyraźnie, jakby mu groził.

— Nie poznajesz mnie?

Tym razem Jensen się nie odezwał.

— Ale ja od razu cię poznałem.

Grens dobrze wiedział, że ma przed sobą nastolatka, który chce go o coś poprosić, ale nie wie, jak ma o tym powiedzieć.

— Mam mnóstwo czasu.

Kiedy po dłuższym milczeniu Jensen w końcu się odezwał, zaczął mówić o czymś zupełnie innym.

— Co ze ścianą?

— Jaką ścianą?

— Z tą, na której wiszą nasze zdjęcia.

Grens doskonale wiedział, jak to jest nie mówić o tym, o czym najbardziej chce się mówić. Pod tym względem był taki sam.

— Aha.

— Widział je pan?

— Tak.

Jensen się uniósł.

— Gdzie byliśmy?

Usiadł na łóżku z poduszką za plecami i nogami przyciągniętymi do piersi.

— Pytam o ścianę, którą wysadziliśmy w powietrze. Gdzie, kurwa, wisały nasze zdjęcia?

— Czy to ważne?

— Na lewej ścianie? Czy na prawej?

— To takie ważne?

— Na lewej czy prawej, glino?

Grens dopił kawę.

— Na lewej.

— Na pewno?

— Tak.

Grens był pewien, że Jensen jest z tego dumny, bo na jego twarzy pojawił się wyraz zadowolenia.

— Na lewej, kurwa. Wysoko?

— Tak.

— Jak wysoko?

— Tak wysoko, jak tylko się da.

Znowu ta mina. Zacięte wargi, uśmiezek na twarzy.

Grens wskazał ręką na kubek.

— Nie chcesz się napić?

— Nie piję kawy gliniarzy.

— To znaczy, że mogę się poczęstować?

Jensen wzruszył ramionami. Grens wziął kubek i napił się ostygłej kawy.

— Nawet nie wiesz, co tracisz — powiedział.

— Powiedziałeś, glino, że chcesz mi coś pokazać.

— Tak, to prawda.

Pokazał Jensenowi teczkę z dokumentami.

— Akta śledztwa? Już je widziałem.

— Ale to inne akta.

Grens podsunął mu pierwszy dokument. Jensen nieco się cofnął.

— Powinieneś to przeczytać.

Jensen jeszcze bardziej się odsunął.

— A może chcesz, żebym przeczytał ci na głos?

Nadal milczał. Grens podsunął mu dokument pod same oczy.

— Może to ciebie powinienem był załatwić, glino.

Grens cofnął rękę.

— Rozerwać cię na strzępy. Ciebie, nie Pereirę.

Grens włożył dokument z powrotem do teczki.

— Co takiego?

— Może to ty powinienes tam siedzieć pod ścianą z flakami w rękach. Może powinienem...

Grens wstał, otworzył drzwi, wyszedł na korytarz i zamknął je za sobą. Potem zajrzał do celi przez wizjer.

— Jak nie chcesz czytać, to nic nie dostaniesz.

Odwrócił się i ruszył przed siebie. Towarzyszyli mu strażnicy z materacami i lekarz ze strzykawką.

— Glino!

Jensen znowu zaczął krzyczeć, tak jak wczoraj.

— Słyszysz mnie, glino?

Grens trochę zwolnił.

— Tak. Słyszę.

— Jak on się nazywał? Mówiłeś wczoraj...

— Jensen.

— Wiem, kurwa, że na nazwisko miał Jensen! A na imię?

— Na imię miał Daniel.

Jensen zamilkł. Grens ruszył korytarzem i już się nie zatrzymał.

Znowu jest późny wieczór. To chyba dlatego nigdy się nie kładzie. Nie opłaca mu się. Dni i noce mijają ostatnio tak szybko, że się ze sobą stapiają. Coraz częściej się zdarza, że tak jak teraz podchodzi do okna, wygląda na dziedziniec komendy i sam już nie wie, czy ciemność, którą tam widzi, zapowiada nadejście wieczoru, czy raczej koniec nocy.

Jest wieczór. Tym razem był tego pewien.

Nocna rozmowa z osiemnastolatkiem, który chciał dowiedzieć się prawdy, a zarazem bał się o nią spytać i nazywał go gliną, jakby dodała mu sił. Powinien czuć się zmęczony. Przesiedział przy biurku resztę nocy, aż do samego świtu. Potem dwa razy spotkał się z Wilsonem i pojechał do prokuratury na rozmowę z Ågestamem. Spędził trochę czasu z Krantzem w jego laboratorium wśród mikroskopów i brązowych torebek z materiałem pobranym podczas obdukcji. Nadzorował przesłuchania, które prowadzili Sven i Mariana. Przesłuchiwali chłopców, którzy zachowywali się jak podstarzali recydywiści: milczeli, uśmiechali się szyderczo albo odpowiadali na ich pytania w ten sam sposób co zawsze: „Na to pytanie nie muszę odpowiadać”. Spędził w pracy mnóstwo godzin i miał to dziwne uczucie, jakby był trochę mniej samotny.

Zaczął nucić jakąś melodię, ale dopiero po chwili to sobie uświadomił. Siwan. Piosenka pod tytułem *Tunna skivor*.

Jej muzyka już nigdy więcej nie zabrzmiała w tym pokoju. Odwrócił się w stronę regału, na którym stały książki, segregatory i kaktusy. Nie był zły ani nawet rozczarowany. Dawnymi czasy przyłapywał się na tym, że coś nucił albo poruszał się jak w tańcu. Za każdym razem czuł się zawstydzony i choć sam nie wiedział dlaczego, wyładowywał się, krzycząc na innych.

Teraz już się tak nie zachowuje.

Uśmiechnął się i przestał nucić.

Usiadł przy biurku i zaczął przeglądać akta, choć znał je prawie na pamięć. Zdjęcie schroniska nad jeziorem Nässjö, które jako jedno z pierwszych służyło policji podczas wdrażania programu ochrony świadków. Zdjęcie mężczyzny, który kiedyś nazywał się Daniel Jensen, a teraz używa nazwiska Sonny Steen. Pojechali tam razem, tym samym samochodem. Chłopak siedział obok niego w milczeniu i obserwował, jak we wstecznym lusterku znika jedyne miejsce, które znał przez cały życie.

W ciągu całej czterogodzinnej podróży odezwał się tylko raz, gdy popsuł się samochód. Tuż przed Mjölby usłyszeli nagle irytujący dźwięk dochodzący gdzieś spod maski. W końcu silnik zgasł. Zanim Grens zdążył zareagować, chłopak wysiadł, podniósł przednią klapę i poprosił o śrubokręt. Dwie minuty później mruknął: „Cewka” i dodał, że teraz silnik na pewno zaskoczy. Grens spojrział na błyszczące zdjęcie. Zachowało dobrą jakość. Przypomniawszy sobie, że zrobił ich wtedy więcej. Stosował różną przysłonę, zmieniał obiektyw. W tle widać czerwony dom stojący na skraju lasu. Twarz Jensena nadal jest wyraźna, zdjęcie zachowało należyłą ostrość.

Do czytania dokumentów w segregatorze Grens musiał założyć okulary. Twarz Jensena to twarz bez wyrazu. Proste zamknięte usta. Oczy wpatrzone w obiektyw. Długie włosy poruszane podmuchami słabego wiatru.

I coś jeszcze: jego twarz nie wyrażała ani poirytowania, ani złości.

Kiedy Grens robił te zdjęcia, były przywódca gangu i narkoman mieszkał już od dwóch miesięcy w czerwonym domu pod lasem. Policja umieściła go tam w ramach programu ochrony świadków. Posługiwał się nowym nazwiskiem i zerwał kontakty z dotychczasowym środowiskiem. Każdy policjant wiedział, że gdy narkoman musi przez kilka dni obejść się bez prochów, zaczyna wariować.

Grens poprawił okulary i jeszcze bardziej zagłębił się w przeszłość Jensena.

Chłopak na zdjęciu miał na sobie czarny sweter z golfem. Narkoman na głodzie jest bardzo pobudzony. Grens zapamiętał jednak, że kiedy robił mu zdjęcia, chłopak stał spokojnie z zaciśniętymi ustami i wzrokiem skierowanym w obiektyw. Uparł się, żeby włożyć właśnie ten sweter, chociaż był środek lata i żar lał się z nieba. Kiedy Grens kazał mu opuścić golf, chłopak zaczął krzyczeć.

Jensen zaczął sobie robić zastrzyki w szyję. Znowu brał, co oznaczało, że zaczynał przegrywać swoją szansę. Tak to właśnie wygląda w przypadku tych, dla których program ochrony świadków zakończył się niepowodzeniem. Nawroty zdarzają się coraz częściej, utrzymują się przez kilka lat, a przerwy między nimi stają się coraz krótsze. Prochy, przestępstwa i odsiadki stają się codziennością. W taki oto sposób przywódca gangu i narkoman, który chciał się wycofać i zacząć nowe życie, swoje nowe życie przegrywa.

Grens chodził po pokoju między kanapą, regałem i oknem. Wrócił myślami do innego osiemnastolatka, którego odwiedził poprzedniej nocy.

Pewnie spotka się z nim przynajmniej jeszcze jeden raz. Sven i Mariana przez cały dzień go przesłuchiwali. Nie odpowiadał na ich pytania, cały czas milczał. Grens nie cierpiał takich sytuacji i nie umiał sobie z nimi radzić. To dlatego tak bardzo naciskał na Krantza, Errforsa, Ågestama i Wilsona. Chciał doprowadzić sprawę do końca nawet bez przyznania się Jensena do winy. Chciał za wszelką cenę umieścić młodego mordercę w więzieniu.

Zrobił po pokoju jeszcze jedną rundę, aż w końcu podszedł do biurka i wyjął końcowy raport przygotowany przez techników z laboratorium kryminalistycznego. Raport zawierał między innymi informację na temat odcisków palców. Był odpowiedzią na wątpliwości, które nim targały i wywoływały w nim niepokój.

Przeglądał kolejne dokumenty i nawet nie słyszał, że ktoś zapukał ostrożnie do drzwi.

Zdjęcie lewej dłoni Leona Jensena z głęboką blizną na grzbiecie. To pewnie pamiątka po spotkaniu z kimś, kto był śmiertelnie przerażony. Ślad po ugryzieniu przez zamordowaną Julię Bozsik.

Fotografia koszulki, którą Jensen miał na sobie w momencie zatrzymania. Technicy znaleźli na niej siedemdziesiąt cztery plamy krwi. Ustalono, że krew należy do Bozsik, Jensena i Milтона. Grens przypomniał sobie przypaloną twarz Gabriela i jego posiniaczone ciało.

Ktoś znowu zapukał do drzwi, ale Grens i tym razem nie usłyszał.

Raport zawierał mnóstwo zdjęć, które przedstawiały skradzione przedmioty. Policja znalazła je pod łózkami czternastu chłopców. Żaden z nich nie był jeszcze pełnoletni i dlatego nie można ich za to ukarać.

Zdjęcia broni znalezionej w skrytkach — na dworcach, w szkołach albo w domach towarowych.

Nagle usłyszał dźwięk przypominający pukanie.

Zdjęcie przedstawiające trzy lewe tylne opony w pustym mieszkaniu. Znalaziono na nich ślady amfetaminy i heroiny.

Zdjęcie przedstawiające fragment materiału wybuchowego, który nie eksplodował podczas detonacji. Znalaziono go przy toalecie w Sekcji do Walki z Przestępczością Zorganizowaną. To tam znajdowało się epicentrum wybuchu. Ustalono, że materiał pochodzi z tej samej partii, którą w śladowej ilości znalaziono na podłodze mieszkania w budynku przy Råby Allé 67. Mieszkanie należało do Eduarda Santosa.

Dopiero gdy po raz czwarty usłyszał ten dźwięk, uświadomił sobie, że ktoś puka do drzwi jego pokoju.

Spojrzał na budzik stojący przy telefonie. Jest już pół godziny po północy. Tym razem Jensen zdecydował się półtorej godziny wcześniej.

— Wejść!

— Panie komisarzu...

— Tak.

W drzwiach pojawił się ten sam dyżurny, który siedział przy wejściu od strony Kungsholmsgatan, i ten sam strażnik z aresztu. Jak widać, obaj pracowali na nocnej zmianie.

— Chodzi o Jensena.

— Tak?

— Krzyczy i grozi. Chce rozmawiać „z tym gliną, który kuleje”.

— Aha, więc już nie chce rozmawiać „z tym pieprzonym gliną, który kuleje”?

— Nie tym razem.

Grens znowu zanucił jeden z przebojów Siw. Jednak tym razem dość głośno, zwłaszcza gdy wychodził z windy.

Wszystko wyglądało tak jak poprzedniej nocy. Przed celą Jensena stała grupa umundurowanych strażników. Każdy trzymał przed sobą duży materac. Obok czekał lekarz w białym fartuchu. W ręce trzymał strzykawkę ze środkami uspokajającymi. Jensen znowu krzyczał: „Wszystkich ich pozabijam!”.

Tym razem na widok Grensa strażnicy jak gdyby poczuli ulgę. Nie upierali się, żeby zostać przy celi, i na skinienie Grensa oddalili się na koniec korytarza. Obserwowali stamtąd dalszy rozwój sytuacji.

Grens zapukał w drzwi i zajrzał do środka przez wizjer.

— Chciałeś ze mną rozmawiać.

— Możliwe.

— Ale już nie chcesz wysadzić mnie w powietrze?

Grens nie doczekał się odpowiedzi, ale nawet się jej nie spodziewał. Nie usłyszał też żadnych gróźb, gdy otworzył drzwi i wszedł do środka.

W celi nie było już czuć zapachu spalenizny.

Wszystko stało na swoim miejscu.

Jensen siedział na brzegu łóżka. Był środek nocy, ale nie wyglądał na zmęczonego. Ktoś, kto przebywa w areszcie, nie ma zbyt wielu zajęć. Ma za to mnóstwo czasu na sen. Codziennie. Grens przyniósł dwa plastikowe kubki z kawą. Jeden postawił na stoliku przymocowanym do ściany, drugi na parapecie okiennym. Otworzył teczkę i wypił trochę kawy ze swojego kubka. Jensen swojego nawet nie tknął.

— Dobra.

— Co, kawa?

— Jak wczoraj, z automatu. Niczego lepszego tu nie dostaniesz.

Grens dopił kawę i obserwował Jensena, który w końcu sięgnął po swój kubek, napił się z niego i pospiesznie odstawił go na miejsce.

— Chyba chcesz mnie zabić, glino!

Grens pochylił się w stronę zakratowanego okna, sięgnął po prawie pełny kubek, wypił kawę, zgniótł kubek i się uśmiechnął.

— To twój tata.

Otworzył teczkę na pierwszej stronie. Tym razem Jensen nie cofnął się, tak jak wczoraj. Ale na zdjęcie też nie spojrział. Odwrócił wzrok, starając się na nie nie patrzeć. Nie spojrział nawet na imię i nazwisko na pierwszym dokumencie. To, które już wypowiedział poprzedniej nocy.

— Daniel Jensen.

Kolejne zdjęcie przedstawiało wnętrze więzienia dla kobiet w Hinsebergu. Zachmurzone niebo, pełno śniegu. Musiało być wtedy zimno.

— Tuż przed twoimi narodzinami gdzieś znikł.

— Wiem o tym.

— W takim razie wiesz także...

— Tak opowiadają. Że jechał do tamtego więzienia... to znaczy do mnie... i po drodze gdzieś przepadł.

Grens chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. Czy Jensen na pewno chce znać prawdę?

Kolejne zdjęcie.

W tle widać zakratowane okno. Niewyraźne zarysy nowo narodzonego dziecka leżącego na brzuchu kobiety.

— Urodziłeś się w więzieniu, bo twoim rodzicom groziło niebezpieczeństwo.

Jensen podniósł się gwałtownie z łóżka. Niebezpieczeństwo. To coś, o czym wie więcej niż wielu innych.

— Dlaczego?

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

— Ty pieprzony...

— Po prostu nie wiem.

Grens nie wiedział, czy chłopak mu uwierzył. Leon po chwili usiadł z powrotem na łóżku i uspokoił się.

Kolejne zdjęcie. Kobieta w niebieskim fartuchu trzyma na rękach dziecko.

— Kto to jest?

— Ty.

— Pytam o tę kobietę.

Grens odwrócił zdjęcie, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Przez chwilę studiował fotografię, która po tylu latach wyblakła.

— To położna. Zajmowała się tobą, jeszcze zanim się urodziłeś.

W celi znowu zapadła cisza.

Na dworze rozpadał się deszcz. Słysząc było, jak krople uderzają o brązową blachę. Taki deszcz utrzymuje się dość długo.

— Czy on tego chciał?

— Czego?

— Przyjechać, żeby mnie zobaczyć, jak się już urodziłem.

Podobno jechał do tamtego więzienia i po drodze zaginął. Czy Jensen na pewno chce poznać prawdę?

— Tego nie wiem.

— A co myślisz?

— Nie mam dzieci.

— Pytam, co o tym myślisz, pieprzony glino! Może przedawkował? A może zginął? No, jak było? Chciał przyjechać?

Zdarzało się, że kiedy ktoś rozmawiał z nim podniesionym głosem, Grens wychodził albo uśmiechał się szeroko.

Jednak tym razem tego nie zrobił.

— Myślę...

Czasem lepiej skłamać. Zwłaszcza gdy nie można zdradzić całej prawdy.

— Myślę, że chciał.

Jednak kłamstwo musi brzmieć bardziej konkretnie, żeby uznano je za prawdę.

— Krzyczał i groził. Tak jak ty teraz. Chciał tam pojechać. Dostał naszą zgodę, pozwoliliśmy mu jechać, żeby mógł cię zobaczyć... ale cóż... zachował się jak wszyscy inni. Trafiła mu się okazja, więc ją wykorzystał. Jeśli ktoś ma szansę na ucieczkę i na zdobycie prochów, to z niej korzysta... tak postępują wszyscy narkomani.

Jensen siedział nieruchomo na łóżku i słuchał Grensa. Chyba się trochę uspokoił. W przypadku ludzi, którzy są pełni agresji i nie chcą się jej pozbyć, trudno to stwierdzić.

— Głód narkotykowy.

— Co?

— Właśnie to czujemy.

— My?

Grens się uśmiechnął. Jensen prawie odwzajemnił jego uśmiech. Jedno kłamstwo rodzi następne. Dzięki temu ojciec stanie mu się odrobinę bliższy.

Grens trzymał przed sobą teczkę z dokumentami. Jedną ręką zakrył zdjęcie, które jeszcze przed chwilą zamierzał pokazać Jensenowi. Zrobiono je rok wcześniej, gdy sąd ogłaszał ostatni wyrok, jeszcze zanim ojciec Jensena zaczął odsiadywać swój obecny wyrok. Pod zdjęciem znajdowało się nazwisko, którego Grens jeszcze mu nie wyjawiał. Po prostu prawda bywa czasem zupełnie niepotrzebna. Zamknął teczkę z dokumentami, żeby nie było widać ani nazwiska, ani zdjęcia.

— Nigdy nie zastanawiałeś się nad tym, żeby... wszystko w swoim życiu zmienić?

Właściwie nie zamierzał pytać go o takie sprawy. Sam nie wiedział, dlaczego zadał to pytanie.

— Uważam, że jeśli nie dokonasz w swoim życiu pewnych zmian, wcześniej czy później marnie skończysz.

— Zmian?

— Tak. Powinieneś się zastanowić nad tym, jak żyjesz.

— Jak żyję?

— Przecież twoje życie też jest ważne!

Jensen spojrzał na niego szyderczym wzrokiem. Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy.

— Dla kogo?

Właściwie Grens nie zamierzał wypowiadać takich słów. Sam nie wiedział, jak to się stało. Nie wiedział, o co tak naprawdę mu chodzi.

Dla mnie.

— Dla ciebie.

Twoje życie jest ważne dla mnie.

— Twoje życie jest ważne dla ciebie, dla twojej mamy, dla...

— Zamknij się!

Wtedy rozmowa dobiegła końca.

Grens podniósł się z krzesła, zabrał teczkę i oba kubki po kawie. Przed wyjściem z celi wskazał na zapaloną lampę.

— Zgaś światło i spróbuj zasnąć.

Podszedł do drzwi, otworzył je i zatrzymał się w progu.

Nie zgasi światła. Nigdy tego nie robi.

Odwrócił się do Jensena.

— Albo niech się pali. Ja też tak robię.

Był już za drzwiami, gdy usłyszał jego głos. Jensen jak zwykle coś za nim krzyczał.

— Szacun!

Poczuł, jak ogarnia go fala ciepła.

— Szacun, glino!

Wracając do pokoju, Grens nucił coś pod nosem. Czuł jakiś dziwny ucisk w piersi. Może jednak powinien się odważyć? Przecież nie musi od razu rzucać się głową w dół, w bezdenną przepaść. Przedtem zawsze się bał. Wspomnienia to przeszłość, a przeszłość to jedyne miejsce, w którym miał odwagę przebywać.

Może więc powinien się odważyć?

Wracał szybkim krokiem do swojego pokoju. Panowała w nim cisza, do której nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić. Nauczył się, jak wytrwać, czasem nawet czuł się dumny, że to potrafi, ale tak naprawdę miał już tego dosyć. Czuł się tak, jakby w panującej ciszy wszystkie jego myśli nabrały większych rozmiarów, jakby stały się lepiej widoczne. Nie mógł się przed nimi ukryć. Nie chciał słyszeć budzika na biurku, ludzi na ulicy, własnego chrząkania i kroków. Już kilka razy coś nucił i nawet nie był wtedy zły, przestraszony ani rozczarowany. Anni nie jest niebezpieczna. Jej głos już go nie wabi do przeszłości. Coś czuje, a na dodatek tamte słowa... *Szacun, glino...* To było tak dawno temu. Przez wszystkie te lata ani jednego dnia nie przeżył bez Anni. Spojrzał na regał z książkami i prychnął. Podszedł do segregatorów i kaktusów, które stały na nim tylko po to, aby zatrzeć ślady po tym, co stało tam wcześniej i co pewnego dnia spakował do pudeł. To wszystko przez trzydzieści lat stanowiło część jego życia.

Wyjął jeden z segregatorów, potem drugi, zdjął kaktus, potem następny. Dotknął ostrożnie pustych miejsc, pochylił się nad biurkiem, wyjął kartkę ze spisu telefonów i wykreślił numer Einarssona. To jemu podlegał magazyn z przedmiotami, które skonfiskowała albo zabezpieczyła policja.

Einarsson odebrał dopiero po dłuższej chwili.

Być może spał.

— Słucham.

— Einarsson? Mówi Grens.

— Dzwonisz o tej porze?

— Tak.

— Jest środek nocy.

Nie rozmawiali ze sobą od roku, a ściślej biorąc, od dnia, w którym Grens okleił taśmą i przytaszczył do magazynu trzy kartonowe pudła.

Chciał je tam jakoś przechować, choć było to niedozwolone, bo w magazynie przechowywane są tylko przedmioty zabezpieczone przez policję dla potrzeb prowadzonych śledztw.

— *Mam kilka kartonów. Chciałbym, żebyś je tu przechował.*

Einarsson zakaszlał zmęczonym głosem. W słuchawce rozległ się lekki trzask, jakby ją upuścił.

— Ewert?

— Tak?

— Spałem. I chciałbym przespać resztę nocy. Czego ode mnie chcesz? Nie ma nawet drugiej, a Einarsson ma już taki zmęczony głos.

— Gdybym chciał zabrać moje kartony, to jak moglibyśmy to załatwić?

— Masz na myśli tamte kartony?

— Tak?

— A kiedy?

— *„Dochodzenie wstępne Malmkvist”. Co to takiego, do cholery?*

— *Dochodzenie wstępne w sprawie Malmkvist.*

— *Tyle rozumiem. Ale nigdy nie słyszałem o takiej sprawie.*

— *Dochodzenie zostało zakończone.*

— Teraz.

— Jest noc.

— No to co?

— Magazyn jest zamknięty. Nikogo w nim nie ma, a ja jestem w domu. I chciałbym jeszcze trochę pospać.

— W takim razie sam tam wejdę.

— *Chciałbym cię prosić, żebyś to przechował. W bezpiecznym miejscu.*

— *Ewert, ja...*

Einarsson umilkł. Spoglądał przeciągłym wzrokiem na Grensa i pudełko. Uśmiechnął się. Dochodzenie w sprawie Malmkvist. Numer sprawy 19361231. Einarsson znowu się uśmiechnął, tym razem szerzej.

— *O kurna. To jej data urodzenia?*

Grens skinął głową.
— Sprawa jest zakończona.

— Ewert?

— Tak?

— Nie zrobisz tego.

— Zrobię. I to zaraz.

— Po twojej ostatniej wizycie potrzebowaliśmy kilku dni, żeby przywrócić porządek w magazynie.

— W takim razie... tego rodzaju dochodzenia mają tu priorytet. Pod warunkiem, że dany przedmiot jest unikalny, rozumie się. Może wtedy trafić na przykład na niestrzeżony strych albo do wilgotnego magazynku w piwnicy.

— Chcę tam teraz wejść.

W słuchawce znowu zapadła głucha cisza. Potem rozległ się kaszel i chrząknięcia.

— Jesteś pewien, że chcesz je zabrać?

— Absolutnie.

— Poczekaj chwilę.

Grens usłyszał, jak Einarsson idzie na bosaka po podłodze swojej sypialni. Potem usłyszał fragment rozmowy, którą prowadził przez drugi telefon. Dwie minuty później w słuchawce znowu rozległy się trzaski i zmęczony głos Einarssona.

— Przyjdź tam za piętnaście minut. Poczekaj przed drzwiami, aż zjawi się młody chłopak, który pracuje jako strażnik w RPS. Znajdzie twoje rzeczy i ci je wyda.

Grens potrzebował pięciu minut, żeby przejść z wydziału dochodzeniowego do magazynu, w którym przechowywano zarekwirowane przedmioty. W pomieszczeniu nie było okien i nie dobiegały z niego żadne dźwięki. Niewiele miejsc jest nocą tak pustych jak piwnica pod największą w Szwecji komendą policji.

Z początku chciał te rzeczy wyrzucić. Potem zmienił zdanie. Już nawet nie pamiętał dlaczego, ale przyniósł je na przechowanie do magazynu. Teraz bardzo się cieszy, że tak postąpił.

Nagle z mroku wyłonił się młody policjant, o którym wspominał Einarsson. Otworzył drzwi i odwrócił się do Grensa. Nigdy przedtem go

nie spotkał, ale sprawa musi być ważna, jeśli komisarz policji pracuje po nocach.

— Chodzi o... dokumentację śledztwa w sprawie Malmkvist.
Dochodzenie wstępne.

— Zrozumiałem.

— Chcę je ze sobą zabrać.

Młody strażnik przeskoczył przez kontuar i wszedł między regały.

— A co to za dochodzenie?

— Zakończone i zarchiwizowane.

— Więc po co one panu?

— Zamierzam je wznowić.

— To pan je prowadził?

— Tak, przez trzydzieści lat.

Strażnik dość szybko znalazł kartony na regale. Zdjął je i ustawił na wózku z małymi grubymi kółkami. Grens spojrział na pudła, żeby się upewnić, czy nikt ich nie otwierał. Na szczęście wyglądały na nietknięte. W jednym nadal była dziura — pamiątka po mocnym kopniaku czubkiem buta.

— Nie pracuję tu tak długo... Ale trzydzieści lat?

— Tak.

— Dlaczego nigdy o tej sprawie nie słyszałem?

Grens uderzył dłonią w pudło leżące na samej górze, oderwał z niego czerwoną taśmę z napisem: „Tajne. Prawo do otwarcia ma oficer śledczy prowadzący dochodzenie”.

— Czasem o nich nie słyszymy.

— A wyrok skazujący?

— Malmkvist grała wtedy pierwsze skrzypce, tyle wiemy. Posłuchamy, co ma nam do powiedzenia dzisiaj.

Grens złapał za uchwyt wózka i ruszył w stronę wyjścia. Kartony niewiele ważyły.

— Panie komisarzu?

Strażnik nadal stał za kontuarem.

— Być może jestem zbyt wścibski... ale minęło już trzydzieści lat...
Sądzi pan, że pojawiło się coś nowego w sprawie?

— Właśnie tego nie wiemy. Jeśli słusznie się domyślam... ale to między nami... pewnie znowu usłyszymy tę samą wersję.

...

Grens usiadł przy biurku. Po chwili przesiadł się na blat biurka. Po kilku minutach położył się na kanapie. W końcu stanął przy oknie.

Pomyślał o alkoholu. Rzadko pił sam, bo nie sprawiało mu to przyjemności, ale czuł się teraz jak ktoś, kto postanowił już nigdy nie pić, chodzi na spotkania w Klubie AA, a któregoś dnia kupuje butelkę alkoholu, stawia ją na stole, patrzy na nią i dobrze wie, jak poczuje się za chwilę.

To nie strach, tylko raczej oczekiwanie.

Przecież nie otwiera grobu, a Anni jest już gdzie indziej. Z Anni łączyła go tylko Siw i jej muzyka i dlatego po raz pierwszy w życiu był absolutnie pewien, że muzyka to nie to samo co Anni.

Otworzył wszystkie trzy kartony. Wyjął z nich kasety magnetofonowe, zdjęcia i magnetofon i postawił je na półce na tych samych miejscach, na których stały przedtem.

A potem już tylko słuchał i tańczył.

Tańczył ze sobą, pod lampą, na samym środku pokoju. Jak kiedyś.

Gdyby nie noc, wszyscy, którzy przechodziliby koło jego pokoju, słyszeliby tę samą graną na okrągło melodię.

*Przysłałeś mi najpiękniejsze tulipany
I prosiłeś mnie, żebym zapomniała
O wszystkim, co zdarzyło się wczoraj.*

Jej muzyka, jej głos... już dawno nie rozbrzmiewały w tym pokoju. Poza jego umysłem.

Myśli, które kiedyś tak wyraźnie słyszał, nieco ucichły.

*Wypłakałam oceany łez
I dlatego nie będzie ci już tak łatwo.*

Grens usiadł na biurku. Pot spływał mu po plecach i czole. Powiesił marynarkę na oparciu krzesła, przysunął telefon i zadzwonił na centralę.

— Połączcie mnie z dyżurką w Komendzie Głównej. Chciałbym porozmawiać ze strażnikiem, który niedawno wydał mi trzy kartony z magazynu.

Ściszył muzykę i czekał. Po chwili usłyszał w słuchawce trzaski i młody męski głos.

— Słucham?

— Pytałeś mnie, czy jest coś nowego w sprawie.

Policjant, który wyglądał jak chłopiec, bardzo się zdziwił, że komisarz z wydziału dochodzeniowego postanowił do niego zadzwonić i poinformować go o ustaleniach dotyczących śledztwa.

— Tak... to prawda.

— Sprawiliśmy, że ona znowu śpiewa.

— Kto taki?

— Główna postać w śledztwie dotyczącym Malmkvist.

— Naprawdę?

— Jest dokładnie tak, jak przypuszczałem. To między nami. Ta sama wersja. Bez żadnych zmian.

Grens odłożył słuchawkę i wstał z fotela. Żeby znaleźć się na środku pokoju, wystarczy wykonać tylko dwa taneczne kroki.

Obudził się wcześniej.

Dwie godziny głębokiego snu między piątą a siódmą rano zupełnie mu wystarczyły. Miękką kanapą, muzyka... był całkiem rozluźniony i odczuwał spokój, którego często mu brakowało.

Czuł się tak, jakby kupił butelkę wódki, postawił ją na stole, otworzył, wypił i dopiero potem zrozumiał. Zawsze uważał, że to dobre. Dopiero teraz uświadomił sobie, że dążył do określonego skutku. Jej głos i fakt, że w każdej chwili mógł zanucić coś z pamięci, były czymś zupełnie innym. Siwan, muzyka... nie tego szukał. Kiedyś postanowił żyć dla skojarzeń, dla Anni, dla wspomnień, postanowił za nimi tęsknić. Właśnie tak się czuł. Jak po wypiciu butelki alkoholu.

Podniósł się z kanapy i włożył do magnetofonu kasetę z piosenką z 1961 roku zatytułowaną *Nie czytaj listu, który do ciebie napisałam*, w aranżacji Harry'ego Arnolda. Utwory z tamtych lat ciągle mu się podobają, ale z innego powodu... jakby słuchał ich pierwszy raz, jakby były całkiem nowe i symbolizowały coś innego.

Kiedyś przez krótką chwilę odczuwał radość, potem wpadał w melancholię.

Teraz odczuwa radość — i nadal będzie ją odczuwał.

Słuchał jej głosu i siedział przed komputerem. Znowu oglądał na ekranie zdjęcia osiemnastoletniego chłopaka, którego odwiedzał w celi przez dwie kolejne noce. Ucieczka, która trwała dziewięćdziesiąt minut. Nagrania pochodzą z czterdziestu trzech kamer w trzech zakładach karnych. Wąska linia na dole ekranu pozwalała mu oglądać więźnia, który nawet nie zasłonił twarzy, tam i z powrotem. Dłużej zatrzymał się na nagraniu pochodzącym z kamery na murze. Zatrzymał obraz, a ponieważ był niezbyt ostry, odsunął się od ekranu. Najpierw ujrzał ręce, które wciągnęły broń na brzeg muru. Ta broń dała im władzę. Potem twarz człowieka, który dumnie spoglądał w obiektyw kamery i coś do niej wołał.

Żadnej przeszłości. Żadnej przyszłości.

Nie żyjesz ani przed, ani po. Masz do stracenia tylko obecną chwilę.

A jeśli tym razem nie przewinę obrazu, jeśli go zatrzymam i spojrzę ci z bliska w oczy?

Zobaczę w nich coś innego. Zobaczę to, czego tak naprawdę się boisz.

Jesteś cholernie samotny.

Grens odszedł od komputera i zajrzał do teczki z dokumentami. Jest w niej zdjęcie, które ma już osiemnaście lat. Widać na nim mężczyznę, który stoi na tle czerwonego budynku. To on, Grens, zrobił mu to zdjęcie.

Porównał obraz na ekranie ze zdjęciem w teczce.

To Daniel Jensen, który został objęty programem ochrony świadków i zmienił nazwisko na Sonny Steen. Stoi przed schroniskiem. A teraz zdjęcie Leona. On nigdy nie stanie się kimś innym. Stoi na szczycie więziennego muru i patrzy w obiektyw kamery.

Mieli tyle samo lat, są tego samego wzrostu, mają szczupłą sylwetkę, zacięte usta i czujny wzrok.

Mogliby być rodzeństwem. Są ojcem i synem.

Udało się zmienić imię i nazwisko, ale nie przeszłość.

Grens odwrócił się i zmienił kasetę w magnetofonie. Otworzył nowe okienko na ekranie monitora i zaczął przeszukiwać bazę adresów. Najpierw wpisał rok urodzin (1975), a potem nazwisko i imię, Jensen Daniel. Niestety, system nie pokazał żadnych wyników z wyjątkiem danych jakiegoś starszego mężczyzny, który już nie żył. Wpisał więc samą datę urodzenia i tym razem na ekranie pojawiły się dwa słowa: Steen Sonny.

Trafiony.

Istnieje. Żyje. Ludzie, którzy przez wiele lat nadużywają narkotyków, rzadko żyją tak długo.

Obecny adres.

Grens spojrział na ekran, odwrócił wzrok i znowu przeczytał informację wyświetloną przez komputer.

Skr. poczt. 38, 175 23 Aspsås.

Wstał z krzesła i znowu usiadł.

Skrytka pocztowa o tym numerze znajduje się na poczcie w Aspsås. To adres wszystkich osadzonych z tamtejszego więzienia. Daniel Jensen, a właściwie Sonny Steen odsiaduje wyrok w tym samym zakładzie karnym, w którym całkiem niedawno siedział Leon Jensen.

Grens poczuł, że nagle zrobiło mu się ciepło.

To samo więzienie.

Wystukał kilka słów na klawiaturze i na ekranie otworzyło się kolejne okienko. To kartoteka przestępców.

Wysłał go do pięknego schroniska nad jeziorem Nässjö i włączył w program ochrony świadków, który wtedy istniał dopiero od dwóch miesięcy. Daniel Jensen mieszkał tam aż do swojej pierwszej recydywy.

Pierwszy wyrok dostał pół roku później. Od tamtej pory skazywano go dwadzieścia razy za różne przewinienia: narkotyki, kradzieże, pobicie. Dostawał od dwóch miesięcy do roku odsiadki.

Grens podniósł słuchawkę.

— Dzień dobry.

— Słucham?

— Mówi Ewert Grens. Chciałbym cię prosić, żebyś mi coś powiedział o jednym z więźniów.

Lennart Oscarsson, naczelnik zakładu karnego w Aspsås.

Spotkali się kilka razy. Za pierwszym razem w sytuacji, gdy na skutek błędnej decyzji na wolność wyszedł pewien gwałciciel i morderca, który potem znowu zabił. Ostatnio widzieli się mniej więcej rok temu, gdy polecenia wydane przez naczelnika zmusiły więźnia, który był policyjną wtyczką, do zabicia dwóch innych osadzonych.

— O którym?

— Nazywa się Sonny Steen.

— Tak?

— Chcę się dowiedzieć, w którym bloku odsiaduje wyrok.

— Dlaczego?

Grens przypomniał sobie, jak kiedyś, w samym środku nocy, odwiedził Oscarssona w jego domu i też go naciskał. Zastał go w kuchni. Naczelnik stał nad własnym mundurem i ciął go na małe czworokątne kawałki.

— Wolisz, żebym zjawił się u ciebie w domu? Tak jak wtedy?

Oscarsson nie odpowiedział.

Grens usłyszał w słuchawce, jak naczelnik uderza palcami w klawiaturę. Trwało to kilka sekund, nie dłużej.

— Siedzi w bloku D.

— Tak?

— Oddział D jeden, lewe skrzydło.

Grens poczuł się dokładnie tak samo jak przed chwilą, gdy na ekranie monitora pojawił się tamten adres — skrytka pocztowa dla więźniów.

— D jeden, lewe skrzydło?

— Tak.

Grens przypomniał sobie zdjęcie Daniela Jensena na tle czerwonego budynku. Spojrzał na obraz na monitorze. Przedstawiał osiemnastolatka, który stoi na szczycie muru.

— To ten sam oddział. Ten sam!

— Co masz na myśli?

Był chłodny ranek, połowa września. Oddech zamieniał się w kłęby pary wodnej. Grens przeszedł z komendy policji na Bergsgatan do budynku prokuratury rejonowej na Kungsbron, wjechał windą na siódme piętro i nie pukając do drzwi, wszedł do pokoju Ågestama.

— Chciałbym cię prosić o przysługę.

— Wszedłeś bez pukania.

— Chcę, żebyś przeniósł Leona Jensena do więzienia w Aspsås na resztę czasu, jaki pozostał mu do procesu.

— Jak na kogoś, dla kogo pukanie do drzwi jest ważne, sam słabo sobie z tym radzisz.

— Do tej samej celi, w której siedział przed ucieczką.

Ågestam westchnął i wsunął ołówek do stojaka na przybory.

— Leon Jensen został aresztowany i podlega określonym restrykcjom.

Grens zrobił kilka kroków dalej, ale nie usiadł na krześle. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek siadał w tym pokoju.

— Masz już wszystko, czego potrzebujesz, żeby sąd wydał wyrok skazujący. Krew, DNA, włókna, odciski palców. Masz motyw. Wiesz, że sąd go skaze.

— Mimo to moja odpowiedź brzmi: nie.

— Uważam, że nie ma bezpieczniejszego miejsca niż tamten oddział w Aspsås. To tam pracowała strażniczka, którą zamordował Jensen. Będzie siedział pod nadzorem jej kolegów z pracy! Uwierz mi, będą go mieć na oku przez dwadzieścia cztery godziny na dobę: w toalecie, w celi, wszędzie. Nie ujdzie ich uwagi żaden jego ruch. Będą czekać, aż ich nadzieje w końcu się spełnią i będą mogli roztoczyć nad nim jeszcze większy nadzór.

Grens zauważył, że prokurator nie jest już taki młody. Dostrzegł wyraźne zmarszczki wokół oczu i przerzedzone włosy.

Ågestam poprawił okulary i zacisnął wargi.

— Nigdy wcześniej nawet by mi do głowy nie przyszło, żeby przed wydaniem wyroku przez sąd osobę podejrzaną o popełnienie dwóch zabójstw przenieść z aresztu do celi w zwykłym oddziale więziennym.

Grens zrobił jeszcze jeden krok w jego stronę i po raz pierwszy usiadł na krześle w pokoju, którego tak bardzo nie lubił. Trudno było określić, który z nich jest bardziej zakłopotany: stary komisarz policji czy młodszy od niego prokurator.

— To ważne.

— Ważne?

— Dla mnie.

— Nie rozumiem. Dlaczego jest to dla ciebie takie ważne?

Chodzi o młodego człowieka, który zostanie skazany za zabójstwo i resztę swego życia spędzi za kratami.

— Więcej nie mogę ci powiedzieć.

Ågestam przyglądał się potężnie zbudowanemu komisarzowi, który siedział przed nim na niskim krześle i wyglądał przez to na całkiem małego. Pewnego razu komisarz zwrócił się do niego po imieniu, powiedział „Lars”, a on nie wiadomo czemu poczuł się niezręcznie. Miał nadzieję, że już nigdy więcej nie usłyszy tego słowa z jego ust. Dzisiaj ten sam komisarz po raz pierwszy usiadł w jego gabinecie na niskim krześle i z tej pozycji spoglądał z dołu na prokuratora siedzącego przy biurku. Ågestam uznał tę sytuację za jeszcze gorszą od tamtej, gdy Grens zwrócił się do niego po imieniu. Dlatego przyrzekł sobie, że zaraz po tym spotkaniu każe zabrać stąd krzesło, żeby taka sytuacja się nie powtórzyła.

— On i tak tam trafi. Pozostało nam kilka dodatkowych przesłuchań, żeby uzupełnić zebrane informacje. Biorę to na siebie. Pojedziemy do Aspsås i sam go przesłucham na miejscu.

Stary komisarz i młodszy od niego prokurator. Chyba nigdy się nie zrozumieją.

— W takim razie zgoda. Ale cała odpowiedzialność spada na ciebie. Od tej pory to ty jesteś osobiście odpowiedzialny za wszelkie konsekwencje tej decyzji.

Dzień minął mu dość szybko.

Po spotkaniu z prokuratorem Grens wrócił do swojego biura i postanowił, że już tam zostanie. Na razie nie będzie się zajmował żadnym innym śledztwem, musi najpierw odbyć spotkanie, które czeka go tej nocy. W automacie na korytarzu kupił jogurt truskawkowy i suche kanapki i zaczął przeglądać akta sprawy sprzed dwudziestu lat. Na dworze zapadł zmierzch. W pewnej chwili skupił się na raporcie, który powstał jako ostatni. Raport składał się z dwóch ręcznie zapisanych kartek i opisywał zatrzymanie podejrzanego na czwartym piętrze budynku przy Råby Allé 34. Na drzwiach wisiała tabliczka z nazwiskiem Tomas. Grens rozpoznał własny charakter pisma, słowo było zapisane niebieskim tuszem. Próbował sobie przypomnieć, dlaczego nie posłużył się maszyną do pisania. Może mu się spieszyło? Może nie chciał, żeby kopia trafiła do osoby postronnej? Każdy, kto nie był wprowadzony w program ochrony świadków, mógł stanowić śmiertelne zagrożenie. Usiadł przy otwartym oknie i zaczął czytać to, co napisał dwadzieścia lat wcześniej. Był to jeden z niewielu raportów, w którym pojawiły się oba nazwiska: Ana Tomas i Daniel Jensen. Jensen był wtedy członkiem groźnego gangu. Grożono mu, bo przegrał wewnętrzną walkę o przywództwo, i dlatego zwrócił się do policji z prośbą o pomoc. Chciał się wyrwać z tamtego kręgu. Przesłuchiwał go wtedy młody inspektor policji, który wydobyl z niego wszystkie informacje na temat innych członków gangu i współpracujących z gangiem przestępców. W końcu Jensen wydał policji nawet swoją ciężarną dziewczynę, która w pudełku po makaronie przechowywała na jego polecenie kilogram heroiny. Dziewczyna została aresztowana, postawiona przed sądem, skazana i przewieziona do więzienia dla kobiet w Hinsebergu. Sześć miesięcy później urodziła tam syna.

Leona.

Teraz Leon siedzi kilka pięter wyżej, w lewym skrzydle budynku policji. Jest oskarżony o zabójstwo.

Marko Bendik siedzi w areszcie w Huddinge; Uros Koren w areszcie w Uppsali; Alexander Eriksson w areszcie w Nyköping, a Reza Noori w areszcie w Gävle. Nie mogą się ze sobą komunikować, bo są oskarżeni o pobicia i napady. Oprócz nich w kilku aresztach na terenie północnej

Szwecji siedzi jeszcze pięciu *hangarounds*, którzy współpracowali z gangiem. Na podstawie ustawy o przymusowej opiece nad młodocianymi trzech *prospects* trafiło pod opiekę kuratora, a ośmiu niepełnoletnich zostało przesłuchanych w obecności matek w biurze opieki społecznej.

Jest jeszcze dziewczyna Gabriela Milтона.

Policja zatrzymała ją na ostatnim piętrze bloku. Gabriel zeznał, że przez kilka miesięcy była ich kurierką. Trafiła do tutejszego aresztu, na oddział kobiecy.

Dziewczyna dostarczała narkotyki do zakładów karnych w Aspsås, Österåker i Storbodzie. Plastikowe saszetki wypełnione proszkiem ukrywała w pochwie. Dopuściła się poważnego przestępstwa i na cztery, a może nawet na pięć lat trafi do Huddinge.

To już kolejne pokolenie, ale historia się powtarza. Jest nawet dziewczyna w ciąży.

Minęła północ.

Grens zabrał akta i pojechał windą do tej części budynku, gdzie mieścił się areszt. Stał obok strażnika i zapukał do drzwi. Strażnik odsłonił wizjer. Okazało się, że w środku pali się lampa.

— To ty?

— Tak.

— Nie prosiłem, żeby cię wzywali.

— To twoja ostatnia noc w tym areszcie. Jutro jedziesz do Aspsås. Ale przedtem muszę z tobą jeszcze porozmawiać.

Tak jak poprzednim razem w celi pojawiły się plastikowe kubki. Grens postawił jeden na parapecie okna, drugi wziął do ręki i usiadł.

— Znałem cię przez całe twoje życie. A właściwie... hm... wiedziałem o tobie przez całe twoje życie.

Mówiąc to, sięgnął po zdjęcie, które kiedyś obaj już widzieli. Teraz już tak bardzo ich nie przerażało.

Noworodek na wilgotnym brzuchu matki. W tle wyraźnie widać zakratowane okno.

— To ja zrobiłem to zdjęcie.

Jensen wyciągnął rękę. Po raz pierwszy w życiu sam je trzymał przed oczami.

— Byłem tam, gdy przyszedłeś na świat. Miałem tylko kilka sekund. Potem ktoś inny się tobą zajął.

— Byłeś tam?

— Tak.

— Leżałem na jej brzuchu tylko kilka sekund?

— Tak.

— Wczoraj o tym nie mówiłeś.

— Mówię o tym dzisiaj.

Jensen nadal trzymał zdjęcie w ręku.

— Później spotkaliśmy się jeszcze jeden raz. Mieszkałeś u mnie przez dwa tygodnie.

Jensen nie odpowiedział. Może nie zrozumiał?

Grens próbował porównać tamtą twarz z tą, która dzisiaj jest taka spięta i twarda. Chciał odnaleźć w niej tamtego dwulatka, którego przrzucano z jednej rodziny zastępczej do drugiej.

— Twoja mama zadzwoniła do mnie z automatu w więzieniu Hinseberg. Płakała. Prosiła mnie, abym zajął się jej synem, aż opieka znajdzie następną rodzinę zastępczą. Nadal nie rozumiem, dlaczego tak jest, ale policjant i więzień zawsze mogą zadzwonić do policjanta.

Grens wskazał na zdjęcie.

— Nie chciałeś jeść kaszki. Odmawiałeś. Za to bardzo lubiłeś zupę z owoców dzikiej róży.

Zadzwoniła wtedy do policjanta, który ją zatrzymał i przesłuchiwał. Ten tylko coś mruknął na zgodę i przez dwa kolejne tygodnie opiekował się jej dzieckiem. Powiedział, że traktuje to jak urlop. Jej syn był jedynym dzieckiem, które kiedykolwiek odwiedziło jego mieszkanie przy Sveavägen. Policjant nie miał pojęcia, jak opiekować się takim małym dzieckiem, ale chłopiec jadł, robił kupę i spał, a po dwóch tygodniach nadal był zdrow jak ryba. Wtedy w niedzielny wieczór odebrała go nowa rodzina zastępcza.

Policjant zapewnił wtedy Anę, że jeśli kiedyś będzie znów potrzebowała pomocy, może do niego zadzwonić. Jednak sam nigdy nie skontaktował się ani z nią, ani z jej synem. Wiele lat później znowu do niego dzwoniła, ale nie odebrał. Na sekretarce zostawiła mu wiadomość o pierwszym wyroku syna. Czy mógł zrobić coś więcej? Przez pewien czas nawet śledził rozprawy sądowe i wyroki, które zasądzano jej synowi, i nawet chciał się do niej odezwać, ale w końcu dał sobie spokój.

— Pieprzony glina.

Jensen nie wypowiedział tych słów tak jak kiedyś — twardo, z szyderstwem w głosie. Na dodatek napił się kawy.

— Pieprzony glina! Przecier z owoców róży?

Jensen prawie się uśmiechnął. Znowu napił się kawy i w celi zapadła długa cisza. W końcu Grens chrząknął.

— To, o czym opowiadałem ci wczoraj... że twój ojciec był uzależniony od heroiny, że zażywał po parę gramów dziennie i nie chciał, żeby znowu go zamknęli, więc kiedy dostał zgodę na odwiedzenie twojej mamy w dniu twoich urodzin, po prostu znikł...

— Tak?

— To wszystko było kłamstwo.

— Kłamstwo...?

— Skłamałem, bo nie wolno mi powiedzieć prawdy. A jednak powiem.

Leon siedział bez ruchu. Grens streścił mu śledztwo, które prowadził osiemnaście lat wcześniej. Opowiedział mu o członku gangu, który sypnął swoich kumpli i jako jeden z pierwszych przestępców w Szwecji został objęty programem ochrony świadków.

— A więc to nieprawda, że przedawkował?

— Nie.

— No to jak umarł?

— Umieściliśmy go w schronisku.

— Jak umarł?

— Dostał nową tożsamość.

— Nie słyszysz, glino, o co pytam? Jak umarł?

— Zabroniliśmy mu kontaktować się z rodziną i kumplami. Niestety, po pewnym czasie pojawiły się narkotyki. Wrócił do dawnego trybu życia, dokładał jedno przestępstwo do drugiego.

— Nie kapujesz, glino, o co pytałem? Jak umarł?

— Trafił za kraty. Został znów skazany, już pod swoim nowym nazwiskiem. Potem trafiał tam coraz częściej.

Dopiero teraz Jensen załapał.

— O czym ty gadasz?

— Mówię...

— Sypał kumpli?

Grens skinął głową.

— Tak.

— Tak jak Gabriel sypnął mnie? I nadal żyje?

— Nic mi nie wiadomo o Gabrielu. Ale to prawda, twój ojciec żyje.

— Że...

Jensen podniósł się z łóżka i zrobił krok w stronę Grensa. Drżał na całym ciele. Grens też się podniósł i stali tak naprzeciwko siebie. Grens uważnie obserwował jego zaciśnięte pięści. Nagle Jensen odwrócił się i z całej siły uderzył pięściami w betonową ścianę. Grens położył mu dłoń na ramieniu. Jensen odwrócił się i dwa razy na niego splunął. Za pierwszym

razem trafił Grensa w ramię, za drugim w prawą nogawkę na wysokości kolana. Grens stał nieruchomo i obserwował go. Nie odezwał się także wtedy, gdy wyjął chusteczkę i zaczął wycierać marynarkę i spodnie. Nie miał tu więcej nic do roboty, więc po prostu odwrócił się, wyszedł z celi i zamknął drzwi.

— I co teraz, glino?

Grens zajrzał przez wizjer do celi.

— Powiedz mi, glino, jak się teraz nazywa?

Nazywa się Sonny Steen.

— Nie wiem.

— A gdzie...

Na tym samym oddziale, na którym niedawno ty siedziałeś.

— I nie wiem, gdzie teraz siedzi.

— Pieprzony glino...

— Tak działa ten system. Nie wolno mi powiedzieć, jak się nazywa i gdzie przebywa.

Grens wsiadł do windy i zjechał na dół. Znalazł się na korytarzu, na którym czuł się tak bezpiecznie. Ucieszył go widok automatu z kawą.

W pewnej chwili ujrzał wąski strumień światła. Drzwi pokoju Mariany były uchylone. Zatrzymał się i zajrzał do środka.

— Jeszcze siedzisz?

— Ty też, jak widzę?

Mariana miała słuchawki na uszach. Kiedy je zdejmowała, zaplątały jej się we włosy.

— Odsłuchuję dzisiejsze przesłuchanie. Jensen nic nie chciał nam powiedzieć. Ani mnie, ani Svenowi.

Grens wszedł do środka. Stos papierów, które wcześniej zalegały biurko Mariany, był teraz podzielony na kilka mniejszych kupek rozłożonych na podłodze. Na podstawie wykresów, zestawień i map udało jej się odtworzyć siatkę rozmów prowadzonych przez zbiegłych więźniów tamtego wieczoru, gdy Julia Bozsik się udusiła. Każdą z nich przyporządkowała do konkretnej wieży przekaźnikowej.

— Mamy dowody, które trzymają się kupy. Ale ja chcę, żeby Jensen się przyznał.

— Być może to zrobi. Jutro rano będę go znowu przesłuchiwać. Tym razem w więzieniu w Aspsås.

Mariana spojrzała na niego. Chciała usłyszeć, dlaczego aresztant trafi do więzienia przed ogłoszeniem wyroku.

Grens nic nie powiedział. Usiadł na krześle naprzeciwko niej i czekał.

— Ewert, o co tu chodzi?

— Co masz na myśli?

— Kręcisz się nocą po całej komendzie.

— Zawsze tak robiłem.

— To prawda. Ale widzisz... Wyglądasz tak, jakbyś... w ciągu ostatnich dni... Ewert, wyjaśnij mi, co się dzieje.

Grens sam nie wiedział, jak odpowiedzieć na jej pytanie.

— Ile śledztw w sprawie zabójstw prowadziłem do tej pory?

Mariana spojrzała na niego zdziwiona. Jest środek nocy, a przed nią siedzi facet, który czegoś chce, ale nie potrafi tego wyrazić. Zachowuje się jak zawsze: siada naprzeciwko niej i opowiada o czymś zupełnie innym.

— Poprzednim razem... dałaś mi do myślenia, bo te wszystkie śledztwa zliczyłaś. Pamiętasz?

Tak, przypominała sobie.

— Prowadziłeś dwieście osiemnaście spraw o zabójstwo. Wliczając w to dwie ostatnie.

— Dwieście osiemnaście.

— Tak.

— Za każdym razem, gdy udawało mi się doprowadzić bandytę tam, gdzie jego miejsce, to znaczy do więzienia, odczuwałem ulgę i dumę. Morderca powinien zapłacić za swoje czyny. To prosta zasada, a ja jestem prostym człowiekiem.

— No właśnie, jesteś prostym człowiekiem.

— Jednak tym razem... sam nie wiem... czuję... coś innego.

— Co takiego?

— Sam nie wiem.

— Dlaczego?

— Tego też nie wiem.

— Gdybyś potrzebował mojej pomocy...

— Bądź taka miła i zostaw mnie w spokoju.

Mówiąc to wskazał palcem na drzwi.

— Ewert, to mój pokój. A ty siedzisz na moim krześle.

Grens spojrzał na nią, rozejrzał się po pokoju, wstał i ruszył do drzwi.

— To dobrze — powiedziała Mariana.

— Co?

Grens zatrzymał się i spojrzał na nią poirytowany.

— Co dobrze?

Rozłożył ręce.

— Nigdy niczego nie odczuwałeś, o ile nie chodziło o ciebie. Więc jeśli teraz coś czujesz, frustrację, zakłopotanie, cokolwiek innego, i tym razem nie chodzi tylko o ciebie, ale o kogoś innego, to znaczy, że jest dobrze.

— Dobrze?

— Tak.

— Jak może być dobrze, jeśli znajdujesz zabójcę i nie odczuwasz z tego powodu dumy? Ani ulgi?

Grens pokręcił głową i znowu ruszył w stronę drzwi.

— Sam wiesz najlepiej — odparła z uśmiechem Mariana. — Słyszysz? Sam wiesz o tym najlepiej, staruszk.

Początkowo Grens zamierzał wrócić do swojego pokoju, ale się rozmyślił.

Skierował się w odwrotnym kierunku, na ósme piętro, gdzie na końcu korytarza mieściła się cela. To jego ostatnia wizyta. Myślał o pewnym ojcu, który nadal żyje, bo pewien policjant o imieniu Ewert pomógł mu wydostać się ze świata, w którym wszyscy inni zazwyczaj umierają młodo.

Żyje, ale dla swojego świata jest martwy.

Tak to już było. Wystarczyła jedna chwila, jedna decyzja, która na zawsze odmienia życie innych ludzi.

Chwila, na którą nie masz wpływu, ale potem to ona kieruje twoim życiem, przejmuje nad tobą kontrolę. *To, czego się tak boisz, już się zdarzyło.* W końcu sam tego doświadczył.

A tamten chłopak na szczycie muru, który trzymał w ręce broń i wołał coś do obiektywu kamery? Ewert do końca życia będzie gardził człowiekiem, który przyznał sobie prawo, by odebrać komuś życie. Ale tym razem gardził okolicznościami, które stworzyły tego, kto odebrał komuś życie. *To, czego się tak boisz, już się zdarzyło i zdarzy się znowu.*

Zapukał do celi i zajrzał do środka przez wizjer.

Leon Jensen leżał na łóżku. Nie spał. Co prawda miał zamknięte oczy, ale nierówny oddech zdradzał, że jest podenerwowany.

— Zadałeś mi wczoraj pytanie.

— Idź sobie, glino.

Jensen odwrócił się plecami do Grensa.

— Chciałeś poznać jego nazwisko.

— Oplułem cię.

— Zdradzę ci je.

— Jak jeszcze raz tu wejdiesz, na pluciu się nie skończy.

Grens otworzył teczkę, którą przynosił tu już trzy razy. Do tej pory nie pokazał Jensenowi tych najważniejszych zdjęć.

— Popatrz tutaj.

Wyjął z teczki pierwsze. Przedstawiało chłopaka siedzącego na krześle w pokoju przesłuchań. Po raz pierwszy został zatrzymany. Zdjęcie zrobiono z lewego profilu, prawego i en face. Wkrótce potem trafił do więzienia.

— To twój ojciec.

Jensen powoli się odwrócił i spojrzał na zdjęcie z daleka.

— On? Przecież to, kurwa, dziecko!

— Ma na tym zdjęciu piętnaście lat. Za to na tym... na tym ma osiemnaście. Tak jak ty teraz.

Fotografia przedstawiała młodego mężczyznę stojącego na tle czerwonego budynku nad jeziorem Nässjö. Twarz jakby znajoma. Jensen pochylił się do przodu.

— On?

— To zdjęcie sprzed osiemnastu lat. Tak wyglądał, zanim amfetamina i heroina zmieniły mu twarz.

Jensen podszedł bliżej. Stał już tak blisko, że mógł dotknąć zdjęcia na białej podkładce.

— Steen.

Grens oderwał fotografię od podkładki, odwrócił ją i odczytał imię i nazwisko napisane ołówkiem na odwrocie.

— Nazywa się Sonny Steen. Z tego, co pamiętam, zarabia na prochy konstruowaniem maszynek do tatuażu. Siedzi w bloku D jeden w Aspsås.

Tym razem Jensen go nie opluł ani nie uderzył. Pokręcił tylko głową.

— Idź już sobie.

Drżącą ręką wskazał przez wizjer.

— Idź sobie, glino.

Lennart Oscarsson przestał liczyć.

Przez całe swoje zawodowe życie każdego ranka studiował zestawienia przekazywane mu przez dział transportu. Sumował liczbę osadzonych, którzy mieli opuścić więzienie, żeby odsiedzieć resztę wyroku gdzie indziej, liczbę osadzonych, którzy mieli przybyć z nowym transportem, a także liczbę osadzonych, którzy nadal odsiadywali wyrok w jego zakładzie. Bardzo dbał o przestrzeganie tych rutynowych czynności i sprawiały mu one pewną przyjemność, można by nawet zaryzykować stwierdzenie, że był od nich uzależniony. Jednak niecały tydzień wcześniej po prostu zrezygnował z codziennej lektury tych zestawień. Zaprzestał swoich rachunków tamtego dnia, kiedy z bloku D uciekli trzej osadzeni, wzięli zakładniczkę i uznali, że nie zasługuje ona na dalsze życie. Po tym zdarzeniu przestało go interesować, co czują osadzeni albo ile czasu zostało im do końca odsiadki. Niech każdy z nich martwi się sam o swój los, niech sobie odsiadyuje swój wyrok. Jemu nic do tego.

Oscarsson przeciągnął się i podszedł do okna. Przez chwilę śledził młodego człowieka, który szedł asfaltowym dziedzińcem, pokonując odległość, jaka dzieliła główną bramę wjazdową od głównej dyżurki. Na nadgarstkach, kostkach i wokół pasa miał kajdanki. Wcześniej otrzymał telefon z aresztu w Kronobergu, że ostatniej nocy Leon Jensen wpadł we wściekłość, groził śmiercią personelowi i zniszczył w swojej celi wszystko, co nadawało się do zniszczenia: łóżko, krzesło, umywalkę. Potem zaczął walić głową w betonowy mur, a gdy zalał się krwią, do celi wpadli strażnicy, którzy przycisnęli go materacami do ściany. Lekarz zrobił mu zastrzyk usypiający, a strażnicy założyli mu kaftan bezpieczeństwa i wynieśli do specjalnej celi.

Jensen właśnie się zbliżał. Stał przed okienkiem głównej dyżurki, która znajdowała się dwie kondygnacje pod gabinetem Oscarssona. Powłóczył nogami i w charakterystyczny sposób odchylił głowę, żeby światło nie raziło go w oczy. Widać było, że nadal jest pod wpływem środka usypiającego.

Oscarsson obserwował go w milczeniu.

Objął dłońmi ramę okienną i przycisnął czoło do szyby. Nigdy wcześniej nie czuł wobec żadnego więźnia tego, co teraz czuł wobec

Jensena.

Wściekłość.

Potworną wściekłość.

Każdego dnia starał się zachowywać wobec nich jak należy. Nigdy nie pozwalał sobie na osobiste wycieczki. Postępował jak profesjonalista. Starał się w żadnym z osadzonych nie widzieć złego człowieka, tylko raczej kogoś, kto popełnił zły uczynek.

Tym razem nie potrafił się przemóc.

Wybiegł z gabinetu i zbiegł schodami do pomieszczenia, w którym przyjmowani są nowi osadzeni. Jensen stał na betonowej podłodze z rozłożonymi ramionami, a jeden ze strażników go obszukiwał. Na dłoniach miał gumowe rękawiczki.

— Posłuchaj...

Jensen opuścił ramiona i odwrócił się do niego. Twarz miał prawie całkiem rozluźnioną, spojrzenie nieobecne. Środek, który wstrzyknął mu lekarz, będzie działał jeszcze przez godzinę.

— Jeszcze nie skończyliśmy.

Strażnik w gumowych rękawiczkach spojrzał na swojego szefa. Oscarsson cofnął się o krok i skinął głową. Może poczekać. Strażnik musi zajrzeć Jensenowi do ust i odbytnicy, sprawdzić włosy. Zazwyczaj nie zabiera to zbyt wiele czasu.

Wściekłość.

Nie potrafił jej poskromić.

Oscarsson stanął między szafkami a zakratowanym oknem. Miał przed sobą osiemnastolatka, który tak jak wiele razy przedtem stał pochylony z rozłożonymi ramionami. Zauważył na jego prawym udzie świeży tatuaż, a na lewym ślad po starym tatuażu, którego Jensen chciał się chyba pozbyć. Zrobił się tam strup, który pewnie niedługo odpadnie.

— Zabiłeś jedną z naszych.

Oscarsson przypomniał sobie, jak strażniczka przyszła do jego gabinetu i mówiła budzącym sympatię spokojnym i rzeczowym głosem. Miała nie więcej niż dwadzieścia jeden lat.

— Tak.

Jensen spojrzał na niego i wyprostował się. Oscarsson był pewien, że chłopak wypowiedział to słowo z dumą.

— Zabiłem ją.

— Zabiłeś też policjanta z Råby, którego lubiłem.

— To prawda. Najpierw ją, potem jego.

Jensen znowu spojrział z dumą na niego, a następnie na stojących obok strażników.

Zamordowana strażniczka była ich koleżanką z pracy. Jensen mógł równie dobrze zabić któregoś z nich.

Obaj dobrze wiedzieli, że na jej miejscu mógł się znaleźć każdy inny strażnik. Jensen mógł wziąć na zakładnika i uprowadzić każdego z nich.

Dlatego trudno im było wystać spokojnie pod czujnym okiem naczelnika. Zbyt gwałtownie rzucili Jensenowi nowe ubranie i zbyt mocno chwycili go za ręce. Popchnęli go tak mocno, że uderzył głową o framugę drzwi. Kiedy spojrział na Oscarssona, z ust leciała mu krew.

— Ta wasza dziwka leżała na lewym boku. A tamten pierdolony glina umarł na siedząco. Słyszałem, że siedział oparty plecami o ścianę.

Oscarsson objął kratę w oknie jedną dłonią, drugą zacisnął i wsunął do kieszeni spodni. Długo przyglądał się obu strażnikom, którzy aż trzęśli się z gniewu. Potem przeniósł wzrok na Jensena.

Wiedział, że jeśli ktoś chce coś wykrzyczeć i nie może, pozostaje mu tylko szept. Dlatego przemówił ścisłym głosem.

— Nie będzie ci tu łatwo.

Drzwi celi nie były zamknięte na klucz.

Leon usiadł na materacu rozłożonym na kamiennej podłodze. Cella była już wysprzątana, ale nie było w niej ani umywalki, ani szafy na ubranie, ani takich podstawowych sprzętów jak stolik, krzesło, lampa czy łóżko. Strażnicy popatrzyli na Leona. Może sobie teraz krzyczeć albo grozić do woli. Tylko na to czekają. Cienki materac to jedyne wyposażenie celi. Obaj wyglądali na zadowolonych, gdy go o tym poinformowali. Cella numer dwa. Jedna z tych, której władze więzienia nie zdążyły jeszcze wyremontować po ostatnim buncie więźniów.

Leon nie krzychał ani nie groził.

Podniósł się z podłogi, spojrzął na metalowe drzwi i zakratowane okno, na więzienny dziedziniec i mur.

Pierdolona cella z pierdolonym materacem.

Niczego nie czuł.

...

Przez ostatnią godzinę słyszał, jak inni osadzeni po kolei wracają do swoich cel. Jedni ze szkółki, inni — tych była większość — z warsztatów. Siedział na materacu i wsłuchiwał się w dźwięki, które bez trudu rozpoznawał i które stanowiły część jego samego. Ktoś grał w karty, ktoś brał prysznic, ktoś się zbyt głośno roześmiał, ktoś poszedł do kuchni, żeby zrobić sobie coś do jedzenia. Na razie w tym wszystkim nie uczestniczy. Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Drzwi poszczególnych cel były uchylone albo otwarte na oścież. Minął je i zatrzymał się przed celą numer dziesięć.

Słyszał go. Wiedział, że jest w środku.

...

Nie zapukał.

Ćpun siedział zwrócony plecami do drzwi. Leon ujrzał jego chude plecy i brudne, sterczące włosy. Ćpun usłyszał, że ktoś wchodzi do celi, i odwrócił się.

Leon popatrzył na jego chudą, drgającą twarz.

Ćpun uśmiechnął się wystraszony.

— Nie uśmiechaj się do mnie. Wiesz, że tego nie lubię.

Ćpun spuścił oczy i odwrócił głowę.

— Przestań się, kurwa, uśmiechać!

Leon podszedł bliżej. Powinien go walnąć, ale nie zrobił tego. Powiedział tylko głośno:

— Coś dla mnie zrobisz.

...

Ćpun, który oficjalnie nazywał się Sonny Steen, spojrział na niego, pokręcił głową i uśmiechnął się tak jak zawsze.

...

— Pistolet w kształcie długopisu.

Znowu się uśmiechnął jak jakiś głupek.

— Zrobisz dla mnie pistolet w kształcie długopisu.

— Nie.

— Nie?

Uśmiech nie schodził mu z twarzy.

— Nie.

Leon go uderzył. Zastanawiał się nad tym przez całą noc i rano. Był ciekaw, co wtedy poczuje.

Nie poczuł nic.

...

— Zrobisz dla mnie, kurwa, pistolet w kształcie długopisu.

Ćpun krwawił z czoła, policzka i szyi. Mimo to nadal się uśmiechał. Chyba nie umiał przestać.

— Przeciw komu?

Leon spojrział na niego i nie odpowiedział.

— Przeciw komu go użyjesz?

Wychodząc z celi, Leon nadal niczego nie czuł. Minął trzy inne cele, wszedł do swojej i opadł na materac leżący na podłodze.

Tym razem nie wyszedł z celi.

Stał oparty plecami o chłodne metalowe drzwi. Nigdy przedtem tak nie stał, zwłaszcza w cudzej celi. Od zakratowanego okna dzieliło go jakieś dwa i pół metra.

Chciał się zmusić, poczuć coś w końcu.

Cokolwiek.

Miał przed oczami jego chude plecy, ramiona, dłonie, które rozkładały jakieś przedmioty na skotłowanym łóżku. Powolne, przesadnie dokładne ruchy, głębokie westchnienia, pieprzony uśmiech, nerwowe tiki wokół oczu i na policzkach.

Najchętniej by to wszystko znienawidził.

— Ty, Ćpunie... Robisz mi pistolet.

Ten pierdolony narkoman potrzebował całej doby, żeby zebrać wszystkie potrzebne części. Teraz siedzi w kucki, trzyma je w rękach, przekłada na łóżku z miejsca na miejsce, kręci głową i się uśmiecha.

— Wątpię. Szczerze wątpię. Dwieście pięćdziesiąt gramów. Pamiętasz palnik?

— *Masz wszystko?*

Butelki. Mazaki. Kabel od odkurzacza. Taśmę klejącą. Obciążki do paznokci. Ogniwa.

— *Tak, mam wszystko.*

— Jeśli tak, to pewnie pamiętasz też, że masz u mnie mały dług?

— *Chcę pół kilograma.*

— *Chcesz się do nas przyłączyć?*

— *Tak.*

— *To dostaniesz dwieście pięćdziesiąt gramów.*

— A jeśli pamiętasz palnik i dług, to pewnie też pamiętasz, że nie wszystko poszło tak, jak uzgodniliśmy? Wy uciekliście, ja tu zostałem.

Ćpun machał wtedy do niego, a potem bił histerycznie pięściami w okno. Krzyczał: „Przecież mieliście mnie ze sobą zabrać!”. Leon spojrzął na twarz, na której zawsze czaił się ten uśmiech. Nienawidził go. Odwrócił się od niego.

Leon oparł się mocniej o drzwi i nie mógł oderwać wzroku od uśmiechniętych ust Ćpuna.

Próbował go znowu nienawidzić. Chciał go znowu nienawidzić.

Mimo to niczego nie czuł.

Patrzył na śmierzącego narkomana, który klęczał na podłodze i układał na łóżku we właściwej kolejności części przyszłego pistoletu. Mimo to nie potrafił myśleć o nim z nienawiścią.

— Masz u mnie dług za ucieczkę, która przebiegła inaczej, niż myślałem. Dwieście pięćdziesiąt gramów. Za ten pistolet dasz mi dwa kilogramy.

Leon nadal stał przy drzwiach.

— Skonstruowałem już dziewięć takich zabawek. W różnych zakładach, zawsze z tym samym skutkiem. Chłopie, one zawsze działały. Ostatnio w Kumli, kilka lat temu. Co tam się działo: klawisze, cała dyrekcja, dziennikarze... pewnie do dzisiaj myślą, że broń, której tam użyto, ktoś przemycił z zewnątrz. Kapujesz? Z zewnątrz! Za każdy taki pistolet dostałem dwa kilogramy.

Chłopie.

Metalowe drzwi są nadal chłodne. Leon patrzył na śrubki w rękach Ćpuna i na inne przedmioty porozkładane na łóżku. I nagle rzeczywiście coś poczuł. Nie żeby zrobiło mu się ciepło, po prostu przestał odczuwać chłód.

— Chyba sam rozumiesz, chłopie... Inaczej tego nie zrobię. Możesz mnie bić, ile tylko chcesz.

Na dworze zrobiło się już ciemno. To jego drugi wieczór w Aspsås. Podszedł bliżej.

Dzielił ich niecały metr, ale wydawało się, jakby stali tuż naprzeciwko siebie.

— Posłuchaj, Ćpunie. Zebrałem prochy w bloku D, w bloku G i w bloku H. Trzysta pięćdziesiąt gramów. Więcej nie ma.

— Masz dwieście pięćdziesiąt gramów długu. Plus dwa kilogramy za pistolet.

— Powtarzam: więcej nie ma. Trzysta pięćdziesiąt teraz, a resztę, jak stąd prysnę.

Znowu te drgania na twarzy.

Uśmiech.

— Umówmy się tak. Pistolet składa się z trzynastu części. Będę go montował w siedmiu etapach. Łatwiej ci będzie policzyć.

Skinął głową w stronę łóżka. Leżała na nim między innymi pusta metalowa rurka długości piętnastu centymetrów, dwa odpiłowane kawałki żelaznego pręta, stalowa sprężyna, pocisk kalibru 22 mm, sworzeń, nakrętka, blaszka, gwóźdź do betonu i cztery małe śrubki.

— Dasz mi pięćdziesiąt gramów, a ja połączę parę części. Dodasz kolejne pięćdziesiąt gramów i znowu coś złożę. Kiedy pistolet będzie gotowy, ja będę miał od ciebie trzysta pięćdziesiąt gramów. Resztę mi dasz, jak stąd pryśniemy. Zgoda?

Leon zrobił jeszcze jeden krok w jego stronę.

Stoją już bardzo blisko siebie. Mógłby go walnąć, a nawet skopać.

Ale tego nie robi.

Położył dziesięć żółtych i białych kapsułek na poduszce leżącej na łóżku.

— Dziesięć kapsułek. Pięćdziesiąt gramów.

Ćpunowi drżała ręka, gdy swoimi chudymi palcami chwycił kapsułki. Mocno zacisnął je w dłoni. Zachichotał, wprawdzie niezbyt głośno, ale na tyle, że Leon poczuł, jakby w jego sercu powstała dziura.

Mógłby go walnąć. Naprawdę.

...

Ćpun sięgnął po pustą rurkę, która do tego ranka pełniła funkcję nogi od krzesła w stołówce. Przed południem, kiedy był w warsztacie, wywiercił w niej dwa otwory, po jednym z każdej strony. Potem wywiercił kolejne trzy otwory, bliżej środka rurki. W miejscu, którego dotyka teraz palcem, wypiłował szczelinę o szerokości dwóch centymetrów.

Powstała rurka z sześcioma otworami. Ćpun przerzucał ją w swoich pokurczonych palcach i ciągle miał na twarzy ten swój głupawy uśmiech. Patrzył na swojego gościa i czekał.

Leon mógłby go uderzyć, a nawet pobić, ale tylko obserwował jego chudą dłoń, w której Ćpun trzymał odpiłowaną nogę od krzesła,

i wpatrywał się w jego uśmiech. W końcu położył dziesięć żółtych i białych kapsułek w tym samym miejscu co przed chwilą. Ćpun zachichotał, a on udał, że tego nie słyszy.

...

Ćpun sięgnął po sworzeń i wkręcił go w jeden z otworów wywierconych na samym końcu rurki, który ma przyjąć całą siłę uderzeniową zamka i stalowej sprężyny.

...

Następnie sięgnął po jeden z krótkich prętów o długości trzech centymetrów ze świeżo wywierconym otworem, który jeszcze kilka godzin wcześniej był przymocowany do wózka w pralni, a teraz leżał na łóżku. Wcisnął do środka gwóźdź wyjęty z wieszaka na ręczniki w łaźni i metalową blaszkę wyjętą z kabla telewizyjnego. W celi rozszedł się zapach kleju.

Dziesięć kapsułek.

Wokół nakrętki okręcił stalową dziewięciocentymetrową sprężynę. Niedawno, gdy był u więziennego fryzjera, wyciągnął ją z maszynki do strzyżenia włosów.

Następne dziesięć kapsułek.

Chwycił swoimi chudymi palcami żelazny pręt, sworzeń i gwóźdź, stalową sprężynę i nakrętkę, z których wcześniej zmontował zamek pistoletu, i wsunął całość do długiej pustej rurki.

Następne dziesięć kapsułek.

Ćpun wziął z łóżka ostatni metalowy element o długości czterech i pół centymetra, który wykręcił z innego wózka w pralni, i lufę z nawierconym w niej otworem dla kuli kalibru 22 mm, którą w czasie lunchu dostał od Petrovica z bloku F, a którą teraz ostrożnie wcisnął do środka.

Następne dziesięć kapsułek.

...

Ćpun zachichotał głośno. Wsunął rygiel w nogę od krzesła, aż do zaciśnięcia sprężyny. Zamocował lufę, żelazne elementy przykręcił czterema małymi śrubkami, znowu zachichotał i podał Leonowi gotowy pistolet.

...

— Nazywał się Hrabia. To było cholernie dawno temu, chyba w Hall. To on mnie tego nauczył.

Ćpun w jednej ręce ścisnął kurczowo trzysta pięćdziesiąt gramów amfetaminy, w drugiej trzymał pistolet.

— Dziewięć sztuk broni. Wszystkie zrobiłem w celi.

Ćpun uśmiechnął się, tym razem prawie normalnie.

— Trzy niewyjaśnione zabójstwa. Dwie ucieczki z zakładów o zaostrzonym rygorze. Jedna ucieczka z poprawczaka. Dwa posłużyły do ściągnięcia długu. Jeden... tego nie mogę wyjawić.

Ćpun wyciągnął w stronę Leona rękę, w której trzymał pistolet.

— A ten dziesiąty raz? Przeciwno komu go użyjesz?

Leon oparł się o metalowe drzwi.

— No, powiedz, nie bój się.

Leon spojrział na kawałek metalu i na głupawy uśmiech Ćpuna.

— Użyję go przeciwko ojcu.

Na dworze zapadł późny wieczór. O tej porze przez okno celi nie widać muru. Po korytarzu kręcili się klawisze. Za chwilę zaczną zamykać cele.

Leon wiedział, że zostało mu niewiele czasu.

— Pytałem, przeciwko komu.

— Już ci powiedziałem.

Ćpun nadal trzymał w ręce pistolet, który przed chwilą złożył.

— Pytałem, przeciwko komu go użyjesz.

— Już odpowiedziałem. Przeciwko mojemu ojcu.

Znowu ten pieprzony uśmiech. Ćpun stał niecały metr od niego. Słyszając słowa Leona, pokręcił głową.

— To niezbyt dobra odpowiedź.

— Taką dostałeś.

Ćpun pokazał swoje żółte zęby. Śmierdziało mu z ust. Przycisnął lufę do piersi Leona.

— Chcesz go dostać?

— Tak, ale najpierw zamontuj w nim spust.

Ćpun oddychał gwałtownie. Czuł się wprost znakomicie. Teraz to on o wszystkim decyduje.

— Aha... chcesz dostać spust? Ale chyba masz prochy, żeby za wszystko zabulić? Chyba ci się nie skończyły?

Leon uniósł rękę.

Nie, jeszcze nie teraz.

Dopiero jak dostanie gotowy pistolet.

— Już ci zapłaciłem. Dostałeś trzysta pięćdziesiąt gramów. Więcej nie mam.

Może w następnym tygodniu.

— A łańcuch?

Ćpun zachichotał i wskazał żółtym palcem na szyję Leona. Prawie jej dotknął.

— Może zdejmiesz ten łańcuch? I położysz go na łóżku? Wtedy być może znajdzie spust i zamontuję go w pistolecie.

Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie.

Leon rozpiął łańcuch, zważył go w ręce i rzucił na łóżko.

— Świetnie, chłopie. Jak chcesz, to możesz.

Leon spojrział na Ćpuna, który siedział na łóżku i trzymał w obu rękach jego złoty łańcuch. To najcięższy łańcuch na całym oddziale, a ta gnida odbiera go komuś, kto jeszcze niedawno o wszystkim tu decydował. Ćpun zaplął łańcuch na szyi i drżącymi palcami przebierał między ogniwami. Poczul nagłą falę ciepła, był oszołomiony. Przypominało to uczucie, którego doświadczał, gdy wstrzykiwał sobie heroinę. Ktoś, kto ma taki łańcuch, przestaje być byle kim. Teraz wszyscy będą chcieli robić z nim interesy. Za każdy taki interes skasuje dużą kasę.

— Dawaj spust.

— Zaraz.

Ćpun sięgnął po ostatni element leżący na pogniecionym prześcieradle. Jeden ze sworzni. Chwycił go chudymi palcami i wkręcił w ostatni wolny otwór w zamku w taki sposób, że główka sworznia wystawała z niego mniej więcej na centymetr. To właśnie ten sworzeń posłuży strzelającemu jako spust.

...

Leon starał się coś poczuć, ale nie potrafił.

Nie czuł też niczego w chwili, gdy lufę pistoletu skierował w stronę Ćpuna, który siedział na łóżku, głośno chichotał i bawił się łańcuchem.

— Przeciwno tobie.

Ćpun mocniej zacisnął palce na łańcuchu.

— Użyję go przeciwno tobie.

Ćpun pomyślał, że musiał się przesłyszeć.

— To jest...

— Przeciwno mnie?

— Tak.

Dopiero teraz zrozumiał. Ale nie do końca.

— Ale dlaczego...

— Przecież ci powiedziałem. Zamierzam go użyć przeciwno mojemu ojcu.

Ćpun przestał chichotać. Westchnął i wzruszył ramionami.

— Chłopie, ja nie mam dzieci.

Leon chciał mu spojrzeć w oczy, ale Ćpun za każdym razem odwracał wzrok.

— Ana.

— Co?

— Ana Tomas.

Ćpun znowu wzruszył swoimi chudymi ramionami.

Jednak tym razem wyglądało to tak, jakby usłyszał, a nawet zrozumiał, ale nie chciał tego przyjąć do wiadomości.

— Co to, kurwa, za jedna?

— Moja mama. Miała siedemnaście lat. Siedziała w Hinsebergu.

— Nie wiem, o czym gadasz.

Ćpun znowu wzruszył ramionami.

— Nie mam, kurwa, żadnych dzieci.

— Siedziała w Hinsebergu.

— Nigdy nie miałem pieprzonych dzieci.

— A ja...

— Żadnych dzieci. Kapujesz?

— ...ja się tam urodziłem. W Hinsebergu.

...

Obaj długo na siebie spoglądali.

Patrzyli na siebie także w chwili, gdy Leon powoli naciskał spust pistoletu.

...

Nie czuł nic.

...

Nawet wtedy, gdy przyłożył sobie lufę do czoła i nacisnął spust. Uśmiech Ćpuna stawał się coraz mniej wyraźny, aż w końcu zupełnie znikł.

===Y1QyVDYFZgdiUmRRMAZlATVTZwMzCjkBMAIqXTwPbl0=

Teraz
Część szósta
(cztery godziny)

To, co wcześniej było sine, a potem żółte, teraz zrobiło się prawie brązowe. Czubkami palców przesuwała delikatnie po twarzy, biodrach, brzuchu. Ciało jest jeszcze nabrzmiałe, ciągle czuje ból. Bił ją i kopał. Zrobił to po raz pierwszy.

Od tygodnia siedzi na miękkiej kanapie i ogląda kolejne wydania wiadomości telewizyjnych. Młoda kobieta w niebieskim mundurze znaleziona w bagażniku samochodu. Policjant w średnim wieku znaleziony martwy w budynku policji, który ktoś wysadził w powietrze. A potem jeszcze jego twarz na zdjęciach wyciągniętych z archiwum policji i głos nagrany na sekretarkę w samochodzie, w którym leżały zwłoki tamtej kobiety.

Miał osiemnaście lat.

Za miesiąc i trzy dni skończyłby dziewiętnaście.

Kiedy się uśmiechał — czasem mu się to zdarzało — dołek w jego brodzie robił się trochę głębszy. Górna warga się rozciągała i robiła węższa od dolnej. Kiedy mówił, zbyt akcentował i wydłużał samogłoski. Kiedy był małym chłopcem i chciało mu się pić, odsuwał mleko i domagał się przecieru z róży. Wiedziała, że to niezbyt zdrowe dla tak małego dziecka, ale czasem mu ustępowała. Zawsze się wtedy cieszył i starał się nie upuścić zbyt dużej szklanki, którą brał do rąk.

Wstała z kanapy i nie wyłączając telewizora, wyszła do przedpokoju, żeby się ubrać.

Miałam dziecko. Już go nie mam.

Od bardzo dawna śledziła jego losy. Pracowała w opiece społecznej i opiekowała się nim, dopóki nie skończył piętnastu lat. Kiedy jej koleżanki kończyły pracę i szły do domu, ona zostawała w biurze i do późnej nocy przeglądała zielone i czerwone segregatory. Kiedy osiągnął wiek, w którym takimi jak on przestaje się zajmować opieka społeczna, a zaczynają się nimi interesować policja i służby więzienne, regularnie umawiała się na rozmowy z Pereirą i razem z nim przeglądała segregatory policyjne.

Przestępcza grupa złożona z młodych mężczyzn, którzy dorastali na przedmieściach Sztokholmu, ze szczególnym

uwzględnieniem Råby.

To tylko jeden z wielu takich gangów na tym terenie.

Braterstwo, rodzina, lojalność, przyjaźń.

Kiedy spotkała się z Pereirą ostatni raz, powiedział jej, że na południowych przedmieściach Sztokholmu działa siedemnaście aktywnych gangów. Wkrótce będzie ich dwadzieścia albo więcej.

Dwaj zidentyfikowani przywódcy to Leon Jensen i Gabriel Milton. Obaj mają po osiemnaście lat. Są uważani za groźnych przestępców. Prognoza: dalszy rozwój działalności przestępczej, więzienie, krótki czas życia.

Potem Pereira pokazał jej jeszcze jeden segregator. Opowiedział jej też o wynikach śledztwa prowadzonego na zlecenie rządu w sprawie kolejnych pięciu tysięcy chłopców z takich samych miejsc jak Råby. Są stale rekrutowani do pracy na rzecz gangów, o której marzą.

Ana otworzyła drzwi i wyszła z mieszkania na klatkę schodową.

Żeby zbudować coś nowego, coś trzeba najpierw zburzyć.

Ruszyła przed siebie. On już na nią czekał.

...

Thom wciąż miał przed oczami widok policjanta, który siedział na podłodze z własnymi wnętrznościami w rękach. Potem przypomniał sobie ciało kobiety ze śladami ciężkiego pobicia. *Właściwie to dlaczego wy to ciągle gasicie? W końcu postawiła na swoim, więc postanowił ją wysłuchać. To znaczy, że wasza praca polega na ratowaniu Råby, chociaż my, mieszkańcy tej dzielnicy, chcemy ją spalić? Przez te wszystkie lata gasił to, co się paliło. Działał w świecie młodych ludzi, którzy ten świat chcieli spalić, bo z jakiegoś powodu uznali, że to droga prowadząca na zewnątrz. Przyjeżdża pan tu i gasi płonące motocykle, ogrodzenia i kontenery na śmieci. Czy pan nadal nie rozumie? Będzie to trwało dopóty, dopóki ktoś nie stwierdzi, że trzeba z tym skończyć.*

Szedł asfaltową alejką wśród domów stojących w dzielnicy, do której przyjeżdża po kilka razy dziennie. Zatrzymał się na chwilę przy stosie czarnych, osmalonych blach. Kiedyś to był samochód, teraz nie pozostała na nim nawet farba, bo w wysokiej temperaturze lakier po prostu wyparował.

Spoglądał na dziury po oknach, które się stopiły. Obok leżał odcięty kawałek węza strażackiego. W pobliżu ujrzał napis wykonany czarną sadzą: „Policyjne cipy”.

Minął kontener podpalony poprzedniej nocy. Zostały w nim resztki śmieci. Nie zdążyły się spalić, ale za to przeniosły ogień na sąsiedni budynek, gdzie mieściło się przedszkole dla siedemdziesięciorga dzieci. Zastanawiał się, gdzie teraz są. W domach? A może przeniesiono je do innych, i tak już przepełnionych ośrodków?

Pozostała sama skorupa, bez dachu i ścian. Dokoła poniewierały się popalone zabawki. Kiedyś były kolorowe, teraz są czarne.

Thom zatrzymał się i postawił torbę na chodniku. Na pogorzeliśku zjawily się dwie mamy, jeden tata i czwórka dzieci. Przez jakiś czas dyskutowali o tym, co tu zastali, aż w końcu jedna z mam przeszła nad policyjną taśmą i zaczęła ostrożnie krążyć wśród zgliszczy, jakby czegoś szukała. W pewnej chwili pochyliła się, podniosła z ziemi jakiś przedmiot i podała go swojemu czteroletniemu dziecku. Thom stanął na palcach, żeby zobaczyć, co to takiego, ale stał za daleko.

Minął spalony poprzedniego dnia motocykl i kosz na śmieci podpalony w zeszłym tygodniu, a potem wypalony do połowy kiosk, który jest w takim stanie prawie od pół roku.

Zobaczył ją już z daleka.

Kobieta stała przy wejściu do klatki schodowej budynku przy Råby Allé 12. Wyglądało na to, że ona też go zauważyła.

...

Nie objęli się. To nie ten typ zażyłości.

Nie podali sobie rąk, bo między ludźmi, którzy zaplanowali coś, co za chwilę wykonają, dystans i tak przestał istnieć.

Właściwie w ogóle się nie przywitani.

Przecież potem już nigdy więcej się nie spotkają.

...

Thom wszedł za nią do klatki schodowej.

Cztery dni wcześniej stanęła przed nim zupełnie naga i domagała się, żeby na nią spojrzeć. Prawie go zmusiła. Aż nie mógł już dłużej patrzeć. Poszedł za nią do jej mieszkania i wysłuchał, co miała mu do powiedzenia ta dziwna kobieta. Nie chciała wyrządzić krzywdy innym ludziom. Ona chciała zniszczyć ich domy.

Od tamtej pory już się nie widzieli.

Nie musieli. Przecież podjęli decyzję.

...

Ana minęła windę i zeszła po schodach. Zatrzymała się i wcisnęła guzik windy. Kiedy kabina zjechała, otworzyła drzwi i przytrzymała ją do momentu, aż Thom, który został piętro wyżej, otworzył drzwi prowadzące do pustego szybu. Użył do tego klucza przypominającego ten, którym zazwyczaj odpowietrza się kaloryfery w mieszkaniu. Wszedł na dach windy, prawą stopą przycisnął okrągły czerwony guzik alarmowy i zszedł z dachu. Zamknął drzwi i zszedł na sam dół, do piwnicy.

Ponownie wyjął klucz i otworzył nim szyb windy. *Z kim pani o tym rozmawiała?* Wszedł do środka i zeskoczył na sam dół szybu. *Z nikim. Z nikim?* To ona pokazała mu go w czasie ich siedmiogodzinnej rozmowy. *Gdybym o tym komuś powiedziała... zabiliby mnie. Chyba pan o tym wie.*

Zdjął czarne koce i z drewnianej skrzynki wyjął pięciocentymetrową aluminiową rurkę z dwoma cienkimi przewodami elektrycznymi. Jeden był zielony, drugi biały. Z kartonowego pudełka wyjął znacznie dłuższą, czerwoną laskę dynamitu. Wcisnął w nią zapalnik, a końcówkę po prostu wkręcił. Wyjął telefon komórkowy, rolkę taśmy klejącej i nożyczki i sprawdził, czy działa funkcja przekierowania rozmów na inny numer. Potem przymocował telefon taśmą do laski dynamitu i odciął oba przewody na jednym końcu zapalnika. Pochylił się i umieścił zawiniętą w taśmę paczuszkę w jednym z dwóch worków wypełnionych materiałem wybuchowym, który następnie przykrył drugim workiem.

— Dwa worki. Pięćdziesiąt kilogramów.

Thom zakrył worki kocami, żeby wszystko wyglądało tak jak przedtem.

— Wybuch w szybie windy. Konstrukcja nośna całego budynku.

Wszedł z szybu i zamknął drzwi na klucz.

— Najpierw uniesie się pierwsze piętro. Chwilę potem cały dom się zawali.

...

Potem poszli razem do pozostałych budynków: Råby Allé 25, Råby Allé 34, Råby Allé 57, 76 i 102. Sześć klatek schodowych w sześciu budynkach połączonych podziemnym parkingiem. W każdej z nich jest szyb windy, który pełni funkcję magazynu wypełnionego materiałami wybuchowymi należącymi do gangu.

W każdym szybie zrobili to samo.

Łączyli łaskę dynamitu z zapalnikiem, odcinali przewody elektryczne i do całości mocowali telefon komórkowy. Następnie całą taką paczuszkę wkładali do jednego z worków. Jednak w pierwszym szybie zrobili to trochę inaczej: wykorzystali w nim aż dwa worki wypełnione materiałem wybuchowym, podczas gdy w pozostałych pięciu szymbach tylko jeden. Każdy taki worek ważył dwadzieścia pięć kilogramów. Dzięki temu nie wszystkie domy legną całkowicie w gruzach.

Za każdym razem, zanim Thom zamknął drzwi prowadzące do szybu, sprawdzał, czy rozmowa przychodząca zostanie przekierowana na inny numer.

Razem wrócili do dużego garażu.

Thom zaczął się zastanawiać nad pochodzeniem tego, co znaleźli w szymbach: sto siedemdziesiąt pięć kilogramów materiałów wybuchowych może pochodzić z placu budowy któregoś z kilku tuneli drążonych na południe od miasta; siedem kilogramów dynamitu ktoś ukradł na placu budowy jednego z odcinków drogi E4 między Skärholmen a Södertälje. Natomiast dwa tysiące zapalników ukradziono z jakiegoś innego dużego placu budowy.

...

Betonowy garaż jest nocą zupełnie inny niż w dzień. Nie słyhać w nim żadnych głosów, jest zastawiony samochodami.

Panuje tu cisza, która zwielokrotnia każdy trzask, każdy krok. Wszystkie te dźwięki roznoszą się dokoła i odbijają echem.

Thom wyjął z torby gruby zwój białego bawełnianego sznurka. Przypominał on sznurek używany jako knot w lampach naftowych.

Najpierw pociął go na sześć trzymetrowych kawałków. Potem podszedł do samochodu zaparkowanego koło szybu windy, z którego oboje właśnie wyszli. Wyjął śrubokręt, wyłamał nim zamek w nakrętce na bak paliwa i wpuścił do środka końcówkę sznurka, aż nasiąknęła benzyną. Następnie podszedł do stojącego obok drugiego samochodu, wyłamał zamek w nakrętce na bak i wpuścił do środka drugą końcówkę sznurka. Tę samą procedurę powtórzył w pięciu kolejnych garażach. Za każdym razem wybierał dwa samochody stojące blisko szybu wypełnionego materiałem wybuchowym, wyłamywał zamek w baku paliwa, moczył długi sznurek w benzynie i łączył nim oba samochody.

Resztę sznurka podzielił na sześć krótszych kawałków. Każdy z nich miał około metra długości. Jedną końcówkę każdego kawałka przywiązał do sznurków łączących dwa samochody, drugą spuścił na ziemię.

— Teraz twoja kolej.

Thom wrócił do pierwszej pary samochodów. W ręce trzymał dużą butelkę z przezroczystą cieczą. Podał ją Anie.

— Kiedy będę wracał do remizy, zaczniesz wylewać całą zawartość butelki.

Wskazał na kawałek sznurka zwisający do ziemi, potem na środek garażu i ruszył przed siebie.

— Wylejesz ten płyn ciurkiem na całej długości od miejsca, gdzie zwisający sznurek dotyka ziemi, aż dotąd.

Thom zatrzymywał się na kratce parkingowej namalowanej na ziemi mniej więcej w tej samej odległości od każdej pary samochodów.

— Powtórzysz te same czynności sześć razy. To jest nafta. To właśnie naftę rozlejesz. Od tego krótkiego sznurka... nazwijmy go knotem... aż do tego miejsca.

Thom odkręcił butelkę i skierował ją szyjką w dół. Ciecz utworzyła na ziemi dwie linie przypominające swoim kształtem krzyż.

— Te sześć strumyczków nafty spotka się dokładnie tutaj.

Sprawdził godzinę na zegarku.

— Musisz skończyć najpóźniej piętnaście minut po moim odjeździe.

W jego dłoni pojawiła się zapalniczka.

— Podpalisz sam środek tego krzyża. Nie zapomnij jej potem stąd zabrać. Pamiętaj, żadnych śladów.

Thom klęknął i przyłożył zapalniczkę do kurzu i piasku zalegającego podłogę.

— Zapalniczka powinna się palić przynajmniej przez pięć sekund. Zobaczysz jasnoniebieski płomień.

Spojrzał na dwanaście samochodów stojących przy sześciu szybach i połączonych sznurkiem nasączonym naftą.

— Trzydzieści metrów. To mniej więcej piętnaście do dwudziestu sekund. Tyle czasu potrzebuje płomień, żeby dotrzeć do każdego baku z paliwem.

Ana patrzyła na niego z pobladłą twarzą i gwałtownie oddychała. Zazwyczaj jest taka silna, pewna siebie, zdecydowana.

Teraz czuła niepokój.

Thom spojrzał na nią.

— Płonący samochód... świadkowie zeznają później, że niczego innego nie widzieli. Przecież co tydzień gasimy tu po kilka płonących samochodów.

Ściszył głos.

— Ogień będzie się zbliżał do zbiorników z paliwem, ale będziesz miała wystarczająco dużo czasu, żeby stąd uciec i dopilnować, by nikt tu przypadkiem nie wszedł. Na początku zawsze płoną opary po benzynie, a nie sama benzyna. Zanim ogniem zajmie się zbiornik, przez dość długi czas musi się najpierw palić samochód.

Ana skinęła głową, a jej niepokój znowu zamienił się w pewność siebie. Thom kontynuował.

— I właśnie wtedy, dokładnie w tym momencie, zadzwonisz pod numer alarmowy sto dwanaście.

...

Oboje stali na środku ciemnego garażu po obu stronach linii tworzących naftowy krzyż.

— Przypomniał mi się pewien chłopiec, chyba nigdy o nim nie zapomnę. To był mój pierwszy dzień pracy po czterech latach, które spędziłam w zakładzie karnym w Hinsebergu, i po czterech latach nauki w Wyższej Szkole Nauk Społecznych. Ten pierwszy dzień spędziłam w moim pokoju w opiece socjalnej w Botkyrce. Tamten chłopiec siedział na krześle i był bardzo mały i chudy. Obok niego siedziała mama, a naprzeciwko policjant. Chłopiec miał dziesięć lat. Po kilku pytaniach, na które nie chciał odpowiedzieć, długo spoglądał na mamę i tego policjanta. Potem po raz pierwszy spojrzał na mnie. Z jego spojrzenia wyczytałam, że jest z siebie bardzo dumny. Zaczął się domagać, żebyśmy go wysłuchali.

Chciał nam powiedzieć, że podjął decyzję: kiedy podrośnie, będzie się zajmował napadaniem na konwoje.

— Odbiorę twój telefon i półtorej minuty później będę siedział w wozie strażackim. Kiedy wyjedziemy z remizy, zadzwonię na policję i każę im ewakuować mieszkańców z klatek schodowych znajdujących się najbliżej źródła ognia. Powiem im, że cały garaż przypomina teraz jedną wielką lutownicę, a windy transportery trującego gazu.

Oboje wiedzieli przecież, że się zdecydowali, i po prostu ze sobą rozmawiali.

— Pamiętam też... było to mniej więcej w tym samym czasie, gdy spotkałam tamtego chłopca, który chciał rabować konwoje... że trwała wtedy ożywiona dyskusja na temat przeniesienia urzędów na przedmieścia. Chodziło o to, żeby urzędnicy trochę te przedmieścia poznali. Wiesz, jak to jest: od ósmej do szesnastej wykonują swoją robotę, a potem wracają do domu. Mieszkają w Täby albo w Nacka, a następnego dnia znowu przyjeżdżają do biura i tylko dużo mówią. Skończyło się na tym, że przeniesiono tylko posterunek policji. Reszta władz nadal urządza na Starówce.

— Tak to przedstawię policji, że to jak lutownica i transportery trującego dymu, bo właśnie tak będzie wyglądał nasz pożar. Każdy, kto się tam potem zjawi, wyjdzie z założenia, że do wybuchu doszło na skutek ciepła emitowanego przez pożar, chociaż prawda jest taka, że materiały wybuchowe nie eksplodują pod wpływem płomieni, tylko pod wpływem wydzielanej energii i ciśnienia. Potrzeba dużo ognia i dużo ciepła, o wiele więcej, niż może wytworzyć ten pożar. Twój sąsiedzi będą mieli wystarczająco dużo czasu, żeby się stąd ewakuować. Natomiast ci, którzy będą patrzeć, ujrzą pożar, który doprowadził do eksplozji materiałów wybuchowych przechowywanych w sześciu szymbach wind.

Trudno to było w tej chwili rozstrzygnąć.

— Myślę o zdjęciu tamtej młodej kobiety w niebieskim mundurze. Wyglądała na nim tak spokojnie. Myślę też o tym, że jej porywacze spotykali się z nią w tamtym tygodniu po kilka razy dziennie. Myślę o tym, że to, co zawsze jest tutaj, przez krótką chwilę może się zdarzyć tam. Myślę, że mogą to wiedzieć teraz, gdy przychodzą na naszą ulicę... mam na myśli chłopców, którzy chcą napadać na konwoje, gdy stanie się to, co wydarzyło się poprzedniego lata w Londynie, co przez długi czas działo się w USA, a ostatnio w Kopenhadze. Myślę, że jeśli to jest, a ci, którzy się tylko przyglądają, widzą to, to możemy to zatrzymać właśnie teraz, nie robiąc nikomu krzywdy.

— Zaraz po tym, jak zadzwonisz pod numer alarmowy, zrobisz jeszcze jedną rzecz, to sprawa priorytetowa. Podbiegniesz do drzwi prowadzących do każdej z sześciu klatek schodowych, w których byliśmy, i uchylisz je. To bardzo ważne. Nie wolno ci o tym zapomnieć. Drzwi mają być szeroko uchylone.

Ale przynajmniej na siebie patrzyli.

— Przypomniał mi się tamten chłopiec, który chciał napadać na konwoje, i wszyscy inni chłopcy, którzy siedzieli przede mną na krześle ze swoją mamą i policjantem. Wszyscy byli tacy sami jak on. Wydaje mi się, że jeśli ktoś ma na co dzień do czynienia z przestępczością i widzi, że są z niej korzyści, to prawdopodobieństwo, że będzie dalej brnął w zaulek, jest większe niż wtedy, gdy nie ma styczności z przestępczością i nie widzi płynących z niej korzyści. Zastanawiam się, czy jeśli nie będzie styczności, przestępczość całkiem zniknie... Rozumiesz mnie?

— Kiedy lokatorzy zaczną opuszczać budynek, ja już będę na miejscu. Odczekam do chwili, aż otrzymam potwierdzenie, że każde mieszkanie zostało sprawdzone. Kiedy będę pewien... wysadzimy to wszystko w powietrze.

I uważnie słuchali, zanim znowu zaczęli mówić.

— Mieszkam tu od czasu, gdy wyprowadziłam się z domu. Te klockowate wieżowce są moim domem; śpię w nich, piję ranną kawę, a teraz je burzę, żeby potem je odbudować.

— Będę się przyglądał, jak budynki wylatują w powietrze. Jeden po drugim. Gorzej nie może być. Pożar w garażu, nad którym początkowo nie zdążymy zapanować, nagle zgaśnie. Eksplozje i fala uderzeniowa same ugaszają ogień.

Oboje nadal stali po obu stronach linii utworzonej przez cienki strumyczek nafty.

Nadal ze sobą rozmawiali.

I ciągle trudno było rozstrzygnąć, czy każde, zanim znowu zaczęło mówić, słuchało drugiego.

...

— Jeden z szybów windy znajduje się w twoim budynku.

— Wiem.

— Twój dom też częściowo wyleci w powietrze i częściowo się spali.

— Wiem.

...

— Muszę już wracać do remizy w Södertörn. W pierwszej fazie alarmu zostaniesz przewieziona do hali sportowej szkoły w Råby. Kiedy tam przyjadę i zobaczysz, jak kiwam do ciebie głową, będzie to znaczyć, że wszyscy lokatorzy zostali ewakuowani. Wtedy znowu przyjdzie kolej na ciebie. Wykonasz kolejny telefon.

Thom podwinął lewy rękaw koszuli.

— Jest teraz trzecia szesnaście. Najpóźniej o... czwartej trzydzieści będzie po wszystkim.

Thom spojrział na Anę. Nie wziął jej za rękę, nawet nie położył dłoni na jej ramieniu. Przecież nie znają się aż tak dobrze. Zobaczą się jeszcze tylko raz, z dużej odległości, w hali sportowej pełnej ludzi.

Ana zamknęła za sobą drzwi mieszkania. W pobliżu jest winda, jej szyb pełni funkcję dużego składu materiałów wybuchowych. Weszła do kuchni, usiadła przy stole, a gdy usłyszała pierwsze dźwięki syren, wypła dużą filiżankę zimnej kawy. Zrobiła to co zawsze: wstała z krzesła, podeszła do okna i zaczęła wypatrywać w ciemnościach dymu albo ognia.

Tym razem na miejscu zjawilo się aż pięć wozów strażackich, więcej niż zwykle.

Przyglądała się, jak jadą w stronę podziemnego parkingu. Jeden z nich podjechał prosto pod jej dom i zatrzymał się przed wejściem na klatkę schodową.

Wyglądało to tak, jakby ktoś znowu podłożył ogień w garażu. Być może płonie któryś z samochodów, a ogień rozprzestrzenił się na kilka innych klatek schodowych.

...

Liczyła kolejne minuty, ale i tak nie wiedziała, ile czasu upłynęło. Pewnie tyle, ile potrzeba na wypicie filiżanki zimnej kawy. I właśnie wtedy usłyszała pierwsze kroki na klatce schodowej.

Ktoś zadzwonił do jej drzwi.

Na chwilę się zawahała, bo przecież powinna się zachowywać tak, jakby spała. Rozebrała się, włożyła koszulę nocną i potargała włosy. Teraz wygląda już tak, jakby się dopiero przed chwilą obudziła. Podeszła do drzwi i otworzyła je.

Na klatce śmierdziało dymem. Prawie go widziała. Nie był zbyt gęsty, ale widoczny.

W drzwiach stał strażak i umundurowany policjant. Żadnego z nich nie znała, a oni nie znali jej.

Rozmawiał z nią policjant. Był wysoki i blady, niewiele starszy od jej syna. Jej syn też kiedyś mógłby osiągnąć ten wiek.

— W garażu pod budynkiem wybuchł pożar. Pali się na całej ulicy. Niedługo dotrze do budynku i dlatego ewakuujemy mieszkańców tej klatki schodowej. Prosimy, aby pani się ubrała i poszła z nami.

Ana zauważyła, że za ich plecami czekają inni lokatorzy. Było ich jedenastu. Nigdy z żadnym z nich nie rozmawiała, po prostu żyli obok siebie. Zdjęła z półki czerwoną kurtkę, która już i tak pachniała dymem, włożyła białe tenisówki, wyszła z mieszkania i razem z całą grupą zeszła po schodach.

Zrobiłam to, co mogłam zrobić.

Na każdym piętrze coraz bardziej śmierdziało dymem. Słyszała jakiś niezwykle huk, który stawał się coraz głośniejszy. Wiedziała, co oznacza. Był to huk ognia, który podchodził coraz bliżej szybu windy. Kiedy strażak i policjant otworzyli drzwi, żeby wszyscy mogli wyjść z budynku, zatrzymała się na krótko, jakby chciała zajrzeć dwa poziomy niżej, na samo dno szybu, gdzie pod czarnym kocem leżało to.

Zrobiłam, co mogłam. Ci, którzy kiedyś dali sobie spokój, którzy powiadali: „To nie nasz problem, sami sobie z tym radźcie, to wy sami sobie szkodzicie”, teraz będą musieli tu wrócić.

W policyjnym busie było tylko dziewięć siedzeń. Kazali jej stać, podróż będzie krótka.

...

Ana siedziała w rogu hali sportowej, koło bramki do szczypiorniaka. Niedaleko znajdował się składzik z przyrządami do ćwiczeń gimnastycznych i do skoku wzwyż. Wprawdzie nie było ciasno, ale ludzi ciągle przybywało. Każdy gdzieś stał, siedział albo leżał obok nieznanym ludzi. Próbowала ich policzyć i doliczyła się około czterystu osób. Było też kilkanaście psów, kilkanaście kotów i dwie klatki z ptakami. Obok siedział chłopiec z niewielkim akwariem w rękach.

Mimo to w hali panowała względna cisza.

Ludzie nie wyglądali na przestraszonych, byli raczej zaniepokojeni. Wszyscy zostali wyrwani ze snu i teraz znów chcieli odzyskać spokój.

Nikt z obecnych nie miał pojęcia, co się jeszcze zdarzy.

...

Ana coraz częściej wpatrywała się w duże drzwi wejściowe po drugiej stronie hali. *Kiedy tam przyjadę i zobaczysz, jak kiwam do ciebie głową, będzie to znaczyć, że wszyscy lokatorzy zostali ewakuowani. Wtedy znowu przyjdzie kolej na ciebie. Wykonasz kolejny telefon.* Zerkala też na zegar

zawieszony na tablicy wyników koło jednego z koszy. Minęły pięćdziesiąt dwie minuty. Do ewakuowania zostało już pewnie niewiele osób.

...

Z początku go nie zauważyła.

Przez chwilę zapatrzyła się na akwarium. Było w nim pełno żółtych i czarnych rybek. Chłopiec sypał im karmę z czerwonej puszk.

W końcu go ujrzała. W drzwiach pojawił się wysoki strażak.

Stał nieruchomo i rozglądał się po hali. Podniosła się z podłogi i spojrzeli na siebie. Trwało to krótko, ale im wystarczyło.

Teraz znowu musi zadzwonić.

...

Przechodząc koło chłopca z akwarium, pomachała mu ręką. On też jej pomachał. Przecisnęła się między dwiema starszymi kobietami, które układały się na podłodze i próbowały zasnąć. Zrobiła duży krok nad mężczyzną, który już spał i chrapał, i stanęła przed wejściem do magazynka, gdzie przechowywano przyrządy do ćwiczeń i do skoku wzwyż. Magazynek znajdował się w pewnej odległości od czterystu lokatorów i ich zwierząt. Ana usiadła na skrzyni z czerwonymi piłkami, wyjęła telefon komórkowy i wybrała numer; dostała go od policjanta, który odwiedził ją w jej mieszkaniu. Przez chwilę czekała, aż się połączy.

— Grens, słucham.

Odebrał natychmiast. Nie spał. Głos ma jeszcze bardziej głuchy, niż zapamiętała. Jakby leżał jeszcze w łóżku.

— Muszę z panem porozmawiać.

— Tak?

Przez te dziewiętnaście lat rozmawiała z nim sześć razy.

Pierwszy raz, gdy rzucił ją na podłogę. Drugi raz, gdy ją przesłuchiwał, gdy był przy narodzinach jej syna i później, gdy przestał się nim opiekować i oddał go komuś, kto po niego przyszedł do jego mieszkania przy Sveavägen. Rozmawiała z nim, gdy odwiedził ją po ucieczce tamtych więźniów z więzienia w Aspsås i kolejny raz na dzień przed zatrzymaniem Leona. Ostrzegł ją wtedy, że jeśli go nie złapią, istnieje ryzyko, że jej osiemnastoletni syn zostanie zabity.

Sześć razy.

To znaczy, że teraz rozmawia z nim siódmy raz.

— Ma pan pod ręką długopis?

Usłyszała, jak Grens podnosi się z łóżka, podchodzi do biurka i wysuwa z niego szufladę.

— Mam.

— Niech pan do mnie zadzwoni, dokładnie za dziesięć minut. — Podyktowała mu numer: 0704244818.

Grens ciężko oddychał do słuchawki. Był zmęczony.

— A o co chodzi?

Jeśli będzie pani potrzebować pomocy, niech pani do mnie zadzwoni.

— Zrozumie pan, jak pan zadzwoni.

— Jeśli mam zadzwonić, muszę najpierw wiedzieć, o co chodzi.

— Odwiedził mnie pan niedawno, chciał ze mną rozmawiać. Możemy teraz porozmawiać o tym, o czym rozmawialiśmy poprzednim razem. Że tylko ten, kto to wszystko rozpoczął, może to także zakończyć.

— Jeśli...

Ana się rozłączyła.

Jej telefon jeszcze przez chwilę emitował słabe światło w ciemnym pomieszczeniu.

Za dziesięć minut.

...

Stanęła na samym końcu hali pełnej zmęczonych ludzi.

Zdążyli na siebie popatrzeć. Strażak skinął jej lekko głową, ona potwierdziła skinieniem głowy.

W końcu przyszła kolej na nią.

Thom wszedł po schodach i zatrzymał się na samej górze, przy wyjściu z górnej trybuny. Jest tam duże okno, które można otworzyć do środka. Widać stamtąd całą Råby Allé i ciemne kłęby dymu, które ścieliły się w pustych betonowych domach.

Spojrzał na zegarek.

Do rozmowy, która zostanie przekierowana na inny numer telefonu, zostały cztery minuty.

Thom wychylił się przez okno. Była ciepła wrześniowa noc. Właśnie przed chwilą poleciał wszystkim swoim ludziom, którzy gasili ogień przy pierwszym szybie, aby przenieśli się na drugi koniec podziemnego garażu i skupili na gaszeniu dwóch nowych pożarów. Zdążył

przygotować kolejne dwie pary samochodów, sznurki i naftę i pobiegł do hali sportowej, żeby dać jej znak. Zgodnie z instrukcją bezpieczeństwa wszyscy jego ludzie znajdujący się w pobliżu pięciu szybów, które w odstępie dziesięciu sekund miały wylecieć w powietrze po eksplozji w pierwszym szybie, mieli po pierwszym wybuchu obowiązek wybiec na zewnątrz i zająć miejsca jak najdalej od budynku.

Zostały dwie minuty.

Wszyscy lokatorzy zostali ewakuowani. Wszyscy jego ludzie znajdą się w bezpiecznej odległości od szybów.

Żeby tylko nikomu nie stała się krzywda.

Thom wychylił się z okna jeszcze bardziej i poczuł na twarzy delikatny powiew wiatru. Wyczuł też lekki zapach dymu. Nagle w jednym z wieżowców wyleciały wszystkie szyby, okruchy szkła spadły na ziemię jak deszcz i pojawiła się fala uderzeniowa. Miała siłę wiatru, ale trwała tylko chwilę. Kiedy objęła swym zasięgiem wieżowiec, jego ściany zaczęły pękać.

Grens zadzwonił zbyt wcześnie, ale skutek był taki sam.

Råby Allé 12. Na dnie szybu znajdowały się dwa worki. Każdy ważył dwadzieścia pięć kilogramów i był wypełniony materiałem wybuchowym. Budynek, który nadal był targany wstrząsami, w pewnej chwili zaczął się osuwać w kierunku szybu.

Najpierw powoli, potem coraz szybciej. Tak to przynajmniej wglądało z otwartego okna hali sportowej.

Dzień później

Metro znowu jest otwarte.

Przez noc i dzień było nieczynne.

Składy nie jeździły, wagony znikły, ludzie nie mogli podróżować.

Ma dwanaście lat i jest pewien, że za jego życia nic takiego nigdy się nie zdarzyło. Wcześniej też nie.

Råby bez metra to tak jak jego ciało bez serca. Serce do najdalszych zakątków ciała z całą mocą pompuje krew, która wraca i znowu jest pompowana. Wsiadł z wagonu i stanął na peronie. Poczł znajomy zapach. Tak właśnie pachnie metro.

Pierwszą noc spędzili na materacach rozłożonych na podłodze w hali sportowej. Część osób spała na drewnianych ławkach w kościele koło stacji benzynowej, część w bibliotece w Alby, w hali tenisowej w Hallundzie, w przyczepach kempingowych na terenie przemysłowym w Eriksbergu. Jeszcze innych wysłano do remizy strażackiej. On razem z mamą i Dianą mają być dziś wieczorem przeniesieni do pewnego domu na obrzeżach Norsborgu. Zamieszkają tam na najbliższe sześć miesięcy. W tym czasie budynek, w którym jest ich mieszkanie — przy Råby Allé 102 — zostanie wyremontowany. Widział, jak wyglądają główne wejście i winda. Kupa gruzu.

Eddie zszedł po schodach i zatrzymał się tam gdzie zawsze, to znaczy przy wejściu do metra, poza zasięgiem wzroku kontrolera. Zaczł głośno liczyć, a gdy po trzech minutach doszedł do sześćdziesięciu, pojawił się tamten mężczyzna. Szczupły, krótko obcięty. Strasznie się pocił. Wielkimi krokami prawie do niego podbiegł.

— Siedem.

Nie przywitali się. Eddie wyciągnął rękę i czekał.

— Chcę siedem gramów.

— Najpierw się ze mną przywitaj.

Mężczyzna miał przezroczystą rękę i pomarszczoną skórę.

— Siedem.

— Wiesz, że możesz kupić pięć albo dziesięć.

— No to dziesięć.

— Osiem tysięcy. Masz tyle?

Mężczyzna dalej się pocił. Zaczł grzebać w kieszeni i po chwili wyjął z niej zwitek banknotów. Było tam pięć tysięcy sześćset koron. Miały mu

wystarczyć na zakup siedmiu gramów.

— Przecież powiedziałem, że chcę siedem.

Eddie wspiął się na palce i uderzył go w policzek.

— Jestem Eddie. Mogę ci sprzedać pięć albo dziesięć.

Mężczyzna miał dwadzieścia osiem lat. Prawy policzek mocno mu poczerwieniał. Nawet sobie z tego nie zdawał sprawy.

— Pięć.

Włożył z powrotem tysiąc sześćset koron do kieszeni i podał resztę pieniędzy Eddiemu. Stał, obserwując, jak Eddie przelicza pieniądze.

— Konsum. Regał z pieczywem. Pod spodem, po prawej stronie.

Mężczyzna się oddalił. Eddie nadal czuł unoszący się za nim smród potu. Już niedługo jego klient zjawi się w sklepie, podejdzie do regału ze świeżym pieczywem, klęknie na kamiennej posadzce i zacznie szukać niewielkiej torebki przyklejonej taśmą. Eddie wyszedł z peronu na zewnątrz. Zrobiło się jasno, świeciło słońce. Jego oczom ukazały się zniszczone budynki. Przesunął dłonią po zaczesanych włosach, poprawił łańcuch na szyi i zaciągnął zamek bluzy. Szedł przez Råby, mijając domy, które były zrujnowane, i takie, które przetrwały w nienaruszonym stanie. Czuł, że mu się to prawie podoba, bo to, co zniszczone i spalone, na swój sposób do niego pasuje.

Råby Allé 67.

Jedna z trzech klatek schodowych, które ocalały. Wszyscy lokatorzy wrócili do swoich mieszkań. W tym szybie nigdy nie przechowywali materiałów wybuchowych.

Wszedł do windy i kiwnął głową do lustra. Znowu czuł się inaczej. Działo się tak za każdym razem, gdy szedł do mieszkania Gabriela. Za chwilę ujrzy tabliczkę z nazwiskiem Santos i naciśnie przycisk dzwonka. Po dwóch sygnałach otworzy mu Bruno, kiedyś otwierał Gabriel. Może go poprosi, żeby wszedł do przedpokoju. Będzie stał przy szafce na buty wykładanej perełkami, a w środku mieszkania będą siedzieć pozostali: Jon, Duży Ali. Usłyszą, że przyszedł, i może któryś z nich wypowie jego imię?

— Wejdz.

— Tam?

Bruno stał przed nim i czekał na zwitek pięćsetek owiniętych gumką. Wykonał ręką zamaszty ruch, każąc mu wejść do dużego pokoju. A więc wpuszczą go dzisiaj jeszcze dalej.

— Tak. No, już.

Tam. Nikt tam nie wchodzi. Poprzednim razem założyli mu kamizelkę kuloodporną, wycelowali w niego pistolet, odbezpieczyli i oddali w jego stronę dwa strzały: jeden w klatkę piersiową, drugi w brzuch.

Rzadko się boi.

Nie lubi tego uczucia i dlatego nie zwraca na nie uwagi.

Tym razem się nie dało. Przełknął ślinę i poczuł, jak serce wali mu w piersi.

Patrzył na Brunona, który nadal stał z ręką wyciągniętą w stronę mieszkania. Zajrzał do środka, przez chwilę stał w progu, oparł się ręką o ścianę i odzyskał równowagę.

Są sami.

Podszedł do dużej kanapy, usiadł na jej brzegu i zapadł się w nią. Serce nadal mu mocno waliło. Nie miał odwagi na nich spojrzeć, więc tylko rozglądał się przelotnie po pokoju. Telewizor, głośniki, stos filmów, skrzynka piwa, stolik ze szklanym blatem, niedopałki papierosów w miseczce i miseczka z orzeszkami ziemnymi.

Zauważył, że w pokoju nie ma kwiatów.

Zdawał sobie sprawę, że to dziwna myśl, ale nigdy przedtem nie był w mieszkaniu, w którym nie ma kwiatów. Bez kwiatów każde okno jest martwe.

Bruno spojrział na niego i też usiadł. Nie odzywał się, tylko po prostu siedział. Eddie rozglądał się po pokoju. Nikogo innego tu nie ma. Jest tylko Bruno i okno bez kwiatów. Jest też serce, które coraz szybciej i mocniej bije.

I ten zapach. Od razu go rozpoznał.

Trochę się rozluźnił, ale tylko trochę. Pudełeczko z bibułka do skręcania papierosów i skórzany worek z tytoniem. Trzy krople olejku z konopi z okrągłej buteleczki.

Bruno przypalił skręta, zapalił go i się zaciągnął. Gabriel też tak robił. Eddie przyglądał się, jak cieniutka bibułka coraz bardziej się kurczy. Wtedy usłyszał kroki.

To w kuchni. Był tego pewien. W drzwiach ukazali się Jon i Duży Ali.

Poczuł, jak w ustach robi mu się sucho.

— Szesnaście tysięcy. Dwadzieścia gramów. A jutro...

Serce.

Popatrzyli na niego bez słowa i usiedli: jeden na kanapie, drugi na krześle przy ścianie koło telewizora.

To pieprzone serce.

— Jutro załatwię resztę, obiecuję...

Wyciągnął w ich stronę zwitek banknotów owinięty gumką i podał Brunonowi, który odłożył je na stolik, nie przeliczając.

— W porządku.

Bruno znowu się zaciągnął. Eddie poczuł zapach tytoniu i konopi. Bruno pochylił się w jego stronę.

— Dobrze pracujesz, za każdym razem. Dla rodziny. Twoje rozliczenia zawsze się zgadzają. Nie kombinujesz. Przechowywałeś broń i towar.

Eddie słuchał, ale nadal nie wiedział, co jest grane.

— Nie puszczasz farby. Nigdy. Wcześniej też nie. Teraz, gdy przesłuchują nas po całych dniach, też nic nie pisnąłeś.

Eddie przez cały czas wpatrywał się w usta Brunona.

— Przechowałeś bombę i podłożyłeś ją w komendzie.

Eddie przeniósł teraz wzrok na ręce Brunona. Znowu się ruszają. Bruno zrobił sobie nowego skręta, skropił trzema kroplami olejku, zapalił i podał mu go.

— Masz, zapal.

Eddie spojrział na Jona i Alego, którzy nadal siedzieli w milczeniu. Odebrał skręta i zaciągnął się nim.

Bruno wyciągnął w jego stronę dłoń.

— Miłość, bracie.

Eddie usłyszał jego słowa, ale do niego nie dotarły.

Miłość, bracie.

Spojrział na Jona, Alego i znowu na wyciągniętą rękę Brunona.

Wydawało mu się, że cała trójka się do niego uśmiecha.

Teraz także Jon podał mu rękę.

— Miłość, bracie.

I Duży Ali.

— Mnóstwo miłości, bracie.

Eddie rozejrzał się po pokoju.

Nie ma tu ani Leona, ani Gabriela. Już ich nie ma.

Miłość, bracie.

Teraz jest tutaj on. Jest jednym z nich. Ma braci. Rodzinę. Dzisiaj wieczorem zrobią mu tatuaż na prawym udzie.

Uśmiechnął się. Po raz pierwszy od dłuższego czasu. Poczuł, jak ogarnia go błogi nastrój. Tak, czasem mu się to zdarza.

**Kolejny dzień
później**

Na dworze jest już jasno.

Gdyby się teraz położył, gdyby nie mrugał oczami i przez dłuższą chwilę patrzył na żaluzję w oknie, niewyraźny obraz przynajmniej przez moment mógłby przypominać koc, który nie tak dawno miał czerwono-żółty kolor i białe obramowanie po bokach. Nigdy go nie lubił. Nie zasłaniał całego, brudnego okna, słońce wdzierało się do pokoju i docierało do łóżka, w którym leżeli nago razem z Wandą. Brakuje mu jej. A może raczej tęskni za tamtym pokojem? Albo za tamtymi czasami, gdy żyli nocą i spali za dnia, i budzili się, gdy zbliżał się wieczór i noc?

Żaluzja całkowicie go odseparowała od tego, co na zewnątrz.

Gabriel zamrugał oczami i obraz stał się znowu wyraźniejszy.

Leżał na boku. Rozejrzał się po pokoju i zobaczył w nim łóżko, szafkę na ubranie, niewielki stolik i krzesło. Cela. Nie, to nie cela. Przecież nie ma tu metalowych drzwi ani krat w oknie. Czuje jednak tę samą milczącą pustkę, to samo powietrze. Takim samym powietrzem oddychał w poprawczaku w Mariefred i schronisku dla nieletnich w Johannisbergu, i w schronisku w Sundbo. Oddech tam miał czarny kolor i smakował pyłem. Nie wystarczało mu go, chociaż ciągle tylko oddychał i oddychał.

Minęło siedem dni i siedem nocy. Był tego pewien, bo każdego ranka rysował długopisem na drewnianej ramie łóżka jedną kreskę. W szpitalu pokazali mu zdjęcia czterech różnych domów i mapę z zaznaczonymi na niej czterema czerwonymi kółkami. Kazali mu wybrać miejsce nowego pobytu. Do wyboru miał schronisko koło Växjö, drugie schronisko między Karlstad a Säffle, trzecie między Hudiksvall a Ljusdal i czwarte, które nazywa się Hargebaden i znajduje się niedaleko miejscowości Askersund. Jedna z policjantek poinformowała go, że Wanda przebywa w areszcie na oddziale kobiecym w Kronobergu. Jest oskarżona o handel narkotykami i zostanie skazana na ponad cztery lata więzienia. Nie było innego wyboru, będzie musiała trafić do więzienia w Hinsebergu. Okazało się, że jedno z zaznaczonych na mapie kółek znajduje się dość blisko, bo tylko osiemdziesiąt trzy kilometry od Hinsebergu. To dlatego wskazał to schronisko i wybrał je na miejsce przyszłego pobytu.

Wanda była ostatnia.

Na policji wydał także ją.

Uświadomił sobie, że jeśli tak nie postąpi, Wanda urodzi dziecko i nadal będzie mieszkać w Råby, do którego on już nigdy nie wróci, a jej życie wciąż będzie zagrożone.

Drugie piętro żółtego drewnianego domu. Każde okno, każde drzwi i każdy narożnik tego budynku są obite białymi deskami. A gdyby tak podciągnął żaluzję? Kilkaset metrów dalej widać trawę, drzewa i wodę. To zatoka Hargeviken z szerokim piaszczystym brzegiem. Kiedyś wybrał się tam na spacer.

Oscar.

Kiedy już wybrał nowe miejsce zamieszkania, kazali mu wybrać nowe imię. Do wyboru miał takie imiona jak Oscar, Erik i Carl.

Oscar Hansson.

Nawet nie potrafił tak o sobie myśleć.

Leżał w łóżku i wpatrywał się w sufit. Nawet go nie potrzebował. We wtorki i czwartki, między dziewiątą a piętnastą, czynny był posterunek policji w Askersund. Gdyby miał ochotę spotkać się tam z policjantem, którego mu przydzielono, może przychodzić właśnie w te dni i o tych godzinach. To jego skrzynka kontaktowa. Poszedł tam przed dwoma dniami. Więcej już chyba tego nie robi.

Zdarza się, że myśli o Leonie.

Na początku nie zrozumiał, kiedy tamci o nim rozmawiali. W schronisku nocowała jakaś szczęśliwa rodzinka. Tamtego ranka przyszli na śniadanie do wspólnej jadalni. Akurat szedł wtedy do lodówki. Mieli przed sobą rozłożoną gazetę i czytali na głos artykuł o pewnym osiemnastolatku, który uciekł z więzienia, zamordował dwoje ludzi, a potem sam się zabił w celi więzienia w Aspsås. W końcu do niego dotarło, o czym rozmawiają. Podszedł do ich stołu i zaczął zerkać na zdjęcia twarzy Leona. Zrozumiał, co się stało, dopiero wtedy, gdy wrócił do swojego pokoju, zaciągnął żaluzje i położył się z zamkniętymi oczami na łóżku. Postanowił, że nie będzie niczego odczuwał. Przeleżał tak cały dzień i całą noc. Co pewien czas dotykał palcami pięciu dużych blizn, które miał na twarzy od przypalania rozżarzoną papierosem. Leżał w tej pozycji tak długo, aż dłużej się nie dało. Następnego dnia, gdy rano znowu oddychał tym czarnym, zakurczonym powietrzem, zaznaczył na łóżku kolejną kreskę i zaczął cicho płakać. Nie za dużo, a jednak nie płakał tyle od czasu pożaru, w którym stracił ojca; od tamtego dnia przed dwoma tygodniami, gdzieś między Råby a Södertälje, kiedy jechał samochodem i wziął do ręki pistolet załadowany jedną kulą, przyłożył go do skroni i pociągnął za spust. Usiadł na brzegu łóżka i stłumił ten

pieprzony płacz. Teraz już go nie dławi w gardle, jest gdzieś w brzuchu. Szepnął: „Kocham cię, bracie”, chociaż w pokoju nikogo poza nim nie było.

Przyciągnął krzesło od stołu i usiadł na nim. Na dworze pali słońce, przez żaluzje przebija jego silny blask. Znów spojrzął na drzwi. Nie są z metalu i w każdej chwili może je otworzyć i wyjść na dwór. Dzisiaj tego nie robi. Zostanie w pokoju. Jak wczoraj. Jak jutro. Nie ma tu przecież dokąd pójść.

Tamten tłusty glina ze sztywną nogą i sztywnym karkiem uprzedził go, że będzie mieszkał w takich warunkach. Ostrzegł go, że „zero kontaktów z Råby oznacza dokładnie zero kontaktów z Råby”. Uprzedził go też, że ktoś, kto wsypał swoich kumpli i własną dziewczynę i został objęty programem ochrony świadków, może przeżywać chwile załamania. Może też wrócić na przestępczą drogę i ponownie trafić za kraty.

On tego nie robi. Już postanowił.

Poczeka w tym schronisku, które jest oddalone od więzienia w Hinsebergu o osiemdziesiąt trzy kilometry, na Wandę. Wanda jest w ciąży i za osiem miesięcy urodzi mu syna. Zrobi to w celi dużo większej od innych cel. Może ją nawet któregoś dnia odwiedzi i kogoś tam pozna.

**Jeszcze jeden
dzień później**

Brązowa kanapa jest zbyt miękka — zważywszy na fakt, że często tu nocuje i potrafić przespać na niej kilka godzin; jest też za krótka, zważywszy na jego sztywną nogę, której nie może wyprostować. Jest też za ciepła — materiał jest już dość zniszczony i drapie go w plecy. Jednak mimo wszystko odpoczywa mu się na niej o wiele lepiej niż gdziekolwiek indziej. Pasuje do niej tak samo jak ona pasuje do tego pokoju. Ciągłe stoi w tym samym miejscu, w takiej samej odległości od szafy na ubrania i od okna. Stoi tu dłużej, niż większość policjantów pracuje w tej komendzie.

Grens leżał na kanapie i nawet mu się nie chciało patrzeć na stos papierów na podniszczonej szafce nocnej. Zanim wszedł do swojego pokoju, nalał sobie dwa kubki kawy z automatu i kupił ciastko. Przy okazji spojrzął na swoją przegródkę na listy i przyczepioną do niej kartkę z uwagą, że powinien ją w końcu opróżnić. Westchnął, zabrał z przegródki całą jej zawartość, wsunął ją sobie pod pachę i położył się na kanapie, żeby obejrzeć pierwszy z brzegu list. Na tym się jednak skończyło. Na samym wierzchu leżała biała koperta formatu A4, którą ktoś musiał tam położyć tego samego dnia rano. W prawym górnym rogu były słowa: „Opieka penitencjarna” i „Frivården Fridhemsplan”. Długo na nią patrzył, aż w końcu upuścił ją na podłogę. Potem przez pół godziny jej nie dotykał, tylko po prostu leżał na kanapie.

W końcu podniósł kopertę i zważył ją w dłoni. Podszedł do okna i wyjrzał na dziedziniec komendy policji. Potem podszedł do szafki i spojrzął na list. Dalej tam leżał. Zabrał go z szafki, chrząknął i przeciągnął palcem wskazującym z jednego końca koperty na drugi.

W środku znalazł jedną kartkę. Zawierała jakieś formalne stwierdzenia, które widział już wcześniej. Na samym dole zauważył prośbę.

Złożył kartkę, podszedł do biurka i zaczął czegoś szukać w stosie leżących na nim papierów. W końcu znalazł. Był to list znaleziony w czerwonej torbie z logo firmy Adidas podczas nalotu na jedno z mieszkań. Pewien osadzony, który odbywał karę w zakładzie karnym w Aspsås w bloku D, wysłał go do swojego przyjaciela, który mieszkał na trzecim piętrze w budynku przy Råby Allé 67. Obaj byli w tym samym wieku.

Uniósł oba dokumenty i trzymał je przed sobą, porównując podpisy pod treścią obu pism.

Złożyła je ta sama osoba.

Wyszedł na korytarz i udał się trzy pokoje dalej, gdzie urzędował Wilson. Kiedy stanął w drzwiach, ujrzał, że jego szef siedzi pochylony w stronę monitora.

— Dostałem od ciebie zlecenie.

Podał mu kopertę, którą przed chwilą rozerwał.

— Bo się do tego nadawałem.

Tamtego dnia obaj stali w pewnej celi w więzieniu w Hinsebergu. Żaden z nich nie zdawał sobie wtedy sprawy, że tamten dzień jeszcze się nie skończył. Skończył się dopiero dziś rano, gdy przyszedł ten list.

— Dostałem to dzisiaj.

Wilson wziął od niego kopertę i wyjął z niej kartkę. On też wiele razy wcześniej czytał te same formalności. Na samym końcu pojawiała się zazwyczaj prośba. Zdziwiająco często zdarzało się, że kiedy przestępca miał trafić do więzienia i wypełniał formularz, w którym występował z wnioskiem o przydzielenie mu opiekuna — to znaczy kogoś, kto po drugiej stronie więziennego muru będzie pełnił funkcję godnej zaufania osoby kontaktowej — prosił zazwyczaj o przydzielenie mu policjanta, który całymi dniami go przesłuchiwał i starał się wydusić z niego prawdę. Nierzadko było tak, że chodziło w tym przypadku o policjanta, który tego przestępcę ścigał i aresztował.

— Ta prośba, Ewert...

Formularz zawierający prośbę o opiekuna był podpisany przez Leona Jensena.

— ...od razu bym ją odrzucił.

Wilson spojrzał na potężnie zbudowanego komisarza policji, który potrafił przytłoczyć swoimi rozmiarami każde pomieszczenie. Złożył kartkę i oddał ją razem z kopertą Grensowi.

— Gdyby to oczywiście nadal było aktualne.

Ktoś zginął. Ktoś, kto urodził się przy nich. Nigdy o tym nie rozmawiali i w przyszłości też tego nie zrobią.

— Nie chodzi o niego, Ewert. Chodzi o ciebie.

Kiedy wracał korytarzem do swojego pokoju, nalał sobie trzeci kubek kawy i kupił jeszcze jedno ciastko.

Nie chce mu się już dłużej leżeć. Spojrzał na kasety i magnetofon na półce. Usiadł przy biurku i sięgnął na chybił trafił po jedną z teczek.

Sprawa dotyczyła eksplozji, do której doszło przed trzema dniami w sześciu domach przy Råby Allé. Powoli i z roztargnieniem przerzucał dokumenty w trzech grubych, nieprzeczytanych teczkach. Przesłuchanie, zakładany przebieg wydarzeń, kolejne przesłuchania, świadkowie, kolejne przesłuchania. W końcu sięgnął po teczkę leżącą na samym dole. Zawierała raport z badań laboratoryjnych przygotowany przez Krantza. Zaczął go czytać, ale poczuł nagły ból w klatce piersiowej. Odłożył więc akta, chwilę odczekał, a gdy ból nie puszczał, zdecydował się jednak zapoznać z treścią raportu.

Na pierwszych stronach były zbyt ciemne albo zbyt jasne zdjęcia odciętych przewodów elektrycznych i materiałów wybuchowych, które nie eksplodowały. Były też fotografie przedstawiające zniszczenia poczynione przez ogień, zniszczone klatki schodowe i mieszkania, pokryte sadzą piwnice i garaż.

Materiały wybuchowe znalezione w szybie miały z dużą dozą prawdopodobieństwa to samo źródło pochodzenia co materiały znalezione wcześniej na podłodze kuchni i na kuchennym stole w mieszkaniu na trzecim piętrze przy Råby Allé 67.

Grens próbował stłumić ból w piersi, ale mu się nie udało.

Z dużą dozą prawdopodobieństwa.

W języku ludzi ze świata, w którym obraca się Krantz, takie stwierdzenie graniczy z prawdą absolutną.

Grens przyłożył palec do ostatniej, gładkiej strony raportu, gdzie znajdowały się zdjęcia szybu. Były to mocno powiększone fragmenty zdjęć ściągniętych z telefonów komórkowych, na których widać było charakterystyczny płócienny splot worka jutowego. To w nim Gabriel i jego kumple przetrzymywali materiały wybuchowe.

Podczas badań prowadzonych w szybie windy przy Råby Allé 12 natrafiono na fragmenty i odłamki telefonu komórkowego. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić, że do pierwszej eksplozji doszło o godzinie 04.34 i podobnie jak to było w przypadku eksplozji w budynku policji w Råby, do wybuchu doszło na skutek impulsu elektrycznego wywołanego dzwonkiem telefonu.

Grens uniósł na chwilę wzrok, głęboko odetchnął i czytał dalej.

Podczas badań przeprowadzonych w pozostałych miejscach, w których doszło do eksplozji — to znaczy w szybach domów przy Råby Allé 25, 34, 57, 76 i 102 — natrafiono na fragmenty kolejnych pięciu telefonów komórkowych. Odstęp czasowy między poszczególnymi eksplozjami wynosił według świadków od ośmiu do dwunastu sekund, co zgadza się z czasem, jakiego potrzebuje sygnał, aby od chwili połączenia z numerem dotrzeć na miejsce. Mogło się zdarzyć tak, że wszystkie sześć telefonów komórkowych łączyło się ze sobą w systemie wewnętrznym, to znaczy sygnał dotarł do pierwszego z nich, potem do następnego i tak dalej.

Grens podniósł się z krzesła i podszedł do okna.

Godzina 4.34.

Faktycznie, mogło tak być. Od ośmiu do dwunastu sekund. To całkiem możliwe.

Odszedł od okna i podszedł do regału. Stały na nim książki, kasety magnetofonowe i dwie fotografie. Przedstawiały pewną kobietę, która śpiewając, przywracała mu spokój i brała go za rękę. Włączył jedną z kaset, zamknął oczy i czekał, aż popłynie znana mu melodia.

*Zostaną z ciebie cienkie plasterki,
niewiele pomogą ci teraz twoje błagania.*

Znowu to uczucie. Utrzymuje się w brzuchu, w klatce piersiowej.

*I nigdy więcej się do ciebie nie uśmiechnę,
zostaną z ciebie cienkie plasterki.*

Nie odpuszcza. Jej głos, słowa, melodia. Zna je tak dobrze, a mimo to nie pomagają mu w niczym.

Tak, to całkiem możliwe.

Jego samochód stał zaparkowany przy Bergsgatan. Ruszył trochę za szybko, wjechał pod Hantverkargatan, przejechał tunelem na Drottningholmsvägen i kawałek trasą na Essinge. Na wysokości Gröndal

zwolnił i z dozwoloną prędkością wjechał na środkowy pas. Chciał tylko przez chwilę poleżeć na kanapie. Nie wziął jednak pod uwagę dwóch dokumentów — te dokumenty w ciągu niecałej godziny skłoniły go do odwiedzenia miejsca, którego nigdy więcej nie zamierzał odwiedzić.

Raport Krantza, zdjęcia odłamków telefonów komórkowych i godzina 4.34, którą wskazywał zegar w jego pokoju, łączyły się z falami radiowymi, które co osiem sekund doprowadzały do eksplozji kolejnego szybu. Do tego biały formularz w białej kopercie wysłany przez Zarząd Opieki Penitencjarnej z prośbą o opiekuna dla więźnia Leona Jensena.

Jensen zażyczył sobie, aby jego opiekunem został on, Ewert Grens.

Spośród wszystkich możliwych ludzi wybrał właśnie jego. A przecież właśnie on nie mógłby wyrazić na to zgody, bo już dawno temu przestał rozumieć, co tak naprawdę czuje.

— Gdzie jesteś?

Słuchawka tłumiła dźwięk, więc ją zdjął i położył telefon przed sobą, na kierownicy, z włączoną funkcją głośnego mówienia.

— Mariana, słyszysz mnie?

— Tak, słyszę.

— Gdzie teraz jesteś?

— W swoim pokoju.

— Sama?

Mariana zawahała się przez chwilę.

— A o co chodzi?

Chodzi o prośbę, którą odrzuciłem. Zastanawiam się, czy nadal jest aktualna.

— Przypomnij mi, ile prowadziłem spraw o zabójstwo.

— Co?

Nie ze względu na niego. Ze względu na ciebie, Ewert.

— Z iloma więzami przekaźnikowymi udało ci się powiązać podsłuchiwane rozmowy?

— Co?

— Ile...

— Słyszałam oba twoje pytania.

Grens zadzwonił do niej tak jak zwykle i spytał o coś zupełnie innego, a na wszelki wypadek o wszystko naraz.

Czegoś od niej chciał. Nie wiedział tylko, jak to zyskać.

— Ewert, czego ty właściwie chcesz?

Jedzie samochodem. Przez cały czas słyhać w słuchawce silne natężenie ruchu.

— Niczego innego nie chcę. Ile...

— Ewert?

— Tak?

— To, czego tak naprawdę chcesz... wydaje mi się, że chodzi ci o to, o czym kiedyś rozmawialiśmy... a jeśli tak, to jesteś na dobrej drodze.

— Naprawdę?

— Tak, jesteś naprawdę na dobrej drodze. Rozumiesz, co mówię? Pamiętam złość w twoich oczach, gdy poinformowałeś nas o jego śmierci. Złość, którą, jak sądziłeś, skrywałeś w sobie. Nigdy wcześniej nie widziałam takiej złości. Dostrzegli ją żona Pereiry, Sven, dzieci i było to dla nich i dla mnie coś dobrego. Był to ten rodzaj złości, który chodzi w parze z prawdziwym smutkiem. Potrafisz czuć, Ewert! Odczuwasz w sposób, jakiego nie znałeś wcześniej... od kiedy ja cię znam. A jeśli potrafisz czuć i panować nad tą złością, to znaczy, że możesz się też zakochać, że możesz się odważyć zapalać do kogoś miłością, a może nawet poczuć coś, co nie dotyczy tylko ciebie.

Grens nie odpowiedział.

Cholerny telefon! Mimo wszystko nie powinien leżeć na kierownicy, bo to złamanie zasad ruchu drogowego. Położył go na fotelu obok, a ponieważ z tej odległości nie słyszał, co Mariana do niego mówi, po prostu go wyłączył.

Po przybyciu na miejsce stwierdził, że wszystko wygląda tu tak, jak przed dwoma dniami.

Zaparkował przy policyjnej taśmie, która odgradzała dojście do sześciu budynków z czterystu dwudziestoma mieszkaniami. Jego oczom ukazały się zavalone czarne domy, a gdy wiatr zawiał w jego stronę, poczuł zapach spalenizny, który unosił się nad osmolonymi drabinkami na placu zabaw, i zapach popiołu bijący od popalonych drzew. Od czasu do czasu czuł też zapach spalonych ławek. Postawiono je tu kilka lat wcześniej, żeby jakoś urozmaicić zalany asfaltem teren. Teraz został już tylko asfalt.

Już wtedy się nad tym zastanawiał.

To nie jest miejsce przestępstwa i dlatego nie musi tu zachowywać szczególnych środków ostrożności. Tu się rozegrała prawdziwa tragedia. Dla ludzi, którzy tu żyją, to codzienność.

Na miejscu zastał osiem samochodów należących do sekcji zajmującej się materiałami wybuchowymi. Jej członkowie podjęli przeszukiwanie terenu, które wstrzymano na jakiś czas po ujęciu Leona Jensena. Zjawily się też trzy wozy z działu technicznego. Technicy na kolanach szukali

tego, czego nikt inny nie jest w stanie znaleźć. Grens zauważył też dwa radiowozy i bus z komendy rejonowej w Södertörn. Umundurowani policjanci z tej jednostki strzegli barierek rozstawionych wokół całego terenu. Trochę dalej widać było psy z przewodnikami, którzy przeszukiwali teren rozciągający się po drugiej stronie rynku w Råby. Kręcili się na drodze między dwoma klatkami schodowymi. Przez ostatnie trzy doby przeszukano półtora tysiąca mieszkań w dwudziestu pięciu budynkach, wliczając w to także piwnice, parkingi i szyby wind. Grens wyjął z kieszeni marynarki zestawienie zawierające podstawowe dane na ten temat. Specjaliści od materiałów wybuchowych sprawdzili dopiero koło dwudziestu procent terenu. Znaleźli cztery tysiące sto pięć pocisków do karabinów, siedemset sześć nabojów do pistoletów, sześć granatów odłamkowych, pięć lasek dynamitu, trzy pociski przeciwpancerne, trzy granaty trzonkowe, dwadzieścia dwa obrzyny, czternaście różnego rodzaju noży bojowych, dziewięć sztuk nunczako, siedem bagnetów, pięć sztuk broni automatycznej typu AK4 i trzy pistolety maszynowe, jak również dwa kałasznikowy.

Grens rozejrzał się.

To już inne czasy. Ale tak samo popieprzone jak wtedy.

Ruszył wzdłuż taśmy odgradzającej teren. Jest na dobrej drodze. Mariana tak powiedziała, a on nie miał o tym pojęcia. Jego złość była jego smutkiem. To też powiedziała. Zatrzymał się i wziął taśmę do ręki. Na pogrzebie Mariana stała po jego prawej ręce, Sven po lewej. Był to pierwszy pogrzeb, na który postanowił pójść sam z siebie, z nieprzymuszonej woli, tylko dlatego, że chciał. Nie wstydził się i nie obwiniał się za to, że nie poszedł na pogrzeb Anni. Stali w pewnej odległości od grobu i przyglądali się, jak trumna ze zwłokami Pereiry opada w dół.

Ruszył w stronę domów, w których brakowało ścian. Niedawno widział tu w oknach ludzkie twarze. Znowu się zatrzymał.

José Pereira, Julia Bozsik, Leon Jensen.

Co by się stało, gdyby przed dwudziestu laty inspektor policji Ewert Grens nie zatrzymał młodej kobiety i nie odebrał jej równie młodego chłopaka? A gdyby tak chłopiec urodził się i wychowywał gdzie indziej?

Spojrzał na zakopczone ściany, wciągnął zapach spalenizny. Wiatr znowu rozrzuca popiół po okolicy.

Råby Allé 12.

Podszedł bliżej. Według Krantza i zgodnych zeznań kilku świadków to właśnie tu doszło do pierwszej eksplozji. Dom całkowicie się rozpadł.

Widok, jaki mu się ukazał, przypominał widoki z dawnej Jugosławii albo z Libanu, reportaże w telewizji, w których lektorzy z powagą w głosie informowali o wojnie domowej. Tak tu właśnie wygląda teraz.

Niech pan do mnie zadzwoni, dokładnie za dziesięć minut.

To jej głos.

Miała spokojny głos, a on zrobił to, o co go prosiła.

W kieszeni znalazł telefon komórkowy z uszkodzoną słuchawką. Wyjął go i wybrał z menu „rozmowy wychodzące”. Palcem wskazującym palcem cofnął się o trzy dni. Tamtego dnia wykonał czternaście rozmów, w tym cztery przed południem.

Jedna odbyła się o 4.34. Tak właśnie przeczuwał. Teraz to zobaczył na wyświetlaczu.

Poszedł dalej. Râby Allé 25. Kolejna klatka schodowa i szyb, gdzie doszło do eksplozji. Według Krantza tam też znaleziono odłamki telefonu komórkowego.

A o co chodzi?

Możemy teraz porozmawiać o tym, o czym rozmawialiśmy poprzednim razem.

W tym miejscu sadzy było jeszcze więcej. Pożar niczego nie zostawił w spokoju. Każdą ścianę pomalował swoim kolorem.

Trzyma w ręku telefon, z którego trzy noce wcześniej ktoś dzwonił pod nieznany Grensowi numer. Jeszcze raz go wybrał, ale nikt nie odebrał. Zadzwonił więc na informację telefoniczną, ale okazało się, że żaden abonent nie jest pod tym numerem zarejestrowany. W końcu zadzwonił do Krantza.

— Chodzi mi o resztki telefonu komórkowego, który wywołał pierwszy wybuch.

— Tak?

— Chcę cię prosić, żebyś jeszcze raz im się przyjrzał. Może uda ci się określić numer na karcie SIM?

— Podejdz do mnie, to razem sobie tę kartę obejrzymy.

— Podejść?

— Tak. Siedzę w busie. I właśnie cię widzę.

Kiedy Grens otworzył tylne drzwi, Krantz klęczał na podłodze wśród kilku wielkich walizek i plątaniny kabli. Stały tam także potężne lampy i sprzęt używany prawdopodobnie do prowadzenia różnego rodzaju pomiarów.

— Mam tu zdjęcie. Popatrz.

Mówiąc to, Krantz wskazał na laptopa stojącego na składanej umywalce.

— Widzisz?

Coś czarnego w dużym powiększeniu.

— Nie.

— To drobny fragment, ma kilka milimetrów, znaleziono go półtora metra od szybu windy. Widać go po lewej stronie na tym zdjęciu... zobacz. Widzisz tam dwie cyfry? Tylko to można na nim rozszyfrować. Mniej więcej pośrodku całego numeru.

Grens śledził uważnie palec Krantza, ale niczego nie zauważył.

— Pierwsza z cyfr to... dwójka. Druga... tak, jestem absolutnie pewien, to czwórka.

Dwójka i czwórka.

Grens nie musiał nawet zaglądać do telefonu, żeby przypomnieć sobie spis rozmów wychodzących. Ale i tak to zrobił.

0704244818.

Dwie środkowe cyfry.

Dwójka i czwórka.

Dziewiętnaście lat wcześniej rzucił pewną kobietę na podłogę jej własnej kuchni. To on odpowiadał za to, że została potem zatrzymana, aresztowana, skazana przez sąd rejonowy i wsadzona do więzienia. I że ze względów bezpieczeństwa musiała urodzić dziecko w celi.

Jeśli mam zadzwonić, muszę najpierw wiedzieć, o co chodzi.

Tylko ten, kto to wszystko rozpoczął, może to także zakończyć.

Odwrócił laptopa Krantza i spojrzał na silnie powiększone zdjęcie fragmentu telefonu komórkowego. Poczuł, że dłonie zaczynają mu drżeć. Wybrał podany numer telefonu, odczekał, aż sygnał zostanie przekazany i spowoduje przepływ impulsu elektrycznego. W chwili, gdy pierwszy wybuch zagłuszył wszystkie inne dźwięki, ten sam sygnał został przekazany dalej, do kolejnego telefonu, wywołując kolejny wybuch.

Sześć budynków, czterysta dwadzieścia mieszkań.

To ona.

I on.

Przeszedł przez rynek w Råby, mijając stoiska sprzedawców warzyw, którzy nie stali w tym miejscu od dawna. Minął wielkie centrum handlowe, gdzie liczba pozamykanych sklepów zdążyła już przewyższyć liczbę tych, które nadal działały. Potem ruszył asfaltową alejką w stronę stacji metra. Tuż przed zejściem na peron zszedł z chodnika i przez pewien czas szedł wzdłuż torów, wsłuchując się w huk pociągów, które na tej linii kursują co dziesięć minut.

Od trzydziestu siedmiu lat pracuje w tym mieście jako policjant i nadal wierzy w to, w co wierzył pierwszego dnia, gdy włożył policyjny mundur. To może zbyt proste, zbyt oczywiste. Nie jest nawet zbyt bogate w treści. *Każdy, kto krzywdzi innego człowieka, powinien mieć jaja, żeby odpokutować za swoje uczynki.* Ale tak to właśnie działa. To jedyny sposób, żeby przeciwstawić się tym, którzy przyznali sobie prawo krzywdzenia innych.

Hałas przejeżdżającego metra zmieszał się z hałasem tysięcy samochodów jadących autostradą E4. Grens usiadł w parku na ławce, prawie pozbawionej graffiti. To dobre miejsce, można stąd objąć wzrokiem budynki w całej dzielnicy — zarówno te, które ucierpiały od wybuchów, jak i te, które stoją nienaruszone. Widać też dwie ulice, które przecinają cały ten obszar na dwie równe części.

Po tym, co się stało przed wielu laty, nigdy więcej nie myślał ani o niej, ani o nim, ani o ich synu.

Bo niby po co?

Następnego dnia ich życiem zaczęli zajmować się inni.

Wrócili wiele lat później, wtargnęli do jego życia i przypomnieli mu o wszystkim, co dawno temu za sobą zostawił. Trzy ludzkie losy będące konsekwencją jego działań, chociaż później nie musiał już za nie brać odpowiedzialności.

Cały jego świat w ciągu tygodnia.

Udało im się rozbić groźne ugrupowanie, dzięki czemu przestępczość na tym terenie będzie przez jakiś czas spadać. To potrwa do czasu, aż miejsce poprzedniego gangu zajmie nowy gang, bo zawsze są chętni do zajęcia wolnego miejsca. Udało im się złapać czterech uciekinierów i wsadzić ich z powrotem do więzienia, gdzie odbędą resztę kary. Dwóch osiemnastolatków usunęli z ulic, które przez długi czas stanowiły część ich życia.

Pierwszy z nich mieszka teraz w pewnym schronisku na skraju zielonego lasu koło błękitnego jeziora. Stara się trzymać z dala od narkotyków i czeka na swoją dziewczynę, która kilkadziesiąt kilometrów dalej już wkrótce urodzi ich dziecko.

Jeśli chodzi o tego drugiego, to był przy jego narodzinach. Ale jego już nie ma.

Dużo później

Leży na plecach, najspokojniej jak tylko może, i spogląda na plastikową torebkę, strzykawkę i na przezroczystą kroplę, która staje się coraz większa. Widzi, jak kropla pęcznieje, odrywa się i spada.

Oksytocyna.

Jeden mililitr rozpuszczony w półlitrowym roztworze soli kuchennej.

Powiedziała tak jedna z pielęgniarek w zielonym fartuchu. To ona wstawiła tutaj kroplówkę i wbiła jej igłę z przewodem do żyły. Piętnaście mililitrów na godzinę wypływa z torebki i dostaje się do jej organizmu.

Teraz idzie to trochę szybciej. Przed kilkoma godzinami rozwarcie wynosiło zaledwie jeden centymetr. Dzięki kroplówce trochę się powiększyło. Druga z pielęgniarek wbiła jej długą igłę i tak mocno na nią naciskała, aż obie błony pękły i ciepły płyn rozlał jej się na uda, kolana i stopy.

...

W pokoju jest więcej osób.

Pielęgniarki w zielonych fartuchach przez cały czas stoją przy niej, dotykają dłońmi jej brzucha albo robią coś przy aparaturze, która wydaje z siebie charakterystyczne dźwięki. Pozostałe osoby stoją trochę dalej. Mają na sobie długie białe fartuchy sięgające do podłogi. Czasem, kiedy odwraca głowę, wyraźnie widzi, że pod fartuchami mają ciemne spodnie i ciemne buty.

...

Kiedy pojawiły się pierwsze bóle, czuła się tak, jak podczas menstruacji. Teraz ból jest silniejszy. Ktoś ją uderza od środka. Uderzenia są coraz częstsze i trwają coraz dłużej. Próbowwała je liczyć, odliczała kolejne sekundy i ból nie był już taki dokuczliwy. Ostatnie trzy uderzenia pojawiły się w odstępie dwóch minut i trwały czterdzieści dwie, czterdzieści siedem i czterdzieści cztery sekundy.

...

To duża cela.

Myśli o celi, której zdjęcia pokazywał jej Gabriel. Zdjęcia celi w więzieniu koło Mariefred. Pokazał jej też zdjęcia zakładów, w których nie było murów. Już nie pamięta, jak się nazywały. Przypomniała sobie celę, którą kiedyś opisał jej Leon, gdy była w pokoju widzeń w więzieniu w Aspsås, i cele, w których siedzieli Reza i Uros, gdy odwiedziła ich w Österåker i w Storbodzie. Ich cele były znacznie mniejsze. Osadzona, która jest w ciąży i ze względów bezpieczeństwa nie może rodzić w szpitalu w Örebro albo w Karlskoga, musi rodzić w odpowiednio dużej celi, żeby na środku można było postawić metalowe łóżko, a obok aparaturę. Musi też wystarczyć miejsca dla obu pielęgniarek w zielonych fartuchach i reszty osób ubranych w białe fartuchy, które tam nic nie robią, tylko na coś czekają.

Kiedy zmienia pozycję i odwraca głowę w drugą stronę, widzi zakratowane okno i to, co przez nie widać. Jest już wieczór i chociaż jest wiosna, na dworze nadal utrzymuje się niska temperatura. Na drzewach rosnących w pobliżu widać nowe, zielone liście. Przed samym oknem czeka karetka. Jest zwrócona przodem w stronę bramy więzienia. Za karetką stoi inny samochód. Jest nowy, czerwony, lśniący.

Znowu zaczyna liczyć. Bóle pojawiają się w odstępach krótszym niż minuta. W końcu pojawia się ból od środka — trwa dokładnie pięćdziesiąt jeden sekund.

...

Poznała obu mężczyzn stojących w pokoju. Jeden z nich jest wysoki i nie ma włosów. To chyba ten, do którego dzwonił Gabriel. Drugi jest trochę młodszy. To on razem z tamtą policjantką przesłuchiwał ją pięć razy.

Potem ich spyta.

Razem z Gabrielem siedzieli na samej górze klatki schodowej. Bolało go, tak jak ją teraz. Gabriel poszedł jeszcze raz do komendy w Råby, żeby poprosić o pomoc, i już nie wrócił.

Dlatego spyta ich obu, czy wiedzą, gdzie jest Gabriel, i czy żyje.

...

Nie nadąża już z liczeniem. Wie, że nie zostało jej zbyt dużo czasu.

Wtedy, jeszcze na samym początku, rozmawiała z pewną kobietą z opieki socjalnej. Minęło dopiero kilka tygodni i ziarnko w jej łonie nie miało nawet centymetra długości. Wiedziała, że ta kobieta jest mamą Leona, i chociaż w czasie takich rozmów nie rozmawia się o podobnych sprawach, kobieta spojrzała na jej brzuch i pomimo że niczego nie było jeszcze widać, spytała ją, czy jest w ciąży. Nie odpowiedziała, a kobieta nie dopytywała. Powiedziała tylko, że gdyby rzeczywiście kiedyś zaszła w ciążę i urodziła dziecko, będzie się czuła tak, jak ona przed laty. Poczucie fale, ogień. Jakby ktoś ją uderzał i uciskał od środka, i nie będzie miała na to żadnego wpływu.

I dokładnie tak się teraz czuje.

...

Często myśli o tamtym dniu.

Koc wisiał w oknie i przepuszczał do środka promienie słońca. Rano, kiedy leżała z Gabrielem w łóżku, miała nabrzmiące piersi. Czuła w środku to, co zawsze czuje w takie dni, jakby gorączkę, która obejmuje całe ciało. Wiedziała, że ma owulację, zawsze to wie.

Nigdy wcześniej nie rozbierała się przed innym facetem. Zrobiła to dopiero przed Gabrielem. I za każdym razem, gdy pojawiały się objawy — nabrzmiące piersi, gorączka — starała się go unikać, a gdy nie mogła, a on dalej domagał się seksu, biegła do toalety i zakładała sobie kapturek. Potem już tylko czekała z nadzieją na kolejną miesiączkę.

Tamtego dnia miała pojechać do więzienia. I nawet nie musiała Gabriela unikać. W pochwie miała ukrytą plastikową torebkę o wadze dwustu gramów, która pachniała acetonem.

A jednak stało się.

Tamtego dnia zaszła w ciążę.

Leżała na twardej podłodze w toalecie na stacji benzynowej Shella niedaleko zjazdu na Täby. Torebkę posmarowała olejkami dla dzieci i trzymała ją przez pewien czas w pochwie, aż zapach amfetaminy stał się wyczuwalny. Potem ją stamtąd wyjęła, wstała z podłogi i spuściła torebkę w toalecie.

Bo tak miała zrobić: włożyć ją, wyrzucić do sedesu i pachnieć prochami. Miała być obwąchana przez psy, przeszukana i wpuszczona do Leona. Podczas odwiedzin miała być czysta.

Siedziała przed nim w brzydkim pokoju widzeń i składała sprawozdanie o skoku na jubilera w Solnie i w Huddinge, na kiosk w Slussen i o ściągniętym haraczu w Sundbybegu. Potwierdziła, że telefon Leona jest na podsłuchu. Odpowiadała na pytania, które kilka razy już jej zadawał. Potem Leon pochylił się nad nią i szepnął, że dzielnie się sprawiła i że tym razem też musi zostać z nim przez całą godzinę, żeby odwiedziny nie różniły się od poprzednich. Dodał, że Gabriel jest jego bratem i na pewno nie miałby nic przeciwko temu, żeby się nią z nim podzielić. Więc niech się rozbierze i położy na łóżku obok niego, to czas im szybciej upłynie.

...

W tym więzieniu urodził się twój tata.
Niedługo ty też się tu urodzisz.

To ta sama cela. Tak mu się przynajmniej wydaje.

Minęło ponad dziewiętnaście lat.

Tym razem leży tu kobieta, która ma na imię Wanda. Kiedyś leżała tu Ana.

Dwie różne młode kobiety i inne czasy, a mimo to Grens odnosił wrażenie, jakby wszystko działo się w tym samym czasie. Zerknął w stronę stojącego obok niego mężczyzny. Kiedyś stał tam Erik Wilson, teraz Sven Sundkvist. Przesunął dłonią po głowie i stwierdził, że nie ma włosów, dotknął dużego brzucha, który nie zawsze taki był. W końcu, na wszelki wypadek, spróbował rozprostować sztywną nogę, która kiedyś go nie bolała.

To już inne czasy.

Słyszy jej krzyk. A potem inny krzyk.

Drobne ciało przesuwa się przez ciasne drogi rodne, kurczy się i wyciska z płuc wodę. Pojawia się główka i buzia, płuca napełniają się powietrzem.

Pierwszy oddech.

...

Podchodzi o krok bliżej.

Każda interwencja policjanta rodzi określone konsekwencje.

Dziecko leży na jej brzuchu.

Nie do niego należy ich ocena, nie on ma prowadzić rozważania na temat działań i skutków, nie on ma podejmować próby zrozumienia, jak długo takie konsekwencje trwają.

Dziecko ma zmierzwiłone, mokre włosy. Główka jest prawie owalna, bo kiedy przeciskała się przez kanał rodny, lekko się spłaszczyła. Na szczęście wkrótce odzyska właściwy kształt.

Jeszcze nie teraz.

Nie w obecności tego, którego twarz prawie rozpoznaje.

...

A jednak.

Zastanawia się, kto będzie kiedyś twoją ofiarą, twoją Julią Bozsik, twoim Josém Pereirą.

...

Mężczyzna i kobieta w białych fartuchach opuszczają miejsca, które zajmowali dotychczas w pobliżu drzwi celi, i mijają Grensa z dwóch stron. Cztery dłonie unoszą ciepłą istotkę, która leży na jej brzuchu, otwierają skoroszyt, wypełniają biały arkusz formatu A4 i kierują się szybkim krokiem w stronę czerwonego lśniącego samochodu, który stoi za karetką pogotowia. Czekają chwilę, aż pielęgniarz ustawi inkubator z dzieckiem na noszach.

...

Grens stoi nieruchomo. Wokół panuje cisza. Czerwony samochód odjechał w stronę bramy więziennej i niedługo zjawi się pod domem pewnej rodziny w miejscowości Botkyrka. Dwie pielęgniarki w zielonych fartuchach wracają karetką do szpitala w Örebro. Sven czeka trochę dalej w korytarzu z celami. Grens słyszy, jak kobiety siedzące w celach wołają do nich zza metalowych drzwi „gliniarz”, „pieprzony glina”, podczas gdy on po prostu stoi i stara się dobrać słowa.

— Wydaje mi się, że...

Przypomniał sobie tamto pytanie. *Widział pan? Wtedy nie był na nie przygotowany. To był chłopiec czy dziewczynka?* Teraz łatwiej mu odpowiedzieć.

— ...widziałem.

— Co?

— Przed chwilą. Dziecko na twoim brzuchu.

Jej oczy. Trudno z nią nawiązać kontakt wzrokowy. Może jest zmęczona? Może nie chce?

— O czym pan mówi?

Grens próbuje pochwycić jej spojrzenie, ale ona umyka mu wzrokiem. Odwraca się i spogląda trochę wyżej, trochę dalej, przez zakratowane okno.

— Widziałem, że to był chłopiec.

OD AUTORÓW

W naszej książce odrobinę „udoskonaliśmy” pracę policji w zakresie programu ochrony świadków.

To samo zrobiliśmy w odniesieniu do technicznych możliwości dokładnego ustalenia miejsca, z którego prowadzona jest rozmowa z telefonu komórkowego.

Wszystko inne — ogólnie rzecz biorąc — powinno być zgodne z prawdą.

Wyciąg
z Ogólnodostępnej Bazy Badań 2010:15
Grupy przestępcze — przeciwdziałanie rekrutacji
i ułatwianie zerwania z działalnością przestępczą

Strona 11 i 12

„Coraz większa liczba osadzonych ma powiązania z grupami przestępczymi”.

„Spośród skazanych na kary więzienia członków gangów aż 85% wraca na ścieżkę przestępstwa”.

„Z badań wynika, że około pięciu tysięcy młodych ludzi poniżej dwudziestego pierwszego roku życia staje się członkami grup przestępczych”.

Pamiętajmy jednak, że nasza książka to tylko powieść i nie wszystko, o czym piszemy, faktycznie się w Szwecji dzieje.

...

Na wszelki wypadek wyjaśniamy: list, który Leon napisał w swojej celi, jest kompilacją pięciu innych listów napisanych w pięciu innych celach.

...

Słowa podziękowania kierujemy do następujących osób:

R, S, R i B — za to, że nam zaufaliście i wpuściliście nas do swojego świata, dzięki czemu przez kilka lat mogliśmy być jego częścią.

Johan Åkerlund z Sekcji do Walki z Przestępczością Zorganizowaną policji w Södertörn — za najważniejsze informacje dotyczące świata przestępczego.

Bertil Ahlgren, Räddningstjänsten Syd — za najważniejsze informacje na temat niebezpieczeństw, jakie grożą strażakom w ich codziennej pracy.

Reine Adolfsson — za informacje na temat materiałów wybuchowych.

Peter Blomqvist — za informacje na temat technik kryminalistycznych.

Henrik Druid — za informacje z dziedziny medycyny sądowej.

Lasse Lagergren — za informacje z zakresu medycyny.

Totte Stefansson — za informacje o porodach.

Mikael Gilliusson — za informacje na temat opieki nad osobami poszkodowanymi w wypadkach.

Leif Nordeén — za informacje na temat młodych przestępców osadzonych w więzieniach.

Mikael Madenteg — za informacje o młodych przestępcach na wolności.

Eric Thunfors — za projekty okładek, które bardzo nam się podobają.

Astrid Sivander i Lise-Lotte Olaisen — za pracę nad korektą.

Fia Roslund — za to, że byłaś z nami i z naszym tekstem przez cały okres jego powstawania.

Niclas Breimar i Ewa Eimar — za niezwykle cenne uwagi.

Leyla Belle Drake, Malin Gyllenhammar Broman, Tor Jonasson, Karin Lindgren, Mini Kaur i Marcus Salomonsson z Salomonsson Agency — za energię, wiedzę i za to, że zawsze i wszędzie byliście dla nas dostępni.

Mattias Boström, Cherie Fusser, Anna Hirvi Sigurdsson, Lasse Jexell, Madeleine Lawass, Anders Olofsson, Anna Carin Sigling, Ann-Marie Skarp i Lottis Wahlöö z wydawnictwa Piratförlaget — za to, że dzięki Waszemu profesjonalizmowi i z powodu serdeczności, jaką nam okazujecie, za każdym razem, gdy zjawiamy się w Waszej siedzibie, robimy to z uśmiechem.

Szczególne słowa podziękowania kierujemy do Niclasa Salomonssona, naszego agenta.

Równie szczególne słowa podziękowania należą się Sofii Brattselius Thunfors, która była redaktorem prowadzącym.

[1] Hjalmar Söderberg, *Doktor Glas*; przeł. Ewa Gruszczyńska; Wydawnictwo Jacek Santorski & Co, 2003.